Z FILARECKIEGO ŚWIATA

ZBIÓR WSPOMNIEŃ Z LAT 1816-1824

WYDAŁ

HENRYK MOŚCICKI



INSTYTUT WYDAWNICZY
BIBLJOTEKA POLSKA
w Warszawie



Widok Wilna na początku XIX wieku.

Z FILARECKIEGO ŚWIATA

ZBIÓR WSPOMNIEŃ Z LAT 1816-1824

Z 24-MA ILUSTRACJAMI

WYDAŁ
HENRYK MOŚCICKI

WARSZAWA 1924

INSTYTUT WYDAWNICZY
„BIBLJOTEKA POLSKA"

P R Z E D M O W A

W setną rocznicę procesu i kaźni promienistej młodzieży wileńskiej wydajemy ten zbiór wspomnień. Zebrane w nim zostały opowieści o życiu pełnem prężnych, mierzonych na zamiary, wysiłków, w atmosferze górnych poczynań i nieustannej troski o najcenniejsze skarby narodu, wysoki jego poziom moralny, jaśniejszą przyszłość. Opowieści proste i szczere, jak prostem i szczerem było życie tej, w związki przyjaźni skonfederowanej, młodzieży. Bije z tych kart dostojna jeno duma przeświadczenia, że czyniono dobrze, rzucano ziarna zdrowe i pożywne, że z posiewu promienistości plon wzejdzie rzetelny i obfity. „Kochać Polskę, chcieć Polski — to jedyna polityka", w tych słowach streszcza Domeyko patrjotyczny program filomatów; tworzyli więc „jakby sprzysiężenie zobopólne dać życie za ojczyznę, gdy godzina wybije", i byli pewni, iż

> *Kiedyś przyjdą te lata,*
> *Że z filareckiego świata,*
> *Powstanie zmarły Sarmata,*
> *Do rządu i do bułata*
> *I krzywdy swoje połata.*

Nie szukajmy w tych zwierzeniach całkowitego obrazu dziejów filaretyzmu; pisane ostrożnie, nieraz lękliwie, a zawsze czujnie na oko i słuch szpiegowski, musiały pominąć wiele szczegółów ważnych, wiele rozmyślnie zatrzeć śladów, łagodzić przezornie występne w oczach prześladowców zamierzenia. Brak w tych wspomnieniach, spisywanych przeważnie już po roku 1824-tym, tej niefrasobliwości i niezmąconej jeszcze pogody ducha, jakie cechują otwartą korespondencję przyjaciół; jednakże materjały te

uzupełniają wiadomości o związkach wileńskich i pozwalają głębiej wniknąć w istotę poczynań i ideałów „filareckiego świata". W tem leży ich wartość i doniosłe po dziś dzień znaczenie.

Zbiór niniejszy poprzedza rozprawa p. t. Ze stosunków wileńskich w okresie 1816—1823 r. Drukowana w roku 1904-tym na podstawie aktów procesu filareckiego, przechowywanych w małodostępnych podówczas dla badaczy archiwach rządowych wileńskich, obecnie, wobec wydania Archiwum Filomatów, w wielu szczegółach wymagałaby uzupełnień; dajemy ją jednak w niezmienionej prawie postaci ze względu na to, iż zawiera, w naszem przekonaniu, niepozbawione i dziś wartości przyczynki źródłowe; najniezbędniejsze dopełnienia uwzględnione zostały w przypisach. Przedrukowujemy również list Ignacego Domeyki o filaretach i filomatach, wprawdzie dobrze znany, posiadający atoli stałą wartość informacyjną. Dziennik Teodora Krasińskiego, pamiętniki Michała Czarnockiego i Ottona Ślizienia wydano poprawniej, z należytemi uzupełnieniami i objaśnieniami. Wspomnienia Tomasza Zana i Edwarda Tomasza Massalskiego, oraz dziennik więzienny Franciszka Malewskiego ukazują się w druku po raz pierwszy.

H. M.

HENRYK MOŚCICKI

ZE STOSUNKÓW WILEŃSKICH W OKRESIE 1816—1823

Ruch społeczny i naukowy wśród młodzieży wileńskiej w drugim i trzecim dziesiątku lat zeszłego wieku nie został do dziś dnia wystarczająco zbadany.

Napozór wydawaćby się mogło, że jest inaczej; liczne pamiętniki z tej epoki, listy, a nawet dokumenty urzędowe, sporo zawierają materjału faktycznego, wyświetlającego niejedną kwestję. Brak nam atoli dotychczas informacyj wiarogodnych, źródeł niezamąconych sądem stronniczym lub niedość ścisłym. Główna uwaga opisujących ówczesną epokę skupia się na ostatnim akcie, „chmurnie" zamykającym okres stowarzyszeń młodzieży litewskiej w pierwszej ćwierci ubiegłego stulecia. Brak nam również świadectw ze strony najpowołańszej, ze strony uczestników i głównych działaczy w tych stowarzyszeniach z przed lat 1823—24.

Część największa owych dowodów zginęła dla nas niepowrotnie, zniszczona ręką samych twórców, część pozostała niedokładne zaledwie pojęcie daje o pracach stowarzyszonych. Do ujawnionych przedtem przyczynków pragniemy dorzucić niektóre uzupełnienia na podstawie dokumentów. Wyjaśnią może one choć niektóre szczegóły z życia „górnego" tego środowiska, w którem żył, obracał się i skąd czerpał natchnienie największy wieszcz nasz — Mickiewicz.

Myśli przewodnie i cele związków młodzieży wileńskiej zaczerpnięte zostały niewątpliwie z Niemiec, będących ówcześnie w okresie tworzenia wielkiej poezji romantycznej, w tej powtórnej *Sturm und Drang-Periode* życia umysłowego i politycznego. W jakim stopniu i o ile wpływały stowarzyszenia niemieckie na utworzenie związków wileńskich, trudno orzec. Duchowe jednak oddziaływanie istniało niewątpliwie. Silny pierwiastek narodowy, etykę obyczajową, zapał do nauki, odnajdujemy zarówno

w płomiennych poezjach Teodora Körnera, pismach Ernesta Arndta, jak i w młodzieńczych odach Mickiewicza.

Utwory niemieckich liryków z okresu „wojny o niepodległość" znane były niewątpliwie młodzieńcom wileńskim. Zasady Fichtego o unarodowieniu wychowania przedostawały się na Litwę wraz z burszowską pieśnią Karola Sanda, przetłumaczoną poetycko przez Mickiewicza. Powstałe z dawnego *Tugendbundu* burszenszafty zaszczytną odegrały rolę w dziejach duchowego i politycznego odrodzenia Niemiec, przeobraziły całą niemal młodzież ówczesną, powiodły ją drogą cnoty i obowiązku pod wzniosłem hasłem: *Tugend, Wissenschaft, Vaterland!* i godnie usprawiedliwiły słynną maksymę wybitnego męża stanu pruskiego, Steina: „*Durch Leitung der Literatur und der Erziehung dahin zu wirken, dass die öffentliche Meinung rein und kräftig erhalten werde*". Czyste jak kryształ w samej zasadzie, choć później mocno spaczone w zastosowaniu, hasła twórców związków niemieckich: szlachetnego a przyjaznego nam Wilhelma Snella, Hoffmanna, Arndta, Fichtego i w. in., znalazły oddźwięk u Filomatów i Filaretów. Nawet organizacja stowarzyszeń wileńskich zbliżoną była, choć bez porównania węższą, do burszenszaftów. Dążąc atoli do pokrewnych celów, młodzież wileńska umiała nadać swym związkom charakter odmienny, nawskroś swojski i zastosowany do warunków miejscowych.

Nie wdając się tutaj w szczegółowe roztrząsanie dziejów towarzystw młodzieży wileńskiej, narazie pragnęlibyśmy z wydobytych przez nas materjałów przedstawić niektóre celniejsze momenty, rzucające pożądane światło na pewne strony zasadnicze ówczesnych stosunków młodzieży wileńskiej.

Dokumentem wagi pierwszorzędnej jest w tym względzie zeznanie Józefa Jeżowskiego, prezesa Towarzystwa Filomatycznego, złożone przed wileńską Komisją Śledczą dnia 19 kwietnia (1 maja) 1824 r.

„Cele zatrudnienia Towarzystwa Filomatów — tak brzmiało dosłownie obszerne i nader szczegółowe zeznanie Jeżowskiego — nie były od początku aż do końca zupełnie jednostajne. Abym mógł w tej mierze dostatecznie się wytłumaczyć, przebiegnę historycznie egzystencję Filomatów, która to historja jaśniej da poznać naturę tego Towarzystwa, niżeliby dać mogło szcze-

główe opisywanie organizacji, porządków i trudnych do pamiętania drobnostek. Jeszcze w r. 1816 ja, Adam Mickiewicz, Tomasz Zan i Onufry Pietraszkiewicz, obcując ze sobą bliżej, rozprawiając o naukach, o autorach, o książkach, składaliśmy dość ścisłą między sobą kompanję, czyli towarzystwo. Obcowanie to tak było przyjemne, tak szybko czas nam zabierało, że częstokroć zapominaliśmy o różnych przykrościach, mianowicie z niedostatku pochodzących. Przypominam, że nieraz żartobliwie mówiliśmy sobie, że składamy towarzystwo przeciw troskom, towarzystwo rozpędzające troski. Żeby jednak tak nasza konwersacja nie była przyjemnem tylko próżnowaniem, rzucana była różnemi czasy myśl, aby przepisać jakikolwiek porządek, aby przyjąć postać rzetelnego towarzystwa. Razu jednego Tomasz Zan i Adam Mickiewicz przychodzą do mnie i przynoszą projekt do ustawek, oświadczając oraz, że chcą, abym był prezydentem. Nie odmówiłem im tego, przejrzałem ustawki, a że ułożone były w tonie lekkim i bardziej do zabawy, niż do nauki i pożytku prowadziły, starałem się nadać im więcej powagi i mocniej zobowiązać niemi do pracy. Zgodziliśmy się na to, aby przyjąć tytuł Towarzystwa Filomatycznego, aby każdy w przeciągu miesiąca wypracował jedno pisemko własne i jedną recenzję pisma cudzego, aby posiedzenia odbywały się co tydzień dla czytania pism wygotowanych, aby wartość pisma oznaczać większością głosów czyli wotów. Nastąpiło to z końcem r. 1817".

Należy zwrócić uwagę na znaczenie tego nowego szczegółu chronologicznego, dotychczasowe bowiem badania kładą rok 1817 za datę powstania Towarzystwa Filomatycznego, opierając się głównie na świadectwie filomaty Kazimierza Piaseckiego, którego opowiadania spisał jego siostrzeniec, Ignacy Zdanowicz, w swym „Pamiętniku o filomatach i filaretach". Zarówno Nowosilcow w urzędowym raporcie do w. ks. Konstantego, jak i inni potwierdzają tę datę. Z powyższego zeznania Jeżowskiego widzimy, iż pierwsza myśl powstała o rok wcześniej, w 1816. Jest to szczegół interesujący i z tego względu, iż zbliża chronologicznie inicjatywę wileńską z zaznaczonemi wpływami niemieckiemi, wybujałemi głównie w 1813—14 r. W r. 1816 zawiązuje się również „na wzór *Tugendbundu*" tajne towarzystwo wśród oficerów siemionowskiego pułku w Petersburgu. Do towarzystwa

tego przyjmowano ludzi „zalet duchowych, o surowej moralności", a głównem zadaniem jego było „usunięcie cudzoziemców od udziału w rządzie i uwolnienie włościan od pańszczyzny".

„Przyjęliśmy następnie osoby — ciągnie dalej Jeżowski: — Franciszka Malewskiego, Teodora Łozińskiego, Jana Czeczota, Józefa Kowalewskiego, Jana Sobolewskiego, Ignacego Domeykę, Wincentego Budrewicza. Zatrudnienia nasze z początku szły ochoczo, regularnie i stosownie do przepisów, niedługo wszakże ten porządek potrwał. Pokazało się naprzód, że pisma w przedmiocie fizyki i matematyki nie interesowały członków, oddających się innym naukom, i nawzajem. Ta niegodność dała powód do podzielenia Towarzystwa na dwa wydziały: fizyczno-matematyczny i literacki. Oba odbywały posiedzenia oddzielnie i oba dostały osobnych naczelników; w jednym był naprzód Pietraszkiewicz, potem Zan, w drugim naprzód Mickiewicz, potem Malewski. Tym sposobem z natury rzeczy wynikło, aby prezydent i naczelnicy składali dyrekcję Towarzystwa, czyli rząd jego. Przeznaczeniem tego rządu było: ułatwiać wszelkiemi sposobami zatrudnienia naukowe członków i zobowiązywać ich przykładem własnym i dozorem do dobrego postępowania. Lecz jeżeli podział Towarzystwa na dwa wydziały z jednej strony dobre, tedy z drugiej szkodliwe pociągnął skutki. Przez ten podział albowiem w jednym i drugim wydziale pokazała się liczba bardzo szczupła, a stąd większy ciężar dla każdego członka, stało się więc, że posiedzenia niegdyś tygodniowe, odbywane były ledwo co 2 tygodnie, potem we trzy, a potem i na dłuższy jeszcze czas zawieszane były. Również pisma, które według ustaw co miesiąc powinny były być od każdego podawane, we dwa i we trzy nie były gotowe. Dodajmy, że nowość Towarzystwa przestała być nowością, a przytem pomnażały się każdego z członków zatrudnienia prywatne, bądź z lekcyj akademickich, bądź z obowiązków pochodzące. To wszakże było jeszcze bodźcem do ciągnienia jakkolwiek zatrudnień, że oba wydziały we trzy miesiące powinny były zdawać sprawę ze swoich czynności przed prezydentem, na wspólnem obu wydziałów posiedzeniu. Osłabienie Towarzystwa widocznem się pokazało mianowicie z początkiem roku 1819. Lecz jeżeli ustawały zatrudnienia naukowe Filomatów i niknęła postać Towarzystwa, jako towarzystwa,



Adam Mickiewicz.

nie ustawała przyjaźń i obcowanie ze sobą członków. Owszem, pierwsza połowa 1819 r., od stycznia do lipca, stanowi okres rozwijających się wielkich życzeń, chęci i projektów Towarzystwa Filomatycznego. W tym okresie prezydent i naczelnicy usiłowali poprawić i rozszerzyć ustawy i do nauki, dawniejszego celu Towarzystwa, dołączyli wyraz: „dobro kraju", nie wchodząc bynajmniej, ani określając, na czemby to dobro zależeć miało. W tymże okresie toczyły się rozprawy na przechadzkach, na wieczorach i w całem ze sobą pożyciu, mianowicie prezydenta i naczelników, o różnych projektach, jako nadmieniłem. Aby zaś zeznanie moje nie zostawiło żadnej wątpliwości, sądzę, że winienem objaśnić, jakie to mogły być nasze wielkie życzenia, chęci i projekta.

„Obdarzeni od natury ochotą do nauk, lecz przechodząc przez ręce niesposobnych lub niedość troskliwych nauczycieli, czuliśmy bardzo mocno i żywo skutki tego losu; doświadczyliśmy, jak wiele czasu drogiego młodości nadaremnie tyrać się zwykło, jak przez brak książek i innych pomocy naukowych, przez niedostateczny plan w nabywaniu nauk, nietylko należyty nie odnosi się pożytek, ale nawet częstokroć nabywają się fałszywe o różnych rzeczach wyobrażenia, które zczasem prostować lub zapominać potrzeba. Postrzegaliśmy z żalem, że podobnego losu i inni z młodzieży doświadczali; widzieliśmy niekiedy, że zbawienne dobroczynnego Rządu dla dobra instrukcji krajowej zakłady nie dosyć dopinają swego celu, równie, jak zaufanie rodziców bądź w prywatnych nauczycielach, bądź w publicznych, często zawodzone bywa. Przejęci więc równie wdzięcznością dla Rządu, jak życzliwością dla rówienników i wszystkich krajowców, tworzyliśmy zamiary zapobiegania wadom, słabościom, lub jakimkolwiek niedostatecznościom instrukcji krajowej. A że dobroć wychowania naukowego zależy po wielkiej części od dobroci książek i nauczycieli, zamiarem więc było naszym w obu tych względach czynić zadosyć, w miarę możności naszej, potrzebom krajowym. Zaczęliśmy byli obeznawać się z lepszemi książkami elementarnemi w różnych językach, aby one zczasem albo tłumaczyć, albo stosownie do potrzeb szkół krajowych przerabiać. Lecz i najlepsza książka bez dobrego nauczyciela niewiele pomoże, stąd było staraniem naszem sposobić się na

nauczycieli, poznawać ważność tego powołania, obudzać do niego ochotę i zamiłowanie i przekonywać się nawzajem, że nauczyciel nie dlatego jest nauczycielem, aby miał z tego placu sposób do życia, lecz, że ma staraniu swemu poruczoną pierwszą i najważniejszą część życia ludzkiego, że od pierwotnego wychowania człowieka los jego dalszy, jego cnoty lub wady, jego użyteczność dla drugich lub szkodliwość po największej części zależą. Te były w nas myśli panujące pod względem instrukcji krajowej. Lecz nie dosyć na tem. Wychowani w ubóstwie lub ścisłej oszczędności, doświadczając ciągle niedostatku, ucząc się potrzeby życia zaspakajać ekonomicznie, musieliśmy czuć w całej mocy zbytki krajowe. Bolało to nas, że mnóstwo pieniędzy wychodzi zagranicę na towary obce, gdy tymczasem własna ziemia bogata jest w produkta przyrodzone, mogące niemal wszystkie, a przynajmniej główne, zaspakajać potrzeby mieszkańców, byleby chcieli i umieli korzystać z darów przyrodzenia, przerabiać płody surowe, podnosić przemysł, zakładać fabryki, rzemiosła, rękodzieła i t. d. Było więc zamiarem naszym to samo przekonanie wlewać w młodzież, mianowicie majętniejszą i zachęcać ją do wspierania z czasem przemysłu krajowego, a zdatniejszych z młodzieży uboższej zachęcać, aby się sposobili na technologów, mechaników, agronomów i t. d. Nadto, obdarzeni sercem czułem, napojeni w dzieciństwie zasadami czystej moralności i religji, doświadczając wreszcie sami nieszczęść, nauczyliśmy się czuć mocno nędzę bliźniego, mianowicie włościan pobliższych prowincyj. Z przykrością przychodziło patrzeć nieraz na właścicieli, obchodzących się ze swoimi włościanami, jak z bydlętami, lubo takie postępowanie, nietylko przeciwne jest moralności i religji, ale idzie wbrew ojcowskim Rządu zaleceniom w tej mierze i przepisom. Było więc także życzeniem naszem obudzać w dzieciach rodziców majętniejszych uczucie ludzkości i skłaniać, aby, zostawszy z czasem właścicielami, nie uciemiężali włościan swoich, udzielali im pomocy i podnosili rolnictwo. Ale zdaje się, że sam Bóg karze niekiedy właścicieli, dając im tę ślepotę, przez którą nie postrzegają, że, niszcząc włościan, sami sobie ruinę przyśpieszają, że, wydatkując więcej nad intratę, przywodzą się o bankructwo. Stąd otwiera się szerokie pole do pieniactwa, pozostaje niemal powszechne w niem zamiłowanie i wyszukiwane bywają

wybiegi od sprawiedliwości i prawa. Zamiarem więc jeszcze było naszym obudzać wcześnie sumienie w młodych, ugruntować uczucia cnoty i sprawiedliwości, aby, gdy zczasem zostaną urzędnikami, sędziami, adwokatami, nie pomnażali złego, lecz starali się pomniejszać.

„Wszystkie zaś nasze życzenia, chęci i myśli mieliśmy nietylko bezpośrednio udzielać osobom najbliższym, lecz oraz upowszechniać własnem pismem perjodycznem, które także do naszych projektów należało. Tym sposobem tedy mieliśmy pracować dla dobra kraju, czyli dla dobra ojczyzny. Ostrzec tu jednak muszę, że, jeżeli był nam niekiedy w myśli i ustach wyraz ojczyzna, tedy jednak nie przywiązywaliśmy do niego takiego znaczenia, jakie mu nadawać zwykli zapaleńcy lub półgłówki. Ojczyzna w przekonaniu naszem niczem innem nie była, jak ziemią, na której kto się urodził, uważana złącznie z jego rodzeństwem, przyjaciółmi, językiem, prawami, obyczajami, zwyczajami, gospodarstwem szczególnem i powszechnem, przemysłem, handlem i t. d. Kto w którymkolwiek z tych względów usłużnym jest dla większej lub mniejszej liczby krajowców lub dla całego kraju, ten usłużnym jest dla ojczyzny, przykłada się do szczęścia ojczyzny. Wyrażenie więc w zapytaniu prześwietnej Komisji: „myśli o szczęściu zgasłej już ojczyzny" nie może stosować się do sposobu myślenia Towarzystwa Filomatów, chyba może do jakiego w niem indywiduum.

„Opisane zaś życzenia, chęci, zamiary panowały mianowicie, jak wyżej powiedziałem, od stycznia 1819 do lipca tegoż roku. W tym czasie nastąpił rozjazd wszystkich członków, a od miesiąca października poczęło się większe jeszcze osłabienie Towarzystwa, nietylko co do czynności naukowych, lecz nawet co do tworzenia projektów. Z początkiem października Mickiewicz wyjechał do Kowna na nauczyciela, a Malewski zajął się całkiem sposobieniem się do stopnia magistra i egzaminami. Z początkiem zaś r. 1820 podobnież przedsięwzięli zatrudnienia Zan, Łoziński, Sobolewski, Budrewicz i Domeyko, ja zaś zacząłem coraz bardziej zapadać na zdrowiu. I w tym stanie osłabienia, albo raczej zupełnego rozwiązania się, pozostało Towarzystwo do końca roku szkolnego, czyli do miesiąca lipca. Tu znowu nastąpił innych rozjazd, a moja silniejsza choroba. Z końcem września wyjecha-

łem na wieś, a gdym powrócił na czas krótki ostatnich dni grudnia, nie znalazłem już wcale Towarzystwa imienia Filomatów, albowiem świeżo powstali Promieniści i Filareci pochłonęli w siebie resztki mojego Towarzystwa.

„Taka jest historja Filomatów, którą przekonany jestem, iż prześwietna Komisja przyjmie za rzetelną i jej zawierzy. Zdaje mi się, że w niej zawarłem wszystko, cokolwiek było potrzebnem do dania poznać natury Towarzystwa Filomatów. Lecz ponieważ dla porządku i związku myśli lub dla jasności tłumaczenia się niektóre punkta, znajdujące się jeszcze w zapytaniu, zdało mi się opuścić, przeto opuszczenie to teraz dopełnię. Pisma czytane były na posiedzeniach w przedmiotach różnych nauk, w jednym wydziale były pisma zwyczajnie matematyczno-fizyczne, w drugim w przedmiotach literatury. Ponieważ ja byłem ciągle prezydentem, a dlatego jednak nie byłem wolny od obowiązków każdego członka i nadto przykładem własnym zachęcać powinienem był do pracy, przeto pisałem podobno najwięcej, a pisma moje główniejsze były następnej treści: a) o dziełach Sofoklesa, b) śmierć Achillesa, przekład z greckiego, c) o trubadurach, czyli śpiewakach w wiekach średnich, w południowej Francji, d) o potrzebie doskonalenia w równym stopniu rozumu i serca, e) o potrzebie pewnego porządku planu w nabywaniu nauk, f) o logice, z pisarza angielskiego Stewarta, g) recenzja tłumaczenia Herodota przez Kowalewskiego i tłumaczenia Plutarcha przez tegoż, wreszcie nie pamiętam. Mowy właściwe nie miały miejsca, jako mniej potrzebne w gronie niewielu osób, dobrze się rozumiejących i ścisłą przyjaźnią połączonych. A jeżeli kto mówił kiedy, bądź prywatnie, bądź na posiedzeniu, bądź ustnie, bądź na piśmie, mianowicie w czasach słabnienia Towarzystwa, tedy przedmiotem takich mów było tylko zachęcanie do wytrwałości w pracy i przedsięwzięciach. W tym guście mówiłem ja z parę razy, czy zaś inni mówili, nie pamiętam Rozumiem, że ta historja Towarzystwa naszego zdolna jest przeświadczać, żeśmy nie występowali z granic przyzwoitości, biorąc to słowo w sensie moralnym. A jeżeli mieliśmy chęci lub zamiary wyższe nad siły, albo wiek nasz, jeżeli było wiele myśli a mało rzeczy, wielkie projekta a żadne skutki: tedy, czy to nazwiemy próżnością, czy nierozwagą, zawsze należeć to będzie

do błędów rozbujałej imaginacji, nie zaś do wykroczeń, jakich zabrania przyzwoitość i uczciwość moralnego człowieka. Owszem, jeżeli przez Towarzystwo nasze nikomu nie staliśmy się użytecznymi, tedy byliśmy dla siebie samych, zachęcając się nawzajem do pracy, do nauki, do dobrych obyczajów i postępków. I to tylko uważać można za skutki Towarzystwa naszego, o których takoż w zapytaniu jest wzmianka".

Zeznanie Jeżowskiego należy oczywiście brać *cum grano salis*. Opowiada on o Towarzystwie, nie zapominając wszakże, w jakim czyni to celu. Dlatego brak tu pewnych informacyj, w szczególności zaś o roli Filomatów podczas istnienia Towarzystwa Filareckiego.

Znamiennym rysem w słowach Jeżowskiego jest uderzający i nad wiek rozważny sposób, w jaki odwołuje się do pierwotnych intencyj cesarza Aleksandra I, ujawnionych dobitnie w mowie tronowej warszawskiej 1818 r., również szczegół o włościanach niezawodnie wyraźnem jest echem, jakie w szerokich kołach wywołała uchwała sejmikowa obywateli gubernji wileńskiej 1818 r. o uwolnieniu włościan. Na obradach sejmikowych bywali w charakterze słuchaczy studenci Uniwersytetu. Raz zdarzył się nawet następujący wypadek, który wielkie sprawił na wszystkich wrażenie:

„Gdy wniesiona została dnia 22 (1817 *p. a.)* grudnia materja o zniesieniu poddaństwa włościan — pisze rektor Malewski do Adama ks. Czartoryskiego dnia 21 lutego 1818 r. — „wszczęły się w izbie szlacheckich obrad spory, czyli raczej roztrząsania tej materji dosyć żywe i jeden z delegatów JP. pułkownik Paszkowski (delegat powiatu oszmiańskiego), który zabierał wiele czasu swojemi głosami, tamującemi postanowienie zgromadzenia szlacheckiego w tej materji, wielu miał nieukontentowanych przeciw sobie i mówią, że wtedy widziana była momentalnie ztyłu przypięta mu kartka z napisem: „szubienica", co dało powód, że wicegubernator JP. Plater zamknąć kazał salę obrad i przerwać sejmikowanie; wdaną została w to policja, czynione były śledzenia dla wynalezienia autora tej kartki, później obrady sejmikowe pozwolono dokończyć, ale raporta poszły do ministrów i do samego Monarchy o tem zdarzeniu. JW. Korsakow powrócił z Moskwy, mając polecenie dokładniej tę rzecz wyegza-

minować i w Warszawie, dokąd wkrótce wyjeżdża, przedstawić Monarsze. Rzecz ta z siebie w Wilnie mała, bo żadnego rozruchu nie pociągnęła, ale w raportach powiększona nazwana została niebezpieczną. W raportach towarzystwa francmasonów i szubrawców zacytowane są za sprawców tego zdarzenia, tu zaś w ustnem gadaniu mięszali i studentów uniwersytetu, którzy przez ciekawość na obradach sejmikowych bywali".

Energiczne śledztwo, prowadzone przez rektora i prokuratora Botwinkę, sprawców nie wykryło. Przekonanie o uskutecznieniu tego przez studentów, utrzymało się atoli i nadal.

Hasła, rzucone przez inteligentnych obywateli wileńskich, znalazły przyjazny oddźwięk na całej Litwie. Zgromadzona w kwietniu 1819 r. szlachta czterech powiatów: białostockiego, sokólskiego, drohiczyńskiego i bielskiego, składających wówczas obwód białostocki, idąc, jak wyrażała się sama, „za głosem ludzkości i wewnętrznego przekonania", oraz za przykładem sąsiednich gubernij, jednomyślnie postanowiła znieść na zawsze poddaństwo, „jako przeciwne ustawom Boskim i samej ludzkości" i włożyła na obwodowego marszałka, Dominika Ciecierskiego, obowiązek zaniesienia o to w jej imieniu prośby do tronu, aby ta, „stawiąc nas w rzędzie najucywilizowańszych narodów Europy, świeżym była jeszcze dowodem, że Polak w żadnej obywatelskiej cnocie upośledzić się nie da".

Marszałek Ciecierski uchwały sejmikowe, zawierające również inne jeszcze postanowienia głębokiego znaczenia politycznego, podał do tronu dnia 9 sierpnia 1819 r.

Przekonania szlachty litewskiej w zupełności podzielał Książę Kurator. W miarę możności starał się o polepszenie fatalnego położenia włościan, podległych zarządowi Uniwersytetu.

„W wielu miejscach — pisze do Malewskiego dnia 14 (26) marca 1819 r. — sposób wybierania podatków skarbowych jest bardzo niedogodny, częstokroć dowolny i połączony z niemałym dla włościan uciskiem. Dobrze byłoby, aby troskliwość komitetu ekonomicznego (z zarządu Uniwersytetu *p. a.*) zwróciła się na ten przedmiot w celu zapobieżenia mogącym się zdarzyć nadużyciom, aby rozkład podatków do wybrania z włościan nie zależał od arbitralności bądź rządców dóbr, bądź posesorów, aby nie wybierać więcej, niż należy, a jeśli co pozostanie od składki,

aby gromadom zwracać, zdając przed niemi rachunek z użytych pieniędzy".

Wyznaczony komitet ekonomiczny z ramienia Rządu Uniwersytetu, w uwagach swych nad projektem urządzenia dóbr, do Gimnazjum Wołyńskiego należących, (z d. 2 lutego 1819 r.) zawarł niejeden interesujący i zdrowy pogląd na sprawę włościańską. Proponując zaczynszowanie gruntów włościanom, w ten sposób motywuje swój projekt:

„W teraźniejszem położeniu rzeczy krajowych, kiedy usiłowania rządu połączone z chęcią większej liczby właścicielów ziemi, dążą wspólnie do nadania właścianom osobistej wolności, najlepszy bezwątpienia jest środek, uprzedzając te odmiany, zawierać wcześnie umowy z włościanami na opłaty czynszowe, uwalniając ich przez to od znienawidzonej przez nich pańszczyzny, którą oni podług swego powszechnego pojęcia za istotną poczytują niewolę".

„J. O. X. Kurator w r. 1817, — czytamy dalej w „Uwagach" komitetu — przepisując komisjom edukacyjnym prawidło dla urządzenia dóbr, przewidział wcześnie teraźniejszy wypadek i w punktach 8 i 9 przepisów, od siebie danych, zawieranie umów z włościanami na opłaty pieniężne w szczególności zalecił. Komitet ekonomiczny, przy Uniwersytecie ustanowiony, przywodząc do skutku zamiary ks. kuratora, porobił już umowy z zamożniejszemi wioskami, które od zarabiania pól dwornych odłączyć i na opłaty pieniężne obrócić można było. Dla tych zaś włościan, którzy przy zarabianiu dwornych krescencyj pozostali, stara się przynieść wszelkie ulgi, już to przez wprowadzenie wydziałowej roboty, już przez zniesienie rozmaitych z dawnych inwentarzów pozostałych przykrych dla włościan powinności".

Ks. Kurator nie zgadzał się na natychmiastowe oczynszowanie włościan w dobrach beneficjalnych, obawy swe opierał na powszechnem ubóstwie i niezaradności włościan.

W liście do rektora z dnia 28 lutego 1819 r. pisze: „Rzecz pewna, że, radząc tylko i obawiając się ciągle, nigdy do celu nie dojdziem. Wreszcie nie wystawiam tu Uniwersytet na wielkie straty, bo biorę na próbę dwa tylko folwarki, bo i w tych jeszcze nie zrazu, ale stopniowo i krok za krokiem zaczynszowanie chcę wprowadzić, po gorliwości WMPana spodziewając się wyboru

dobrych posesorów, ani wątpię, że nasz zamiar pomyślny uwieńczy skutek, to pewno, że danym przez to przykładem i krajowi oddałby Uniwersytet ważną przysługę i ściągnąłby na siebie uwagę Rządu, a nawet samego Monarchy, którego znana nam jest dosyć o polepszenie bytu włościan ojcowska troskliwość".

Nie zgadzał się również książę na projekt Malewskiego nadania wszystkich gruntów włościanom. „W ogólnem krajowem gospodarstwie — pisze do rektora dnia 21 lutego (5 marca) 1819 r. z Puław — potrzebne są różnej wielkości podziały gruntowe. Mamy szlachtę czynszową, mamy dzierżawców, którzy po zaczynszowaniu włościan będą musieli wziąć się do gospodarowania najemnikami, lub czeladzią domową. Oprócz tego rozdanie całkowite gruntów między włościan, w dzisiejszym ich stanie byłoby dla nich ciężarem. Chociaż to się nam udało we włości Polenkowskiej i Kronsztanskiej. Wiadomość o uiszczeniu się mieszkańców tych włości przyniosła mi prawdziwą radość. Chciałbym mieć szczegółowe opisanie ich urządzenia dla podania do gazet. W moich dobrach także się jedna wieś z podobną chęcią oświadczyła. Takie przykłady może zachęcą drugież".

Umyślnie dłużej zatrzymaliśmy się nad tą sprawą, aby wykazać, w jakim stopniu prądy postępowe, nurtujące ogół oświecony, wpływały na urabianie pojęć i przekonań młodzieży ówczesnej.

Z powyżej cytowanych dokumentów poznajemy jedną jeszcze, mniej znaną stronę działalności księcia Adama Czartoryskiego, który wszędzie i zawsze miał dobro społeczne na celu, a szedł ku niemu drogą nie gwałtownych przewrotów, lecz drogą rozumnej a wytężonej pracy. Młodzież zrozumiała zamiary Księcia, podnosiła gorąco hasła, które on w życie usiłował wprowadzić. Chciał on mieć zdolnych nauczycieli, urzędników, fachowców we wszystkich gałęziach wiedzy — i młodzież szła w tym kierunku z głęboką wiarą w pożyteczność szlachetnej inicjatywy.

Nietylko kwestja włościańska interesowała Księcia. Pragnął on również podniesienia przemysłu krajowego, rozwoju nauk technicznych i społeczno-ekonomicznych. W tym celu pisze do rektora Malewskiego w lipcu 1820 r.:

„Tej młodzieży, która ze szkół powiatowych po kancelarjach



Podwórze Uniwersytetu i kościół św. Jana w Wilnie.

i palestrach się rozchodzi, należałoby dać kierunek do handlu, fabryk i rolnictwa. Szkoły mechaników i rolnictwa posłużą nam do tego, ale dla handlu nic jeszcze nie uczyniono. Już to dawniej w piśmie mojem o szkołach powiatowych nadmieniłem, aby dawano w nich naukę rachmistrzowstwa i buchalterji. Tę naukę szczególniej do handlu profesor stosowaćby powinien. Na ten koniec potrzebne jest dzieło elementarne, do którego przeszlę WPanu wkrótce programa".

Dla osiągnięcia wyższego wykształcenia, starali się filomaci o wysyłanie zdolniejszych z pośród siebie zagranicę. I w tych zamiarach znaleźli gorące poparcie kierownika okręgu. Czartoryski sam polecał „na wojaż" uczniów Uniwersytetu, o ile przekonał się o ich zdolnościach.

Na Zachodzie wrzały tymczasem nowe hasła, powstawały nowe teorje społeczne i filozoficzne. Filomaci chciwie chwytali echa, płynące z zagranicy, szczególniej z Niemiec, gdzie najlepsze siły ogniskowały się w burszenszaftach i związkach tajnych.

Obawy zawleczenia do Wilna „niemieckiej zarazy" dały powód do ścisłej obserwacji prądów, nurtujących młodzież. W zleceniu sekretnem z dnia 3 (15) listopada 1821 r., danem rektorowi Malewskiemu, kurator A. ks. Czartoryski wyraża obawę przeniesienia haseł zachodnich na wszechnicę wileńską. Poleca więc ściśle dawać baczenie na młodzież, tak jednak, „aby nietrafnem okazaniem podejrzenia nie dać początku i ciała myślom, które może bez tego byłyby się nie skleiły, a małym, nic nieznaczącym, odosobnionym i przypadkowym uczynkom przez niełagodne, głośne, lub raptowne skarcenie nie nadać wzrostu i wagi".

Dzięki takiemu stanowisku władz, usiłowania wyjazdu, czynione przez Mickiewicza, Jeżowskiego i innych, spełzły na niczem. Udzielono jedynie pozwolenia na podróż synowi rektora, Franciszkowi Malewskiemu, oraz Marjanowi Piaseckiemu i Michałowi Fryczyńskiemu, pierwszym dwum na studja prawne, ostatniemu na agronomiczne. Wszyscy trzej udali się do Niemiec. Malewski został wysłany na koszt Uniwersytetu, Piasecki i Fryczyński na koszt Liceum krzemienieckiego, którego byli wychowańcami.

Wyjazd Malewskiego pozbawił filomatów jednego z najruchliwszych członków; ciągłe narzekania na brak „Jarosza",



z którym „i rozum z Wilna do Berlina na wojaż pojechał" — spotykamy w listach, do niego przez przyjaciół pisanych. Donoszono Franciszkowi o najdrobniejszych szczegółach z życia wileńskiego, nie zawsze atoli z zachowaniem należytej ostrożności, gdyż Mickiewicz w listopadzie 1822 r. tak do niego pisze: „List jeden od Józefa (Jeżowskiego) do ciebie podarłem, bo bardzo długi i pisany jak gdyby z Wilna do Europy, a mógłby bardzo drogo nas kosztować. Dlatego i list Tomasza (Zana) przeczytałem".

Dopiero pod wrażeniem aresztowania syna pastora ewangielickiego w Wilnie, b. studenta wileńskiego, Reczyńskiego, który był czas jakiś na uniwersytecie w Marburgu i tam należał do związków studenckich, — większą zachowywano ostrożność w działaniach i listach, które jedynie przy wyjątkowo „zręcznej okazji" przesyłano.

W tego rodzaju „okazjonalnych", a szczęśliwie zachowanych listach znajdujemy niejedną cenną wskazówkę, rzucającą światło na wewnętrzne pożycie ruchliwego światka filomackiego.

Sporo takich szczegółów zawierają między innemi listy, pisane z Wilna do Franciszka Malewskiego przez Kazimierza Piaseckiego, Jana Czeczota i Teodora Łozińskiego.

Praca naukowa stanowiła główne zadanie młodzieży. W tym więc celu wyznaczyli filomaci specjalny komitet naukowy, który miał urządzać kursy przygotowawcze i pomocnicze do studjów uniwersyteckich dla filaretów. Z rękopiśmiennego zeznania Kazimierza Piaseckiego, złożonego przed komisją śledczą dnia 5 (17) listopada 1823 r., dowiadujemy się bliższych szczegółów o tym komitecie. Składał się on zarówno z filomatów, jak i filaretów. Reprezentant komitetu zasiadał w Izbie dozorczej, wydawane stamtąd polecenia składał w komitecie jako wniosek, który wtajemniczeni, czyli filomaci, mieli poprzeć i przeprowadzić. W czerwcu 1821 r. komitet składali: Franciszek Malewski, (po jego wyjeździe obrano Czeczota), Kozakiewicz Stanisław, Piasecki Kazimierz, Kowalewski Józef i Morawski Stanisław.

Miano brać płatnych „metrów" do poszczególnych przedmiotów, którzy jednak nie mieli wiedzieć o stowarzyszeniu; był również projekt założenia czytelni naukowej i bibljoteki.

W liście K. Piaseckiego do Fr. Malewskiego z 19 (31) grud-

nia 1821 r. znajdujemy interesującą wzmiankę o instrukcji dla komitetu naukowego, jaką dał Teodorowi Łozińskiemu „Garbuś". Tym bowiem „Garbusiem" najprawdopodobniej był Gotfryd Ernest Groddeck, znakomity profesor filologji klasycznej na Uniwersytecie Wileńskim. Karol Kaczkowski we Wspomnieniach swych twierdzi, że całą duszą pokochał Groddeck młodzież i że, wiedząc o istnieniu Promienistych (późniejszych Filaretów), łączność młodzieży w pracy jako nowe zjawisko w Uniwersytecie i źródło, skąd początek wzięła, bardzo pochwalał i do wytrwałości zachęcał. O pracach naukowych młodzieży wiedział dobrze, kierował niemi zarówno z katedry, jak i w stosunkach prywatnych ze swymi uczniami. Najwybitniejsi filomaci: Mickiewicz, Jeżowski, Kowalewski. Wiernikowski i inni, należeli do najzdolniejszych i najulubieńszych jego uczniów. Skład filomackiego komitetu niewątpliwie był mu znany; instrukcja, dana Łozińskiemu, zawierała zapewne wskazówki, w jaki sposób komitet ten miał działać.

Najsamprzód zorganizowano wykłady hodegetyki, czyli nauki o sposobach metodycznego odbywania studjów naukowych. Wykładał ją w r. 1821—1822 Józef Jeżowski, wówczas już kandydat filozofji. „Rektor pozwolił sali na prośbę Żegoty (Ign. Domeyki) i Nowickiego — pisze Kazimierz Piasecki do F. Malewskiego 7 (19) grudnia. — Z ośmdziesiąt osób napełniały salę przez dwie lekcje w najlepszym porządku". Wykłady cieszyły się nadspodziewanem powodzeniem, aż zwróciło to uwagę profesorów. Groddeck odezwał się raz do Kontryma: „Hodegetyka to bardzo sucha nauka; co to jest, że na nią ma 50 słuchaczy pan Jeżowski".

Na jednym wykładzie był nawet rektor Uniwersytetu, Szymon Malewski: „Wszedł na to, — pisze K. Piasecki — kiedy Jeżowski wykładał zamiar uczenia się w najkorzystniejszy sposób; mówił o tem baczeniu na kraj, jakie każdy obywatel mieć powinien. Zaledwo perjod ukończył, aż zdziwiony starzec zaczął przepatrywać uczniów, zrobił uwagę, że najpilniejsi uczniowie są słuchaczami Jeżowskiego i że taka jest ich liczba. W rzeczy samej był zdziwiony, bo wśród największej cichości zastał wszystkich; gdy się spodziewał znaleźć sześciu, zastał dziewięć-

dziesiąt osób, najpilniej słuchających... Wielkich spodziewamy się pożytków z hodegetyki".

Mickiewicz pisał do Franciszka Malewskiego: „Słyszałeś zapewne o hodegetyce i historji. Nasz mrukawy (Jeżowski) przeszedł moje, jakkolwiek dobre, o nim nadzieje, rozprawia płynnie i wybornie, wzorowo. Lekcja ta byłaby jeszcze pożyteczniejszą, gdyby cokolwiek bardziej była popularną".

Prócz wykładów hodegetyki i historji, oraz posiedzeń filareckich, na których omawiano kwestje naukowe i literackie, postanowili filomaci opracować zbiorowo statystykę kraju, gdyż bez niej „nauki administracyjne, w kraju naszym wykładane, będą nie dla nas, lecz dla Anglików, Holendrów, Francuzów; urzędnik będzie chwiał się w swoich czynnościach, a dobrze myślący, gorliwy obywatel, nieświadomy stanu swojego kraju, chęciom swoim pożytecznego nie nada kierunku".

W tym celu Tomasz Zan ułożył instrukcję do opisów statystycznych p. t.: Opis jeograficzny, wzorowany na Instrukcjach do układania po Gimnazjach i Szkołach powiatowych zapisów w przedmiotach różnych nauk, wydanych od Rządu Głównego Szkół i ogłoszonych drukiem roku 1812. (W Wilnie, drukiem Józefa Zawadzkiego, 1817).

W myśl instrukcji Zana, każdy filareta, wyjechawszy na wakacje, obowiązany był wypracować dokładny opis swej okolicy, a nawet powiatu, lub gubernji.

Opis jeograficzny, tajnie wydrukowany w drukarni bazyljańskiej w Wilnie w dwustu egzemplarzach, zawierał najszczegółowsze wskazówki, dotyczące statystyki, stanu ekonomicznego i moralnego ludności w dawnej okolicy. Niektóre ustępy Opisu, wymownie świadczące o tendencjach obywatelskich filomatów, zostały należycie zużytkowane podczas wielkiego procesu w latach 1823—1824. Niektórzy filareci przygotowali takie opisy swych stron rodzinnych i odczytywali je na posiedzeniach. Np. Józef Kraskowski przygotował opis obwodu białostockiego, Teodor Łoziński opis Wołynia i t. d.

Działalność filomatów nie ograniczała się jedynie do Wilna. Mamy pewne dowody, że sięgała znacznie dalej.

W zeznaniu Jana Jankowskiego przed Komisją Śledczą

z dnia 22 października (3 listopada 1823 r.), znajdujemy wiadomość o zawiązaniu przez Zana towarzystwa, na wzór wileńskiego, w Liceum krzemienieckiem. Opiekować się niem miał Karol Jentz, profesor w Krzemieńcu.

Aczkolwiek Jankowski odwołał później tę rewelację i Jentz został z braku dowodów uwolniony od odpowiedzialności, jednakże wiadomość ta wydaje się wielce prawdopodobną. Wzmianka w liście Kazimierza Piaseckiego do Franciszka Malewskiego z dnia 19 (31) grudnia 1821 r. o korespondencji Teodora Łozińskiego z Rafałówką w sprawach organizacyjnych zdaje się domysł ten potwierdzać. W Rafałówce bowiem mieszkał podówczas Narcyz Olizar, który w r. 1819 był w Uniwersytecie Wileńskim i czynny brał udział w ówczesnym ruchu literackim wśród młodzieży, pisywał sporo w Tygodniku Wileńskim, z nim przeto zapewne korespondował Łoziński.

Wiemy również skądinąd o podobnej akcji filomaty Michała Rukiewicza i o utworzeniu przez niego organizacji, zbliżonej do filareckiej („Zorzanie") w Białymstoku.

Tymczasem filomaci się rozpraszali. Mickiewicz był w Kownie, Franciszek Malewski i Marjan Piasecki zagranicą, prezes, Józef Jeżowski, otrzymał posadę nauczyciela filozofji u benedyktynów trockich. Kierownictwo w stowarzyszeniu spadło na barki Zana, Czeczota i Łozińskiego.

Franciszek Malewski nieustannie wstawiał się za przyjaciołmi przed ojcem. Szymon Malewski utrudniał korespondencję syna i miał mu za złe zajmowanie się sprawami kolegów. Na list z dnia 6 stycznia 1822 r., w którym Franciszek wstawia się za Jeżowskim i Mickiewiczem, prosząc o protekcję do kuratora, rektor odpowiedział ostro synowi: „Źle jest, — pisze — że zajmujesz się protekcją dla swojego Mickiewicza, Zana, Jeżowskiego etc., gdy sam jeszcze protekcji potrzebujesz; nic nie mam przeciwko tym osobom, ale, wyjąwszy Zana, Mickiewicz i Jeżowski źle sobie radzą i pretensje ich są bez sensu. Lepiejbyś zrobił, abyś o sobie najprzód pomyślał. Prosisz, aby ci pisali, co się na nic nie zda, tylko dla powiększenia expensy. Ja powtarzam, że rektorstwo składam, a zatem i ubieganie się o moją protekcję ustanie, tak rzeczy idą na świecie. Ja jestem twoim ojcem, życzę ci najlepiej, ale ostrzegam, że trzeba być ostrożnym

z oświadczeniem protekcji, bo to jest rzeczą delikatną, a często niewczesną i zawodzącą".

Filomaci usiłowali zawładnąć wybitniejszemi stanowiskami w szkołach i gimnazjach, aby w ten sposób oddziaływać na młode pokolenie. Fr. Malewski w listach do ojca popierał kandydaturę Mickiewicza na profesora literatury w Krzemieńcu; stanowisko to uważano za jedno z najważniejszych. Z tychże zapewne powodów ułatwiono wyjazd filarecie Karolowi Kaczkowskiemu na posadę lekarza do Krzemieńca.

W trakcie tych starań i zabiegów, w kwietniu i maju 1822 r., wszczęto z rozporządzenia A. ks. Czartoryskiego śledztwo w sprawie *Towarzystwa Przyjaciół pożytecznej zabawy*, znanych też pod nazwą *Promienistych*. Towarzystwo rozwiązano, a Zana, Mickiewicza i Łozińskiego oddano pod szczególny dozór władz uniwersyteckich.

Stosunki w Uniwersytecie zmieniły się na niekorzyść filomatów i stawiały ich w niezmiernie trudnem położeniu.

„Jestem między młotem i kowadłem — pisze T. Łoziński do Fr. Malewskiego dnia 14 (26) grudnia 1822 r. — młot chce, żebym jemu mówił wszystko, co wiem o kowadle, a ja wiem, że dla kowadła źle być może, więc nie chcę... Stoję nad przepaścią, widzę, i już znacznie w nią pochylony".

W listach przyjaciół znajdujemy interesujące szczegóły z życia młodzieży ówczesnej, o obchodach imienin Zana, o zabawach wileńskich w t. zw. „Kasynie" i t. p.

Wzmianki o Lubeckim, do którego uciekano się protekcji, łącznie z ciekawym ustępem w podanem powyżej zeznaniu Jeżowskiego o potrzebie podniesienia przemysłu, muszą zwrócić na siebie uwagę, okazują mianowicie, że młodzież wileńska musiała dość żywo reagować na ten urok żywej i owocnej energji, jaki wychodził z działań ks. Lubeckiego, tego bądź co bądź bliższego współrodaka-Litwina, w pierwszej chwili objęcia przez niego Ministerjum Skarbu w Królestwie Polskiem.

W życiu młodzieży pierwszorzędny brał udział Adam Mickiewicz. Kochany i wielbiony przez współkolegów, był on uosobieniem wszystkich cnót i szczytnych haseł młodzi wileńskiej. „Wielka jama, gdy niema Adama", powtarzał Zan, i w rze-

czy samej brak Mickiewicza dotkliwie dawał się odczuwać filomatom.

Gdy spotkał go zawód bolesny, w sercach przyjaciół serdeczne znalazł poeta współczucie. Zaopiekowano się nim, roztoczono czułą opiekę nad umiłowanym twórcą Ody do młodości. Zajęto się wydaniem pierwszego tomu poezyj, rozprzedażą, podjęto wreszcie starania o umożliwienie mu wyjazdu zagranicę. W listach komunikowano Franciszkowi Malewskiemu nowe utwory Adama.

Kazimierz Piasecki pisze dnia 19 (31) grudnia 1821 r.: „Adam się polepsza, jakoż wydaje, wkrótce będzie się drukowało dziełko jego, wiele przydał wierszy, a szczególniej posyłam ci następne". Tu następuje wiersz, zatytułowany Cztery toasty chemika. Po raz pierwszy spotykamy go w druku w 1828 r. w piśmie warszawskiem Motyl p. t. Cztery toasty Franklina; w wydaniu poznańskiem Poezji A. Ma. z r. 1828—32 nosi tytuł Cztery wiwaty, w wydaniu paryskiem z r. 1828 Toasty, który to tytuł utrzymał się w późniejszych wydaniach. W wydaniu paryskiem z 1844 r., przejrzanem przez autora, nosi datę „Kowno 1822", z listu Piaseckiego widzimy, iż napisany został wcześniej. Tekst, przesłany Fr. Malewskiemu, zawiera kilkanaście drobnych odmian znanego.

Najczynniej zaopiekował się Mickiewiczem szkolny jego kolega Jan Czeczot. W listach do Fr. Malewskiego ciągle zajęty jest myślą o jego poezjach, zdrowiu, wyjeździe etc.

W liście z dnia 23 stycznia (4 lutego) 1822 r., zapytuje Malewskiego, który się był zatrzymał w Warszawie, jadąc do Berlina: „Co sprzedaliście Adamowych biletów, i przez Guta dowiedzcie się, ile sprzedali Bansemer i Brzozowski, którym po sześć biletów zostawiłem".

Chcemy tu nawiasowo zwrócić uwagę na pewien interesujący szczegół. Z powyższych słów Czeczota widzimy, że on, a więc i filomaci, mieli stosunek z Bansemerem, duszą związków młodzieży uniwersyteckiej w Warszawie, za pośrednictwem Gutta. Nie wiemy, o którym Gucie wspomina Czeczot. Było ich bowiem dwóch. Jeden, Ferdynand, niewątpliwie należący do filaretów (w r. 1823 ukończył Uniwersytet ze stopniem doktora medycyny), i stałe z nimi utrzymujący stosunki; drugi, Edward, student,

może brat poprzedniego, był przez władze podejrzewany o udział w pracach stowarzyszonych.

Dwudziestoletni Jan Marcin Bansemer odznaczał się wybitnemi zdolnościami i gorącem sercem. Po r. 1831 był czynnym pomocnikiem w przedsięwzięciach Klaudji Potockiej. Fakt stosunku z nim wybitniejszych przedstawicieli młodzieży wileńskiej jest nader interesujący i rzuca pewne światło na charakter stowarzyszeń wileńskich.

W dalszym ciągu Czeczot zapytuje Malewskiego: „Ile więc się zebrało pieniędzy, abym mógł wiedzieć, ile dodać i odesłać potrzeba będzie? Krasiński ile oddał za książeczkę? Uczyńcie rachunek ścisły swoich skarbów. Istotnie, nie wiemy, co począć z Adamem i z drukowaniem jego poezyj. Zasadziliśmy go tu, jak w detencję, za jego kowieńskie skargi i psotki. Mało czynny, mało też ma przyjemności życia. Sam nie w dostatkach, patrzy i cierpi niedostatki innych. Ani wygód, ani zabaw, ani zatrudniań. I to i owo boli, zęby wyrywa, a i to bieda. Dobrzeby to było wyprawić go choć na kilka miesięcy na przejażdżkę. Możeby się tak rychło, jak wy, nie znudził, możeby mu to pomogło do zdrowia? Poezyj wreszcie jego tu wydrukować nie można będzie, jest ksiądz w „Dziadach", są „W imię Ojca, Syna, Ducha", „Zdrowaś Marja" etc., których, tu djabli wiedzą, i pobożni i fanatycy nasucho nie przepuszczą. Wreszcie koszt niemały, prenumeratę (!) publicznie ogłaszać nie podobna (i nie do rzeczy, i tyleby tu znalazło się uszczypliwych szyderstw").

„Trzebaby tedy i z tego względu zaprobować, czy nie kupiłby za część egzemplarzy i gotowych pieniędzy Gligzberg. Wartoby więc wyprawić do Warszawy Adama, do końca wakacyj przynajmniej, jeśli nadalej nie można, niechby przynajmniej odwiedził z wami Berlin. Ale tu sęk, pieniędzy nigdzie a nigdzie niema. Ani z prenumeraty, ani z pożyczki nic prawie zebrać nie przyjdzie. Będziemy wszakże próbować, a nuż się uda? Donieście więc i o czasie wyjazdu, i o tem, ile na wasze finanse spuszczać się można. Wreszcie z doświadczenia obliczcie koszta życia i wskażcie, z jaką kwotą wyprawować Adama? A z tem nie marudźcie. Trzeba także dowiedzieć się (najlepiej przez jakąś akredytowaną osobę) u Gligzberga, czy on manuskrypta kupuje i jak płaci? Co u niego arkusz druku na papierze, jak

Trembecki, kosztuje. I o tem oznajmić. Wiersze tam bardzo lubią, może też i popłatne. Co Brodziński wziął na swoje? Obaczym, jak się ten handel powiedzie. Czekamy rychłej odpowiedzi".

W drugim liście z dnia 14 (26) lutego 1823 r. posyła Czeczot wiersz swój o Zofji Chrzanowskiej, oraz Upiora mickiewiczowskiego, jeszcze naówczas nieogłoszonego drukiem.

„Siedzę w stancji — pisze Czeczot — Onufr (Pietraszkiewicz) przyszedł i kazał dać do przepisania dla ciebie Adamowego „Upiora", który będzie niejako służył za objaśnienie i przemowę do IV-ej części „Dziadów", i mój śpiewek, napisany dla Zosi".

Zosią tą była młodsza córka rektora Malewskiego. „Liczyła się ona — mówi Otton Ślizień w swych pamiętnikach — do królowych młodego, romantycznego społeczeństwa. Była celem niejednych platonicznych i nieplatonicznych wzdychań. Między innymi zajmował się nią czule Aleksander Chodźko i wielbiciel wszystkich panienek, Jan Czeczot". Znał ją również bardzo dobrze Mickiewicz, i Zosia z Dziadów, według twierdzenia prof. Tretiaka, to panna Zofja Malewska.

„Ponieważ w stancji siedzę, — ciągnie dalej Czeczot — sam się podjąłem przepisania i z kilka słów piszę do Ciebie. „Dziady", ci podobno znajome, jeszcze się urodziły za twojej bytności; a choćby ci nie były znajome, nie można ci ich przesłać, jakkolwiek ściśle pisanych, bo długie; nie można też „Grażyny", bo także długa. Po niedzieli zacznie się drukować, jak tylko wyjdzie z druku, natychmiast ci przeszlę. Jeśli już wówczas wyruszysz do Gietyngi, a Moryc tam nie ma swoich relacyj, to odeszle do Berlina, a stamtąd proś, aby twój Buchhandler odesłał do Gietyngi".

Dalej przytacza Czeczot wiersz Mickiewicza p. t. Upiór, który tu składa się z dwudziestu pięciu czterowierszowych zwrotek, we wszystkich zaś wydaniach poezyj Adama z dwudziestu czterech zwrotek. Wiersz ten w odpisie Czeczota, prócz kilku drobnych odmian znanego tekstu, zawiera następujące nowe zwrotki:

Po czterowierszu dziesiątym czytamy u Czeczota:

Lecz do zbawienia ten środek jedyny,
Taka zrządzeniem najwyższym pokuta,
Za twoją czułość i za moje winy
W opoce przeznaczeń kuta.

Następnie kładzie Czeczot zwrotkę XI-tą i t. d. („Żebym cię znalazł, muszę..." i t. d.), jak w wydaniu z r. 1823 i inn. Wreszcie, zamiast dwóch ostatnich zwrotek, XXIII i XXIV, znanych w druku, Czeczot kładzie następujące (XXIV i XXV):

Może ktoś także cierpliwy do końca
Zechce podziemnej przysłuchać się mowie,
I wzrok młodzieńczy, przywykły do słońca,
Na trupiej zatrzymać głowie.
I patrząc zważy, co mu w młode lata
Wyroczne pismo katechizmu rzekło,
Że ten nie grzeszy, kto używa świata,
Pomniąc na śmierć, sąd i piekło.

Dalej przytacza Czeczot wiersz swój o oblężeniu Trembowli i Zofji Chrzanowskiej, poprzedzony rymowaną dedykacją Zosi Malewskiej.

„Notabene — dodaje później — napisałem jeszcze śpiewki o Mniszchównie, o Radziwiłłównie, o Jabłonowskiej, o Jadwidze, o Małgorzacie Żębocińskiej, może nawet trochę od tego lepsze, tylko ten z primogenitury ma swoją prerogatywę. Chcę wszystkie sławne Polki z niepamięci wydobyć, a potem przejść do litewskich bohaterów".

Wiersz o Zofji Chrzanowskiej odznacza się nader pospolitą myślą i nieudolnem rymowaniem.

Tymczasem sprawa wyjazdu Mickiewicza w ciągłem była zawieszeniu, zdrowie jego stale się pogarszało, budząc nieustanne obawy w kolegach. Złożono wprawdzie kilkaset rubli w celu wysłania poety zagranicę, mianowicie Adam ks. Czartoryski, jak się zdaje, złożył bezimiennie 300 rb., Michał Fryczyński, „wielki przyjaciel Adama", jak nazywa go Malewski, ofiarował 200 rb., ze sprzedaży poezyj spodziewano się osiągnąć około 300 rb., ale wszystkie te zasoby wydawały się niedostatecznemi. O trudnościach w otrzymaniu dla Mickiewicza paszportu w następujący sposób opowiada Czeczot w zeznaniu swem, złożonem

dnia 17 (29) stycznia 1824 r. przed Komisją Śledczą: „Adam od marca o paszport się starał, lecz gdy z przyczyny formalności w uzyskaniu uwolnienia zachodzących, gdy od prefekta do dyrektora, od dyrektora do Uniwersytetu, od rektora do rządu, czy też rady Uniwersytetu, a stąd do kuratora pisma przechodzą i po uwolnieniu dopiero rekwizycja o paszport, a to wszystko nie rychło się dzieje — odwlekało się jego zyskanie, a odmieniony porządek zyskiwania paszportów, który utrudzać się nieco zdaje ich pozyskanie; były powody do wniosku, iż go dostać jest rzeczą przytrudną i wątpliwą, to jest niezupełnie pewną. Do wzięcia mnie do więzienia wiem, że nie otrzymał. Zdrowie jego zbyt pogorszone, a życie w mieście niedogodne dla słabego zdrowia i kosztowne przy szczupłym sposobie do utrzymania się, skłoniło mię, — pisze dalej Czeczot — że proponowałem mu przemieszkanie czasu jakiego na wsi u pana Michała Rukiewicza, a troskliwy o zdrowie przyjaciela, prosząc dla niego o pobyt, wyraziłem nadzieję moją, iż nie dozna u niego nieprzyjemności, abym ją mógł dla niego zapewnić". Powyższe słowa były odpowiedzią na zapytanie Komisji Śledczej, zadane z powodu listu, znalezionego przy rewizji u Michała Rukiewicza.

W liście tym pisał Czeczot co następuje:

„*1823. 7-bra 13. Wilno.*

Panie Michale! Adam, uwolniony od obowiązków dla słabości zdrowia, ciężko podupadły na zdrowiu i teraz nawet chory, już od marca czeka tentowanego paszportu i podług wszelkiego podobieństwa, jeśliby nawet (co także bardzo wątpliwe) otrzymał paszport, tę zimę przebyć w kraju musi. Zbyt niegododne i kosztowne, a niewiele przyjemności dla niego obiecujące, byłoby mieszkanie ciągłe w mieście, proponowałem tedy jemu, ażeby, pomieszkawszy tu czas niejaki, do ciebie na jakiś czas pojechał. Przykro mu zapewne wycierać choć przyjacielskie kąty, i propozycja ta, lubo dla niego niebardzo smaczna, jednak podług najlepszej rachuby musi zostać dobrą; a bez żadnych komplementów, przyjaciel u przyjaciela może znaleźć przytułek i przykrości nie czynić ani sobie, ani jemu. Spodziewam się nawet, że, mając tam familję i znajomych,

potrafisz dla niego zrobić wiele przyjemności, które życie jego, tak stargane, a tak dla nas drogie i miłe, pokrzepić zdołają. Przyjdzie może kiedyś pora, że ci to odwdzięczyć potrafim i przyjemnościami jakiemi nagrodzić. Donieś więc, jak ta ci propozycja spodoba się. Wszak dla siebie jeść gotujesz i stancją palisz, nie więcej przeto zachodu mieć będziesz z przyjacielem. Na list mój, który niedawno pocztą do ciebie pisałem, czekam odpowiedzi i odesłanie pieniędzy. Bądź zdrów.

Jan.

List ten posyłam przez pocztyljona, więc donieś, czy doszedł. Czekam jak najprędszej odpowiedzi. *De rebus publicis*, musicie słyszeć, co się tu dzieje, pisać nie chcę. Jenerał-Gubernator, kurator, X-żę wielkorządca Poznański, wszystko to jedzie, mając się widzieć z Monarchą".

Odpowiedzi Czeczot już nie otrzymał. Rozpoczął się proces filaretów.

T E O D O R   K R A S I Ń S K I

DZIENNIK UCZNIA UNIWERSYTETU WILEŃSKIEGO (1816—1818)

Autor niniejszego „Dziennika", Teodor hr. Krasiński (z linji ukraińskiej), urodził się w Bohusławiu w 1798 r. z ojca Kajetana Franciszka Salezego, marszałka szlachty pow. czehryńskiego, i matki Tekli z Pawulskich. Po chlubnem ukończeniu w 1816 r. sześcioklasowej szkoły bazyljańskiej w Humaniu przybył jesienią tegoż roku do Wilna i zapisał się na wykłady fizyczno-matematyczne oraz prawne Uniwersytetu. Z surowej szkoły humańskiej, kierowanej przez ks. Gracjana Mikulińskiego i ks. Leontego Skibowskiego, wyniósł zamiłowanie do systematyczności i porządku, co jest widoczne z jego codziennych, niezmiernie drobiazgowych zapisków w „Dzienniku". Na wykłady Krasiński uczęszczał pilnie, wolne chwile poświęcając muzyce, teatrowi, którego wielkim był miłośnikiem, wreszcie kolegom, z których najwięcej cenił i lubił Józefa Jeżowskiego, przewodniczącego Towarzystwa Filomatów, a starszego od siebie o sześć lat kolegę ze szkół humańskich. Do związków młodzieży uniwersyteckiej Krasiński jednak nie wszedł, zapewne ze względu na wiek zbyt młody i może niedostateczne wyrobienie życiowe. Zamożny, nie potrzebował liczyć się z groszem, jak inni, żył wygodnie, ubierał się starannie, mógł uczęszczać na zabawy i przedstawienia teatralne, pieniędzy wszakże nie trwonił, trzymając się zdaleka od hulaszczej grupy „paniczyków", dość licznej wówczas na Uniwersytecie Wileńskim. Ściślejszą natomiast zawarł znajomość z Ignacym Emanuelem Lachnickim, redaktorem i wydawcą P a m i ę t n i k a M a g n e t y c z n e g o, oraz z Kazimierzem Kontrymem, który zachęcił młodego Krasińskiego do pomieszczenia w D z i e n n i k u W i l e ń s k i m przekładu „Pochwały życia wiejskiego" Wirgiljusza (D z i e n n i k W i l e ń s k i z 1817 r. t. I, 23).

W czerwcu 1818 r. Krasiński opuścił Wilno; na początku roku 1819-go przyjeżdża do Warszawy, gdzie słucha wykładów

uniwersyteckich Bandtkego, Urmowskiego, Bentkowskiego, Szaniawskiego, Osińskiego i innych. Nieznane są powody wyjazdu autora „Dziennika" z Wilna; być może, iż Krasińskiego, podobnie jak jego młodszych kolegów z Humania, Bohdana Zaleskiego i Seweryna Goszczyńskiego, pociągało bujniejsze życie polityczne i towarzyskie w stołecznej Warszawie; niektóre uwagi w „Dzienniku" zdają się potwierdzać przypuszczenie niniejsze.

W roku 1823-im urzędował młody Krasiński w jakiejś „Komisji" w Kijowie; z tego czasu zachowały się również luźne jego notatki o tamtejszem życiu towarzyskiem, w którem brał czynny udział.

Teodor Krasiński zmarł w 1870 r. Żonaty był z Konstancją Kotiużyńską, podkomorzanką czehryńską. Syn Teodora, Hubert Krasiński, był cenionym lekarzem i autorem wielu prac medycznych.

W pomieszczonych niżej notatkach Teodora Krasińskiego z czasów pobytu jego w Uniwersytecie Wileńskim uwzględniono wyłącznie zawierające ciekawsze szczegóły z życia publicznego, pominięto natomiast liczne zapiski o charakterze ściśle prywatnym.



Jędrzej Śniadecki.

ROK 1816.

d. 16. 8-bris. ...Po skończonej lekcji fizyki poszliśmy wszyscy na chemję do oddzielnego opodal zabudowania, gdzie był profesorem ów sławny tylu przedziwnemi pismami swemi znakomity chemik, Jędrzej Śniadecki. Miłą jest rzeczą czytać dzieła jego, cóż dopiero słyszeć go osobiście tłumaczącego się z cudowną płynnością i łatwością tak dalece, iż wdziękiem mowy swojej zachwyca, iż tak powiem, słuchaczów przytomnych, — widzieć go, robiącego z niepojętą zręcznością najtrudniejsze doświadczenia chemiczne. Sala, przeznaczona na lekcję chemji, jest bardzo wielka, okrągła, ławki dla słuchaczów po kondygnacjach do znacznej wysokości. Na końcu sali są narzędzia chemiczne, piecyki, kuźnie, miechy, kowadła, na stołach mnóstwo nieprzeliczone butlów (!), flasz, bań, retort, rurek szklanych, nadewszystko zaś w wanience marmurowej merkurjuszu, czyli żywego srebra, 200 przeszło funtów, — stawi oczom widok interesujący, ciekawy i niezwyczajny. Jest to lekcja najważniejsza w oddziale fizycznym, dlatego też ławki, będące w sali, nie mieszczą słuchaczów akademickich, tudzież ciekawością sprowadzonych, wielu musi stać po różnych miejscach sali i, kto pierwej przyjdzie, ten podług upodobania miejsce sobie obiera...

d. 1. 9-bris. ...Wieczorem poszedłem na teatr. Grana dziś była po raz pierwszy nowa opera w 3 aktach, oryginalna Niemcewicza, pod tytułem: J a d w i g a, k r ó l o w a p o l s k a, c z y l i p o ł ą c z e n i e K o r o n y z L i t w ą. Sztuka ta reprezentowana była najpyszniej, jak nigdy nie widziałem. Rzecz narodowa, obyczaje i zwyczaje dawnych Polaków wydane są w największej okazałości. Kosztowne ubiory aktorów i dekoracje, umyślnie przygotowane, czyniły tym świetniejszą repre-

zentację. Mówiono mi, iż ubiory same aktorów kosztowały 200 dukatów. Jakoż nic nie było wspanialszego, jak widzieć Władysława Jagiełłę i Jadwigę w błyszczącym od złota i klejnotów ubiorze; przytem tron królowej, jej ministrowie, fraucymer, wojsko dawne polskie i rycerze w pancerzach, tudzież mnóstwo narodu, wyobrażającego dawnych Polaków; wszystko to stawiało oczom widok świetny i rozrzewniający. Liczba wszystkich aktorów przeszło 50 wynosiła. P. Skibińska, grająca rolę Jadwigi, śpiewała przedziwnie, — przyznam się, że ze wszystkich spektaklów wolę najlepiej operę. Muzyka doskonała dodawała więcej przedmiotów do zachwycenia słuchaczów. Wszyscy aktorowie znakomici dziś się popisywali. Szczególniej rola p. Skibińskiej, tak trudna do wykonania, ściągnęła nader głośne oklaski. Mianowicie wtedy, kiedy Królowa walczy między miłością, powziętą ku Wilhelmowi, książęciu rakuskiemu, a powinnością zadosyćuczynienia żądaniom narodu, dla dobra poddanych, rozrzewniła do łez słuchaczów, — miejsce zaś to, gdzie ci czuli kochankowie czynią sobie ostatnie pożegnanie, na nieustanne wołanie spektatorów: fora, powtórzonem było. W akcie trzecim Jagiełło walczy z Konradem, wielkim mistrzem krzyżaków, (który, przeciwny połączeniu się dwóch narodów, dla zniechęcenia Władysława oczernił honor Jadwigi) i w szrankach, na tę walkę przeznaczonych, otoczony wojskiem obu narodów, pospólstwem, rycerzów orszakiem, w przytomności Królowej, siedzącej na wspaniałym tronie w asystencji całego dworu, zwycięża i zabija przeciwnika. Naówczas Jadwiga podaje mu berło i koronę, umieszcza obok siebie na tronie i okrzykami zgromadzonego ludu: „Niech żyje Władysław i Jadwiga!" sztuka się zakończa.

d. 8. 9-bris.... Dowiedziałem się, iż potrzeba iść do dziekana, który powinien potwierdzić świadectwo na początku każdego miesiąca. Ale ponieważ jest to dziwak stary i fanatyk, wymaga koniecznie, aby co miesiąc każdy student spowiadał się i karteczkę od spowiednika przynosił. Inni dziekani tego tak ściśle nie obserwują. Ten zaś inaczej nie chce podpisywać świadectwa, które bez tego podpisania każdomiesięcznego nieważnem się stanie. Postanowiłem przeto dnia jutrzejszego wyspowiadać się.

d. 9 9-bris. Rano wstawszy, poszedłem naprzód do dominikanów, ale, że żadnego spowiednika jeszcze w kościele nie było,

udałem się do franciszkanów. Prosiłem księdza, aby mnie zaraz wyspowiadał. Był tak grzeczny, iż nie odmówił i lubo mszy nie było, odbyłem prędko spowiedź. Dał mi potem karteczkę, którą miałem okazać dziekanowi.... Po lekcji zoologji poszedłem do dziekana. Okazałem mu świadectwo i kartkę od spowiednika. Podpisał się na świadectwie i zanotował, iż żadnej nie opuściłem lekcji....

d. 12. 9-bris. Z rana byłem na nabożeństwie u bernardynów, w kościele katedralnych i u dominikanów. Wszędzie były kazania, lecz muszę uczynić wzmiankę o dominikańskim kaznodziei ks. Korzeniowskim. Jest on tu słynącym ze swego sposobu mówienia, wlazłszy bowiem na ambonę, wrzeszczy i plecie, co mu na myśl przypadnie; częstokroć łaje; dziwne gesta wyrabia tak dalece, że zamiast uwagi śmiech tylko w słuchaczach wzbudza. Wyjąwszy ks. Nosewicza, katedralnego kaznodziei, który sprawiedliwie jest sławnym z wymowy swojej, wszyscy inni są ladajacy...

d. 15. 9-bris. ...Było dziś ogłoszenie z Uniwersytetu, iż jutrzejszy dzień będzie wolnym od lekcyj, a to z powodu obierania rektora. Na ten koniec mają się znajdować wszyscy studenci na solennem nabożeństwie w akademickim kościele...

d. 16. 9-bris. ...O g. 10 poszedłem do kościoła akademickiego. Zgromadzeni byli wszyscy profesorowie, dziekani i emeryci, między którymi pierwszy raz widziałem sławnego Jana Śniadeckiego. Także wszyscy studenci Uniwersytetu byli przytomnymi nabożeństwu. Po skończonej mszy św. śpiewano *Te Deum*, poczem sami emeryci, dziekani i profesorowie aktualni udali się do sali elekcyjnej. W godzinę wiadomo było, iż Malewski, dziekan oddziału moralnego, otrzymanemi 13 kreskami, został rektorem Uniwersytetu. Jest to człowiek uczony, rozsądny i który potrafi godnie piastować swój urząd, tę tylko ma wadę, iż jest (jak to jednogłośnie twierdzą) bardzo skąpym...

d. 30. 9-bris. Dziś po południu nie było zwyczajnych lekcyj, a to dla imienin Jędrzeja Śniadeckiego, profesora chemji. Solenizant zaprosił wielu profesorów na obiad do siebie, a stąd lekcje popołudniu opuszczone zostały.

d. 4. X-bris. ....Byłem w bibljotece, przepatrywałem ów sławny słownik Lindego, za który to autor złoty medal od roda-

ków dostał. Miałem w zamiarze prosić Kontryma, bibljotekarza i redaktora Dziennika Wileńskiego, aby mi dał co do przetłumaczenia do Dziennika... był tak łaskaw, iż mi to przyrzekł ochotnie, owszem zachęcał do tego; kazał mi dla rozmówienia się przyjść jutro o g. 10 do bibljoteki. Jest to człowiek bardzo poważany dla swej poczciwości i chęci wszystkim dobrze czynienia i, jak mi o nim Jeżowski mówił, on jest tu tylko jeden, do którego w każdym razie udawać się można, zawsze on jest dla każdego przystępnym i nigdy nikomu swej łaski i pomocy nie odmawia.

d. 5 X-bris. O godzinie naznaczonej udałem się do bibljoteki, jak mi zalecił p. Kontrym. Wypytywał mnie się naprzód, na jakie objekta uczęszczam. Dał mi potem dzieło Metamorfozy Owidjusza dla wybrania czego do przetłumaczenia na wiersz. Doniosłem mu, iż u p. Borowskiego znajduje się zbiór tłumaczeń z łacińskiego języka, przysłany z Humania, w którym kilka kawałków mojej pracy jest umieszczonych. Obiecał mi przejrzeć one i wybrać potem do przetłumaczenia z francuskiego prozą, coby można w Dzienniku umieścić. Podziękowałem mu za jego łaskę i odszedłem pełen uszanowania dla tego szanownego nauczyciela.

d. 12 X-bris. Dzień dzisiejszy, jako tabelny i uroczystością rocznicy urodzin naszego Monarchy znakomity, od wszelkich lekcyj był wolny. W wczorajszem od Uniwersytetu ogłoszeniu zaleconem było, aby akademicy o g. 10 zgromadzili się do kościoła ś. Jana. O wyznaczonym przeto czasie udałem się na publiczne nabożeństwo. Zebrani byli wszyscy profesorowie i studenci Uniwersytetu. Po skończonej mszy śpiewano *Te Deum,* ja zaś poszedłem do kościoła katedralnego, słyszałem bowiem, że tu ma być szczególniejsze nabożeństwo. Jakoż pierwszy raz znajdowałem się na podobnem. Po drodze spotykałem cechy różnych rzemiosł, na czele każdego była chorągiew, na której wyrażone były przedmioty rzemiosła. Przy odgłosie bębnów weszły chorągwie do kościoła, a z niemi mnóstwo ludu miejskiego. Zgromadzony był magistrat, księża różnych zakonów, znajdujących się w Wilnie, którzy, uszykowani porządnie, byli przytomnymi nabożeństwu. Celebrował mszę najpierwszy kanonik wileński, a po zakończonej mszy św. w czasie śpiewania *Te Deum* dały się sły-

szeć wystrzały kilkakrotne z armat. Nabożeństwo skończyło się o g. 1. — Była także i parada wojskowa na placu przed ratuszem, gdzie znajdował się gubernator i wielu znacznych wojskowych urzędników.... W wieczór miałem się czem zabawić. Skoro bowiem zmierzchło zupełnie, zaczęto iluminować miasto, szczególniej wielkie ulice. Nie wiele tu potrzeba koło tego zachodu. Każdy właściciel domu powinien dwie świece w każdym oknie postawić i już po całej iluminacji, a że kamienica każda jest o 3 lub 4 piętrach, więc tym sposobem postawione świece bardzo dobrze oświecają ulicę. Oprócz tego jednak niektóre publiczne budowle, jak ratusz, akademja i inne, bardzo rzęsistem światłem okryte były. Na ulicy zaś Wielkiej najpiękniej oświecony był dom księdza kanonika Bogusławskiego. W kilku oknach na drugiem piętrze postawione były biusta i otoczone lampami, po środku zaś znajdował się transparent z kilku wierszami; wreszcie gzemsy rzęsistem obłożone były światłem. Przypatrzywszy się tym i innych iluminacjom, poszedłem na teatr, spodziewając się reprezentacji jakiej ciekawej sztuki. Grano naprzód komedję w 1 akcie p. t. Sługa pożyczany, potem operę w 1 akcie p. t. Aleksander i Apelles. Spektakl zakończony był kantatą, stosowną do dnia tego uroczystego. Komedja wcale niezła, ale nadewszystko podobała mi się opera, która tak jest w pamięci mojej dla swej piękności wrażona, iż mogę osnowę onej bez omyłki w krótkości powtórzyć...

d. 14. X-bris. Z rana do godziny 9 wyspowiadałem się i dostałem od księdza kartkę, z którą mam pójść do dziekana. O g. 1 udałem się do niego. Co za dziwak!... potrzeba go koniecznie w rękę pocałować, chcąc mieć dobre przyjęcie. Uprzedzony o tem od mych kolegów, nie zaniedbałem tego uczynić. Bardzo mnie grzecznie przyjął, potwierdził świadectwo, a przy mem odejściu podał mi swą godną rączkę do pocałowania. Tak właśnie, jak papież.

ROK 1817.

d. 1. Januar.... Zwyczajem tu jest, czego w naszych stronach nie widziałem, posyłać znajomym swym bilety winszujące nowego roku. Przesadzają się w rysowaniu i ozdobach tych biletów. Widziałem z nich kilka u Jeżowskiego, które przysłane były prof. Żukowskiemu, u którego mieszka Jeżowski.

d. 4 Januar. W tym miesiącu trzeba znowu iść do dziekana dla potwierdzenia świadectwa, ale ja, zważywszy, iż niepodobna jest tak często się spowiadać, zrobiłem tak, jak wielu innych, to jest — napisałem kartkę z podpisem księdza, u którego dawniej się spowiadałem i z nią poszedłem do dziekana. Szczęściem on ją przyjął i nie czynił w tem żadnej trudności.

d. 5 Januar. Doniósł mi Jeżowski, iż odebrał list od ks. Hryniewieckiego, który wyraził swoje nieukontentowanie, iż z tych wierszy, które posłane były z Humania do redakcji Dziennika Wileńskiego, żaden dotąd nie był umieszczony w Dzienniku, i pytał o przyczynę. Ten rękopism, złożony z kilku tłumaczeń na wiersz z łacińskiego, między któremi i moich było cztery kawałki, po odebraniu w Wilnie oddany został profesorowi wymowy p. Borowskiemu dla korekcji. Lecz, ponieważ to wcale go nie interesowało, rękopism leżał dotąd szczęśliwie nieprzeglądany. Przed kilku dniami redaktor Dziennika p. Kontrym wziął od p. Borowskiego i oddał Jeżowskiemu, aby wybrał z nich, coby umieścić w Dzienniku można. Z tej przyczyny był dziś u mnie Jeżowski, radząc mi, abym tym czasem wygotował ze dwa wyjątki i poprawił to, co się jeszcze nie dość dokładnem będzie się zdawało. Zająłem się zatem przeglądaniem innych tłumaczeń, między innemi wyjątku z Georgików Wirgiljusza i jednej ody z Horacjusza. Od-

czytawszy je pilnie, znalazłem jeszcze kilka błędów, które poprawiwszy, oddam redaktorowi Dziennika p. Kontrymowi.

d. 15. Januar.... Jędrzej Śniadecki... Jest to mąż głębokiej nauki, szczególniejszego talentu tłumaczenia się i uczucia, wielce znakomity. Posiada on w wysokim stopniu medycynę i jest pierwszym w Wilnie i najbardziej zawołanym lekarzem. Wielką część czasu traci na odwiedzanie swych pacjentów, których ma niemało i to z najdystyngwowańszych osób w mieście. Lecz przy tem wszystkiem ma dziwny jakiś temperament. O nic nie dba, do niczego się nie wdaje, do żadnych sesyj akademickich wchodzić nie chce, w kościele rzadko bywa, zdaje się być zawsze humoru posępnego, niewiele gada, słowem, jest to prawdziwy filozof. Były, jak mówią, nieraz przykłady, iż w pewnych zgromadzeniach uniwersyteckich, gdzie obecność jego koniecznie potrzebna była, ledwie za dziesiątym posłańcem przybył, podpisał się i odszedł. Lubiony jest jednak od wszystkich i wszyscy się ubiegają o to, ażeby słowo jakie z ust jego otrzymać, co za szczęście poczytać należy.

d. 20 Januar. Dziś była raz pierwszy lekcja architektury. Podobał się wszystkim p. Podczaszyński, profesor, równie z pięknego i łatwego tłumaczenia się, jako też z wymownej odezwy, którą uczynił do słuchaczów na wstępie do katedry swojej.

d. 24. Januar. Słyszałem, iż dnia jutrzejszego w kościele katedralnym ma się odbyć żałobne nabożeństwo za duszę Wawrzeckiego, senatora i ministra sprawiedliwości w Królestwie Polskiem, który przeszłego roku zszedł z tego świata.

d. 25. Januar. Tyle mię o pompatycznym dzisiejszym pogrzebowym obchodzie uprzedzono, iż odważyłem się opuścić jedną lekcję, aby być nań przytomnym; lecz ponieważ raz pierwszy na podobnym pogrzebie znajdowałem się, przyznam się, iż mię okazałość ta z początku omamiła prawie i na pamiątkę tego zamyślam onę w krótkości przynajmniej opisać, — a naprzód przystępuję do opisania katafalku.

W środku kościoła, przy sklepieniu, przyczepiony był czarny, srebrnemi galonami i kutasami ozdobiony, pawilon, który na cztery części rozdzielony, dotykał się tyluż kolumn kościoła i osłaniał katafalk. Pod tym pawilonem wzniesione były na 20 stopniach, kirem okrytych, pysznie złotemi galonami i kutasami

ozdobione mary, na których dopiero leżała trumna; tej przód okryty srebrną blachą, mającą napis, boki antabami i frendzlami złotemi opasane były, na trumnie leżał kapelusz obywatelski, szpada i krucyfiks, nad nią zaś unosił się wysoko polski Orzeł Biały, trzymający w szponach napis w złotych literach: *Requiescat in pace*. W głowach stały dwa posągi, wyobrażające Minerwy płaczące, na trumnie oparte. U nóg zaś, na dwóch wysokich kolumnach posągi małe genjuszów płaczących; po bokach katafalku było sześć obelisków, z których cztery miały na sobie srebrne, wielkie Orły polskie, na dwóch zaś ostatnich stały wazony, napełnione palącym się spirytusem. Ale najwięcej zastanawiał przód katafalku. Tu bowiem znajdował się wielki portret senatora Wawrzeckiego, otoczony chorągwiami, pałaszami, kopjami, na wierzchu którego leżał herb jego, u spodu zaś na aksamitnej i galonowanej poduszce przypięte były ordery nieboszczyka, których ośm znajdowało się. Nakoniec mnóstwo świec jarzących, w okazałych lichtarzach, otaczały katafalk. Wszystkie okna kościoła zasłonione kirem, kolumny zaś, gzemsy, facjaty ołtarzów bocznych, okna etc., rzęsistem światłem oświecone były. Sam biskup Puzyna celebrował mszę, kazanie miał ks. Nosewicz, prócz tego egzortę mówił obywatel mar. Lachnicki, wszystkie zaś najdystyngwowańsze osoby w Wilnie i wielkie mnóstwo ludu dodawały blasku i okazałości temu wspaniałemu obchodowi. Orkiestra egzekwowała *Requiem*, to samo, które na pogrzebie Stanisława Augusta grane było w Petersburgu. Wszystkich zaś zastanowił i rozrzewnił koniec egzekwjów, gdy przy odgłosie smutnej muzyki i żałobnego śpiewania kapłanów sama trumna sztucznie i nieznacznie spuściła się w przygotowane mary, co wyobrażało pogrzeb...

d. 27. Januar. Z rana byłem w bibljotece u Kontryma; dowiedziałem się od niego, iż jedno moje tłumaczenie jest umieszczone w tegomiesięcznym Dzienniku....

d. 30. Januar. Wiadomości Brukowe... jest to maleńkie półarkuszowe pisemko perjodyczne, niemające redaktora, ale każdy, kto chce, może w niem co dowcipnego umieścić, — mające na celu poprawę obyczajów. Wyszło onych już ośm numerów. Znajdują się tu częstokroć krytykujące dowcipnie elegantów, birbantów, obyczaje miejskie anegdotki. Lecz nie-

dawno bardzo uszczypliwa i dowcipna umieszczona była krytyka naszych pp. magnetystów. Trzeba wiedzieć, że ci ichmoście bardzo ze swego magnetycznego tonu spadli, dziwiono się, iż w roku teraźniejszym kontynuują swoje Pamiętniki. Wszędzie się z tego cudownego magnetyzmu śmieją, tymże sposobem Wiadomości Brukowe na większe go jeszcze pośmiewisko podały.

d. 1. Febr. Oglądałem dnia dzisiejszego styczniowy Dziennik Wileński, w którym postrzegłem moje wiersze wydrukowane. Ten, kto pierwszy raz tego zaszczytu doznaje, niemałe czuć musi ukontentowanie i do dalszej pracy zachęcenie. I p. Kontrym, redaktor Dziennika, umieścił pochwałę ks. Hryniewieckiego i Skibowskiego, a potem i szkołom humańskim piękne dał zalety.

d. 4. Febr. Postanowiłem pójść na maskaradę... Jakoż widowisko to dla swej nowości dosyć dla mnie interesujące było. O godzinie tedy 9 w towarzystwie kilku kolegów pojechałem do oznaczonego domu (Müllerów *p. w.*). Zastaliśmy już niezmierne mnóstwo gości, ale to jeszcze mało było w porównaniu do tego zgromadzenia, jakie około 12. godziny zebrało się. Wiele było masek, ale większa połowa była osób niemaskowanych. Dla zbytniego nacisku nie odważono się tańczyć z początku; ale, gdy się zaczęto po bocznych apartamentach rozchodzić, stanęli do mazurów i ciągle potem tańczyli. Miałem satysfakcję w przypatrywaniu się maskom, a chociaż większa ich część nieosobliwa była, wiele jednak oryginalną swą postacią i gustownemi ubiorami celowała... Nie mogę tu zamilczeć także o tem, co mi raz pierwszy widzieć zdarzyło się. — W osobnym apartamencie założony był dwór króla Faraona. Tu dopiero miałem czas przypatrzeć się zapalonym szulerom, marnotrawiącym najohydniejszym (podług mnie) sposobem czas i majątek. Tu widziałem i niefortunnego gracza, z wejrzeniem ponurem opuszczającego stół, który przegranemi zasypał dukatami, — i szulera, z dziką wesołością odchodzącego od banku; wydarłszy nie jednemu ostatni grosz z kieszeni, rozkosznie się w przyległym bufecie puharami szampana zalewał...

d. 5. Febr. Po wczorajszym niewczasie użyłem snu nad miarę i już była 9 g., gdy, ocknąwszy się, postrzegłem w mej

stancji jednego z moich kolegów, który przyszedł zwiastować wcale dla mnie przyjemną nowinę; doniósł mi, iż czytał obwieszczenie dziekana fakultetu fizycznego, który wzywał uczniów, którzy w upłynionym egzaminie okazali postępek w naukach. W tych liczbie i ja miałem szczęście być umieszczonym. Wyrażone było w pomienionem obwieszczeniu, abyśmy o godzinie w pół do czwartej przyszli do mieszkania ks. Mickiewicza dla odebrania nagrody, którą Uniwersytet przeznaczył.... Gdy był czas udać się do dziekana, poszedłem w towarzystwie dwunastu kolegów, w niepewności ciekawy, co to za nagroda mogła nam być ofiarowana. Za przybyciem postrzegłem, że to były książki. Dzieło mineralogji profesora Drzewińskiego, pięknie oprawne z napisem „Nagroda za pilność", na prezent przeznaczone było. Ks. Mickiewicz po krótkiej do każdego z nas przemowie w przytomności czterech profesorów fakultetu dał do rąk pomienioną książkę, której każdy egzemplarz miał na czele imię i nazwisko ucznia, któremu oddaną była....

d. 14 marca. W bibljotece będąc z rana, poznałem się z p. Bécu, doktorem, któremu p. Kontrym mię zarekomendował. Ponieważ on jest dyrektorem oratorjum, mającego się egzekwować w Wielki Piątek, więc prosiłem go o pozwolenie należenia do liczby egzekutorów. Przystał na to chętnie i ja wziąłem głos altówki; doniósł mi, iż w sobotę po południu będzie pierwsza wielka próba oratorjum, trzeba więc, żebym się na ten dzień przygotował....

....Z kolei uczni, odwiedzających gabinet mineralogiczny, mnie dziś z kilku innymi być wypadło.... abym dał wyobrażenie o mnogości kamieni w gabinecie wileńskim, powiem, iż cztery wielkie sale zapełnione są szafami i stołami, na których porządnie podług klas i gatunków ułożone kamienie ukazują oczom nader przyjemny i zadziwiający widok.

d. 17. marca. Dzień dzisiejszy jest przeznaczony na pierwszą próbę oratorjum. O drugiej godzinie udałem się do wyznaczonej sali, gdzie już wszyscy zgromadzeni byli. Muzyka od pierwszego razu udała się dobrze. Można sobie wyobrazić z wyliczenia osób, wchodzących do egzekucji, o wspaniałości w egzekwowaniu tego oratorjum: „Siedem słów Chrystusa na krzyżu".... Ogółem

osób przeszło 120. We środę przyszłą będzie próba wielka na chórze w kościele akademickim ś. Jana.

d. 19 marca. Pogoda piękna dnia tego zachęciła mnie, abym się udał na przechadzkę..... poszedłem na cmentarz *nobilium*, zwany katakomby. Miejsce to jest jednem z znakomitszych w Wilnie... Z pomiędzy wszystkich nagrobków najwięcej mnie zastanowił prostotą i pięknością swoją pomnik, wystawiony Euzebjuszowi Słowackiemu, który zbyt wcześnie i z żalem rodaków, z nieporównaną dla literatury polskiej szkodą użytecznego społeczności krajowej dokonał żywota w 1814 roku. Kogoż nie wzruszy i nie zastanowi widok prostej mogiły, na której niekształtnie ułożony stos kamieni zwyczajnych, naturalnie gdzieniegdzie sterczących lub obwisłych, wśród których z ukosa i jakby od niechcenia leżący gładki kamień nosi na sobie najprostszy napis „Tu leży Słowacki"?... Kilka ponurych jodeł i sosen, obszernemi swemi gałęziami otulając grobowiec, niezmienną zielonością zdają się same jedne wśród śmiertelnych szczątków okazywać znaki życia....

d. 21 marca. O naznaczonej godzinie zebrali się wszyscy amatorowie na chór (w kościele ś. Jana), gdzie już p. Bécu kazał uporządkować i przygotować wszystko należycie, aby 120 osób wygodnie mieścić się mogło. Stąd wnosić można o obszerności tego chóru. Muzyka udała się jeszcze lepiej, niż za pierwszym razem... Wszelkie poczyniono ostrożności, aby nikt obcy i niepotrzebny do chóru nie wchodził, dlatego wszystkim należącym do oratorjum rozdano na Wielki Piątek bilety. Wszyscy z niecierpliwością oczekują dnia tego, w którym odbyć się ma raz pierwszy tak niepospolita muzyka.

d. 22. marca.... Prenumerowałem na nowe pisemko perjodyczne pod tytułem Gębacz. Dziś odebrałem pierwszy numer, zawierający pół arkusza. Jest to w tym samym guście, jak Wiadomości Brukowe, tylko w lepszej edycji i podobno będzie to kontr-brukowista.. Później przyszlę do domu obadwa te pisma perjodyczne, które są bardzo zabawne. Wiadomości Brukowych wyszło już numerów 16. Wiele jest w nich artykułów bardzo zabawnych; lecz niektórych dla ironji i skrytości zrozumiećby nie można w tamtych stronach, nie wiedząc tutejszych okoliczności....

d. 23. marca.... Godzina druga dała hasło amatorom zbierania się do kościoła świętojańskiego. Cały kościół napełniony był już od południa osobami znakomitszemi, które niecierpliwie chwili tej oczekiwali, w której da się usłyszeć muzyka... Pod chórem wystawiony był grób święty, nad którym zaczęło się w grzmiącem *adagio* oratorjum. Po tej introdukcji zaintonowały głosy pierwsze słowa Chrystusa „Ojcze, odpuść im, bo nie wiedzą, co czynią", po których nastąpiła muzyka z chórem. I tak następnie po każdem słowie odzywała się muzyka w adagiach, andantach lub moderatach... Ale ostatnie *presto*, wyobrażające trzęsienie ziemi i wzruszenie natury całej po zgonie Chrystusa, które muzyka cała ze wszystkiej mocy i prędkości egzekwowała, tak dobitnie i mocno malowała to okropne zdarzenie, iż wszyscy słuchacze przerażeni i zachwyceni przez cały ciąg onego zostawali. Głośne pienia chorów rozlegały się po obszernych sklepieniach kościoła, a od ogromnego huku trąb, kotłów i puzonów mury świątyni trzęść się zdawały. Nakoniec o godzinie wpół do piątej wszystko umilkło i oratorjum odbyte zostało... Jeden z akademików nazwiskiem Grzymała przetłumaczył tekst włoski oratorjum na wiersz polski i ten wydrukował na dochód ubogich typograf Zawadzki.

d. 1. April. Z rana kazałem zawołać pieczętarza i obstalowałem pieczątkę z obustron z dewizami. Na jednej gołąbek, trzymający w dziobie list, w dole którego napis „*Voles, ou je voudrais être*". Na drugiej — takiż gołąbek z napisem „*Consolation de l'absence*"....

Wieczorem byłem na teatrze. Reprezentowana była wielka opera w 5 aktach z francuskiego p. Bogusławskiego p. t. Axur, król Ormus.... Z pomiędzy aktorów, którzy wszyscy egzekwowali wybornie operę, odznaczyła się w roli Aspasji szczególnym talentem i najprzyjemniejszym głosem niejaka p. Aszpergierowa, świeżo z Warszawy przybyła wraz z mężem swoim. Wyśmienita ta aktorka, łącząca z pięknością ciała, zgrabność, miły głos w śpiewaniu i deklamacji, jest teraz ozdobą warszawskiego teatru. Przybywszy do Wilna na czas niejaki, pierwszy raz wystąpiła w operze i nader liczne ściągnęła oklaski i pochwały. Przywiozła ona z sobą pocieszną dla teatru wileńskiego wiadomość, iż Bogusławski ma przyjechać do Wilna na początku maja.

Naówczas to będzie pole popisywania się artystom dramatycznym wileńskim, między którymi jest kilku niepospolitych i którzy w dwojnasób powiększą sceny tutejszej zalety, gdy nimi znakomity w literaturze ojczystej rodak i ojciec dramatyki polskiej dyrygować będzie.

d. 9 Aprilis. Byłem na teatrze. Warto było pójść na benefis nowoprzybyłej p. Aszpergierowej, która wszystkim mocno się podobała. Zresztą nowość sztuki, dziś reprezentowanej, zachęciła mnie. Była to nowa opera wierszem przez Niemcewicza w 3 aktach p. t. J a n K o c h a n o w s k i w C z a r n o l e s i u. Samo imię autora mówi za niepospolitością tej sztuki. Muzyka zaś p. Kurpińskiego, dyrektora orkiestry warszawskiej, przydawała jej niemało piękności. Rzecz jest wcale nieinteresująca i niemająca intrygi, podoba się jednak przez to, iż wystawia okoliczność z życia sławnego rodaka, który dla każdego z Polaków jest ważną i interesującą osobą. Treść jest taka, iż Kochanowski, mieszkający w swej włości, zwanej Czarnolesie, wydaje zamąż siostrzenicę swoją, Hannę, za Odrowąża, rycerza polskiego, których miłości przeszkadza Odentowski hrabia, starający się o rękę Hanny. Ten jednak przy końcu, widząc lepszą sprawę swojego rywala, odstępuje oną Odrowążowi. Lecz co w reprezentacji tej opery najmocniej uderzało to, iż p. Kuczyński, grający rolę Kochanowskiego, był zupełnie prawie podobny do portretu poety tego, w Wyborze Pisarzy Polskich umieszczonego. To ułożenie włosów na głowie, te rysy, ta mała bródka, ubiór nakoniec wcale był stosownie i trafnie udany. Muzyki starodawne mazurki, polonezy, i śpiewy, przypominające cnoty, szlachetną prostotę przodków naszych, najżywiej przejmowały serca Polaków, przyklaskujących każdemu słowu, patrjotyzmem tchnącemu. Na końcu reprezentacji panna Górska, najpiękniejsza ze wszystkich aktorek wileńskich, chociaż wcale mierna, z p. Piotrowskim, także aktorem, tańczyła dość zgrabnie kozaka. Oboje byli pięknie w kozackich ubiorach przebrani.

d. 10 Aprilis. Dzisiejszy afisz ogłaszał dawną i ulubioną operę p. t. K r a k o w i a c y i G ó r a l e. Nie mogłem opuścić tej tak zachwalonej sztuki, która pomimo dawności swojej dotąd podoba się jednostajnie. Zdawało mi się, że na żadnej jeszcze sztuce aktorowie nie egzekwowali lepiej, jak teraz. Aszpergie-

rowa w roli Basi niewymownie mi się podobała. Przyjemną było rzeczą słyszeć znajome i tylekrotnie powtarzane z tej narodowej opery piosenki. Wesołe tańce krakowiaków, ich ubiory gustowne, żwawi znowu górale i ich skoczne i zabawne aryjki po kolei zabawiały. Nie mogłem dosyć się napatrzeć, nasłuchać i nachwalić tego wszystkiego i wyszedłem z teatru wesoły, mając w myśli wszelkie okoliczności tej nieporównanej opery.

d. 23. April. ...Dzień dzisiejszy, oznaczony uroczystością św. Jerzego, jest znakomitą w Wilnie epoką. Jest to noc św. Bartłomieja, są to nieszpory sycylijskie dla tych, którzy, nachwytawszy się bez miłosierdzia, póki im wierzono, dziś nie mogąc lub nie chcąc oddać, kryć się muszą przed obliczem kredytorów, jak nietoperze chować się zwykły przed obliczem jasnego słońca. Wielka liczba przybyłych z całej Litwy obywateli na teraźniejsze wileńskie kontrakty znacznie powiększyła ludność (miasta *p. w.)*. Na placu Ratuszowym wielki był nacisk przechadzających się; zewsząd tylko słychać głosy o procentach, o kapitałach, o eksdywizjach, o pieniędzach, o majątkach i tym podobnych artykułach. Rozmaite otworzyły się spektakle i zabawy. Kilku przybyłych artystów muzycznych dawało w przeciągu tygodnia koncerty, jako to: Biały na skrzypcach, Ławczyński na wiolonczeli, Besser na flecie i żelaznych skrzypcach: Frankowa wokalny koncert dawała... Nakoniec teatr występował codziennie z pięknemi sztukami dla przyciągnięcia licznej publiczności i niemały przez tydzień profit odniósł.

D. 30. April ...Dziś popołudniu, będąc na lekcji botanicznej, przeczytany zostałem na liście studentów, którzy po kilku odwiedzać mają gabinet historji naturalnej i ogród botaniczny... Dziś więc z kolei zaprowadzono nas w liczbie dziesięciu naprzód do gabinetu historji naturalnej. Tu dopiero miałem zręczność przypatrzenia się wielu osobliwościom, które w sześciu salach są porządnie ułożone... W pierwszej sali jest zebra, wypchany jest bardzo pięknie. Tu widzieć można także wiele ptaków i małych zwierząt czworonożnych. Inne sale są zapełnione samemi prawie produktami ziemnemi, jako to, kamieniami, petryfikacjami etc. Znakomita jest sztuka ołowiu czerwonego syberyjskiego za szkłem utrzymywana, wartująca 1000 cz. zł., także sztuka rzadka przezroczystych kryształów siarki. Są piękne

stoliki, sztuczkami kamieni najpiękniejszych wykładane. Znajduje się kolekcja znaczna tabakierek najpiękniejszej roboty z takichże kamieni. Kilkanaście sztuk naczyń dość wielkich, z jednej sztuki kryształu górskiego wyrobionych, tudzież rozmaite naczynia, z pięknych kamieni gustownie szlifowane. Warte są także widzenia wielkie sztuki bursztynu, w którym są naturalnie zawarte rozmaite drobne owady, jako to mrówki, muchy, komary itd.... Lecz większą część gabinetu zajmuje bardzo liczna kolekcja muszli... Oprócz tego znajduje się tu kilka słojów, mających w sobie umieszczone w spirytusie niektóre osobliwsze krajowe gatunki wężów, jaszczurek itp... Widziałem tu portret Walickiego, hrabiego, który całą kolekcję muszli darował tutejszemu gabinetowi. Większa część osobliwości z jego daru pochodzi. Dlatego portret tego zacnego magnata mieści się w gabinecie, aby każdy, oglądając go, wzbudził w sobie uczucia dziękczynienia i uwielbienia szczodrobliwości tego wspaniałego męża.

d. 1. maja.... Po południu ks. Jundziłł zaprowadził nas kilku do ogrodu botanicznego, oranżerji i trepauzów. Tu znowu widziałem osobliwości z innego królestwa przyrodzenia... Tu widziałem cedry wysokie, pomarańcze, cytryny, na drzewach wiszące, ogromne aloesy; niezmierne banany, których liście po trzy łokcie długości, a po łokciu szerokości mają; cudowne mimozy, których listeczki za zbliżeniem palców kurczą się i schylają, jakgdyby się wstydziły, dlatego wstydliwemi są nazwane; krzaki kawy i herbaty; trzcinę cukrową, palmy różne, rośliny, celujące pięknością kwiatów etc. etc....

d. 3. maja. ...Dziś zabrałem znajomość, z której jestem kontent i która mi nadal pożyteczną być może, t. j. z jp. Ignacym Lachnickim, redaktorem Pamiętnika Magnetycznego i razem naczelnika magnetystów. Jest to człowiek młody, lecz najwyborniejszej edukacji, posiadający przy gruntownych naukach wiele pięknych talentów, mający świetną w Wilnie reputację, słowem, jest to *nec plus ultra.* Przyrzekł mi, iż będę przytomny na jego doświadczeniach magnetycznych, które wkrótce rozpocznie.

d. 6. maja.... Po południu miałem u siebie zacnych gości: był p. Kontrym z p. Lachnickim. Lachnicki mi przyniósł Pamiętnik Magnetyczny, o który prosiłem, a Kontrym

zrobił mi przyjemną siurpryzę, przyniósłszy list od mamy, który od pocztyljona odebrał. Chciałem ich zaprosić na czekoladę, ale się wymówili i niedługo u mnie bawili....

d. 9 maja. ...Poszliśmy do gabinetu anatomicznego. Tu chociaż, zdaje się, byłem w przybytku śmierci, jednak nie mogłem się dość wydziwić rozmaitym szczególniejszym mieszczącym się tu przedmiotom. W pierwszej sali znajduje się wiele szkieletów ludzkich, w rozmaitych postaciach uszykowanych, na stołach zaś leżą rozmaite części kości najporządniej ułożone. W innej są szafy, zapełnione niezliczonem mnóstwem słojów szklanych, nalanych spirytusem, w których widzieć można wszystkie części ciała ludzkiego, oddzielnie najpiękniej i w zupełnej całości zachowane. Lecz najbardziej zastanawia kolekcja małych dzieci i niemowląt, których natura upośledziła, dając im poczwarne i okropne postacie. Najwięcej jest bliźniąt, zrosłych razem rozmaitym kierunkiem... W ostatniej nakoniec sali znajdują się całkowicie zasuszone i pokostowane korpusy, którym sztuka szczególniejsze nadała figury. Podoba się kolekcja, wyobrażająca rozłożenie systematu sercowego w człowieku; tu i serce i wszystkie od niego idące żyły są pokostowane koralową farbą.... Między zasuszonemi korpusami jest najznakomitszy jeden, zrobiony za czasów Briotego, medycyny i chirurgji doktora, który wówczas był anatomji profesorem. Jest to ciało jednego złoczyńcy sławnego, który, mając pójść na stracenie, kilka godzin przed egzekucją powiesił się w więzieniu, napisawszy wprzód te słowa: „Djabłu duszę, a ciało Briotemu“ — i na tę pamiątkę korpus jego zachowano. Tu znajduje się także niedawnemi czasy znaleziony korpus w piasku, w dość znacznej głębokości zupełnie zasuszony... Kończy gabinet anatomiczny interesująca bardzo kolekcja, kilkadziesiąt słojów wynosząca, która wystawia epoki rozmaite formowania się płodu człowieczego w żywocie macierzyńskim, począwszy od tygodnia po poczęciu aż do chwili przy wyjściu na świat.... Przeszliśmy (następnie *p. w.)* do innego oddziału gabinetu anatomicznego, zawierającego w sobie anatomję zwierząt. Tu przedmioty nie tyle okropności zawierały. Piękny był widok mnóstwa szkieletów zwierząt rozmaitych, których rozmaity skład i szczególniejsza budowa zajmowała uwagę. I tu są monstra zwierząt, jak np.



Książę Adam Czartoryski.

cielę z dwiema głowami a sześciu nogami, prosię o dwuch nogach, o czterech głowach i jednem oku itd. itd. Nakoniec bawiło porządne uszykowanie niby drzewek z gałęziami, na których przytwierdzone są szkielety mnóstwa ptaków...

d. 10 maja. I dziś widzieliśmy dość pięknych rzeczy. Ks. kanonik Bogusławski ma kolekcję portretów sławnych Polaków. Staruszek ten wesoły i zabawny swoją oryginalnością cieszy się bardzo, jeśli kto, zdjęty ciekawością, przychodzi odwiedzać domek sławnych Polaków (tak on go nazywa). Poszliśmy tedy dziś do niego i, zarekomendowawszy się mu, byliśmy grzecznie od niego przyjęci; oprowadzał nas po swoich apartamentach, całkowicie okrytych obrazami większemi i mniejszemi. Kolekcja ta dosyć znaczna jest niemało ciekawa. Staruszek, lubiący gawędę, a przytem lubiący się pochwalić, opowiadał, jak w czasie bytności w jego domu imperatora pokazywał mu owe malowidła; cytował nam swoją z nim rozmowę itd. On nazywa siebie burgrabią domku sławnych Polaków i tak się zawsze rekomenduje. Naprawił nam tysiąc facecyj...

d. 13 Maji. Zielone święta. Na ulicach niektóre domy były pięknie majem poubierane, mianowicie ks. Bogusławskiego ozdobiony był girlandami jodłowemi w rozmaitych deseniach i otoczony gałęziami brzozowemi. Stary dziwak chce koniecznie, aby domek sławnych Polaków między innemi się odznaczał....

Poszedłem o g. 10. rano do Lachnickiego. Wkrótce potem przyszedł Bohdanowicz, zecer w drukarni Zawadzkiego, którego magnetyzowanie jest w Pamiętniku ogłoszone; ale że on teraz jest zupełnie zdrów, więc tylko co dwa tygodnie Lachnicki go magnetyzuje. Teraz na moją prośbę kazał go zawołać i odbył tę cudowną operację. Spodziewam się, że każdy będzie ciekawy, wiedzieć szczegóły tego magnetyzowania, zwłaszcza z ust bezstronnego, który pierwiej najmniejszej temu nie dawał wiary. Posadziwszy go na kanapie, siadł Lachnicki naprzeciw niego i na stoliku przy nim będącym kazał postawić szklankę wody. Kazawszy pozamykać drzwi wewnątrz i zapuścić firanki u okien, położył siedzącemu na kanapie poduszkę w głowach i rozpoczął dopiero operację rękami, obwodząc w rozmaitych kierunkach od głowy aż do kolan; dotykał się oczu, piersi, głowy, rąk; które te działania trwały około 6 minut. W przeciągu onego magne-

tyzowania począł nieznacznie blednąć i oczy jego pomimowoli się zamykały. Wtedy magnetyzujący podał mu szklankę z wodą, której się trochę napił. W tym momencie głowa mu na piersi zwisła, oczy w pół otworzyły się i pochylił się na poduszkę. Lachnicki obwiódł go kilka razy rękami, po czem zapytał: „Czy śpisz". — „Śpię", cichym głosem odpowiedział. Wtedy dał mi znak Lachnicki, że już zostaje w mocnym śnie magnetycznym. Zbliżyłem się do głowy jego, żebym wszystko słyszał, co przemawiać będzie. Spytał się go Lachnicki: „Jak się teraz masz?"

— „Jużem zdrów, tylko trzeba mi koniecznie na wieś wyjechać, żeby brać kąpiele z wody stawowej."

„Czy pijesz lekarstwo, coś sobie wyznaczył?"

— „Zawsze piję; zobacz na łokciu, już dobrze skutkuje." Zobaczyliśmy na łokciu, w którym w swej chorobie doznawał wielkiego łamania, znaczną wysypkę. Potem pytał się go dalej: „Czy możesz teraz co gadać inszego; żebyś co temu panu, co koło ciebie siedzi, poradził?"

— „Daremnie czeka, ja teraz komu innemu radzić nie mogę". Zostawiliśmy go na trzy minuty w spoczynku; wtem postrzegliśmy, iż on prawą rękę coraz posuwał do stolika, który mu w głowach stał. W momencie porwał za nóżkę u stolika, ale tak silnie, że mu wszystkie żyły u ręki naprężyły się. Ustawicznie się zżymał i kilka razy powtarzał te słowa: „Niegodziwy, udajesz przyjaciela!" Domyśliliśmy się, że on musi się gniewać na jakiegoś swego kolegę. Gdy mu ten gniew magnetyzujący zgasił, raptownie opuścił rękę, którą trzymał nóżkę u stolika, i począł gwałtownie oddychać. Spytał się go Lachnicki: „Długo spać będziesz?"

— „Obudź mnie zaraz"; wtem wziął za rękę Lachnickiego, położył ją na swojem kolanie prawem i rzekł: „Ściśnij mocno!" A gdy uczynił, nagle się i z wielką przykrością ocknął, dreszcz go porwał; Lachnicki dał mu się napić wody. Poczem zaczął przychodzić do przytomności, przecierał oczy, ale najwięcej przypatrywał się swojej prawej ręce i skarżył się, że go bardzo boli. Spostrzegliśmy, że były na niej cztery znacznie wyciśnięte ręby, których dostał wtedy, gdy w złości mocno porwał za nóżkę u stolika. Gdy wstał i odział się, pytaliśmy się go, czy pamięta, co gadał. Bynajmniej nie pamiętał. Spytaliśmy się, czy ma

jaką wysypkę; zdziwił się, gdy mu pokazaliśmy na łokciu jego, której nigdy nie spostrzegł. Zadawaliśmy mu teraz pytanie, na kogo się on gniewa; odpowiedział, że ma nieprzyjaciela, ale go wymienić nie chciał. Oto wierna wiadomość o tym dziwnym wypadku, którego byłem dziś jedynym świadkiem. Niechże mi teraz kto powie, że magnetyzm jest niczem! Nie można było widzieć większego w tym względzie niedowiarka, jakim ja byłem, ale po tem wszystkiem, com dziś widział, uznaję i wierzę, że to coś jest takiego, czego dociec żadnym sposobem nie można...

d. 17. maja. Dziś z radością teatru wileńskiego przybył długo oczekiwany i pożądany aktor wzorowy, j. p. Bogusławski. Dopiero to coś lepszego usłyszymy. Goreję niecierpliwością widzenia go. Niewiadomo, jaką sztukę da na pierwszą reprezentację.

d. 18 maja. Dowiedziałem się, że w niedzielę ukaże się Bogusławski w tragedji sławnej Horacjusze, w roli starego Horacjusza.

d. 20 maja. ...Nad wieczorem, gdy był czas udania się na teatr, pośpieszyłem, gdyż dziś to jp. Bogusławski miał pierwszy raz wystąpić. Nacisk na parterze był bardzo wielki. Wszystkie loże pełno zajęte. Każdy pałał chęcią widzenia i słyszenia tego wzorowego aktora. Nakoniec zaczęto spektakl.... Skoro wystąpił stary Horacjusz, runęły ze wszech stron tak żywe oklaski, jakich dotąd na tutejszym teatrze słyszeć się nie zdarzyło. Nie mogłem się dość nasłuchać jego przedziwnej deklamacji, przyjemnemu organowi mówienia, napatrzeć się jego naturalnym i szlachetnym gestom, których on tak zręcznie używa, iż najmniejszej przesady w nich postrzec nie można. Lecz cóż powiedzieć o końcu trzeciego aktu, który jest *chef-d'oeuvre* tragedji, a miejscem najgłówniejszem w tej sztuce! Kiedy stary Horacjusz, niepewny o losie bitwy trzech jego synów z trzema Kuracjuszami, mającym decydować o losie Rzymu, odebrawszy wiadomość od Julji, iż dwaj jego synowie pobici, a trzeci, przeciw trzem mając walczyć, uciec musiał z placu, przeklina go — i pytającej się Julji, cóż miał czynić, gdy sam jeden przeciw trzem pozostał, daje odpowiedź: „Umrzeć!" Odpowiedź, która jest wzorem prawdziwej górności uczucia. Tu dopiero otwiera się pole popisywania się Bogusławskiemu; któż dość pochwali wyraz, ton,

gesta, deklamację, z jakiemi on tę najważniejszą wystawił scenę! Niepodobna było od łez się wstrzymać w tem miejscu. Słuchacze zapomnieli zupełnie, gdzie się znajdują, widząc go tak naturalnie egzekwującego swą rolę... Po skończonej reprezentacji publiczność wywołała Bogusławskiego, obsypując go brawem i nieustannemi oklaskami. Pięknie się znalazł, czyniąc gładką do publiczności odezwę, w której za łaskawe jego przyjęcie składał podziękowanie.

d. 23 maja. Dotąd nie zdarzyło mi się być w sali skulpturowej. Dziś więc miałem sposobność zobaczenia onej. Profesorem snycerstwa jest p. Jelski. Uczniów zaś tylko trzech. Niemało jest biustów. Między innemi najpiękniejsze obu Śniadeckich i kilku dawniejszych profesorów Uniwersytetu. Są także niektóre statuy i figury z gipsu robione.

d. 5. czerwca. Dziś w wieczór przybył do Wilna długo wyglądany i spodziewany książę Czartoryski, kurator. Natychmiast między profesorami w Uniwersytecie taki się wszczął ruch, jak, przypominam sobie, między studentami w szkołach, kiedy wizytator przyjedzie. Książę ma zupełną władzę nad Uniwersytetem i może odmienić lub zrobić, co mu się podoba. Dlatego wszyscy drżeć muszą przed nim.

d. 6 czerwca. Dziś widziałem Czartoryskiego. Jest to człowiek średniego wieku, przystojny, nielubiący znaków godności, i zawsze się tak ubiera, iż go nigdy nie można wziąć za takiego, jakim jest. Słyszałem, że jest bardzo dumny, wszystkich bez wyjątku inaczej nie nazywa, jak tylko: Asan. Najwięcej musi mieć przy nim Rektor Uniwersytetu subjekcji. Gdziekolwiek się Kurator obróci, ten musi być zawsze paradnie ubrany, to jest w mundurze, w krótkich spodniach, w trzewikach i przy szpadzie. Teraźniejszy rektor jest dość stary, więc mu nie bardzo miło tak się stroić. Słychać, że Książę będzie wszystkie lekcje wizytował, a to dla dowiedzenia się, jak tłumaczą profesorowie...

d. 7 czerwca. ...Na lekcję chemji przyszedł Czartoryski z rektorem Malewskim. Miałem czas należycie Księciu się przypatrzyć. Poznałem dopiero, jak to w każdym stanie przytomność wyższej osoby ambarasuje. Ów Śniadecki, filozof, który na wszystko obojętnem patrzał okiem, dziś jednak na niespodziewane przybycie Kuratora, zmieszał się, czego się po nim żaden

nie spodziewał. Nie tak to się on zmieszał, jakby kto inny na jego miejscu, ale wszelako można było postrzec różnicę w sposobie jego tłumaczenia, zawsze tak płynnem, teraz nieco drżącem i przerywanem. Ale to tylko kilka minut z początku trwało. Po skończonej lekcji Czartoryski zadawał kilka pytań Śniadeckiemu, po których poznać było można, że wcale teraźniejszego stanu chemji nie rozumiał...

d. 14. 8-bris. ...Po skończonej reprezentacji ukazał się obraz szczególniejszego gatunku, przeznaczony na obchodzenie święta jakiej osoby z familji cesarskiej. Nic przedniejszego w tym rodzaju widzieć nie można. *Tableau* to jest wynalezienia prezydenta Chodźki, a przez malarza Rustema do skutku doprowadzone... Po odsłonieniu kurtyny daje się widzieć zasłona z gazy najprzedniejszej, za którą znajduje się obraz góry Olimpu; na wierzchołku onej stoi świątynia sławy, mieszcząca w sobie popiersie cesarza lub osoby jego familji, której święto jest obchodzone. W różnych góry wysokościach spostrzega się wszystkie bóstwa starożytności. Muzy, gracje, genjusze... Aktorowie, dzieci wyobrażają je w takich pozycjach, w jakich malarze w mitologicznych wystawiają nam obrazach.... Z zachwyceniem spektatorowie obraz ten rozważają... Można pochwalić wyśmienity projekt zacnego obywatela, który należy do dyrekcji teatralnej i przykłada się do rozmaicenia zabaw publiczności.

d. 19. 8-bris. Dziś kupiłem kilka książek tanio u jednego żyda, który roznosi po ulicach książki. Widzę, że u nich można dobrych książek czasem dostać.

d. 21. 8-bris. Już to co do niedzielnych nabożeństw pilnuje się zawsze jednostajnego porządku. Najczęściej bywam u dominikanów, bernardynów, a zawsze co niedzieli w katedralnym kościele nie opuszczam kazania ks. Nosewicza, który godnie obowiązek kaznodziei wypełnia. Kazania jego nie są długie, lecz pięknym stylem napisane i przedziwnem wysłowieniem oddane, i on słusznie, wyjąwszy niekiedy używanie prowincjonalizmów, których się nie wystrzega, za doskonałego mówcę jest tu miany.

d. 22. 8-bris. Przed dwoma tygodniami wieść się rozeszła, jakoby Adam książę Czartoryski, kurator Uniwersytetu, zabity został w pojedynku z Pacem.... wszyscy powszechnie żałowali

wczesnej i nikczemnej straty tego znakomitego i nauką wsławionego męża, w której najwięcejby poniósł Uniwersytet Wileński. Wszędzie o tem gadano, rozmaicie okoliczności wypadku tego odmieniano, aż oto niedawno pogłoska o śmierci Czartoryskiego okazała się być fałszywą. Prawda, że Pac go wyzwał na pistolety, ale pojedynek ten przez zwierzchność aresztowany został...

d. 24. 8-bris. Trafiło mi się dziś być w jednem miejscu raz pierwszy, w miejscu znakomitem, gdzie się odbywa dotąd w roku zeszłym jeszcze rozpoczęta Komisja t. zw. Radziwiłłowska. Widziałem tu ośmiu poważnych panów litewskich, zasiadających u stołu sądowniczego, na czele których był prezydent Pociej, znakomity litewski obywatel, jeden z pierwszych magnatów wileńskich. Słyszałem plenipotentów, indukujących sprawy, którzy krzyczeli, łajali, a to obcym wcale dla mnie prawniczym językiem...

d. 25. 8-bris. Będąc u Kontryma złapałem coś do roboty dla umieszczenia w Dzienniku Wileńskim. Niewielka to rzecz jest, co mi dał, ale prosił mnie Kontrym, żebym mu przetłumaczył z rosyjskiego jednego pisma perjodycznego artykuł o kozakach zaporoskich. Będzie tego wszystkiego ze sześć arkuszy i ja, przyrzekłszy to wypełnić, wziąłem się do roboty...

d. 26. 8-bris. Umarł tu jakiś marszałek trocki, Potrykowski, obywatel majętny, i ma być jutro pogrzeb jego u bernardynów. Dowiedziałem się o tem z małych drukowanych afiszów, gdzie familja zmarłego zaprasza publiczność na pogrzeb. Niechby sobie obwieszczenie takie przybite było na drzwiach kościoła, ale te rozrzucano po kawiarniach, bilardach, traktjerach.....

d. 4. 9-bris. Będąc w kościele katedralnym na nabożeństwie, umyśliłem wstąpić do sali sejmowej, która stąd jest niedaleko. Jeszcze się nic ważnego nie odbywało, listę tylko wotujących układano. Uważałem że lista wotujących do 200 kilkudziesięciu się rozciągała i to tylko obywateli powiatu wileńskiego. Straszny jest nacisk Litwinów. Sala sejmowa do tego mała...

Afisze ogłaszały pierwszą maskaradę na dochód ubogich, pod opieką Towarzystwa Dobroczynności zostających; niektórzy akademicy mieli rozdane bilety, aby między sobą rozbierali. U Korsaka dostałem i ja biletu, którego cena zł. 4...

Trzy aktorki teatru wileńskiego, między niemi Górska, którą tu nazywają Izabelką, ciągnęły za sobą roje młodzików, gdyż ta jest prawdziwie piękną tak, iż do rzędu pierwszych piękności wileńskich należy. Dwie prawie było masek które dowcipnie wymyślono i dobrze zrobiono, a te chodziły w parze. Był to „Szlachcic Brukowy na łopacie" który w jednej ręce trzymał łopatę z napisem „Leci a leci", a drugą prowadził swoją przyjaciółkę, brukarkę, mającą miotłę w ręku, na której poprzyczepiane były kartki z napisami różnych artykułów Wiadomości Brukowych. Maska brukarki przedziwnie była zrobiona i wyobrażała zgrzybiałą babę. Te więc tylko maski ściągały na siebie uwagę....

d. 5. 9-bris. Sejmiki aktualne miały się dziś rozpocząć, udałem się przeto do sali. Już lista wotujących była ułożona, przystępowano do podawania kandydatów do urzędów. Sami się tu podają obywatele. Postrzegłem, że urzędy niektóre są odmiennym sposobem nazywane. I tak u nas zastępca marszałka jest pierwszy po aktualnym marszałku kandydat, gdy tu na zastępców osobno się podaję i osobno wotują. U nas są sędziowie powiatowi i podsędkowie, tu zaś tych ostatnich nie znają. Prezydent zasiada miejsce naszego sędziego, a nasi podsędkowie zowią się tu sędziami... Pełno było wrzawy. Obywatele, rozdzieleni na partje sekretnie, zadawali objekcje tym, których nie chcieli mieć kandydatami, ci się usprawiedliwiali etc.; stąd hałas i krzyk trwał nieustanny. Nacisk jeszcze większy, jak wczoraj, jednakowo byłem aż do końca, bawiły mnie bowiem sprzeczki i kłótnie, częstokroć z małej rzeczy powstające i niesprawiedliwie wszczęte.

d. 6 9-bris. I dziś byłem na sejmikach... Niejaki Giecewicz, obywatel młody, wielce dokazywał. Nie było propozycji, którejby się on nie sprzeciwił. Miał żwawe odezwy do obywateli i przez niego podobno w przeciągu trzech sesyj nic nie zrobiono. To tylko dziwna, że sam jeden przeciw wszystkim wytrzymywał. Sprzeczek tych jednak najczęściej błahe okoliczności były przedmiotem.

d. 12. 9-bris. Było od Uniwersytetu ogłoszenie, że, jeśli kto jeszcze z prawnego oddziału nie odebrał świadectwa akademickiego, po raz ostatni będzie na to sesja u dziekana oddziału

moralnego, ks. Chodaniego. Jeszcze też nic o tym oryginale nigdy nie powiedziałem. Ten to jest sam, który dał tłumaczenie Henrjady Woltera. Jest to człowiek wieku średniego, dość przystojny, którego figura i ułożenie tak pompatyczne i poważne, iż zdaje się, patrząc na niego, jakby się pysznił z siebie. Głowa do góry zadarta zawsze, chód powolny i majestatyczny, głos donośny, mowa przeciągana, to są jego przymioty, od wszystkich go odróżniające. Byłem dziś u niego dla wzięcia świadectwa. Oto, jak go zastałem. Siedział przy stole, poważnie rozparty w krześle z poręczami, pytania swoje częstemi i długiemi przerywał oddechami z dmuchaniem, zadarłszy głowę do góry. Śmiech mię ledwie nie brał, patrząc na jego grymasy i gesta....

d. 19. 9-bris. Muszę dziś namienić o wieści, jaka się tu roznosi, że ma być w Wilnie obchód żałobny za sławnego Kościuszkę, który, jak wiadomo, w miesiącu sierpniu (15 października *p. w.*) zszedł z tego świata. Niewiadomo, jakim to sposobem odbędzie się, słychać tylko, że to ma być obchodzone z wszelką wspaniałością *d. 10 X-bris;* na ten koniec litewscy obywatele, Pociej i Chodźko, zatrudniają się zbieraniem składki pieniężnej. Powiadają, że Pociej dał 1000 rs., generał-gubernator Korsakow 50 dukatów, senator Ogiński 25 dukatów i inni obywatele w miarę możności swojej przyczyniają się do składki ogólnej. Mówią, że obywatele prosili Śniadeckiego, aby miał mowę na tym obchodzie i uczcił pamiątkę bohatera polskiego, ale ten odmówił, niewiadomo dla jakiej przyczyny. Zbierają się także amatorowie, którzy mają egzekwować *Requiem* na chórze w czasie mszy żałobnej; coś to ma być nakształt tego oratorjum, które na Wielki Piątek 150 amatorów egzekwowało. Jeden Tyszkiewicz wileński zatrudnia się ułożeniem listy amatorów, którzy się zapisać powinni. Dziś właśnie ja zapisałem się i stawać będę do skrzypców. Coś to podobno będzie bardzo pompatycznego; słychać, że egzekwje te mają być w kościele św. Kazimierza, że wchodzić tam wolno tylko będzie tym, którzy mieć będą bilety, i na ten koniec 700 biletów ma być rozdanych.

d. 24. 9-bris. Niedawno ogłaszano w gazecie, że niejakiś Popow, kapitan rosyjski, zrobił szczególniejszej delikatności z kości słoniowej pomnik księcia Poniatowskiego, który miał być wart widzenia. Ale dziś dowiedziałem się, że w księgarni

Zawadzkiego osobliwość ta złożona jest i wolno widzieć każdemu. Poszedłem więc z Korsakiem i znalazłem w rzeczy samej osobliwość rzadszą. Zrobiona jest z drzewa mahoniowego i hebanu niby świątynia, pięknym gustem, mająca ściany szklane, przez które wewnątrz widzieć można na podstawkach złożoną tabliczkę z kości słoniowej bardzo cienką, wielkości pół ćwiartki papieru, w której wyrznięte są *à jour* cztery wiersze polskie w literach z kości słoniowej drobnych, podobnych do sztychu, a delikatność onych wszelkie wyobrażenie przechodzi. Ozdabia je kilka bóstw alegorycznych, Pogoń litewska, Orzeł polski, w bareljefie ryte. Obok jest cyfra Aleksandra, któremu dzieło jest dedykowane.

d. 1. X-bris. Dano mi znać, że o g. 10. będzie próba mszy wielkiej, mającej się grać na egzekwjach za Kościuszkę. Udałem się na miejsce oznaczone, gdzie zastałem zgromadzonych muzyków, amatorów, śpiewaków. Odbyliśmy próbę żałobnej mszy przez Kozłowskiego, którą grano na pogrzebie króla Stanisława Augusta. Liczba muzyków, chociaż nie była zupełna, dochodziła jednak do 60. Drugą próbę wyznaczono na piątek, mającą się już odbywać w kościele na chórze.

d. 2. X-bris. Powiedziałem kiedyś, że na początku tego miesiąca miały się rozpocząć sejmiki guberskie. Dziś kiedy ten termin nastąpił, nie od rzeczy będzie uczynić o nich wzmiankę. W kościele św. Jana zgromadzeni byli wszyscy sejmujący obywatele dla wypełnienia przysięgi. Piękny był widok, patrząc na wybór obywateli gubernji wileńskiej, której każdy z dziesięciu powiatów wysłał po dziesięciu delegowanych na obieranie urzędników guberskich. Po skończonem nabożeństwie udali się wszyscy do sali sejmowej, gdzie każdemu znajdować się wolno było. Marszałek guberski na czele 10 powiatowych marszałków zasiadał, prezydując na sesji. Delegaci każdego powiatu byli uszykowani w ławkach, umyślnie dla każdego zosobna wyznaczone. Marszałek guberski Ropp zagaił posiedzenie. Przeczytano organizację sejmików. I na tem dzisiejsza sesja zakończyła się.

d. 7. X-bris. Dziś był dzień, wyznaczony na egzekwowanie próby wielkiej w kościele tego *Requiem,* którego raz już w przeszłym tygodniu próba była. O g. 10. należało się udać do kościoła św. Kazimierza, w którym mają być odbyte egzekwje.

Znaleźliśmy chór obszerny, umyślnie zrobiony z desek, gdyżby tak liczna orkiestra pomieścić się na dawnym nie mogła. Gdy się wszyscy zgromadzili, rozpoczęto granie.... liczba grających do 100 teraz dochodzi. Skibińska, najlepsza między aktorkami teatru wileńskiego śpiewaczka, w kilku miejscach w czasie *Requiem* pięknie wychodzi solo...

Widziałem w kościele jakieś wielkie malowane kolosy, piramidy; ale to wszystko jeszcze bez porządku. Broni wszelkiego rodzaju, jako to, karabinów, pałaszów, kopij, armat, kul, pancerzów, kirysów etc., wielkie mnóstwo stosami ułożone. Na coś potężnego się zanosi....

d. 10. X-bris. Dziś więc mam opisać obchód pogrzebowy Kościuszki. W rzeczy samej wspaniałość tego obchodu, uczęstnictwo żalu po stracie sławnego tego rodaka, każe, abym dla pamiątki kilka słów o tem powiedział... Dla obchodzenia smutnej tej uroczystości obrano miejsce stosowne w kościele św. Kazimierza, założonym niegdyś za króla Zygmunta Augusta. Kościół ten, lubo mały w proporcję ludności, która się na obchodzie znajdowała, wybrany był jedynie poto, że jest prawdziwie polski, przeto dla obchodzenia pamiątki sławnego w całym świecie Polaka najstosowniejszy. Od tygodnia pracowano w kościele około ustawienia katafalku i osłaniania kirem całego kościoła. Plan zaś obchodu od prezydenta Pocieja był dany. Katafalk pyszny wznosił się wśród kościoła pod kopułę. Był kształtu następującego. Na miejscu, kilkunastu stopniami podwyższonem, ustawiona była piramida najpiękniejszej struktury o trzech kondygnacjach, której wysokość całkowita od posadzki do 30 łokci dochodziła. Wspaniały ten obelisk, umyślnie zrobiony, zastępował miejsce katafalku. Najniższe piętro miało napisy ze wszech stron, które tu wymienię. We froncie na tablicy marmurowej, w złote ramy oprawnej, był złotemi literami wyryty napis łaciński: „*Ducem fortissimum, pietissimum civem. Libertatis et Reipublicae vindicem ac Propugnatorem acerrimum. Iustitiae. Humanitatis. Beneficentiae laude cumulatissimum, acerba morte ereptum, flebiliter luget. et civium, qui sunt et nascuntur aeternae memoriae tradit. commendat. Patria gratissima*".

Napis ten prawdziwie cyceronowską łaciną zrobiony był przez Groddecka, profesora literatury starożytnej.

Z prawej strony tejże części piramidy leżał napis w następnych wyrazach:

„W dwuch światach praw człowieka obrońca waleczny,
Konającej Ojczyzny wziął ster niebezpieczny.
Spełnił się wyrok smutny, runął gmach wspaniały!
Padliśmy! — A on nie dał upaść nam bez chwały.
Zniknie pamięć, na spiżach i marmurze ryta,
Lecz cię w sercach Polaków potomność wyczyta".

Z lewej strony był także napis polski:

„Wśród szczęścia i niedoli, pośród bojów wrzawy,
Gardził krwawym wawrzynem ludobojczej sławy.
Jedną ręką zwyciężał, drugą łzy ocierał,
Tkliwy na los współludzi, żył, walczył, umierał".

Oba te napisy, zrobione przez niejakiego Grzymałę, mającego prawdziwy talent poety, zasługują na pochwałę, wyjąwszy kilka niewłaściwych wyrażeń.

Na drugiej części piramidy ze wszech stron odmalowane były różne osoby alegoryczne; na froncie nad urną, u spodu której był napis: T a d e u s z K o ś c i u s z k o, stała osoba, wyobrażająca smutek, w postawie żałobnej z zasłoniętą twarzą.

Na ostatniej części piramidy, zwężującej się u góry, która była najwyższa, był odmalowany portret Kościuszki. U podstawy zaś jej widać było wsuniętą trumnę, której tylko przód był widziany, tak właśnie, jak w katakumbach. Na bokach tejże części odmalowano Orły polskie, Pogoń litewską, herby Kościuszki itd.

To, co do samego obelisku. W czterech zaś rogach onego ułożone były cztery słupy z dawnej zbroi bardzo pięknym gustem. Środek onych zajmowały karabiny i pałasze; spód — armaty, pancerze, kirysy, trąby, kule, szable; wierzch zaś — chorągwie, kopje i topory. Na samym szczycie zatknięta była kopja, na której pancerz świetny i hełm z piórami zawieszono.

Zprzodu po obu stronach stały dwa balony ogromne, całkowicie światłem okryte, które całemu katafalkowi dodawały okazałości.

Wreszcie ściany kościoła, kirem okryte, galerja, naokoło kościoła ciągnąca się, oświecone były.

Co się tyczy nabożeństwa, to się z książęcą odbywało wspaniałością. Od godziny 6. z rana księża rozmaitych zakonów odprawiali egzekwje i msze żałobne. O g. 10. rozpoczęła się msza wielka, na której trzech biskupów celebrowało. W czasie mszy muzyka, z 100 przeszło osób złożona, odzywając się w żałosnych adażiach lub grzmiących wspaniale prestach, wprowadzała smutną na twarzach ponurość i świętemu obchodowi przyczyniała wspaniałości. Po skończonej mszy wielkiej ks. Nosewicz wystąpił na ambonę i pięknem kazaniem, przypominając szczegóły życia Kcściuszki, rozczulił serca słuchaczów.

W teraźniejszym stanie rzeczy nie wypadało wielu okoliczności wspominać, którychby w inszym czasie przemilczeć nie należało!... Okoliczności smutnych, aż nadto każdemu Polakowi pamiętnych, w których nazwisko Kościuszki z zapałem wspominane być nie przestanie, lubo tylko tajemnie hołd wdzięczności i uwielbienia temu wielkiemu mężowi oddawać wolno!...

Po skończonem kazaniu rozpoczęły się egzekwje, odprawiane przez każdego z biskupów i znaczniejszych prałatów kapituły wileńskiej. Wspaniałe onych obrzędy i ceromonje zachwycający przedstawiały widok.

Zakończył obchód głos, miany przez Römera, marszałka trockiego, obywatela znakomitego i z cnót swoich słynącego, który, przemawiając do Litwinów, współziomków Kościuszki, tkliwemi wyrazy, pełnemi czułej wymowy, wszystkim go słuchającym łzy rzewne z oczu wycisnął.

Obchód ten pogrzebowy trwał do godziny 3.

Niezmierne mnóstwo zgromadzonych z całej prawie Litwy obywateli uświęciło tę uroczystość, która pamiętną epoką w dziejach Wilna być nie przestanie.

d. 11. X-bris. Dnia dzisiejszego w kościele luterskim odprawione były także egzekwje za Kościuszkę... Po skończeniu jego byłem dla przypatrzenia się katafalkowi. Był on ułożony pięknym sposobem i, gdyby to było w większym kościele, bardzoby się dobrze wydawał. Powiadają, że kilku przemawiało nieźle w czasie nabożeństwa. Osobliwie pastor Nikolai, który wzięty jest z wymowy, miał mówić piękne kazanie...

d. 12. X-bris. Rocznica urodzin Monarchy Panującego obchodzona była uroczyście... Byłem w katedrze, gdzie zgro-

madzeni byli obywatele, na sejmiki przybyli, tudzież urzędnicy miejscy i cechy. Lecz mówić mi wypada o balu, który z przyczyny dzisiejszej uroczystości obywatele gubernji wileńskiej wydali. Miałem zręczność dostania biletu... Należało być ubranym *en forme*, t. j. w pończochach i trzewikach... Udaliśmy się na bal o g. 9. do domu Müllerów. Już tańce rozpoczęto, kiedyśmy przybyli. Obywatele w mundurach, damy zaś wszystkie pierwszego w Wilnie tonu, w galowe suknie ustrojone. Bawiono się wyśmienicie. Tańcowano bez przestanku. Młodzieży było mnóstwo, panien pięknych liczne grono. Nie można było docisnąć się do tańców. W mgnieniu oka rozbierano pary i formowano dwa koła mazurów lub dwa koła anglezów o kilkudziesięciu parach... O g. 2. dano kolację. Damy siadły do osobnego stołu; było ich przeszło 80. Co do mężczyzn, każdy zabierał miejsce, gdzie kto chciał. Nacisk był niezmierny, w momencie znikały półmiski; cukry, ciasta w okamgnieniu rozchwytywano. Zalewano się porządnie szampanem i wśród toastów brzmiały sale okrzykami: „Niech żyje Aleksander!"

ROK 1818.

d. 17 lut. Na nabożeństwie byłem u dominikanów. Kaznodzieja, o którym kiedyś wspominałem, dał się tu słyszeć i powszechnie jest chwalony. Jest to dominikanin z Grodna, nazwiskiem Falkowski, z kazań swoich dosyć sławny, którego wileńscy dominikanie po zabronieniu wstępowania na ambonę ks. Korzeniowskiemu sprowadzili. Mnóstwo zawsze zbiera się słuchaczów na jego kazania, które, zawsze mówione z pamięci stylem mocnym, naturalnym i jasnym, czynią ks. Falkowskiego niepospolitym kaznodzieją.

d. 28 lut. Dziś generał-gubernator Korsakow wyjechał do Warszawy na sejm... Sejm ten wielki ma się rozpocząć 15 marca i trwać przez cały miesiąc. Cesarz, powiadają, ma się już znajdować w Warszawie. Deputowani z całego Królestwa Polskiego są przez gazety ogłoszeni. Co jest szczególnego, to, iż gmina przedmieścia Pragi obrała deputatem swoim w. ks. Konstantego. Warszawa teraz będzie widzieć wybór obywateli polskich nietylko z swego kraju, ale i ze wszystkich prowincyj, dawniej do Polski należących. Wielka liczba panów litewskich wyjeżdża do Warszawy, chcąc być przytomnymi temu wielkiemu i przez tyle lat pożądanie oczekiwanemu aktowi, którym Królestwo Polskie potwierdzenia konstytucji nowego nabędzie i blasku, i byt jego w gronie egzystujących narodów ustalonym na zawsze zostanie. Wiele młodzieży wybiera się także do Warszawy i terazbym bardzo łatwo mógł znaleźć kompanję do podróży...

d. 4. marca. ...Nie zaniedbałem złożyć powinszowania imienin Kazimierzowi Kontrymowi. Miły stawiało widok zgromadzenie wielu osób, których przyjaźń i szacunek pozyskał Kontrym przez szczególną dobroć serca swego i poświęcenia się dla dobra drugich.

d. 20 marca. ...Poznałem się dziś z moim imiennikiem, Walerjanem Krasińskim, który na te same, co i ja, uczęszcza objekta. Dowiedziałem się od niego, że on jest z domu Krasińskich kalwinów, ma swych rodziców pod Mohylowem, był w akademji charkowskiej lat dwa i teraz do Wilna dla kontynuowania nauk w tym roku przybył. Jest to człowiek, około 22 lat mający, słusznego wzrostu, chudy, wysmukły, cokolwiek łysy... i z pozoru nawet na literata wygląda. Jakoż właśnie ma być biegłym w kilku językach, osobliwie w angielskim i ustawicznie czytaniem książek zatrudnia się....

d. 4. Apr. ...Wieść tu się rozchodzi, za pewną uznana, iż w przyszłym miesiącu przejeżdżać będzie przez Wilno król pruski, mający się stąd udać do Moskwy dla odwiedzenia swej córki. Niezliczone z tego względu czynią przygotowania. W mieście kazano znaczniejsze ulice brukować, trotuary koło bulwarów robić, okiennice u domów i drzwi biało malować, budki policyjskie w kształcie wieżyczek murować, kamienic fronty odnawiać i malować, słowem mnóstwo innych robót odbywać dla upiększenia miasta. W Litwie, gdzie przejeżdżać ma król pruski, zalecono z wielkim kosztem drogi nowe robić; z obu stron drogi mają być kopane rowy i drzewa w dwa rzędy sadzone. Ponieważ to wszystko z wielkim pośpiechem się robi, wnosić można, że roboty dłużej zapewne nad miesiąc trwać nie będą mogły. Do tego stopnia chciano uciemiężyć lud nowemi zbytecznemi przygotowaniami, iż, jak słyszałem, wszystkie wsie, na drodze przejazdu króla pruskiego znajdujące się, miano podług danego planu przebudować, aby najjaśniejszego gościa tembardziej omamić. Lecz że rozkaz ten zapóźno był wydany, nie mógł zatem być uskuteczniony w tak krótkim czasie.

d. 6. Apr. Przed tygodniem uformowało się pewne Towarzystwo Literackie między młodzieżą, z którą ściślejszą zabrałem znajomość. Znajduje się w tem Towarzystwie osób dwanaście. Celem jego jest aby raz na tydzień każdy wygotował jakiekolwiek pisemko własnej pracy, bądź w prozie, bądź w wierszu i czytał je na posiedzeniu, które co soboty odbywać się ma w mieszkaniu Chodźków, jednego z moich kolegów.

d. 17. Apr. U Tyszkiewiczów wołyńskich poznałem się ze sławnym wirtuozem fortepianistą Rennerem. Oddawna już

słyszałem jego pochwały. Teraz zaś, będąc oczywistym świadkiem jego grania, pierwszy raz zdarzyło mi się słyszeć z taką biegłością grającego. Tiebe przechodzi Rennera co do gustu i ekspresji, ale ten ostatni nieporównany jest co do obfitości myśli i niesłychanej biegłości palców. Siadłszy przy fortepianie, zdaje się, że dzień cały grałby nieprzerwanie, tak jest płodny w fantazje.

d. 20. Apr. ...Ku wieczorowi... poszedłem do Chodźków na posiedzenie Towarzystwa, o którem wyżej wzmianka była. Przeszłej soboty posiedzenie odbyć się nie mogło, gdyż wszyscy znajdowaliśmy się na oratorjum u bonifratrów. Teraz czytało na posiedzeniu nas czterech w różnych materjach, ja zaś wygowałem ciekawy wyjątek z jednego nowego dzieła francuskiego: „O wynalazkach i odkryciach, w r. 1816 uczynionych". — Czytanie onego bardzo zajęło uwagę mych słuchaczów. Po skończonem czytaniu nastąpiła zabawa tego rodzaju, iż każdy z członków wybierał losem kartki z napisem imienia któregokolwiek z nas. Ten, kto dostał kartkę, powinien był na wyrażoną osobę kilka wierszyków napisać. To nas wielce zajmowało, a gdy wszyscy skończyli, jeden z nas, za sekretarza obrany, czytał w głos wierszyki, z których się śmiano, i na tem zakończono zabawę.

d. 28 Apr. Przyjechał dziś z Warszawy wojenny gubernator wileński. Tak się miasto wysadziło w spotykaniu tego gościa, że niewiadomo z jak większą okazałością przyjmować będzie króla pruskiego. Urzędnicy policyjni i cywilni tudzież cechy ze wszystkiemi swemi znakami wyszły na spotkanie gubernatora. Do tego stopnia posunięto nikczemne pochlebstwo dla starego satrapy, iż z ulic, którędy miał przejeżdżać, kazano umykać karetom, i tak w licznej asystencji kawalerzystów, nadskakujących koło pojazdu, przejeżdżał gubernator przez miasto...

d. 4 maja. Odbyło się dziś zwyczajne posiedzenie Towarzystwa, o którem z wyższych Tygodników (t. j. „Dziennika" autora *p. w.*) wiadomo. Czytało czterech członków dysertacje w różnych materjach. Niejaki zaś Zan, posiadający zdatność i talent poetycki, czytał piękną dumę wierszem, która wszystkim się podobała. Kolej czytania przychodzi na mnie za parę tygodni, do czego mi się przygotować należy.

d. 7 maja. Przed kilku dniami ponowiłem znajomość z Fran-



Widok Ostrej Bramy w Wilnie.

cuzem Quesnelem, który w przeszłym roku wyrobił mi zręczność widzenia gabinetu osobliwości generała Kossakowskiego..... Gabinet ten podzielićby można na cztery części ze względu na historję naturalną, sztuki piękne, starożytności i pamiątki od różnych osób.... W pierwszym (oddziale) naczelne miejsce trzyma gabinet mineralogiczny. W nim, oprócz kompletnej kolekcji minerałów, znajduje się bardzo wiele klejnotów kosztownych. Takiemi są: szafir cudowny, odmieniający kolor przy świetle świecy, szczególne beryle, topazy, ametysty, czarki na trzy cale średnicy, z jednej sztuki granatu wyrobione, mnóstwo osobliwych kryształów, między któremi najważniejsza jest kula, pół stopy średnicy mająca, z najprzezroczystszego kryształu z jednej sztuki zrobiona; mnóstwo także naczyń przedziwnie z kryształu wyrobionych. Sztuki kryształu, osobliwe zawartą wewnątrz ich wodą, której kropelki są widoczne, i inne kawałki kryształu, osobliwe zawartemi w nich cząstkami różnych metalów. Kolekcja bursztynów z zamkniętemi wewnątrz ich rozmaitemi istotami organicznemi. Kolekcja szczególna turkusów, konch, korali, polipów, pertryfikacyj. Kolekcja rzadkich amerykańskich ptaków, wypchanych kunsztownie, iż się żywemi być wydają; szczególny jest ptak rajski, papugi, kolibry i inne sławne z piękności piór ptaki. Nakoniec żywe rybki złote, karpikami chińskiemi zwane, takie jak w Sofijówce, są tu utrzymywane w pokoju, w dużych, szklanych słojach.

Najosobliwszą część tego gabinetu składają kolekcje rozmaitych przedmiotów sztuk pięknych. Tak zbiór wybornych malowideł, między któremi jest kilka oryginałów pendzla najsławniejszych malarzy, jako to Rubensa, Van Dycka i innych. Kolekcja mozaik od początków jej wynalezienia, wystawująca postęp historyczny wydoskonalenia się tej sztuki. Znajdują się najdelikatniejsze mozaiki z kamieni, metalów, mas różnych i t. d., których delikatna robota przechodzi pojęcie. Kolekcja emalij, w postępie także historycznym zebrana. Kolekcja robót najdelikatniejszych z piór pawich, włosów, jedwabiów, wystawujących bukiety kwiatów w naturalnych kolorach. Kolekcja robót dziwnie delikatnych sztuki snycerskiej z kości słoniowej, drzewa, złota i innych metalów. Tu szczególna jest sztuka z jednej sztuki całego zęba słoniowego, 10 calów wysoka, na której wokoło

najdelikatniej wyrżnięty jest *en bas relief* tryumf Jana Sobieskiego, — także przedziwna jest sztuka, snycerską robotą bareljefem, na kawałku drzewa wystawująca zgrzybiałą babę, w całej jej szpetności, której wszystkie członki, twarz i odzież w naturalnych kolorach oddane, tak doskonale są zrobione, iż postać staruszki prawie ożywioną być się zdaje. Mnóstwo figur rozmaitych z koralu, bursztynu, kamieni, metalów, którychby zliczyć było niepodobna.

We względzie osobliwości starożytnych pierwsze miejsce zajmuje zbiór naczyń dawnych Etrusków. Ogromna jest kolekcja chińskich i japońskich osobliwości, które z wielkim kosztem generał posprowadzał. Tak, są wazony znacznej wielkości z porcelany japońskiej, parawany chińskie dziwnej roboty, naczynia wszelkiego rodzaju, pisma chińskie, roboty delikatne snycerskie, malowidła chińskie i mnóstwo innych, godnych szczególnej uwagi przedmiotów. Znajdują się narzędzia rozmaite dzikich w Ameryce narodów, jako to maczugi, buławy, łuki, dzidy i t. d. Tu należy także nieliczna, ale wcale osobliwa kolekcja medalów i numizmatów. Między temi ostatniemi najwięcej znajduje się starożytnych. Ale medale bite są po większej części w Paryżu za czasów rewolucyjnych i za panowania Napoleona. Piękny między innemi jest duży złoty medal, wybity z okoliczności urodzin syna Napoleona, tudzież z okoliczności koronacji Cesarza. Ale szczególny jest srebrny medal, wielkości talara, bity w Paryżu na pamiątkę wejścia Francuzów do Wilna. Wyobrażony jest na nim Napoleon, któremu ułan polski i Litwin oręże swoje u nóg składają. Wiele także jest medalów z portretami Napoleona, ale szczególny jeden ze szkła; jest on zrobiony ze srebrnej jakiejś masy, którą szkłem białem naokoło oblano i potem wyszlifowano, tak iż portret zdaje się być cudownym sposobem wewnątrz szkła bez żadnego zewnętrznego przystępu osadzony.

Generał, będąc w Paryżu za czasów rewolucji, miał zręczność dostania wielu osobliwości starożytnych, które należały do głów koronowanych. Tak np. posiada kosztowną szkatułę srebrną, naokoło rzeźbami z czerwonego koralu otoczoną i drogiemi wysadzaną kamieniami, która należała niegdyś do Katarzyny de Medicis, królowej francuskiej. Ma także szczególny łuk, będący

niegdyś własnością Marji Antoniny, żony Ludwika XVI. Obie te sztuki niewymownie są piękne i kosztowne.

Arsenał generała znakomity jest rozmaitego gatunku szczególnemi orężami. Kosztowne są karabiny i puginały tureckie, drogiemi wysadzane kamieniami. Bardzo piękne strzelby i pistolety angielskie, między któremi osobliwa jest fuzja ukryta w lasce, która za pociśnieniem sprężyny wystrzela.

Gabinet generała Kossakowskiego posiada jeszcze skarb rzadki ze starożytności polskich. Jest to siodło walecznego Stefana Czarnieckiego, darowane mu od króla Jana Kazimierza. Siodło to jest bardzo kosztowne, złotemi blachami okryte i drogiemi kamieniami wysadzane. Przy nim zachowuje się dotąd patent królewski, stwierdzający rzeczywistość tego starożytności polskiej zabytku. Nie wiem, jakim sposobem siodło to dostało się Kossakowskiemu. Przytem znajdują się tu starożytne zbroje Polaków, pancerze i kirysy, tudzież buławy hetmańskie i może nie mniejszej wagi przedmioty...

Nakoniec część czwartą gabinetu generała zajmują pamiątki, dane mu od rozmaitych osób. Pomiędzy wielu listami, sztambuchami, które otrzymał od różnych znakomitych osób we Francji i kilku sławnych pisarzów francuskich, znajduje się najwięcej pamiątek od pani de Genlis, które okazują, iż generał ścisłą złączony był przyjaźnią z tą sławną autorką. Wiadomo, iż ona celuje robotą nadzwyczajnie delikatnych kwiatów i innych subtelnych przedmiotów, z jedwabiu wyrabianych, tudzież robieniem przedziwnych mozaik; takich kilkanaście sztuk posiada generał, które w kosztownym i misternym sztambuchu, wraz z rysunkami, listami i innemi pani de Genlis pamiątkami, zachowuje...

d. 29 maja. W ciągłem dnia dzisiejszego zostawaliśmy oczekiwaniu przybycia wysokiego podróżnego, dla którego tyle porobiono przygotowań, aby go, stosownie do jego wielkości, przyjęto. Po południu wieść się rozeszła, że już wyjechał z Trok, gdzie popasał, i koło wieczora spodziewany w Wilnie. Naówczas wszczął się ruch w mieście, jaki trudno opisać. Krzątano się nieustannie około zamiatania ulic i wyczyszczania miasta. Wielu urzędników wojskowych wierzchami udało się na Pohulankę, którędy król pruski miał przejeżdżać. Policmajster Szłykow, na czele kom-

panji żandarmów, wyjechał naprzeciw królowi dla eskortowania w czasie przejazdu przez miasto. Na całej ulicy zebrało się niezmierne mnóstwo pospólstwa aż do samej bramy, przez którą miał wjeżdżać. Wszystkie okna od ulicy od kilku godzin zajęte były przez damy, które ciekawe były widzieć króla pruskiego, a osobliwie królewicza, następcę tronu, mającego sławę z przystojności swojej. Nakoniec postrzeżono kilku pędem lecących gońców do pałacu generał-gubernatora Korsakowa dla doniesienia, iż król pruski wjechał do bramy miasta. Wkrótce potem, o godzinie 5-tej, zobaczyliśmy powóz królewski, ciągnięty przez 8 koni, otoczony kilku generałami na koniach; poprzedzał ekwipaż Szłykow na czele żandarmów. W powozie siedział król pruski, przebrany po podróżnemu, a obok niego jakiś stary Prusak, podobno adjutant jego. Przejeżdżając przez ulicę, był grzeczny i kłaniał się wszystkim, którzy przed nim uchylali kapelusze. Zawieziono go do pałacu Korsakowa, a wysiadającego z powozu przyjął gubernator na czele znaczniejszych cywilnych i wojskowych urzędników. Wszedłszy do pokojów dlań przeznaczonych, przebrał się w mundur generalski i udał się do odwachu, na dziedzińcu będącego, dla pozdrowienia żołnierzy i oficerów, w paradzie uszykowanych. Gdy przechodził koło szeregów, żołnierze powitali króla radośnym okrzykiem: Ura! Obejrzał potem oficerów, poczem zostawał kilka minut na dziedzińcu, rozmawiając z generałami. Wtedy miałem zręczność dokładnego mu przypatrzenia się. Jest to mężczyzna dosyć słusznego wzrostu, niezbyt otyły, nierównie młodszy napozór wydający się, niż jest w istocie; ma bowiem lat około czterdziestu kilku, lecz włosów siwych wcale na głowie nie znać. Fizjognomia jego wcale jest nieznacząca w porównaniu z naszym monarchą (Aleksandrem I). Twarz pociągła, nos nieco spiczasty, faworyty i wąsy niewielkie, włosy blond, w mówieniu głos gruby, ale co szczególna, że zdaje się, iż mówiąc zęby ściśnięte trzyma i, brwiami ściskając, zbliża je do siebie, co mu nadaje fizjognomję jakąś marsowatą. Zresztą postać jego nie jest tak ujmująca i przyjemna, jak imperatora Aleksandra. Oto jest opisanie postaci Fryderyka Wilhelma III, króla pruskiego, tak, jaką mi się wydała. Pogadawszy nieco z Korsakowem i Trubeckim, skłonił się i odszedł do swych pokojów, gdzie miano mu dać kolację.

W tym czasie dano znać, że zajeżdża drugi ekwipaż, wiozący królewicza pruskiego. Żołnierze stanęli pod bronią, gdy powóz zajechał. Korsakow, wysiadającego przywitawszy, zaprowadził do pokojów oddzielnych. W kilka minut królewicz przebrał się w mundur i zszedł na dziedziniec dla obejrzenia żołnierzy w odwachcie. Jest to zapewne jakiś zwyczaj, iż panujący, przejeżdżający przez kraj sąsiedni, pozdrawiają najpierwej wojskowych. W tej okoliczności miałem sposobność przypatrzenia się królewiczowi. Podobała mi się postawa jego. Wzrost ma mierny, ale jak na wiek swój, gdyż nie więcej zdaje się mieć nad lat 20, (ur. w 1795 r. miał zatem 23 lata *p. w.*) nazbyt jest otyły. Twarz okrągła, bardzo przyjemna, słowem, królewicz pruski jest bardzo przystojny mężczyzna.

Po przeglądzie żołnierzy i oficerów królewicz, zatrzymawszy się na dziedzińcu, rozmawiał z generałami przez kilka minut, poczem udał się do swoich pokojów. Na dziedzińcu zebrało się niezmierne mnóstwo ludu ciekawego, aby zobaczyć Fryca. O godzinie szóstej wieczór król z następcą swoim wsiadł do otwartego kocza z Korsakowem dla objechania miasta i zobaczenia znaczniejszych zakładów w Wilnie. Oglądał naprzód katedrę, arsenał, potem kościół grecki i luterski, nakoniec, przejeżdżając przez wszystkie znaczniejsze ulice, przypatrywał się miastu. Wieść roznieśli, że miał się znajdować na teatrze. Jakoż loża umyślnie przygotowana i paradnie przybrana została. Obrano sztukę N a g r o d a, operę, po której baletmistrz Bernardelli z kompanją, mieli dać nowy balet pod tytułem: F l e t z a c z a r o w a n y; ewolucje grenadjerów i *tableau* miało kończyć dzisiejsze widowisko. Afisze po francusku wydrukowano. Loże wszystkie zajęte były wcześnie ciekawemi damami. Natłok na parterze był trudny do zniesienia, wszystkich zaś celem było widzenie raczej wysokiego gościa, niż znajdowanie się na balecie. Z tem wszystkiem wszyscy szkaradnie zawiedzeni zostali, gdyż jego królewska mość dla utrudzenia w podróży, chcąc sobie odpocząć, nie raczył znajdować się na przygotowanym dla niego spektaklu. Tak więc, naczekawszy się nadaremnie do ósmej godziny, o której przyszła rezolucja, musiano przestawać na widzeniu dwóch jakichś Prusaków, którzy miejsce królewskie w loży zajęli. Pomimo to jednak ja nie żałowałem, żem na teatr poszedł,

gdyż widziałem bardzo piękny balet, a nadewszystko podobały mi się ewolucje żołnierzów. Było tam ze 40 grenadjerów z pułku, który niedawno do Wilna przymaszerował. Od dwóch dni wzięto ich na naukę do teatru i wyśmienicie pojęli, co ich nauczano. Najstosowniej do muzyki wykonywali oni różne obroty i figury z karabinami, które, składając podług różnych pozycyj, formowali niby wrota i wchody, którędy baletnicy przebiegali z chorągiewkami. Wreszcie niepodobna tego opisać, co oni wyrabiali, zdaje się, iż łatwiej jest pojąć. Na końcu spektaklu uformowało się *tableau* z tychże samych baletników i żołnierzy; pierwsi dali widzieć imiona: Aleksander i Fryderyk, żołnierze zaś, skupiwszy się w kilka grup wcale pięknych, zdawali się tym imionom przypatrywać. Na tym *tableau* zakończyło się widowisko, które dla oczekiwania na króla pruskiego nadzwyczaj długo się pociągnęło, trwało bowiem do godziny blisko 11-ej.

Wyszedłszy z teatru, spostrzeżono w całem mieście iluminację. Osobliwiej nad inne jaśniały budynki naprzeciw okien pokojów króla pruskiego. Katedra także pięknie była oświecona. Cała ulica Zamkowa i Niemiecka, bramy Uniwersytetu i innych znaczniejszych gmachów rzęsistem jaśniały światłem. I tak zakończył się dzień dosyć znakomity w dziejach miasta Wilna; niewiadomo, jak długo zabawi król pruski. Żeby też czemkolwiek uświetnił tu bytność swoją, gdyż dotąd nic szczególnego nie było.

d. 30 maja. Ale Fryc nadspodziewanie dla wszystkich, dziś z rana o godzinie 5-tej z Wilna wyruszył. Tym sposobem pokazał się wielkim spekulatorem, gdyż nigdzie nie był, gdzieby należało królewską jakąś pamiątkę po sobie zostawić. Wczoraj Korsakow, oprowadzając go po Wilnie, proponował mu, aby raczył oglądać Dom Dobroczynności. Ale zręcznie się wymówił od tego, gdyżby mu tam należało dobroczynnym po królewsku się okazać. Miał także opatrywać Uniwersytet i gabinety, ale tego zaniechał, domyślawszy się, że wypadałoby mu jaki gabinetowy prezent z Berlina tutejszemu Uniwersytetowi darować. Nie był i na teatrze, choć, jak powiadają, jest nadzwyczajnym jego amatorem, tak dalece, że w państwie swojem nie opuszcza parafjalnych nawet teatrzyków, gdzie farsy same zaledwie grane być mogą. Tu zaś, gdyby się znajdował na teatrze, musiałby za lożę stosownie do swojej godności zapłacić. Słowem unikał widzenia

tego wszystkiego, gdzieby należało królewski grosz zostawić. W przeciągu swojej bytności szczodrobliwym się tylko okazał dla usługujących mu lokajów, wysypując im z garści... 15 dukatów! Słyszałem, że marszałkowi dworu Korsakowa darował pierścień kosztowny... czeskiemi kamykami wysadzany. Tutejsi panowie urzędnicy miejscowi bardzo niekontenci byli z króla pruskiego. Niektórzy z nich, osobliwie Szłykow, pracowali jak woły, biegając tu i owdzie po mieście dla okazania porządku w mieście, a to wszystko było w nadziei dostania orderu *pour le mérite.* Jednakże Fryc zawiódł wszystkich ich nadzieję i może nieubłaganą w nich nienawiść ku sobie zostawił...



Ignacy Domeyko.

IGNACY DOMEYKO

FILARECI I FILOMACI

List Ignacego Domeyki do Bronisława Zaleskiego po dziś dzień jest najważniejszem źródłem pamiętnikarskiem do dziejów Filomatów i Filaretów. Pisany przez jednego z najgorliwszych działaczy w związkach młodzieży wileńskiej, gorącego patrjotę, żołnierza i uczonego, odznacza się prawdomównością, trafną charakterystyką osób i wypadków.

Kochany Panie B..........

Pół wieku minęło od czasów i wypadków, o których mi każesz pisać; trzydzieści i dwa lata, jak wiesz, przeżyłem o tysiąc mil od Polski, między Amerykanami; osiadły republikanin, nie z teorji, ale w praktycznem życiu, skołatany tylu przeciwnościami i zawiedzionemi nadziejami, przypomnęż sobie, co za wiosennych lat świeciło mi w serdecznem życiu z tylu zapaleńcami, którzy już wszyscy prawie poumierali? Oh! gdyby myśl i uczucie były pod jakim bądź względem płodami materjalnych sił i czynników, któżby szukał i pocóżby miał szukać tego, co ubiegło i co bez wątpienia już przemarło, przegniło, przerzuciło się w proch i nicość? Tymczasem, to, co było, porywa nas i unosi wyżej i silniej, niż to, co jest, i w tem, co było, żyjemy ciągłą młodością, naprzekór siwiźnie naszej i schyleniu.

Trudno tylko i codzień trudniej wysłowić, wypowiedzieć, co jakby przymglone od tylu zewnętrznych burz i zawiei tuli się do duszy; jak zestarzałemu śpiewakowi, co traci głos, trudno wyśpiewać te słodkie akordy i melodje, które nieustannie grają w jego duszy i zdają się już należeć do lepszego, do wyższego świata.

Tak mi też trudno dziś władać piórem, kiedy się bierze do pisania o szczęśliwych latach naszej wileńskiej młodości, o której niepodobna wspomnieć bez wywołania z grobu Zana, Adama, Czeczota i tylu innych. Wiem, pewien jestem, że pamiętam, że widzę całą ową przeszłość: nie zmarnowałem, nie zgubiłem, wałęsając się po dalekich krajach, nic z tego, co wyniosłem z domu; ale wypisać, przelać na papier to, co się działo, niepodobna. Co słowo — to się przerywa nić, co chwila — to się przypomina i zapomina, a im się bardziej natęża chęć i pamięć, tem się wydatniej czuje bezsilność i niemożność.

Zacznę jednak.

Było to za czasów kuratorji ks. Adama Czartoryskiego, którego wpływom i zabiegom winien był Uniwersytet Wileński wiele wolności i pewien samorząd, że szczęśliwym zbiegiem okoliczności spotkali się z sobą i zaprzyjaźnili się w tymże Uniwersytecie: Zan, Jeżowski, Malewski i świeżo przybyli ze szkół nowogródzkich — Czeczot i Mickiewicz. Do nich przyłączył się wkrótce Pietraszkiewicz, Łoziński, a potem innych pięciu. To było pierwsze grono, którego wpływ na ówczesną młodzież nie łatwo jest określić i dostatecznie ocenić.

Z początku nie myśleli oni zapewne o niczem więcej, jak żyć z sobą ściślej, niż z innymi, widywać się jak najczęściej, szukać wspólnej zabawy i nauki. Rzecz dziwna! różnili się z pozoru ci młodzi ludzie w charakterze, w humorze, rzekłbyś, w skłonnościach i usposobieniu. Zan uczył się nauk fizycznych i matematyki, Jeżowski oddany był filozofji i filologji, Malewski chodził na odczyty prawne; Mickiewicz przekładał nadewszystko historję i literaturę nowożytną, a choć był jednym z najlepszych uczniów Groddcka, nie lubił katedr uniwersyteckich, nudziły go, sam sobie był profesorem. Czeczot sposobił się na adwokata przy nader nudnym i suchym mecenasie, chodził ze statutem i papierami pod pachą; Kowalewski cały był zatopiony w łacinie i greczyznie. Drudzy, jak Pietraszkiewicz, Łoziński, uczyli się nauk przyrodzonych, a jednocześnie chodzili na lekcje literatury polskiej Borowskiego i starożytnej Groddcka. Wszyscy bez wyjątku byli miłośnikami Lelewela i w stosunkach bliskich z Kontrymem, bibljotekarzem uniwersyteckim, człowiekiem bardzo zacnym, nieco gderą, kapryśnym i nieprzyjacielem szlachty, ale przystępnym dla wszystkich, ruchawym i wielkim budzicielem do pracowitości i oświaty.

Zimny i poważny, blady, najczęściej zadumany Józef Jeżowski mało mówił i rzadko kiedy wdawał się w żarty, sprzeczki i dyskusje, a kiedy zabierał głos w rzeczy, tyczącej się dobra kraju, to zawsze mówił spokojnie, poprawnie, z najsurowszą logiką i do przekonania. Pochodził on z okolic Humania; był nader surowych obyczajów, lubił samotność, wiele czytał, mianowicie autorów klasycznych starożytnych; w filozofji trzymał się Kanta, ale nikomu nie narzucał swoich przekonań. Równie

surowy dla siebie, jak pobłażający dla drugich; pamiętam, kiedy razu jednego opowiadano jakiś czyn, w którym było związane głupstwo z wielkiem upodleniem i nikczemnością, a myśmy się srodze oburzali na człowieka, który go popełnił, i ze zgrozą powstawaliśmy na samo wspomnienie szkaradnego czynu, spokojny Jeżowski rzekł: „W istocie, trudno powiedzieć, do jakiej klasy i rodzaju ułomności i słabości ludzkich należy rachować ten czyn; niktby go nie wymyślił *a priori*".

Jakże różny od Jeżowskiego w ułożeniu, humorze i w charakterze był Jan Czeczot. Żywy, tkliwy, wesoły, bratający się ze wszystkimi, prosty i poufały równie z najmłodszymi jak i z najnieuczeńszymi, śpiewny, czuły na wszelkie wrażenia, litujący się i gniewający się z łatwością, pobłażający mianowicie dla skromnych i pokornych, prawdziwie wieśniaczej natury; a przytem pobożny i dobry katolik: był zawsze gotów służyć nam, ale też i gderał i napominał, kiedy co niedobrego w nas obaczył: bo chciał, aby jego przyjaciele, mianowicie Adam, byli wolni od wszelkich wad, nawet powszednich.

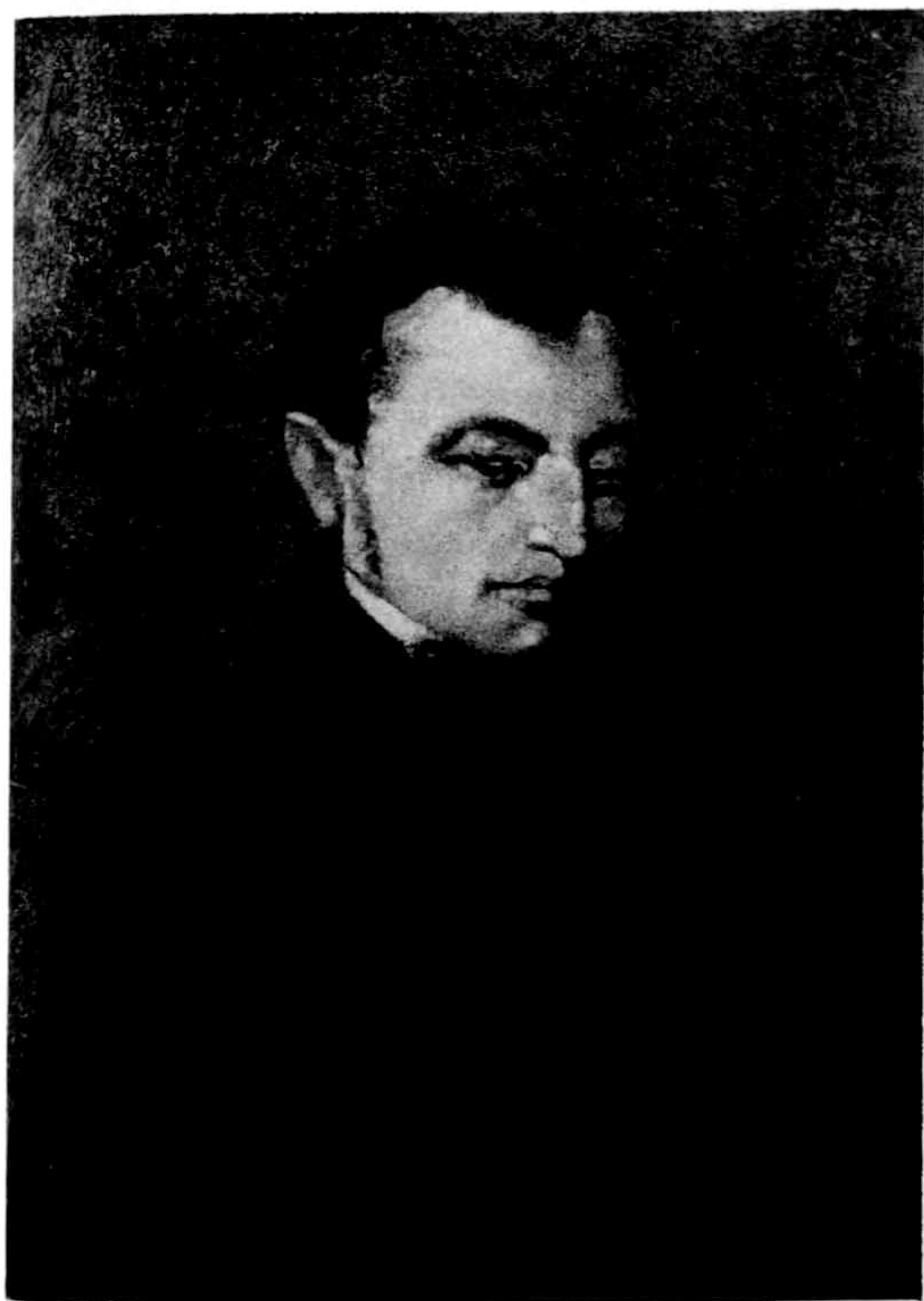
Trudniej opisać różny bardzo od poprzednich w tym czasie charakter Mickiewicza. Możnaby wprawdzie powziąć o nim niejakie wyobrażenie z jego ballad i dwóch pierwszych części D z i a d ó w, które w tym czasie napisał: nie był on jednak tak posępny i melancholiczny, jakby się z tych jego utworów zdawało; lubił być wesołym, kiedy się znajdował ze swoimi, mianowicie z Zanem, Czeczotem, Malewskim, i dziwnie przyjemnym był natenczas. Jego piękna twarz, koralowe usta, namiętne oczy, gęsty hebanowy włos, przyjemny dźwięk mowy, pewność siebie i niepospolita bystrość, — wszystko to sobie dziś przypominam i staje mi na oku jego obraz w najżywszych kolorach. Nie zajmował się on wprawdzie urządzeniem towarzystw tajnych, ani pisaniem ustaw dla nich, ani ich zawiązywaniem między młodzieżą; ale się radzono go w rzeczach, tyczących się kierunku, zasad, i celów, i słuchano go, bo jego sokole oko widziało dobrze i daleko. Powołany zbyt wcześnie na nauczyciela do Kowna, od czasu do czasu widywał się z nami, a każdy jego przyjazd do Wilna był uroczystością dla nas. On pisał pieśni dla nas, jego tylko pieśni śpiewano, a temi pieśniami panował, ożywiał, utrzymywał ducha między młodzieżą; w wierze był może natenczas

więcej poetą, niż powolnym sługą Kościoła; ale jego utwory w formie i duchu katolickie, oddana w nich w całej swej prostocie wiara i pobożność ludu naszego, wielce się przyczyniły do uratowania ówczesnej młodzieży od suchego sceptycyzmu, wolnomyślnego niedowiarstwa i materjalnej rachuby, które z taką siłą ogarniały młodzież na innych uniwersytetach.

Figurą najniepoetyczniejszą ze wszystkich był bez wątpienia Łoziński. Szerokiej twarzy, barczysty, nie wysoki, nieco twardych rysów, przekładał nad zbyteczne uniesienia życie praktyczne, dobry byt, niezależność: nie oddawał się żadnej wyłącznie gałęzi nauk, ale był dobrze obeznany tak z literaturą jakoteż z naukami przyrodzonemi i matematyką. Był on z Wołynia, z krzemienieckiej szkoły, wielbiciel Czackiego i ks. Osińskiego. Zawsze w dobrym humorze, rubaszny, umiał skarbić przyjaciół i miał przewagę między młodzieżą; zajmował się dawaniem lekcyj na pensjach panien i w prywatnych zakładach.

Nikt jednak nie dorównał w popularności, w sposobach i darze podobania się i pociągnięcia ku sobie młodzieży panu Tomaszowi Zanowi, od którego powinienem był zacząć.

Zan był z powiatu nowogródzkiego, gdzie miał bardzo szanownego stryja, który się nim opiekował, księdza kanonika Zana, proboszcza w Połoneczce (o dwie mile od domu rodziców moich). Był, jak to mówią, człowiekiem powszechnym: posiadał gruntowną znajomość nauk przyrodzonych i doświadczalnych, był dobrym matematykiem i poetą, znał literaturę i historję naszą i języki starożytne; był wielkim miłośnikiem sztuk pięknych, mianowicie muzyki, którą znał dobrze, i śpiewał wybornie. Średniego wzrostu i nieco śniadawej twarzy, miał małe ogniste oczy, włos ciemny kędzierzawy, czoło wyniosłe, nieco zwężające się u góry. Kiedy śpiewał, improwizował i wpadał w uniesienie, mówiono, że z jego czoła i oczu strzelały jakoby promienie, któremi zdobywał i pokonywał serca tych, co go słuchali. Stąd poszła owa promienistość i nazwanie Promienistych, o których będzie niżej. Umiał z równą łatwością zniżać się do pojęcia niewinnych dzieci, bawić je i nauczać, jak wchodzić w rozprawy z najzimniejszymi uczonymi i z ludźmi podeszłego wieku. Zawsze wesoły, wypogodzonej twarzy, żartobliwy, lubił płeć piękną, niewinną, a był bardzo przykładny w obejściu się z nią; estetyczny, miłosny, nie



Tomasz Zan w mlodosci.

mógł znieść najmniejszego słowa w młodych ludziach, któreby zakrawało na nieobyczajność, zepsucie i zmysłowość, a nie cierpiał rozpustnych. Utrzymywał, że pierwszym krokiem do nieuczciwości, upodlenia i zdrady jest niepowściągnienie grubych skłonności, obżarstwo i rozpusta, które zarażają otaczającą atmosferę swędem i zgnilizną: to też dowodził, że muzyką i poezją, czystością obyczajów i miłością można uratować z upadku najbardziej zepsutych ludzi. Znany był też i lubiony p. Tomasz ze swoich ballad i trioletów, które śpiewano, a do których sam dorabiał muzykę; czytano z przyjemnością jego poemat *Pan Twardowski*, i on urządzał muzykę do śpiewów, które przysyłał nam z Kowna Mickiewicz. Utrzymywał się z dawania prywatnych lekcyj i był guwernerem Władysława, Józefa i Aleksandra, synów pana Jana Chodźki (autora *Pana Jana ze Świsłoczy*), i młodych Śliźniów z Nowogródzkiego.

Najrubaszniejszy z całego grona, najruchawszy, istny zapaleniec, był Onufry Pietraszkiewicz: na niego spadała mianowicie materjalna praca w urządzeniu towarzystw, on był mistrzem ceremonji, archiwistą, skarbnikiem; przyrządzał małe uczty, kiedy chodziło o obchód przyjazdu Adama z Kowna lub jakich imienin. Jedynym jego żywiołem i warunkiem bytu była narodowość, dobro kraju, przeszłość i przyszłość Polski. On tylko jeden nosił wąs zawiesisty na pamiątkę Sobieskich, Pułaskich, i lubił śpiewać: „Ozdobo twarzy, pokrętne wąsy"; nienawidził Moskalów, jak piekła. Znałem go od lat szkolnych, bo był moim guwernerem w Szczuczynie, a potem ze mną na oddziale nauk fizycznych w Uniwersytecie.

Różniący się od wszystkich z powierzchowności, choć tychże samych uczuć i zasad, był syn ówczesnego rektora, Franciszek Malewski. Był to prawnik, większy od wszystkich nas polityk, światowy, znający wyższe towarzystwo, mówił czysto, jasno, ze zdrowym rozsądkiem; władał z łatwością nowożytnemi językami i dobrą łaciną bronił swojej rozprawy na magistra prawa; przytem dobrego humoru, przyjemnej twarzy, znawca i lubownik sztuk pięknych, towarzyski i praktyczny.

Owóż siedmiu młodych uczniów uniwersyteckich, którzy od zbliżenia się ku sobie uczuli pierwszy popęd do wywarcia wpływu na młodzież wileńską. Nie mam potrzeby powtarzać,

że siłą tego popędu i bodźcem do czynności, a głównym celem było dobro kraju, stara Polska, przechowanie narodowości i charakteru polskiego.

Wielkie i nieustanne konspiracje ryły natenczas Europę, wywoływane panowaniem świętego przymierza we wschodnich i środkowych państwach, a restauracją burbońską w zachodnich. Mnożyły się tajne towarzystwa; po czarnych lochach nurtowało życie polityczne, szukało siły w przysięgach, którym nie wierzyło, w sztyletach, intrygach i w sztucznych organizacjach, o ile było można, zabezpieczających towarzystwa od wzajemnych zdrad i podstępów. Masoństwo, karbonaryzm, etc. podkopywały porządek towarzyski. Jak w obsaczeniu i zdobywaniu twierdzy, tak w tem ubijaniu się wolnych przeciw samowoli prowadzono miny i kontraminy; z pod otwartego despotyzmu zaciągali się ludzie do sekretnej służby, do podziemnego zaklęcia, z pod policyjnych straży i inkwizycji pod terroryzm zakrytego mistrza i tajemnej rady. Plątana w owe zaklęte kluby i towarzystwa młodzież nawykała do intrygi, skrytości, obłudy, niedowierzania sercu i przyjaźni, jak to wyjawia ów napis w weneckiem więzieniu: „Broń mię, o Boże! od przyjaciół moich, bo od nieprzyjaciół sam siebie obronię".

Były więc w tym czasie towarzystwa tajne na porządku dziennym: były czasową koniecznością; i nic bez nich w Moskwie, jak w Turynie, w Warszawie, jak w Madrycie i po całych Niemczech obejść się nie mogło.

Ten sam duch ogarnął i naszych siedmiu przyjaciół; ale też odrazu pojęli oni, i w tem ich wielka zasługa przed Bogiem i krajem, jakie niebezpieczeństwo groziło tajnym towarzystwom, nie tyle ze strony rządu, który już szukał pretekstu do ścieśnienia wolności uniwersyteckiej i do prześladowania niewinnych, ile z uwagi na zepsucie, a przynajmniej na osłabienie moralnego charakteru i obałamucenie umysłów naszej szlachetnej, poczciwej młodzieży, gdyby ją usiłowano podciągnąć pod włoskie i niemieckie formy tajemnych klubów, demagogicznych zborów, sztyletowych zaprzysiężeń i ślepego poddania się ukrytej i nieprawej hierarchji.

Pierwej nim się wzięto do napisania dla siebie ustaw, wymienieni towarzysze już byli towarzystwem uorganizowanem;

spokojnie naradzali się, nie spisując rozpraw i protokółów. Widzieli jasno, że do zbliżenia ku sobie i związania młodzieży w tajne towarzystwo należało unikać wyraźnie celów politycznych: kochać Polskę, chcieć Polski, to jedyna polityka dla nas; i potrzebaż do tego propagandy, wtajemniczenia, konspiracji niewczesnej? potrzebaż tajemnych schadzek, sekretów, sprzysiężeń, na to, co każdemu na myśli, co we krwi i kościach naszych? Byłożby rozumniej przybrać dla zjednoczenia młodzieży jakie godło socjalne, jaką wyłączną doktrynę? Nieprzyjaciel nas zrównał; odjęciem wolności nauczył ją kochać; a przypuściwszy, że cała wielkość naszej przeszłości, nasz duch narodowy katolicki, nasz upadek nie zaszczepiły, lub nie zdołają zaszczepić w młodych pokoleniach zupełnego braterstwa, toć nie narzuceniem jakiej nowej doktryny, lub sztucznem upstrzeniem umysłów w jakie socjalne dogma zdołanoby pobratać z sobą młodzież, owszem podzielonoby ją na partje, co z łaski bożej nieznane było wówczas między nami, ni z rzeczy, ni z imienia.

Potrzeba jednak było zjednoczenia; nadchodziła epoka dotkliwszych prób i sroższego prześladowania: należało szukać sposobów do przechowania języka, literatury, podań historycznych, do ożywienia i utrwalenia charakteru i ducha poświęcenia się, prostoty i rozumu wobec chytrego wroga. Jakże się wziąć do tego, żeby nie ściągnąć odrazu podejrzenia rządu i nie narazić samego Uniwersytetu i jego młodzieży na niebezpieczeństwo? Uchwycono się nauki, potrzeby uczenia się, potrzeby oświaty, za cel towarzystwa tak, aby nawet na przypadek jego odkrycia było się czem zasłonić przed nieprzyjacielem.

To było powodem, że nasi założyciele pierwszego towarzystwa przyjęli dla niego imię Filomatów i zastrzegli w pierwszym artykule swoich ustaw, że się nie będą zajmować polityką, tylko propagandą naukowej oświaty i braterstwa między uniwersytecką młodzieżą. Ustawy były krótkie i, jak było można, najprostsze: prezes, sekretarz, skarbnik (opłata nie przechodziła dwóch złotych na miesiąc); na posiedzeniach czytano literackie prace i naukowe rozprawy, w których przedewszystkiem przestrzegano czystości języka, a przedmiotem ustnych narad miało być wyłącznie obmyślanie środków, dążących ku szerzeniu

oświaty i braterstwa między młodzieżą, ku utrzymaniu w niej narodowego ducha, tak, aby każdy przekładał dobro powszechne nad interes prywatny i szanował bardziej cnotę i uczciwość obywatelską, niż wszelkie dostojności światowe, bogactwa i wyniesienie się. W pożyciu zaś między członkami Towarzystwa zalecano przedewszystkiem szczerość i wzajemną pomoc.

Prezesem Filomatów od początku aż do rozwiązania Towarzystwa był Jeżowski, sekretarzem Pietraszkiewicz. Posiedzenia odbywano co dwa tygodnie, a w razie potrzeby częściej, ale zawsze w tajemnicy; na nich czytał każdy prace swoje w gałęzi nauk, którym się poświęcał, a potem naradzano się nad sposobami rozszerzenia się Towarzystwa i jego działaniem nazewnątrz. W szukaniu mianowicie i przyjmowaniu nowych członków zachowano wiele ostrożności; wyznaczono na to osobnych komisarzy dla śledzenia i poznawania kandydatów i nie pierwej wyjawiano nawet już wybranym na członków byt Towarzystwa, aż się zupełnie przekonano, że nowo wybrany zgadzał się całkiem na zasady, przyjęte w organizacji tego Towarzystwa. Pospolicie używano do tego następnej filuterji. Dwóch czy trzech członków, wyznaczonych do poznania kandydata, proponowało mu założenie towarzystwa, układało z nim statuta i całą organizację, odpowiednią tej, jaka była przyjętą u Filomatów, i kiedy cała ta robota udana, której on sądził się być współautorem, była ukończona, wprowadzono go na posiedzenie, oświadczając, że to, czego chciał, już egzystuje od dawnego czasu. Przy przyjęciu nowego członka nie było wielkich ceremonij, ni gróźb, ni przysiąg: co się nie zawsze było podobało panu Pietraszkiewiczowi, który na ten akt zwykł przynosić krucyfiks i wymagał, aby solenne przyrzeczenie tajemnicy i poświęcenia się dobru powszechnemu odbyło się wobec wizerunku Zbawiciela.

Nie śpieszono się też z powiększeniem Towarzystwa, a ostrożność była tak wielka, że pierwszego roku jego zawiązania zaledwo pięciu nowych członków, a na drugi rok tylko dwóch czy trzech innych przyjęto. W tym to czasie wszedł do Filomatów ś. p. Jan Sobolewski, najbieglejszy z naszych fizyków i matematyków: piękny człowiek, piękna dusza, umarł pierwszy ze wszystkich na wygnaniu w głębi Rosji, sprawując służbę inżyniera przy wodnej komunikacji (jeżeli się nie mylę) na Ładodze; i prawie

jednocześnie przyłączył się do Towarzystwa uczony nasz filolog Józef Kowalewski, najulubieńszy uczeń Groddcka, pracowity, cichy, lubiony od młodzieży: obaj należeli do instytutu nauczycielskiego przy Uniwersytecie. Wkrótce po nich przyjęto adwokata Marjana Piaseckiego, jednego z najznakomitszych adwokatów wileńskich, który potem wyszedł na adwokata Komisji Radziwiłłowskiej; i zimnego matematyka Budrewicza, kochanego oryginała, z dobrem sercem i zupełną obojętnością na przygody życia. Miał on przyjaciół i stronników, mianowicie między uczniami matematyki, których był repetytorem, i znany z wielkiego roztargnienia, jakiemu ulegał. Powiadał mi Pietraszkiewicz, że kiedy stawiono go przed policmajstrem moskiewskim i poczęto w inkwizycji od zwyczajnej formuły: „*Kak prozywajesz sia?*", zamyślony i uderzony jakąś formułą matematyczną, Budrewicz zapomniał, jak się nazywa, i pytał stojącego przy nim Pietraszkiewicza o swoje własne nazwisko, a na złość i porywanie się policmajstra uśmiechał się.

W następnym dopiero roku weszli do Filomatów ksiądz Chlewiński, który sprawował parafjalną służbę przy kościele świętojańskim, a potem wyjechał na proboszcza do folwarku państwa Chlewińskich w Nowogródzkie; zacny Kozakiewicz, który znalazł śmierć na Syberji przy żonie i dzieciach po wojnie listopadowej, i jeden białostoczanin, uczeń prawa, powszechnie kochany, którego fizjognomię tak dobrze pamiętam, że dziśbym ją odmalował, gdybym był malarzem, ale nazwiska nie pamiętam; wiem tylko, że pierwej, nim przyszło do rewolucji listopadowej, już go porwali Moskale i wywieźli na Syberję, gdzie umarł.

Nakoniec i mnie niegodnego, najmłodszego ze wszystkich wiekiem i nauką, przyjęli do siebie Filomaci, bardziej z serca niż z potrzeby.

Owóż całe Towarzystwo Filomatyczne, już urządzone i ustalone, nie liczyło więcej nad 14 członków. Jego realne życie nie było na posiedzeniach, ale w nieprzerwanem, w nieustannem znoszeniu się członków jednych z drugimi. Godziny wolne od pracy, przechadzki w okolice Wilna, wieczory zimowe do późnej nocy schodziły im na wspomnieniach przeszłości, na projektach i naradach nad sprawą publiczną, a zawsze przyszłość Polski była im na myśli. Bez wątpienia, przyjemnie jest dziś przy-

pomnieć owe posiedzenia, które z wielką powagą zagajał Jeżowski, na których Pietraszkiewicz czytał dobrze zredagowane akta, Mickiewicz swoję Grażynę, Odę do młodości i Hymn, Jeżowski, Kowalewski, Malewski swoje pierwsze filozoficzne, filologiczne i prawne próby, Sobolewski, Budrewicz matematyczne, Zan i Czeczot literackie, a częstokroć żartobliwe, krotofilne utwory; ale wyznaję, że przyjemniej jeszcze dla mnie przypominać nasze przechadzki, rozmowy i zabawy.

Były szczególnie wesołe i zajmujące, a niekiedy do białego dnia przeciągające się, nasze obchody imienin Zana, Jeżowskiego lub Adama, który na kucję przyjeżdżał z Kowna, i przyjmowaliśmy go sowicie. Nie pamiętam z jakich powodów Pietraszkiewicz miał bliskie stosunki z rządcą pałacu Paca i to nam dawało wstęp i sposobność do zbierania się na swe obchody i na posiedzenia do zamkniętych pospolicie pokojów generała, o czem sam dostojny gospodarz, żyjący w Warszawie, nie wiedział.

Na jedne ze swoich imienin, pamiętam, jakby to się dziś stało, przywiózł Adam swoję pieśń Hej, użyjmy żywota, która to pieśń stała się potem uroczystą pieśnią nietylko Filomatów, ale Filaretów i Promienistych. Na te imieniny przyrządził Pietraszkiewicz transparent, na nich Zan witał wierszem solenizanta i zdawał mu wierszem sprawę z czynności i życia Filomatów, potem śpiewał swój triolet:

Wróć Feli spokojność moję,
Bo nie wiem, co będzie ze mną;
Kocham, trwożę się i boję,
Wróć Feli spokojność moję.

Albo zakryj krasę twoję,
Albo kochaj, bądź wzajemną;
Wróć Feli spokojność moję,
Bo nie wiem, co będzie ze mną.

a był zakochany w młodej i pięknej pannie Felicji Przeciszewskiej, ale tak platonicznie, że i ona sama o tem nie wiedziała; Czeczot zaś śpiewał na powinszowanie Adamowi na nutę naszych pieśni wieśniaczych i ich narzeczem piosneczkę, którą po upływie pięćdziesięciu lat, nie wiem jakim sposobem, dziś przypomniałem, wiersze i nutę, chociaż do wierszy nigdy nie miałem pamięci:

Ach sztoż my waszeci skażem,
Prostaho sieła dziewczata,
Jakiejeż pieśnieczki zwiażem;
U nas myśl niebahata, u nas myśl niebahata.
Ale jak myślim, jak czujem,
Tak tabie zaśpiewajem,
Tak tabie powinszujem;
Nieszczyrości nie znajem, nieszczyrości nie znajem.
Budź jak lisiczka zdarowy,
Jak konik wiesieł pry trudzie;
Niech twaje piśmo i mowy
Jak sławiej hołos budzie, jak sławiej hołos budzie.

Ta pieśń już może zaginęła i sam Czeczot może jej był zapomniał przed śmiercią. Pan Onufry tymczasem przyrządzał herbatę, łakocie i dobył węgrzyna, a potem zaintonował: Za szumnym Dniestrem, na Cecorskiem błoniu i ulubione jego: W szlachetnym domu, znanym tylko z cnoty. Na jutrznię dzwoniono, kiedyśmy się rozeszli.

Kiedy Adam był znudzony i zapadał na tęsknotę w Kownie, to do niego jeździli nasi w gościnę i razu jednego wybieraliśmy się do niego iść piechotą: wszystko było przygotowane do podróży i nie pamiętam, co stanęło na przeszkodzie do jej wykonania. Mogę powiedzieć, że, choć oddalony na wiele mil od nas, Mickiewicz był duszą Towarzystwa.

Pierwsi też Filomaci znacznie się przyczynili swoim wpływem na młodzież do wspaniałego przyjęcia, jakie znalazł Lelewel za powrotem do Wilna, kiedy w skutek konkursu na katedrę historji był mianowany profesorem Uniwersytetu. Żadna z najobszerniejszych sal uniwersyteckich nie wystarczyła na pomieszczenie uczniów, którzy się zbiegli na otwarcie jego kursu; musiano odłożyć to otwarcie na drugi dzień i przeznaczyć na to ogromną salę, która się otwierała tylko raz na rok, to jest: w dzień, kiedy cały senat profesorów w ponsowych togach i biretach zbierał się na zamknięcie roku szkolnego i niesiono duże srebrne berło przed rektorem. Zasiadł na krześle rektorskiem Lelewel nieco skurczony, patrząc z ukosa ku ziemi, wśród okrzyków tysiąca młodzieży, a skoro począł mówić, nastała cichość zupełna i głos Lelewela nabierał coraz większej mocy i doniosłości; przy końcu

wpadł w taki zapał profesor i obudził takie uniesienie w młodzieży, jakich nigdy dotąd i potem nie widziano na odczytach w Uniwersytecie Wileńskim. W parę dni później obiegał po całem mieście znany wiersz Mickiewicza do Lelewela, który przygotował niejako uczniów do słuchania nowego kursu historji i powiększył wnich bardziej jeszcze uwielbienie i miłość ku Lelewelowi.

Trudno dziś sobie przypomnieć i dokładnie opisać wszystkie ważniejsze wypadki, które w dwóch pierwszych latach istnienia Towarzystwa zaszły w Wilnie, a w których pośrednio lub bezpośrednio brali udział Filomaci. Obudzający się duch w młodzieży akademickiej, na którą wpływ wywierali, coraz bardziej odrywał ich od wewnętrznego ograniczonego ustawą życia i dawał czuć potrzebę rozwinięcia działań nazewnątrz. Już dla nich za ciasne było koło, w którem zespolili swoję pierwotną czynność i energję, każdy zosobna przygarnął był do siebie pewną liczbę przyjaciół, z którymi starał się utrzymywać bliższe stosunki, ale środkiem ruchu i działalności był dom Tomasza Zana, który nas wszystkich przewyższał w darze podobania się i pociągania do siebie młodych ludzi. Jego wesołość, poetyczność, oznajmienie ze wszystkiemi gałęziami nauk i sztuk pięknych, otwartość i pewien takt w obejściu się czyniły go wielce popularnym. Z przyczyny, że miał pod swoją opieką wielu uczniów, jego mieszkanie w domu Kukiewicza było obszerniejsze i cisnęła się do niego młodzież, jak do ogniska zabaw i nauki. Miał też przy sobie dwóch braci równie serdecznego ujęcia jak on: Stefana, który w dziesięć lat potem poszedł na tułactwo, i Ignacego, sposobiącego się wtenczas na lekarza. Oni mu wtórowali w śpiewach i zabawach, oni przytrzymywali tych, co zrazu nie śmieli przybliżyć się do Tomasza. Tu poczynało rozkwitać grono młodych, zaledwo szesnastoletnich poetów, jak Aleksander Chodźko, Antoni Edward Odyniec, Ludwik Spitznagel, którzy dalekimi byli wtenczas od przewidzenia burzliwej przyszłości swojej. Wymyślono, jakem już powiedział, że nietylko z oczu, ale i z czoła Tomasza, ilekroć razy był otoczony swemi kochanemi dziećmi, wychodziły promienie, które przenikały duszę każdego, co był sposobny do przejęcia się uczuciem cnoty i piękności, a odbijały się w powietrzu lub gasły, ilekroć napotykały na zimne lub nieczyste serce.

Nadchodziła wiosna (było to w 1819 czy 1820 roku, mniejsza

o datę); umyślono wyprawić „majówkę", zapraszając do niej tych wszystkich, których uważano jakoby upromienionych miłością Tomasza, — i tych wszystkich, których Filomaci mieli już na oku. Żeby nie zwrócić na siebie uwagi policji, uradzono pójść daleko na Popławy, zbierać się jak najciszej na rozmaitych punktach w mieście i iść spokojnie różnemi ulicami aż do wyjścia na zieloną dolinę, za którą piękne wzgórze o milę za miastem wyznaczono na miejsce zebrania.

Jakoż słońce poczynało wschodzić na czystem pogodnem niebie, kiedy się poczęły ukazywać wychodzące z miasta na ową dolinę pierwsze oddziały, liczące 20 do 30 uczniów, którzy różnemi drogami, lub bez drogi, ciągnęli na umówione wzgórze, śpiewając wesołe pieśni, zbierając kwiaty i zrywając gałązki świeżo rozpuszczonych krzewów. Na wzgórzu przygotowane były wiadra z mlekiem, biały chleb i świeże ciasta.

Wszyscy się już byli zeszli, tylko brakowało Zana, kiedy po chwili spostrzeżono go w towarzystwie kilku innych, jakoby o parę staj za nami, i poczęto go z daleka witać jako mistrza Promienistych. Uporządkowali się potem wszyscy w jedno obszerne koło, a skoro przyszedł Zan i stanął we środku, huknęli: Hej, użyjmy żywota, wszak żyjem tylko raz, pieśń, którą już byliśmy puścili między zaufańszymi.

Poczem przemówił Tomasz wierszem, który, jeżeli nie zaginął, da najlepsze wyobrażenie o duchu owego zebrania. Śpiewano też drugą poważną pieśń, z której pamiętam tylko jedną zwrotkę:

Pochlebstwo, chytrość i zbytek,
Niech każdy przed progiem miota;
Bo tu mają swój przybytek,
Ojczyzna, nauka, cnota!

Ostatni wiersz chórem powtarzaliśmy wszyscy. Tu zaraz poczęli popisywać się jedni przed drugimi, nasi młodzi zagorzalcy, jedni wierszem, drudzy prozą, inni wierszem i prozą, a potem przyszło do zabawy; biegaliśmy po murawie, piliśmy mleko, a co chwila to ktoś z weselszych odczytał jakiś ułamek swojego utworu.

Około dziesiątej wracaliśmy do miasta, podzieleni na od-

działy tak, jak pierwej, a że to była niedziela, uradzono pójść na mszą do kościoła św. Jana, co niemało zadziwiło publiczność, ponieważ nigdy nie widziano kościoła tak przepełnionego uczniami uniwersyteckimi, jak tego razu.

Ta pierwsza majówka Promienistych, na której, jak się łatwo domyślić, nie byli bezczynnymi Filomaci i mieli porę do poznania młodzieży, do odróżnienia szczerych i otwartych od lekkomyślnych przechwalców, lub skrytszych, którzy „nie lgnęli do fali, ani fala do nich", obudziła niezwyczajny ruch i czynność w młodzieży. Wiązali się jedni z drugimi, ponawiali wieczorne przechadzki za miasto i na nich śpiewano narodowe pieśni.

Spostrzegli Filomaci, że nie było czasu ociągać się i należało utworzyć towarzystwo odrazu liczniejsze, z zastosowaniem do jego organizacji zasad, które z doświadczenia okazały się najbezpieczniejszemi a razem najkorzystniejszemi dla nas. By zaś nie osłabić siebie, a zachować jedność i pewien niezachwiany cel raz przyjęty, postanowiliśmy zachować Towarzystwo Filomatyczne tak, jak było, tajemne, i nie przyjmować do siebie, chyba kogo, coby z zupełną szczerością i pewnością przyłączył się do naszej familji; ale odtąd Filomaci postanowili szczególnie kierować czynnościami liczniejszego towarzystwa, dla którego potrzeba było natychmiast ułożyć ustawy i dać mu nazwisko, coby nie trąciło klubem lub konspiracją, albo gotowaniem się do jakich niewczesnych rewolucyjnych ruchów. Jeżowski zaproponował nazwać to nowe towarzystwo Filaretami.

W pierwszym zaraz artykule ustaw zastrzeżono, że Filareci nie będą zajmować się polityką, a głównym ich celem będzie oświata, nauka, wzajemne braterstwo i miłość ojczyzny. Towarzystwo dzieliło się na grona czyli oddziały, stosownie do gałęzi nauk, jakim się oddawali jego członkowie i utworzono grona: prawników, literatów, lekarzy, matematyków i naturalistów. Każde grono miało swego prezesa, sekretarza i skarbnika, a całe Towarzystwo głównego prezesa i sekretarza; wszystkie wybory odbywały się otwarcie i większością głosów. Żadnych sekretów, ni hierarchicznych wymysłów, żadnych znaków, ni ceremonij, mistrzów, ni sędziów. Ustawy były krótkie i jasne, przyrzekano tylko przed nienależącymi do Towarzystwa nie wyjawiać jego

bytu, tak dla uniknienia nieprzyjemności od strony władz rządowych i uniwersyteckich, jakoteż dla dobra samych filaretów, aby nie szukali chluby z dobrych uczynków przed światem, a w cichości oddawali się naukom, zachowując między sobą zgodę, braterstwo i obyczajność.

Każdy, kto mógł, płacił filareckiego podatku złoty na miesiąc, a pieniądze obracano na książki, utrzymanie czytelni i niezbędne potrzeby.

Na posiedzeniach czytano prace w przedmiotach, które odpowiadały gałęzi nauk należących do grona, i toczyły się rozprawy w przedmiotach naukowych i literackich. Członkowie nietylko ćwiczyli się w sztuce pisania, ale też nabywali daru rozprawiania ustnie z umiarkowaniem i jasno w przedmiotach częstokroć zawiłych, przestrzegając wzajemnie przepisów dobrego wychowania, czystości języka i poprawności stylu.

Że zaś nie mieliśmy salonów na liczne zebrania i ostrożność nakazywała unikać gromadnych schadzek, mianowano i wysyłano na posiedzeniach z każdego grona delegatów na posiedzenia innych gron, a ci delegaci byli obowiązani zdawać sprawę, każdy przed swojem gronem, z czynności grona, do którego byli posłani. Mogli jednak Filareci, którzy mieli czas i ochotę, iść na posiedzenia wszystkich gron bez wyjątku, nawet nie będąc delegatami do nich, mogli nawet zabierać głos na nich, ale nie mieli prawa mięszania się do wyboru urzędników w gronach, do których nie należeli.

Z największą łatwością, bez oporu i ze zgodą powszechną, zawiązało się w jednym tygodniu kilka gron Filaretów, wybranych po większej części między promienistymi, co wzięli byli udział w ostatniej majówce. Kto ich wybrał, kto ich zebrał i urządził, nie pytano się: była to sprawa filomacka, dobrze ułożona i tak przywiedziona do skutku, że każdy z Filaretów, a znalazło się ich do stu na pierwszych posiedzeniach, sądził że był założycielem Towarzystwa. Było jednak wypadkiem bardzo naturalnym że na prezesów i sekretarzy pierwszych gron wybrali Filareci samych prawie Filomatów, jako promotorów, o których Towarzystwie nie wiedzieli, ani się jego bytu domyślali. A chociaż Filomaci kierowali czynnościami Filaretów i na swoich tajnych posiedzeniach naradzali się odtąd głównie nad utrzymaniem

między nimi zgody, porządku i uchronieniem ich od zejścia z obranej drogi, starali się, jak mogli, badać ich ducha, zadosyćuczynić ich chęciom i dążeniom, nie przeciwić się ich słusznym wymaganiom.

Zbierały się tedy grona Filaretów co piętnaście dni, niektóre co miesiąc, dla czytania swoich prac literackich i naukowych; żyli z sobą w bliższych stosunkach, niż z nie należącymi do Towarzystwa, pomagali sobie wzajemnie tak w utrzymaniu się, jak i w nauce; szukali jedni drugich w wolnych od pracy godzinach, na zabawie i przechadzkach, na których może lepiej objawiały się duch i życie Towarzystwa, niż na posiedzeniach.

Od początku też obmyślono uorganizować odczyty prywatne dla Filaretów i w tym celu pierwszej zimy Kowalewski otworzył lekcje łacińskiego języka i literatury starożytnej, Józef Chodźko fortyfikacji, Malewski prawa rzymskiego, Jeżowski historji, filozofji etc., ja gotowałem się na otworzenie na rok przyszły kursu geografji fizycznej, według nowszej metody, do czego i do innych odczytów sprowadziliśmy wiele książek niemieckich i angielskich. W istocie mogę powiedzieć, że wpływem Adama, Jeżowskiego i Malewskiego wzięto się szczerze do poznania języków i literatury niemieckiej i angielskiej, miano niejako w lekceważeniu autorów nowożytnych francuskich.

Zamyślano też wydawać jakiś przegląd literacki i naukowy, do którego w istocie zaraz w pierwszym roku istnienia Filaretów ukazało się wiele prac i rozpraw, godnych ogłoszenia drukiem, a w nich przebijał głównie duch narodowy i cel rozszerzenia oświaty w kraju.

Przeszła zima szczęśliwie, a na wiosnę znowu wyprawiono dwie czy trzy majówki, na które zapraszano młodzież, nawet nie należącą do Towarzystwa Filaretów, upatrując między nią zdolniejszych i sposobniejszych do nowego zaciągu. Na tych bowiem majówkach, noszących zawsze imię Promienistych, pod gołem niebem, na zielonej dolinie, przy wzajemnem wylaniu się, łatwiej się otwierały serca i wychodziła najaw dusza.

Pamiętam jedną z tych miłych schadzek w przewodnią niedzielę do folwarku, zwanego Markucie, sławnego fijołkami i śpiewem swoich słowików, położonego na Popławach, o milkę od miasta, na wysokiem wzgórzu, z którego opodal widne były Po-

nary, Bekieszowa góra i całe Wilno, jak na dłoni. Nie byłać to majówka, ale kwietniówka, bo przewodnia niedziela przypadała w kwietniu, i chcieliśmy tego dnia mieć wspólne święcone. Każdy niósł, co mógł, na to święcone: ten pieczonego baranka, ów szynkę czy półgęski, ów babę lub mazurka, niejeden pieśń tylko nową lub stosowne do uroczystości wiersze, a większa liczba dobre serce tylko, dobry humor i zdrowy żołądek. O świcie były zastawione stoły, a na nich nic jeszcze; ale w pół godziny ożywiły się Popławy pieśniami ciągnących rozmaitemi drogami filareckich gron i zaproszonych gości z tłomokami i koszykami, a niejeden niósł w zanadrzu butelkę, choć było zapowiedziano, że tylko świeże mleko pić będziemy. W godzinę uginały się już stoły pod ciężarem przyniesionych jadeł; poświęcił je ksiądz i przystąpiono do podziału jaj wielkanocnych na tyle cząstek, ilu było zebranych braci. Wzięto się do święconego nie bez wstępnych przemówień pana Tomasza wierszem i prozą i naprzemian śpiewano i deklamowano wiersze. Wesołość była powszechna, a przy końcu, kiedy się już gotowano do powrotu, siedzący na murawie pod drzewem nasz kochany Czeczot śpiewał swoją umyślnie na ten dzień ułożoną pieśń:

Wstał pan Kwiecień z martwych ninie,
Uweselił lud swój mile,
Co nudnej zimy wlókł chwile,
Aleluja, aleluja! (bis-chór.)

Zebrali się bracia mili,
Aby jedli, aby pili
I przystojnie się bawili,
Aleluja...

Lecz nie mniemaj zrzędo jaki,
Że to jest ich zwyczaj taki,
Aby żyli, jak próżniaki,
Aleluja...

Są oni i pracowici,
I cnotami znamienici,
Słowem szanowni Lechici,
Aleluja...

Lubią nauki i cnoty,
Piszą co kwartał roboty
I co miesiąc dają — złoty!
Aleluja...

Tak serce kształcąc i pióro,
Miłością Ojczyzny gorą,
Ojczyzny chcą być podporą
Aleluja...

I może błysną te lata,
Że z filareckiego świata
Powstanie zmarły Sarmata,
Aleluja...

Powstanie z martwych Sarmata
Do rządu i do bułata,
I krzywdy swoje połata!
Aleluja...

Dziś błogo rosnąc śród cienia,
Po pracy dla wypocznienia
Łykniem mleka od niechcenia
Aleluja...

Po tej zwrotce porwali z radości Jana na ręce i o mało go z miłości nie udusili. Nigdy może w życiu nie widziałem tak uweselonej młodzieży i tak serdecznego wylania się. Było na tem zebraniu półtorasta uczniów uniwersyteckich; przed jedenastą wróciliśmy do miasta i poszliśmy na mszę do św. Jana.

Z tego, com dotąd powiedział, nie trudno przynajmniej będzie zrozumieć, jakie rozmiary przybierał ruch, kierowany przez Filomatów, i jakiego planu trzymali się oni w rozwinięciu swoich czynności. Na wiosennych schadzkach i na zebraniach Promienistych, pod gołem niebem, badano i poznawano młodzież, wybierano i robiono zaciągi do Filareckiego Towarzystwa, a w filareckich gronach upatrywano zdolniejszych i silniejszych do utrzymania życia w ukrytem ognisku filomackiem.

Łatwo pojąć, że w takim stanie rzeczy, Filomaci nie mieli potrzeby zajmować posiedzeń swoich czytaniem rozpraw literackich czy naukowych, bo na to już były przeznaczone posiedzenia filareckie; ale narady Filomatów były odtąd częstsze,

mozolniejsze, bo na nich chodziło o byt, bezpieczeństwo i moralne korzyści liczniejszego Towarzystwa Filaretów, do którego w samem Wilnie przeszło 130 członków należało, a ich liczba rosła nieustannie.

Między innemi widokami, które mieli na pieczy Filomaci, było szczególniej bronić Filaretów i młodzież uniwersytecką, która prędzej czy później mogła do nich należeć, od wpływu innych tajnych towarzystw i ich ajentów, którzy się poczynali pojawiać i bałamucić nieostrożnych.

Jakoż, pierwszej zaraz zimy po zawiązaniu Towarzystwa Filaretów dowiedzieliśmy się, że niektórzy z tych, co byli uczestnikami pierwszych majówek, a nie byli jeszcze weszli do Filaretów, dali się wciągnąć pod zaklęciem jakichś wichrzycieli do tajemnego klubu, którego mistrze sami jeszcze nie wiedzieli, czego chcą, ale już mieli na pogotowiu czarną izbę, przysięgi, ceremonje, trupie głowy, sztylety, znaki do poznania się i tym podobne ceregiele, któremi, jak dzieci z ogniem, bawili się i straszyli, a policja już była ich zwietrzyła. Nie tracąc tedy czasu, delegowali Filomaci Łozińskiego i mnie, abyśmy się starali wejść jak najprędzej do tego klubu i usiłowali zaradzić złemu. Rzecz nie była trudna do wykonania. Na trzeciem czy czwartem posiedzeniu tego klubu, który już zakrawał na karbonarstwo, rozsądniejsi obrali prezesem Łozińskiego, który, z urzędu swego zręcznie manewrując, przekonawszy się, że trudno było reformować, puścił w przewłokę czynności zagorzalszych, wstrzymywał od częstego zbierania się bojaźliwszych i przed końcem jeszcze zimy, za wejściem dwóch czy trzech z tego klubu do Filaretów, rozwiązał się sam przez się klub bez oporu.

Pojawił się potem na wiosnę w Wilnie młody Ogiński z jakąś propagandą sekretną, a na niego, jakby na grubszego zwierza, posłano samego pana Tomasza i trzech innych doświadczeńszych myśliwych. Mało się od niego dowiedzieli i on od nich, ale przyjęli od niego polecenie do najskrytszych ruchów między młodzieżą i na tem się skończyło. Ten sam Ogiński, jeżeli się nie mylę, brał udział w tajnych towarzystwach warszawskich i petersburskich, które odkryto z rewolucją Pestla i Murawjewa.

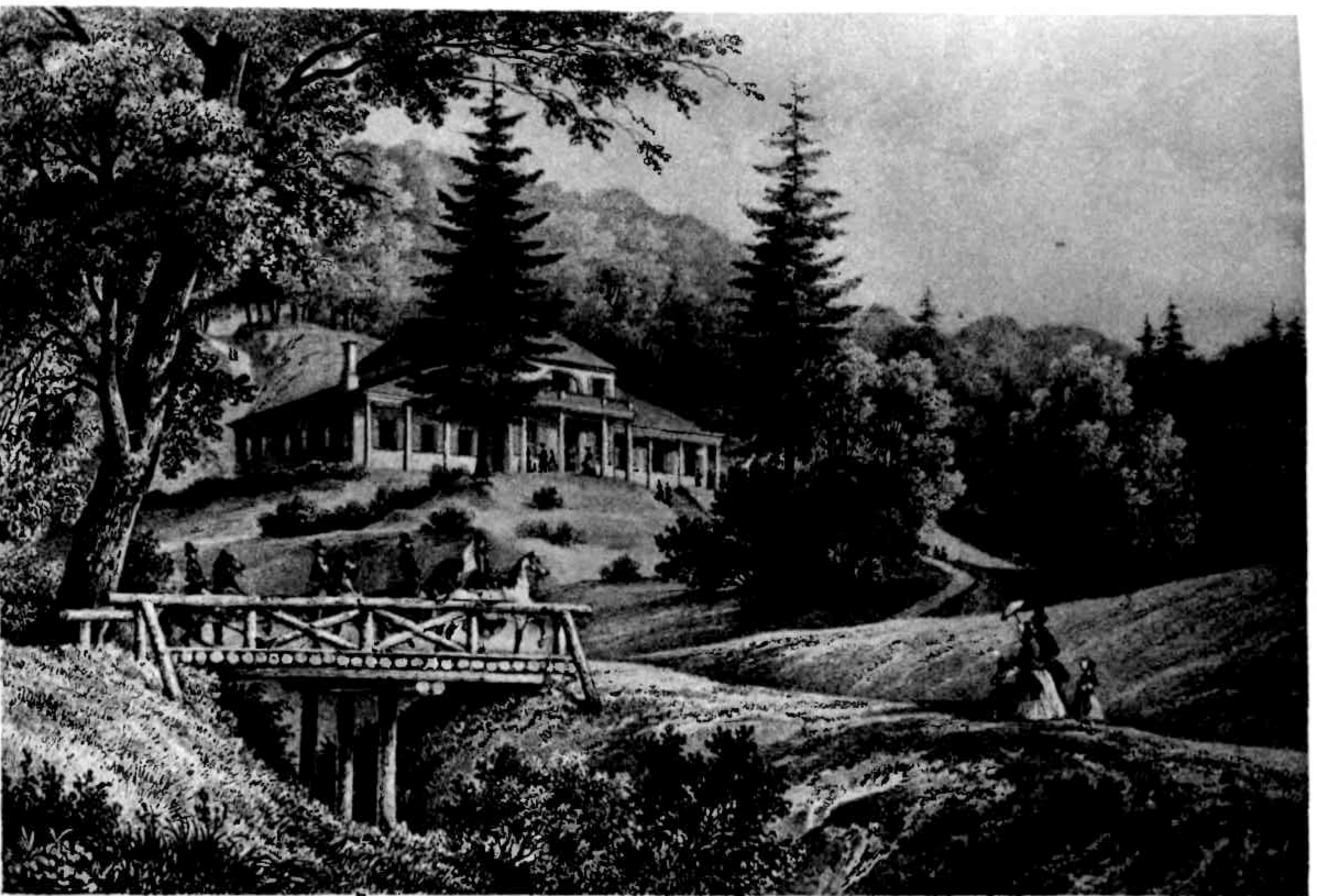
Przyjechał też później do Wilna młody Worcel i ktoś inny, których mieliśmy w podejrzeniu, że szukali tajemnych stosun-

ków z uczniami, co dało powód naszym do poznania ich i śledzenia ich obrotów. Pokazało się jednak, że ich zamiary nie miały nic niebezpiecznego, może i nie mieli oni natenczas żadnych dobrze oznaczonych zamiarów względem młodzieży uniwersyteckiej.

Za wiele byłoby z mojej strony przypominać i chcieć wyszczegółować mnóstwo wypadków i czynności, które wpłynęły na rozwinięcie naszych towarzystw. Sądzę, że Tomasz, Onufry, a może i Czeczot zostawili w swoich papierach szczegóły dokładniejsze od tych, które tu pod antypodami mogłem opisać. Dosyć powiedzieć, że od początku aż do końca istniał w całej swej sile i jedności Związek Filomatów, że on właśnie wpłynął bezpośrednio na organizację i kierunek o dziesięćkroć liczniejszego Towarzystwa Filaretów i za ich pośrednictwem na duch młodzieży uniwersyteckiej.

Duch ten i całego stowarzyszenia był czysto narodowy, patrjotyczny, polski, ale wolny od niewczesnych spisków i konspiracyj, wolny od demagogicznych szałów i straszydeł, a zatem od rozdwojenia, zawiści i dzielenia się na partje; — był też niezatruty dumą ani bezbożnością. Pod tym ostatnim względem nie będzie od rzeczy rzucić raz jeszcze okiem na przeszłość.

Nie byli wprawdzie Filomaci, i większa część Filaretów, bardzo pobożnymi katolikami, nie wszyscy dopełniali ściśle przepisów kościelnych i nie można ich było posądzać o zbyteczną uległość władzy duchownej. Za świeży jeszcze był natenczas wpływ rewolucji francuskiej i zagranicznych idej, które owładały młodzieżą na początku wieku; za silny wpływ powszechnie sekularyzowanej oświaty szkolnej, mianowicie tej, którą nam przekazała Komisja Edukacyjna, a w której pierwszeństwo brały: starożytna, klasyczna literatura i historja, matematyka i nauki przyrodzone; zbyt też żywy był jeszcze urok napoleonizmu, żeby w tym czasie tak ci, co dali początek owemu ruchowi między młodzieżą, jak ci, co nim owładnięci zostali, mogli się od początku przejąć gorącą wiarą i pobożnością przodków swoich. Caryzm moskiewski, którego nienawidziliśmy, zdawał się napozór wyzyskiwać katolicyzm na korzyść swoją, udawał, że jemu tylko zostawionem było protegować jezuitów w Połocku i Petersburgu; Aleksander całował ręce proboszczów; Siestrzeńcewicz w Petersburgu odegrywał rolę, której nie odgadywano



Rybiszki pod Wilnem.

natenczas, a i między duchowieństwem naszem świeckiem, mianowicie wyższem, było wiele fałszywego liberalizmu. Ludzie, co uchodzili za uczeńszych, i panicze, co powracali z zagranicy, byli niedowiarkami lub ich udawali. Z profesorów uniwersyteckich od śmierci pobożnego dziekana księdza Mickiewicza, który wymagał od uczniów świadectw miesięcznej spowiedzi, jedni tylko Niemczewski, Jan Śniadecki, rektor Malewski, może który ze starszych emerytów chodzili na mszę, a w ogólności było w modzie szydzić z księży i nabożeństw.

Z tem wszystkiem mogę powiedzieć, że i pod względem religijnym ukazali się Filomaci wyższymi nad swój czas i, jeżeli nie wpoili w młodzież wiary katolickiej, w której sami nie byli jeszcze silnymi, to przynajmniej wywarli pewien kierunek nieznany przed tym, który utorował drogę za nadejściem cięższych czasów do nawrócenia się wielu ku Kościołowi i prostocie wiary ojców.

Pan Tomasz, synowiec jednego z najzacniejszych proboszczów, Adam, synowiec gorliwego katolika, tylko co wspomnianego dziekana pojezuity, który się nim opiekował, i większa część filomatów i filaretów, co byli pobierali nauki w szkołach pijarskich, dominikańskich i bazyljańskich, a byli synami dobrych, pobożnych matek, nie pozwalali na najmniejsze żarty i szyderstwa z wiary, szanowali Kościół i księży, byli przykładem w obejściu się. Wiadomo, że Adam w swoich b a l l a d a c h, w H y m n i e d o N a j ś w i ę t s z e j P a n n y, w swoich D z i a d a c h, które napisał w tym czasie i które wywarły wielki wpływ na wileńską młodzież, ukazał młodym poetom źródło, w którem powinni szukać natchnienia i piękności naszych podań narodowych, odkrył przed nimi nasz wielki stary świat i stare niebo. Zan w swoich improwizacjach i ognistych przemowach do Promienistych podnosił ducha młodzieży do wyższej sfery uczuciowej, nadmaterjalnej. Czeczot w swych pieśniach sielskich malował prostotę i cnoty naszego pobożnego ludu. Obudzenie romantycznej poezji, a powstanie na francuską szkołę wielu literatów warszawskich przyczyniło się też może niemało do ochronienia naszych młodych akademików, co się brali do pisania, od owej oschłości i sofistycznych formuł, które tak popłacają u wolnomyślicieli. Już nadmieniłem, że był między filomatami ksiądz, który potem wyszedł na bardzo gorliwego

i pracowitego proboszcza; między zaś filaretami mieliśmy dwóch innych pobożnych księży, z których ksiądz pijar Lwowicz zasługuje na szczególniejsze wspomnienie. Znałem go był jeszcze, kiedy pełnił obowiązek profesora w szkołach szczuczyńskich (gubernji grodzieńskiej); potem ćwiczył się w naukach matematycznych przy Uniwersytecie Wileńskim. Był bardzo wysoki, o trzy czy cztery cale wyższy od najroślejszych uczniów Uniwersytetu, podługowatej twarzy, blady i pięknych oczu, bardzo poważny i łagodnego obejścia się ze wszystkimi, lubili go filareci i miał wielką u nich wziętość i znaczenie; najupartszych nawet ciągnął mimo ich woli ku wierze i pobożności. Prości nawet żołnierze, którzy nas potem strzegli w więzieniu, bali się go i byli dla niego z wielką czcią i uszanowaniem.

Z tego wszystkiego, com powiedział, można pojąć, dlaczego członkowie wymienionych stowarzyszeń, Filomaci i Filareci, nigdy się nie targnęli w swoich pismach i rozprawach na wiarę katolicką, wiarę przodków, dlaczego się zawsze znajdowali przykładnie na uroczystościach kościelnych, mianowicie w święta patronów polskich, jak naprzykład, na procesjach święto-kazimirskich i w dzień ś-go Stanisława, tudzież na mszach sobotnich w Ostrej-Bramie, w Kalwarji na Zielone Świątki, i jak miłe dla nich były kolędy i północna rezurekcja na Wielkanoc.

Cztery czy pięć lat trwała cała ta czynność i praca kilku zrazu młodych ludzi, związanych w szczupłe nader grono filomackie, i rozwinięta potem w Towarzystwie Filaretów i na majówkach Promienistych. Uniwersytet już liczył więcej tysiąca uczniów, nauki szły dobrym torem, ustały dawne burdy i zawichrzenia między młodzieżą; wielu zdolniejszych wyjeżdżało lub gotowało się do wyjazdu zagranicę dla udoskonalenia się w naukach i wszystko zapowiadało świetną przyszłość i postęp.

Tu należałoby zatrzymać opowiadanie, oszczędzając wspomnień, które rozdzierają serce i chmurzą umysł, ale kto zaczął historję, musi jej dokończyć.

Zdarzyło się, że głupi jakiś a niewczesny rokosz między gwardją cesarską w Petersburgu był przyczyną, że Aleksander posłał ją za karę w zimową porę na przechadzkę po śniegu do

Rosień, do Szawel i do Wilna. Przyszła tedy do nas na posterunek brygada nieproszonych gości pod dowództwem w. ks. Mikołaja, od niedawna ożenionego z królewną pruską. Mikołaj cały zajęty musztrami, które były jedyną jego namiętnością, nie miał czasu wdawać się w sprawy akademickie, a może i nie wiedział o bycie Uniwersytetu; ale między jego oficerami, synami najbogatszych i najdumniejszych bojarów, a naszą młodzieżą, która ich nie lubiła, przychodziło często do zwad i pokątnych zajść, już to na teatrze i po salonach, już na ulicy. Na jednej przechadzce w marcu na Antokolu młody jeden porucznik z pułku W. Księcia, spotkał się z 17-letnim uczniem gimnazjalnym, który mu nie chciał ustąpić z drogi; ofuknął oficer i powiedział coś nieobyczajnego, a student mu dał policzek. Rozeszli się na pozór spokojnie, ale oficer nazajutrz szukał studenta, wdała się policja, i owóż początek złości Mikołaja.

Na wiosnę była rewja całej gwardji cesarskiej za Zielonym mostem. Zjazd Aleksandra w Wilnie i jego trzech braci, między którymi pierwszy raz obaczyliśmy owe szpetne zwierzę, kniazia Konstantego. Za nim przywlokło się wielu z jego tajnej policji i między nią Nowosilcow, który już był powziął odrazę i nienawiść ku naszemu Uniwersytetowi, jako dziełu Czartoryskiego. W bardzo złym humorze chodził w. książę Konstanty po Wilnie; sam swoją ręką zrzucił czapkę Adolfowi Kublickiemu, który, będąc krótkiego wzroku, nasunął mu się nieostrożnie; a gdy się dowiedział o zaszłej burdzie między oficerem i studentem, najsurowiej rozkazał generał-gubernatorowi Korsakowowi i policmajstrowi miasta wyśledzić rzecz, tyczącą się zniewagi wspomnionego porucznika, któremu już to przez wzgląd na młody wiek ucznia, już dla zakrycia przed rządem naszego Uniwersytetu, starano się dowodzić na śledztwie i w opinji publicznej, że ów student nie należał do gimnazjum, że był poprostu czeladnikiem jakiegoś szewca. To jeszcze bardziej jątrzyło umysł księcia Konstantego.

Usunięto porucznika z gwardji, ale też razem tak się wzięto do śledzenia uczniów i do szpiegostwa, że przestraszony tem szanowny i kochający nas rektor, powziąwszy niejaką wiadomość o istnieniu tajnych towarzystw, jakoteż o osobach, mających najwięcej wpływu na młodzież, uprosił i zniewolił Zana i in-

nych, aby natychmiast zawiesili wszelkie czynności i tajne zebrania, jeżeli nie chcą zguby Uniwersytetu i jego rozwiązania. Nie było czasu ociągać się; policja śledziła kroki wielu z naszych towarzyszy i nie trudnoby było jej zdybać na zebraniach liczne grona filareckie. Postanowiono więc do nieograniczonego czasu zawiesić wszystkie posiedzenia i przyczaić się; ale się nie na tem skończyło. Doszło do uszu rektora, że chociaż czynności filareckie ograniczały się szczególnie do prac literackich i naukowych, miały jednak pewną organizację, podlegały ustawom, i przechowywano dosyć obszerne archiwa. Przezorny tedy Malewski w obawie, aby nie schwytano papierów, zmusił Zana, Pietraszkiewicza i Jeżowskiego do zebrania wszystkich protokółów, statutów filareckich i dokumentów w jedno miejsce, dla spalenia ich wobec delegowanego na to od siebie. Płakał jak dziecko pan Pietraszkiewicz, patrząc na płomienie, które pożerały tyle niewinnych rzeczy, i pomimo niebezpieczeństwa, jakie groziło, nie mógł się wstrzymać od przechowania ukradkiem niektórych szpargałów, które przez długi czas jeszcze przeleżały podobno pod strzechą w jakiejś stodole. Co zaś do papierów filomackich toby ich i pod torturą nie wydał pan Onufry, i nikomu z nas nigdy na myśl nie przyszło, żeby to Towarzystwo było kiedy wykryte.

Rok już upływał od czasu onej nieszczęsnej rewji i popalenia papierów w cichości; a choć policja w. ks. Konstantego i Nowosilcowa czujna była i coraz bardziej wdzierała się w sprawy uniwersyteckie, nigdyby może nie przyszło do odkrycia Filaretów, i choć uszczuplone koło filomackie wyjazdem Franciszka Malewskiego powtórnie zagranicę i oddaleniem się na profesorów Sobolewskiego i innych, poczynało myśleć o odnowieniu posiedzeń, kiedy niespodzianie w miesiącu październiku uwiedziony nie wiedzieć jaką pokusą Jankowski wydaje Nowosilcowowi tajemnicę bytu Towarzystwa Filareckiego, do którego należał. A jako kłamstwo idzie zawsze ze zdradą, tak i biedny Jankowski, odurzony może wielkiemi obietnicami senatora, przedstawił Towarzystwo nie, jakiem w istocie było, stosownie do swoich ustaw i organizacji, ale jako wielkie sprzysiężenie patrjotyczne na obalenie rządu.

Trudno mu było przypomnieć nazwiska wszystkich Fila-

retów, których do półtorasta liczono, spisał jednak na liście więcej stu i wszystkich bez wyjątku uwięziono, porywając jednych w mieście, drugich na wsi, po domach, i napełniając cały kraj strachem i zgrozą. Wyznaczona Komisja Śledcza rozpoczęła natychmiast tajną inkwizycję pod czujnem okiem i rozkazami Nowosilcowa i jego przyjaciela Bajkowa. Jankowski nie wiedział o Filomatach, ale domyślił się, od kogo pochodziły zawiązanie i kierunek Towarzystwa; wskazał Zana jako głównego mistrza i naczelnika.

Tu się znowu rozbudziło życie filareckie. Jak pierwej po gronach, tak teraz po klasztorach, gdzie każdy pod zamkiem i pod silną strażą w osobnej celi był uwięziony, stanowili związek ściślejszy, niż kiedykolwiek. We dnie wodzono nas do sądu; każdego pod strażą dwóch z karabinami żołnierzy i ciągnięto inkwizycje z całą formalnością moskiewską, z groźbami, podstępami, podchwyceniami za słowo, kłamstwami i wymysłami, których używają pospolicie na wyśledzenie zbrodni, tylko że nie bito; nocami zaś przekupywaliśmy szyldwachów, którzy nam pozwalali schodzić się i przepędzać weselsze godziny. Za więzieniem była zima, mrozy i grożący nam wszystkim Sybir; w więzieniu na schadzkach panowała wiosna i nadzieja w przyszłość, choć daleką, Polski.

Nie było się w istocie czego lękać od najsłabszych nawet Filaretów, żeby w zeznaniach swoich nie wydali czego, bo rzeczywiście każdy Filaret, stosując się do prawdy, nie mógł zataić, że pierwszym artykułem w organizacji Towarzystwa było zabroniono zajmować się polityką i że na posiedzeniach czytano rozprawy naukowe i literąckie. Ale Nowosilcow i Bajkow, którzy na obżarstwie, opilstwie i rozpuście czas pędzili, nie spieszyli się z ukończeniem śledztwa i chodziło im o pokazanie przed cesarzem, że była to rzecz wielkiej wagi i spisek rewolucyjny.

Zana od początku strzeżono w samym pałacu, gdzie odbywała swoje czynności Komisja, i nielitościwie się z nim obchodzono: on brał odpowiedzialność na siebie za wszystko, chociaż nie było istotnej winy. Jankowski upierał się przy swojem, ale przy końcu podobno odwołał, czego nie był w stanie dowieść, i nie upierał się.

Tymczasem odbywały się, jakem powiedział, schadzki nocne

po więzieniach klasztornych i utrzymywały się, choć z wielką trudnością i narażeniem się, komunikacje między klasztorami, nie dla naradzania się nad tem, co mamy mówić przed komisją, (bo można powiedzieć, że to już było przewidziane i obmyślone od założenia Towarzystwa, aby nie narazić nikogo na zgubę), ale aby się wzajemnie pocieszać i nie upadać na duchu. Więźnie z jednego klasztoru pisali do drugich, wychwalając każdy swoje więzienie i rozweselając, jak mogli, jedni drugich.

U bazyljanów siedzieli: Jan Sobolewski, Freyend, ks. Lwowicz, Giedroyć, Adam Suzin, Aleksander Chodźko i inni uczniowie Zana, a w połowie listopada przywieziono ze wsi i osadzono w tymże klasztorze mnie i otyłego Jakóba Jagiełłę. Północ była dla nas wschodem słońca; zbieraliśmy się w celi Adama i aż do świtu przepędzaliśmy noce na rozmowie cichej, ale nie smutnej. Freyend przyrządzał herbatę i nas rozśmieszał. Kto dniem pierwej był zawołany na śledztwo, przynosił nowiny, jakie uzbierał w sali i na ulicy. Ksiądz Lwowicz na drugi dzień po uwięzieniu go spadł, przechodząc nocą korytarzem, ze schodów i był przez miesiąc niebezpiecznie chory; dlatego później od innych począł należeć do naszych nocnych schadzek i pamiętam, kiedy pierwszy raz o północy wszedł do nas, jak nas zabawił i rozczulił, mówiąc z wyciągniętemi rękami poważnie: „Kozy, ucieszne kozy, ma trzodo jedyna". W tejże celi na Nowy Rok czytał nam Adam swój piękny wiersz: Skonał rok stary etc., a z jutrzni w noc Bożego Narodzenia dochodziła nas przy wtórowaniu dalekiego organu przytłumiona pieśń Przybieżeli pastuszkowie — która to pieśń przenosiła nas w progi domowe, gdzie po nas matki i siostry płakały. Zdarzyło się też, że jednej nocy o pierwszej godzinie przyszło policmajstrowi zwiedzić nasze więzienie; szyldwachy spały, my, skupieni w izbie Adama, piliśmy spokojnie herbatę; wtem rozruch na korytarzu, szczęk kluczy i karabinów; przestraszony podoficer zdobył się na koncept, że odrazu nie mógł trafić na klucz do drzwi, które wiodły do naszego korytarza; policmajster pękał ze złości, ale zyskaliśmy minutę czasu i w momencie, kiedy wysadził drzwi, już każdy z nas był w swojem łóżku i zagasił świecę, a przy każdego drzwiach stał szyldwach z karabinem, wyprostowany jakby przed cesarzem. Pamiętam też, jak nas bolało, kiedyśmy się

dowiedzieli o wywiezieniu studentów: spędziliśmy tę noc jakby oniemieli, smutnie, nie uważając nawet na żarty Freyenda i pocieszne uwagi Jagiełły.

Przez cały czas więzienia Adam, wyjąwszy wspomniany wiersz, nic nie pisał, ale czytał wiele i był bardzo towarzyski z nami, przyjemny w rozmowie; niekiedy się zamyślał i milczał, ale był spokojny.

Tak przeszły zima, wiosna i lato dla naszych Filaretów i Filomatów w więzieniach; rzadko komu udało się wyrobić u Nowosilcowa i to nie za staraniem swojem, ale przez zabiegi kobiet i rodziców, że go wypuszczono na wolność pod dozór policji.

Nic zgoła nie wykazano, coby nosiło na sobie cechę zbrodni stanu, i trzeba było do tego całej złości i nienawiści ku nam Nowosilcowa, żeby w końcu wycisnąć z tej sprawy akt oskarżenia. Wyszedł dekret, skazujący wszystkich prawie, co byli filomatami, i kilku filaretów na wywiezienie w głąb Rosji; Zana skazano do Orenburga, mnie, Piaseckiego i Kozakiewicza oddano pod wieczny dozór policji z usunięciem na zawsze od wszelkiej służby cesarskiej, a wszystkich na zwrot kosztów etc. etc.

W jesieni wszystkich wypuszczono na wolność, Zana wywieziono prosto z więzienia na Sybir, innym zaś, skazanym na wywiezienie w głąb Rosji, dano czas niejaki na przygotowanie się do podróży, z czego też nasi nie omieszkali korzystać, bo tego krótkiego czasu użyli na ostatnie tchnienie filareckiego życia na Litwie.

W istocie, pomimo surowości środków i śledzenia policji, przepędzali oni noce gromadnie po dobrze zamkniętych domach, w towarzystwie Filaretów i dawnych promienistych, którym wolno było, pozostając w kraju, na zwyczajnych zabawach przypominać błogie lata istnienia owych towarzystw i gotować się do znoszenia cierpień i nieszczęść, jakie ich czekały.

Byłem natenczas na wsi, w domu stryja mojego, w Słonimskiem. Pojechałem do Wilna dla pożegnania się ze skazanymi na wygnanie i przepędziłem z nimi ostatnią noc całą aż do świtu w jakimś domu, w głębi, na poddaszu, przy ulicy Ostrobramskiej, noc, której nigdy nie zapomnę. Znajdowali się wszyscy prawie Filomaci i wielu Filaretów, Feliks Kułakowski, Cyprjan Daszkiewicz, młodzi poeci i nawet niektórzy z nowych uczniów uniwer-

syteckich, którzy nie należeli byli do naszych towarzystw, a zdawali się wiązać przeszłość naszą z przyszłością. Ale nie było kochanego Tomasza, tylko jego dwaj bracia: Stefan i Ignacy. Tej nocy wszyscy byli raczej weseli niż smutni, nie pozwalano nawet ubolewać ani przypominać, co się przecierpiało. Kułakowski bawił nas nieustannie, opowiadał i odegrywał role osób w sławnem spotkaniu się księdza Czerskiego (tegoż samego, co potem się zniósł z odszczepieńcem Runge, a którego posłał był Korsakow do w. ks. Michała dla dawania lekcyj języka polskiego) z wielkim księciem Michałem w Rosieniach. Odśpiewaliśmy wszystkie nasze pieśni smutne i wesołe, filareckie i majowe, począwszy od Hej, użyjmy żywota aż do Toastów.

Przy końcu nalegano na Adama, żeby co zaimprowizował. Zrazu nie chciał, ale po chwili Freyend zagrał na flecie pieśń jego ulubioną Już słońce zaszło, psy się uśpiły i, na tę nutę śpiewając, improwizował balladę Basza (drugą część). Rozeszliśmy się w milczeniu, po cichu, kiedy już dzwoniono na pierwszą mszę w Ostrej Bramie, a lud klęczał na ulicy.

Tu się poczyna epoka naszego rozproszenia. Orenburg, gdzie siedział Zan, stał się stolicą dla rozrzuconych po niezmiernej przestrzeni od Białego do Aralskiego morza naszych wygnańców. Nie ustawali oni w zawodzie: już nie między swoimi, ale na nieprzyjacielskiej ziemi i między wrogami sieli ziarna: nie owe nasiona złości i niepokoju, płodne w bunt i rokosze, które, jak wiemy, kończą się między Moskalami na nożu i powrozie, ni owej wolności rzeźniczej i swawolnej, którą Skarga nazywa wolnością *filiorum Belial,* bo ta nigdy nie była siewbą naszą, ale nasiona surowej cnoty i uczciwości, nietylko w celach, ale i w środkach, odwagi nietylko bojowej, ale i obywatelskiej, wiary w sprawiedliwość Bożą i nieuniknioną karę za ujarzmienie. Mozolnać to była ich praca i niewdzięczna! Wkrótce śmierć poczęła ich zmiatać jednego po drugim. Pierwsi Sobolewski i Daszkiewicz przenieśli się do wieczności. Umierający w Moskwie Daszkiewicz prosił na Boga, aby jego kości pochowano na Litwie, i nieodstępny jego towarzysz Pietraszkiewicz wyjednał u rządu, że mu pozwolono spełnić wolę nieboszczyka. Przed końcem zimy



Wnętrze kaplicy w Ostrej Bramie w Wilnie.

przywiózł pan Onufry zwłoki Daszkiewicza z Moskwy do Wilna, gdzie za jego duszę odprawiono obchód pogrzebowy w kościołku świętej Anny u bernardynów.

Pozostali w kraju Filareci, Promieniści i powiązani w ostatnim roku z nimi młodzi uczniowie uniwersyteccy, choć większa ich liczba osiadła już była na wsi lub rozpędzona po całej Litwie Wołyniu i Podolu, mieli zawsze obrócone serca swoje i widoki ku Wilnu, gdzie się uczyło nowe pokolenie pod wpływem świeżych podań i pamiątek. W pięć lat niespełna spotkaliśmy się znowu, choć nie wszyscy, już nie na majówce lub posiedzeniu, lecz przy szabli i w narodowem powstaniu. Tu się ukazał legjon akademicki, dzieci nasze; niektórzy z Filaretów, jak Parczewski, Szemioth, Pol, Chodźkowie, Kubliccy, tworzyli kosztem swoim oddziały partyzanckie; drudzy, jak Wierzbołowicz, Zabiełło, przyszli z wojskiem polskiem na instruktorów, inni, jak Przecławski, Wołłowicz, Kozakiewicz pełnili ciężką służbę emisarjuszów: rzadko kto pozostał w domu przy starym ojcu czy podeszłego wieku matce.

Nie wszyscy przeżyli upadek sprawy. — Walecznego Pola, w którego twarzy i układzie upatrywano wielkie podobieństwo do Lelewela, pochowaliśmy na granicy pruskiej w Ascheken; tamże umarł z ran, odniesionych pod Powendownią, młody Buchowiecki, syn zamożnego obywatela; reszta poszła na tułactwo, i z tych niektórzy, jak Michał Wołłowicz i Szymon Konarski, wrócili jeszcze szukać śmierci w swoim kraju, inni wymarli na obcej ziemi; mało komu Opatrzność pozwoliła zasnąć spokojnie w domu ojca. Niech im wszystkim świeci wieczna światłość, aż się obudzą na głos Boży!

Santjago (Chili) w marcu 1870 roku.

O T T O Ś L I Z I E Ń

Z PAMIĘTNIKA (1821—1824)

Otto Ślizień, syn chorążego nowogródzkiego, Jana i Anieli z Mackiewiczów, urodził się 24 czerwca 1806 r. w Bartnikach, w Nowogródzkiem. Wychowywał się początkowo u dziadków swoich, w Druckowszczyźnie, później u rodziców w Wolnej. W r. 1817 wraz z bratem, Rafałem, oddany został do szkoły dominikańskiej w Nowogródku, skąd w r. 1819 obaj bracia przeniesieni zostali do szkół jezuickich w Połocku, gdzie kształcili się aż do ich zamknięcia w r. 1820. Na jesień 1821 r. Śliźieniowie wstąpili na Uniwersytet Wileński; Rafał zapisał się na wydział prawny, Otto na fizyczno-matematyczny, wkrótce też, zapewne przez Zana, pod którego zostawał opieką, wprowadzony był do Towarzystwa Filaretów. Podczas procesu filareckiego aresztowany, więziony, wreszcie usunięty z Uniwersytetu. W r. 1825 Otto Ślizień wstąpił do 3-go pułku ułanów Królestwa Polskiego, w r. 1831 brał udział z korpusem Dembińskiego w wyprawie na Litwę; po upadku powstania ożenił się z Kazimierą Dobrowolską i osiadł w Druckowszczyźnie, gdzie wzorowo gospodarował i pozyskał zasłużone uznanie wśród współobywateli, którzy wybrali go na wicemarszałka powiatowego. Około r. 1848, po śmierci pierwszej żony, ożenił się powtórnie z Ludwiką Berkmanówną; od r. 1872 prawie stale mieszkał w Mińsku. Zmarł 19 grudnia st. st. 1887 r. w Druckowszczyźnie.

Pamiętniki Ottona Ślizienia obejmują okres jego pobytu w szkołach nowogródzkich, połockich i w Uniwersytecie Wileńskim. Spisane późno, w r. 1882, zawierają pewne niedokładności, ale wogóle tło opowiadania jest wierne i obfituje w nieznane skądinąd szczegóły. Podane niżej wyjątki charakteryzują stosunki szkolne i uniwersyteckie w okresie najbujniejszej działalności towarzystw młodzieży wileńskiej, oraz ich prześladowań.

ROK 1821. ZE SZKÓŁ WILEŃSKICH.

Przyjęto nas bez trudności na uczniów uniwersyteckich. Rektorem był w tę porę trzęsący się starzec, Szymon Malewski, z dużą, rumianą, dobroduszną twarzą, z przerzedzonym siwym włosem, zawsze w granatowym podnoszonym surducie, a zimową porą w granatowej bajówce. Przy rektorze była i rektorowa, a przy niej dwie rektorówny. O starszej, Marji to tylko powiedzieć mogę, że była bardzo dobrą córką pana Szymona i bardzo dobrą siostrą pana Franciszka. O niej mówiono, jak o każdej nieładnej: że bardzo dobra. Druga zaś, Zosia, do moralnych zalet swej siostry łączyła spory zapas fizycznych powabów. Była celem niejednych platonicznych i nieplatonicznych wzdychań. Liczyła się do królowych młodego romantycznego społeczeństwa. Między innymi zajmował się nią czule Aleksander Chodźko i wielbiciel wszystkich panienek, Jan Czeczot.

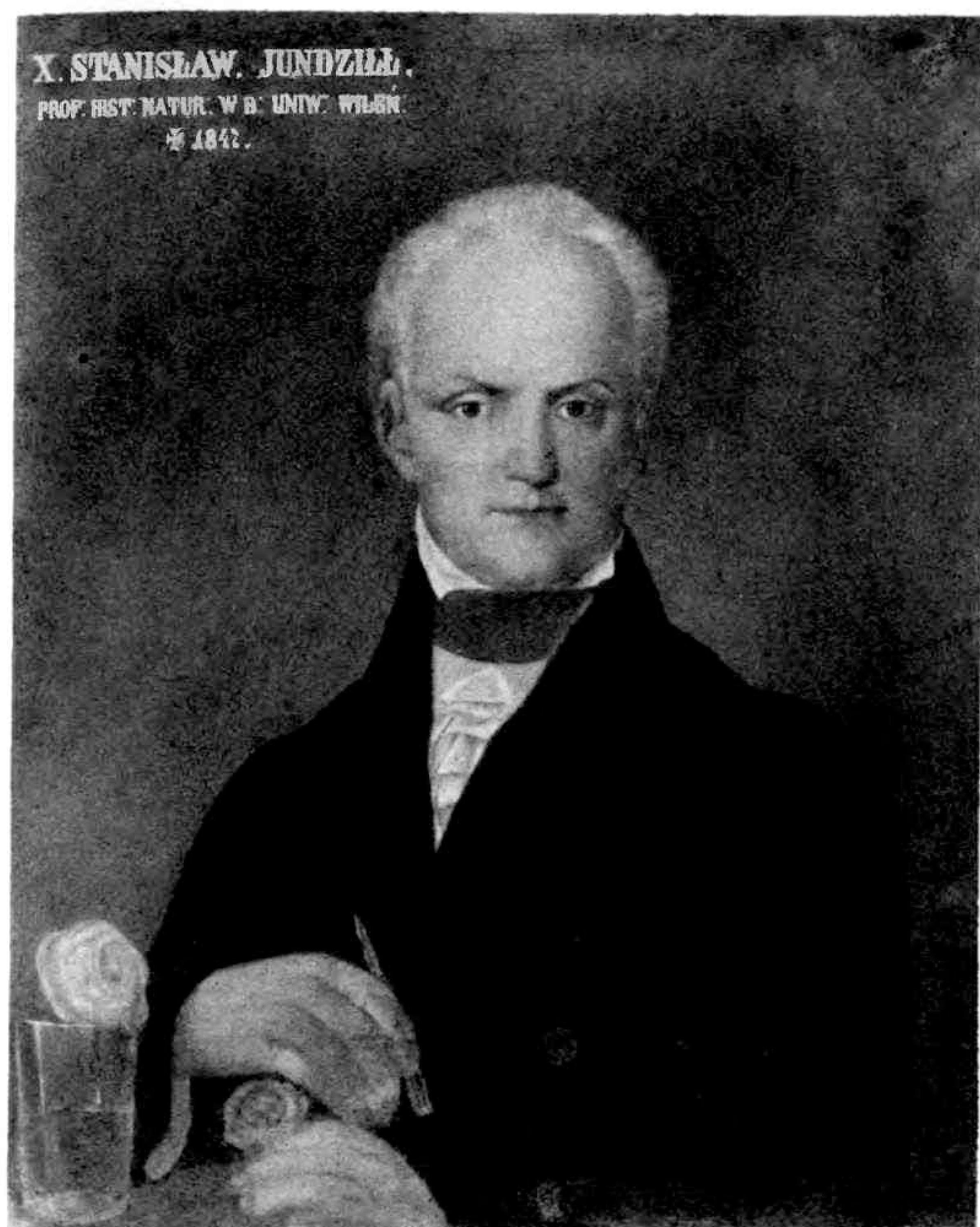
Rektorowi i biskupowi ówczesnemu, Kundziczowi, plotkarze zarzucali wielkie skąpstwo i dużo złośliwych anegdot na to konto wymyślali.

Ja wybrałem sobie do nauki fakultet fizyczny, przeważnie przyrodniczy, ogólnie filozoficznym zwany. Zapisałem się na fizykę, chemję, zoologję, botanikę, mineralogję; w dodatek na algebrę, wykładaną przez Wyrwicza, na wyższą matematykę, wykładaną przez Polińskiego, i na filozofję, którą niby wykładał ksiądz kanonik Anioł Dowgird. Profesor fizyki, Drzewiński, niestary, chudy, sutołowaty, z dużym nosem, choć sam miernego wzrostu, był jednym z tych wyjątkowych, co najfatalniej swój przedmiot wykładał; brakowało mu słów, jąkał się, zapominał, jakby nie był pewnym, co mówił; przytem i w doświadczeniach był niezręcznym, narzędzia mu z rąk padały. Prawda, że czasem w nieudaniu doświadczenia umiał sobie doradzać. Gdy raz nie udało

mu się iskrą elektryczną zapomocą mosiężnej kulki kurę odrętwić, to uderzył tą kulką w łeb tak mocno, że kura wyciągnęła się nieżywa. Słowem z tej pięknej nauki potrafił zrobić nietylko dla kur zabójczą, ale i dla słuchaczów śmiertelnie nudną. Jedna tylko była dobra strona w jego fizycznej sferze, że pani profesorowa była fizycznie arcywdzięcznie zbudowaną.

Równie nudnym i więcej jeszcze może niedołężnym wykładaczem był profesor filozofji, ksiądz Dowgird, bo ten nawet profesorowej nie miał; miał jednak jedną dodatnią stronę, że lekcje jego były bardzo nieregularne, z wielkiemi przerwami, wkońcu zupełnie ustały, aż do przybycia dzielnego Gołuchowskiego.

Lecz co to za miły był profesor nasz znamienity Andrzej Śniadecki. Jak czarujący był wykład jego chemji, co za słodki sposób wysłowienia się. Sala chemiczna była duża, okrągła, w krąg ławkami w amfiteatr ustawiona. Liczna publika od dołu coraz wyżej pod same ściany zapełniała salę. U dołu za długim stołem, zastawionym różnemi przyrządami chemicznemi, zasiadał przed książką i kajetem poważny białowłosy starzec, wykwintny czyścioch, ze słodkim wyrazem twarzy, w uśmiechu i wzroku przebijała wesołość i odcień dowcipnej ironji. W ogólności, cała jego osobistość ze swoim nawet dużym, na bok skrzywionym nosem była wielce sympatyczna. W licznym tłumie słuchaczów nie słychać było najmniejszego szmeru. Wszystkich oczy i uszy z natężoną uwagą zwrócone były na siedzącą u dołu profesorską godność. Ten zdawał się półszeptem przemawiać, a każdy jego wyraz z miłem brzmieniem do najodleglejszego ucha wyraźnie wpadał. Głęboką znajomością i zamiłowaniem swego przedmiotu umiał pociągnąć uwagę i wzbudzić w słuchaczach upodobanie do wykładanej przez siebie nauki. Nieraz wychodziło się na lekcje z zimną obojętnością, albo nawet niechęcią, a wnet za pojawieniem Śniadeckiego, za pierwszem posłyszeniem jego przytłumionego głosu, obojętność i niechęć znikały, przejmowało się coraz żywszym interesem, a po upływie godziny żal się uczuwał, że się lekcja skończyła, takby się chciało jeszcze trochę dłużej cichy ten organ mowy uczonego starca słyszeć. W cukier jednak burakowy, by ten wszedł w praktyczne użycie, chemik Śniadecki nie wierzył i ironicznie odzywał się



Ksiądz Bon. Stan. Jundziłł.

na lekcji: „Botwinka i barszczyk z buraków, to wyśmienity wynalazek, ale z cukrem niechaj się schowają".

Zoologję i botanikę wykładał szanowny i światły ksiądz Jundziłł. Dość wysoki z zaczesanemi gładko w tył siwemi włosami, które, odkrywając mu wysokie czoło, spadały na ramiona. Twarz choć niemłoda, ale gładka i dość czerstwa, przy niebieskich żywych oczach miała sympatyczny wyraz z nieco ponurym marsem. Jego lekcje też miały właściwy sobie urok, szczególnie botanikę z zamiłowaniem wykładał. Nie widziałem inaczej profesora Jundziłła jak w piaskowym fraku staroświeckiego francuskiego kroju, ze stojącym odchylonym kołnierzem, w krótkich po kolana czarnych spodniach, zawiązanych przy kolanie czarną wstążką na kokardę, od kolan czarne lub białe pończochy i trzewiki z dużemi sprzążkami. Prócz sali lekcyjnej, będącej tuż przy jego mieszkaniu i przy botanicznym ogrodzie, można tylko było widzieć profesora Jundziłła w tymże botanicznym ogrodzie siedzącego z przymrużonem jednem okiem na ławeczce, lub przechadzającego się między swemi ulubionemi roślinami. Przez kilka lat swego pobytu w Wilnie raz tylko jego spotkałem na ulicy, powracającego w kwaśnym humorze i jakby zawstydzonego ze spektaklu, na który go skusił jakiś szarlatan, ogłaszający w afiszach, że ukaże czworonożne zwierzę wielkości konia z dwoma skrzydłami, a zaciekawionym naturalistom wyprowadził schudzonego do ostateczności wielbłąda, którego opadły garb formował na bokach dwa duże worki, które, przez dwóch niedorostków podnoszone i machane, mianowały się skrzydłami. Niekiedy u marsowego botanika przebijał się wesoły temperament i komiczne słówko nieraz mu się wymknęło.

Profesor mineralogji, Horodecki, oryginalna osobistość, mineralog uczony, swemu przedmiotowi oddany, ale w porównaniu do innych elegantów na profesora uniwersyteckiego wcale nie wyglądał. Człowiek półwieczny, siwego włosa nic lub mało; trudno o tem stanowczo powiedzieć, bo te włosy zawsze się przedstawiały puchem przypruszone i jakby nigdy grzebienia nie widziały. Nie chorował nigdy, a twarz miał bladą, obwisłą, jakby schorzałą. Skoro wchodził do sali, wyglądał jakby tylko co z puchówką się rozstał, za pierwszem ukazaniem się na progu roztwierał szeroko swe szczęki przeciągłem poziewaniem, stawał

przed stolikiem, założonym kamieniami, o których ma być mowa, i zaczynał znowu od szerokiego ziewnięcia. Lekcje wykładał jakby odniechcenia, przeplatając ciągle szczerem poziewaniem; mówił wyraźnie, w sposób dość zajmujący, widać w nim było pewność siebie i głęboką znajomość przedmiotu. Całą godzinę mówił stojąc. Frak nosił zawsze ciemno-zielony, nieokreślonego kroju, dobrze podnoszony, wisiał on na nim jak na szaragach i prawdopodobnie z miotełką się nie spotykał. Niekiedy przy szerokiem ziewnięciu i równie szerokim uśmiechu rzucił jakiś żartobliwy dwuznacznik, szczególnie mówiąc o kamieniu agacie, którem to imieniem i jego służąca się wabiła. Najśmieszniejszem to było, że tenże sam koncept przy tejże okoliczności od kilku lat co rok się powtarzał i że w roku następnym, gdy przyjdzie mówić o kamieniu agacie, niechybnie temi samemi słowy się wypowie.

Nie można powiedzieć, by profesor Horodecki był przy tem wszystkiem niesympatyczny, owszem, coś w nim było, co się podobało. Może to, że miał odwagę być sam sobą, nie dbając na ludzkie sądy; nie było w nim żadnej sztukaterji, żadnego naśladowania. Lubiliśmy go ze wszystkiemi jego śmiesznościami. Choćby mierny oryginał zawsze więcj wart niż najlepsza kopja; lecz biada, kiedy kto, nie będąc z natury oryginałem, w oryginalność się przybiera; będzie tylko nieznośną parodją. Nasz minerolog był przytem namiętnym myśliwym. Ledwo wyszedł z lekcyjnej sali, już z myśliwską siatkową torbą na boku, ze strzelbą na plecach, z wyżłem przy nogach profesor Horodecki spieszy za miasto.

Dziekanem mojego fakultetu był ksiądz Życki, chudy, ruchawy, ugrzeczniony, posuwisy staruszek; odziewał się tak samo, jak ksiądz Jundziłł, z tą różnicą, że kolor fraka był nie piaskowy, lecz szafirowy, z dużemi, stalowemi guzikami, tak samo z przodu ostro wycięty.

...Znaleźli się tacy, którzy, wspomniawszy, że kiedyś w Wilnie jakiś uliczny tuzinkowy poeta i malarz dostarczył w szejnekatrynce szkiełek z wizerunkami do pokazywania na ścianie figur znajomych i po większej części profesorskich, umyślili stary ten koncept podźwignąć, z tą różnicą, że dawniejszy był poniekąd w duchu panegirycznym, a teraźniejszy w celu złośli-

wego wyśmiania. Ponamalowywali więc na szkiełkach dużo figur znajomych, przeważnie uniwersyteckich, z najdokładniejszem podobieństwem w twarzach i postaciach, pododawali im żartobliwe szejnekatrynkowe wiersze i puścili na łaskę Niemca, chodzącego z szejnekatrynką. Kopja tych szejnekatrynkowych wierszy znalazła się niespodzianie w moich szpargałach, mogę więc je wam, jako autentyczne, na waszą pociechę zacytować.

Byłem raz na herbacie u państwa Kuł..., gdzie było kilka osób i komunikowano sobie świeżutką nowinę o dowcipnej profesorskiej szejnekatrynce. Wszyscy byli ciekawi ją oglądać; posłano i przyprowadzono. Na wstępie Niemiec zadysponował, żeby na kolorowem obiciu ściany zawiesili białe prześcieradło, by cienie wyraźniej się rysowały.

Najprzód przedstawił się otyły, stary Malewski w swej granatowej bajówce, przebierający palcami w długiej nicianej pełnej kiesce; przed nim pejsaty rektorski faktor z wyciągniętą dłonią, na której błyszczała złotówka. Wszystko tak naturalnie i zgodnie z oryginałem, że rektor na ścianie zdawał się trząść po swojemu. Podpis głosił:

Oto rektor Malewski, co dobywa z kieski
I złotówki daje na ratówki.
Inaczej nikomu nie daje,
Tylko każdego łaje.

Potem dwaj bracia Śniadeccy, podobni do siebie białowłose starce, siedzą przed stolikiem, założonym książkami. Pan Jan w otwartej książce pokazuje palcem panu Andrzejowi, a z ust jego wychodzą wyrazy:

Patrz waść, jak on tu dobrze twierdzi.

A z ust Andrzeja czyta się odpowiedź:

Cóż stąd, kiedy Niemcem śmierdzi.

Pod spodem napis:

Oto dwaj Śniadeccy, nieprzyjaciele niemieccy.

Dalej następował brzuchaty, wysoki doktór Frank ze swoją okrągłą, rumianą twarzą, w haftowanym profesorskim mundurze; trzyma za puls trupa, leżącego na tapczanie. Podpis:

Oto znamienity doktor Frank,
Co bardzo często robi krank.

Potem wysuwa się z suterenów astronom Reszka z podpisem:

Oto Reszka, co na dole mieszka,
Liczy gwiazdy, a tyle wie, jak i każdy.

Dziekan Życki w starofrancuskim fraku, w krótkich spodeńkach, uśmiechnięty staruszek, z wysuniętą naprzód nogą, jakby chciał posuwiście publiczności grzecznie się skłonić. Podpis:

Oto słodziutki Życki.
Byłby jakiś inszy, żeby nie był akademicki.

Następuje przechadzający się z kijem w ręku profesor starożytnej literatury, ciemnej twarzy, z nieproporcjonalnie dużym nosem, garbaty Groddeck. Podpis:

Jest mądry po starożytnemu Grodek,
Prawdziwy ludzki wyrodek.

Profesor malarstwa, Grek, Rustem, zjawia się w swojej czerwonej mycce, stojący przed stalugą; w jednej ręce trzyma paletę z farbami, drugą maluje obraz. Podpis:

Oto Grek Rustem,
Co każdym pendzlem maluje z gustem.

Wtem ukazuje się na ścianie cień, z oklaskami przywitany Przedstawiał on leżącego na stołku jednookiego kanonika, poły sutanny zarzucone na plecy; nad nim stał we fraku, małego wzrostu, podobniutki do pana S...: lewą ręką trzymał za kołnierz niefortunnego księdza, a prawą wznosił nad nim biczem, gotowym zaraz się spuścić, gdzie potrzeba. Leżący ma twarz, zwróconą w znacznej części w górę, i swem jednem okiem pogląda błagająco na wzniesiony nad nim bizun, a z boku przez nawpół otwarte drzwi wychylona do połowy pełna, biała, ładna, wygor-

sowana blondynka, jak dwie krople podobna do pani S...., grozi palcem mężowi, jakby strasząc, by się nie ważył duchownego ruszyć i w czemkolwiek mu zawadzać. Podpisano:

Rekomenduje się ksiądz ...iło,
Co wziął w skórę aż miło.

Profesor literatury polskiej Borowski, u którego na jednym policzku była wklęsła dziurka, zalepiona skórkowym plasterkiem. Podpis:

Różnie natura ludzi darzy,
Co u innych gdzieindziej, u Borowskiego na twarzy.

Zjawia się szeroko poziewający Horodecki, trzyma kamień agat i rznie na nim djamentem; podpis:

Ot i mineraloga macie,
Choć poziewa, a rznie na agacie.

Nauczyciel gimnazjalny, jowialny Szydłowski, siedzi przy stoliku, na którym trzy butelki wina. Szklankę nalaną trzyma przed sobą i wesołą twarzą śmieje się do publiczności, jakby chciał jej zdrowie wypić. Podpis:

Oto humorysta Szydłowski, co nie zna troski,
Bo u niego na każdy frasunek dzielnie pomaga winny trunek.

Profesor algebry Wyrwicz zjawia się, trzymając w jednym ręku grajcar, w drugim wielkie zero. Podpis:

Niektórzy go zwą grajcarem; on się uparł być Wyrwiczem,
Choć na prawdę jest wielkiem zerem czyli niczem.

Pod tym podpisem następująca formuła:

Zero + osieł = paniczu
Grajcar + zero = Wyrwiczu.

Profesor agronomji, Krassowski, był przedstawiony w kryjówce pod gęstym drzew cieniem siedzący obok swej żony, czule ją jedną ręką tulący do siebie, a w pewnej odległości kilkoro biegających drobnych ich dzieci. Podpis:

Oto agronom, co wszystkich zachęca do roli,
A sam co innego woli.

Profesor weterynarji, Bojanus, białej cery, upudrowany, stoi przy grupie domowych zwierząt; na jednym ręku trzyma strokatego pieska, drugą przykłada mu do nozdrzy podpis:

Uczony weterynarz, choć wygląda, jak młynarz,
Pewno uzdrowi psiaka, bo wziął nowego dukata
I starego buziaka.

Pelikan, wyelegantowany, siedzi pod stołem bez świecy, zajęty rozpatrywaniem trupich członków, w ciemnej, spóźnionej porze. Podpis:

Anatom, chirurg niepospolity, wszystkiemi członkami umie dobrze władać
I wie, choć pociemku, gdzie jaki wkładać.

Występuje wreszcie profesor historji powszechnej, Kukolnik, z krzyżem Włodzimierza na czarnym fraku. Podpis:

Oto historyk Kukulnik, do złego wspólnik,
Prawdy dziejowe chętnie fałszuje, gdy za to order poczuje.

Profesor prawa, Chodani z futerałem od książki pod pachą. Podpis:

A to szczególniejszy prawnik Chodani,
Co to ni chwali, ni gani.

Każda przedstawiona figura była tak wiernie z natury wziętą, że niepodobna było pytać o nazwisko, i to właśnie największą satysfakcję sprawiało, że się od pierwszego wejrzenia wiedziało, z kim się ma do czynienia.

Niektórzy podejrzywali, że to była robota samego Rustema, lecz najprawdopodobniej była to czynność zbiorowa: jedni projektowali, inni rysowali, drudzy podpisy konceptowali i t. d.

...Naturalnie, że długo ta katarynka kursować nie mogła, jednak dni dwa, trzy powałęsała się po mieście i jako nowość na wszystkie strony porywaną była; gdyby jej jeszcze dano dni kilka, przemysłowiec Niemiec pięknyby pieniądz zebrał. Lecz policja się wmieszała i swawolne szkiełka skonfiskowała...

ROK 1822. Z WAKACYJ.

Do uprzyjemnienia tych wakacjów najwięcej wpłynęło przybycie w naszą stronę trzech Zanów, Tomasza, Ignacego i Stefana Ich stryj, ksiądz kanonik Zan, był dziekanem i proboszczem w Iskołdzi; do stryja przyjechali synowcowie z Wileńskiego Uniwersytetu na wakacje. Zaraz kanonik przywiózł do Bartnik Tomasza i Ignacego. Tomasz był już wówczas magistrem filozofji, średniego wzrostu, brunet, o gęstych, czarnych, kędzierzawych włosach; płci smagłej ze słabemi znakami ospy, z kształtnym orlim nosem, z pociągającym wyrazem oczu i twarzy, z odkrytem, wysokiem, o dużych kątach czołem. Bardzo miłego temperamentu, wesoły, towarzyski, ze wszystkimi dobry i delikatny, chętny do projektowania i układania różnych zabaw, lubiący muzykę i śpiewy, śpiewający sam dobrze i przyjemnie, piszący z łatwością zgrabne triolety i różne okolicznościowe poezje i dramatyczne amatorskie sceny. Pierwsza jego dramatyczna sztuczka była napisana w Mołodecznie, kiedy tam jeszcze chodził do szkół. Była to komedja pod tytułem G r y c z a n e p i r o ż k i; bohaterem w niej i główną, komiczną figurą był stary Niemiec, przedający mołodeczańskim uczniom ciasta.

Przylgnąłem do pana Tomasza odrazu, jak i wszyscy inni, którzy go poznawali; był bowiem szczery, grzeczny, pobłażliwy, w rozmowie miły i porywający. Młodszy jego brat, Ignacy, chodził na medycynę, wyższy od Tomasza wzrostem, z więcej podłużną i więcej ospowatą bladej cery twarzą, z więcej garbatym nosem, równie mocny brunet o takichże kędzierzawych włosach, był dość mocno zajękliwym, co mu jednak nie przeszkadzało dobrze śpiewać. Niebawem pan Tomasz przywiózł do Bartnik i drugiego swego brata, Stefana, którego pannom odrekomendował, mówiąc: „Przedstawiam paniom mojego brata Stefana,

choć kiep, ale katolik". Stefan, blondyn, gładkiej twarzy, także z orlim nosem, z wesołem niebieskiem wejrzeniem, chodził na oddział prawny, grał doskonale na flecie i basetli; wszyscy trzej dobremi głosami przyjemnie śpiewali. Stefan w 1831-ym z wielu innymi powstańcami emigrował i oparł się w Paryżu, gdzie często przebywał z Adamem Mickiewiczem; przyłączył się do jakiejś orkiestry; przed laty kilkunastu słyszałem, że jeszcze żył.

Ignacy, zostawszy niezłym lekarzem, więcej lubił karty, niż medycynę, choć dla pacjentów był dość gorliwym, o ile mu sztos lub faraon pozwalał. Będąc już półwiecznym, poznał w Dołmatowszczyznie u Wierzbowskich guwernantkę, nieszpetną brunetkę, pannę Pławską, i z nią się ożenił. Dzierżawił jakiś czas małe Zaosie ze swironkiem Adama Mickiewicza. Następnie mieszkał czasowie w Dołmatowszczyznie, potem blisko Nowogródka w Antowilu i tam bezpotomnie skończył. Przed swem ożenieniem najwięcej przebywał w Bartnikach, niosąc swą lekarską pomoc. Ojciec Zanów był oficjalistą w Mołodecznie u książąt Ogińskich. Do ich wychowania najwięcej się przyczynił stryj, ksiądz kanonik.

Z Zanami nam wakacje nierównie ruchliwiej przechodziły; prawie ciągle byliśmy razem, jeździliśmy z nimi do sąsiedzkich domów; szczególniej częstymi byliśmy gośćmi w Tuhanowiczach, gdzie wówczas kawalerskiem życiem żyli Michał i Józef Wereszczakowie. Często tam spotykaliśmy ich matkę, bardzo miłą, łagodną staruszkę, panią marszałkowę. Przyjeżdżała z bliskiego folwarku, z Płużyn, ze swoją córką nadobną, Marją, która, choć się nie mogła nazywać piękną, miała rysy twarzy pełne powabu i w oczach wyraz wymowny dobroci i uczuciowości. Jak w rozmowie, tak w całem swem obejściu się, była sympatyczna; umiarkowanie wesoła, czy w ożywieniu, czy w melancholicznej zadumie, zawsze interesująca i pociągająca. Dał w tem świadectwo nasz wieszcz, Adam, swem poetycznem dla niej uczuciem. Z Mickiewiczem jednak nie zdarzyło mi się spotkać w Tuhanowiczach i przy Maryli go nie widziałem...

ROK 1822. ZE SZKÓŁ WILEŃSKICH.

Po wakacjach pojechaliśmy na drugi rok do Wilna pod mentorstwo Tomasza Zana też na Zamkową ulicę, ale już bliżej ratusza, obok domu Gutta, do kamienicy sowietnika Kukiewicza. Zajmowaliśmy tam na czystym dziedzińcu czystą, zgrabną, całą kamieniczkę, w której dolne piętro było stajnią i wozownią zajęte. Mieliśmy na górze cztery wesołe pokoiki, których trzy okna wychodziły na dziedziniec, a trzy na wzorowo utrzymany niewielki ogród; gałęzie jego fruktowych drzew mogliśmy prawie ręką z okna dostawać; przez sień był pokój dla służby, a na poddaszu jeszcze trzy niezłe pokoiki.

Tomasz Zan, najmoralniejszych zasad człowiek, wszechstronnie wykształcony, od wszystkich lubiany, wielki i sympatyczny wpływ wywierał na uniwersytecką młodzież, trafnie umiał jej przewodniczyć i ta z całem oddaniem się lgnęła do niego, i z pełną ufnością dawała mu się powodować. Z takiego stanu rzeczy korzystał pan Tomasz i przy pomocy Suzina, Czeczota, Ignacego Domeyki, Łozińskiego, Mickiewicza, Malewskiego, Jeżowskiego i innych kilku starszych szybko rozwinął i rozszerzył filarecki duch w sposobie myślenia i w zapatrywaniu się na ludzkość.

Po niejakim czasie i ja zostałem przez Suzina podany, a przez wota przyjęty do Filaretów.

Towarzystwo Filaretów dzieliło się na związki, czyli grona, składające się z dziesięciu do dwunastu członków i mianujące się kolorami. Każdy fakultet miał swój kolor, ja jako z fakultetu fizycznego należałem do grona różowego, w którem prezydował Łoziński, zwany Szeroki, a Antoni Kamiński, mineralog, był sekretarzem. Związki do swego zbierania się nie miały oznaczonych stale ani czasu, ani miejsca, ale na ustne jeden drugiemu

zakomunikowanie na tę lub owę godzinę, do tego lub owego mieszkania schodzili się.

Na związkach mówiły się lub czytały rozprawy moralno-obyczajowe, fakta z dziejów historyczno-narodowych, lub w naukowych właściwych związkowi przedmiotach. Starszyzna miała swoje oddzielne tajne posiedzenia, nam innym niewiadome. Każdy członek dawał obowiązkowo po dwa złote na miesiąc do kasy, która na pomoc biednym uczniom lub w interesie ogólnym Towarzystwa się używała.

Dla chcących w jakim przedmiocie się doskonalić dawane były przez umiejętniejszych kolegów bezpłatne korepetycje. Wzajemna pomoc w naukach była upowszechniona i każdy spieszył, jeśli mógł w czemkolwiek komuś ułatwić. Doświadczyłem tego na sobie: koledzy filareci, znajdując mię niekiedy nad książką mineralogji i widząc na mojem oknie kilka kamieni i kilka skamieniałości, wyobrażali sobie, że muszę wyjść na mineraloga i, co który złapał jaki egzemplarz mineralogiczny, przynosili do mnie, zachęcając do mineralogji, tak, że w prędkim czasie utworzył się u mnie niezły mineralogiczny zbiorek.

Drzwi naszej kwatery prawie się nie zamykały; nie upływało godziny, żeby po kilku zmieniających się jedni za drugimi do pana Tomasza nie przychodziło. Tomasz Zan tego był przekonania, że młode serca nie mogą próżnować, że czysta platoniczna miłość powinna w nich przebywać. Sam też jakimś panieńskim ideałem zawsze był zajęty: z Felą, którą ubóstwiał i o której piosnki pisywał, mało się znał osobiście i rzadko się spotykał. Skromność Tomasza w obejściu się, w mowie, w obyczajach była, że tak powiem, panieńska: nie cierpiał dowcipnych dwuznaczników, unikał wzgardliwie tych rozmów, które (nie wiem dlaczego) zowią tłustemi, a któremi płeć brzydka częstokroć lubi się popisywać. Raz przez moję niebaczność brzydko się panu Tomaszowi naraziłem. Gdy on w czarnym fraku i w światło — zielonych trykotach (jak wówczas noszono) bawił płeć piękną wyliczaniem znaczenia kolorów; mnie zielone jego trykoty podały ną myśl pewien dwuznacznik i jak z pilnego interesu wyszeptałem mu go do ucha. Postrzegłszy raptowną, cierpką zmianę jego twarzy, przypomniałem po czasie, że cnota nad cnotami trzymać język za zębami; popsułem mu humor na cały wieczór, odszedł

do siebie wcześniej, jak zwykle, a przy rozbieraniu się nieszczęśliwe trykoty lokajowi darował. Byłem dotkliwie ukarany, bo dni dwa czy trzy ze mną nie gadał.

Gdym po raz pierwszy przyjechał do Wilna, Mickiewicz był jeszcze wówczas profesorem w Kownie i tylko czasowo, na krótki czas do wileńskiej młodzieży, jako filaret dojeżdżał. Miałem jednak rozkosz słyszeć jego u nas improwizującego do Aleksandra Chodźki, w której to improwizacji kolibra, przedstawiającego Aleksandra, zestawiał z orłem. Mówiąc o Mickiewiczu, przychodzi mi na myśl jego szkolny jeszcze koncept, o którym mi opowiadał ze śmiechem jego szkolny kolega, nieboszczyk Ludwik Bernatowicz, który razem z Mickiewiczem nowogródzkie dominikańskie szkoły odbywał i był świadkiem i uczestnikiem, jak cała trzecia klasa razem z profesorem polegała ze śmiechu, wywołanego konceptem „Adasia". Rzecz się tak miała: profesor któregoś z malców zapytał z geografji, ten, nie umiejąc odpowiedzieć, jak zwykle, tak i tą razą chciał się poratować podpowiadaniem siedzącego przy nim Adasia i ze ślepą wiarą wypowiedział podszepnięte mu następujące wyrazy:

W Damaszku, siedział djabeł na daszku,
W kapelusiku czerwonym
Różnemi piórami upstrzonym.

Codziennym naszym gościem był słodki moralista (wówczas jeszcze nie pedant) Jan Czeczot. Także co dzień, a czasem i dwa razy na dzień, odwiedzał naszą kwaterę wesoły szałaput Freyend...

Nie gorszcie się teraźniejsza młodzi, że za moich młodzieńczych czasów każdy prawie z młodych był zakochany. Taki wówczas był nastrój ducha. Wy dziś rozwijacie się pod wpływem zimnego pozytywizmu, myśmy rozwijali się w atmosferze marzycielskiego romantyzmu. Każden musiał być małym Petrarką i mieć swoją Laurę. Nieszło wcale o dobijanie się wzajemności, nie było nawet koniecznością dać się swojej Dulcynelli poznać. Wielu miało się za dostatecznie szczęśliwych, gdy im się udało odkryć godzinę i dzień, w których nóżki ich ideału zwykły po tym i tym trotoarze przechodzić, bo serca ich rozkosznie się zadowolniały, że te i te czarujące oczki nawykły regularnie z ich wzrokiem się spotykać. Dosyć im było wiedzieć, w jakim kościele

i na jakiem miejscu ujrzą swe słońce, z pod kapeluszyka świecące. Jedno spotkanie, jedno, choć przypadkowe, spojrzenie uwielbianych dostarczało błogości do drugiego spotkania. A też mała rzecz ujrzeć w oknie swą bohdankę i pieścić wzrokiem przytuloną do szyby twarzyczkę, — a wieczorem, czyż nie rozkosz za oświetlonemi szybami śledzić przesuwający się ulubiony cień z rozpuszczonemi lokami? albo, posłyszawszy fortepian, odgadywać przebieganie po klawiszach drogich, białych palczyków, a gdy jeszcze do tego wpadnie do ucha jej śpiew, choćby nawet z fałszem, to z przeciwległego trotoaru wyda się niechybnie pieniem chórów anielskich. Czasem w niemożności dopatrzenia odwróconej twarzyczki umiano się zadowalniać wystającym loczkiem, a choćby nawet tylko kapelusikiem lub chusteczką, pod któremi odgadywano z niczem niezrównane wdzięki. Od czegóż wszechwładna wyobraźnia, przed której okiem nic się ukryć nie może, która potrafi na jaw wywołać wszystko widome i niewidome, która z niczego umie wytwarzać roje niewyczerpanych delicyj.

...Niektórzy filareci dla krotofili mieli swoje śliczne, młode królowe, każda z nich miała swój dwór z kilku dworzan złożony; do królowej należało nadawać (według swego widzimisię) swym dworzanom tytuły; byli sekretarze, śpiewacy, pazie, czytelnicy, radcy, przyjaciele, powiernicy i t. p.

Ja u mojej królowej Z. Sz. byłem paziem. Wystąpiłem dla mojej pani z prezentem, który mile przyjęty został. Kazałem najlepszemu w Wilnie tokarzowi zrobić „berło królowej", a był to rzeczywiście wytoczony z hebanu kijek nieco więcej jak półłokciowej długości i ze srebrną u dołu na trzy cale skówką. Żeby to berło miało jakiś użytek, dawało się rozsuwać i formowało zgrabną laskę do przechadzki. Ignacy Zan był u tejże królowej nadwornym lekarzem, Stefan Zan flecistą, Marcinkiewicz radcą i jeszcze ktoś, których zapomniałem.

W tym podobno roku wileńscy gimnazjaści napisali w klasie na tablicy kredą: „Wiwat konstytucja 3 maja". Te trzy wyrazy, kredą przez żaka nakreślone, wywołały w sferze urzędowej ogromny popłoch, posypały się mnogie areszta i silne malców prześladowanie, dopytujące się winowajcy, którego nikt wyznać nie chciał. Aż nareszcie kilkunastoletni Michał Plater, chcąc już

kolegom ulżyć, sam dobrowolnie winę na siebie wyznał, zaco go odesłaniem w proste sołdaty wynagrodzono.

Przemieszkaliśmy w kamienicy Kukiewicza razem z Zanami dwa lata i to były właściwie najprzyjemniejsze chwile uniwersyteckiego życia.

Pod koniec drugiego roku był w Wilnie zjazd cesarza Aleksandra I-go i wszystkich trzech wielkich książąt, Konstantego. Mikołaja i Michała, którym asystował liczny orszak generałów z przybyłą nieco pierwej petersburską pieszą gwardją; przybył i nasz kurator, Adam książę Czartoryski. Odbywały się na wielką skalę parady i manewry wojskowe. W mieście był tak wielki wówczas natłok wojskowych i przyjezdnych, że pani Dominikowa Tyszkiewiczowa, przyjechawszy z córką Kamilą na karnawał, nie mogła znaleźć mieszkania i musiała tymczasowo przyjąć naszą kwaterę.

...Między akademikami a gwardyjskimi oficerami zaczęły się pojawiać nieprzyjazne starcia. Na jednym koncercie Franciszkowi Uzłowskiemu ze Słuczczyzny, siedzącemu w krześle, oficer Tyzenhauz wlazł na nogę. Uzłowski silnie go odtrącił i wyzwał na pojedynek. Oficer nie stanął, lecz udał się ze skargą do rektora i pan Franciszek uniwersyteckim aresztem dni kilka musiał odsiedzieć, co dało powód do różnych z gwardjakami szykanów. Sami oficerowie mieli swemu koledze T. za złe to jego znalezienie się.

Młodzież akademicka zażalona, że znaczna część płci pięknej zaczęła się skłaniać więcej do oficerów, niż do nich, umyśliła wymówić to pannom publicznie. Nie pomnę z czyjej inicjatywy uprojektowano w tym celu maskaradową maskę pod hasłem, „Za mundurem panny sznurem". Maska ta składała się ze czterech osób: z krawca, niosącego pod pachą gwardyjski oficerski mundur, od którego guziki i hafty nazewnątrz świeciły, za krawcem trzy biegące panny, do których nosów przyczepione trzy łokciowej długości sznurki drugiemi końcami były przymocowane do haftów i guzików mundurowych; — na plecach krawca papier z napisem: „Za mundurem panny sznurem". Krawcem był szeroki, niski Łoziński, trzema pannami: Aleksander Chodźko, Adam Kurowski i moja godność. Dla zabiezpieczenia naszej maskowej grupy od możebnej jakiej oficerskiej protestacji masa

akademików wyprzedziła nas do sali maskaradowej i ustawili się gęsto po obu stronach przejścia. Znaczna część przyjaznej nam publiki była zawiadomiona i z dobrem usposobieniem nas oczekiwała; inni domyślali się, że coś niespodziewanego ma nastąpić i z zaciekawieniem wyglądali. Gdyśmy w asystencji kilkunastu młodzieży wpadli do sali, znalezliśmy wszystkie ławki i siedzenia stojące publiką pokryte, wszystkie oczy wlepiły się na nas, my ciągnieni sznurami za nosy, nieco w obawie, by któren nos się nie oberwał, przebiegliśmy wśród grzmotu oklasków i wołania: „Brawo! brawo!" Przebiegłszy tak za naszym krawcem wśród szeregu uszykowanych akademików wkoło sali, zdążaliśmy ku drzwiom, ale na usilne wołania: „Jeszcze! jeszcze!" musieliśmy przebiec po raz drugi i kontenci, że nosy całe, wylecieliśmy za drzwi, wpadliśmy na czekające nas sanie i tyle nas widzieli.

ROK 1823. SPRAWA FILARETÓW.

Na horyzoncie uniwersyteckim zaczęły się czarne punkty pojawiać, czuć się dawał jakiś niepokój, jakaś niepewność siebie, dolatywały różne niepokojące wieści i podejrzliwe ze strony rządu domysły. Tomasz Zan zakomunikował wszystkim towarzyszom, że Stowarzyszenie Filaretów na czas nieograniczony się rozwiązuje, że żadnych zebrań nadal nie będzie, że wszystko do pewnego czasu głuchem milczeniem się pokrywa, wspomnień i wzmianek nie czynić żadnych, jakby nic nie było.

Wakacje smutno się zbliżały. W tej martwocie kilku z nas, Ignacy i Stefan Zanowie, Aleksander Chodźko, Edward Pułjanowski, Rafał i ja, zrobiliśmy projekt wyjść na dalszą przechadzkę za miasto.

Kiedyśmy tak w sześciu przez Antokolską ulicę przechodzili, spotkaliśmy się na trotoarze z gwardyjskim oficerem; pięciu nas, idących poprzedzie, przyzwoicie i spokojnie z rycerzem się rozminęło, ale o kroków kilka za nami zaburmaszysty Pułjanowski tak niezręcznie otarł się o oficera, że ten musiał z trotoaru zeskoczyć; wszczęła się między nimi sprzeczka, piątka nasza wraca z sukursem. W tę porę ktoś z obcych, przechodzący blisko środkiem ulicy, zawołał stanowczo: „Pal w pysk!“ i spiesznie podążył dalej, a Pułjanowski jak nie swoją ręką pali w gwardyjski policzek. Oburzony i zdekoncertowany oficer, przez sześciu otoczony, żałosnym głosem przemawia: „*Gaspada, wy za zdiełannuju mnie obidu dołżny dat' połnuju satisfakcju, ja nie Tyzenhauzen*“ i obracając się do Pułjanowskiego: „*skażytie mnie waszu familiju i waszu kwartiru, ja kniaź P.*“. Pułjanowski zaczął majaczyć, a Rafał podchwytując zawołał: „Orłowski, w domu Gutta, przy ulicy Zamkowej“.

Oficer w pugilaresie zanotował i rozeszliśmy się spokojnie

Taki był finał tej brzydkiej ulicznej katastrofy. Dobrze, że ulica Antokolska nie była wówczas zaludniona i nikt tej bójki ulicznej nie był świadkiem prócz tego niewiadomego, co mimochodem zakomenderował „Pal w pysk", i prócz sołdata, stojącego na przeciwnej stronie ulicy na straży przy powietce pożarnych instrumentów z karabinem w ręku. Stał on nieruchomie wyprężony, oddający żołnierską cześć obitemu oficerowi.

Napadliśmy na Rafała, czemu się nie zdobył na inną jaką kamienicę, a nie na Gutta, stykającą się z naszą. Ale pokazało się, że figlarz wiedział o mieszkaniu szewca Orłowskiego w domu Guta i chciał przy jednym ogniu dwie pieczenie upiec. Ułożyliśmy się, żeby nie razem powracać, ale w rozsypce po jednemu z różnych stron poosobna do kwatery swojej wchodzić. Gdyby nie ta ostrożność, wpadlibyśmy jak raz w ręce kniazia P. Każdy bowiem z nas, wchodząc szczęśliwie do swej bramy, widział go na przeciwległym trotoarze ze wzruszoną wybladłą twarzą, niespokojnie w tył i wprzód przechadzającego się; chwilami w zadumie się zatrzymywał, to znów się zrywał i szedł dalej, wpatrując się pilnie w każdą spotykaną osobistość, niektórych nawet zapytaniami zatrzymywał. Był on wówczas już po rozmówieniu się ze wskazanym, Bogu duszy winnym Orłowskim; rozeszli się wzajemnie z siebie niezadowoleni: Orłowski, że go gwardjak darmo turbował, nie dawszy nogi do zdjęcia miary, a kniaź, że nie od szewca policzek dostał.

Skutkiem tego wypadku były różne ścisłe poszukiwania i ze strony władzy uniwersyteckiej, i od wojskowości, i od policji, lecz wszystko się zawsze skupiało na biednym szewcu Orłowskim; prawdy nigdy nie doszli. Jeszcze w rok później w sprawie filareckiej na komisji Nowosilcowa między innymi *zaprosnymi* punktami było pytanie: „Kto oficera P. uderzył?" Wszyscy posyłali po objaśnienie do szewca Orłowskiego. Mówią, że gdzie jest trzech, tam niema sekretu, tu było nas sześciu i nikt nikomu ani pisnął; — prawda, że nie było z czem się chwalić, — i ja dopiero po sześćdziesięciu latach, kiedy już aktorzy tej sceny powymierali, pierwszy raz z tem się wykrywam.

Rychło po naszem u Orzechowskich zamieszkaniu zaczęło się Filaretów prześladowanie. Przysłany był na tę sprawę z Warszawy od w-go księcia Konstantego senator Nowosilcow ze swoim



Klasztor dominikanów i kolegjum pijarów w Wilnie.

podręcznym tłustym Bajkowem, tytułującym się generałem, choć się ubierał po cywilnemu i w wojsku pono nigdy nie służył. Jeden z filaretów, Jankowski, został najpierw uwięziony, w czasie bowiem wakacjów po rozjechaniu się akademików uczyniono po kwaterach akademickich ścisłą rewizję i znaleziono w papierach Jankowskiego pisane przez niego ostre artykuły przeciw ruskiemu rządowi i jaskrawo skandaliczne wiersze o cesarzowej Katarzynie. Jankowskiego groźbami, ostrem z nim obchodzeniem się i obietnicami skłoniono, że się do wszystkiego zeznał i z podanej sobie wpisowej uniwersyteckiej księgi wszystkich swych towarzyszy wyszczególnił. Nowy dowód, jak nie warto liczyć na krzykliwych zapaleńców. Jankowski przy łatwości pisania kostycznych wierszy był pełen gorączkowego jadu i złośliwej żółci, a wszystkiemu w sobie dawał pozór patrjotycznego zapału; lubił swą deklamacją się popisywać, na posiedzeniach czytywał lub deklamował burzliwe i jadowite swe prace, tak, że w końcu rada filarecka zabroniła mu stanowczo ze swemi odczytami na posiedzeniach występować, zaco się wielce zrazu oburzył i kolegów o słabe tchórzostwo szyderczo obwiniał, a gdy przyszło do rzeczy, on jeden tylko odrazu stchórzył i wszystko bojaźliwie wyśpiewał. Zwykle tak się dzieje z krzykaczami.

Zaczęły się codzienne, czyli raczej conocne areszta (wykonywały się one bowiem nie w dzień, ale w nocy). Żandarmy coraz przemykali się na *pierekładnych*, przywożąc ciągle pocztą aresztantów z prowincji. Wszystkie klasztory więźniami były zapełnione. Franciszka Malewskiego, wysłanego na wojaż, sprowadzono z zagranicy najprzód do Warszawy wprost do Belwederu, do w-go księcia Konstantego, stamtąd pozwolono mu w kancelarji księcia napisać do rodziców (kopja tego listu może się jeszcze między memi papierami znajdzie); w tym liście pan Franciszek cytował słowa W-go Księcia i jego dość uprzejme z nim obejście się.

Przyszła kolej i na mnie. Jednego wieczora przed samem rozejściem się do łóżek przyjechał do nas kwartalny Krukowski, pyta o mnie, potrzebuje wszystkich moich papierów (oddałem mu oddawna na to przygotowane moje dwie książki lekcyjnych notatek) i wzywa mnie jechać z sobą; na zapytanie, czy ma mnie wieść do aresztu? że w takim razie zabrałbym pościel z sobą —

uręczał, że zawiezie mnie tylko do senatora. Wziąłem więc tylko płaszcz na siebie i ruszyliśmy na remizowej dorożce. Rzeczywiście Krukowski przywiózł mię do domu przy Dominikańskiej ulicy, w którym mieszkał senator Nowosilcow, ale wprowadził mię tylko z bramy na prawo do kwartalnego Jackowskiego; tu kwartalni trochę się z sobą posprzeczali. Jackowski narzekał: „Czemu sam nie odwozisz, a drugiemu narzucasz?" — ale w końcu Krukowski odjechał, mnie zostawiając, i Jackowski musiał do klasztoru dominikanów odwieźć.

Wprowadzono mię na kurytarz drugiego piętra, gdzie wzdłuż zamkniętych celi przechadzał się żołnierz z karabinem. Na odzew żołnierza wyszedł podoficer z pękiem kluczów. Gdym wspomniał o przywiezieniu mi pościeli, wyperswadowano, bym tę noc przecierpiał, że już późno, że w klasztorze klauzura, a że jutro będę miał wszystko, co potrzeba.

Podoficer otworzył jedne drzwi, wpuścił do stancji i drzwi na klucz zamknął. Noc była dość światła i mogłem się rozpatrzeć w mej nowej siedzibie. Niewiele na to trzeba było czasu. Izdebka mała, pięć łokci wzdłuż i cztery wszerz, z ceglaną posadzką, w końcu stary, prosty stolik, przy nim stołek, a koło ściany najprostsze próżne łóżko, na którem nie było nietylko słomy, ani nawet desek, ale tylko trzy cienkie poprzeczki na przyjęcie desek. Złożyłem w kilkoro mój piękny granatowy płaszcz o czterech pelerynach, cały grodenaplem podszyty, nadając mu, ile można kształt, poduszki, a ułożywszy go na końcowej poprzeczce, umieściłem na tej improwizowanej poduszce moją głowę, na środkowej środek, a na drugiej końcowej nogi. Tym porządkiem, to leżąc na szczeblach, to siedząc na stołku, a najwięcej chodząc po izbie, tę długą zimową noc przepędziłem.

Nazajutrz rano nasz kozaczek Leonek przyniósł mi moją pościel, kawę z bułką i pokonsolował, że i obiad przyniesie; przybiegł z nim i mój pudelek, chciałem go przy sobie zatrzymać, ale nie pozwolono. Okno mojej izdebki, przybite na głucho i opieczętowane, nie mogące się otwierać, nie było na środku ściany przeciw drzwiom, lecz w rogu bocznej ściany. Część ta klasztoru, w której mieszkałem, wyskakiwała z linji klasztornego gmachu tak, że z mego rogowego okna mogłem widzieć w lewo po za mną długi szereg okien klasztornych, należących do moich

aresztowanych kolegów, a dalej do uczniów medycyny, będących na koszcie skarbowym. Gdym raz z mojego okna powiódł wzrokiem po szeregu okien, tuż zaraz w pierwszym za mną na lewo oknie spotkałem się z twarzą i wzrokiem Aleksandra Chodźki; postrzegłszy on mnie, uśmiechnął się, odskoczył szybko od okna i wnet się napowrót zjawił, trzymając w jednym ręku kawał szwajcarskiego sera, a w drugim flecik z butelką wina i, potrząsając szyderczo głową, jakby chciał powiedzieć: „Kpię reszta ze wszystkiego".

Na trzeci czy czwarty dzień zaprowadzono mię do komisji, która się drzwiami komunikowała z mieszkaniem Nowosilcowa. Wprowadzono mię do dużej sali o pięciu czy sześciu dużych oknach; z boku stół duży, czerwonem suknem pokryty, na nim dużo papieru i zwyczajny wszystkim sądownictwom orzeł, nazywający się po rusku *ziercałem.* Przy stole siedział Bajkow, prokurator Botwinko, sowietnik Ławrynowicz i policmajster Szłykow. Któryś z nich podał mi arkusz papieru, zapisany z jednego boku kilkunastu zapytaniami, przeciw których miałem odpisać odpowiedzi; pokazano mi stołek pod końcowem oknem, bym tam na *zaprosne* punkta odpowiadał. Co się tyczyło Filaretów lub jakich tajnych stowarzyszeń odpisałem negatywnie, że nic o nich nie wiem. Na inne kwestje, należące więcej do formy, odpowiedziałem szczerze bez żadnych wykrętów. Na zapytanie tylko o uderzenie oficera P. odpisałem: *„Nie znaju i nie wiedaju".* Odniosłem papier do stołu i napowrót do swojej wstrętnej izdebki zostałem odwieziony. W pół godziny potem wszedł podoficer naszej straży z oznajmieniem: *„Kakaja to barinia w czornom płatii spraszywajet, nie nużdajetieś li wy w czom nibud'. Niekotoryje iz waszych pożełali kofia i im akuratno prynosiat".* Nie potrzebując niczego, kazałem dobrej pani szczerze podziękować.

Atramentu i papieru nam nie pozwolono, ale książki do czytania wolno było mieć. Miałem właśnie w kwaterze sześć tomików Delfiny pani Stael i cztery tomy w tłumaczeniu francuskiem Rob-Roya Walterskota. Książki te kiedyś z licytacji doktora Franka kupiłem i jeszcze nie przybrałem się ich przeczytać; kazałem więc Leonkowi one przynieść, które stanowiły jedyną miłą rozrywkę mego więzienia. Literaturę przeplatałem graniem na flażolecie i mimiką przez okno z Chodźką.

Mimika jednak niedługo trwała. Nie wiem, co było powodem, że wkrótce okna nasze, jak i po wszystkich innych klasztornych więzieniach, zostały z podwórza jednocześnie wapnem pozabielane.

Później nowa jeszcze jakaś okoliczność wywołała ze strony naszych strażników jeszcze większą ostrożność; prócz szyldwacha na korytarzu i drugiego na dworze pod oknem, stawiono na dzień i na noc w naszych izbach wewnątrz po sołdacie z karabinem, którego całą funkcją było, siedząc przy piecu, drzemać; lecz ta dzika nowość niedługo, ledwie dwa czy trzy dni trwała. Prawdę powiedziawszy, zbyteczne te ostrożności po większej części wywoływane były przez samychże więźniów. Początkowo okna nie były na głucho pieczętowane, można było je otwierać, przestawiano na chodzących pod oknami szyldwachach. Ale, jak Łoziński, zrobiwszy ze swoich majtek i butów wypchanego bałwana, posadził go w otwartem oknie wyższego piętra i zaczął pomału posuwać jakby do zeskoczenia, bawiąc się przerażeniem szyldwacha, który w przekonaniu, że aresztant gotuje się wyskoczyć, groźnie wołał: *„Nie smiej prygat', jej Bohu! sztykom pierekalu!“* i rzeczywiście, gdy tłusty holofernes bez głowy z drugiego piętra leciał, przebił się na podstawiony bagnet nielitościwego szyldwacha. Wskutek tego wszystkie okna popieczętowano i pozabijano na głucho.

Póki jeszcze nie było wewnętrznego stróża wszedł raz do mnie podoficer i szepcząc rzekł: *„Wielitie wiesti siebia k wietru, tam wy najdiotie swojewo towaryszcza, kotoryj żełajet z wami powidat'sia“*. Podziękowałem, dając mu dwa złote, i w zwykłej w takim razie asystencji sołdata z gołym pałaszem, podążyłem do komórek, tam znalazłem czekającego już na mnie Suzina, który, nie dowierzając może mojej młodości, uznał za potrzebne ze mną się rozmówić, skłonił prośbą i złotówkami podoficera i ten nam to spotkanie ułatwił. Suzin wystąpił do mnie z patetyczną przemową, dodając mi ducha, zachęcając do wytrwałości, bym się ani groźbami zastraszyć, ani pochlebstwami zmiękczyć nie dawał i t. p. Uspokoiwszy go na to konto, rozeszliśmy się.

Ostatki moich obiadów oddawałem podoficerowi lub któremu żołnierzowi, co zawsze z wdzięcznością przyjmowane było. Ubawił mnie raz niespodzianką mój podpiecowy, pokojowy strażnik. Kiedy po drzemce zjadł z gustem resztki mego obiadu,

a ja, siedząc na łóżku, wywodziłem trele na moim flażolecie, po niejakiej chwili sołdat zapytuje: „*Nie igrajetie li wy kakowo kozaczka?*“ Zagrałem, jakiego umiałem; musiał być dość skocznym, kiedy sołdat z początku siedząc podrygiwał, a w końcu się odezwał: „*Chatitie, ja wam poplaszu*“. „*Izwol*“. Sądziłem, że żartuje, lecz on nie czekając odstawił karabin, zerwał się ze stołka i, wziąwszy się pod boki, przeszedł pod moją muzykę, w takt podrygując, raz, drugi i trzeci po czterołokciowym salonie, dalej coraz innemi, coraz więcej łamanemi krokami podskakiwał, w końcu puścił się w zwinne *prysiudy* wzdłuż i wkrąg salonu, w którym półtora tylko raza obrócić się można było. Krótką chwilę to mnie pocieszyć mogło, bo wnet pył z ceglanej podłogi, w ciemnej ciupce stał się do niewytrzymania. „*No, dawolno bratiec, ty umorylsia*“, i rzeczywiście krople potu z pyłem na całem jego nosie osiadły; „*błahadariu tiebia, maładiec, wot ty mienia utieszył*“ — i na potwierdzenie dałem mu dziesięć groszy. Chwała Bogu, to była ostatnia wewnętrzna warta i żaden tancerz więcej mi się nie pojawił.

Pewnym późnym wieczorem po klasztornej klauzurze, kiedy już mniej więcej była pewność, że ani oficer, ani policja nie przyjdzie, wszedł nasz podoficer z oznajmieniem, że koledzy mnie zapraszają, że on mnie do nich zaprowadzi. Wprowadził mię do izby przezacnego naszego księdza Lwowicza, pijara, gdzie znalazłem kolosalnego gospodarza zajętego koło samowara rozlewaniem herbaty, przy nim siedzących na łóżku, na stoliku i stołku Suzina, Chodźkę i nowo ze wsi przywiezionego Józefa Tyszkiewicza, którego matka, pani Dominikowa, gdy żandarmy jej syna zabierali, nieutulona w płaczu temi słowy syna żegnała: „Boleję, ale więcej bym bolała, gdybyś, będąc w Uniwersytecie, do Filaretów nie należał“. Nie trzeba wam opisywać, jak nam miło, choć nie jaskrawie, cała ta noc aż do dnia przy herbacie ze swoimi przeszła. Podoficer nas w niczem nie ścieśniał, choć nas nie odstępował. Chciał też nas zainteresować swojem opowiadaniem, jak on zwalczywszy Napoleona I-go przebywał w Paryżu, jak tam lud uczony i mądry: „*Wot takoj malczyszka i tot po francuski breszet, nie skażet po naszemu chleb, a diu pen*“; przypomniał, jak tam jadł jabłka w buraki szczepione: „*w sieredinie nie biełoje, a prosto krasnoje, kak nastojaszczyj burak, jest'*

drugije w retku sczeplene, rozkusisz i, czort wozmi, horkoje, czysto retka".

Z nieocenionym księdzem Lwowiczem, który też do Filaretów należał, spotkałem się jeszcze niespodzianie w lat kilkanaście czy dwadzieścia potem, w chwilowym moim przejeździe przez miasteczko Dołhinów, gdzie on w tę porę był uwielbianym proboszczem. Mężna jego wysoka postać, zdawało się, że nas wszystkich przeżyje, tymczasem ledwo lat sześćdziesięciu dożył i w tym samym Dołhinowie życie zakończył, zostawiając po sobie w parafjanach żal i czcigodną cnót jego pamięć.

Ksiądz Lwowicz, gdy odsiadywał swe więzienie u dominikanów, był już ze stopniem magistra teologji i filozofji.

Jeszcze mię razy dwa czy trzy do komisji wodzono; też same prawie zapytania i też same odpowiedzi.

Leonek, przynosząc mi obiad raz, przyniósł serwetę pięknych jabłek, mówiąc: „Pan Soroka z Bartnik przyjechał i te jabłka przywiózł; kazał od wszystkich z Bartnik bardzo a bardzo panu się kłaniać". Po odejściu Leonka przyszła mi myśl przez jabłka z Bartnikami się skomunikować; odłożyłem sobie dwa, a na ośmnastu wyłamanym zębem z grzebienia powykoływałem wyrazy do rodziców i rodzeństwa. Nazajutrz odesłałem przez Leonka powykoływane jabłka panu Soroce z prośbą, by je w całości do Bartnik odwiózł. Opowiadano mi później, jak silne wrażenie w domu te jabłka sprawiły i jak z wielkiem rozrzewnieniem odczytywane były. Kochana siostra Zosia, wówczas już narzeczona Michała Korbuta, przepisywała z jabłek na papier i żałowała, że nie było sposobu jabłka z nienaruszonemi napisami zasuszyć.

Po pewnym czasie, nie wiem z jakiego powodu, przeniesiono mnie z ciasnej izdebki drugiego piętra na trzecie piętro, z czego zostałem bardzo zadowolony, bo tu dostałem obszerny o trzech oknach pokój, którego ściany, choć zblakłe i obszarpane, chwaliły się, że były kiedyś niebieską farbą pokryte; podłoga nie ceglana, ale dobra drewniana; koło ścian wskroś obiegała masywna, dębowa miejscowa ława. Widoczna, że to była kiedyś, a może i niedawno jakaś zborna dominikańska sala. Tu mogłem już z przyjemnością wzdłuż obszernego pokoju swobodnie się przechadzać; było ciszej, nie słyszałem monotonnych kroków szyld-

wacha, chodzącego bez przerwy po korytarzu, ani bezustannego karabinowego szczęku i tego wstrętnego szczęku kluczy więziennych. Tu było spokojnie, ledwo że nie rozkosznie. Nawet stolik był porządny, zielono pokostowany z szufladką. Było mi tu prawie dobrze z moją Delfiną i Rob-Royem. Tę tylko miałem raz przykrość w mojej nowej siedzibie, że mię w niej raczył nawiedzić swoją wstrętną osobistością prokurator Botwinko. Szorstko i cierpko on mi wymawiał, że się niepotrzebnie i próżno zapieram. „Chyba chcesz zgnić w kozie", na zakończenie dodał. Odrzekłem mu tylko, że „choćbym najdłużej siedział, od ścian niczego się nie dowiem". Podoficer mi powiedział, że jednocześnie z memi przenosinami przeprowadzono księdza Lwowicza, Chodźkę i Suzina do jakiegoś innego klasztoru...

Jeszcze kawał czasu upłynął, wszedł Leonek w niezwykłej porze, cały wzruszony, z oznajmieniem, że „pan z Bartnik przyjechał, że był z księciem Konstantym Radziwiłłem u senatora i dziś panicza na Komisję zaprowadzą". Jakoż w kilka godzin mnie tam zaprowadzono. W połowie sali spotkał mnie mój ojciec i, odprowadziwszy na stronę, po przywitaniu, po kilku słowach o matce i rodzeństwie rzekł: „No, już rzecz skończona, nie masz ani obowiązku, ani potrzeby dłużej się zapierać. Tomasz Zan tu na piśmie do was wszystkich się odzywa, uwalniając od danej mu przysięgi, byście całą prawdę czysto wyznali, że on sam wszystko wyznał i całą odpowiedzialność przyjął na siebie".

Spytałem, czy mogę widzieć odezwę Zana? Ojciec podszedł do stołu, poprosił o skrypt Tomasza; pisał, że nie tylko od przysięgi uwalnia, ale i do wyznania czystej prawdy zobowiązuje. Gdym oddał papier, ojciec, wskazując na piszących pod oknami, rzekł: „Ot widzisz, ilu jest tu twoich kolegów, wskutek odezwy Zana szczerze odpisują". Podano i mnie papier, poszedłem z nim na moje dawne miejsce pod okno i tą razą szczerze na wszystkie zapytania odpisałem; tylko (rozumie się) do oficera P. nie przyznałem się. Między odpisującymi kolegami widziałem wówczas Chodźkę i Józefa Tyszkiewicza, których zdaleka uśmiechem powitałem.

Odniósłszy papier do stołu, musiałem zaraz z ojcem się pożegnać; powiedział mi przy pożegnaniu, iż się spodziewa, że za dni kilka mię uwolnią. Jakoż, ledwie dni trzy upłynęło, wszedł

kwartalny z oficerem, za nimi nasz Leonek i puścili mnie po dziesięcio-tygodniowej niewoli. Leonek zabrał manatki; trzy ruble, jakie ojciec przez niego przysłał do rozdzielenia żołnierzom, wręczyłem podoficerowi, by się ze swoją komendą podzielił, a sam powiedziawszy dominikanom: „Pisujcie na Berdyczów", i dopadłszy do sanek, czmychnąłem do kwatery.

...Lekcje uniwersyteckie były jakoś przez dziesiąte piąte z różnemi przez profesorów pauzami. Na Boże Narodzenie wszyscy czterej bracia z Francuzem Żorżem wyjechaliśmy do domu; trzeba było jednak przed wyjazdem Komisję zawiadomić, gdyż zostawałem jeszcze pod nadzorem policji. Rafał od tych świąt został w domu, mając jechać do Petersburga, a ja z Mieczysławem i Lucjanem powróciłem do Wilna. Równie z innymi Filaretami zostałem wykluczony z listy akademików, a stąd pozbawiony prawa ubiegać się o uczony stopień. Słuchałem dalej kursów uniwersyteckich po amatorsku, według swego upodobania, a od Włocha Bramatego zacząłem się uczyć po włosku.

W tym podobno roku na Żmudzi w Krożach zaszły między uczniami jakieś nieporządki, kilku czy kilkunastu wysłano w proste sołdaty, a rektor Twardowski sam tam jeździł szkołę zamknąć i miał do uczniów stosowną pożegnalną mowę. Kopja tej mowy powinnaby między memi papierami się znajdować...

Jak kochaliśmy naszego Tomasza Zana, może i to poniekąd służyć za dowód, że kiedy w kilkanaście tygodni po mojem uwolnieniu, przechodząc z Adamem Kurowskim przez Dominikańską ulicę, postrzegliśmy Tomasza Zana w jego piaskowym płaszczu, jak go do domu Nowosilcowa kwartalny na remizie odwoził, puściliśmy się jak warjaci w pogoń. Kurowski w biegu upadł, podobno i obcasem ode mnie dostał, ja bez pamięci co tchu biegłem dalej. Tomasz z kwartalnym kazali dorożce się przytrzymać, dobiegłem i kontentowałem się tem, że po długiem widzeniu się czule się z Tomaszem uścisnąłem. Wówczas już było mniej ścieśnienia i w kilka dni otrzymałem przez któregoś z kolegów od Tomasza Zana na kwadratowym kawałku sinego papieru jego ręką ołówkiem kilka słów współczucia nakreślonych. Chowałem ten siny papierek, może i dotąd gdzie się znajduje. Kilkakrotnie go jednak szukając, odszukać nie mogłem.

ROK 1824. Z WAKACYJ.

...Jesteśmy znowu na wakacjach w domu, ale jakże one w porównaniu do przeszłych były smutne... Nie stawało już Zanów, szczególnie Tomasza, któryby, powstawszy z lampeczką miodu, pierwszy zaintonował:

Pani chorążyna niechaj zdrowa żyje!
Chór: A z nią cały jej dom,
Kto ją kocha ten wypije!
Chór: Kto nie kocha tego precz, precz, won!
Grajcie w trąby!
Chór: Tra-ra-ra-ra
Bijcie w kotły!
Chór: Do-do-do-do!
Niechaj hucznie z armat biją!
Chór: Buf!

Potem następowało: „Pan chorąży niech zdrów żyje“, tak dalej przebierano, póki ochota służyła. Albo śpiewano piosnkę (zdaje mi się) Czeczota: „Co to starzy za warjaci“, albo piosnkę Promienistych Mickiewicza: „Coby było wśród zakresu“.

Ostatnich naszych wakacjów wszystkie humory skłaniały się raczej ku zasępieniu niż do wesołości, po większej części u stołu poważnie milczano; nawet prezydent Kobyliński, teraz spokojnie przymrużywszy oko, smokcze melancholicznie swą szklankę wina, nie huknie już nam znienacka, jak bywało:

Wiwat nasi Glaubicze,
Wszyscy goli, jak bicze!

albo „wypił Kuba do Jakuba“, lub koniecznie rzewnym tonem nie zanuci smutnej dumki:

Siedzi sobie zając pod miedzą,
A myśliwi o nim nie wiedzą,
Siedzi sobie, medytuje,
Testament życia spisuje.

...Przeszłych bywało wakacjów każdego prawie wieczora przy dobranych głosach trzech Zanów, Gonzala i innych śpiewano z wielkiem wszystkich zadowoleniem filareckie pieśni pod nazwą akademickich, z których niektóre tylko wyrywki w pamięci mi pozostały,naprzykład:,,Hej, użyjmy żywota" albo ,,Hej, radością oczy błysną, I wszyscy się mile ścisną", albo ,,Niech w nas panuje miłość i zgoda, Gdy brat bratu swą rękę poda", albo ,,Pochlebstwo, chytrość i zbytek, niech każdy przed progiem miota", albo:

Weselmy się koledzy, dopókiśmy młodzi,
Prędko młody czas upływa;
Za nim starość uciążliwa
I wnet śmierć nadchodzi...

Jedną tylko w całości pamiętam, to wyśpiewaną kiedyś przez Jana Czeczota w kwietniu, w przewodnią niedzielę przy święconem filareckiem, pod gołem niebem na Popławach w Wilnie: ,,Wstał pan Kwiecień z martwych ninie".

Wieczory ostatnich wakacjów przechodziły po większej części na skromnych grach w czekino, w sąsiada, w pierścionek, w cenzurowane i t. p. Za inicjatywą Marjana Piaseckiego i Onufrego Pietraszkiewicza zbierałem składkę dla skazanych na wywiezienie filaretów, przyjmowałem, co kto dał, prócz pieniędzy płótno, szytą bieliznę, pończochy i t. p. Najwięcej się pożywiłem w Zadwiei. Kapitan Maciej Mierzejewski dał odrazu dwadzieścia srebrnych karbowańców, a kapitanowa półsztuczek płótna, niezły zapas bielizny gotowej i dwa dukaty w złocie. Największy zapas szytej bielizny i skarpetek dostarczyła nasza matka. Gotówki zebrałem wszystkiego osiemdziesiąt kilka rubli, z przyjęcia których pokwitowanie Piaseckiego znajdowało się do niedawnych czasów u mnie, jakoteż i z przyjęcia bielizny.

ROK 1824. ZE SZKÓŁ WILEŃSKICH.

Przyjechawszy z wakacjów, znalazłem w Wilnie sprawę Filaretów ostatecznie ukończoną; trzej, uznani za winniejszych, skazani do dalekich ruskich więzień, ze dwudziestu na mieszkanie w dalszych ruskich gubernjach, a wszyscy inni wykreśleni z listy akademików i oddani pod nadzór policji.

Na dni kilka przed wywiezieniem trzech skazanych (Zana, Suzina i Czeczota) pozwolono było wszystkim, ktoby chciał, ich odwiedzić. Drzwi do izby Tomasza Zana w klasztorze bazyljanów przez wszystkie te dnie prawie się nie zamykały. Tak mężczyzni, jak kobiety, tłumnie się zbierali, by go pożegnać. Kiedym po raz pierwszy doń przyszedł, znalazłem izbę narozcież otwartą, przede drzwiami stało kilkanaście osób na korytarzu i między niemi czterech żołnierzy wartujących. W miarę jak jedni przez drzwi otwarte ze środka wychodzili, inni na ich miejsce z korytarza postępowali, każdy mniej więcej wzruszony, a kobiety nieodzownie z chustkami przy oczach.

W izbie chodzili i siedzieli: Tomasz, blady i wzruszony, chodził od jednego do drugiego, ściskał i całował w milczeniu; kobiety też po bratersku z nim się ściskały tak wdowy, mężatki, jak i panny. Milczenie i wzruszenie ogólne. Tylko Piasecki, Pietraszkiewicz i dwaj bracia Tomasza, układając i pakując różne rzeczy, kiedy niekiedy z jakiemś słówkiem się odezwali. Izba była zawalona książkami, nutami, ryzami czystego papieru i różnemi wraz od przychodniów dostarczonemi rzeczami. Coraz to ten, to ów coś do pakunku podsuwał. Stała nawet nowa hiszpańska gitara. Nie pojmuję, jak się to wszystko dało zabrać. Drugim razem, przychodząc do pana Tomasza, znalazłem drzwi na klucz ze środka zamknięte, postukałem znanym hasłem trzy po trzy i otworzono; było w izbie kilka osób samych tylko

filaretów: Adam Mickiewicz, Odyniec, Czeczot, Suzin, Freyend, Piasecki, dwóch braci Tomasza, pewno i ktoś jeszcze. Wszystkich znalazłem silnie rozrzewnionych, bo właśnie w tej chwili Czeczot przy gitarze przez Tomasza akompanjującej wyśpiewał w ludowem narzeczu świeżo przez siebie ułożoną pożegnalną, czułą pieśń, która wszystkich nutą i treścią do ogólnego płaczu pobudziła; ledwie cząstkę jeszcze tej nieocenionej pieśni zachwyciłem.

Po jej ukończeniu, gdy wszyscy w największem rozrzewnieniu z Czeczotem, Tomaszem i Suzinem się ściskali, Mickiewicz stanął na środku blady i wzruszony, jak nigdy, zawołał na Freyenda, by mu zaintonował na flecie ulubioną jego nutę F i l o n a i począł pieśń okolicznościową improwizować. Z początku nucił spokojnie, później głos nabierał coraz większej mocy, twarz się raz po raz mieniła, przy ostatnich strofach improwizacji wprawiła wszystkich słuchających w milczące, podziwiające osłupienie, i znowu się zakończyło ogólnym płaczem i pocałunkami. Pierwszy to i ostatni raz widziałem pana Adama pod tak silnem i rzewnem wzruszeniem. W ogólności mało go spotykałem, tylko gdy chwilowie przyjeżdżał z Kowna do wileńskiej młodzieży, co bardzo nieczęsto się trafiało.

Tomasz Zan został skazany i wywieziony na cały rok do Orenburskiej fortecy; Czeczot i Suzin na pół roku do ostrogowego więzienia, a później na zamieszkanie w ruskich gubernjach. Innych z dwudziestu kilku, w których liczbie Mickiewicz, Malewski, Łoziński, Kowalewski, Kułakowski, Jeżowski, Freyend i t. d. porozwożeni po różnych punktach Rosji po większej części na naukowe posady.

Ostatni ten rok mojego pobytu w Wilnie, nie licząc się już do akademików, chodziłem po amatorsku na jakie mi się podobało uniwersyteckie wykłady, a przez ciekawość, choć po razu na wszystkie.

Forma i wykład anatomji przez Pelikana bardzo mi się podobała. Był on podobno najmłodszy, a najpewniej najprzystojniejszy z profesorów. Pięknej, nieco smagławej twarzy brunet, nie inaczej zjawiał się do sali, tylko wystrojony jak na bal w czarnym świeżym garniturze, w sklniącej białością bieliźnie, w białych rękawiczkach, wyperfumowany, mówił czystym, dobitnym,

lecz niekrzykliwym głosem. Wszystkie jego ruchy i obejście się z trupiemi członkami były spokojne, naturalne i gracjozne. Napieściwszy się przez godzinę z leżącą przed sobą na stole trupią ręką, nasunął białe rękawiczki, wziął szapoklak z laseczką, uprzejmie się skłonił i odszedł.

Przybył i Lelewel wykładać historję powszechną. Byłem na jego już nie wstępnej, lecz na drugiej czy trzeciej lekcji, ogromna sala była literalnie słuchaczami przepełniona, dużo stało w sieniach za otwartemi drzwiami. Wchodzi wreszcie szybkim krokiem wychudły dość wysokiego wzrostu, nieco przygarbiony z wypieczonym rumieńcem na twarzy, jeszcze nie stary pan Joachim Lelewel: włosy jego blond, oczy duże niebieskie, na wierzch nieco wypukłe, nos duży, nieco garbaty; wyraz łagodny człowieka myślącego. Nim nowy profesor dobiegł do katedry, grzmot oklasków mu towarzyszył. Skłoniwszy się od niechcenia, jakby nierad z oklasków, zaczął dźwięcznym, urywanym, jakby s t a c c a t o głosem mówić. Na słuchaczach, bliżej katedry stojących, malowało się silne zainteresowanie; dalsi, w których liczbie i ja zaciśnięty byłem, przez piąte łowili profesorskie słowa, niemniej jednak słuchali z całem oddaniem się. Milczenie i cisza największa; po skończonej lekcji grzmot oklasków znowu mu aż na dziedziniec przewodniczył. Ozięble i niechętnie przyjmował te owacje, nawet nie kłaniając się za nie, jakby one nie dla niego były. Niedługo też Lelewelem młodzież się cieszyła; rychło go zmienił wysoki, cienki Kukolnik, na którego ani na wstępną, ani późniejszą lekcję nie wybrałem się.

Równie krótko, ledwo na kilka tygodni, zajaśniał bardzo sympatycznemi lekcjami profesor filozofji Gołuchowski; bladej cery, ospowaty, z czarnym mocno kędzierzawym włosem, z czarnemi ognistemi oczami; miłe regularne rysy prawie młodej twarzy. Nos kształtny nieduży, cała postać podobająca się. Śliczną gładką polszczyzną i harmonijnym głosem się wysławiał; wykład lekcji pociągający, każdą treść umiał wyłożyć dla wszystkich przystępnie i zrozumiale; kobiety z gustem na jego lekcję uczęszczały. Księżna Kalasantowa Czetwertyńska była jego stałą słuchaczką.

Jednego pięknego dnia Aleksander Domeyko (były filaret w jednym ze mną różowym związku) wyprowadził mnie na prze-

chadzkę na Bekieszową górę i w długiej poufnej rozmowie zwierzył się, że egzystuje Stowarzyszenie Filomatów, że on do niego należy, że się dzieli na kółka czyli piątki, składające się każde z pięciu członków, wiedzących tylko o swoich piątkach, a nic zgoła o innych towarzyszach, że każdy członek może bezpośrednio formować od siebie nowe piątki i że on do swojej piątki mnie zaprasza. Dałem się zwerbować i pan Aleksander nazajutrz do owego kółka mnie wprowadził, gdzie znalazłem czterech znajomych mnie exfilaretów. Na ten raz prezydował w kółku głęboki i ciężki matematyk Budrewicz. Prezydencja w kółkach odbywała się po kolei, na każdej sesji się zmieniając. Było to już przed samą wakacją, na którą już bez powrotu z Wilna wyjechałem i na kilku schadzkach cały mój udział w nowych Filomatach się skończył...

M I C H A Ł   C Z A R N O C K I

KRÓTKA WIADOMOŚĆ O TAJNYCH TOWARZYSTWACH UCZNIÓW UNIWERSYTETU WILEŃSKIEGO AŻ DO ICH ROZWIĄZANIA W ROKU 1824.



Józef Twardowski, rektor Uniwersytetu Wileńskiego.

Autor pamiętników poniższych, Michał Czarnocki, syn Stefana, a stryjeczny brat znanego etnografa Zorjana Dołęgi Chodakowskiego (Czarnockiego), wstąpił do Uniwersytetu Wileńskiego w r. 1817, dyplom magistra nauk fizyczno-matematycznych otrzymał dnia 18 lipca 1829 r. Po ukończeniu studjów był w Łohojsku nauczycielem synów Dominika hr. Tyszkiewicza, marszałka pow. borysowskiego. Przyjaźń, zawartą z młodymi Tyszkiewiczami, zachował przez całe życie. W r. 1845 nabył w Mohilewszczyźnie od ks. ks. Sanguszków majątek Ledniewicze, położony w odległości pięciu wiorst od Kochaczyna, posiadłości Tomasza Zana. Poślubiwszy Józefę Wołłowiczównę, cioteczną siostrę Rozalji Józefowej Tyszkiewiczowej, oddał się pracy na roli, wychowaniu czterech córek, wolne zaś chwile poświęcał gromadzeniu cennego księgozbioru oraz ulubionym studjom nad literaturą piękną; pisał wiersze, utwory dramatyczne, wreszcie pamiętniki.

Zmarł w r. 1854, pochowany został w Smolanach, gdzie też w rok po nim spoczął Tomasz Zan.

Pamiętnik Czarnockiego posiada w autografie tytuł następujący: „Krótka wiadomość o tajnych towarzystwach uczniów Uniwersytetu Wileńskiego aż do ich rozwiązania w r. 1824. Wiadomość ta poprzedzona autentycznym protokółem „Towarzystwa Sześciu", a zakończona Prawidłami dla młodzi, należącej do zgromadzenia „Przyjaciół pożytecznej zabawy", uchwalonemi na majówce dnia 17-go maja 1820 r. w Wilnie. Napisaną była przez Michała Czarnockiego. Rękopis ten, oprawny z aneksami, zawiera kart 57 pracy Michała Czarnockiego, kart zaś 14 znajduje się w nim potem wklejonych, na których na prośbę właściciela tego rękopisu, Konstantego hr. Tyszkiewicza, Tomasz Zan, jako pierwszy założyciel Towarzystwa Filaretów w Uniwersytecie Wileńskim, a zatem najświadomszy

wszystkich szczegółów jego, wypisał niektóre objaśnienia i dopełnił wiadomość niniejszą".

Tytuł ten dostatecznie zatem wyjaśnia genezę własnoręcznych dopisków i uzupełnień Tomasza Zana.

Niezależnie od pamiętników powyższych Czarnocki spisywał obszerny dziennik, zawierający obfite szczegóły o owoczesnem życiu towarzyskiem na Litwie; nienadający się do druku w całości, zostanie zużytkowany na innem miejscu.

Krótką wiadomość dajemy w całości wraz z dopiskami Zana i protokółami „Towarzystwa Myślącej Młodzieży", o którego działalności żadne źródła nie podają bliższych informacyj. Uzupełnienia Zana wydrukowane są kursywą w nawiasach; nadmienić przytem należy, że dopiski Zana niezawsze są zrozumiałe i nieraz nieczytelne. Umieszczone przez Czarnockiego w aneksach: „Piętnaście prawideł postępowania dla młodzieży, należącej do zgromadzenia Przyjaciół pożytecznej zabawy", mowa Józefa Twardowskiego, rektora Un. Wil., podczas zamknięcia szkoły kiejdańskiej w dn. 1 marca 1824 r., list Franciszka Malewskiego do ojca, z Warszawy dn. 14 lutego 1824 r., wreszcie wyrok na Filaretów i Filomatów z dn. 7 sierpnia 1824 r. — zostały opuszczone, jako już w druku znane.

P R Z E D M O W A

Żyjemy dziś w takim wieku, że wszystkie instytucje *(żywioły)* naszego narodu jedne przed drugiemi nikną *(wyłuszczają się)*, nie zostawiając prawie śladu po sobie *(znikomych)*. Wieleśmy już stracili *(cò nas gubi)* i wiele stracimy jeszcze, aż wszystko *(co zbawia)* przejdzie do samego *(co... i tamtych)* wspomnienia *(nie będzie)*. Lecz w cóż się obróci z czasem wspomnienie, pozostałe w ustach ludu? *(Stanie się wieczną przeszkodą.)* Dziwaczną gadką dla gminu *(czystą prawdą, powieść)* legendą dla pobożnych *(pobożnego życia wzorem)*, a balladą lub *(tylko)* dumą dla poety. Dla ochrony od powszechnej *(nas)* zagłady, każdy z nas za święty obowiązek mieć powinien zbierać najdrobniejsze materjały *(szczegóły, które)* lub rzetelnie opisywać *(i dają)* wszelkie wiadomości o zniesionych instytucjach *(i o takich, które nic i nikt... nie zdoła)*. Prawda, że te wiadomości ludzi prywatnych, i nie zawsze dobrze świadomych rzeczy, nosić nie mogą na sobie ani cechy doskonałości, ani jasnego układu faktów *(dannych)*, wszakże *(póki oni sami)* w ogólnym zbiorze materjałów *(nie)* staną się kiedyś *(cząstką najbardziej żywą tej)* bogatą skarbnicą.

Przed niewielu jeszcze laty byłem bogaty w drogie materjały z Uniwersytetu Wileńskiego, lecz ich część największa zbutwiała w ziemi r. 1831. Część utraciłem w życiu koczującem, jeden tylko protokół „Towarzystwa Sześciu" u mnie pozostał i ten chętnie ofiaruję do zbioru łohojskiego. Może mój przykład innych zachęci i przyczyni się cokolwiek do tak pięknych zamiarów Hrabiego. Ofiarowany ten przeze mnie protokół „Towarzystwa Sześciu", czyli „Myślącej Młodzieży" bez objaśnień stałby się zagadką prawie dla wszystkich. Kilka osób, pracujących w cichości i pod imionami przybranemi, ledwo zostały w pamięci samychże członków Towarzystwa, nie rościłyby pewnie do jakie-

gokolwiek wspomnienia, gdyby następne okoliczności nie stały się tak głośnemi w dziejach Uniwersytetu Wileńskiego i nie służyły za pozór do ważnych reform Uniwersytetu, a później skasowania. *(Niewątpliwe, że te osoby miały wszelką łatwość być w nich uczestnikami, żadna atoli, aż do dziś, nigdzie się nie objawiła i najbardziej im przystoi nazwisko tajnych.)* „Towarzystwo Sześciu", było *(być nie mogło, a tembardziej)* początkiem i zasadą tajnych towarzystw uczniów Uniwersytetu. *(Że znaczenie towarzystwa wcale nie było znajome „Sześciu", dowodzi ich same to nazwisko. Odmiana jego stała się przez wpływ już od parę lat mającego swój byt związku „Miłośników Nauki (Filomatów)", w liczbie których już od początku znajdował się Goworek* (Zan), *który, jak protokół wyraża, co posiedzenie obdarzał robotami, już wprzódy u Filomatów upodobanemi i osądzonemi; i wprędce potem Patrokl (Morawski), pierwszy panicz, oddający się ścisłym naukom, mającym widoczne zastosowanie, pomiędzy któremi pierwsze miejsce trzymała medycyna, — i to zwróciło nań uwagę przewodniczącego „Miłośników Nauki", którym był od pierwszego ich zawiązku (1817—1818), aż do prześladowania i rozesłania (1824), Józef Jeżowski z Ukrainy, ostanek (!) rzezi w Humaniu.*

Że „Towarzystwo Sześciu" nie miało żadnego celu, dowodzi jego nazwisko liczbowe, następnie przyjęło nazwisko „Myślącej Młodzieży", podane mnie przez Jeżowskiego, które natchnąłem moim zawsze kochanym mińczukom, towarzyszom wprawdzie moim, ale bardziej ogładzonym, bogatszym, imion sławniejszych, posiadającym języki i nabytą gotową cudzą uczoność, w której sama powierzchowość była wszystkiem, dusza niczem. Tylko do jednego Jeżowskiego przypadało ściśle i sprawiedliwie imię „myślący", reszta wszyscy byli tylko przednią młodzieżą, wyborem krain Litwy, Białej, Czarnej i Czerwonej polskiej Rusi...)

„Jeden z naszych członków zamiar z małej skali przeniósł na większą, tworząc naprzód „Promienistych", a z tych później „Filaretów". Członkiem tym był Tomasz Zan.

Wielu było tego przekonania, że burszostwo niemieckie wpływało na związek uczniów wileńskich. Mniemanie to jest najfałszywsze. Towarzystwo to z niczego *(z prawdy)* i małych początków powstało. Cel jego był szlachetnym *(szlacheckim)*, pożytecznym i pięknym *(bo chrześcijańskim)*, młodzież *(zawsze)*

czuła ochotę i zapał do nauki i cnoty, nic więc dziwnego, że się Towarzystwo prędko wzrosło i wykształciło się. Że te myśli moje nie są bezzasadne, postanowiłem pokrótce opisać kształcenie się kolejne towarzystw uczniów wileńskich, z pozostałych u mnie notat, z przyłączeniem niektórych aneksów, służących do tego przedmiotu. Wszakże to wszystko będzie ledwo wstępem do dzieła o Filaretach, jeśliby kto miał kiedy zająć się ich historją.

Proszę nie rzecz samą oceniać, ale chęci ofiarującego, któryby z duszy pragnął conajrychlej widzieć zbiór łohojski jednym z najbogatszych w pamiątki narodowe.

M. CZARNOCKI.

Pisałem w Borkach 1844 r. kwietnia 22 (maja 3) dnia.

KRÓTKA WIADOMOŚĆ O TOWARZYSTWACH (O ZWIĄZKACH) UCZNIÓW UNIWERSYTETU WILEŃSKIEGO.

Dwadzieścia lat upłynęło od ukarania *(rozesłania)* filaretów, a dziesięć lat od skasowania Uniwersytetu Wileńskiego *(sześć od powrotu zesłańców)*, założonego w szczęśliwej dla nas epoce przez Stefana Batorego. Dwieście pięćdziesiąt sześć lat trwał Uniwersytet, z nieszczęsną *(psującą się w osnowie)* ojczyzną, doznając różnej *(nieuniknionej tego)* losu kolei. A choć się chlubił *(wydał bez chluby)* Sarbiewskim, Skargą, Poczobutem i wielą innych mężów uczonych, nigdy za rządów *(zawsze jak i za czasów)* polskich nie odpowiedział *(on)* ani swojemu przeznaczeniu, ani *(celowi)* swojego założyciela. Oświecenie z murów zakonnych jezuitów przedrzeć się nie mogło *(mieszało się ze świeckiem i cudzoziemczem i bezwiernem)* do szlachty litewskiej. Wazowie, Piastowie i Sasi *(każdy podług siebie i wieku)* wcale nie myśleli o kulturze narodowej i naród sam o sobie nie myślał. *(Jak być powinni, zawsze wielmożniejsi zagranicznem światłem, aby chwałę narodu łączniej dać poznać w kraju)* Owszem magnaci cieszyli się, że ciemną szlachtą łatwo rządzić mogą, kierować do swoich widoków. W roku 1773 piorun watykański skruszył ogromny kolos jezuicki, z tym upadkiem wzniosła się owa nasza sławna Magistratura, która pierwsza dała przykład całej Europie, wyrzekłszy, że naród winien dać wychowanie swojej młodzi — i że to wychowanie powinno być narodowem.

Wprzódy jeszcze Konarski, mąż nieśmiertelnej sławy, zwalczał przesąd i wychowanie dziwaczne już to pismami swojemi, już założeniem Konwiktu Pijarskiego, gdzie przedniejsza szlachta nabierała nowych zasad i wyobrażeń patrjotycznych. Komisja Edukacyjna, złożona z mężów wziętych w narodzie i uczonych, odrazu zbawienny wpływ wywierać poczęła na Koronę; Litwie

jednak nie zaświeciła zupełnie tak szczęśliwa gwiazda. Biskup Massalski, jeden z członków Komisji, miał to światło w Litwie rozpostrzenić (!); w pamiętnikach jednak Wybickiego czytam najwyraźniej, że biskup dochody edukacyjne na swoją korzyść obracał, puszczając w przewłokę dobro ojczyzny. Wreszcie Komisja ledwo się rozwinąć mogła, kiedy nastał bezprzykładny rozbiór kraju. Litwie Katarzyna II zapewniła wiarę, prawa i język — a tem samem i wychowanie młodzi w polskich szkołach, lecz nauczyciele byli bez płacy i opieki rządowej, — a tak szkoły świeckie upadać musiały, tylko się utrzymały po klasztorach. Nie mogli się zakonnicy piękniej odwdzięczyć narodowi za ich uposażenie, jak podtrzymując światło w narodzie, który byt swój polityczny utracił. Bazyljanie i pijarzy największą w tem gorliwość okazali.

Paweł I, więcej łaskawy na Litwę, rozkazał gubernatorom powrócić szkoły świeckie i opłacać ze skarbu nauczycieli. Nie wiem, jak się to działo w innych gubernjach, w mińskiej gubernator Karniejew kilka szkół urządził. Wybór nauczycieli dziwnym losem przypadł na tych, którzy może nigdy o tem nie myśleli. Karniejew z radą obywateli wyrezonował, że policmajster utrzyma porządek i karność, więc policmajstra zrobił dyrektorem. Że szafarz umie liczyć, pisać i wie niektóre miasta, przynajmniej Rygę, Królewiec, Berdyczów, — skąd się sprowadzają wina i korzenie, a zatem znać musi arytmetykę, kaligrafję i geografję — i jemu oddano wykładać te przedmioty. Że komornik nie mógł mierzyć bez znajomości geometrji, uczył więc matematyki, na tych zasadach Francuz z kolonji Prószyńskich uczył po francusku, Niemiec po niemiecku i inni innych przedmiotów. Rzecz bardzo jasna, jak podobny wybór nie odpowiadał swojemu celowi. Lecz wstąpił na tron Aleksander, z kulturą już europejską i z żywą chęcią wprowadzenia oświaty do kraju. Zbliżył się do tronu książę Czartoryski i pod jego wpływem zabłysnął pamiętny dla Litwy rok 1803. Akademja Wileńska otrzymała najłaskawsze przywileje od cesarza z tytułem Imperatorskiego Wileńskiego Uniwersytetu. Ustanowiono dwie Komisje Edukacyjne, jedną dla Litwy w Wilnie, drugą dla Wołynia w Krzemieńcu. Czartoryski został kuratorem całego Wydziału Uniwersytetu, obejmującego wszystkie dawne polskie prowincje,

a Czacki wizytatorem wołyńskim. Obaj mężowie zajęli się z bezprzykładną gorliwością wprowadzeniem oświaty narodowej. Niedostatek wielki się okazał w ludziach uczonych. Szukali ich po całej Polsce, szukali u obcych — i tyle byli szczęśliwi, że w krótkim czasie wszystkie katedry obsadzili datnymi nauczycielami w Uniwersytecie i w Liceum Krzemienieckiem. Łatwiej jednak się udało zebrać nauczycieli, niż uczniów, — ledwo z kilku tylko szkół uczniowie słuchać mogli wyższych kursów. Szkoły te były żurowickie, szczuczyńskie, lubieszowskie i słuckie. Taki się niedostatek uczniów pokazał, szczególnie w medycznym oddziale, że Frank wypisać musiał 50-ciu uczniów z Niemiec, tak dla dogodzenia chęci cesarza Aleksandra, który mieć chciał własnego kraju medyków, jakoteż dla podtrzymania Uniwersytetu. Prawda, że się to przedsięwzięcie nie udało, bo wszyscy Niemcy czas przepędzali z kuflem i fajką i po roku ledwo ich czterech zostawiono, resztę odesłano napowrót do ich kraju. Odrazę do medycyny w Litwie podtrzymywał jeszcze przesąd narodowy, że żaden szlachcic, czyli dobrze urodzony *(bene natus et possesionatus)*, trudnić się nie mógł łokciem, kwartą i doktorstwem, jako wyłącznie należącemi do Żydów i Niemców. Brak oświecenia i uczuć narodowych we wszystkiem się ukazywał. Że tak było oczywiście, dowodzi upadek pism perjodycznych, wyższych nierównie od wielu pism zagranicznych, wydawanych w owym czasie. Były to: 1. D z i e n n i k W i l e ń s k i, wydawany w 1805 — 1806 r. przez członków Uniwersytetu i miłośników literatury ojczystej. (Mam u siebie jedenaście numerów z r. 1805 i wiem, że w r. 1805 więcej nad sześć nie wyszło; oto jest dosłowne uwiadomienie: „Dziennik ten utrzymywany od kilkunastu poświęconych naukom osób, które w zamiarze rozszerzenia powszechnego oświecenia w jedno się towarzystwo złączyły, zawierać będzie wszystkie przedmioty, tyczące się umiejętności, kunsztów, rolnictwa, rękodzieł, rzemiosł; tudzież wybrane kawałki literatury wierszem i prozą. Wyjątki, rozbiór i krytykę pism polskich lub obcych ważniejszych; ogłoszenie i wykład nowych wynalazków, mniemań i systemów; życia sławniejszych uczonych tak krajowych jako i zagranicznych; postanowienie i urządzenie tyczące się edukacji publicznej, uwagi nad stanem oświecenia i wykształcenia różnych społeczeństw." Towarzystwo to skła-

dali: Śniadecki, Jundziłł, Matusewicz, Czacki, Kossakowski, Kruszyński, Groddeck i wielu innych. Mała liczba prenumeratorów przerwała dalszy ciąg tego dziennika. — *Przyp. Czarnockiego).* 2. Gazeta Literacka, wydawana przez profesora Groddcka. Jakże się pisma powyższe utrzymać mogły, kiedy nikt nic nie czytał, chyba Kurjera Litewskiego *(Bo książki wówczas wydawały się tylko dla profesorów i uczniów, coby miało powszechny krajowy miejscowy pożytek lub interes, co niemało stało się przyczyną rozpowszechnienia cudzoziemszczyzny, w której wiele czytano)* lub kalendarz dawniej tak obszerny i obfity w wiadomości wszelkiego rodzaju. Filareci, gorliwi o rozszerzenie oświaty w Litwie, na szczęśliwą myśl wpadli, uważając kalendarz jako jedyne pismo perjodyczne, zdolne rozpostrzenić (!) wiadomości i uczucie narodowe, bo któryż szlachcic choć raz w miesiąc kalendarza nie przeczyta. Czeczot Jan był redaktorem tego kalendarza, 1823 roku już kalendarz nieznacznym odmianom uległ, aby nagłym przekształceniem nikogo nie raził. Na rok 1824 Czeczot dalej posunął przedsięwzięcie, ale przedsiębiorcy, przestraszeni uwięzieniem filaretów, tego kalendarza w obieg handlowy nie puścili, aż po przedrukowaniu na nowo dodatków.

Konwersacyjny język, nawet polski, tak był zaniedbany, że w nim dostrzec trudno było rodzajów, a nawet liczby, przy tysiącznych wadach, które, dziś powtórzone, za przesadę i złośliwość pewnoby uważano. Jan Śniadecki, skoro został rektorem, baczność szczególną zwrócił na język, ciągłemi pismy upominał nauczycieli, aby się wpajać starali w uczniów zamiłowanie do poprawnej mowy. Sam zaś pracował nad uczniami pedagogicznymi i dziwnie wpływał na ich ukształcenie. I rzeczywiście, wychowańcy Śniadeckiego, jako nauczyciele rozesłani po kraju, powinni się uważać za prawdziwych apostołów nauki i ducha narodowego. Oni to podnieśli ochotę i zapał do nauki i cnoty pięknym wykładem przedmiotów, łagodnem się obejściem i pewną wyrozumiałością, przy bezstronnej sprawiedliwości. Uczniowie postrzegli *(że łatwiej stać się płatnym i chwalonym gadaczem, niż mądrym i dobrym człowiekiem, którym zostawał zaledwo, kiedy komu przychodziło),* że niekoniecznie być starym, aby zostać mądrym, — podwajać zaczęli starania. *(Nigdy w szkołach mojego czasu ani cienia nie domagało się jakowej bądź*

różnicy, oprócz niezbędnej i koniecznej między ubogimi i bogatymi w szkole, nauczyciele prawie wszyscy, sami pochodząc ze stanu ubogiego, raczej biedniejszym gotowi dawać pierwszeństwo przed bogatymi.) Bogaci i biedni nie byli to dawni panicze i wszelka różnica stanu i urodzenia znikła. Cnota i nauka brały pierwszeństwo i miło było widzieć siermiężne kapotki, z ładnymi surducikami pomieszane, a często pierwsze miejsce zajmujące.

Szlachcic, mogący stracić mało więcej nad sto złotych, oddawał syna do szkół, bo, kiedy mu zgodził stół u jakiego biedaka i sprawił buty i kapotę, był pewnym, że syn chodzić będzie do szkół.

Ledwo lat kilka upłynęło, już wydział Uniwersytetu Wileńskiego liczył szesnaście tysięcy uczącej się młodzi; jak świadczy Śniadecki w jednem ze swoich sprawozdań, liczba ta w ostatnich czasach urosła do trzydziestu kilku tysięcy.

Wojna Napoleona r. 1812 zachwiała na lat kilka postęp nagły oświaty. Wiele młodzieży i przedtem uchodziło do Księstwa Warszawskiego, lecz za wtargnięciem wojsk francuskich i polskich do Litwy cała młodzież do broni się rzuciła, pozostali ci tylko, którym wiek młody nie dozwolił wstąpić do wojska.

Upadł Napoleon, upadły wielkie nadzieje Polaków, — wróciło wojsko polskie do ojczyzny, ale młodzież już wrócić nie chciała do świątyni nauk i Uniwersytet znów cierpiał niedostatek uczniów. *(Owszem, już w 15 roku mieliśmy wśród kolegów filomatę i filaretę, Józefa Rukiewicza, z odstawką podporucznika des chevauxlegers. Po skończonych kursach w 1825 roku zamieszany został do sprawy, odmawiającej przysięgi nowemu cesarzowi przez wzgląd na daną w. ks. Konstantemu; sądzony był na ciężkie roboty do Nerczyńska, skąd ledwo się teraz, słychać, wyswobadza.)*

Cesarz Aleksander został królem polskim i Litwę, zawsze sercami połączoną z Koroną, bardziej do siebie zbliżył — i zdawało się, że milszem na nią pogląda okiem. Naznaczył gubernatorami Polaków — wolność druku prawie dozwolona. Uczuło to naprzód Wilno i w r. 1815 zjawiły się pisma perjodyczne i zawiązało się „Towarzystwo Szubrawców", tak dzielnie wpływające na moralność całego narodu. *(Duch szubrawski wrazby za swem pojawieniem się upadł, gdyby go nie trzymały tak szczere i mocne talenta rozumu i dowcipu, jak Jędrzeja Śniadeckiego,*

Szymkiewicza, doktora i Żukowskiego Szymona, greko-hebrajczyka. Duch szubrawski z Sękowskim, Greczem, Bulharynem, przeniósł się do Petersburga, a jako niewłaściwy Polakom w Wilnie trwać długo nie mógł.) W tym właśnie roku wielu nas przybyło do Uniwersytetu z mińskiego gimnazjum: Zenowiczowie, Śleżanowscy, Mickiewicz (ale nie Adam), Szulc Dominik, Tomasz Zan i ja. Tak się zdarzyło, żeśmy się razem zeszli na posiedzenie Rady Uniwersyteckiej dla wpisania się do Albumu. Malewski jako dziekan Oddziału Prawnego zasiadał wówczas i, zawsze czynny, pierwszy przejrzał nasze szkolne świadectwa, a widząc nas wszystkich z jednego gimnazjum mińskiego, wyrzekł uroczyście: „Uniwersytet się cieszy z tylu uczniów, przybywających z gimnazjum mińskiego, i ma nadzieję, że panowie i nadal utrzymacie piękną opinję swojego gimnazjum".

Ta odezwa nieopisaną radością nas przejęła; ja, stojąc najbliżej Malewskiego, odpowiedziałem: „Starać się będziemy odpowiedzieć tak zachęcającej opinji i tem się wywdzięczyć naszym nauczycielom". — „To pięknie, mości dobrodzieju!" rzekł Malewski: „zasługują na to nauczyciele, tak gorliwie przez nas wybrani".

Słowa Malewskiego wielkim się bodźcem dla nas stały, nie tylko do postępu w naukach, lecz i do wzorowych obyczajów. Tegoż jeszcze wieczora wszyscyśmy do Zenowiczów zebrali się na wieczór i jednomyślnie uchwalili pewny rodzaj braterstwa pomiędzy sobą, tak we wzajemnych pomocach naukowych, jak i w przestrzeganiu obyczajów, że nikt z nas jeden na drugiego się gniewać nie mógł. W postanowieniu naszem nam się wytrwać udało. Wszyscyśmy otrzymali stopnie kandydatów filozofji i ustną pochwałę dziekana z postępków.

I w drugim roku towarzystwo się nasze nie tylko nie zmniejszyło, owszem się powiększyło jeszcze kilku mińszczanami: Chodźkami, Gierłowiczami i Protem Prószyńskim. Dla lepszego skoncentrowania naszego bractwa, większej korzyści, a uniknienia często mozolnej pracy odczytywania wszystkich wykładanych przedmiotów, przyszła nam myśl, aby każdy z nas obrał jeden przedmiot i ten wszystkim kolegom wykładał. Taki sposób uczenia się najkorzystniejszym się okazał w oddziale fizyczno-matematycznym. Nauka się z przyjemnością nabywała. *(Prot*

Prószyński wykładał fizykę, a miał nadzwyczajną zręczność naśladowania tonu, postawy i mowy każdego człowieka, właśnie zawsze fizykę tak wykładal, naśladując głos, gesta i akcenta profesora, że niewiedzący o tem koledzy wychodzili od nas z pierwszego pokoju, nie chcąc profesorowi przeszkadzać powtarzania nam lekcyj.)

Kilku z nas otrzymało stopnie magistra, niektórzy odłożyli na powakacje. Nieszczęściem okropnie zostali zawiedzeni, bo, kiedy czas wakacyjny poświęcają mozolnej nauce i wypracowaniu rozpraw, minister oświecenia na dwa lata wstrzymał stopnie do nowego w tem rozporządzenia. Wypadek ten sparaliżował wszystkie nasze zamiary. Po kilkodniowej naradzie spostrzegłszy, że i liczba nasza się zmniejszyła, — wielu bowiem nie życzyło sobie czekać dwa lata na stopnie, — postanowiliśmy w tym czasie więcej się poświęcać literaturze i historji, niż umiejętnościom.

Kilku z nas, rozsypanych po całem prawie mieście i zajętych innemi obowiązkami, nie mogło codzień już się schodzić dla wzajemnej pomocy naukowej; przykro jednak było nam zerwać zupełnie, obraliśmy więc jeden dzień w tygodniu, w którym się zszedłszy mieliśmy czytać nasze roboty literackie. Kwatera Chodźków była miejscem zgromadzenia. Na odgłos literackich posiedzeń wielu się znalazło ciekawych i ochotników. I ci przybysze zmusili nas do zrzeczenia się naszego przedsięwzięcia. Jedni zajmowali nas dziennemi nowostkami — drudzy miłością — a najbardziej się nam uprzykrzali amatorowie muzyki, niemiłosiernie rzępoląc na skrzypcach. *(Muzyka kwartetów była pięknym powodem zgromadzenia i bawienia. Słynął niemi szczególniej filaret, p. Jan Jundziłł ze Słonimskiego, Tyszkiewiczowie wołożyńscy, a p. Ignacy Zenowicz miał w nich upodobanie osobliwsze.)* Chodźkowie zaś gościnni zamknąć nie chcieli swojej kwatery, chociażem zgóry ostrzegał, że bez wyboru osób nic z naszych posiedzeń nie będzie. Byli nawet tacy, co moją radę uważali za dziwactwo i wbrew przeciwną dobru powszechnemu. Czas jednak przekonał, żem słusznie mówił. Przeglądaliśmy kwatery dogodne. Zenowiczów była nadto ciasna, Hipolita i Seweryna Tyszkiewiczów nadto uczęszczana przez wszystkich fajkarzy, a nawet wesoły Hipolit nie zniósłby, aby on i drudzy choć kwandrans przemilczeli, słuchając czytania. Mimo więc chęć największą stowarzyszenia się, nic zdziałać nie mogliśmy. Rok czwarty, 1819,

stał się zupełnie dogodnym — a choć to już nie było połączenie samych mińszczanów, uformowało się porządne Towarzystwo — z początku pod imieniem „Sześciu", a potem „Myślącej Młodzieży". Pęczkowski miał wygodne i odosobnione mieszkanie — przełożenie nasze chętnie przyjął. Czego protokół, zachowany od zatraty, jest dostatecznym świadkiem, jak to nasze Towarzystwo, skromne wprawdzie, święcie wykonywało raz przyjęte ustawy.

Tomasz Zan, gorliwy członek, do obszerniejszego tęsknił koła, zawsze mawiał: „Wielkiej przyczyny mały skutek — z kilkuset uczniów ledwo sześciu wybrano. Wówczas kiedy w całym Uniwersytecie ledwo kilkunastu młodzieńców próżnujących naliczyć można". Wreszcie tyle nastawał, żeśmy się zgodzili na przyjmowanie nowych członków — utrudniając wszakże ich wybór. Zasady nasze wyraźnie dążyły do jednego roku stowarzyszenia się. Z rozjechaniem się naszem to ustać musiało, tem więcej, że w roku piątym zostali tylko Zan, Józef Chodźko i Stanisław Morawski. *(Wszyscy trzej Filomaci.)* Zostawało więc otwarte pole Zanowi do rozprzestrzeniania swoich pomysłów filantropicznych (!) na wszystkich uczniów. Z pomocą Chodźki, Morawskiego i innych, nad utworzeniem obszernego towarzystwa pracował — pod nazwaniem „Przyjaciół pożytecznej zabawy" — czyli „Promienistych".

Skutek uwieńczył starania — w maju przed świtem już cała młodzież się zgromadziła na Popławach i pierwszy promień słońca powitała (modlitwą *p. w.*) Kiedy ranne wstają zorze ze śpiewem i muzyką.

Ułożone prawidła rektor Malewski potwierdził — a tak już do trwałości Towarzystwa nic nie brakło przy sankcji rządowej.

Zamiłowanie nauk fizyko-matematycznych w owym czasie jeszcze było bardzo wielkie — skutkiem przewagi Jana Śniadeckiego. Zan te umiejętności, jak sam mówił, ulubował — tworzył różne teorje na wytłumaczenie nieznanych przyczyn — nawet w przedmiotach moralnych, tłumacząc je sposobem fizycznym. Między innemi fałszywą rzeczywiście, albo dowcipną teorję, przypominam o sympatji i jej skutkach — to jest miłości i przyjaźni — które tak pojmował: kiedy dwaj ludzie nieznajomi

z sobą się zejdą i na się spojrzą, uczuć muszą, w większym lub mniejszym stopniu, pociąg lub odrazę (sympatję i antypatję), co wynika z prostych przyczyn fizycznych.

Promienie światła od oka jednego człowieka przechodzą do oka drugiego człowieka w kształcie ostrokręgu, obu zaś tych ostrokręgów promiennych podstawą będzie oko patrzącego, a wierzchołek w soczewce, na którego się patrzy, a że oba na się patrzą, więc dwa ostrokręgi promienne w przejściu muszą się przeciąć. Otóż właśnie od tego przecięcia zawisła sympatja i antypatja. Jeśli to przecięcie będzie doskonałem kołem, dwaj ludzie się pokochają, jeśli owalem i im węższym, tym się bardziej znienawidzą. Przecięcie to między jedną płcią stanowi przyjaźń, między różną — miłość. Zczasem to przecięcie między dwojgiem ludzi zmienia swoje kształty; a stąd przyjaźń i miłość ulega niestałości.

Na tej teorji Zana oparto nazwisko Promienistych. *(Wyłożenie matematyczne projektu mojego, a raczej któremu ja wynalazłem nazwisko Promionków, należy całe Czarnockiemu lub innym naszym przyjaciołom matematykom. Do mnie należy ta myśl żywiołowa, że każdy człowiek promionkuje się stosownie do ścisłości i ładności swego połączenia duszy z ciałem i tworzy wokoło siebie atmosferę obszerniejszą lub ściślejszą, mniej lub więcej ujmującą lub wstrętną; tę pierwiastkową myśl rozwijali i tłumaczyli każdy swoim sposobem i pojęciem, nietylko Promieniści, ale i... Przeczystość duszy i ciała, czyli niewinność, uważała się warunkiem do uczynienia tej atmosfery miłą i przyciągającą. Wszeteczne słowa obudzały u Promienistych uczucia złej woni, dlatego na dwuznaczne rzeczy lub mowy nos zatykano.)* Mickiewicz inaczej to pojmował i po mistrzowsku wyłożył w wierszu p. t. „C z t e r y t o a s t y".

Na pierwszej majówce już się wielu znalazło, którzy to zgromadzenie Promienistych uważali za nadto dziecinne i dobre dla szkół nie zaś dla Uniwersytetu, — inni się po prostu naśmiewali i szydzili, a nawet przeciwna partja utworzyła inne towarzystwo pod nazwaniem Antypromienistych. Tym razem teorja Zana miała jakieś podobieństwo do prawdy: między Promienistymi koło w przecięciu było doskonałe i uwielbiali siebie, lecz między Promienistymi i Antypromienistymi, nie wiem, czy się kiedy spotykały, bo się *(ci ostatni)* znienawidzili i *(tamtych)* miotali

na siebie *(nich)* potwarze. Najzawziętszym nieprzyjacielem Promienistych okazał się Wolański, uważany przez *(niektórych może)* Promienistych za syna naturalnego Stanisława Jundziłła. *(Bartoszewicz i Szahin należeli do Towarzystwa Antypromienistych, Korowicki, Smokowski, Wyrwicz, .Capelli i wielu innych formalistów).*

Majówki poszły niełądem i wkrótce ustały, na każdej musiano robić przegląd, czy się antypromieniści nie wmieszali, którzy zawsze się starali całe Towarzystwo śmiesznością okryć. Niepowodzenie się Zana i prześladowanie miało dla niego inną dobrą stronę, — na nieprzyjaciół znaleźli się gorliwi przyjaciele i obrońcy, wkrótce się Zan otoczył jakby nauczyciel adeptami i uczniami, gotowymi życie za niego położyć. Taka miłość kolegów wzniosła go w wielkie znaczenie i zapewniła pewną powagę, tak dalece, że w utworzeniu Filaretów, czyli Miłośników Cnoty, żadnej przeszkody nie znalazł. *(Majówki trzy były dla uładzenia się (!) i szły, jak nie można lepiej, na każdej starano się unikać w mowie i czynie, coby było przeciw Promienistym. Zana zwano Arcypromienistym, który o antypromienistych dowiedział się daleko później z pism zagranicznych. Niepowodzenia, ani prześladowania z tego względu najmniejszego nie doznałem. Pierwsza majówka była 6 maja 1819 r. Wnet się utworzyło siedem gron, albo województw, wedle siedmiu kolorów światła. Piętnaście prawideł zostało podpisanych tegoż czasu. W czerwcu, przy rozjeździe na wakacje, już byli uregulowani Filareci. Za powrotem na rok następny Malewski brał podpisy i przyrzeczenia od uczniów, że do Promienistych należeć nie będą).*

Towarzystwo Filaretów już zostało tajemnem *(zwinionem)* i zupełnie urządzonem *(zawieszone)* w roku 1821. Ilość wielka członków ze wszystkich czterech oddziałów, przy szczupłości kwater i dla utrzymania tajemnicy, zgromadzać się nie mogła w jedno miejsce. Podzieliło się więc Towarzystwo na siedm sekcyj *(gron)*, zwanych kolorami tęczy. Promienistość wszędzie się przebija. Każda sekcja wysyłała delegatów do innych sekcyj na każde posiedzenie i ci zdawali sprawę w czynnościach szczegółów posiedzeń, czem się utrzymało całe Towarzystwo w jedności. *(Jedność utrzymywała się przez radę około prezydenta, złożoną z radczego po jednemu z każdego grona, które za przewyżką liczby*



Kalwarja pod Wilnem.

członków dzieliło się na dwa. Filareci po roku trwania zgromadzili się na Markucie 6 maja dla uwieńczenia prezydenta i udarowania go pierścieniem żelaznym zewnątrz, złotym wewnątrz, z napisem „Przyjaźń zasłudze". Pamiątki tej pozbawiła go przy śledztwie policja czy Komisja. Wierszy i pism było dużo. Najpamiętniejszy Czeczota: „Bodaj to złote wieki, kiedy miodem i mlekiem słodkie płynęły rzeki i człek był słodkim człekiem.") Raz się tylko wszyscy filareci zgromadzili za miastem na Przewodnią Niedzielę. Tam każdy członek, co mógł, przyniósł na święcone. W stodole włościańskiej ustawiono stoły — złożono ciasta i mięsiwa, które ks. Lwowicz poświęcił. Znalazły się i trunki — wznoszono toasty. Tam właśnie Czeczot, jeden z wajdelotów filareckich, zaintonował owe Alleluja, malujące dokładnie obowiązki i cel Towarzystwa...

Filareci rzeczywiście za główny cel obrali nauki i cnoty. Uczucia jednak narodowe nie były im obce. Filomaci, czyli wyższy stopień Filaretów, zdaje się, że mieli cel daleko wyższy i rozleglejszy *(nad cnoty i nauki niema innego wyższego i rozleglejszego celu, byle te były Chrystusowe)*; lecz mało o nich wiem, abym coś pewnego mógł powiedzieć. Widać tylko wyraźnie, że śpiewy Mickiewicza i Czeczota nosiły głęboką cechę narodową, lub tęsknotę do wolności.

Zdanie to moje że nie jest bezdowodnem, przytaczam jeszcze dwa śpiewy jeden Mickiewicza — drugi Czeczota.

Śpiew Mickiewicza. *(tłumaczony z swobodnych pieśni burszowskich)*

Hej! użyjmy żywota i t. d.

Śpiew Czeczota.

Precz, precz nudy, troski!
Hej, lej nektar boski!
Niech iskry lecą nad szklanki
Dla przyjaciół, dla kochanki!

Pij! pal, bądź wesoły!
Skacz, tańcz z przyjacioły!
Kto wie, czy jutra dożyjem:
To, co dziś wypijem.

Hej, daj nam skrzypaka!
Hej, graj nam Polaka,
To król tańców, to ojczysty,
To poważny, uroczysty!

On nam niech przypomni,
Że my tych potomni,
Którzy, chociaż tęgo pili,
Wrogów jeszcze dzielniej bili.

Te dwa śpiewy malować mogą charakterystycznie Filaretów i Filomatów *(te śpiewy malujące: pierwszy młódź, uczącą się w Uniwersytecie, drugi samego najbardziej Czeczota)* i stają się nieodłącznemi od ich dziejów — równie jak później sparodjowana pieśń burszowska W e s e l m y s i ę, k o l e d z y przedstawia Komisję i intrygi uniwersyteckie.

Cieszyli się Filareci w szczerości serca i z młodem uniesieniem *(już daleko pierwej nim się zawiązali, przewidując dokładnie)*, ani przewidzieć mogli zdaleka szumiącej burzy i, że oni będą narzędziem wywrotu jednych, a podźwignieniem drugich kolosów *(lecz że nie)*, że oni wydadzą Uniwersytet na pastwę spekulantom. Przeznaczenie chciało, aby wszystkie okoliczności tak nieprzyjazne tak szybko po sobie następowały. Pobyt *(czas)* gwardji rosyjskiej w Wilnie i rektorstwo Twardowskiego do największych klęsk i zguby Uniwersytetu liczyć wypada — przynajmniej ja te rzeczy tak pojmuję.

Po rewji w Bieszeńkowiczach r. 1822 gwardja się rozeszła na zimowe leże po Litwie — zajęła mińską, grodzieńską i wileńską gubernję. Wielu oficerów było dobrze wychowanych, ale większa część nieznośną się wydała przechwałką z urojonych bogactw, fanfaronadą i wyraźną pogardą cywilnych, nie mając prawie za ludzi tych, którzy nie chodzili w haftowanych mundurach.

Pełno słyszano niedorzeczności, śmieszniejszych jedne od drugich — jakiemi się prowincje rozlegały — o owych remizach na karkach żydowskich — o koniku Rogowskiego, o szampańskiem winie Krajewskiego i t. p.

W Wilnie pod okiem w. księcia, a późniejszego cesarza Mikołaja, nie mogli się publicznych niedorzeczności dopuszczać, na prywatnych jednak nie brakło. Wiele się utaiło, lecz przypadek Pelskiego i zatargi Uzłowskiego z Tyzenhauzenem nadto były

głośne, aby o nich nie wiedziano. Filareci na to patrzyli z oburzeniem i więcej jeszcze ich bolało *(wcale obojętnie, bo byli czem lepszem zajęci)*, że damy nadto się oddawały gwardzistom, z zaniedbaniem cywilnych. *(Lecz)* Łoziński *(ufny na przypadek niepowodzenia we wsparcie swych kolegów, których miał u Trębacza, jak i między Promienistymi)* chciał pomścić się nie nad oficerami, ale nad płcią piękną. Na maskaradzie zjawił się krawiec pod pachą z mundurem gwardyjskim, od którego kilkanaście sznurków przyczepione były do nosów kilkunastu panien — na mundurze czytelny napis: „Za mundurem — panny sznurem". Grupa tych masek obiegła wszystkie sale, wszystkim się damom ukazały i znikły w tłumie młodzieży. Takowe szyderstwo obraziło i damy i gwardję. Waliły się góry na akademików, wymyślano nawet awantury na ich rachunek, a gwardja, ściskając ramionami, powtarzała sobie jak o dziwie jakim.

Byłem w Wilnie w czasie rewji; z kilkoma oficerami zwiedzałem wszystkie zakłady Uniwersytetu — i jako przewodnik i jako z dobrze znajomymi otwartą prowadziłem rozmowę. I kiedym się wkońcu zapytał, jak im się Uniwersytet Wileński podobał, — Protasow odpowiedział: „Piękny to jest zakład naukowy, jakiego w Rosji nie mamy i w obcych krajach z trudnością napotkać. Szczególnie nas zastanawia tak wielka liczba uczniów, że nie wiem, czy wszystkie nasze uniwersytety razem tyle mieć mogą. Piękny zakład, ale on, jak dziś jest, utrzymać się nie może" — „Owszem", rzekłem: „fundusze są dostateczne." „Nie o funduszach chcę mówić," rzekł Protasow: „ale o młodzieży tutejszej, która ma zasady republikańskie i niechętna rządowi, który naturalnym porządkiem tego nie zniesie." — „Ale tu nic niema przeciw rządowi." Protasow mi przerwał: „Pan słusznie bronisz jako współziomków i jako Polak, wszakże się sam zastanów, czy w rządzie samowładnym istnieć powinny republikańskie uczucia. Jestem małą figurą, abym wyrokował, lecz, słysząc sarkania gwardji, wnoszę, że lat kilka nie upłynie, a panowie Uniwersytetu swego nie poznacie. Głos gwardji dojdzie do wiadomości najwyższej władzy, a ta na tej stopie rzeczy nie zostawi." Zamilkłem z zupełną niewiarą, bo aż nadto byłem przekonany, że Uniwersytet w niczem nie wykraczał; a jeśli uczniowie gorliwie

się do nauk przykładali, tem samem odpowiadali dobrotliwym zamiarom cesarza.

Wyszła gwardja i wkrótce w Wilnie odebrano ukaz, kasujący Towarzystwo Szubrawców i ich pismo Wiadomości Brukowe. Głos powszechny przypisał to wojskowym staraniom *(wojskowi, można być doskonale pewnym, żadnego udziału nie mieli w sprawie Filaretów, ani Uniwersytetu, oprócz tych, którzy tajną policję składają — najpewniej usilnościom Botwinki i Szłykowa — ten ostatni, będąc okradziony, przeczytał w „Brukowcu" nazajutrz: „Ogłasza się, iż pewny złodziej, kradnąc bezkarnie lat dziesiątek, na jedynastym sam okradziony został")* — prawdziwa jednak przyczyna była inna. Inkwizytor hiszpański męczył jakiegoś szewca Francuza i zmuszał do wyznania tajemnic masońskich. Za to Szubrawcy posłali urzędowy patent, przybierając go za czynnego swojego członka z prośbą, aby dał pokój szewcowi biednemu, a lepiej przysłał kogo do Wilna, gdzie od Kontryma i Żukowskiego bez męki wszystkiego się dowie, jako chcących odkryć lożę dla publiczności i jawne posiedzenia odbywać. Patent ten jakimś przypadkiem doszedł rąk w. ks. Konstantego, który o takich nadużyciach i rozstrząsaniu działań rządowych przez Szubrawców doniósł cesarzowi i jako niebezpieczne przedstawił do skasowania. Przedstawienie otrzymało skutek. I Wiadomości Brukowe dla jednych z wielkim żalem, dla drugich z największą radością wychodzić przestały.

Blisko dwudziestoletnie usilne staranie Uniwersytetu po całej Litwie i Wołyniu światło rozszerzyło, które się we wszystkiem wyraźnie widzieć dawało. Miasta przybierać zaczęły postać okazalszą pod przewodnictwem uczonych architektów. Rolnictwo gdzieniegdzie zaczęto umiejętniej prowadzić. Wprowadzono owce poprawne i rozmnożono. W budowach gospodarczych wygoda i smak się przebijał. Nawet przemysł i rękodzieła gdzieniegdzie się ukazywały. Znaleźli się obywatele światli z duchem gorliwym i przedsiębiorczym, którzyby kraj podnieść chcieli. Między innymi zyskał popularnością swą sławę Józef Twardowski, uczeń Uniwersytetu Wileńskiego; nie zaniedbywał nigdy nauki, czego dowiódł w uczonej recenzji trygonometrji kulistej, przez Jana Śniadeckiego wydanej. Obywatel piński i marszałek,

wizytator wreszcie szkół, miał lepszą zręczność przypatrzyć się tokowi edukacyjnemu — widzieć niektórych gałęzi uchybienia i roić o ich ulepszeniu. W tym celu odwiedził Puławy i tam, zyskawszy zaufanie kuratora, Adama ks. Czartoryskiego, wystawił konieczną reformę i nieznacznie myśl podał, że onby sam najlepiej tę reformę wprowadził, skoroby został rektorem Uniwersytetu.

Trzeba więc było wprzód zostać zwyczajnym profesorem, a z tego miejsca już się starać o rektorstwo. I tu los Twardowskiemu sprzyjać się zdawał. Po śmierci Niemczewskiego — Poliński zajął katedrę wyższej matematyki, a algebra do ubiegania się została. Ks. Czartoryski w czasie bytności swojej w Wilnie najgorzej przyjął rektora Malewskiego. Słuchał nic nieznaczących na niego zażaleń, kazał się z nich tłumaczyć i nieraz ostro upominał — tak, że biedny starzec, uderzony taką niesprawiedliwością i cierpkiem się obejściem tego, którego wszyscy jako bóstwo dobroci i opiekuną widzieć pragnęli, — wychodził często jak pomięszany. Oburzenie się Kuratora na rektora Malewskiego zadziwiło wielu, tem bardziej, że Malewski więcej miljona złotych oszczędził i w gotowiźnie trzymał na ulepszenie zakładu *(oszczędność ta właśnie mogła być słusznym zarzutem bez niesprawiedliwości i cierpkości, gdyż tylko hojność i obfitość kosztów wydaje zakłady i zgromadzenie odznaczające się)*, że wielu profesorów w Uniwersytecie zdatnych z lepszych uczniów wybrać umiał, że liczba uczniów szybko wzrastała, słowem, że za jego rektorstwa najwięcej Uniwersytet zajaśniał. Zdaje się, że to opiekanie Malewskiego było wstępem dyplomatycznym do wyniesienia Twardowskiego na ten urząd, bo wkrótce potem za usilnem staraniem i przewagą ks. Czartoryskiego obrano Twardowskiego profesorem algebry, a zaraz i rektorem, mimo tylu uczonych prawdziwie mężów i zasłużonych w Uniwersytecie i którzy rektorstwo uważali jako wynagrodzenie od narodu i uczczenie przez kolegów wolnym wyborem. Rektorstwo Twardowskiego zniszczyło odwieczny porządek, odkąd, zdaje się, uniwersytety istnieć poczęły.

Nie przeczę, że Twardowski mógł mieć i naukę odpowiednią, lecz o tem sądzić trudno — bo lekcyj nie wykładał — ale nie taką wszakże naukę, żeby go mogła wywyższyć nad innych. Ale

przepuściwszy naukę — jakież miał zasługi, które go powołać mogły na tę wysoką posadę, kierującą wychowaniem młodzi całej Litwy i Wołynia? *(Wszystkim Polakom, profesorom i uczniom, łatwo było przeczuwać najlepsze cele w wyniesieniu Twardowskiego, tylko to szkoda, że ono nie nastąpiło wcześniej i przygotowane. Biegącym wypadkom jeden Twardowski obronić się nie mógł, przecież najgłówniejszy skutek osiągniony: patrjotyczne plany Czartoryskiego zasłoniło się sprawami Miłośników Cnoty i prześladowaniem niewinnych dziatek.)* Żadnej — i dlatego wszyscy profesorowie uważali Twardowskiego jako przywłaściciela. Jedni z zadziwieniem poglądali i taili w sobie nienawiść. Drudzy jawniej uczuć dawali swoje nieukontentowanie na każdem prawie posiedzeniu, szlachetniejszych jednak uczuć — nie myśleli o zemście. Ale się znalazł jeden, który wzdychał do tej godności i całe życie o niej marzył. — Becu właśnie się spodziewał po Malewskim zostać rektorem, nagle z niespodziewanych przeszkód nadzieja go minęła. Zaprzysiągł więc zemstę Czartoryskiemu, puszczając się na wszelkie środki, choćby najniegodziwsze. Skupiało się koło Becu stronnictwo i zdaje się, że skutkiem tego Ostrowski, nauczyciel wileńskiego gimnazjum, minąwszy dyrektora i rektora, władzą swoją, doniósł generał-gubernatorowi Korsakowowi, że znalazł na tablicy napisano: „Wiwat Konstytucja 3-go Maja". Tak rzecz błaha i nic nieznacząca swawola jednego ucznia przez niewyrozumiałość Korsakowa najsmutniejszy obrót wzięła. Bo skoro przedstawił w. ks. Konstantemu za rzecz ważną, ten rozkazał natychmiast usunąć rektora Twardowskiego, zastępcę dyrektora Skoczkowskiego i profesora wówczas gimnazjalnego Waszkiewicza, a Nowosilcowowi poruczył dośledzenie — z czego się pokazało, że Plater bez żadnej myśli to napisał i został za to oddany w sołdaty.

Możeby tak sroga kara nie nastąpiła, gdyby się Becu nie zbliżył do Nowosilcowa i podszeptami nie skłonił go do swoich widoków. Becu naprzód zwrócił uwagę na Filaretów, jako związek z natchnienia księcia Czartoryskiego i, że Twardowski z ręki kuratora jest tylko prostem narzędziem do zamiarów, szkodliwych rządowi. Zostawili jednak rozwinięcie planów czasowi i pierwszej wydarzonej okoliczności. Działo się to w czerwcu roku 1823.

Ledwo Nowosilcow do Warszawy odjechał, kiedy dziwaczny i zagadkowy postępek Massalskiego zatrwożył Wilno. Massalski Józef, uczeń połocki, nie zostawszy asesorem w sądzie ziemskim ihumeńskim w czasie sejmików, udał się do Uniwersytetu i tam się zakochał w córce profesora Becu. Nie wiem z pewnością, jak mu szła ta miłość, to tylko pewne, że bez żadnego wyraźnego powodu jednego dnia u policmajstra Szłykowa jak desperat się zjawił z oświadczeniem, że ma wielką tajemnicę, którą tylko powierzyć może Wielkiemu Księciu.

Przelękniony Szłykow tajemnicą, o której on nie wiedział, wprzód sam badał Massalskiego, a później, zawiózłszy go do Korsakowa, jęli się we dwóch do pytania — lecz to było napróżno — a tak Massalski ruszył z kwartalnym do Warszawy. Stawiony przed W. Księciem oświadczył, że użył tego fortelu, chcąc się dostać do wojska, a nie miał za czem. Ten wybryk był źle przyjętym, odesłano go do ostrogu wileńskiego, a później oddano w sołdaty. Wszyscy się gubili w domysłach, co dało powód Massalskiemu do tak nierozsądnego kroku.

Przyjaciele jego przypisali to szałowi romansowemu z niepowodzeń miłości i wszyscy, zdaje mi się, bezzasadnie powtarzali jako przygodę romansową; według mojego jednak rzeczy widzenia wyskok Massalskiego uważam za intrygę Becu, jako zgodną z całym biegiem faktów.

Becu, widząc Massalskiego zapamiętale zakochanym w swojej córce, ożywił w nim nadzieję otrzymania ręki, jeśli przyjmie na siebie charakter „donoszczyka"; żywa imaginacja poety w osiągnieniu celu ubóstwianego zagłuszyła była na chwilę wszelkie szlachetne uczucia. Rzucił się jak w przepaść, ale podróż z kwartalnym, kilkodniowe odosobnienie od ludzi, przedstawiły mu szkaradność występku — zrzekł się szczęścia i nadziei, poniósł obelgę i karę, lecz z cnotą i tajemnicą, ucierpiawszy wiele, zstąpił do grobu.

Czego wymyślna intryga dokazać nie mogła, to traf dokonał. Przyszła wakacja — rozjechali się uczniowie — wtem się zdarza w Wilnie pożar, i z uratowanych rzeczy akademika Jankowskiego dostaje się policji brudny paszkwil podobno na cesarzy rosyjskich. Wzięty Jankowski w tłumaczeniu się swojem objaśnia, że do pisania tego paszkwilu zmuszony był przez towarzystwo tajne

uczniów w Świsłoczy i w Wilnie — i na dowód wypisał nazwiska i liczbę członków. Zaraz schwytano Zana na wileńskich rogatkach, kiedy wracał z Chodźką, prezydentem, z wizytacji. Kiedy innych chwytano i zwożono do Wilna, w. ks. Konstanty ustanowił wielką komisję do śledzenia klubów i tajnych towarzystw. Nowosilcow był prezydującym, członkami: Bajkow, Botwinko, Ławrynowicz, Szłykow. Do których Uniwersytet jednego członka powinien był dodać, jako deputata i obrońcę akademików.

Sto kilkadziesiąt uczniów przez miesięcy siedm więziono i badano. Z początku szły rzeczy oporem, nim Zan niewiadomo *(że należało jak najwcześniej dowieść przezacności i niewinności tak całego Towarzystwa, jak też i każdego z członków, co w zupełności osiągniono, wskutek czego, kiedy dziatki sądzono, o Filaretach zaś zrobiono rozporządzenie rozesłania na służbę w celu udalenia przeszkód do przedsiębranej reformy Uniwersytetu, która wraz nastąpiła, której żądano, a do której oddawna szukano powodów)* dlaczego napisał odezwę do Filaretów, aby wszystko szczerze wyznali. Klasztory wileńskie przepełnione były więźniami. Pełno ich było u dominikanów, franciszkanów, bazyljanów i bernardynów.

Mówiąc o śledztwie Filaretów, nie można się nie dziwić nad Piotrem Derszkofem. On się całkiem poświęcił dobru Towarzystwa z największym własnym niebezpieczeństwem. Wyjeżdżał za miasto spotykać więzionych kolegów, aby uświadomić ich z biegiem sprawy i jak się tłumaczyć mają. Pod rozmaitemi postaciami wsuwał się do klasztorów, a kiedy nie mógł ujść za krewnego lub służącego, to pieniędzmi straż przekupił, a zawsze, z kim chciał, widzieć się musiał. On wiedział o każdego potrzebach i niedostatku i temu zaradzał przez składki lub odezwy do krewnych. Słowem był duszą wszystkich więźniów i sam do końca uwięzionym nie był. Komisja ta mogłaby się skończyć, ale jak zwyczajnie wielkiej epopei są rozmaite wstępy. Naprzód Nowosilcow działał w interesie Zubowowej w nadziei, że się z nią ożeni, powtóre uczniowie po różnych szkołach, dowiedziawszy się o towarzystwie wileńskiem, myśleć zaczęli o zaprowadzeniu u siebie. Tak Janczewski założył w Krożach „Braci Czarnych", Moleson i Tyr w Kiejdanach, w Poniewieżu znów inni inne. I tam śledzono, i malców, okutych w łańcuchy, wywie-

ziono do ciężkich robót, a szkoły kiejdańskie zamknięte zostały. Po trzecie Uniwersytet sam jeszcze uraził Nowosilcowa. Gołuchowskiego lekcje nadzwyczaj liczne, na które i damy uczęszczać zaczęły, bo miło było słyszeć tak wykładaną filozofję.

Ten pociąg i ten zapał takiego tłumu dla jednego profesora Nowosilcowowi się nie podobał, puszczano więc naprzód bajeczki o zmianie godzin, o skasowaniu katedry, lecz kiedy to nie pomogło, przedstawił Gołuchowskiego jako człowieka niebezpiecznego.

W tymże czasie przy obiorze dziekana w oddziale prawnym zaszły nieporozumienia i przymówki między Twardowskim a profesorami. I mimo jego opór Lelewel został dziekanem, wsparty przez ks. Bobrowskiego, Daniłowicza i Gołuchowskiego. Narzekał Twardowski *(między Twardowskim a Lelewelem było chyba pozorne i udawane nieporozumienie, o tyle, o ile potrzeba było patrjocie dla dosiągnienia skutku zakrycia się i posuwania zamiarów)*, że niesforni profesorowie i przeciwnego ducha dobremu rządowi wybrali na dziekana człowieka podobnego charakteru. Nowosilcow wiedział o tem i umieścił w sprawozdaniu o nieporządkach Uniwersytetu. Skończyła się jednak Komisja. Czartoryski już przestał być kuratorem — jego miejsce zajął Lawal — ciężyło i to Nowosilcowowi, ułożył sprawozdanie i projekty reform. Przedstawił w. ks. Konstantemu, a ten cesarzowi. Cesarz kazał urządzić komitet do rozpatrzenia dzieła o Wileńskim Uniwersytecie, dodając do Nowosilcowa Arakczejewa i Szyszkowa. Po rozpatrzeniu 7 sierpnia 1824 r. wyszedł ukaz i rozporządzenie względem Filaretów, Uniwersytetu i szkół. Twardowski się podał do odstawki, zawiedziony *(nie mając już nic do osiągnienia)* w swoich nadziejach i w radach Kontryma. Dobry Malewski i otwarty ostrzegał, ale jego nie słuchał, jak sam to słyszałem z ust Malewskiego: „Uważałem, moci dobrodzieju, że naszemu Uniwersytetowi brakuje zupełnie galerji obrazów, że narzędzia w obserwatorjum już nadpsute, że gabinet historji naturalnej niekompletny; myślałem tedy, moci dobrodzieju, zebrać dwa miljony — z tych jeden obrócić na zakupienie obrazów, a drugi miljon na dokupienie lub odnowienie gabinetów. Nie poszedł za radą moją p. Twardowski, ale posłuchał p. Kazimierza (Kontryma) i wprowadzili formy, reformy, z których

teraz, moci dobrodzieju, niech się cieszą." *(Malewski do patrjotów odkrytych 1826 r. nie należał i dla niego manewry Twardowskiego i Lelewela musiały być zagadkowe, jak i dla wielu innych.)* Nowosilcow z Petersburga wyjechał kuratorem Wydziału Wileńskiego. Nie cieszył się Becu, zabity piorunem, nie cieszył się Bajkow, uderzony apopleksją w drodze do kochanki. Na ich upadku powstał Pelikan, wykonawca woli Nowosilcowa.

Filareci, ostatnie chwile pobytu swojego w Wilnie zamknięci w klasztorze bazyljańskim, odśpiewali w swojem gronie pieśń, sparodjowaną z burszowskiej, którą nie dla wartości, ale jako wykazującą osoby i ich działania umieszczam:

Weselmy się koledzy, dopókiśmy w kozie!
Tu nam płynie czas bezpiecznie,
Kiedy na świecie zło wiecznie,
Jak na złym przewozie.

Głupi nad naukami rozum tylko suszy,
Niech zaginie ród Polaków!
Wiwat stary pan Korsakow!
Wiwat długie uszy!

Bierz djable akademją z jej profesorami,
Niechaj światło czart zabierze,
Wiwat sowy, nietoperze,
Lepiej żyć durniami.

Niech przepadnie historja i prawne nauki,
Wiwat Kontrym, co rył z cicha,
I rektor, co nas wypycha,
Niech żyją Pińczuki!

Niech żyje komisja do śledzenia klubów,
Wiwat Bajkow, Nowosilców
I kochanka tych opilców,
Wiwat księżna Zubow.

Niech kursują bumażki i żydki, i winko,
Niech żyje nasz pan Szłykow
I najlepszy z sowietników,
I zacny Botwinko!

Niech żyje policja, wiwat pan Krukowski,
Niech żyje każdy szpieg,

Każdy zdrajca — każdy zbieg.
Wiwat Królikowski, wiwat pan Jankowski!

Dwudziestu filaretów wywieziono do Rosji — inni się w różne strony rozproszyli. Wydaleni z Uniwersytetu profesorowie, Lelewel, Gołuchowski, Daniłowicz i ks. Bobrowski, musieli się udać na wskazane im miejsce. I na tem się zakończyły *(się widoki i czynności)* marzenia młodzieży i widoki reformy *(i polityka)* Twardowskiego, który dowiódł oczywiście, że nie każdemu dał Pan Bóg moc i umiejętność w uformowaniu ludzi — i że tylko instytucje nowe zaprowadzone są dobre, co mają zasadą zwyczaje, charakter prawa a nawet i nałogi uformowanego zgromadzenia albo ludu. Przytem jeszcze w refórmatorze mieć powinni wiarę bez granic i niezłomne dobre o nim przekonanie.

Nie podaję tych wiadomości za *sine qua non*, tylko za fakta, przezemnie widziane, słyszane, albo przezemnie samego pojęte. Nie pragnę ich nawet za nieodmienne uważać. Może kto będzie świadomszym odemnie i lepiej dzieje Filaretów wyjaśni, rad odczytam to dzieło — jeśliby się jemu przedrzeć udało aż do Białorusi.

PROTOKÓŁY
„TOWARZYSTWA SZEŚCIU"
CZYLI
„MYŚLĄCEJ MŁODZIEŻY".

Wyjaśnienie imion osób, należących do „Towarzystwa Myślącej Młodzieży":

PILLADES — Pęczkowski z Królestwa Polskiego.
ORESTES — Seweryn hr. Tyszkiewicz z gub. kijowskiej.
DAMON — Ignacy Zenowicz z gub. mińskiej.
PITIJASZ (Pinthias) — Józef Chodźko z gub. mińskiej.
GOWOREK — Tomasz Zan z gub. mińskiej.
LESZEK — Michał Czarnocki z gub. mińskiej.
PATROKL — Stanisław Morawski z gub. wileńskiej.
ACHILLES — Dauksza, sędzia departamentowy z gub. wileńsk.

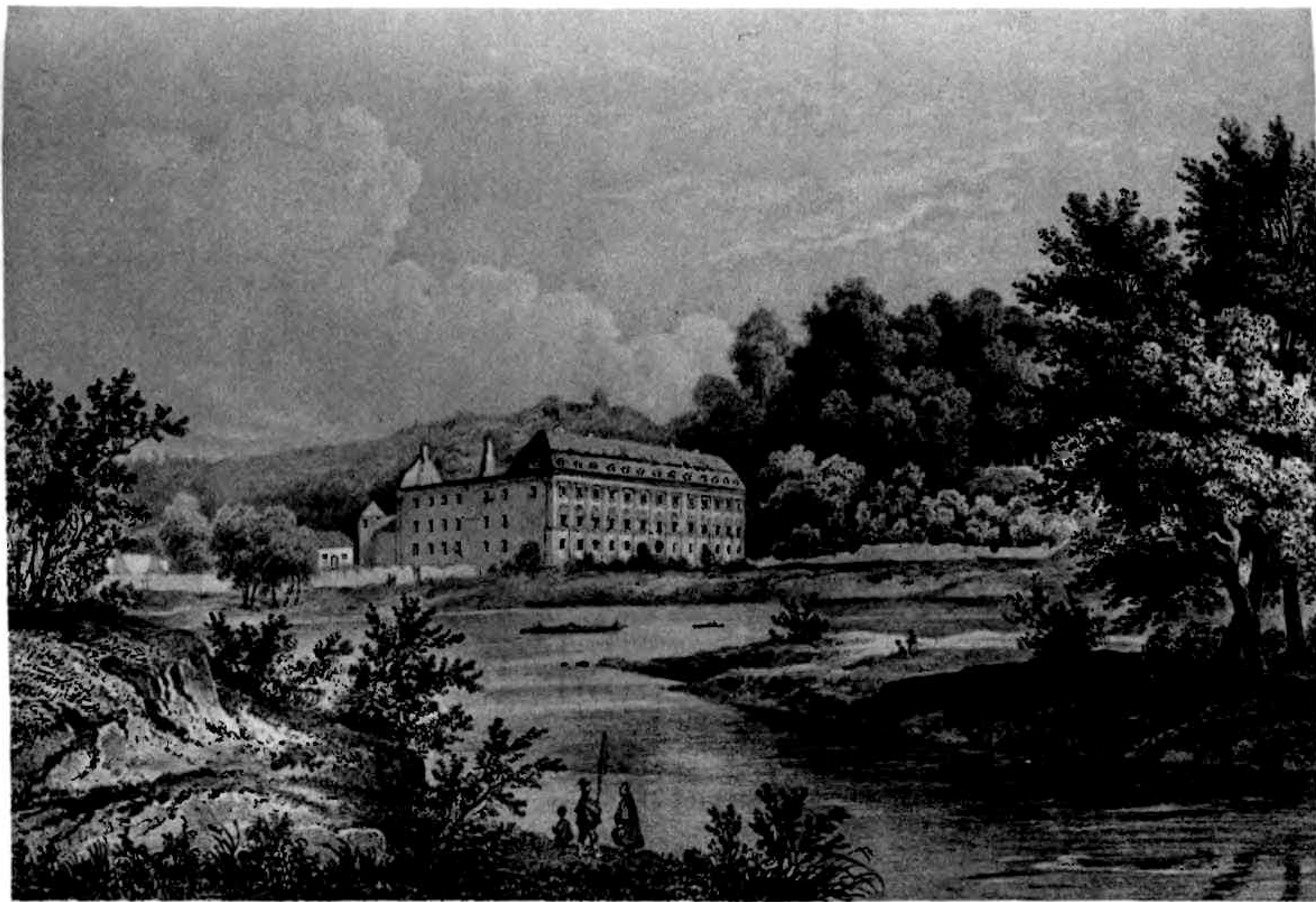
POSIEDZENIE I.

Wilno. Roku 1819, m-ca stycznia dnia 18.

Na pierwszem posiedzeniu i przy zawiązaniu się Towarzystwa Sześciu czytali naprzód Goworek balladę p. t. „Twardowski"; po wtóre: Damon rozprawę o różnicy między miłością a przyjaźnią, z przydaniem do tego uwag, ściągających się do ulepszenia naszego związku; po trzecie Pitijasz — powieść, której głównym celem było pokazać czułość serca, rozciągającą się aż do zwierząt; po czwarte Pillades w dorywczej i pięknej mowie okazał korzyści i przyjemność naszego Towarzystwa.

Na temże posiedzeniu jednogłośnie mianowany został prezydentem Towarzystwa Sześciu jeden z członków nazwiskiem Pillades, a sekretarstwo Leszek otrzymał.

(Podpisali) Prezydent Pillades. Sekretarz Leszek.



Zakret pod Wilnem.

POSIEDZENIE II.

Roku 1819, m-ca stycznia dnia 25. Wilno.

Rozpoczął Orestes posiedzenie rozprawą, w której się starał okazać, jak w każdym zamiarze ma być cel założony. Pillades miał mowę na pochwałę trzech sławnych wojowników polskich: Józefa księcia Poniatowskiego, Tadeusza Kościuszki i Dąbrowskiego. Goworek czytał idyllę p. t. „Przechadzka". Po przeczytaniu robót na tem posiedzeniu roztrząsano ogólne ustawy Towarzystwa Sześciu, a ułożenie onych powierzono jednemu z członków naszego towarzystwa nazwiskiem Damon.

(Podpisy, jak wyżej.)

POSIEDZENIE III.

Wilno. Roku 1819, m-ca lutego dnia 1.

Rozpoczął posiedzenie Leszek krótką przemową do towarzystwa, dalej wskazał niektóre pożytki, przyniesione z obcych krajów do Polski przez zwiedzanie innych narodów. Po nim Goworek czytał idyllę p. t. „Różowy krzak". Prezydent uczynił krótki wstęp do Ustaw, które później Damon odczytywał i z nich sprawę zdawał, zaco mu Pillades podziękował i złożył powinszowanie, jako w dzień imienin Damona, wraz z członkami, którym Damon wynurzył swoją radość w wierszach, naprędce ułożonych.

(Podpisy j. w.)

POSIEDZENIE IV.

Wilno. Roku 1819, m-ca lutego dnia 22.

Za danym znakiem prezydenta Damon rozpoczął posiedzenie sielanką pod napisem „Narzekanie i zgoda", po sielance czytał „Odę do nadziei" i anakreontyk. Pitijasz w rozprawie swojej okazał, na czem zależy prawdziwy patrjotyzm. Dalszy ciąg poświęcono rozstrząsaniu powtórnemu Ustaw i dzień 25 tego miesiąca przeznaczono na wpisanie tychże ustaw (przy zebraniu się wszystkich członków) do protokółu.

Dla mającej się powiększać liczby członków nazwisko Sześciu zmieniono na nazwisko Myślącej Młodzieży.

(Podpisy j. w.)

USTAWY „TOWARZYSTWA MYŚLĄCEJ MŁODZIEŻY".

My, zebrani w imię przyjaźni dla przepędzenia przyjemnie i pożytecznie czasu w braterskiej poufałości, tworzymy Towarzystwo z osób dobranych w celu ćwiczenia się w stylu i kompozycji. Dla nadania pewnego bytu i postaci zewnętrznej naszemu zgromadzeniu stanowimy, co następuje:

Artykuł I. Odbywać będziemy co tydzień jedno posiedzenie w sobotę, od godziny szóstej wieczornej najdalej do północy trwać mające.

Artykuł II. Ponieważ przyjaźń była pierwszą pobudką, ścisłego naszego stowarzyszenia się, na pamiątkę więc tego przybieramy imiona bohaterów, wsławionych przyjaźnią, np. Orestes i Pillades, Damon i Pitjasz, Leszék i Gowořek.

Artykuł III. Z pomiędzy nas jeden członek ma być obrany prezydentem, drugi sekretarzem; czas ich urzędowania jest niezakreślony, wolno im będzie złożyć urząd dobrowolnie dla słusznej przyczyny. Po dobrowolnem złożeniu, lub kiedy nie będzie mógł wypełniać powinności, które się w dalszych artykułach wyjaśnia, dla jakich przeszkód istotnych, członkowie przystąpią do obrania drugiego urzędnika sposobem w VIII artykule wyrażonym. Prezydent i sekretarz mogą na czas urząd złożyć, w takim razie zastępca losem się wyciąga.

Artykuł IV. Każdej soboty dwóch członków przyniesie roboty w języku polskim, w jakimbądź przedmiocie wypracowane. Czytający w sobotę mają mieć imiona, które w księdze przyjaźni obok stoją, jak to: Damon i Pitjasz, Orestes i Pillades i t. d. Koleją członkowie mają się zmieniać po parze w sobotę, wolno będzie czytać członkowi dobrowolnie się ofiarującemu; to go jednak nie uwolni od obowiązku czytania zkolei. Ani drugiego będzie mógł zastąpić, chyba dla przyczyny, którą prezydent wcześnie uwiadomiony za słuszną osądzi. Rozpocznie się posiedzenie temi słowami prezydenta: „Otwiera się posiedzenie"; zakończy się temi: „Zamyka się posiedzenie". Po przeczytaniu każdej roboty da prezydent 5 minut czasu do namysłu, w przeciągu którego każdy członek będzie miał wolność podania swoich uwag względem roboty. Po zakończeniu roztrząśnień, lub po

upłynieniu bez nich 5 minut za danym znakiem od prezydenta druga robota będzie czytaną, a po niej się zamknie posiedzenie. Sekretarz po każdem posiedzeniu do ksiągi wpisze w krótkich słowach, co się działo której soboty, i osobno utrzymywać będzie spis chronologiczny robót czytanych, a pisarze tych robót są obowiązani na każde zapotrzebowanie za rewersem wydać.

Artykuł V. Ponieważ Towarzystwo to ma być z osób dobranych złożone, stanowimy, że nie wprzód kto przyjętym będzie, aż zrozumiemy: 1. że dochowa tajemnicy, inaczej wybór nie byłby zupełnie wolnym; 2. że lubi i zdolnym jest pożytecznie się zatrudniać w przedmiotach naukowych lub sztuk pięknych; 3. że jest temperamentu lgnącego i łagodnego; 4. że szczególne okoliczności jemu nie przeszkadzają. Ktokolwiek z nas ujrzy godnego, według zdania swego, do przypuszczenia, da go poznać, choć zdaleka członkom, a będzie się nazywał „naznaczony". Jeżeli uznają, że odpowiada warunkom powyższym, za zgodą zgromadzenia według artykułu IV-go jeden z członków, najbliższe mający związki z „naznaczonym", wprowadzi go w rozmowę o podobnych towarzystwach, cel im stosowny zakreśli, powie, że było już towarzystwo, że można je skojarzyć, i o potrzebie tajemnicy przekonać będzie się starał. Widząc usposobionego albo żądającego, oznajmi prezydentowi, że „naznaczony" już jest przygotowany, a prezydent posiedzenie przyjęcia naznaczy. Ponieważ na każdem posiedzeniu najmniej dwie roboty mają być czytane, a obraliśmy nazwiska ludzi wsławionych przez przyjaźń, które wszędzie po pismach i ustach obok siebie nierozdzielnie stoją, stąd wypada, że liczba członków nieparzystą być nie może, a zatem, że po dwóch członków przyjmować należy. Jak już tak dwóch naznaczonych i przygotowanych będzie, członkowie przyprowadzający na niejaki czas przed posiedzeniem powiedzą o bytności rzeczywistej Towarzystwa i o godzinie naznaczonej na miejsce schadzki przyprowadzą, gdzie reszta członków z prezydentem, lub zastępcą wcześniej zgromadzeni oczekiwać będą. Zaproszeni znajdą dla siebie dwa miejsca oddzielne, które prezydent im wskaże. Dopiero członek z dwóch w ten dzień czytających, losem wprzód wyciągnięty, zwracając mowę do gości będzie się starał wyrazić radość Towarzystwa z ich przybycia, okazać piękny onego cel, wychwalać przyjemność

chwil, przepędzonych między przyjaciółmi, i dowieść nieodbitą potrzebę tajemnicy. To będzie pierwszą częścią jego mowy, po której prezydent spyta, czyli mają wolę wcielenia się do towarzystwa. Po odpowiedzi, na skinienie prezydenta przybliżą się do stołu i pomiędzy członkami miejsca wezmą, a witajnik, dalej rzecz prowadząc, porządnie opowie ustawy Towarzystwa i obrządki.

Poczem przeczytają aryngę następną:

„Ja N. N. słowem honoru i poczciwości mojej ręczę, że o tem towarzystwie nic przed nikim i nigdy nie odkryję, chyba za zgodą Towarzystwa; a na wszystkie ustawy, dotąd postanowione i nadal porządkiem przepisanym mogące się stanowić, przystaję i one pełnić przyrzekam." Po wykonaniu przyrzeczenia prezydent im powie, iż z woli zgromadzenia nie nazywają się między nami NN ale MM, i nada im nazwiska wprzód uchwalone. Wcieleni nowem nazwiskiem podpiszą ustawy, a za danym znakiem od prezydenta roboty swoim porządkiem będą czytane. Przy rozejściu się prezydent naznaczy wcielonym posiedzenie, na które roboty przynieść będą powinni.

Artykuł VI. Towarzystwo ma sobie właściwe znaki i sposoby witania, pukania do drzwi, podpisywania się i t. p. Ale to, jako do istoty Towarzystwa nienależące, w pisanych niniejszych ustawach nie mają miejsca, a ustna uchwała, co do znaków zewnętrznych tak stanowić, jako odmieniać jest dostateczną.

Artykuł VII. Czas zgromadzenia się jest godzina szósta wieczorna. Członkowie, późniący się, nie dalej, jak do siódmej, mają być oczekiwani.

Artykuł VIII. Cokolwiek na przyszłość stanowić będziemy, to tym a nie innym porządkiem. Każdy członek ma prawo robić wniesienie, prosząc o głos prezydenta, podać na piśmie projekt do ustawy. Każdy członek, a naprzód prezydent ma prawo i powinien wniesienie roztrząsać i zdanie głośno oświadczyć z przytoczeniem pobudek. Po dostatecznem roztrząśnieniu prezydent policzy głosy. Żeby wniesienie było utrzymane, liczba głosów potwierdzających powinna wynosić $^2/_3$ zgromadzenia, jeżeli nie będzie mogło być $^2/_3$, to przewyżka strony większej ma być czwartą lub przynajmniej piątą częścią całości zgromadzenia przytomnego. Inaczej wniesienie upada. W obiorze na urzędni-

ków i głosowaniu na naznaczonych głosy będą cicho rzucane, które prezydent w obecności wszystkich policzy i ogłosi.

Artykuł IX. Co zgromadzenie uchwali, to sekretarz do ustaw niniejszych dołączy, robiąc osobny artykuł i numerując z porządku.

Działo się w Wilnie, roku 1819 m-ca lutego dnia 26-go.

Uręczając, iż święcie te ustawy mamy dochowywać, własną ręką podpisujemy.

Prezydent Pillades. — Orestes. Damon. Pithjasz, Goworek, Achilles, Patrokl, Leszek, sekretarz.

POSIEDZENIE V.

Wilno. Roku 1819, m-ca marca dnia 1.

Prezydent z czterema członkami Towarzystwa oczekiwał na przybycie dwóch przygotowanych, których Orestes gdy na miejsce zgromadzenia przyprowadził, powitał nowych przybyszów prezydent, a po ukończonych obrządkach nadano im nazwiska Achillesa i Patrokla. Z porządku czytał później Orestes krótką wiadomość o życiu kniazia Michała Glińskiego. Goworek, który każdego posiedzenia obdarza nas robotami, przyniósł dziś balladę p. t. „Neryna". Achillesowi i Patroklowi na czytanie robót przeznaczono dzień 15-y tego miesiąca.

Prezydent Pillades. Leszek, sekretarz.

POSIEDZENIE VI.

Wilno. Roku 1819, m-ca marca dnia 8.

Rozpoczął posiedzenie Leszek krótką rozprawą o „Powierzchowności wiersza polskiego", po nim czytał Goworek rozprawę „O sztuce dramatycznej", w której przebiegał historję dramatyki aż do Augusta, cesarza rzymskiego. Nakoniec Patrokl podziękował w uprzejmych wyrazach całemu Towarzystwu za przyjęcie jego między członkami tegoż Towarzystwa, poczem wysławiał skutki, jakie mogą przynosić niektóre cnoty i występki. Dzisiejsze posiedzenie odprawiło się w liczbie siedmiu członków, Achilles bowiem nie znajdował się. Goworek oprócz rozprawy czytał jeszcze balladę.

(Podpisy j. w.)

POSIEDZENIE VII.

Wilno. Roku 1819, m-ca marca dnia 15.

Na początku posiedzenia roztrząsano pismo, przysłane od jednego z członków, nazwiskiem Achillesa, do Towarzystwa Myślącej Młodzieży, a po różnych uwagach przyporęczono prezydentowi odpisanie na to pismo. Poczem Patrokl czytał rozprawę „O wolności narodów“, a Goworek poemę komiczną p. t. „Zgon tabakiery“. Na tej sesji Achilles się nie znajdował.

(Podpisy j. w.)

POSIEDZENIE VIII.

Wilno. Roku 1819, m-ca kwietnia 12.

Prezydent rozpoczął posiedzenie od powitania ustnego członków Towarzystwa i od wyrażenia swojej radości, iż po długim czasie znowu się zgromadzili, poczem Damon czytał rozprawę: „Ogólny rzut oka na zdolności człowieka, zwane władzami, i na wzajemny wpływ sił przyrodzenia i pracy człowieka w tworzeniu bogactw fizycznych“, a Pitjasz: „Uwagi nad prawdziwem męstwem“. Na tej sesji Achilles się nie znajdował.

(Podpisy j. w.)

POSIEDZENIE IX.

Wilno. Roku 1819, m-ca maja dnia 24.

Prezydent miał mowę pochwalną dwóch sławnych w Polsce mężów: Ks. Hugona Kołłątaja i Ignacego Potockiego, okazał zasługi w ojczyźnie, przez co zasłużyli sobie na chwałę nieśmiertelną. Goworek czytał poema żartobliwe p. t. „Forteca“.

Posiedzenie się odprawiło z sześciu członków, bo Achilles i Leszek nie byli przytomni. Orestes z przypadającej nań kolei nie czytał na tem posiedzeniu swojej roboty.

(Podpisy j. w.)

POSIEDZENIE X.

Wilno. Roku 1819, m-ca maja dnia 31.

Leszek zaczął posiedzenie od poematu żartobliwego p. t. „Studentomachia“. Po nim Goworek czytał wiersz: „Pożegnanie panny AABCD“. To posiedzenie odbyło się w przytomno-

ści wszystkich członków, jeden się tylko Orestes zapóźnił. Prezydent zakończył krótką rozprawą o pismach Tadeusza Czackiego.

(Podpisy j. w.)

POSIEDZENIE XI.

Wilno. Roku 1819, miesiąca czerwca dnia 7.

Na tem posiedzeniu czytali: Damon rozprawę „O śmierci", Pitjasz „O przysłowiach", Patrokl „Życie i rządy kardynała de Richelieu". Na tej sesji Achilles się nie znajdował.

(Podpisy j. w.)

POSIEDZENIE XII.

Wilno. Roku 1819, miesiąca czerwca 14 dnia.

Dnia dzisiejszego rozpoczął Orestes posiedzenie „Opisaniem wiosny", w mowie wiązanej ułożonem. Prezydent Pillades czytał powieść wierszem napisaną: „Ludomir i Malwina"; zakończył Orestes rozprawą, w której okazał, „Jak żyć należy, aby nie lękać się śmierci", a tak wynagrodził ten członek opóźnienie, na lekcji IX-ej zdarzone. Achilles i Goworek nie byli przytomni.

Prezydent Pillades.

Z przyczyny odjazdu sekretarza Leszka zastępujący jego miejsce Pitjasz, członek Towarzystwa.

POSIEDZENIE XIII.

Wilno. Roku 1819, dnia 22 czerwca.

Kiedy o zwyczajnej szóstej godzinie zebrali się członkowie, Goworek czytał rozprawę „O poemacie bohaterskim" prozą, poczem pieśń drugą „Tabakiery", poematu żartobliwego, opowiedziawszy pierwej treść pierwszej, którą na VII posiedzeniu dał poznać zgromadzeniu. Drugi członek Leszek nie mógł odbyć kolei, gdyż nie znajdował się w mieście. Achilles nie był przytomny.

(Podpisy j. w.)

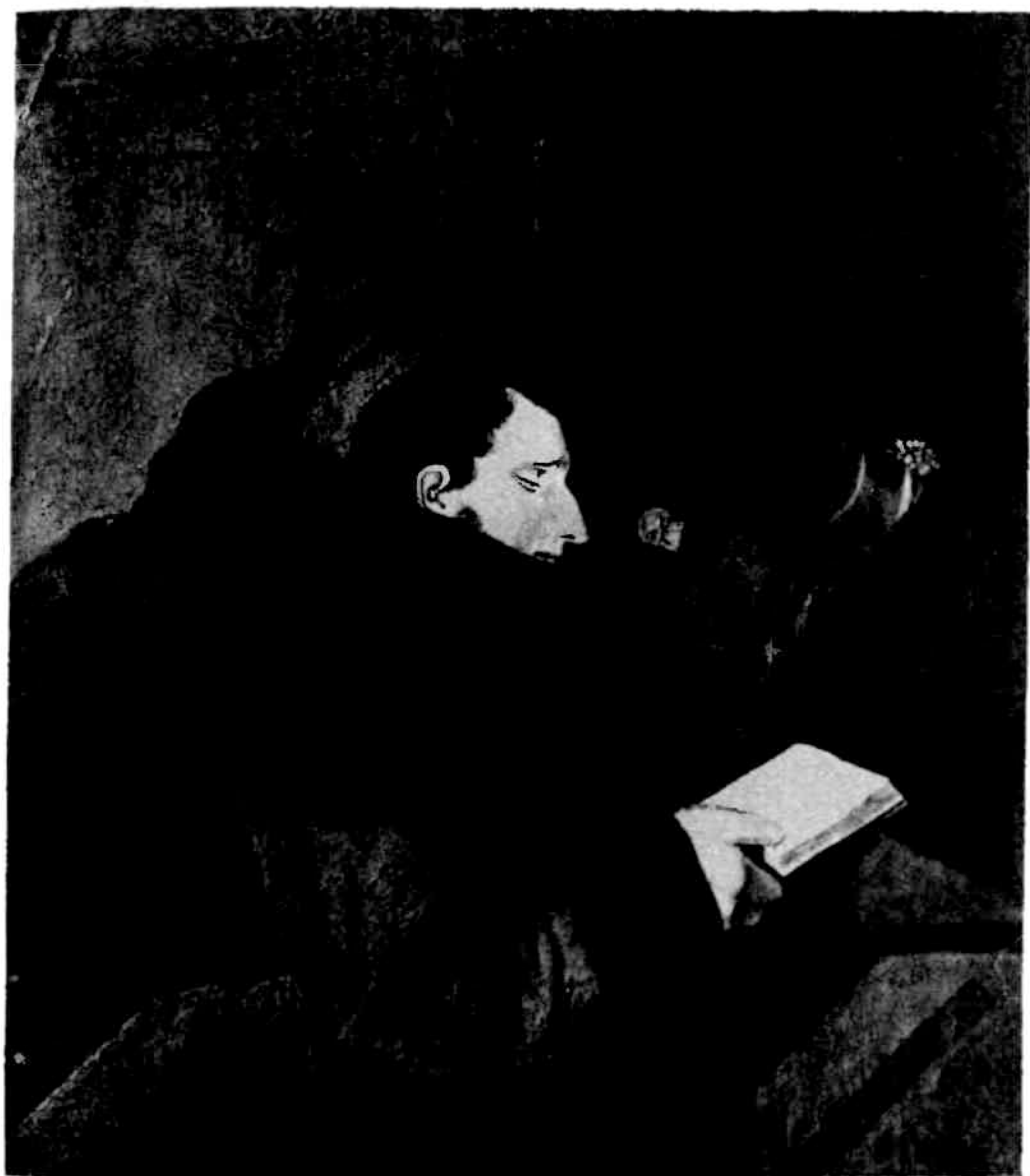
POSIEDZENIE XIV.

Wilno. Roku 1819, dnia 29 czerwca.

Otworzył posiedzenie w krótkich wyrazach Prezydent, poczem Damon czytał powieść „O Izaarze, jako przyczynie związku

wesołości w Tuluzie, a stąd porównanie z „Towarzystwem Myślącej Młodzieży". Poczem Pitjasz: „O życiu i czynach Władysława Jagiełły", przyczem pożegnał członków. Patrokl w krótkich słowach wyraził swój żal z rozstania. Achilles i Leszek nie byli przytomni na tem posiedzeniu.

(Podpisy j. w.)



Tomasz Zan modlący się w podróży.

TOMASZ ZAN

NOTATKI PAMIĘTNIKARSKIE

Niniejsze notatki napisane były przez Zana na życzenie Konstantego hr. Tyszkiewicza, jako uzupełnienie wydrukowanych wyżej wspomnień Michała Czarnockiego.

Tomasz Zan parokrotnie przystępował do opracowania swoich pamiętników, niestety, jednak nigdy zamiarów tych nie doprowadził do końca. Jeszcze w czasach uniwersyteckich pisał obszerną powieść autobiograficzną p. t. Świat i Miłość; z rękopisu, zabranego przez Komisję Śledczą podczas procesu filareckiego, drobne jeno ocalały strzępy, świadczące wszakże, że był to dokument wagi pierwszorzędnej. Na wygnaniu, w Orenburgu, prowadził szczegółowy dziennik, z którego fragmenty, opisujące ciężkie przeżycia wygnańcze, ogłosił prof. Pigoń w Dzienniku Wileńskim z 1923 r. Po powrocie do kraju Zan zaczął pisać autobiografję, którą doprowadził jednak tylko do 1800 r., — zużytkował ją Marjan Gawalewicz w studjum o Druhu Mickiewicza (Tygodnik Polski z 1899 r.).

Uzupełnienia do pamiętników Czarnockiego powstały mniej więcej około 1850 r., t. j. w okresie, kiedy Zan, według określenia Mickiewicza, „stracił drogę" i oddał się dziwacznym, mistyczno-religijnym rozmyślaniom; nie odtwarzają całokształtu działań promienistego wodza związków młodzieży wileńskiej, niejednokrotnie spotykają się tu niedokładności i niedomówienia, w mglistą, niezrozumiałą często, przybrane formę stylową, ze względu wszakże na osobę autora oraz niektóre nowe i cenne przyczynki z górnego życia świata filareckiego kartki te zasługują niewątpliwie na uwagę. W wydaniu zachowane zostały wszystkie właściwości lingwistyczne Zana, więc nietylko rusycyzmy i prowincjonalizmy, lecz i ulubione przez niego, a tak naówczas wśród epigonów romantyzmu modne, nowotwory językowe, w przypadkowem podobieństwie wyrazów rzekomo zawierające głębokie filozoficzne ujęcie istotnej

treści duchowej pewnych pojęć i zjawisk. Wyrazy i objaśnienia, podane w nawiasach kwadratowych [ ], pochodzą od wydawcy, inne od autora; wielokropki oznaczają wyrazy lub ustępy, opuszczone w druku, jako całkowicie niezrozumiałe albo nieczytelne.

I.

Wyraz „towarzystwo". Młodzież w Liceum Krzemienieckiem. Uwagi o Uniwersytecie Wileńskim. Lekarze wileńscy. Religijność i zabobonność Zana.

Wyraz „towarzystwo" nie jest żgoła wileński, lecz wzięty z Warszawy przez naśladowanie Towarzystwa Przyjaciół Nauk, Dobroczynności, i z Krzemieńca przeniósł się między ucznie wszechni wileńskiej nauk przez uczniów Czackiego uczwy *[tak!]* (Liceum), którzy od jej założenia składali w niej w ciągu nauk jawne, z obowiązku nawet, towarzystwo pilnej, dobrze uczącej się młodzieży, wielu [dla] ćwiczenia się w wymowie światowej i nabycia wprawy do wyrażania się w językach nowotnych wiązanym i wolnym sposobem. Rodzice, bawiący w Krzemieńcu, dostatni Wołynianie, przez ciąg nauk ich dzieci, w dzień posiedzeń bywali obecni i poklaskiwali tym robotom młodzieży, które w duchu i piśmiennictwie narodowem żadnego nie zostawiły śladu i znikły, jak wszystkie zajęcia każdej uczwy... Po posiedzeniu odkrywały się *[tak!]* zabawy, tańce, świetne zgromadzenia powszechności Krzemieńca, tej stolicy możnych Wołynia i Podola.

Póki żył Polak prawdziwy i mądry, Czacki, [był Krzemieniec] niejakąś stoliczką Warszawy, a nawet stoliczeczką Paryża, oboich już wtedy miast filozoficznej i porewolucyjnej Francji w czasie napoleonowskiej; ta ostatnia przebywała w naszym kraju do 1831 r. i schroniła się do swojej niestałej [monarchji], już wtedy lipcowej, uległej królowi Francuzów.

Że pierwiastek zasadowy polski, pobożna wiara i wierność kościołowi chrześcijańskiemu, którego widomą głową jest zawsze następca św. Piotra, cale już nie uważał się koniecznym do oświecenia się i do ogłady, a szczególniej do przejęcia się odżywnością ścisłych nauk i pięknością wszelkiej wprawy (sztuki),

ukarało niebo wyborną młodź krzemieniecką pewną zarozumiałą ufnością w powierzchowność pokaźną, bez prawdy i szczerości; a w każdem żywotnem wzruszeniu i szykowaniu się żywiołów bytu narodu wcale nieznaczący miała udział, tak dalece, że jeszcze i dziś nawet zaledwie coś w tym względzie liczyć na nią i polegać na niej godzi się. Czcigodna dzielność Jełowickich, chwalebny kierunek nowoczesnych pism Chołoniewskiego, Hołowińskiego, a nawet Henryka Rzewuskiego, wzięły swoje natchnienia początkowe z ducha uczwy wileńskiej. Ta albowiem, chociaż oprócz Groddcka i Franka nie miała doskonałych, oprócz Jundziłła dobrych, oprócz Jędrzeja Śniadeckiego samotwórczych nauczycieli; w każdym oddziale posiadała wyobraziciela nauki wiernych. Ślepy Mazur, sumienny rządca tego zgromadzenia [Jan Śniadecki?] uczonych, między którymi krajowcy wcale podrzędną trzymali rolę, jako tłumacze francuskich dzieł i czytań; i dobroduszny oszczędny gospodarz jego [Szymon Malewski?] byli to zupełni naówczas Polacy, oba szczerze i jawnie pobożni, obrzędy i rozkazy kościoła wiernie szanujący, miłujący domowe pożycie i dobro narodu, zakładający chwałę swoją na zobowiązaniu rodziny, na zasiewie na roli ojczystej najpożyteczniejszych nasion prawdy, która wedle pierwszego [t. j. Śniadeckiego] tem się odznacza od tego, co nie jest prawdą, że jej daje pojąć ustawną postacią, wyrazić się stanowczą liczbą, i drugiego [t. j. Szymona Malewskiego] to, co daje chleb powszedni każdemu stanowi ojczyzny.

Uczebność świetna zdrowiedajnego wydziału wszechni wileńskiej dzieliła się między Polaków i przeważnych Niemców (Frank, Bojanus, Śniadecki, Szymkiewicz, Niszkowski, Lejboszyc), oddawała chorobę cierpiących to na łaskę kierowanego przez nich przyrodzenia, to na naukę i rozum lekarza, który temu ostatniemu biegu swobodnego nie dozwala i wraz na początku wstrzymuje lub odwraca. Przekonanie, że wiara ciebie uzdrowiła, zamarłe w świecie uczonym, chroniło się dzielnie w tajemnicy matek domów szlachetnych, niebogatych, ale nad wszystkie stany posępniejszej i ocalonej części narodu, którego prawem bytu i wzrostu była chwała boża i miłość samych nawet nieprzyjaciół, obrona wiary, wolności i własności osobistej, poświęceniem życia i majątku.

Naród nasz zwyciężał barbarzyństwo, pogaństwo i arabstwo, zagrażające rozwijaniu się zbawiennych zasad wiernego powszechnego kościoła ode wschodu, a w układach rad oddawał graniczące z niemi ziemie, w przekonaniu, że nie ziemia i twierdze stanowią ojczyznę, ale samo tylko szlachectwo. Jeszcze w tym czasie, do którego ściąga się ten protokół, drobna szlachta, której Goworek szczyci się być nieodrodnym synem, szczyciła się być żołnierstwem Bożej Rodzicy, Słowa, które się stało ciałem i mieszkało między nami, Pani świata, Królowej Polskiej i Litewskiej Księżny; bractwem, służbą królestwa, ludziom zapewnionego w niebie przez zasługi Zbawiciela.

Winienem uzdrowienie w słabości zagrażającej mnie ślepotą nie doktorom, ale matce, która ofiarowała syna swego do Miadzioła; uzdrowienie od liszaja na twarzy (ognik) pacierzom babuli, która mnie aż do ich ukończenia trzymała naprzeciw płomienia, czy żaru palących się drzewek na kominie. Od podobnej dolegliwości uleczony też został jeden mój znajomy po odstąpieniu wszystkich wileńskich doktorów i przyznaniu choroby za rodzaj nieuleczony; [wyleczony został] wodą, z obmycia rąk, mieszących chlebowe ciasto, w której rozżarzone gaszono węgle przez ciąg pewnej liczby odmawianych „Ojcze nasz", i „Zdrowaś"...

Sześć lat upłynęło od powrotu do ojczyzny przywódcy Miłośników Cnoty [t. j. Zana], uczniów wileńskiej wszechni, rozesłanych do pogranicznych pustyń Rossieji. Dziesięć od rozproszenia jej zakładu, któremu dał początek Stefan Batory, wódz mości-panów, za zwycięstwo nad ślepą wschodu północnego złą wiarą; jezuitów na walkę z wędrującą zachodu niewiarą. Świątynia, w której pięćdziesiąt sześć na dwusetnym roku trwała cześć pobożnej i prawowiernej nauce, przezroczystemi zewsząd okolona niegdyś oknami, już wtedy była obwiedziona ostrogiem i zamykała młódź, że wszędzie szukała gaszonego oświecenia, nawet w Dorpacie i nauczyciela zdrowia prześladowanego, powszechnym był kochankiem wszystkich, co go znali lub o jego czynnej dobroci słyszeli (Mianowskiego). Nauki w Wilnie już prawie zgoła nie było, lecz pozostała dobroczynność i przywróciła się cuda rozumiejąca i wywołująca pobożność. Pani świata zaprzestała odbierać hołdy, jako Królowa, Księżna,

Panna i Matka nasza. Wileńska wszechnia nauk z zachwianą ojczyzną różnowierstwem doznawała nieuniknionej kolei statku psującego się, a w niej rozprzęgającego się w osnowie. Wydawszy Sarbiewskiego, Skargę (szczyt chluby), Poczobuta i wielu innych mądrych i poczciwych ludzi; przy wezbraniu zarozumiałości (filozofja), wygładzania się (cywilizacja) i ustawiania się (rewolucja), już na schyłku nie mogła zostawić osób tak jaśnie oświeconych i wielmożnych i zawsze usiłowała odpowiadać celowi swego założyciela: „*Disce puer faciam te Mości-panie!*" Niewątpliwie chrześcijańskie i ogarnione zakonne oświecenie duchownych od czasu do czasu mieszało się ze szlacheckiem i rozgarnionem świeckich: Rzeczpospolita polacka, stawszy się latawską i słowaczną, rozumiała, że bezkarnie stać się może niemeczną, rozwierną (disunici), swowolną, za modną *[tak]*. Wazowie i Piastowie, i Sasi z przewodnikami narodu myśleli o jego oświacie, każdy podług swojego widzimisię i wieku; a choć i wybierani bywali, przecież czuło się, że już nie mogą być jego żywotną i główną częścią. Stając się coraz wyraźniejszemi karalami grzechów jego samolubstwa, samochwalstwa, obojętności, niedowiarstwa, pyszenia się. Dostatniejsi lubili się odznaczyć słowem światłem z zagranicy, nabytem stratą czasu i skarbu; razem też potrzebowali krajowego, aby się jako tako porozumiewać z szlachtą— bracią, grzeczną, pisemną, szablistą. Światło duszy zostawało przy kościołach i zakonach, gdzie strzegło się brzmienie Bożego słowa, światło serca w ognisku domowych obyczajów, które tu i dziś jeszcze, co lepsze, przewodniczy się; przez karę boską pozór i barwę powierzchowną przyjęto za lepsze światło w towarzystwach górniejszych. Tego światła królem był Stanisław i Katarzyna z Wolterem i Fryderykiem Wielkim. Biedziła się w niem słodkość przedziwna Krasickiego, spotykała się tęgość zdolności krajowych Naruszewicza. Konarski przyświecał konaniu zakonu, który sam jeden w ostatnim zasieku bronił sprawy chrześcijańskiej wiary, która stworzyła i wsławiła Polskę i odrodzić zawsze jest zdolna. Jej dzielny obrońca zowie się Wiara. Cielesne światło nawet z pobożnej uczwy i nauczycielów nie mogło dalej przyświecać, jak w okręgu rozmarzeń, w których się poczynał szał ustawiania i przestawiania narodów; światło 3-go maja, czemu nie Zmartwychwstania,

Wniebowstąpienia, Zielonych Świątek, Ducha Świętego? Bez tego kierowali się i kierowali swoim lub cudzym mniej lub więcej lepszym duchem, ale zawsze nie boskim i nie świętym.

W 1773 r, pióro watykańskie, bo tego był godzien świat, ogładzający się, zniosło kolos towarzystwa Jezusowego na rozchwyt wolnych mularzy, odwiecznych budowników wieży Babel. Szczęściem, że prawość urzędu, któremu zwierzono rozporządzenie zasobów narodowego (już czemu nie boskiego) oświecenia, nie dozwoliła ze szczętem rozchwytać ich Jednocie kalwińskiej i Reformie; przecież daje się przeczuwać przeniewierstwo zasadom szlachetnym i tępość w uczuciu słowa Bożego, nad które przeniesiono Dekarta, Buffona i t. p. Źródło i świątynia nauk było tylko wytryskiem i odbiciem rozumu w siebie wierzącego krajów, z pod praw Chrystusa i kościoła jego wyłamanych.

W Uniwersytecie wszystkiego było można się nauczyć, oprócz poznania Boga, własnego kraju i siebie. Była to Polska warszawska, napoleonowska, bez Poznania i Wieliczki. Znaliśmy niebo, w którem największą lunetą nikt nie zobaczył Boga i Syna na prawicy, *[nieczytelne]* ...ziemski bez czci i wiary; znaliśmy stare i nowe języki, tylko nie znając ducha prawdy, który był życiem narodu; wiadomościom naszym nie byliśmy w stanie dać obliczenia i stanowiska, bo były bez świętobliwej posady. Wszystko w tym stanie rzeczy musiało nie szerzyć się, ale rozwalać, myśl czasu szerzyła puste piśmiennictwo, szczere uczucie (kochanie się, patrjotyzm zamiast poświęcenia się), same tylko tworzyła wierszyska głupiej skargi, lub niedalnowidnej dowolności, wykrzykiwanie groźby lub późniejszych jeszcze przechwałek. Kościół powszechny, którego rzymski arcykapłan jest Ojcem św., którego służbą i wojskiem byli i są zakony, że mianowicie na czas towarzystwo Jezusowe nigdy nie zaprzecza wychowaniu i nauce, tylko dba, iżby było dobre i prawdziwe, to jest istotne i rzeczywiste. „Ani się zowcie nauczycielami, gdyż jeden nauczyciel wasz, Chrystus, a ojca nie zowcie sobie na ziemi, albowiem jeden jest Ojciec wasz w niebiesiech, a wy wszyscy jesteście bracia". Wskutek przestąpienia od tej przestrogi każdy naród przyjdzie do wychowania i oświecenia wcale nie narodowego lecz koniecznego, niezbędnego, które będzie karą Bożą, musem przewagi nieuków nad uczonymi,

lub przeciwnie; tak się stało w Polsce. Przecież tak Konarskiego (a za nim i pijarów) i Komisji Edukacyjnej było wielkim i szkodliwym błędem, że odmieniła, a raczej, że nie ukrzepiła zasad odwiecznych ojczystego wychowania, jakiemi są nauki i wzór Chrystusa, podawane przez Matczyznę kościół, jak wielką zasługą, że użyła ludzi najszczerszych, najzdolniejszych do ułożenia zasad swobodnego, swowolnego rozwijania się zdolności w książkach szkolnych, które tem były doskonalsze, im bardziej były samotworne, nie tłumaczone z francuskiego, nie naśladowane z obczyzny. Nie jestem w stanie wierzyć i nikomu z ziomków nie radzę także, że osoby, powołane do szafowania dobrami edukacji, przyswajały na korzyść własną z ich dochody, puszczając w przewłokę krajowe Rzeczypospolitej; póki był urząd nie rozebrał sprawy i nie rozstrzygnął wątpliwości skarg i obwinienia. Litwa nie łatwiej straciła ojczyste obyczaje i moc, od nich powziętą, niż Korona, jakoż zagarniona przez nieprzyjaciół, bez przeszkody zachowała, co miała tylko lepszego: wiarę, prawa, język, szkoły po plebanjach i klasztorach, urzędy. Ale zepsuta, to jest cywilizowana szlachta, palestra szukała swego ogłupienia, potwierdzenia samolubnych i niesprawiedliwych wyroków w stolicach zagranicznych.

II.

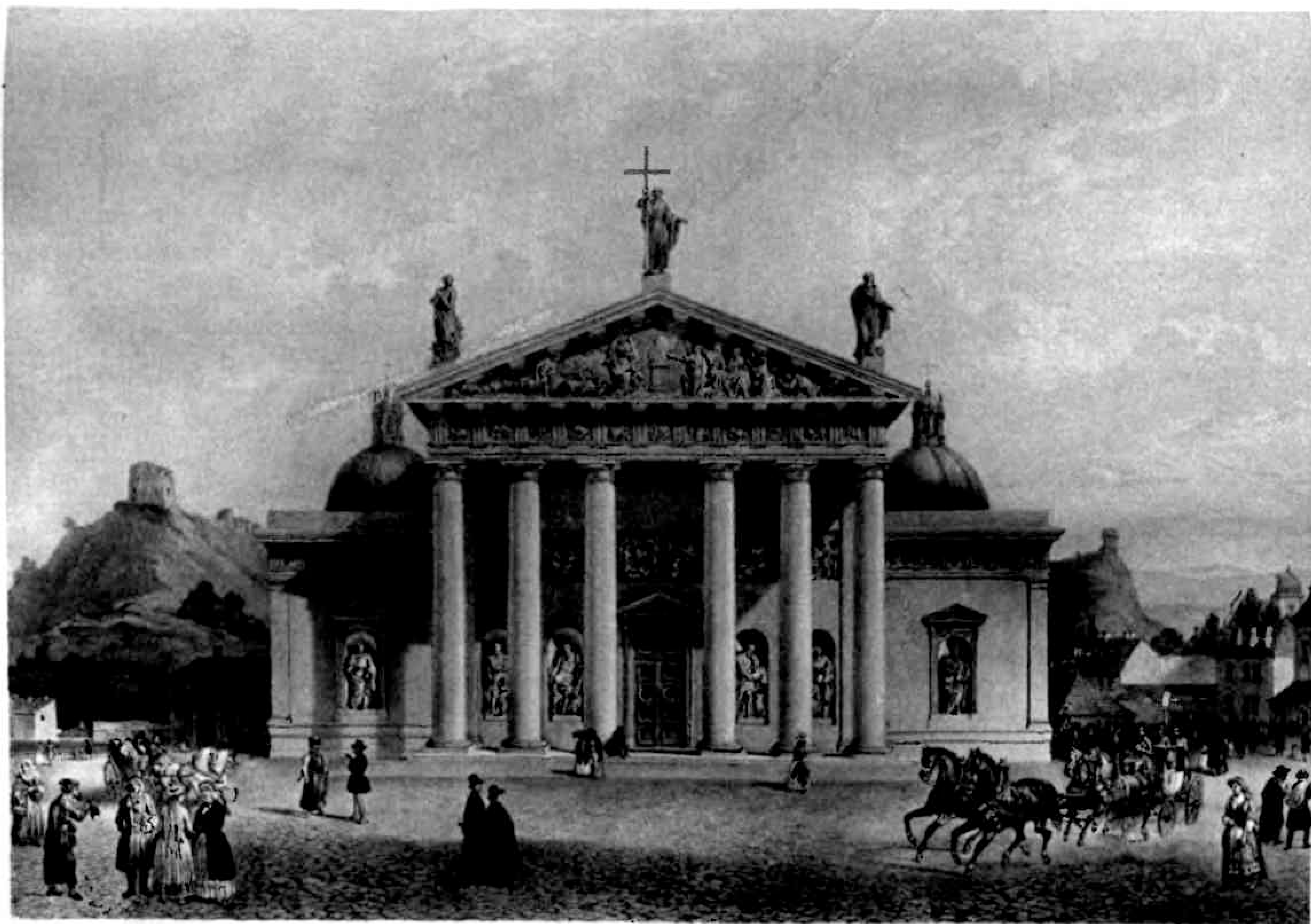
Uwagi Zana o szkołach na Litwie za panowania Pawła I. Pobyt w szkole mińskiej. Nauczyciele. Rok 1812-ty. Uczniowie, ich zabawy. Szkoła w Mołodecznie. Nastrój umysłów po r. 1812.

...Nie wiem, czyli były i jakie szkoły świeckie na Litwie, kiedy podług uwagi p. Czarnockiego (*zob. wyżej str. 152 p. w.*) wyprowadzały się, jak widać, podczas panowania Pawła. Sposób, jak się obsadzały, pochwalam, bo zupełnie odpowiadał swojemu celowi, gdy obywatelstwo z zarządem swoim naradzało się, kto najlepiej między nimi mierzyć, obliczać, mówić umie; co zaś do nauczania być mogło, że nie mieli do tego ni doświadczenia, ni wprawy, ni steru. Wolę jednakże to, niż co potem nastąpiło, że nauczyciel, nieumiejący rozróżnić kapusty od tabaki, najpiękniej wykładał botanikę i t. p. Tembardziej uczuwam dobry skutek wyboru nauczycieli w Mińsku przez Karniejewa, że niektórych jeszcze zastałem, postąpiwszy na ucznia jej w 1807—1808 r. [oraz], że tej szkole sam p. Czarnocki zdaje się przyznawać acz odległy wpływ na te przymioty młodzi; działalność, którą pochwala. Wszyscy do istoty swego przeznaczenia w rzeczy byli nieskończenie ważniejszymi nad swoich uczonych na nowy sposób następców. Wzajemne nauczanie się górowało. Uczniowie więcej czerpali serdecznej i umysłowej siły do rozwijania z domu i [od] domowych swych nauczycieli, publiczni byli niejako ich postępków i postępów urzędowymi kontrolerami, karalami (!). Ćwiczenie rózgą w dwóch pierwszych klasach i klęczenie było używane nie tak w celu wzbudzenia ochoty, lub sposobem do nauki, lecz dla dosięgnienia owoców karności podług rady Ducha Ś. Nauczyciele publiczni kierowali się i oświecali duchem uczniów różnych stanów i stron licznych.

Nauczyciele: Michał Hołownia — poczciwe, pobożne, garbate i małe ziemioznastwo i liczebnictwo, nabyte na strugach i wicinach po Niemnie, Dźwinie i Prypeci, uczone napamięć z dobrej książki Komisji Edukacyjnej i Uniwersytetu Wileńskiego 1803 r. Pilecki, skamieniałość długonosa i pracowita Alwara, oprawna w ramy pijarskie, ożywiona ciepłem i elektrycznością gramatyk Kopczyńskiego, wypisów przecudnych konjugacyjka i deklinacyjka (?)... Michałowski, eks-jezuita, wymowny i czuły jak niedotknianka, śpiewak czci ś. Felicjana mińskiego, obrońcy i stróża, nie twórczy, ale płodotworny duch duszek dziecięcych, lach i polach *[tak!]*, powierzchowności zmiętej i pokrzywionej, jakoby mieszek, dudy (kobzy), nie szanowany, ale czci najgodniejszy i kochany, mimo woli rozmieszanej i rozrywanej [?], uczył składni i miar mowy lackiej i polachckiej [?]. Na najdrobniejszy szmer swawolników i nieuważnych zrywający się, wołając na różne strony i biegając w różne strony „A proszę cicho". „I Dafnisa wynoszą aż pod niebo", — a proszę cicho, a kto tam? — „Słodko za ojczyznę", — a proszę cicho; „Słodko za ojczyznę" — a proszę cicho — „Święta miłości" i t. d...

Miernictwa doskonale uczył Jan Suchecki, teologji i filozofji doktór, zaczynający wykładać elementarnej matematyki od modlitwy. Takim, jak on osobom, winna była młódź najwyraźniejsze usposobienie do tej nauki, na którem Jan Śniadecki budował swoją patrjotyczną sławę, które zjednało jej [t. j. młodzieży] odznaczenie się wśród młodzi innych uniwersytetów, z którego tak skorzystały instytuty dróg i komunikacji, artyleryjskie i inne w Petersburgu. Ona też dawała biedniejszym ludziom pierwszy sposób utrzymania się w szkole narodowej i w obywatelstwie (Komornicy-nauczyciele).

O Michałowskim wspomniałem; on wszczepiał sam niewiadomie ducha poezji i wymowy krajowej, prawdziwszego, nim się te nie przerodziły w pustosłowectwo. [!] Sucheckiego zmienił Poliński, człowiek, który już granice matematycznych nauk rozszerzył widocznie, to rozszerzenie wynikło stąd, że wprowadzono do rozumowań i dowodów geometrycznych zamiast Euklidesowych sposobów algebraiczne, znakowe. Zapomocą algebry ludzie małych zdolności, lub małego rozwinienia mogli rozwiązywać najgłębsze zadania, nie czując wcale swego w tem uczę-



Katedra w Wilnie.

stnictwa. Szkody dla kształcenia umysłu z tej przemiany niezmierne wynikły, które jednakże samowładne rządy poczytują za korzyść, jako stosujące się do ujmy siły osobistej, a dające zabawkę niespokojnym jej usilnościom, podstawującą formę zamiast rzeczy. Gorliwość i przezacność nauczyciela, osobliwość i nowość nauki, że tak rzec można, napoleonowskiej, miała swój wpływ bardzo znaczny na młódź uniwersytecką, którego szkodę zaledwo przeczuwał Śniadecki, tak czuły... *[nieczytelne]* od niemieckich marzeń i filozofji, albowiem on rad był wszystko zarówno użyteczne przyjmować, co nosiło barwę królowej nauk, matematyki. Rachunek i form rozwijanie wzięły górę nad rozumowaniem i rozmyślaniem.

Thiele [Karol, uczeń Groddcka], któregoby zwać można wyprostowanym, gładkim i otyłym Groddckiem, lubość i śmieszność uczniów, nie uczył, a wrażał potęgę mowy i skandów Rzymu i Greków. Wprawdzie nikt tu ani języka, ani literatury tych narodów nauczyć się nie mógł, ale każdy uczuł, że każdemu wszędzie i zawsze byłyby miłe i użyteczne...

W czasie najścia Francuzów Thiele miał poruczony sobie dozór szpitala wojskowego w Mińsku. Pewnego dnia powołany został do tłumaczenia się przed Knorringiem, gubernatorem wojennym. W czasie rozmowy Knorring rzekł: „*Znaju ja was, wy wsie miateżniki*", i po głowie Thielego pogłaskał. Thiele oburzony tem mówił: „Ja, który po piętnastu uniwersytetach tłukłem się, który do mnie mówiły koronowane głowy, a ten huncfot mnie pogładzić odważył się". To była jego ostatnia boleść, po tygodniu umarł.

Niemniej dobry i tkliwy był staruszek o białych i sterczących włosach, starej daty i kroju Francuz, mr. Pidot, berajter, fechmistrz niegdyś u Prószyńskich, i wysoki i prędki Niemiec Sterzler. Te dwa narody miały tu swoich przedstawicieli jakby dla wrażenia promienistej dziatwie tego, co miały tylko dobrego, co wstrętnego i śmiesznego: „Ani fizik, ani matematik, ani retorik, ani kto, tylko francuski janzik najpotrzebności" [powtarzał mr. Pidot...]

Lekcje języków nie były konieczne, kto i kiedy chciał, mógł na nie uczęszczać, bardzo ważny i stanowczy obyczaj. Do tego rzędu należał także ruski język. Małoros Andrzej Zacharzewski

nocą rozweselał się pończem i gęślą, w mundurze i chustce spał dniem, aby wczas gotowym być za przebudzeniem się na lekcje, na które swowolnicy, mający dozór domowy dla nich niepomyślny, zbierali się dla rozrywki i komedji. Pierwsze bajki o Bowie-korolewiczu, o Żar-pticy, o Korowkie i t. p. on rozpowiadał; pierwszy uczył: „*dieła nie diełat', od dieła nie biegat'*". W gniewie pozwalał winowajcę każdemu z obecnych karać, jak się podoba, byleby na środku sali („*skwoź stroj*"), a nie w ławkach, skąd mógł apelować; hasło do tej kary, istnej w szkole rewolucji, bywało słowo: „*zadat'*". Zacharzewski nie miał siły oprzeć się prośbie dzieci i wszystko czynił im „*w ugodnost'*". Uwalniał od godzin lekcyj i obowiązków z warunkiem i bez warunku odpowiedzialności na przypadek nieprzewidziany śledztwa. „*Gospodin uczitiel gołowa bolit*". — „*Nu, tak idi domoj, prefekt nie pryjdiot, twojo szczastje, pryjdiot — skażu: bieżał*". Szanował wstręt, jakiśmy okazywali do ruszczyzny, a myśmy kochali szczególność jego uczuć, pomysłów i obyczajów. Następcę, Ostroumowa..., byle okoliczność napastowały dzieci i tłukły. Piotr Cejs, dyrektor szkoły, że kochał je i rad i gotów im był ulegać, musiał mieć dobre serce i rozsądek. Rozhukanych przestraszał głosem... przybliżających się pieścił i wystrzygał im z papieru czapki. Kołyszko, jego totumfacki, trzymał pióro rządu, wziątecznik i dureń, jak wieść późniejsza niosła. Prefektem był Jan Łapinkiewicz, szlachcic wesoły i poczciwy. Uczył niby historji i prawa Stroynowskiego, zadając z książki napamięć. Że nauczyciele, a osobliwie języków, nie mieli prawa karania sami, powoływał się do sprawy między nimi w klasie... Przyzwany zwykle brał stronę uczniów, głos i twarz mimo udawania, że się sroży, dowodziła, że gotów im ulegać i że swawolę nieumyślną nie bierze za złość. Wreszcie inne między sobą sprawy sądzili sami studenci, którzy już od trzeciej klasy co trzy miesiące wybierali sobie sędziów, adwokatów, jakby w obywatelstwie. Sądy odbywały się we wtorek, czwartek i niedzielę w godziny poobiednie rekreacji. Ignacy Szydłowski sławił się jako prezydent i mecenas sądów.

Około 1812 roku coraz skład nauczycielów się odmieniał, usuwano starych, nasyłano nowych z Uniwersytetu. Abłamowicz Ignacy wymownie czytał dzieła Jundziłła do historji natu-

ralnej, które ja tylko sam jeden mogłem za lekcją naznaczone przerecytować, choć na egzaminie sam osobiście zapytany nie podołałem z pamięci rozróżnić konia od osła. Przewaga słów i form nad rzeczą mimowolnie i powolnie już się uczuwać dawała. Sienkiewicz wyprowadzał doświadczenia fizyczne i chemiczne, raczej dla podziwu i zabawy, niż dla istotnej nauki. Fizyka wpływ robiła niezły, tylko tłumaczenie było trudnowate, chemja Śniadeckiego była wzorem stylu, któremu po Michałowskim przewodniczył Brodowski. Ćwiczył młódź na przerabianiu wierszy Naruszewicza i Krasickiego na prozę, a bajek na wiersze. Moja o Babie i Kurze, co złote jaja nosiła, pierwszy raz w piątej klasie stała się powodem do śmiechu artystycznego, że skończyła się niesłychanym tedy przykładem na 9 wierszach.

Wpływ nauczycieli obowiązkowy był wcale nieznaczny, lub przeciwny początkowemu celowi. Klasyk wyrodził romantyków. Zato młódź, dziatwa bez rygoru i porządków, ogrzewała się sama swemi natchnieniami i nastręczaniami. Nauczyciele religji, bernasie kwestarze, nabożeństwa i uroczystości, ks. biskup Dederko, teatr amatorski w domu szkolnym, a raczej obywatelski i szlachecki, Jan Chodźko, prezydent, kontrakty, sejmiki, musztra, przechody wojsk i jeńców z Francji, wreszcie najście Napoleona — były to tem rozlicznem podścieliskiem gniazda, w którem swe pierwiastkowe w Mińsku poczęcie powzięła promienista dziatwa.

Mińską szkołę, jak ją zastałem, uważam istotnie za to gniazdo, które dziś stoi opuszczone i rozwalające się. Miałem zręczność w 1820—1821 objeżdżać szkoły wszystkie wileńskiej gubernji, mohilewskiej i witebskiej, które po większej części obsadzone były nauczycielami nowej metody, w której słowo, forma, okaz ceniło się wyżej, niż istota i rzecz, niż Bóg, owszem było wszystkiem. Myślę, że Mickiewicz z dominikanów szkoły nowogródzkiej żadnego nie miał nauczyciela uniwersyteckiego, to jest filozofji i uczoności, niezasadzonej na prawdach objawionych, które żywią wszelką naukę i są jej duszą ożywną. Zbiór uczniów, dochodzący liczby 800, składał się z dzieci szlachty, służącej u obywateli, księży unickich, szlachty zaściankowej i bobylskiej, urzędników (Małafiejew, Dudin, Jełszyn, Jarcimowicz). W każdej klasie, a osobliwie zaczynając od trzeciej, byli i najznakomitszych obywateli dzieci. Kamieńscy (Aleksan-

der, już wtedy maltański kawaler), Prószyński, Obuchowiczowie, Kostrowiccy, Wereszczakowie, bracia Marji, moi współkoledzy i sąsiedzi, Wańkowicze, Zenowiczowie, Chodźkowie, Gierłowiczowie, Korsakowie, Hrehorowiczowie, Tyszkiewiczowie, Ślężanowscy — moi koledzy uniwersyteccy. Odznaczała się szkoła widokiem niepowabnym co do ochędóstwa i bogactwa, wyjąwszy paniczów, reszta istne obszarpańcy i obedrańcy. Gimnastyki i tańców prawie nie było, piłka i własne wymysły stanowiły cały przedmiot ćwiczeń się. Rekreacja i majówka dzieliła szkołę na dwie strony, paniczowską i szlachecką, która przewodziła w pieśniach, wynalazkach zabawy, bajkach, przedstawianych z siebie widowiskach. Budziłowicz, średniej klasy profesor, obudzał te zabawy czasem. Brzuszkiewicz uczył rysunku; muzyki prawie nikt. Ks. Żyliński uczył śpiewać nabożne pieśni polskie i łacińskie dla mszy codziennej studenckiej w katedrze. Sztuki piękne zaniedbane, lecz pełność serc nie dawała czuć jej potrzeby. Spowiedź musiała być co miesiąc, lecz jej prowadzenie nie było dość porządne. Nie było też w zarządzie szkoły osobliwego ochraniania niewinności dziatek od wpływów szkodliwych, przynoszonych z rozmaitości domów, a osobliwie miejskich. Co podlejsza część, to osobliwie mieszczańska przynosiła na szkodę, to zacniejsza i czystsza, stanów i imion wyższych i cnotliwszych miarkowała. Żydówka z obwarzankami, Niemiec z gryczanemi pierożkami, Jasiuta dzwonnik, Janek pomieszany, niedźwiedzie smorgońskie, dzwonienie w cerkwi, ogród Karniejewa, Złota Górka i Kalwarja, archirej Potemkin — były to osobliwości studenckie, około których krążyły wyobrażenia dzieci mińskich do 1812 roku. Nienawiści i różnicy między narodowościami nie znano, tylko strach nieoznaczony Cejsa, litość nad Moskalem, którego wszędzie na ulicy bito lub łajano. Z tego grubjańskiego i dzikiego języka Moskali, bo chłopska niszczyzna [t. j. język białoruski] między studentami chętnie była używana, upowszechniło się baszkirskie „hajda".

Najpamiętniejsze wypadki były wizytatorzy, ks. Andrzej Szperkowicz, Krusiński, a z nimi ich sekretarze, Żukowski i Legatowicz; a najbardziej wakacja, która odżywiała wszystko i nadawała klasykom dążenia romantyczne. Dzieła Krasickiego, w części Naruszewicza, a najbardziej piosneczki wpłynęły na

poprawę mowy prowincjonalnej. W Mołodecznej szkole, z Postaw przeniesionej, zebrał się duch i usposobienie szkół okolicznych bazyljańskich (Boruny i Berezwecz) i akademickich... Szumskiego historja, seksterna poezji i wymowy, a nadto ćwiczenia prozą i wierszem z treści zadanej lub tłumaczenia z łacińskiego, szczególniej zaś dzieła ks. Jundziłła, Jędrzeja Śniadeckiego, Piramowicza wpływ na czystość języka wywierały widôczny i stanowczy...

[Przez lat pięć uczęszczał Zan do szkoły mińskiej. Przy wejściu do szóstej klasy zachorował na febrę, która go cały rok dręczyła, skutkiem czego rodzice zabrali go na wieś. W tym samym czasie nabyli Zanowie folwarczek Wiewióry wpobliżu Mołodeczna, gdzie odtąd w ciągu 1813 i 1814 roku Tomasz miał uzupełniać swoje wykształcenie, zanim przeszedł na Uniwersytet do Wilna.]

„Duch młodzi tu [w Mołodecznie] się odświeżył i wstrząsnął wypadkami wojny 1812 r. [pisze Zan w dalszym ciągu swego pamiętnika] — wnosiła się doń nieznajoma dotąd ojczyzna z pieśniami, powieściami, mowami; każde słowo, dotąd nie żywo w pamięć kładzione z różnych nauk przyrodzonych i ludzkich, z poezji i rzeczywistości, przyjęło byt widzialny i dotykalny; między rodzicami a dziećmi zaszła pewna zmiana w postępowaniu, z tajemniczości wynurzyły się ich utyskiwania. Matki gorzały niezwykłem uczuciem, znajomem tylko Polkom, modlitwy od ołtarzy przemieniały się w pewne zachęty do synów. Pod taką matką wzrastali Chodźkowie i ładniuchny i delikatny Leonard z Dederkowej. Przeważałem w szkole uczonością (mińską) i czasem pierwszego się rozwijania zdolności dotąd obudzonych. Kochaliśmy się przyjaźnią i miłością. Obowiązki dyrektorskie (kondycja) i studenckie służyły tylko do urzeczywistnienia wszystkiego, cośmy gdzie słyszeli, czytali, widzieli.

Szkoła podzieliła się na Marsowych i Apollinowych żołnierzy, Moskali, Polaków. Tamci (przywódcą był boruszczyk Józef Suchocki) odznaczali się siłą i praktyką, ci (przywódcą byłem ja) poezją i lubością. Wszyscy znakomitsi tej strony — Chodźkowie, Gieczewiczowie, Słotwiński, Mackiewicz, (Muchliń-

ski) rozebrali pomiędzy siebie imiona znakomitszych przyjaciół w historji starożytnej i nowszej i temi w czas rekreacji i w czas walki ze stroną przeciwną bez nienawiści jednak nazywali się, podpisywali, a to nazwisko było razem świadectwem zasługi, niejakim stopniem, urzędem.

III.

Przybycie Zana do Uniwersytetu Wileńskiego. Spotkanie z Mickiewiczem. Koledzy uniwersyteccy. Jeżowski. Duch towarzyski wśród młodzieży. Towarzystwa młodzieży. Udział Zana w życiu społecznem i towarzyskiem Wilna. Kontrym. Filomaci i Filareci. Antypromieniści. Adam ks. Czartoryski. Uwagi Zana o śledztwie Nowosilcowa. Zakończenie.

Marcin Zaleski, wizytator, powołał mnie, a raczej ośmielił do Uniwersytetu bez uprzedniego oznaczenia celu i sposobu. Pobożność domowa rodziców, a osobliwie babuni, ich błogosławieństwa z natchnienia ks. trynitarzy w Mołodecznie były mi całym funduszem i przewodnictwem. Ojciec mnie zawiózł do Wilna razem z rabinem jakimś, bo był bardzo łatwy do dogodzenia Żydom. Smutno mi było rozstawać się z ruiną zamku, pałacu, ogrodu mołodecznańskiego, w którym zapewne duch jakiś osobliwy przebywał, którego zwę Ogińskim. Już przy senatorze w Zalesiu [Michale Kleofasie Ogińskim] jako podręczny sekretarz umieścił się kochanek mój, Leonard Chodźko.

Przybyłem do Uniwersytetu w r. 1815 w czasie przejazdu Aleksandra w powrocie z kongresu z Wiednia, kiedy Giecewicza wezwano na gubernatorstwo w Mińsku. Już od czterech lat wszelkie wrażenia wyśpiewywały się wierszami i listami. Znaczniejsza część dostała się w ręce Komisji Śledczej, i bieda mi była tłumaczyć się, dlaczego wolałbym, ażeby się świeciło w przezroczu N, aniżeli A, i temu podobne dziecińshwa.

Lepszą część współkolegów znalazłem tutaj. Byłem się zapisał jako współubiegający się do pomieszczenia w instytucie pedagogicznym na koszt skarbowy; do jednego miejsca los zdarzył, że się współubiegał ze mną Mickiewicz i wziął je przede mną. Że zaś rozumiał, że to mu pierwszeństwo dało najbardziej pokrewieństwo z dziekanem, prezydującym na egzaminie, bom

od niego o tyle był mocniejszy w matematyce i fizyce, o ile on nade mną w literaturze i stanowczości i bystrości na każde pytanie, stąd powziął natchnienie nagradzać mię przyjaźnią swą, którą mi wiernie i nieodstępnie okazywał.

Mieszkałem u Kazimierza Kontryma z obowiązkiem korepetowania gimnazjalnych lekcyj jego synowcowi. W Uniwersytecie na tymże piętrze, co on, w obwodzie tychże murów, co Franciszek Malewski, syn rektora, mieszkał jego pierwszy przyjaciel, syn rosyjskiej literatury profesora, Czerniawski, wielce utalentowany, acz nie pobożnie i nie przezroczyście, jak tamten. Jeżowski Józef wtedyż przybył na Uniwersytet z Winnicy, najwięcej usposobiony w naukach i do dalszych postępów w filozofji, przeciw któremu my wszyscy byliśmy nieuki. On, oprócz Groddcka, w nikim już nie uważał sobie za przewodnika, siedział tedy najczęściej w bibljotece, kiedyśmy z lekcji na lekcje biegali, od rana do wieczora, rozmaite i wszelkie, i miał z Kontrymem zawsze do czynienia. Że miałem stosunki i znajomości, jako student dwóch szkół, liczne, dar przenikania się wszelkiemi najdrobniejszemi wrażeniami i okolicznościami i wystawiania ich w śpiewie, w wierszu, w mimice, byłem z tego względu pożądany między wszystkimi kolegami i tem więcej, im mniej sam ich dla siebie w czem niebądź potrzebowałem.

Kwatera Franciszka [Malewskiego], w Kukiewicza domu, była miejscem schadzki wspomnianych osób, do ich serjo uczonych i literackich pomysłów i zamiarów i moja dziecinność i wesołość niewyczerpana, szczera i potulna, była konieczną przyprawą i potrzebą. Niemniej też mile byłem oczekiwany i przyjmowany w Kardynalji, gdzie mieszkali synowie Jana Chodźki z Gierłowiczem (Ignacym), u bazyljanów, gdzie [mieszkali] Zenowicze. Z Ignacym byliśmy pierwszym przykładem uczniami generał-basu u Hollanda, który nie miał nigdy innych, oprócz jednego lub dwóch organistów, i muzyczny mieliśmy z nim stosunek.

Duch towarzyski niezmiernie był rozszerzony i szykowały się pierwiastki do siebie przystające. Nigdzie nie było ani celu, ani planu; jakaś niewidzialna potrzeba i zdarzenia łączyły je w grona mniej więcej trwające i ścisłe. Co Kontrym znaczył mimowolnie i nierozmyślnie u Wolnych Mularzy z Mikołajem

Mianowskim, u członków Uniwersytetu z Lelewelem, w kahale z Żukowskim, w kapitule, w zgromadzeniach szlachty, na wyborach, zabawach, projektach z Jelskim, w palestrze z Karczewskim i w późniejszych różnych towarzystwach literackich i patrjotycznych i przemysłowych z Józefem Zawadzkim, Antonim Marcinowskim, Rychterem, Lachnickim (magnetystą), dobroczynności, u Szubrawców z Ignacym Szydłowskim, Jakóbem Szymkiewiczem, — to mi przyszło znaczyć między młodzieżą, również bez uprzedniego celu i planu.

Do Jeżowskiego należy początek uregulizowanego Towarzystwa, które nazwał Filomatycznem; składało się z dwóch wydziałów: literacko-filozoficznego, w którym on przewodniczył, i matematyczno-fizycznego, w którym ja najczęściej, zaczynając posiedzenie od przepraszania członków, że ono bardziej będzie poetyczne, niż matematyczne Urzędy były wyborcze, prezydent, wybierany z przewodników, (Jeżowski) składał główną radę z trzema radcami (Malewski, Mickiewicz, Pietraszkiewicz). Mimo usilności uczonych prezesa, brała górę poezja, u mnie, jakby powiedzieć, domowa, u innych tłumaczona z greckiego, łacińskiego, niemieckiego, francuskiego. Woltera powieści tłumaczył Mickiewicz; Józefa de Berchoux Gastronomie — Malewski.

Poważniejsze roboty odwlekały się z roku na rok; przedsiębrane: encyklopedja, zbiór historyków Bretona, książki elementarne Niemców. Kowalewski z tego natchnienia najwięcej prac szczerych dokonał, wytłumaczył Longina z oryginału; tłumaczenie Herodota, śliczności przedziwnej, gdzieś trwoni się w policji petersburskiej, zabrane po nagłej śmierci wydawcy Bałamuta, dowcipnego Kułakowskiego, któremu, jako współkoledze, Kowalewski rękopis pożyczył. Dwoma czy trzema laty filomatyczne posiedzenia poprzedziły Towarzystwo Sześciu, które zostawało pod jego [t. j. Tow. Filomatów] natchnieniem i kierunkiem, jak i inne między młodzieżą wszelkie; u niego o każdym z Filaretów wiadomość mogła być dokładna, gdyż każdy z nich miał obowiązek uwiadomić prezesa, do jakiego towarzystwa należy. Między filomatycznem a filareckiem środkowało Towarzystwo Przyjaciół, z dojrzalszych Filaretów wypływające i wzór dające, rozumiejące się być nieza-

leżnem. Tego, jak i tamtego, głównym i oznaczonym zamiarem było wspomaganie się radą, pomocą i przykładem w kształceniu się naukowem, moralnem, narodowem, w oddziaływaniu przeciw spiskom, rewolucji, patrjotycznym zarozumieniom i wspyszkom.

Położenie moje u Kontryma i młodzieży łączyło mię ze wszystkiemi sprzecznemi i łącznemi działaniami, wiadomemi i niewiadomemi, Wilna. Przez jego natchnienia wydawałem kalendarzyk, tak zwany polityczny, taryfę państwa rosyjskiego, uczyłem czytać żonę Mianowskiego, wyprawionego zagranicę, zbierałem składkę na podróż Józefa Sękowskiego po Turcji, korepetowałem lekcje na pensji u Dąbrowskiego Tyszkiewiczom wołożyżskim, Kamińskim, Prozorowi, Turskim; pisałem im komedję Gryczane Pierożki; wprowadzony do loży [masońskiej, prawdopodobnie Palemona] pod przewodnictwem Justyna Biesiekierskiego, do Szubrawców pod imieniem Goniglisa; bywałem na doświadczeniach magnetycznych Lachnickiego (Wojciechowska u X.X. Lubeckich), na amatorskich muzykach prof. Becu i pani Frankowej, na balach Karpia, X.X. Czetwertyńskich, p. Tyszkiewiczowej, Łopacińskiej; miałem znajomość z uczonymi przyjaciołami niespracowanego Kontryma: Lelewelem, ks. Bobrowskim, Wolfgangiem, Niszkowskim, Herberskim i wielu innymi, którzy swoją uczoność i sławę winni byli najbardziej jemu, a nawet z Pelikanem, którego siostra była za moim mińskim i mołodeczańskim profesorem, Hołownią.

Kontrym, zdaniem mojem, był najużyteczniejszą sprężyną widoków ks. Czartoryskiego o dobro kraju, który chciał wyswobadzać zapomocą oświecenia, którem owładał i rządził. Przecież śmiem utrzymywać i mocno jestem w tem przekonany, że Filareci, równie jak Przyjaciele i Promieniści powstali, że tak można, z siebie i za granicą wszelkich ówczesnych rewolucyjnych, patrjotycznych i wolnomularskich zabiegów i manewrów i zawsze różnili się w zasadach i sposobach, choć w celu się częstokroć nadprzewidzianie spotykali.

Zaledwie w 1821 roku dokładniejsze wiadomości dochodzić mogły ks. Czartoryskiego o skutkach wyraźnych i chwalebnych Miłośników Cnoty. Więcej pięćdziesięciu uczniów w Uniwersytecie utrzymywało się ich kosztem, oświecało się ich poradą

i pomocą. Uczeńsi wykładali współkolegom kursa, których nie było w szkołach lub w Uniwersytecie. Jeżowski wykładał hodegetykę, Malewski niemiecki język, inni, co kto mógł i umiał. Rozprężeni czasami wpływami patrjotów skupić się rozumieli i ochronić pod postacią Towarzystwa Niedostatnich Uczniów, Typograficznego, które było już [pod] wpływem Filaretów. Filareci działać starali się na powstrzymanie tworzenia się niewczesnych i bezużytecznych gmin Oborskiego, z których, jak i z posiedzeń wolnomularskich, żaden postęp korzystny nie wynikał. Zapewne okoliczności, w jakich ukaz, zabraniający towarzystw tajemnych, zastał wolnomularzy różnego nazwania, przemienionych w patrjotów, skłonił ich do korzystania z wiadomości o Filaretach i zakrycia siebie przed poszukiwaniem Nowosilcowa ich odkryciem w przekonaniu, że w nim nie znajdzie on powodów, jak i było, do przekonania rzeczy, iż zarząd Czartoryskiego ma widoki polityczne, wychodzące za zakres oświecenia, jemu wręczonego. Kto chciał, co o nich wiedzieć, mógł to łatwo, albowiem nie wzbroniono było nikomu z Filaretów mówić o swych czynnościach w Towarzystwie przed rodzicami i nauczycielami. Chodźko wiedział o Filaretach od synów, z których Józef i Aleksander byli Przyjaciółmi, toż Twardowski [rektor] od Michała Szyrmy i innych pińczuków. O tym ostatnim młódź nasza, równie jak i o Czartoryskim, najlepiej była uprzedzona. Malewskiego kochaliśmy przez najlepsze stosunki i zasługi dzieci jego, syna i córek. Tym ostatnim dawałem lekcje i najmilsze stosunki nas z niemi łączyły. On podpisał 15 prawideł dla Promienistych, z których, gdy się od nich wzbraniał na rok następny, utaili się jako Filareci, i w duchu im każdy sprzyjał najszczerzej i najlepszych owoców oczekiwać miał niewątpliwy powód, mimo przygan antypromienistych formalistów (Capelli, Korowicki, Bartoszewicz, malarz Smokowski, chemik Fonberg i inni, uważający się za partję Śniadeckiego) i poważnych, a wsławionych literatów i praktycznych uczonych ludzi.

Z tych powodów i dla tych widoków ks. Czartoryski, uprzedzając Nowosilcowa zamiary, które był przeniknął, naznaczył komisją do wyśledzenia towarzystw, jakie są, a najbardziej Promienistego, pod prezydencją Bojanusa, także kochanka mło-

dzieży. Komisją składał z nimi ks. Kłągiewicz i podobno Znosko i ktoś jeszcze. Człowiek ten pełen najczystszych chęci dla nauki i dobra ucieszył się z odkrycia tak jasnych celów i tak trafnych i nowych sposobów ich osiągania, dał najlepsze i uspakające o Promienistych zdanie. Tymczasem Twardowski użył Chodźkę, aby mu doradzał zniszczenie wszelkich protokółów filareckich i śladów, mogących świadczyć o ich kiedy bytności, i nastał na ich spalenie, które się dokonało wobec niego za naleganiem i prośbą przez wzgląd na widoki Czatoryskiego, któremu kopja ustaw przez Twardowskiego została wręczona. Wypadek ten nastał kilku miesiącami przed rozpoczęciem badań u Filaretów, których urzędowa egzystencja rozwiązaną została rokiem wprzódy przed wyprawą moją na wizytę szkół białoruskich, a to w celu oswobodzenia się delikatnego od członków, wcale nie odpowiadających duchowi i dążeniu Towarzystwa, aby w okolicznościach sprzyjających, wedle potrzeby złożyć je z osób bardziej doznanych i godnych. Pierwszem prawidłem i artykułem ustaw filareckich było nie zaprzątać umysłu polityką i religją jako nauką, ani się mieszać do spraw, które obywatelstwu i ludziom dojrzałym należą, — póki są w Uniwersytecie. Nie przechwalać się, ale owszem taić się z pracami i dobroczynnością swoją. Nowosilcow, nie najdując żadnego przedmiotu w śledztwie o Towarzystwie nietylko przeciwnego prawu, ale nagannego, oparł swe zdanie na tem, że ono twórcy jego są tym niebezpieczniejsi, że źle są przeciw rządowi usposobieni, nieprzyjazne mają zamiary i szkodliwe jemu czynności, im bardziej je ukryć umieją i dać im pozór chwalebny. Reforma Uniwersytetu koniecznie jest rychło potrzebną. Oni jej będą na przeszkodzie i wstręcie.

W książkach, naukach i pismach dają się postrzegać życzenia narodowości przeszłej, w wierszach brudnych Jankowskiego, w pismach Czeczota, w seksternach i wypisach Suzina; że o narodowość chodziło, świadczył Jankowski i nie zaprzeczał Malewski. Chociaż chytry Zan dowodził, że jeśli duch Towarzystwa wydaje się narodowym, to pochodzi stąd, że ono składało się z większej liczby Polaków, z przyjęciem narodowość żadna nie miała się na względzie, ruskich było kilku (Dudin).

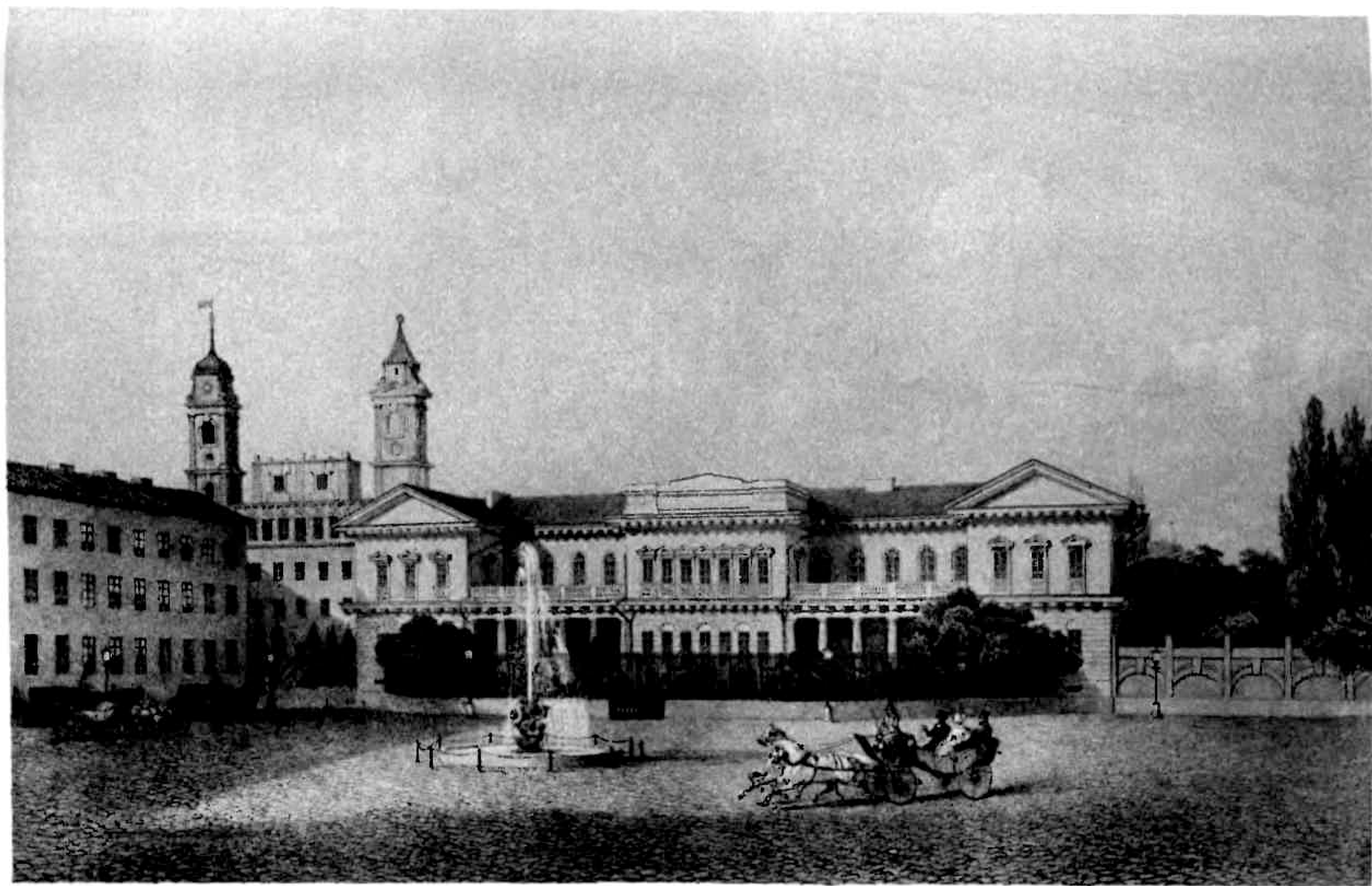
Wcale to narodowość nie wynikała z celu i ustaw, które dążyły najbardziej do nauki i cnoty nabycia, wczas ku temu najprzyjemniejszy.

. . . .

Nie mam dosyć miejsca wyłuszczać tu cudowne szczegóły, które sprowadziły w jedną myśl i uczucie osoby prawie różnego wieku, ale z różnych przeciwległych stron litewskiej i ruskiej Polski. I tak każdy, różnie w ciele, w sercu, w duszy odlany, tak różnie urodzony, wychowany i uczony, że, gdyby nie Opatrzności wola, czuwająca nad losami dzieci tylu przodków świętobliwych, królewskich, szlachetnych, bogobojnych i ludzkich, szczerze i zupełnie chrześcijańskich, wiernych i bitnych członków powszechnego Kościoła, jedynych obywateli prawdziwie oświeconych Rzeczypospolitej, słowem bożem wyzwolonych, nie możnaby inaczej pojąć tych, tak różnorodnych pierwiastków w zjednoczeniu. Przecież każdy z tych pierwiastków był czysto narodowym polskim. I nikomu, a raczej wszystkim, należy przypisać początek tych wypadków i wrażeń, które imieniem mojem przezwane, tyle u ziomków znalazły współczucia, taką je otaczały niezasłużoną chwałą, tyle mi sprawiły niewypowiedzianie miłych wzruszeń wdzięczności, że za powrotem moim z pustyń kirgiskich, od gór baszkirskich, czułem się być wszędzie na Litwie i na Rusi synem czcigodnych matek i rodziców, bratem ukochanej rodziny, nauczycielem dziatwy, sługą i gospodarzem kraju.

EDWARD TOMASZ MASSALSKI

Z PAMIĘTNIKÓW (1799—1824)



Pałac biskupów, następnie gen.-gubernatorów wileńskich.

Edward Tomasz Massalski, urodzony dn. 23 września 1799 r. w Rudawce pod Nieświeżem, był synem Onufrego, b. majora wojsk polskich brygady petyhorskiej, następnie pisarza ihumeńskiego sądu ziemskiego, i Katarzyny z Korbutów. Tomasz wraz z braćmi, Józefem i Karolem, i siostrą, Salomeą, kształcił się najpierw w domu rodzicielskim, otoczony dostatkiem i licznem, a doborowem towarzystwem; jednym z guwernerów młodych Massalskich był Muśnicki, brat Nikodema, jezuity, autora osławionej P u ł t a w y. Czasy dzieciństwa, życie rodzinne, typowe dla tego okresu na Litwie, stosunki towarzyskie i obyczajowe barwnie maluje w swych wspomnieniach. Rok 1812-ty, pochód wojsk napoleońskich i tragiczna rejterada, złudne marzenia o powrocie Napoleona — wszystko to znajduje żywe odbicie na kartach pamiętników Massalskiego. Nadchodzą lata szkolne, najpierw w szkole jezuickiej w Mohylewie, gdzie wśród celujących uczniów widzimy obu Massalskich, potem w Akademji Połockiej, której stosunki i brutalną przez rząd rosyjski kasatę z niekłamaną opisuje sympatją i współczuciem.

Dalsze karty wspomnień zapełniają czasy pobytu Massalskiego w Uniwersytecie Wileńskim na wydziale nauk moralnych i politycznych, dzieje towarzystw młodzieży, zwłaszcza Filaretów, do których błękitnego grona należał Massalski, wprowadzony przez Jakóba Jagiełłę. Najwięcej miejsca udziela historji prześladowania, procesu i więzienia; oględnie, jakby z tendencją rehabilitacyjną, opowiada o zagadkowym postępku swego brata, Józefa, który pośrednio przyczynił się do ujawnienia towarzystw wileńskich. Tę część pamiętników kończy przytoczeniem charakterystycznych szczegółów o korupcji w stosunkach uniwersyteckich za rządów kuratorskich Nowosilcowa i rektorskich Pelikana.

Podejrzany o sprzyjanie powstaniu w r. 1831, dzięki jednak szlachetnemu wstawiennictwu mińskiego gubernatora wojennego,

Sergjusza Stroganowa, został uwolniony od wszelkiej odpowie działalności i mógł w r. 1832 wyjechać do Petersburga, gdzie zna lazł niebawem posadę w komisji do porównania miar rosyjskic z zagranicznemi, utworzonej przez Kankrina przy Ministerstwi Finansów. W Petersburgu zetknął się z liczną kolonją polską wszedł w stosunki z ówczesnym światem literackim, był czas jaki redaktorem wydawanego przez Józefa Sękowskiego tygodnika p. t. Bałamut, oraz współpracownikiem Tygodnika Petersburskiego. Równocześnie nie zaniedbywał pracy, którą by jeszcze w Wilnie rozpoczął, nad powieścią p. t. Pan Podstolic albo czem jesteśmy, czem być możemy (Wilno i Petersburg, 1831—33, 5 t.); jest to, zdaniem Piotra Chmielowskiego, pierwsza nasza powieść społeczna. Autor nazwał utwór swój „romansem administracyjnym", osnutym na tle stosunków włościańskich, zwłaszcza w dobrach znanego ze swej humanitarnej działalności Dominika Moniuszki w powiecie ihumeńskim. Powieść tę uważał Massalski za dalszy niejako ciąg Pana Podstolego Krasickiego. W trzech pierwszych tomach wystawi nędzę i ucisk chłopa białoruskiego, ruinę majątków szlacheckich wskutek złego zarządu, życia nad stan i próżności, wreszcie nędzny stan miasteczek naszych pod względem przemysłu i handlu; — w dwu następnych skreślił „ideały", t. j. majątek Pana Podstolica, który oswobodził i oczynszował swoich włościan, zaprowadził płodozmian, zakładał fabryki, potrafił zużytkować ludność żydowską w pewnych działach pracy, tworzył kasy oszczędności i t. p., słowem, uczynił dobra swoje i sąsiadów, którzy poszli za jego przykładem, kwitnącemi.

Po opuszczeniu Petersburga Tomasz Massalski zarządzał dobrami Lubomirskich na Wołyniu, odbywał częste podróże, np. do Odesy, dokładnie poznawał stosunki włościańskie w okresie zaprowadzania t. zw. inwentarzy bibikowskich. W r. 1853 przeniósł się do Warszawy, gdzie otrzymał posadę urzędnika w Bibljotece Głównej. Żonaty był z Pauliną Nowosielską. Zmarł dn. 28 czerwca 1879 r. w Louvain, w Belgji.

Oprócz Pana Podstolica, który wyszedł również w przekładzie na język rosyjski (Pan Podstolic, roman ujezdnyj, tłumaczenie Pawła Gajewskiego. Petersburg, 1832—33, 4 t.), ogłosił drukiem prace następujące: Tablice porów-

nawcze wszystkich wiadomych monet, wag i miar, wyrachowanych na monety, wagi i miary nowe francuskie, nowe polskie i rosyjskie (Petersburg, 1834 — też po rosyjsku; zob. „Wizerunki i roztrz. nauk.“ Wilno, s. I. VIII, 126); „Wyciąg z gramatyki polskiej (Wilno, 1849); O skarbach słowiańskich a szczególnie o gramatyce języka polskiego uwagi (Warszawa, 1853); Przestrogi dla mówiących i piszących po polsku (Warszawa, 1857); Gramatyka języka polskiego (Warszawa, 1858; wyd. skrócone, tamże, 1858); Gramatyka języka polskiego, do wymagań i natury brzmień jego zastosowana (Paryż 1867); nadto przełożył z francuskiego dzieło Augusta Nicolasa p. t. Wywód prawdy chrześcijańskiej ze stanowiska Filozofji, Dogmatu i Historyi (pod pseudonimem R. Michalskiego, Warszawa, 1856; wyd. drugie w Wilnie, 1870—71, 2 tomy); wiele artykułów z zakresu gospodarstwa i przemysłu leśnego pomieszczał (często pod pseudonimem Antoniego Odrowąża Kamińskiego) w Dzienniku Wileńskim i Tygodniku Petersburskim.

I

Ojciec mój, Onufry, major wojsk polskich, służył w brygadzie petyhorskiej drugiej, a po rozbiorze kraju w młodym jeszcze wieku osiadł na wsi w słuckim powiecie, w dobrach Naczy, będących własnością dziada mego Tomasza, pułkownika wojsk polskich. Matka moja, Katarzyna, była córką Leona Korbuta, który po klęskach, poniesionych w czasie wojen, musiał sprzedać swe dobra Druckowszczyznę w nowogródzkim powiecie i umarł, zostawiwszy żonę, Eleonorę z Mackiewiczów, i dwie córki: starszą, która potem wyszła zamąż za Jachniewicza na Ukrainie, i moją matkę, na opiece u synowca swego, którego sam hodował, Józefa Korbuta, później marszałka nowogródzkiego, mieszkającego w powiecie nowogródzkim w dobrach pojezuickich, przezeń nabytych, Rudawce pod Nieświeżem. Matka ojca mego była z domu Ochotnicka, córka obywatela w Augustowskiem; krewni jej, Hordynowie, Olszewscy, mieszkali w nowogródzkim powiecie. Rodzicie moi pobrali się w Rudawce. Po ślubie przenieśli się na mieszkanie do Godlewszczyzny, należącej do dóbr Naczy, a puszczonej ojcowi memu przez jego ojca. Na urodziny jednak moje zjechali do Rudawki i tam ja przybyłem na świat 12 września 1799 r. w oficynie, która była zbudowana w sposób klasztorku, z korytarzami, celami i z kaplicą pośrodku. Chrzciny moje odbyły się z wielką pompą, jak to wskazuje poczet kumów, zapisanych w mojej metryce chrzestnej. Wujaszek mój bowiem, Korbut, zakrawał na pana, a lubo bardzo rządny i pomnażający fortunę, lubił wystawę i gości, których zawsze była pełna Rudawka, i do matki mojej był przywiązany serdecznie, jakby rodzonym był bratem.

Nie wiem już, kiedy przewieziono mnie do Godlewszczyzny czy do Naczy; a dziada mego pamiętam tylko z wąsów

białych, które mi się wraziły, kiedy leżał w trumnie na katafalku w sali nackiej: miałem wtedy rok trzeci. Drugi także szczegół z owego prawie czasu pamiętam, że stałem za piecem na pokucie zato, że nie mogłem wymówić *Z*, kiedy mnie uczono czytać. Bo od końca drugiego roku zaczęła się już dla mnie ta męka; w czwartym miałem już dyrektora, Opanowicza, który zaczął mnie uczyć łaciny i arytmetyki, — tudzież bonę Hanyżową, która mnie dręczyła gramatyką niemiecką Gotszeda. Przez dwa lata wyuczyłem się jej napamięć, ale tak się do niemiecczyzny zraziłem, że potem już żaden nauczyciel nigdy mnie do niej zachęcić nie potrafił. Francuszczyzna zręczniej poszła: w szóstym roku miałem guwernera Witorskiego, od którego wiele skorzystałem, tak w tym języku, jak w arytmetyce i geografji. Pamięć miałem lotną i pojęcie bystre. Ale swawola była nieukrócona: to też niemało miałem wypadków z psami i z rówieśnikami, którzy nieraz mnie pokaleczyli, chociaż wszyscy oni mnie obawiali się, bo za lada co natychmiast biłem się. W czwartym roku mego życia odbyłem z rodzicami podróż na Ukrainę do Korostyszowa, gdzie Jachniewicz, szwagier ojca mego, był plenipotentem u Olizara. Z tej podróży to tylko pamiętam, że gdzieś za Pińskiem widziałem zakopywaną do rowów szarańczę, w Korcu fabrykę porcelany, gdzie zakupiono dla mnie jakieś zabawki porcelanowe, a w Korostyszowie, że pierwszego dnia po przyjeździe w gościnę dostałem porządnie rózgami zato, że na wstępie wybiłem ciotecznego brata mego, Feliksa Jachniewicza, starszego ode mnie dwoma laty, pokłóciwszy się z nim o babkę naszą, którą każdy z nas chciał nazywać wyłącznie swoją.

W 1806 roku rodzice moi, wydzierżawiwszy już przedtem Nacz Okołowowi, teraz oddali też w dzierżawę Godlewszczyznę Karolowi Massalskiemu, synowi Joachima, który z braćmi swymi, Robertem i Józefem, mieszkał wówczas w drugiej Naczy, swojej dziedzicznej, w sąsiedztwie z naszą. Sami zaś, zabrawszy z sobą mnie, brata mego Józefa, siostrę naszą Salomeę i guwernera naszego Witorskiego, przejechali w jesieni na mieszkanie do Wilna. Słyszałem potem od ojca, że przyczyną tego przejazdu było to, iż ojciec miał być pełnomocnikiem u Michała Ogińskiego, który uprzednio, za rządu jeszcze polskiego, będąc mianowany

posłem do Holandji, wybrał był sobie ojca mego na sekretarza; ale do tego poselstwa nie przyszło. W tej podróży do Wilna zajeżdżaliśmy do Olszewskich w Starzynkach, pod Słonimem. Olszewski był żonaty z Ochotnicką, ciotką ojca mego; z tego małżeństwa był Onufry, rówieśnik i wielki przyjaciel ojca mego. Po śmierci Ochotnickiej Olszewski ożenił się z drugą, której nazwiska nie pamiętam, i, z niej zostawiwszy synów Ignacego i Wincentego, sam umarł. Podczas tej bytności naszej w Starzynkach byłem świadkiem staroświeckiej hulanki, kiedy mężczyźni podochociwszy pili zdrowie z trzewików pani Olszewskiej i mojej matki, a nam i młodym Olszewskim kazali nóżki dam całować. Byliśmy następnie w Żyrowicach u cudownego obrazu Najświętszej Panny, a stamtąd już ruszyliśmy przez Słonim pocztowym traktem do Wilna, wymijając bezustannie ciągnące wojska rosyjskie, które wtedy śpieszyły do Prus przeciw Napoleonowi.

W Wilnie zamieszkaliśmy w domu, należącym naówczas do Dąbrowskich, na placu Ś. Michalskim w rogu, prawie przeciw uniwersyteckiego domu, w którym później były sale chemiczne. Mieszkanie mieliśmy na piętrze od placu. W tymże domu z tyłu na dole mieszkał adwokat Gorecki, bez nogi, z którym rodzice moi zabrali znajomość, a my z jego synami: Antonim i Józefem, starszymi od nas. Córki tego Goreckiego były: jedna za Melchjorem Wańkowiczem, dziedzicem Kałużyc w Ihumeńskiem, z którym później sąsiadowaliśmy, mieszkając w Bieliczanach, druga za Wysogierdem najprzód, a następnie za bliskim krewnym swoim, Ludwikiem Zambrzyckim, który umarł w Paryżu w 1832 r. Drugą znajomością, której pamięć z owych czasów z Wilna wywiozłem, był dom Strumiłów. Sam był sekretarzem Deputacji Szlacheckiej; żona jego słynęła z piękności i z moją matką była w wielkiej zażyłości, a córka ich jedynaczka, panna Józefa, dwoma laty starsza ode mnie, bawiła się z nami w batalje i konie. Później, w 1820 r., przybywszy do Wilna na Uniwersytet, śpieszyłem przypomnieć się tej rodzinie; pani Strumiłowa już była druga, bo tamta umarła, a panna Józefa niebardzo się uradowała z przypomnienia zabaw z 1806 roku.

Wilno było wówczas huczne i bogate; ceny produktów były niesłychane: beczka żyta 30 rubli, faska masła 15 rubli. Panowie

z całej prowincji, przyłączonej od Polski, do niego się na zimę zjechali; przepych był w ekwipażach i strojach; samych sklepów z brylantami liczono dziewięć, a najsławniejszy niejakiego Rejznera; na ulicach i placach kilkaset karet do najęcia; traktjer Millera miał codzień stół nakryty na dwieście osób; obiad po dukacie, a docisnąć się było trudno. Kiedy pani Millerowa wyjeżdżała na podwieczorek do jakiej willi za miasto, kilkadziesiąt karet jej towarzyszyło. W każdym domu w sali stół zasypany kupami złota, i gra szalona bezustanna w faraona. Kiedy dukat spadł na podłogę, to już go nikt nie podjął, należał do lokajów; za karty lokajom dukatami płacono: to też oni panoszyli się. Nasz Filip, poddany rudawski, zebrał przez zimę siedem tysięcy dukatów i na wiosnę drapnął za Niemen w Augustowskie, gdzie, jak później słyszałem, kupił dobra i został obywatelem. Pożyczki wtedy były bardzo łatwe: od słowa przesypywały się ogromne sumy, a nikt nie oszczędzał; przetoż po upadku owych cen, które podtrzymywał systemat kontynentalny, gdy prawie nagle znikły pieniądze na Litwie, większa część szlachty ujrzała się obarczoną długami, które pierwej za nic poczytywała, ceniąc swe dobra podług ogromnej ceny produktów, a które po upadku cen i wartości dóbr przywiodły prawie całą Litwę do bankructwa i stały się powodem najhaniebniejszych eksdywizyj. Prawie wszystkie większe dobra zostały wtenczas przez nie rozszarpane na cząstki, a te następnie przez nowe eksdywizje na mniejsze znowu cząsteczki. Ale w końcu 1806 r. i w 1807 nikt jeszcze tego upadku nie przewidywał. Szlachta marnotrawiła złote dochody, najwięcej na karty, a szlachcianki na stroje, ubiorki, brylanty. Kupcy obcy i Żydzi bogacili się, wymagając także cen bajecznych za swe towary. Pamiętam, matka moja kupiła jakiś perkal na suknię, nazywany persem, i płaciła po dwadzieścia złotych za łokieć. Z tego można brać miarę, co materje, szale, koruny, gazy i inne pajęczyny kosztowały. Wilno też było świetne, bale bezustanne, zwłaszcza kiedy przybył tam cesarz Aleksander, młody, grzeczny, lubiący zabawy. Nie zapominał on wprawdzie o swoich interesach, głaszcząc Litwinów. Zgromadzonej szlachcie oświadczył, że potrzebuje pieniędzy na wojnę, a zatem czy nie podobałoby się im postąpić na jeden rok podatki, równe z innemi prowincjami Cesarstwa. Miała bowiem Litwa

przyrzeczenie od Katarzyny przy zaborze kraju, że podatki dawniejsze nigdy podwyższone nie będą, a były nic nie znaczące: bo podobno po złotemu z dymu wynosiły. Szlachta obecna przyzwoliła na wniosek cesarski: więc, ani pytając się już nieobecnych, porównano we wszystkich gubernjach przyłączonych podatki z rosyjskiemi, ustanawiając je z liczby dusz poddanych. Wówczas to jeszcze przy niezmiernym napływie pieniędzy nie wydało się ciężkiem; ale następnie, kiedy, już nie czekając ponowienia ofiary, rząd samowolnie te same podatki na rok drugi i nadal egzekwować zaczął, a dochody z dóbr upadły, zastękała Litwa pod tem brzemieniem, które na zawsze pozostało.

Wkrótce po pierwszych bitwach w Polsce i w Prusach ujrzeliśmy jeńców francuskich w Wilnie; wprawdzie w małej liczbie, jakby tylko dla próby pokazanych. Wszystko, co żyło w mieście i w okolicach, ubiegało się o szczęście ugoszczenia Francuzów. Obsypywano ich pieniędzmi i wszystkie potrzeby ich uprzedzano: bo wszyscy na Francuzach i Napoleonie pokładali nadzieję przywrócenia Polski. Jaki duch panował między starszymi, takim i młode pokolenie zapalało się. U nas cała zabawa była ustawiać szeregi żołnierzów cynowych na wielkim stole w sali, dwa wojska: francuskie i rosyjskie, i wydawać batalję. Francuskiem wojskiem dowodził Napoleon, cynowy żołnierz większy od innych, z chorągwią, a rosyjskiem jakiś karluk z bębnem, którego nazywaliśmy Bennigsenem. My z bratem na przemian, obierając sobie wojsko, strzelaliśmy do przeciwnego ze strzelbek, zrobionych z piszczelów gęsich, kulami z marchwi. Tego wojsko przegrywało batalję, który miał więcej żołnierzów obalonych kulami przeciwnika. Ale bywało w zapale, że strzelec rosyjskiego wojska pomagał przeciwnikowi, a do Napoleona żaden mierzyć nie śmiał.

Raz wypadek szczególniejszy przy tej zabawie o mało nie naraził rodziców naszych na wielką biedę. Kiedyśmy sobie wydawali batalję, któryś z nas trafił w Bennigsena. Więc: „Ura! Bennigsen zabity! Moskal, szelma, Bennigsen zabity!...“ Aż wtem otwierają się drzwi od przedpokoju i żywy Bennigsen wchodzi. Bywał on u moich rodziców, bo wtedy ojciec targował u niego dobra Sawejki, przyległe Naczy. Usłyszawszy te nasze wywoływania, uraził się generał, i nie wiem

już, jakim sposobem ojciec go ułagodził, zaprowadziwszy do bawialnego pokoju. Ale Sawejek ojciec nie kupił, czego potem bardzo żałował; ani drugich dóbr, które targował pod Wilnem u Kontrymów: bo kilkadziesiąt tysięcy, które w owym czasie użyczył na parę dni niejakiemu Lugajle, nieoddane i potem przez Lugajłę przekazane na Radziwiłłów żyrmuńskich, zamitrężyły ten projekt nabycia dóbr. A podobno nieszczęśliwy wypadek pochłonął resztę kapitału, wziętego zgóry za kilkoletnią dzierżawę Naczy i Godlewszczyzny, i zdaje się jeszcze z przewyżką jakąś na kredyt. Zatem na wiosnę 1807 r., kiedy i układy z Ogińskim nie doszły, wyjechaliśmy z Wilna do Godlewszczyzny, której dzierżawę Karol Massalski napowrót ojcu ustąpił, przestając na rewersie za kapitał, na nią zaliczony, co potem ojciec z intrat wypłacił.

Przed wyjazdem z Wilna zaszedł był dla mnie i dla mego brata jeszcze jeden wypadek, który stał się niejako przepowiednią przyszłych naszych losów. Że byliśmy bardzo swawolni, a przeto i lekcje często cierpiały, rodzice, wymyślając różne skarcenia, straszyli nas niekiedy oddaniem w rekruty. Raz więc, kiedyśmy przebrali w czemś miarę, nasrożyli się, że już nas chcą wyprawić: ubrano nas płaczących w jakieś kurteczki i kazano zaprzęgać konie dla odwiezienia nas do komendanta rekrutów. Łzy i wypraszania się nie pomagały; wyciągnięto już nas na schody, gdzie dopiero przy powozie matka wyprosiła u ojca odroczenie kary, dając nam czas do poprawy. Nie pamiętam już, jakeśmy się poprawili, ale potem w 1823 r. ta pogróżka rodzicielska smutnie spełniła się na Józefie, a ja ledwo ocalałem, o czem na swojem miejscu wyłuszczę.

Nacz pozostała w dzierżawie u Okołowa, przy którego synach był wówczas guwernerem Oczapowski, późniejszy profesor gospodarstwa w Wilnie i następnie dyrektor Instytutu marymonckiego. Znajomość moja z nim datowała się od Naczy, chociaż mało go pamiętałem, i dopiero później przypomnieliśmy się. Nauki nasze w Godlewszczyźnie szły swoim porządkiem przy Witorskim, a swawole i bójki z rowieśnikami swoim porządkiem. Zgromadzenia nasze dziecinne bywały liczne: Okołow miał kilku synów, w drugiej Naczy było dwóch Wołków, krewnych Karola Massalskiego, jednego prawie z nami wieku, Karol i Marcin; nieco

dalej, w Nowosiółkach mieszkali Poradowscy. On sam był wtedy sprawnikiem słuckim; urodzony na Białejrusi, odstawny rotmistrz od ułanów rosyjskich, przystojny i zręczny, podobał się siostrze ojca mego, Katarzynie. Dziad mój nie chciał jej wydawać za niego, jako za oficera rosyjskiego; ale ciocia uciekła i wzięła ślub z Poradowskim. Dziad mój odmówił jej zato posagu, lecz po jego śmierci mój ojciec odstąpił jej za posag sumę, ulokowaną przez dziada u Józefa Radziwiłła, wojewody trockiego, na zastawie Nowosiółek. Poradowscy więc objęli ten folwark; później z zastawu przeszli na oblig prosty. I ta suma pod dziś dzień ugrzęzła w masie kleckiej Leona Radziwiłła, równie jak i posag drugiej ciotki mojej, Antoniny, którą dziad mój wydał za sędziego Wierzejskiego, mieszkającego w Urwiedzi za Kleckiem. Wierzejscy mieli czterech synów i córkę, Poradowscy trzech synów i dwie córki, wszystko w bliskich z nami latach. Zjazdy więc, jako między familją, były częste, a między nami zabawy i bitwy. Sam rodzaj zabawy usposabiał nas do bójek: pospolicie bawiliśmy się w musztrę; mieliśmy pałasze i karabinki drewniane; trzebaż było próbować się to w bagnety, to w pałasze, a owocem tego były gęste sińce i guzy. Zimą śnieżki były ulubione, a pod wiosnę, kiedy śnieg zaczynał tajać, najmilsza była swawola wpychać się nawzajem w jamy, pełne wody pod śniegiem. I jakoś rześko się wyskakiwało i ze śmiechem z takiej kąpieli.

Na początku jakoś 1808 r. Poradowski był w Mińsku i za powrotem zaczął namawiać ojca do kupna Bieliczan w powiecie ihumeńskim. Opowiadał, że to przepyszne dobra, złote jabłko, że trzysta włók gruntu, z którego większa połowa pod lasem towarnym; że chłopi, trzysta kilkadziesiąt dusz męskich, są bardzo bogaci, mają po kilkadziesiąt koni, lecz gospodarstwo folwarczne opuszczone; bo to dobra odebrane od bazyljanów wileńskich, którzy po zakordonowaniu mińskiej gubernji nie chcieli przysięgać na poddaństwo Rosji; darowane jenerałowi kozackiemu, Sieluńskiemu, którego syn sprzedał je Miezieńcowowi, sekretarzowi przy gubernatorze mińskim, Karniejewie; ale że Miezieńcow także nie gospodarz, nie umie ocenić tego złotego jabłka i chce kupić inne dobra większe, Lenczyce, w mozyrskim powiecie; zatem Bieliczany ma do sprzedania, i w porównaniu ich

wartości za małą cenę, za nic prawie, bo tylko za czterykroć sto tysięcy złotych, kiedy sam las towarny w tych dobrach wart bez porównania więcej i, sprzedany Żydom, wróciłby w jednym roku wydane na kupno tych dóbr pieniądze. Poradowski był przywiązany do mego ojca; wątpię tedy, żeby przez jakiś osobisty interes podawał tę radę; ale był łatwowierny, a do tego zostawał pod wpływem pana sekretarza gubernatorskiego, trzęsącego wówczas gubernją. Może więc być, że, najniewinniej uwierzywszy słowom chcącego sprzedać Bieliczany, a przytem chcąc jemu i ojcowi zrobić przysługę, gardłował za tym projektem. Ojciec mój poczytał to za szczęśliwą zręczność poprawienia swych interesów, podupadłych w Wilnie; pojechał natychmiast obejrzeć Bieliczany. A tam nasadzony na niego plenipotent Miezieńcowa Złotogłów, także Rosjanin, dokompletował oszustwa. Pokazał wprawdzie ojcu mnóstwo ciągła u włościan, w które oni rzeczywiście byli zamożni, mając ogromne zarobki leśne w tamtych stronach; pokazał dogodne spławy na Uszy i Berezynie, a na mapie ogromną przestrzeń lasów. Ale kiedy przyszło do obejrzenia ich w naturze, obwoził ojca po cudzych puszczach, których siedem schodziło się klinami w jednym punkcie pod folwarkiem Wedreckim, należącym do Bieliczan. Cudze te pełne były towarnego drzewa, lecz rozróżnić je w granicach od bieliczańskich zimą i niewiadomemu było trudno, chociaż i konfrontując z mapą. Od rozpytania się zaś u sąsiadów Złotogłów potrafił zastrzec. Owszem, jeden z nich wysoki nawet urzędnik od obywatelstwa, który, niby nie wiedząc o bytności ojca, nadjechał do Bieliczan, zapewne uproszony od Miezieńcowa, najwięcej przyczynił się do utwierdzenia ich podań; sam bowiem zagajał umowę ze Złotogłowem, okazując chęć nabycia tych dóbr, i lasów nie podawał w wątpliwość. Tym podstępem dojechali ojca.

Bojąc się, żeby ów sąsiad, lub kto inny nie uprzedził, pośpieszył ojciec do Mińska na przypadające wówczas kontrakty i z Miezieńcowem umowę zawarł. Warunek był, że na tych kontraktach ojciec zapłaci trzykroć, a sto tysięcy na przyszłych za rok. Dla zebrania więc umówionej sumy wypuścił w zastaw Nacz z Godlewszczyzną Ksaweremu Czarnockiemu za 260 t., oddzielny folwarczek swój blisko Naczy, Hulicze, zastawił Packiewiczowi za 16 t., dopożyczył jeszcze u Korbuta 30 t. i u Niedźwiedzkiego,

z którym razem w wojsku służył, 20 t. Wypłacił więc Miezieńcowowi 300 t. a przewyżkę pożyczki wydał na poszliny rządowe i na porękawiczne Złotogłowowi. I cieszył się nadzieją, że przez rok, wyprzedawszy las, uzbiera zasób na opłatę wszystkich pożyczek i zostanie panem czystych Bieliczan i Naczy. Było wielkie podobieństwo do tego, bo nieco przedtem tak samo udało się zrobić fortunę kilku nabywcom dóbr w Ihumeńskiem, mianowicie Łukaszewiczowi w Brodcu, Pawlikowskiemu w Niesiecie, Rogowskiemu w Osmołówce, i innym. Ale tam rzeczywiście były lasy, w Bieliczanach zaś już Sieluński je wypustoszył.

Ojciec, żwawo z tą facjendą uwinąwszy się, powrócił do domu przygotowywać się na przenosiny do Bieliczan, uszczęśliwiony z pomnożenia, jak mniemał, fortuny. Utyskiwali na ten pośpiech i rezultat interesu tego krewni, nam przychylni, zwłaszcza Wierzejscy, Hordynowie, brat mego ojca, Ksawery, który po podziale kupił sobie blisko Naczy niewielki folwark Kiernożyce, i szczególniej przywiązana do matki mojej żona jego, Laskowska z domu, bardzo rozumna kobieta; chociaż wszyscy może bardziej opierając się na jakiemś przeczuciu i na niedowierzaniu w zdanie Poradowskiego. Ale i drudzy, znający lepiej owe strony bieliczańskie i Miezieńcowa, a między tymi i Korbut, zapowiadali zły koniec temu obrotowi. Korbutowi zaś nad innych wierzyć można było, bo to człowiek praktyczny, sam dorobił się znacznej fortuny rządnością w gospodarstwie i przezornością w interesach; lubo i on wkońcu pobłądził, zaufawszy zbytecznie Radziwiłłom. Ale naówczas i przez całe życie, aż do katastrofy z Radziwiłłami, był jakby wyrocznią między szlachtą grodzieńskiej i mińskiej gubernji. Rudawka była zawsze pełna szukających u niego porady w interesach i stosunkach nawet osobistych. Względem ojca późne to wszystko były już narzekania i nagany; interes był skończony, nie było sposobu cofnąć się; należało więc tylko egzekwować i przejeżdżać do Bieliczan. Jakoż rodzice zajęli się przygotowaniami do przenosin, a syn Ksawerego Czarnockiego, Michał, któremu się potem Nacz dostała, przybył dla sprawdzenia map z gruntami, a razem dla dopilnowania w Godlewszczyźnie zasiewów jarych, które już miały do niego należeć. Nacz bowiem zostawać miała w dzierżawie u Okołowa...

Okolice Naczy przed naszym stamtąd odjazdem były wesołe, sąsiedztwo liczne, ludzie, chociaż po większej części myśleli już po nowemu, żyli jednak podług staroświeckich obyczajów, prosto, bez wykwintów, bez miękkich mebli: ławy, stoły proste, krzesła domowej roboty, i kuchnia prosta, chociaż obfita. Dotychczas Litwa tą obfitością odznacza się. Znając dziś wszystkie prowincje dawnej Polski, mogę poświadczyć, że nigdzie takiej rozmaitości potraw nie mają, ani tak smaczno, chociaż poprostu, nie gotują. To nieprzebrane mnóstwo potraw nabiałowych, wędliny, zwierzyna, owoce wyborne, ryby wszędzie; gospodynie, dbałe o zapasy domowe, to tylko na Litwie. Jakoż niewyczerpane są tam śpiżarnie. Zgromadzenia sąsiadów bywały wówczas bardzo częste; to imieniny, to chrzciny, to dożynki, to z rozmaitych innych powodów zjazdy całemi familjami, a często po kilka dni w jednym domu trwające, nie zdołały nigdzie wypróżnić spiżarni. Zimą od Bożego Narodzenia do zapust kulig prawie bezustanny: całą gromadą, poprzebierani, z muzyką zajadą dziedziniec, skaczą, hulają, w nocy śpią pokotem i, nabawiwszy się w jednym domu do woli, zabierają gospodarzów, i dalej do drugiego. W możniejszych domach, a zwłaszcza w Radziwiłmontach u ks. wojewody trockiego i w Nieświeżu u ks. Dominika Radziwiłła, zgromadzenia bywały świetne, a także częste. Tylko ta różnica między temi dworami, że w Radziwiłmontach staroświeckie assamble i gale poważne, chociaż i tam huczno się bawiono, a w zamku nieświeskim bardziej hulaszczo i roztrzepanie. Młody książę Dominik lubił otaczać się szaloną młodzieżą, a najmilszą jego rozrywką była stajnia i furmaństwo. Bywało w kilkadziesiąt wozów, czwórkami zaprzężonych, pędzą z zamku do Alby po siano; książe sam na pierwszym powozi, a za nim młodzież szlachecka, i, nabrawszy siana w Albie, wiozą napowrót fury do zamku.

Mieszkając przez niejaki czas w Nieświeżu przy matce, która tam brała kurację, i często z Michałem i Kornelem Korbutami mając towarzystwo, bawiliśmy się na wzór księcia najwięcej w furmaństwo. Ale tej zabawy raz tylko co życiem nie przepłaciłem w Rudawce, kiedy braciszkom pomieszałem zaprzęg kijowy w wózku, chcąc koniecznie być za forysia, bo to było honorowe miejsce, a oni, borykając się ze mną koło

stawku, wrzucili mnie do wody. Szczęściem, że ktoś starszy pośpieszył wyratować tonącego.

Między znajomymi, którzy mi się z czasów nackich najbardziej w pamięć wrazili, były dwa oryginalne typy, jakich dziś nigdzie nie spotkać. Jeden był sąsiad nasz, Jacynicz, właściciel szlacheckiej cząstki w Sołowiach, małego wzrostu, chudy, wąsaty, nie z wielkiem okrzesaniem, ale człowiek całą duszą poczciwy, a tak pokorny, tak kłaniający się każdemu, że nawet do swoich włościan inaczej nie przemówił, jak z pokorą i kłaniając się. Na pańszczyznę ich wzywając, sam biegał od chaty do chaty i z pod okna prosił na robotę; a włościanie tak się z nim spoufalili, że nieraz bywało grubemi słowy proszącego odpędzali. Wkrótce jakoś po zaborze kraju, kiedy obywatelom kazano wybierać sobie urzędników, a na policyjny urząd iść nikt nie chciał, obywatele słuckiego powiatu wybrali Jacynicza na sprawnika. Dziwne później anegdoty opowiadano o tem sprawnikowstwie: jak ten nieborak, naprzykład, nie mogąc nikogo z podkomendnych swoich uprosić do rozwiezienia po powiecie obwieszczeń rządowych, sam je konno w kontuszu mundurowym przy szerpentynie rozwoził i upraszał, żeby raczono je przeczytać.

Drugi był pan Bonifacy Płaskowicki, wysoki, gruby, łysy, ogolony, jak księżyc w pełni, wiecznie w światło-piaskowej kapocie, śmiejący się i pełen dowcipnych, ale rubasznych facecyj. Miał jakąś wioskę swoją, ale sprzedał ją i kapitalik swój rozlokował u różnych znajomych. A gdziekolwiek lokował sumkę, zamawiał sobie „świeronek“, lub, jeśli tego nie było, jakąkolwiek izdebkę na przyjazd i skład ruchomości. Zamykał to wyjeżdżając i pęk kluczy od tych składów przy sobie zawsze nosił. Jeździł kałamaszką, jednym koniem, sam się powożąc; a wszędzie, gdzie zajechał, czy to w karczmie, czy przez wieś jadąc, czy we dworze jakim, zbierał wszelkie starzyzny: obuwie wyrzucone, klepki od starych baryłek, żelastwo i cokolwiek walającego się znalazł; wszystko to ładował do swojej kałamaszki i ciągnął do któregokolwiek swego świeronka. Wszystkie też jego te składy były napchane starą rupiecią, którą bawił się, porządkując, oczyszczając i do gatunków dobierając. Ale między tą rupiecią chował i pieniądze swoje,

odbierane z procentów, które mu nieraz słudzy podpatrzywszy wykradali.

Bywały i z panami różne o procenty korowody. Pamiętam, że krewny nasz, Hordyna, człowiek niezmiernie wesoły, przyjąwszy od niego w lokatę sto dukatów, dał mu oblig na sto bizunów; i kiedy Płaskowicki w rok potem dopominał się o procent, Hordyna kazał rozpostrzec kobierzec i namówionym sługom z bizunami brać Płaskowickiego. „Co to? za co? jakto?". „A procent wypłacić od stu bizunów pożyczonych, jak masz w obligu". Ten do pularesu i dopiero wtenczas przeczytał, że w obligu zapisane nie dukaty, ale bizuny. Skończyło się na śmiechu, i on sam tę facecję potem wszędzie rozpowiadał. Lubiono go wszędzie za jego wesołość; a zwłaszcza my, dzieci, bardzośmy go kochali, bo zawsze nam wymyślał jakieś zabawki, to dykteryjki ucieszne, i bawił się z nami, jak dziecko. Szczególniejsze też miał upodobanie do wymyślania różnych strachów, powszechnie bowiem wówczas w strachy się bawiono. Dostawało się nadewszystko mężczyznom po nocach, a czasem i bardzo nieprzyjemnie, bo strachy niekiedy oblewały wodą, obsypywały popiołem lub sadzą. Ale i Płaskowickiemu dostawało się nad innych, bo jego nawzajem straszono i pokoju mu nie dawano. Przez długie lata go widywałem i w Naczy, i w Bieliczanach, gdzie przyjeżdżał co rok, mając jakąś sumkę w lokacie u mego ojca.

Tymczasem w Bieliczanach stosunki nasze z ludźmi zaczęły się zawiązywać. Najprzód włościanie weszli z nami w dobrą zażyłość, bo też rodzice z nimi po ludzku obchodzili się: a lud to był patrjarchalny, przywykły do ojcowskiego zarządu księży bazyljanów, ugnieciony później przez Sieluńskiego i rządców Miezieńcowa, rad był, że się dostał pod opiekę dobrych panów, i okazywał nam swą przychylność patrjarchalnym sposobem. Kobiety inaczej nie witały się z moją matką, jak całując się w twarz, a mężczyźni, zwłaszcza gospodarze starsi, z moim ojcem byli, jak przyjaciele, jak bracia; co i pomnik, wystawiony ojcu memu na cmentarzu wsi Dubowrucza, do którego i włościanie przyłożyli się, zaświadcza.

Sąsiedztwo nasze było nieliczne, a najbliższe o milę; dwoje Łohów, w jednych Wincenty Moszyński, świeżo ożeniony



Kościół św. Piotra i Pawła na Antokolu w Wilnie.

z Jeśmanówną, w drugich zastawniczka pani Borsukowa, z domu Baczyzmalska, wdowa z trzema małemi córkami; z drugiej strony w Uszy — Felicjan Moszyński, brat Wincentego, z matką i dwiema siostrami, nieco starszemi od nas; obok w Kałużycach, należących do Melchjora Wańkowicza, żonatego z Gorecką, właściciele wówczas nie mieszkali, co nam było nie na rękę, bo u nich było dwóch synów: Walenty, później malarz, i Karol, prawie równego z nami wieku. Dalej już nikogo blisko, bo od reszty świata przedzielały nas z jednej strony dobra luboszańskie Potockich, z drugiej ihumeńskie, rozdarowane ruskim jenerałom, którzy w nich nie mieszkali; z trzeciej Rewanicze, za naszą wsią Dubowruczem, należące do małoletniego Ludwika Słotwińskiego, który hodował się w Wilejskiem u wuja swego Gieczewicza, później gubernatora mińskiego; z czwartej Kniaziówka Stanisława Wańkowicza, który też w niej nie mieszkał. Za tą dopiero Kniaziówką o milę była nasza Kruszyna z wsią Czerniewiczami, a za wsią Bieliczanami, po drodze do Kałużyc, wieś nasza Borowina. Taka była cała geografja naszego zakątka, pozbawionego chłopców, równego nam stanu i wieku. Tylko u księdza unickiego Popejki we wsi Bieliczanach było dwóch synów, z którymi zabraliśmy prędko stosunki i nawet razem uczyć się zaczęliśmy, bo ojciec sprowadził niezwłocznie guwernera do nas Kozielskiego, do którego na lekcje przychodzili też i owi synowie księżowscy, Jan i Bazyli.

Z dalszych okolic zawiązywały się także rychło znajomości, mianowicie z Rogowskimi w Osmołówce, gdzie byli starsi od nas dwaj chłopcy, Roman i Robert, który później ożenił się z moją siostrą Salomeą; z Szemeszami w Boratyczach, gdzie także było trzech chłopców, ale znacznie młodszych od nas, a między nimi Adam, później kolega mój w Uniwersytecie; z sąsiadami ich Latkowskimi, Ignacym i Leonem, naszego wieku; z Klaczkowskimi w Koupczy, gdzie także byli w naszym wieku chłopcy, Erazm i Feliks; z Jerzym Massalskim w Przyborkach, którego ojciec nazywał bratem, a my stryjaszkiem, chociaż on był tylko dalekim i z drugiej linji. U niego mieszkali siostrzeńcy jego Okulicze, Stanisław i Józef, także rowieśnicy nasi. Z tymi wszystkimi skorośmy się poznali, zaczęto nas odwiedzać i jakoś nigdy bez gości nie było.

My jednak, blisko towarzyszów zabawy nie mając, mniej byliśmy narażeni na swawolę i może dlatego więcej korzystaliśmy z nauki. Kozielski też był bardzo dobrym nauczycielem; on rzeczywiście położył fundament naszego wychowania naukowego; przy nim poduczyliśmy się łaciny i historji, które, ugruntowane dobrym wykładem, lubo potem nieco zaniedbane, posłużyły nam wielce w szkołach. Był on przy nas dwa lata, do jesieni 1810 r. Po jego wyjeździe ojciec wezwał do nas Korniłowicza, syna księdza unickiego ze Zmitrowicz, wsi, leżącej podobno o milę za miasteczkiem Berezyną, na granicy starostwa borysowskiego, wśród ogromnych lasów. Dlatego nadmieniam o tem położeniu, że w owej okolicy słynął wtenczas rozbójnik, Hrysza, pochodzący ze szlachty, którego jakoby ów ksiądz Korniłowicz oddał był w rekruty za swoich włościan, których miał w cerkiewnym funduszu kilkadziesiąt dymów. Hrysza uciekł z wojska i krył się w puszczy koło Zmitrowicz, grożąc zawsze księdzu; jednakże nigdy mu nic złego nie zrobił, jakoby przez wzgląd na synów księżowskich, których lubił. I rozboje jego ograniczały się wyłącznie na Żydach, lecz i tych nie zabijał, tylko rabował. Pod jego rozkazami była szajka zbiegów i różnych łotrów, którzy w nieobecności jego dopuszczali się niekiedy i mordów przy rabunku. Policja ziemska usiłowała ich połapać, lecz nie mogła wykorzenić tego łotrostwa przez długie lata; sam Hrysza, kilkakrotnie pojmany, uciekał zawsze do swych kryjówek koło Zmitrowicz i niezwłocznie nową bandę zbierał.

Nasz guwerner Korniłowicz niedługo był przy nas i niewiele od niego korzystaliśmy. Pod wiosnę 1811 r. zaciągnął się do wojska i podobno dosłużył się rangi jeneralskiej. Nas zaś ojciec odwiózł do Przyborek, gdzie zastaliśmy już ugodzonego guwernera Muśnickiego, który był bratem księdza jezuity, autora P u ł t a w y. Umówiony był przez p. Jerzego i ojca na koszt wspólny, tak, że mieliśmy przez pół roku zostawać w Przyborkach, a drugie pół w Bieliczanach. Kompanja zaś uczniów była dosyć liczna, bo oprócz dwóch Okuliczów i siostry ich Wiktorji, było nas dwóch i siostra nasza Salomeja, syn i córka Omiecińskich i syn Iwaszkiewicza, który wtedy zadzierżawił naszą Kruszynę. Muśnicki, człowiek poważny, podobno i uczony, uczył

nas jednak bez korzyści, bo cała nauka zależała na wokabułach francuskich, niemieckich i łacińskich z Nomenklatora. Było tam coś i geografji i arytmetyki, ale wogóle więcej trudu, niż pożytku, a swawoli jeszcze więcej, niż trudu.

Zabawy nasze najulubieńsze były: łowienie ryby kryhą w rzece, która przy dworze płynęła, strzelanie z łuku i pędzanie kuli. Łuki mieliśmy w kształcie kuszy przydłuższej, osadzone na drzewcu, z rowkiem po wierzchu dla położenia strzały, z zamkiem i przykładem, jak u strzelby. Strzały zaś zamiast grotu opatrzone były w końcu igłą grubą. W tem strzelaniu doszliśmy byli do wielkiej wprawy, trafialiśmy do celu łatwo; w lot jednak ptaszków bić nie udawało się, a to było ustawicznem dążeniem naszem, żeby z łuku dorównać naszemu stryjaszkowi Jerzemu, który w galopie konia z pistoletu kulą w lot ptaszki zabijał. Ale zato wszystko, co chodziło po ziemi we dworze: ptactwo, świnie, psy, a szczególniej niedźwiedź hodowany, poszpikowane bywało naszemi igłami. Zabraniano nam tego, i najbardziej strzałów do niedźwiedzia z obawy jego zemsty; lecz, kiedy się upatrzyło, że gdzieś opodal przechodził, a nie widział strzelca, to strzałka niezawodnie w nim utkwiła. Pędzanie kuli odbywało się dla ruchu i rozwijało siłę w ręku. Stawaliśmy do tego we dwie partje przeciwne, wszyscy z drążkami porządnemi. Z jednej partji wyrzucano ku drugiej kulę drewnianą, wielką, jak głowa; przeciwnicy powinni byli ją przejąć drążkiem i odbić napowrót; jeżeli nie udało się przejąć, musieli biec za nią i tam stanąć, gdzie się kula zatrzymała, i stamtąd dopiero wyrzucać ją napowrót. Wygrywała ta strona, która drugą najdalej zapędziła.

Do zabaw tych często należeli też bliscy sąsiedzi przyborscy, Snitkowie z Kozłowego Brzegu, Jan i Józefat, z którymi później w szkołach kolegowaliśmy. Snitko był to nowy obywatel z tegoż gatunku, co i Miezieńcow, i Mierżyński, i mnóstwo innych, którzy, po zabraniu przez Rosję Litwy, ciągnęli z Rosji lub z Białorusi do miast litewskich piechotą i obdarci, ale posiadający język rosyjski i zaufanie u rządu. Byli to wszystko mieszczanie albo popowicze, lecz na Litwie na urzędach koronnych dosłużyli się rang, nadających szla-

chectwo, zbogacili się i, pokupowawszy dobra, zostali obywatelami.

W jesieni całą czeredą przyborską przejechaliśmy podług układu do Bieliczan. Tu przynajmniej pod opatrznem okiem bogobojnej matki naszej dozór nad postępowaniem naszem był troskliwszy i nauka jakoś gorliwsza, chociaż jednostajnie bez systematu prowadzona, bezpożyteczna. Ale i na przeszkodach do nauki nie zbywało z przyczyny szczególniej gości i zabaw sąsiedzkich. Widać, że w całym kraju wesoło wówczas się bawiono, kiedy i w tamtej stronie, zapadłej napozór, bezustannie bywały zjazdy szlacheckie pod różnemi pretekstami: to imienin, to oględzin zboża, to polowań, z tą tylko różnicą od Słuczczyzny, że tu każdy zjazd musiał trwać po dni kilka; bo tu zbierano się nietylko z bliższego sąsiedztwa, lecz i z dalszego, a przestrzenie leśne wielkie, drogi po lasach i brodach trudne i dwory daleko jeden od drugiego wśród puszcz rozrzucone. Najsłynniejsze w tej okolicy imieniny bywały w Osmołówce u Rogowskich, w Łohach u Borsukowej, w Boratyczach u Szemeszów; a polowania w Uszy u Moszyńskich i u nas w Wedrecku. Oprócz tego zwyczajnie w miasteczku Berezynie na Przemienienie Pańskie i na Trzy Króle urządzały się bale, pod nazwiskiem redut.

Bywały tu i maskarady i po dworkach miasteczkowych, gdzie kwaterowano, kolejno obiady huczne, chociaż wszystko niewykwintne, bo szło tylko o to, żeby się razem bawić, a na etykiety i ceremonje niewiele zwracano uwagi. Stołowe, naprzykład, naczynia składkowe przechodziły po bratersku z jednego obiadu na drugi, a tańce, jeżeli pora pozwalała, pospolicie zawiązywały się po każdym obiedzie tuż na murawie dziedzińca, co nawet i w wiejskich dworach zdarzało się, kiedy w sali pomieścić się było trudno. Nawet i na polowaniach towarzyszyły zawsze tańce, bo nietylko mężczyźni ze strzelbami swemi, ale i damy zjeżdżały się na te polowania. Z rana, jak dzień, mężczyźni wychodzą do głębokich ostępów na grubego zwierza, a damy ubierają się i przyrządzają obiad; po obiedzie wyjeżdżają i damy już na mniejsze łowy do kniej pobliższych koło dworów i wiosek. Na podwieczorek zaś wracają wszyscy do głównej kwatery i zaraz muzyka i tańce, zwyczajnie na dziedzińcu. Strzelcy, służba,

konie i psy nawet, wszystko używało hojnej gościnności; bo tego nie znano na Litwie, żeby sług i konie gościnne odsyłać do austerji. Braterstwo było powszechne. Wprawdzie i kłótnie bywały niekiedy, przychodziło nawet i do pojedynków, ale to więcej zdarzało się wówczas, kiedy się kompanji trafił ktoś obcy, a szczególniej jeżeli to był oficer rosyjski; bo ci pospolicie chcieli imponować, a szlachta niebardzo jeszcze była wtenczas potulna. Między sobą nawet sąsiedzkie waśnie załatwiała jeszcze staroświeckim obyczajem, batalją na czele swych gromad.

Pamiętam taki jeden spór między moim ojcem a Melchjorem Wańkowiczem. Ojciec zamierzył wybudować młyn na swojej rzeczce Bielicy; oba jej brzegi i łąki wszystkie w górze należały do ojca, ale grobla, którą wypadło usypać dla zrobienia stawu do tego młyna, jednym końcem dotknęła gruntu kalużyckiego. Wańkowicz zaś miał na tym gruncie wpobliżu wielki młyn intratny na rzecze Uszy. Kiedy mu doniesiono o tym nowym młynie bielickim, który naturalnie mógł przyczyniać uszczerbku w intracie kalużyckiemu, protestował przeciw temu zamiarowi ojca; i widać, że oba gorąco przy swoim obstawali, bo przyszło do zajścia, które omal co się krwawo nie zakończyło. Kiedy nasz młyn już był gotowy, przed samem zamełciem Wańkowicz przyjechał i zebrał ludzi z rydlami z zamiarem rozkopania naszej grobli; brzegu bowiem swego rozkopać nie mógł tak głęboko, żeby staw odwrócić. Ojciec, rychło uwiadomiony, wystąpił też ze swymi bronić swej grobli. Wańkowicz w zapędzie zapowiada, że nietylko groblę rozkopie, ale i młyn zrzuci. Jakoż posłał niezwłocznie zgromadzać swoich włościan z toporami i strzelbami, żeby odeprzeć naszych przebojem i młyn zrzucić. Ojciec też zgromadził swoich strzelców i toporników, i kilkunastu dworskich konno z pistoletami i szablami. Stanęły zastępy z obu stron do boju i już miała zacząć się batalja. Przyczyną tej waśni był Szloma, arendarz młyna kalużyckiego. Bojąc się podrywu od tego nowego i chcąc go pozbyć się, zrobił plotkę przed Wańkowiczem, jakoby mój ojciec pomawiał go o zdzierstwo w pobieraniu zapłaty od włościan za mlewo w jego młynie. Ale, kiedy już miało przyjść do bitwy, sąsiedzi, przyjaciele obu stron, wdali się w tę sprawę i wykryła się intryga Szlomy. Ochłonął tedy Wańkowicz, a może i pomiarkował się, że taka sprawka jużby

wtedy niekoniecznie na sucho uszła; sam bowiem wówczas był prezesem Sądu Głównego w Mińsku. Podał więc rękę ojcu i pogodzili się. A cała ta zawierucha zakończyła się sutą ucztą obu wojsk na pozdrowienie nowego młyna, i Szloma naturalnie został od arendy kalużyckiego młyna usunięty.

II.

Edukację naszą przy Muśnickim zakończyło wtargnienie Francuzów. Będąc w Przyborkach, widywaliśmy już ich emisarjuszów, czyli eksploratorów, którzy pod postacią to księży, to kupców, jeździli po kraju, zbierali wiadomości statystyczne i plany okolic zdejmowali. Starsi nasi wiedzieli zapewne o tem doskonale, co to są za ludzie, a policja ziemska, z grona obywateli jeszcze wtedy wybierana, sama im ułatwiała owe badania kraju. Nasz pan stryjaszek Jerzy sam był wówczas sprawnikiem ihumeńskim i w Przyborkach swoich miewał takich gości; sam ich rozwoził gdzie indziej i sekretu z tego prawie nie robiono, kiedy i my dzieci o tem wiedzieliśmy. W Murawie, atynencji bieliczańskiej, folwarczku, położonym nad Berezyną, mieszkał hrabia de Clermont Tonner, Francuz, niby emigrant, i zatrudniał się napozór handlem win. Ojciec mój później utrzymywał, że to był agent napoleoński. Przy nim był niejaki Weber, niby plenipotent, który ciągle jeździł po kraju pod pozorem interesów handlowych i z moim ojcem był w zażyłości. Na wiosnę 1812 r., kiedy zaczęły szerzyć się pogłoski o bliskiej wojnie z Napoleonem, Clermont zniknął, został tylko Weber, który podobno tę Murawę, pierwej przez Clermonta nabytą, ojcu odsprzedał.

Otóż Muśnicki nasz, nie wiem, czy dla zbliżającej się wojny, czy dla innych pobudek, ale, biorąc za pretekst wojnę, nas pożegnał i kompanja nasza rozjechała się. Na jego miejsce znalazł był wprawdzie ojciec niejakiego Antoniego Massalskiego, niewiadomej nam linji, rodem ze Żmudzi, który miał być przy nas guwernerem, ale i ten niedługo pobył, bo za przyjściem Francuzów zaciągnął się wkrótce do wojska, do pułku Konopki, który się sztyftował podobno koło Słonima. Jak tylko gruchnęła wieść, że Francuzi już idą, całe sąsiedztwo nasze z kobietami

i dziećmi zgromadziło się do naszego Wedrecka, jako położonego w głębi lasów niezmiernych, między błotami tak, że przystęp do niego był tylko z jednej strony za wsią Dubowruczem, i to przez groble, w lesie ciągnące się, które bardzo łatwo było przerwać i bronić. Z całego tedy sąsiedztwa zwieziono tu co kosztowniejsze ruchomości i zebrano mnóstwo strzelców w zamiarze bronienia się tu od Rosjan, jeśliby ci rejterując chcieli rabować i kraj pustoszyć, jak się spodziewano. Dowódcą tej wszystkiej siły naturalnie wybrany major wojsk polskich, mój ojciec. Pamiętam, jak matka moja z kompanją dam hurmem wybrały się do Ihumenia witać Davousta i księcia Poniatowskiego. Postrojone tedy, jak mogły, najparadniej pojechały. Ale o milę od Ihumenia spotkały kilku znajomych obywateli, pędzących na jednym wózku, którzy je zatrzymali, zwiastując, że sami ledwo uciekli z Ihumenia, postradawszy swe konie; bo Francuzi je wyprzęgają bez względu każdemu, kogo nadybają; że miasteczko całkiem zrabowali pod oczyma Davousta, który tego nie bronił, a Poniatowskiego jeszcze tam niema. Spłoszone tedy nasze damy zawróciły śpiesznie do domów chować swe kosztowności, któremi tylko co chciały popisywać się przed Francuzami.

Davoust i Poniatowski ze swemi korpusami szybko pobiegli z Ihumenia małemi drogami przez miasteczko Berezynę, Przyborki, Białynicze ku Mohylewu w zamiarze przejąć tam nad Dnieprem Bagrationa, który, umknąwszy im z pod Nieświeża, pocztowym traktem przez Słuck i Bobrujsk dążył także do Mohylewa dla połączenia się z główną armją rosyjską koło Witebska. Wiedzieliśmy o wszystkich poruszeniach wojsk obu z gazet, które wtenczas w Mińsku niezwłocznie po przybyciu tam Francuzów wydawać zaczęto, a które i my, podrostki, chciwie czytaliśmy, wierząc, jak i nasi starsi, że wszystkie umieszczone w tych gazetach wiadomości o zwycięstwach i postępach Napoleona były czystą prawdą, że Rosjanie pobici wszędzie uciekają i że Polska powstaje. Zapał pomiędzy obywatelami i włościanami był powszechny; wszystka młodzież obywatelska zapisała się do wojska; sąsiedzi nasi, Felicjan Moszyński, Robert Rogowski, nasz guwerner, Antoni Massalski, wszystko, słowem, co tylko było z młodzieży, wsiadło na koń. My płakaliśmy, że nam nie pozwalano. Włościanie z ochotą szli w rekruty, czyli,

jak wtenczas zwano, w kantonisty, których nakazano dostarczyć do dziewięciu pułków, przeznaczonych do usztyftowania z Litwy. Ale szlachta „okoliczna" wahała się. Kiedy ich namawiano do wojska, odpowiadali: „A poco my pójdziemy? Czy nam źle pod panowaniem imperatora rosyjskiego? Podatków żadnych nie płacimy, ciężarów żadnych nie znosimy; siedzimy, jak u Pana Boga za piecem. A jeśli który z nas chce iść do służby wojskowej, to przyjmowany jest narówni z paniczami za junkra i zostaje wkrótce oficerem, nie tak, jak u Polaków, którzy nas wzywają na szeregowców".

Wszelako i w naszej sferze zaczęły powoli przebijać się powątpiewania; zaczęły do nas dochodzić wieści z Polski, że tam duch narodu został sparaliżowany dwuznaczną odpowiedzią Napoleona w Wilnie deputowanym polskim; starsi nasi zaczęli zastanawiać się nad nieporządkiem armji francuskiej, a Żydzi pod sekretem ostrzegali tych, którym sprzyjali, żeby nie zapędzać się w poświęceniach dla ojczyzny, bo z tego nic nie będzie. Między innymi stryjaszek nasz, pan Jerzy, już się był przysposobił do wstąpienia do wojska, gdzie go przyjmowano w randze kapitana, lecz jeden Żyd, przychylny mu oddawna za jakieś dobrodziejstwo, usilnie mu perswadował, żeby się wstrzymał przynajmniej dwa miesiące; ponieważ oni, Żydzi, mają pewne przeświadczenie, iż Napoleon źle skończy kampanję i Rosja do nas powróci. Poradziwszy się tedy pan Jerzy z przyjaciółmi postanowił zaczekać nieco i dobrze na tem wyszedł. Ojciec mój też ochłonął z zapału, szczególniej po rozmowach z kilku wyższymi oficerami polskimi, którzy ranni wracali z pod Smoleńska i u nas niejaki czas odpoczywali. Dopomagały do tego rozczarowania naszych starszych i ciągłe walki z maroderami różnych narodowości, należącymi do armji francuskiej, którzy, ustawnie po całym kraju naszym plądrując, wielkie nadużycia, gwałty i rozboje popełniali. W Bieliczanach także mieliśmy niemało napaści od nich; ale że ojciec miał zawsze w pogotowiu kilkudziesięciu ludzi dobrze uzbrojonych, dlatego z nami nie udawało się maroderom i zawsze obronną ręką z tych rozpraw wychodziliśmy.

Pamiętam kilka utarczek naszych z nimi, bo i ja zawsze z pistoletami pilnowałem ojca w zamiarze bronić jego życia,

jeśliby który nań się zamierzył; ale mnie do wystrzału nigdy nie przyszło, bo te marodery, zwyczajnie tchórze, jak tylko mój ojciec huknął, a ludzie z bronią koło nich pokazali się, natychmiast uciekali, albo po małym oporze poddawali się. U niektórych zaś sąsiadów naszych, gdzie im postawić się nie umiano, albo siły nie było, dali się nieraz okrutnie we znaki. Wincentego Moszyńskiego w Łohach napadli raz we dwadzieścia kilka koni, powiązali panów i sług, pastwili się nad nimi przez całą prawie dobę, złupili dwór doszczętu, zabrali konie stajenne i folwarczne i, zaprzągłszy je do wozów i pojazdów, spakowali w nie kosztowności, odzież, płótna zapasne, wina i co tylko dało się zmieścić, i tak wyruszyli do nas. Nie trafili jednak do Bieliczan, bo kiedy, przyszedłszy do Dubowrucza, pytali się o drogę do dworu, włościanie nasi, życzliwi nam, ukazali im zamiast do Bieliczan drogę do Rewanicz Słotwińskiego, gdzie wtenczas zarządzał komisarz Jarmołkiewicz. Tam oni, po drodze znalazłszy najprzód kościół otwarty i w nim księdza, odprawiającego właśnie mszę świętą, wpadli do kościoła, podchwycili księdza przy ołtarzu, podniósłszy albę, zawiązali mu ją nad głową, z kieszeń wybrali pieniądze, zabrali patynę, kielich i puszkę z cyborjum, wyrzuciwszy z nich na ziemię Przenajświętszy Sakrament, złupili ołtarze i zakrystję i rzucili się do dworu. Tu, powiązawszy czeladź, zaczęli męczyć Jarmołkiewicza, żeby wyznał, gdzie ma zachowane pieniądze: zapuszczali mu w palce jakieś druty pod skórę i tak pruli niemi pod skórą aż do ramion. Tą katuszą zmusili nieszczęśliwego do wyznania, iż w jednej kafli od pieca ma wmurowane trzy tysiące dukatów. Dobyli więc je, a prócz tego wynaleźli także zakopaną w ogrodzie skrzynię ze srebrem stołowem Słotwińskich. I, złupiwszy dwór również jak, w Łohach, pociągnęli gdzieś dalej.

Między maroderami zdarzali się i Polacy. Raz przyszła do nas partja osiemnastu szeregowców od piechoty, z bronią, jakby w marszu, pod dowództwem podoficera, niejakiego pana Jagiełły, młodego chłopca, rodem, jak powiadał, ze Lwowa. Opowiadali, że są komenderowani do Mińska z pod Bobrujska od dywizji Dąbrowskiego, który wtenczas właśnie krążył w tamtej stronie; lecz nieco zboczyli z drogi, omyleni gdzieś przez fałszywe wskazania. Zrazu porządnie prezen-

tując się, nie wzbudzili w moim ojcu żadnego podejrzenia. Owszem, gościnnie przyjęci, uczęstowani, przenocowali spokojnie u nas i rano wyruszyli po ukazanej im drodze w kierunku do Mińska. Aż po południu przybiegają do nas ludzie z Dubowrucza ze skargą, iż Polacy, którzy u nas nocowali, rzną u nich kury i owce, piją i zabierają buty, chustki, płótna i t. d. Ojciec nie chciał wierzyć w rabunek, sądząc, że tylko dla pożywienia się cokolwiek nadużyli. Posłał jednak oficjalistę dla przekonania się i wyperswadowania panu Jagielle, żeby swoim podkomendnym nie dozwalał swawoli. Ale posłaniec nie zastał już w Dubowruczu, tylko przywiózł wiadomość, że to muszą być marodery, bo z Dubowrucza wpadli do Hajdukowej Słobody, okolicy szlacheckiej, i tam formalnie rabują. Z rana zaś nazajutrz przybiegli włościanie z Borowiny, drugiej wsi naszej, leżącej już z przeciwnej strony od Bieliczan, prosząc o pomoc przeciw tym samym Polakom, prowadzonym przez Jagiełłę, którzy w nocy, omijając Bieliczany, drogą, idącą poza dworem, z Hajdukowej Słobody przyciągnęli do nich i dopuszczają się różnych gwałtów. Ojciec jeszcze się ubierał, a ja siedziałem na ganku, czytając książkę; wtem widzę, że ta sama banda już ciągnie do nas z Borowiny, tąż drogą, co przedwczoraj przyszli, i już jest w ulicy przy bramie. Poskoczyłem tedy do ojca, dając znać. Wybiega ojciec i spotyka właśnie pana Jagiełłę, wstępującego na ganek. Huknął nań i palnął go w mordę potężnie, a do mnie krzyknął: „Zabieraj od nich karabiny!" Rzuciłem się do żołnierzy i wyrywałem je bez oporu, ciskając na ganek. Ojciec też powyrywał resztę i całą bandę w mgnieniu oka we dwóch rozbroiliśmy: taki jakiś strach ich opanował. Wprawdzie widzieli tuż na łące przed dworem kilkadziesiąt ludzi z kosami i strzelbami, zaraz też i dworscy zbiegli się. Ojciec kazał ich wszystkich powiązać, zaczynając od pana Jagiełły, i zaprzęgać konie, żeby ich odstawić do Mińska pod eskortą. Na tę wieść, że mają być odstawieni do Mińska, upadli wszyscy na kolana, błagając o miłosierdzie; bo wiedzieli, że tam generał Bronikowski, gubernator miński, karze niezwłocznie śmiercią wszystkich maroderów. Jakoż w przeciągu kilku niedziel więcej dwóch tysięcy pojmanych i dostawionych przez okolicznych obywateli kazał rozstrzelać. Na płacz Jagiełły i wiarusów, którzy przysięgali, że tylko ten raz

pierwszy poswawolili, ale że chcą poprawić się i dążyć do wojska, ojciec zmiękczył się. Okazało się jednak, że pierwej kłamali o swej drodze i komenderówce, bo nie z dywizji Dąbrowskiego, ale z jakiejś innej od korpusu Poniatowskiego, z pod Nieświeża, oderwali się i powinni byli dążyć przez Borysów ku Smoleńskowi, gdzie ów korpus działał już z wielką armją. Po lamentach tedy, wyznaniach i przysięgach, że, jeśli otrzymają przebaczenie, pociągną wprost ku swemu pułkowi, ojciec upomniał ich, ale kazał na przygotowanych już wozach wieść ich powiązanych nie do Mińska, lecz w kierunku drogi smoleńskiej, do Borysowa i, przywiózłszy pod sam Borysów, puścić ich wolno do miasta, oddawszy im karabiny. Ruchomości zaś zabrane u włościan i szlachty wszystkie zwrócili. Tymczasem, kiedyśmy, otrząsając się od złych pogłosek o tej wojnie i od maroderów, cieszyli się w najlepsze, iż odzyskaliśmy ojczyznę, a ślepo wierząc w wiadomości o zwycięstwach Napoleona, triumfowali z wzięcia Moskwy, nagle zaczęły zewsząd koło nas gromadzić się wskazówki upadku naszej sprawy. Najprzód przyszła wieść, że korpus Czyczagowa odparł Szwarcenberga z pod Łucka i pomknął przednie swoje straże aż pod Warszawę; potem, że Regniera pobił pod Kobryniem i posuwa się ku Mińskowi. Z drugiej strony, że jenerał Ertel odparł Dąbrowskiego z pod Bobrujska i wiesza w tamtych stronach obywateli, którzy okazali się przychylnymi sprawie narodowej.

Niezwłocznie zjawiło się u nas kilkudziesięciu niedobitków z oddziału Koseckiego, który był odparty z pod Kojdanowa przez Lamberta, idącego w przedniej straży korpusu Czyczagowa. Niektórzy tylko z nich mieli karabiny, inni tylko bagnety lub szabelki, a wszyscy prawie bez butów. Zasileni u nas, pociągnęli ku Borysowowi, gdzie spodziewali się spotkać z Dąbrowskim. Jakoż w parę dni Dąbrowski przeciągnął ze swą dywizją z Ihumenia przez miasteczko Berezynę i przez Uszę, Kruszynę naszą ku Borysowowi. Za nim w tylnej straży szedł generał Pakosz, a naprzełaj jemu zaskoczył od Iwanowska przez Łohy i wieś Bieliczany pułkownik Łukowkin z sześciu tysiącami wojska rosyjskiego. Ostatnich Polaków zbrojnych pożegnaliśmy z patrolu ułanów pakoszowskich, którzy się ścierali z kozakami pod Iwanowskiem i, pokarmieni

u nas, pośpieszyli do Uszy. Nazajutrz dodnia obudził mnie tentent koni na dziedzińcu. Nie potrafię opisać boleści, której doznałem, postrzegłszy w zmroku kozaków, wykręcających się i wypatrujących koło naszych zabudowań. Nic nam oni nie zrobili i milczkiem z dziedzińca wynieśli się, pędząc drogą ku Uszy. Stamtąd niezwłocznie zagrzmiały działa. Przerażenie u nas było wielkie; wszyscy, jakby przybici, słuchaliśmy tylko tego gromu, oczekując co chwila wiadomości od wysłanych przez ojca ludzi na zwiady. Jakoż koło południa nadbiegli, już nie drogą, ale przez lasy z uwiadomieniem, że na polach uszańskich bitwa i że Polacy, przebiwszy się przez Rosjan, rejterują ku Kruszynie (drogą ku Borysowowi). Wkrótce też huk dział umilkł, a pod wieczór dowiedzieliśmy się, że do wsi Bieliczan przywieziono jakiegoś pułkownika kozackiego zabitego i tam na cmentarzu pogrzebiono; do księdza zaś Popejki przywieziono jakiegoś majora rosyjskiego, szpetnie zranionego, a córki księżowskie zaszywają mu rany.

Dowiedzieliśmy się potem, że Pakosz, mając tylko tysiąc ludzi, odparł sześć tysięcy Rosjan i tylko utracił swe bagaże; szwadron zaś ułanów, odcięty od niego przez dwa pułki kozackie na polu uszańskiem, rejterował do Murawy i tam, trafiwszy na zamarzającą w owej chwili Berezynę, odważnie rzucił się na cieniutki lód i szczęśliwie dostał się na drugą stronę, skąd już bez przeszkody mógł dążyć ku Borysowowi; a kozacy, pędzący za nimi, przybywszy nad tę rzekę, nie ośmielili się po tym lodzie jej przebywać. Na drugi dzień potem przy silnym mrozie i gwałtownym wietrze północnym usłyszeliśmy huk dział od strony Borysowa, chociaż to miasto leży o mil osiem od Bieliczan, jadąc drogą, nawprost jednak jest znacznie bliżej. Tę kanonadę słyszeliśmy prawie przez cały dzień i już nie pamiętam, jak długo trwała, bo po małych przerwach powtarzała się codzień, zwłaszcza kiedy wiatr się wzmagał. A wiatr ciągle północny i mróz ciągle wzrastał. Następnie zaś, kiedy ten zmniejszał się, powstawała zawierucha śnieżna, gorsza jeszcze od mrozu.

U nas już bezustannie zjawiały się coraz to nowe oddziały z wojska rosyjskiego, ale niewielkie i najwięcej ko-

zaków, lub rannych z pod Borysowa. A tymczasem i Polacy, odcięci od swoich komend pod Uszą i pod Borysowem, zaczęli do nas przychodzić ukradkiem, nocami i przez manowce leśne. Niektórzy z nich byli ranni, a między tymi niejaki Czarnecki, młody chłopiec, podoficer, któremu kula przez szyję z tyłu przeleciała po języku, rozerwawszy go i wybiwszy kilka zębów i dziurę w twarzy. Wszystkich ojciec przyjmował i niezwłocznie odziewał w szare kapoty i odsyłał do Wedrecka, nazywając ich swoimi oficjalistami, kiedy kto z Rosjan zapytywał, jacy to ludzie. Nazbierało się ich dwudziestu kilku, a ojciec rad był, że zachowa ich na powrót Napoleona; bo byliśmy pewni, że pod wiosnę on z nowem wojskiem powróci i zwycięży Rosję. U sąsiadów naszych także mnóstwo ich było i nawet włościanie przechowywali ich, jak mogli, w tejże nadziei powrotu Napoleona i odrodzenia się Polski. Rannych, którzy między nimi u nas byli, leczyła moja matka. Mnie dostał się do opatrywania Czarnecki, którego rana zagoiła się w kilka tygodni, ale potem, kiedy raz dostał niestrawności, widać od zbytku jakiegoś pokarmu, rana się odnowiła, gangrena wpadła i prędko nieborak umarł. W tymże czasie jakiś oficer rosyjski, przywieziony do nas z przestrzeloną nawylot piersią, za staraniem mojej matki zupełnie wyzdrowiał.

Opłakane były te dni nasze, kiedyśmy po kolei dowiadywali się o klęskach Dąbrowskiego i następnie wielkiej armji Napoleona; lecz nastąpiły gorsze, kiedy, po uciszeniu się gromu dział pod Borysowem, nawaliła do nas główna armja rosyjska, która pod wodzą Kutuzowa bocznemi traktami od Orszy posuwała się za Francuzami. Na wieść o zbliżeniu się tej armji wszystkie nasze sąsiedztwo, równie jak uprzednio przed wtargnieniem Francuzów, teraz zwieźli, co tylko mieli droższego, do naszego Wedrecka. Sami jednak tam się nie zgromadzili, bo szczupłe mieszkanie w chłodnej porze nie mogłoby ich pomieścić, a tem bardziej masy strzelców. I ci nie byliby wreszcie przydatni, bo błota zamarzłe ułatwiły przystęp do tego folwarku, a przytem już tu wypadłoby bronić się nie od kilku sotni kozaków, ale od całej armji. Zdawszy się więc na wolę boską, pochowali tam tylko swoje skarby, jako w miejscu bardziej, niż inne, ustronnem. Lecz i to było nadaremno, bo skoro tylko nadciągnęła masa

wojska i rozłożyła się po folwarkach i wsiach okolicznych, jakaś partja wpadła do Wedrecka i wszystko tam zrabowała.

U nas też i we wsiach wyrznięto wszystko bydło co do sztuki, wszystkie owce, świnie, ptactwo; zabrano wszystkie konie i zboże, młócone i w snopkach; barbarzyńskie żołdactwo wydarło po wsiach i lasach pszczoły, których do owego czasu tameczni włościanie wielką ilość posiadali; zabrano nawet sprzęty lepsze, u nas stołowe i kuchenne naczynia, oprócz sreber, które były zakopane; u włościan odzież, płótna, skóry; popalili nawet budowle gospodarskie, gumna, obory, zabierając je na drwa, chociaż las mieli dokoła. Słowem, że przez te kilka dni pobytu wielkiej armji rosyjskiej w naszej okolicy zostaliśmy ogołoceni kompletnie. Szczęściem, że domy mieszkalne we dworach i chałupy włościańskie ocalały, bo w nich kwaterowała starszyzna wojskowa; i że podług zwyczaju tamtej strony włościanie mieli cokolwiek zapasu zboża, zachowanego w jamach, którem przeżyliśmy do nowego, a lasy dostarczyły zwierzyny. Strzelb zaś, prochu i kul nie brakowało; bo i nasi żołnierze, i szlachta okoliczna, i chłopi nazbierali tego dużo, przechowując to w lasach. I dali się nawet we znaki Rosjanom, zabijając ich bez miłosierdzia, których pojedyńczo lub małemi partjami na drożynach leśnych lub przy wydzieraniu pszczół natrafiali. Za owe zabierane hurtem zboże, konie i bydło niektórzy dowódcy komend wydawali kwity, ale większą część rozchwytano bez kwitów. Ojciec chciał o nie upominać się, chodził piechotą, bo jeździć już nie było na czem, do Kutuzowa, który stał w Dubowruczu, i do w. ks. Konstantego, który stał w Rewaniczach, i prosił o zakwitowanie ogólne i urzędowe za te zabory we dworze i u włościan; lecz i u jednego i u drugiego odpowiedziano mu: „*Kto wam wsiem kwitancij nadajotsia*". Jednakże z tych niekompletnych kwitów, które otrzymał od komend częściami, zebrała się suma 27 tysięcy rubli. Te kwity potem złożone do Komisji Likwidacyjnej, wyznaczonej dla całego kraju, zostały w lat osiemnaście prawie wszystkie umorzone, jako nieformalne; a za całą krzywdę ojcu przyznano tylko dwieście rubli, których także nie odebrał, bo, przechodząc przez ręce urzędników, gdzieś ugrzęzły, jak to pospolicie u nas bywa z wypłatami od rządu.

We dworze bieliczańskim stała artylerja gwardji cesarskiej.

Oficerowie, a między nimi niejaki książe Trubeckoj, Demidow i inni, upodobawszy mnie, że szczebiotałem po francusku, a sprytnie im odpowiadałem, nastawali na ojca, żeby mnie oddał do ich artylerji, obiecując opiekę swoją i najdalej za rok rangę oficerską. Jak dziś uważam, niezła to byłaby karjera; bo z kampanij następnych mógłbym powrócić z wyższym stopniem i, służąc w gwardji, w młodym wieku dojść do rangi generalskiej. Ale i sam tego nie żałuję, i nawet wtenczas nie pragnąłem, i ojciec daleki był od przyjęcia takiej propozycji, tem bardziej, że spodziewał się powrotu Napoleona i wskrzeszenia ojczyzny.

Po przewaleniu się głównej armji ciągle potem tąż drogą przez Bieliczany przechodziły mniejsze komendy, unikając zniszczonego traktu pocztowego z Orszy do Wilna. Wśród tych przechodów zjawiali się Francuzi, którzy z pod Borysowa rozpierzchli się byli po lasach i kryli się po zaściankach i u strażników leśnych; ale ci, wychodząc ze swych kryjówek w najokropniejszej nędzy, przemarzli i wygłodniali, tak byli słabi, że od najmniejszej przyczyny ginęli. Pamiętam, że jeden taki u któregoś z naszych sąsiadów, gdy wchodził we drzwi, potrącony niemi przez kozaka, upadł martwy. Drugi takiż przywlókł się do nas właśnie, kiedy dwóch braci Naryszkinów, gwardyjskich oficerów, zajechawszy do nas, jedli śniadanie. Postrzegłszy oni tego nędzarza, umyślili pożartować z moją matką i panną Anielą. Udali, że chcą go zarąbać, a na płacz i prośby mojej matki ofiarowali zostawić go przy życiu, jeśli moja matka i panna Aniela ich wycałują. Musiały nieboraczki nato przystać, i ciesząc się, że ocaliły życie Francuzowi, wzięły go w opiekę; lecz, ile mogę sobie przypomnieć, zdaje mi się, że ten biedak tegoż dnia czy nazajutrz umarł. I wogóle prawie wszyscy tacy, skoro zostali ogrzani i nakarmieni, zataczali się i tuż konali.

Takie okropne sceny powtarzały się często, a te niedobitki francuskie, rozchodząc się po wsiach i dworach, i tam umierając, rozniosły zarazę, która musiała już być w powietrzu od mnóstwa trupów pod Borysowem i po głównym trakcie, a rozpostarła się szczególniej od opustoszenia i nędzy, którą wojsko rosyjskie po sobie zostawiło. W naszych wsiach rychło zjawiła się okropna gorączka, która połowę ludności zmiotła; u nas we dworze także kilku ludzi umarło;



Brama klasztoru bazyljanów w Wilnie.

matka moja, ratując chorych po wsiach, sama zaraziła się, ale, chociaż była mocno chorą, prędzej jakoś przyszła do zdrowia; lecz ojciec bardzo długo i ciężko chorował. Nie było już nadziei wyzdrowienia, aż jakiś doktór pułkowy przejeżdżając poratował skutecznie. Nakoniec pod wiosnę ojciec, przyszedłszy do sił, zaczął krzątać się około podźwignienia gospodarstwa we dworze i u włościan. Miał trochę kłopotu i ze swymi Polakami, których przechował do wiosny; bo policja ziemska, która natenczas wyłącznie z Rosjan została u nas ustanowiona, patrząc na to przechowywanie przez palce w ciągu całej zimy, może dlatego, żeby nie karmić jeńców kosztem rządu, na wiosnę zaczęła pilnie poszukiwać ich wszystkich, a obywatelów pomimo ogłoszonej amnestji pociągać do odpowiedzialności za przechowanie. Pamiętam, że sprawnika ojciec ułagodził, oddawszy mu konie powozowe, które świeżo był dla siebie nabył za dwieście rubli. Nie wiem już, co tam więcej popłacił za tych jeńców, lecz musieliśmy się z nimi pożegnać. Zabrano ich od nas i od sąsiadów i poprowadzono do Mińska. Rozstawali się z nami ze łzami wdzięczności, zostawiwszy nam broń swoją na pamiątkę. Tu już był koniec całego dramatu francuskiego i ówczesnej naszej nadziei na odrodzenie się Polski.

Powrócili też z wojaczki i niektórzy z naszych sąsiadów, Felicjan Moszyński i Robert Rogowski, którzy z pod Borysowa dostali się do Mołodeczna; ale tam po rozprężeniu się całkowitem armji francuskiej ukryli się u kogoś ze znajomych i doczekali się amnestji. Powrócił także i nasz były guwerner, Antoni Massalski; ale, zrażony nieszczęśliwą wyprawą i zdesperowawszy o przyszłych losach, pojechał wkrótce do Mińska i wstąpił do seminarjum diecezjalnego.

III.

Na wiosnę 1813 r. ojciec odwiózł nas znów na naukę do Przyborek. P. Jerzy, pomimo zaleceń rządowych, ufny w swe stosunki z urzędnikami, zatrzymał u siebie na guwernera do siostrzanów jednego z rozbitków francuskich, niejakiego Mecnaura (pisał się Metznauer), który był oficerem w konnej artylerji wirtemberskiej i powiadał się być synem ministra wirtemberskiego. Czy był nim istotnie, tego nie wiem, ale widać było po nim, że należał do cywilizowańszej klasy, posiadał kilka języków, jako oficer artylerji musiał posiadać i nauki odpowiednie, a rysował prześlicznie. Ale z nauki tej korzyści nie było. Mecnaur bowiem, nie sposobiąc się nigdy na pedagoga, nie był w możności prowadzić edukację; zadawał nam wprawdzie do uczenia się napamięć rozmowy francuskie i niemieckie, czasem próbował uczyć nas rysunku i arytmetyki, ale to wszystko było dorywcze, bez planu, i przerywane polowaniem, rybołóstwem, konną jazdą i innemi zabawami tak, że nauki było bardzo mało.

Ojciec, postrzegłszy, że my przy Mecnaurze prawie nic nie korzystamy, zabrał nas do domu i zdeterminował się oddać nas do szkół jezuickich w Mohylewie. Jakoż, sprowadziwszy z miasteczka krawców, kazał nam uszyć z liberyjnego sukna szaraczkowego nowe surduty i płaszcze, a z dawnych mundurów swoich fraki, i wyprawił do Mohylewa pod przewodnictwem przyjaciela swego, porucznika Niedźwieckiego, który często u nas przesiadywał, mając u ojca należność. Ubierał się on po polsku, a w dnie uroczyste przywdziewał ponsową ferezję z pięknego sukna, sobolami okładaną. W tej właśnie prezentował nas w Mohylewie księdzu Korsakowi, rektorowi kolegjum jezuickiego. Umieszczeni zostaliśmy w kon-

wikcie pod dozorem ks. Reuta, regensa konwiktu. Ponieważ mieliśmy początki łaciny, przyjęto nas wprost do drugiej klasy, t. j. do „gramatyki", a na Nowy Rok obaj z bratem zostaliśmy promowani do „syntaksymy", t. j. do trzeciej klasy. Pierwsza zwała się „infimą", czwarta „poetyką", piąta „retoryką", a szósta „filozofją". Nauki u jezuitów były takie: łacina stanowiła podstawę całego kształcenia naukowego; obok niej wykładano w trzech niższych klasach początki arytmetyki, geografji, cokolwiek historji świętej i starożytnej; w trzech wyższych uczono poetyki, retoryki, filozofji, to jest logiki i metafizyki staroświeckiej, kontynuowano historję starożytną i powszechną, wykładano początki algebry do równań 2 stopnia i nieco geometrji z zastosowaniem jej do praktyki miernictwa w polu. Języków francuskiego i niemieckiego uczono we wszystkich klasach, a konwiktorowie mieli nadto jeszcze osobne godziny w domu do języków i wprawę przy swych dozorcach jezuitach, Francuzie i Niemcu. Historja wykładana była sposobem anegdotycznym, poetyka i retoryka podług metod staroświeckich, z przykładami z klasyków łacińskich i niekiedy z pisarzy naszych złotego wieku: Kochanowskiego, Skargi, Górnickiego; filozofja podług Anżoliniego, Storchenawa i innych spółczesnych im scholastyków. Wogóle wszystkie nauki wykładano podług autorów i metod, przez czas uświęconych.

O nowszych autorach, niepewnych, jezuici przeważnie słyszeć nie chcieli, mając ich wszystkich za napojonych duchem filozoficznym osiemnastego wieku, a zatem za niebezpiecznych dla wiary. Celem ich wychowania było nietylko wykształcenie umysłowe młodzieży, jak przedewszystkiem moralne, chrześcijańskie. I rzeczywiście, zastanowiwszy się po chrześcijańsku, zdrowym rozsądkiem nad celem stworzenia człowieka na świecie: że Bóg stworzył nas nie dla ziemi wyłącznie, ale głównie dlatego, żebyśmy tu sobie wysłużyli „wieczność" szczęśliwą, należy przyznać, iż jezuici mieli rację troszczyć się w wychowaniu najprzód o moralne i religijne nas wykształcenie. Wszelako i to musimy wyznać, iż gruntowne oświecenie w naukach nicby nie szkodziło do głównego celu, owszem niezawodnie byłoby dlań pożyteczne. A przytem, że i w religijnym względzie, jezuici zanadto ostrożnie nas traktując, głównie do praktyki religijnej przyu-

czając, a nie uzbrajając nas wcale, ani w szkołach, ani nawet w dojrzalszym wieku w Akademji, przeciw zarzutom, fałszom i zgorszeniu, z któremi musieliśmy spotkać się na świecie, narazili wielu nas na obłąkanie i wyrzeczenie się nawet zasad religijnych, kiedyśmy po wyjściu z ich szkół wpadli w sferę niedowiarstwa, panującego wówczas w naszym kraju.

Cokolwiek bądź jednak, pomimo błędnego pojęcia o wychowaniu naukowem i pomimo niedostateczności wychowania religijnego, szkoły ich z zasady swojej były lepsze od ówczesnych świeckich, gdzie na religję i prowadzenie się młodzieży żadnego względu nie obracano. U nas panowała świętość obyczajów i przyzwoitość w obcowaniu, zgorszenia żadnego nie było i pod tym względem sami jezuici byli najpiękniejszym wzorem. Zarzucają im powszechnie kosmopolityzm, wpajanie uległości niewolniczej, przyuczanie do despotyzmu i inne wykroczenia przeciw prawom społeczeństwa; lecz mogę śmiało, z własnego przekonania zaświadczyć, że to jest czysta potwarz, przynajmniej względem tych jezuitów, którzy byli w naszym kraju. U nich powzięliśmy najczystsze wyobrażenia obowiązków i praw człowieka, obywatela i syna ojczyzny. Będąc potem w Uniwersytecie Wileńskim, nic świętszego w tych przedmiotach nie słyszeliśmy. Prawda, że i przybyliśmy do jezuitów, lubo w dziecinnym wieku, ale już po świeżem wstrząśnieniu politycznem, dobrze usposobieni, a nawet z przesadzonym zapałem, który nas był przywiódł w samym początku do szalonego zamiaru.

Po bitwie Davousta z Bagrationem pod Mohylewem Francuzi złożyli byli w kolegjum jezuickiem ilość różnej broni, zbywającej, czy z pobojowiska zebranej. Skład ten znajdował się w obszernem parlatorjum, tuż za furtką. My podpatrzyliśmy tę broń i zaraz ukartowaliśmy projekt skorzystać z niej na pomoc ojczyźnie, t. j. opatrzyć się w karabinki, pistolety, pałasze, i kupą przemknąć się do Polski, żeby połączyć się z wojskiem Napoleona. Wszyscy więc starsi, którzy byliśmy w konwikcie, związaliśmy się słowem honoru, postanawiając wykonać niezwłocznie ten zamiar. Ale nietylko ci, których rodzice byli patrjotami, lecz i inni, co w domu mogli mieć przeciwne wrażenia, między nami zapalili się do tego zamiaru. Między innymi Snitkowie, synowie ruskiego urzędnika, chociaż

katolicy po matce, Antoni i Aleksander Lubomirscy, synowie księcia Ksawerego, urodzeni z Naryszkinówny, a nawet czysty Rosjanin Chołodkowski, syn prokuratora mohylewskiego, któremu wmawialiśmy, że on, polskie nazwisko nosząc, musi pochodzić z rodu polskiego, a gdy uwierzył temu, któryś z nas odkrył mu nasz zamiar. On z zapałem zań się chwycił, więc już i wszyscy musieliśmy przypuścić go do kompanji. Przygotowania do ucieczki poszły żwawo; broń, ile nam było potrzeba, wykradliśmy z owego składu, dobrawszy klucz od któregoś z naszych kufrów. Ale na podróż trzeba było pieniędzy, więc złożyliśmy, ile każdy z nas miał zapasu, z danych od rodziców na drobne sprawunki; a że to było bardzo mało, więc ułożyliśmy się sprzedać odzież i bieliznę, których nie moglibyśmy zabrać w ucieczce. Służący przy kolegach naszych, Sianożęckich, lokaj Płaton, podjął się tę sprzedaż ułatwić; jakoż pozabierał nasze ruchomości i dał nam za nie, ile mu się podobało pieniędzy. A Chołodkowski ukradł u swego ojca pięćset rubli i te do kasy przyniósł. Ale to samo powiększyło naszą nieufność ku niemu i nie chcielibyśmy już brać go z sobą, lecz, że wiedział nasz sekret, musieliśmy. Nie pamiętam już dobrze, jaka w tym względzie nastąpiła między nami umowa, ale zdaje mi się, iż było ułożono, żeby na wypadek dostrzeżenia w nim jakiejkolwiek chęci zdrady palnąć mu w łeb.

A plan późniejszej podróży, oparty był na tem, że natrafimy zapewne na jakieś konie włościańskie na polu, na te wsiądziemy i popędzimy, póki na drugie nie trafimy. Tam przemieniwszy konie, dalej, i tak aż do Polski. Taka poczta wydała się nam bardzo możebną i godziwą; bo każdy włościanin mógłby odzyskać swe konie na miejscu ich przemiany na drugie. W kilka dni przygotowania wszystkie były ukończone, i już w nocy mieliśmy uciekać, a sekret był tak ściśle między nami dochowany, że jezuici o niczem podejrzenia nie mieli. Aż tu wieczorem wpada gubernator do rektora i objawia mu o naszym zamiarze. Natychmiast rewizja: znaleziono w naszych łóżkach broń ukrytą i zapasy chleba na drogę, nakupionego przez tegoż Płatona, który, to wszystko zrobiwszy i skorzystawszy na sprzedaży naszych ruchomości, sam też doniósł o tem gubernatorowi. Jezuici byli w wielkim kłopocie. Gdyby się to

później zdarzyło, pod koniec panowania Aleksandra lub za Mikołaja, poszlibyśmy niezawodnie w sołdaty, równie jak ci, co potem z innych szkół i za mniejsze przewinienia w to nieszczęście popadli. Ale wówczas nie pastwiono się jeszcze z taką tyranją nad młodzieżą. A przytem gubernator Tołstoj był człowiek wyrozumiały, wziął to za swawolę dziecinną, uspokoił jezuitów, kazał to zatrzeć w domu, i tylko broń. od nas odebraną, i ów cały skład zabrał. Cała tedy ta sprawka nasza skończyła się na upomnieniu i na szkodzie w ruchomościach; a jeden tylko Chołodkowski odpokutował za wszystkich, bo dostał rózgami od swego ojca.

Duch jednak wojowniczy między nami nie zgasnął. Najmilszą zabawą naszą były batalje, a zawsze dwie strony, polska i moskiewska. Że zaś z początku nikt nie chciał należeć do obozu moskiewskiego, więc ułożyliśmy się, żeby, podzieliwszy się na dwie równe partje, wydać pierwszą batalję bezimienną, a kto bitwę przegra, ten musi należeć do partji moskiewskiej póty, aż w innej batalji dostanie się do partji wygrywających. Batalje zaś nasze odbywały się pospolicie na wałach, okrążających górne miasto, wysokich i stromych. Jedna partja broniła wałów, druga je zdobywała; kto został strącony z wału, ten przegrywał. Tym sposobem partje nie ciągle były złożone z tych samych kolegów, lecz z tryumfujących jedna, ze strąconych składała się druga. Za miastem, dokąd na rekreację co wtorek i co czwartek pod dozorem jezuitów wychodziliśmy, była gra w palanta; lecz i tam te obozy walczyły, a która strona drugą dalej przepędziła, ta wygrywała i przybierała nazwę polskiej, a przegrywająca moskiewskiej.

Co do nauk, ja byłem przez wszystkie klasy ciągle pierwszym w swojej. Pierwszeństwo nabywało się podług liczby kresek, zwanych „laudesami", które dawano za dobre wydanie lekcji, a najwięcej za nauczenie się napamięć wierszy łacińskich, albo za tłumaczenie klasyków. Dla tej próżności poświęcałem gruntowniejsze studjowanie nad wykładanemi w klasach przedmiotami, uczyłem się wierszy nawet u stołu, trzymając książkę na kolanach; i w ciągu trzech lat, przez które byłem w „syntaksymie", „poetyce" i „retoryce", wyuczyłem się był jak pacierza znaczną część Eneidy, mnóstwo od Horacju-

sza i przetłumaczyłem dużo mów Cicerona, komentarzy Cezara, wielką część Liwjusza i t. d.

Wakacje nasze z drugiego na trzeci rok szkolny, t. j. w r. 1815, przeciągnęły się do późnej jesieni, poczem zostaliśmy odwiezieni do piątej klasy. W 1816 r. ukończyliśmy piątą klasę w szkołach mohylewskich i ojciec odwiózł nas do Połockiej Akademji jezuitów. Najął dla nas mieszkanie i stół w mieście u niejakiej pani Massyninej, Włoszki, wdowy po cukierniku. Zaprezentował nas u ks. Landesa, prowincjała, i u rektora Akademji, ks. Brzozowskiego, i zostaliśmy zapisani w poczet uczniów fakultetu nauk wyzwolonych, w wydziale filozoficznym. Fakultetów było trzy w Akademji, mianowicie: fak. języków, fak. nauk wyzwolonych i fak. teologiczny. Ale fakultet nauk wyzwolonych dzielił się na trzy wydziały: 1. właściwie „nauk wyzwolonych", w którym się wykładały: sztuka rymotwórcza, krasomóstwo, historja powszechna, starożytności, tudzież malarstwo, muzyka i t. d.; 2. w filozoficznym wykładano logikę, metafizykę, dialektykę, etykę; teologję naturalną, tudzież matematykę czystą i stosowaną, fizykę, chemję i historję naturalną; 3. w prawniczym było prawo natury, prawo kanoniczne, rzymskie i krajowe cywilne i kryminalne, tudzież proces sądowy. W pierwszych dwóch wydziałach tego fakultetu wszystkie nauki były po łacinie i spowite w sylogizmy, wszystko podług autorów dawniejszych.

Wydział prawniczy, chociaż wolniejszy od sylogizmów i mający niektóre przedmioty wykładane po polsku, jakoto statut litewski i proces sądowy, był jednak najbiedniejszym, bo profesorowie często ograniczali swój wykład na czytaniu kodeksów, prawie bez żadnych uwag i objaśnień.

Fakultet tylko teologiczny pod tym względem stał daleko wyżej; bo tu i profesorowie byli lepiej dobrani i mogli używać świeższych autorów, jako niezarażonych filozofizmem. Dlatego też niektórzy z naszych kolegów, sprobowawszy wydziału filozoficznego lub prawniczego, przechodzili na fakultet teologiczny: jedni z powołania do stanu duchownego, jak między innymi Fijałkowski, dzisiejszy biskup kamieniecki, i Lipski, sufragan teraz diecezji saratowskiej, drudzy dla otrzymania stopnia doktora, który dawał wtedy prawo do rangi ósmej klasy.

Nauka, słowem, w Akademji Połockiej wszystka, oprócz fakultetu teologicznego, nie stała bardzo wysoko, lecz my, nie znając lepszej, poczytywaliśmy ją za kwintesencję ludzkiej mądrości. Profesorowie też nasi, jedni szczerze dzielili to przekonanie, drudzy, szczególniej młodzi, lubo przewidywali potrzebę reformy, jak się później pokazało, umieli jednak ulegać prawidłom i woli starszych swoich. Oprócz bowiem fanatycznego trzymania się przedwiecznych autorów, drugą wadą było: brak specjalistów w pewnych gałęziach nauki, szczególniej dla szkół niższych.

Po zapisaniu nas tedy do Akademji zaczęliśmy uczęszczać na lekcje. Józef, żwawszy ode mnie, bystrzejszy i usposobiony raczej do poezji, aniżeli do nauk refleksyjnych, znudził się wydziałem filozoficznym i przeszedł na literacki, to jest właściwy nauk wyzwolonych. A że tu mu wszystko szło bardzo łatwo tak, że, nie potrzebując pracować w domu, lekcje wszystkie z samego słuchania pamiętał, zaczął więcej czasu poświęcać na pisanie wierszy, a także i na nieco za długie obcowanie z kolegami. Pomiędzy nimi było niemało pracowitych i pilnych, jak np. na prawnym wydziale Donat Żebrowski, Konstanty Serbinowicz, Piotr Elijaszewicz; na literackim Szepielewicz i Barszczewski. Ci obaj mieli dużo ducha poetyckiego i, gdyby trafił się był lepszy profesor, pewnoby zostawili po sobie lepsze utwory niżeli te, które wydali. Ale wielu też między nimi było i paniczyków, którzy mało się uczyli, tracąc najwięcej czasu na rozrywki, i pozwalając sobie nawet kart i różnych wybryków, pomimo całej surowości nadzoru jezuickiego. Z liczby tych bawiących się bliższe z nami stosunki mieli Komorowscy, Żebrowscy, bracia Donata, Petrykowscy, krewni ich Jurjewicze, Benisławscy, wszystko Białorusini, dobrzy chłopcy i poczciwi, — ale do Akademji chodzili tylko dla formy, raczej dla zabawy.

Miło mi jednak wspomnieć te czasy, przepędzone w Połocku, bo i najszczęśliwsze w życiu tam chwile przeszły, i koledzy tameczni, z którymi się zaprzyjaźniłem, trwali w tej przyjaźni zawsze, a niektórzy nawet, jak Elijaszewicz i Jurewicz, dużo w późniejszym czasie na mój los wpływali. Józef, pomimo że się niebardzo przykładał, zdał jednak przy egzaminie (w 1817 r.) jak najpiękniej i otrzymał stopień studenta nauk wyzwolonych, a ja otrzymałem stopień studenta filozofji.

W kilka tygodni po przyjeździe naszym do Bieliczan na wakacje ojciec powiózł nas do Mińska na elekcje urzędników szlacheckich. Że nas wzięto tam, była to forsa stryjaszka naszego, p. Jerzego, który, przez zemstę za owo zapisanie go w 1812 r. w proste żandarmy przez Osztorpa, postanowił zwalić go z marszałkowstwa ihumeńskiego i przez to niedopuścić do kandydatury na gubernjalnego marszałka, do czego on już wówczas sięgał. Zbierał więc p. Jerzy partję przychylnych sobie wotów i dlatego przywiózł siostrzanów swoich Okuliczów, uprosił sąsiada swego Snitkę o przywiezienie synów, uprosił też ojca mego względem nas, tudzież ciotecznych braci swoich, Wańkowicza Melchjora i Klaczkowskiego z ich synami. Wielu z nas nie miało jeszcze lat, prawem wymaganych do wotowania, t. j. osiemnastu skończonych, między tymi i mój brat Józef, który dopiero był jakoś w połowie siedemnastego; lecz pan Jerzy potrafił to wszystko tak ukartować, że wszyscy byliśmy przypuszczeni, jako pełnoletni. A oprócz naszej falangi miał jeszcze i wiele innych wotów niebardzo słusznych. Prawo bowiem wówczas przypuszczało do wotowania wszystkich tych, którzy sami lub ich rodzice posiadali obecnie prawem dziedzicznem, albo zastawnem, dobra, liczące najmniej 25 dusz męskich poddanych. Otóż pan Jerzy, dla pomnożenia sobie partji, przyjaciołom swoim, nie posiadającym tej kwalifikacji, wyrobił u różnych obywateli i sam podawał na cząstki swoich Przyborek prawa zastawne kondyktowe, to jest zmyślone, tymczasowe. Nakoniec i życzliwych sobie w powiecie dużo liczył, którzy mu wszyscy przyrzekli pomagać przeciw Osztorpowi, a na marszałkostwo ihumeńskie wybrać Zawiszę, dziedzica Kuchcic, pana Jerzego zaś na podkomorstwo, które było wówczas pierwszym po marszałkostwie urzędem w powiecie.

Nasza kwatera podczas wyborów podobna była do owych dawniejszych sejmikowych, kiedy panowie zgromadzili tłumy szlachty. Mieszkanie i stół mieliśmy kosztem wspólnym w jednym domu obszernym. Przyłączyli się bowiem do nas Rogowscy, Moszyńscy, Jeśmanowie i wielu innych, których dziś już nie pamiętam, kresek ze trzydzieści, tchnących wszystkie jednym duchem p. Jerzego. Taka gromada jednomyślna miała swoje znaczenie w gubernji. Jakoż ze wszystkich powiatów starszyzna

i marszałkowie o naszą przyjaźń starali się; wizytowali nas, nadskakiwali naszym dowódcom, a poufalsi osypywali nas, smarkaczów cukierkami i sapieżankami, zamawiając sobie nasze gałki. Osztorp także do nas uczęszczał, i chociaż przeczuwał, że ta falanga przeciw niemu, jednakże nie wydał się z tem przeczuciem i uprzejmością starał się nas zaskarbić; ale p. Jerzy otwarcie okazywał mu oziębłość, a inni politykowali.

Sesje elekcyjne odbywały się dwojakie: powiatowe i gubernjalne. Na powiatowych sesjach, dla których każdy powiat z przyczyny wielkiej liczby wyborców miał w osobnem miejscu salę, wybierano marszałka, podkomorzego, chorążego, deputata do zgromadzenia szlacheckiego gubernjalnego; prezydenta, podsądków i pisarza do sądu powiatowego, sprawnika i asesorów do sądu ziemskiego; kasjera powiatowego; tudzież kandydatów do wszystkich urzędów gubernjalnych, oprócz marszałkostwa, bo do tego był kandydatem wyłącznie nowowybrany w każdym powiecie marszałek powiatowy.

Nasza sala powiatu ihumeńskiego była na wszystkich wyborach w refektarzu bernardyńskim. Gubernjalne sesje odbywały się w kościele dominikańskim. Tam powiaty miały każdy osobne miejsce za stołem i ławkami w nawie kościelnej i po bokach, a w presbiterjum koło marszałków pod prezydencją gubernjalnego; tam na ich stół znoszono z powiatowych stołów urny z wotami po przewotowaniu na każdego kandydata, tam je zsypywano do urny gubernjalnej i liczono. Na tych sesjach z kandydatów, podanych przez powiaty, wybierano gubernjalnego marszałka, prezydenta i asesorów do pierwszego departamentu Sądów Głównych, nazwanego później Izbą Kryminalną; prezydenta i asesorów do 2 departamentu, nazwanego później Izbą Cywilną; kuratora szkół, znajdujących się w gubernji, nakoniec sekretarza i kasjera do zgromadzenia szlacheckiego gubernjalnego. Kiedy przyszło do wotowania na powiatowych urzędników, a za kandydatów do marszałkostwa ihumeńskiego podano Zawiszę i Osztorpa, ojciec, wziąwszy mnie i Józefa na stronę, powiedział: „Nie godzi się nam za nikogo mścić się. Osztorp jest dobrym urzędnikiem: wotujcie podług sumienia". Tak upomniany, ja rzuciłem gałkę za Osztorpem. Pan Jerzy, który był w licznie cenzorów, przestrzegających po-

rządku, a miał bystre oko, z poruszenia ręki mojej zmiarkował na którą stronę gałkę rzuciłem. Spojrzał tylko na mnie surowo, lecz wtedy nic nie powiedział, bo i beze mnie Osztorp upadł przewyżką dwóch wotów przeciwnych, ale odtąd p. Jerzy traktował mnie ozięble i nigdy już nie wspomniał o zapisaniu mnie swoich Przyborek, co od lat kilku zapowiadał przy każdym widzeniu się, obiecując mnie przybrać za swego dziedzica. Jakoż zapisał je potem swemu bratu bezwładnemu, Franciszkowi, po którym te dobra spadły na ich siostrzanów, Okuliczów. Marszałkiem tedy ihumeńskim został Zawisza, a podkomorzym pan Jerzy.

Po ukończeniu wyborów niezwłocznie powróciliśmy do Bieliczan i stamtąd wkrótce odesłał nas ojciec do Połocka. Zabraliśmy z sobą młodszego brata naszego Karola, zamierzając przysposabiać go do szkół. Czas tak spędzaliśmy: wychodziliśmy na kilka godzin codzień do Akademji, a resztę dnia poświęcaliśmy zabawom z kolegami, które wtenczas właśnie w naszej kwaterze zaprowadziły się bardzo częste przez zbieg okoliczności. Kwatera ta w domu obszernym na piętrze składała się z trzech pokoi i przedpokoju; a że reszta tego piętra była niezajęta, gospodarz nasz przez grzeczność, pozwolił nam używać przyległej do naszego mieszkania wielkiej sali na lekcje tańców. Do kompletu biorących te lekcje przyłączyli się koledzy nasi, chłopców kilkunastu, którzy się już nietylko dla lekcji, ale i dla zabawy u nas zgromadzali. Lekcje zaś tańców naprowadziły prędko na wniosek, że one nieskładnie idą bez panien. Więc natychmiast ukartowaliśmy projekt zaprowadzenia balików. A do tego nastręczyła się zręczność taka, że w Połocku był nadzorcą wodnej komunikacji na Dźwinie niejaki Fiedor Massalski, Rosjanin, ze smoleńskiej gubernji rodem, ale dowodzący, że jego przodkowie pochodzili z Litwy. Był on żonaty i my mieliśmy z jego domem znajomość; uprosiliśmy więc jego żonę na gospodynię do naszych balików. Ona tedy już od siebie zapraszała panie urzędnikowe z córkami, kilka Niemek ze stanu kupieckiego i obywatelki, mieszkające w mieście dla edukacji dzieci. A mieliśmy tę przezorność, żeby dla zasłonienia się od jezuitów, jeśliby oni, dowiedziawszy się o tych balikach, za złe je poczytali, zapraszać między innemi siostrę naszego prefekta

ks. Snarskiego. Baliki te zresztą były rzeczywiście skromne i przyzwoite; tańczyliśmy przy fortepianie, a cały traktament składał się z herbaty, ciast i małej ilości lekkiego wina, wszystko to kosztem składkowym. Ale do nauk niemniej były wielką przeszkodą. Oprócz tej przybyła wkrótce i druga.

Przyjechał do Połocka niejaki Marks, młody i przystojny człowiek, mianujący się profesorem języków angielskiego i hebrajskiego, a jak się potem wykryło, Żyd angielski, przechrzta, ajent Towarzystwa Biblijnego i podobno awanturnik. Zarekomendował się jezuitom, ofiarując swoje usługi do wykładu tych języków w Akademji. Jezuici mieli do nich swoich nauczycieli, a przytem, ostrożni, nie dali się wyciągnąć w pole; ale że Marks prezentował się przyzwoicie, nie bronili mu dawać lekcyj prywatnych akademikom, którzyby sobie tego życzyli. Ja miałem wielką pasję do wschodnich języków; zaproponowałem tedy Marksowi mieszkanie w naszej kwaterze i lekcje. On chętnie na to przystał, a że dobrze po francusku wysławiał się i umiał zająć słuchaczów swojem opowiadaniem, koledzy nasi zaczęli zbierać się do niego na gawędę, i te posiedzenia naturalnie przymnożyły nam roztargnień. Trwało to wszystko przez całą prawie zimę, aż do zapustów. W post nasze baliki musiały ustać, a pan Marks, zakochawszy się w jednej z tych Niemek, które u nas bywały, zaręczył się z nią i wyjechał do Petersburga dla objęcia, jak powiadał, posady jakiejś przed ożenieniem. Na tę podróż wyłudził u mnie prawie wszystek zapas, jaki miałem na utrzymanie nasze do wakacyj, obiecując za parę tygodni powrócić i mnie uiścić się. Na zabezpieczenie zaś tego długu zostawił u mnie pakę biblij hebrajskich. Ale tyle go i widzieliśmy. Niemka, nie doczekawszy się go na termin, wyszła zamąż za połockiego kupca, a moje pieniądze przepadły; bo za te biblje niktby mnie ani grosza nie dał, i wreszcie jezuici, dowiedziawszy się o nich, zabrali je dla zniszczenia, jako heretyckie.

Z końcem roku, uzyskawszy z Józefem patenty na stopnie kandydatów, wyruszyliśmy do Bieliczyn. Ojciec, chcąc nas rozerwać, woził nas na zgromadzenia, po imieninach i innych uroczystościach, zwykle wówczas obchodzonych w powiecie. Ale te wszystkie zjazdy, tańce, polowania huczne i inne zabawy, chociaż uprzyjemniały nam pobyt przy ojcu,

nie zadowalniały jednak naszych życzeń. Czuliśmy już potrzebę zajęcia się czemś poważniejszem, sposobienia się do jakiejś karjery na świecie. Józef układał sobie wstąpić do wojska, ja zaś, zamiłowany szczerze w naukach, wzdychałem do ich kontynuowania. Chciałem poznać wykłady w Uniwersytecie Wileńskim, miewałem zachcenia tam się udać; ale z drugiej strony przywiązanie osobiste do kilku profesorów połockich, których poznałem, i w ogólności szacunek świętości, panującej w ich zgromadzeniu, a nakoniec zażyłość ze znajomymi już kolegami — przeważyły szalę moich dążeń na stronę Połocka. Obiecywałem też sobie, że czytaniem prywatnem dokompletuję to, co w wykładzie profesorskim byłoby niedokładne, lub niedostateczne. Czytałem bowiem wiele i w Połocku, mając ułatwiony wstęp do bibljoteki jezuickiej, i w domu, gdyż u ojca był zbiór książek niemały. Ale to czytanie dorywcze, bez dyrekcji, bez planu, co wpadło pod rękę, lub do czego ciekawość pociągała, chociaż rozjaśniało wyobrażenie o wielu przedmiotach, przez to jednak było szkodliwe, że bez dobrego fundamentu w jakiejkolwiek nauce, niestosowane wyłącznie do zgłębienia żadnej, rozpraszało umysł, a raczej tworzyło w nim zbieraninę wiadomostek, nie związanych żadnym systematem, żadnym celem, a przeto marnych i bezpożytecznych. Jakoż później okazało się, że z całego owego perjodu kształcenia się mojego, ze wszystkich trudów naukowych i ślęczenia nad czytaniem nie odniosłem wielkiego pożytku.

Po przybyciu do Połocka zastałem w owym roku krewnych moich z Nowogródzkiego: Dominika Korbuta i Śliźniów, Rafała i Ottona. Zastałem też w konwikcie sąsiadów swoich z Kałużyc, Walentego i Karola Wańkowiczów, z którymi już od dwóch lat w Akademji kolegowałem. Nauki mnie szły łatwo, a wykład ich w szczupłym zakresie dozwalał uczęszczać na różnorodne przedmioty. Uczęszczałem tedy na kursy dwóch wydziałów: matematycznego i prawniczego, i miałem jeszcze dosyć czasu na języki grecki i hebrajski, których głównie w tym roku się uczyłem. Oprócz tego ułożyliśmy się z kolegami wydawać tygodniowo pismo perjodyczne, w którem umieszczaliśmy prace nasze literackie. Należeli do tego: Witkowski Henryk, Józef Suryn, dwaj Szadurscy, Bohomolec,

Arkady Roszkowski, Józef Kossakowski z pod Kowna, Roman Lachnicki z pod Grodna, Karol Wańkowicz i ja. Pismo to było nie drukowane, ale pisane na kilkadziesiąt egzemplarzy; a prenumerowali je nasi profesorowie i niektórzy z obywateli, mieszkających w mieście dla edukacji dzieci.

W końcu tego roku szkolnego zdałem egzamin na stopnie magistra filozofji i kandydata obojga praw. Ale te stopnie straciły już były swoje znaczenie przed rządem, bo cesarz Aleksander, mając już jakieś nieukontentowanie do jezuitów, odwołał w tym roku przywilej, którym przy nadaniu im praw Akademji porównał był co do rang stopnie uczone, w niej dawane, ze stopniami, dawanemi w uniwersytetach rosyjskich. Racja tego odwołania w ukazie cesarskim była ta: że ponieważ Akademja jezuicka utrzymuje się kosztem nie Cesarstwa, lecz własnym, więc i stopnie uczone, w niej dawane, nie powinny być uważane narówni z dawnemi w zakładach Cesarstwa, lecz jako cudzoziemskie; a zatem i rang odpowiednich przy wstąpieniu do służby za stopnie połockie nie dawać. Ukaz ten podobno nie był powszechnie ogłoszony; ale, jak wiele innych, przesłany do władzy właściwej, pozostał nieznany innym władzom. Albowiem niektórzy z uczniów połockich, mianowicie: Serbinowicz, Dukszyński, Drużyna, Eljaszewicz i inni, wkrótce potem wstąpiwszy do służby w Petersburgu, otrzymali niezwłocznie za swoje stopnie rangi takie same, jakie należy za stopnie, dawane w uniwersytetach. Nam ten ukaz ogłoszono widocznie w tym celu, żeby nas odstręczyć od tej Akademji; ale to wywołało w nas tylko oburzenie i niektórych bardziej jeszcze przywiązało do jezuitów. Poczytując ten krok rządu za prześladowanie, wielu wtedy z naszych kolegów wstąpiło do zgromadzenia; ja też, czując się do wdzięczności za łaskę, którą jezuici mnie wyświadczyli, i coraz lepiej poznając ich zacność i cnoty, powziąłem był szczerą chęć zostać jezuitą. Uwiadomiłem o tem ojca i prosiłem o pozwolenie. Ale ojciec zabronił mnie myśleć o tem, a nareszcie i sami jezuici mnie wyperswadowali, radząc, żebym siebie lepiej doświadczył, a jeżeli będę miał prawdziwe powołanie, to jeszcze dosyć będzie czasu i później o swojem przeznaczeniu pomyśleć.

W pierwszych tygodniach 1820 r. koledzy moi wybrali

mnie na urząd prefekta sodalisów. Był to zaszczyt u nas niemały; pierwszym bowiem w Połocku prefektem sodalisów był król Batory, założyciel kolegjum połockiego, a po nim piastowali ten urząd zwyczajnie najwyżsi dygnitarze krajowi; po ustanowieniu zaś Akademji wybierano nań uczniów najstarszych i najporządniejszych. Moja też próżność była tym wyborem bardzo podłechtana. Ceremonje też przy wyborze i w uroczystości sodalisowskie bywały wcale imponujące. Sadzano prefekta na tronie w kościele; przed nim na taboretach po obu stronach zasiadali wiceprefekci i asystenci, a wybrani z sodalisów uczniowie prawili orację prefektowi. On podpisywał i rozdawał patenty nowo przyjętym sodalisom i miał nadzór nad ich prowadzeniem się. Do niego też należało podawanie przełożonym jezuickim listy uczniów, wybranych na stypendystów kasy sodalisowskiej. Kasa ta zbierała się ze sprzedaży gromnic podczas uroczystości Oczyszczenia Najświętszej Panny. Zwyczajem bowiem było, że w tę uroczystość i w ciągu oktawy prefekt sodalisów ze swymi asystentami rozwoził gromnice po domach w mieście i po dworach okolicznych za miastem, a składka tym sposobem zebrana szła do kasy sodalisowskiej i obracana była na stypendja dla ubogich uczniów.

Pod koniec jakoś zimy umarł w Połocku generał Zgromadzenia Jezuitów, ks. Brzozowski, który prawie już od roku, za rozkazem cesarskim wyprawiony z Petersburga, tu był zamieszkał. Przed śmiercią rozpisał on swój osobisty kapitał na wszystkich członków Zgromadzenia; bo już wtenczas przewidywali jezuici, że jakaś katastrofa ich czeka. Jakoż za pierwszem zawiadomieniem do Petersburga o śmierci generała otrzymali podobno wezwanie od ks. metropolity Siestrzeńcewicza, żeby odtąd jego rozporządzeniom ulegali, bo dotychczas, podług swego przywileju, własnemu wyłącznie generałowi podlegali. Nie wiem z pewnością, jaka była ich odpowiedź, lecz niezawodnie musiała być odmowna, bo rząd w ukazie o wydaleniu jezuitów z kraju właśnie tę nieuległość metropolicie za główną tego przyczynę wymienił. Ale to tak nagle stało się, że nikt się nie spodziewał.

W kilkanaście dni bowiem po pogrzebie generała, w wielkim tygodniu, kiedy uczniowie, tylko co ukończywszy rekolekcje, mieli rozjeżdżać się na święta wielkanocne do domów, jednej nocy

powstał gwar w mieście i dowiedzieliśmy się, że rota żołnierzy otoczyła kolegjum jezuickie, a we wszystkich wejściach do niego postawiono wartę, żeby nikogo nie przepuszczać. Rozporządzenie to wyszło od urzędników gubernjalnych, którzy tejże nocy przyjechali z Witebska z ukazem cesarskim. Skoro dzień, przystąpili oni do opieczętowania wszystkich zakładów jezuickich: bibljoteki, gabinetu fizycznego, muzeum, drukarni, bogatej zakrystji, fabryki, która dostarczała sukna dla wszystkich jezuitów i czeladzi; składów nareszcie wszelkich, lochów z winami staremi, miodami, śpiżarni, śpichlerzy ogromnych, bo to kolegjum, to było miasto, zawierające do 800 ludzi i we wszystkie zapasy dla nich obficie zaopatrzone. Jezuitom objawili, żeby się wybierali w drogę, bo mają rozkaz niezwłocznie ich wszystkich wysłać z kraju zagranicę, wyłączywszy tych, którzyby chcieli wystąpić ze Zgromadzenia. Lecz na to żaden się nie podpisał; wszyscy woleli kraj opuścić. Nam zaś ci urzędnicy zapowiedzieli, że Akademja i wszystkie szkoły jezuickie w kraju są skasowane i że możemy sobie rozjeżdżać się do domu.

Tegoż dnia nastąpił rabunek kolegjum. Widzieliśmy, jak ci sami urzędnicy, sprowadziwszy podwody z okolicznych wiosek, wywozili, co tylko dało się zabrać, a szczególniej wina, sukna i inne mające wartość zapasy, bo trzeba im oddać sprawiedliwość, że przedmioty naukowe, książki, obrazy, narzędzia fizyczne bynajmniej chciwości ich nie kusiły. Te niezwłocznie kazano przyjmować księżom dominikanom, którym i kolegjum z kościołem oddać przeznaczono. Ale za owe bogactwa naukowe urzędnicy potrafili sobie wynagrodzić brzęczącą monetą. Cesarz w zamianę za ogromne dobra jezuickie, które kazał zabrać na rzecz skarbu państwa, przeznaczył, żeby im wydano na drogę każdemu kapłanowi po trzydzieści dukatów, a klerykom i braciszkom po dwadzieścia. Urzędnicy tedy, przystępując do wypełnienia tej łaski cesarskiej, wzywali każdego osobno jezuitę i pytali go, ile ma pieniędzy. Każdy zaś miał najmniej sto rubli, bo właśnie taką sumę przed kilku dniami ks. rektor Brzozowski, brat generała, egzekwując jego zapis, wypłacił każdemu gotówką. A jezuitów w Połocku było sto kilkadziesiąt osób i w innych kolegjach białoruskich drugie tyle. Urzędnicy tedy odbierali od każdego to, co przewyższało nad wyznaczenie cesarskie, i każdemu kapłanowi kazali pod-



Klasztor i kościół misjonarzy w Wilnie.

pisać rewers, że otrzymał i ma na drogę trzydzieści dukatów, a klerykom i braciszkom, że mają po dwadzieścia. Sumę zaś ową, przez cesarza naznaczoną, całkowicie zabrali. Szczęściem dla jezuitów i dla obywateli, którzy im byli dłużni, że archiwum kasy Zgromadzenia nie wpadło w ręce tych urzędników. Jezuici, chociaż znienacka zaskoczeni, potrafili je sprzątnąć i mogli zabrać z sobą weksle bankierskie i bilety bankowe; a obligi obywatelskie wszystkie im zwrócili i darowali. Słyszałem wtedy od poważnych obywateli, którzy sami wielkie sumy tym sposobem mieli sobie darowane, że takich obligów jezuici zwrócili na kilka miljonów.

Oprócz weksli i bankowych biletów ocalały jeszcze z własności jezuickiej gabinet starożytności i bibljoteka polska, o których widać rząd nie wiedział, i które jezuici, między sobą rozebrawszy, wszystko wywieźli. Gabinet szczególniej był zamożny w bogate pamiątki różnych monarchów i znakomitych ludzi: berła, buławy, osadzone drogimi kamieniami, pierścienie, zegary kosztowne, tabakiery i t. d. Bibljoteka polska liczyła dwanaście tysięcy tomów, któremi jezuici napełnili swe kufry, bo innych ruchomości jako księża niewiele do pakowania mieli, a każdy jednak wyjeżdżając wziął kufer ładowny i tłomok.

Przed wyjazdem jeszcze i nam, uczniom Akademji, jezuici wyświadczyli tę łaskę, nadaremną wprawdzie, że wydali patenty urzędowe, zaliczając rok niedokończony kursów za kompletny i przyznając nam stopnie uczone, jakby po egzaminie. Mnie tym sposobem przyznali stopień magistra praw i wydali patent razem na wszystkie stopnie uprzednio otrzymane. Oprócz tego ja, że pomagałem im do zdawania wielkiej bibljoteki dominikanom, liczącej około 60 000 ksiąg, dostałem w prezencie oryginalny portret w całej postaci Stefana Batorego. Ten obraz, chociaż jakiegoś mistrzowskiego pendzla, nie był umieszczony w galerji obrazów, ale w refektarzu. Przytem niektórzy profesorowie Akademji, jezuici, podarowali mnie na pamiątkę mnóstwo książek, każdy swoich własnych, których nie mogli z sobą zabrać; a te stały się zawiązkiem zbioru mego, który później namiętnie pomnażałem. I nietylko z daru miałem od nich książki, lecz i kupiłem znaczną partję u ks. Wiljoma, mianowicie do wschodnich języków, do których miałem wielki pociąg. Zbywał

on między innemi biblję Poliglottę Antwerpską w ośmiu ogromnych woluminach, dzieło rzadkie i kosztowne, i żądał za nią, a razem i za kilkadziesiąt innych syryjskich, arabskich, perskich, dykcjonarzy, gramatyk i rozmaitych dzieł tylko tysiąc rubli asygnacyjnych. Była to cena zapewne w połowę rzeczywistej wartości, pośpieszyłem więc zapłacić ks. Wiljomowi za te księgi i zaraz napisałem do ojca, prosząc, żeby przysłał po mnie konie dla odwiezienia mego skarbu do domu.

Tymczasem jezuici zaraz po świętach wielkanocnych zaczęli wyjeżdżać na rozstawnych od rządu koniach partjami po dwudziestu, a po dwóch na jednej bryce, obładowanej kuframi i tłomokami. Za każdym razem na pożegnanie wysypywało się całe miasto; płacz i lament mieszkańców wszelkiego stanu i wyznania towarzyszył każdemu pożegnaniu. Nawet Żydzi chwytali błoto od kół ich bryczek na pamiątkę. Oni też ze łzami nas żegnali i błogosławili. Pamiętam, jak jeden z nich, stojąc już na bryce, przemówił do zgromadzonych obywateli i do nas, uczniów, którzyśmy tłumem ich otoczyli. Treścią tej mowy było, żebyśmy trwali w wierze katolickiej, która jedna może wybawić Polskę.

Około Zielonych Świątek, kiedy już prawie wszyscy jezuici byli wyjechali, przyjechał po mnie Józef z podwodą osobną pod księgi. Pożegnawszy tedy Połock i zabrawszy paki z książkami i mój portret Batorego, wyjęty z ram i skręcony w rulon, wyjechaliśmy z tego miejsca, w którem kilka lat prawdziwie szczęśliwych, bo spokojnych i świętobliwych przeżyłem. Wkrótce po powrocie do Mozołowa ojciec dał mi konie do Rudawki dla zobaczenia się z matką, która wówczas przebywała u Korbutów przy Salomei, która się tam uczyła. We dwa dni po moim przyjeździe do Rudawki powrócił z podróży wuj Korbut i zaproponował mnie, żebym po wyborach, które w końcu tego miesiąca w Mińsku zaczynały się, przyjechał do niego, a stąd już razem z Dominikiem i ze Śliźniami żebyśmy jechali do Uniwersytetu Wileńskiego i żebym, jako starszy od nich, miał nad nimi pewien rodzaj opieki. Przyjąłem tę propozycję i pośpieszyłem do ojca, wybierającego się już także na wybory.

Zebraliśmy się w Mińsku, równie jak przed trzema laty,

gromadą, pod przewodnictwem stryjaszka p. Jerzego, który trwał w zamiarze niedopuszczenia Osztorpa do gubernjalnego marszałkostwa. Jakoż Osztorp, pomiarkowawszy, iż mógłby znowu dostać u nas odkosza, nie podał się nawet na kandydata; a że Zawisza nie chciał być dalej marszałkiem, p. Jerzy namówił Janiszewskiego, żeby ten urząd przyjął, i on jednomyślnie został u nas okrzyknięty. Na tych wyborach więcej u nas było bankietów i traktamentów, to dla forsy, to niby z podziękowaniem za otrzymane urzędy; a między młodzieżą więcej żartów i swawoli, aniżeli zajęcia się ważną funkcją, do której byliśmy wezwani.

IV.

Po wyborach ja z wujem wyruszyłem zaraz do Rudawki, zabrawszy z sobą moją Poliglottę, z której zamierzałem kontynuować naukę wschodnich języków. Przyjechał Ślizień z synami, a Korbut w ich kompanji wyprawił Dominika i mnie, przydawszy nam za przewodnika w podróży Kornela, który miał nam w Wilnie nająć mieszkanie. Wyprawując, wuj, jako bardzo porządny i akuratny człowiek, dał nam marszrutę, kędy mieliśmy jechać, gdzie po drodze i na jak długo zajeżdżać. Między innemi był przepis, aby zajechać do Niańkowa, gdzie mieszkał August Wojniłowicz, niedawno ożeniony z Józefiną Korbutówną. „Tam, powiada wuj, przyjedziecie z rana, po noclegu w Koreliczach, zjecie u nich śniadanie i na południe będziecie w Nowogródku, gdzie możecie być na obiedzie u Igelstromów", stamtąd na noc, już nie pamiętam, do jakiego miejsca, i tak na całą drogę. Ślizień i Kornel przyrzekli najświęciej spełnić te przepisy.

Zajechaliśmy więc do Wilna i znaleźliśmy umieszczenie wygodne w pensjonacie pana Żakotego, Szwajcara, żonatego z naszą szlachcianką, Kamińską. Pensjonat ten mieścił się na pierwszem piętrze w domu kapitulnym na Zamkowej ulicy przy zaułku Bernardyńskim, gdzie potem na dole była księgarnia Zawadzkiego. Zastaliśmy już w nim Józefa i Ludwika Kossakowskich, Brunona, Urbana Benisławskiego, z połockich kolegów, i kilku innych nowych. Zaraz po zapisaniu się do albumu ja zacząłem odwiedzać lekcje różnych kursów uniwersyteckich, żeby wybrać sobie przedmiot, z którego wykładem tamecznym nieco się obeznawszy mógłbym zdać egzamin dla potwierdzenia któregokolwiek z moich stopni połockich, to jest magistra filozofji lub magistra prawa. Bo zwierzchność

uniwersytecka, do której się udawałem o to potwierdzenie, stawiła egzamin za nieodzowny warunek. Chciałem zaś otrzymać to potwierdzenie na wstępie, żeby po roku, który zamierzałem przebyć w Uniwersytecie, ubiegać się o stopień doktora. Ale musiałem tego projektu odstąpić, bo byłoby za trudno, więc zapisałem się tedy na wydział prawa i wziąłem się szczerze do pracy.

W krótkim czasie pilnością i odpowiedziami na powtarzaniach lekcyj (bo ten był zwyczaj w Uniwersytecie, że profesorowie co kilka lekcyj odbywali gatunek małego egzaminu, z którego formowali swe zdanie o postępie uczniów) zasłużyłem na dobrą opinję u profesorów: Capellego, Daniłowicza, Lelewela, i na szacunek u moich kolegów. A to była rzecz wyjątkowa względem nas przybyłych, bo ze stu prawie takich, którzy się zapisali do Uniwersytetu, ledwo kilku brało się szczerze do nauk; inni wszyscy, zrażeni trudnością, odznaczali się tylko hulanką i powoli poznikali z ławek uniwersyteckich.

Pilnością moją do nauk i prowadzeniem się tyle pozyskałem względów u starszych kolegów, że zaszczycili mię wezwaniem do Towarzystwa Filaretów. Bo nie wszystkich przyjmowali, którzy byli w Uniwersytecie, ani tych, co sami chcieli, ale tylko wybranych. Towarzystwo to było niby tajemne, chociaż i zwierzchność i wszyscy bardzo dobrze o niem wiedzieli. Tajemnica zaś cała była tylko w tem, że posiedzenia nie były publiczne, ale wyłącznie z członków Towarzystwa zgromadzane. Celem tego Towarzystwa było usposobienie młodzieży do stania się pożytecznymi dla kraju obywatelami, a to przez poprawę obyczajów i pilne przykładanie się do nauk. Uprzednio bowiem, a mianowicie po wojnie francuskiej, młodzież uniwersytecka, puszczona do miasta bez hamulca, wdała się była w swawolę, nauki zaniedbywała i zasłynęła rozpustnem prowadzeniem się i zuchwalstwem. Trudno było temu zaradzić, bo zwierzchność uniwersytecka nie miała wtedy władzy karcenia młodzieży; wyłączyć także źle prowadzących się z liczby uczniów nie mogła, bo zepsucie ogarnęło było prawie wszystką masę młodzieży; i przytem na lekcje uniwersyteckie wolno było każdemu, nawet niezapisanemu do albumu, a nawet i damom uczęszczać. Ale kilku gorliwszych obywateli, a między nimi Jan Chodźko i Michał

Romer, dbając o przyszłość kraju, któryby wielce ucierpiał, gdyby taka zepsuta młodzież ciągle z Uniwersytetu wychodziła, za wiadomością, a podobno i za natchnieniem od księcia Czartoryskiego, kuratora Uniwersytetu, postanowili wpłynąć na młodzież środkami, zdolnemi zachęcić do pracy i poprawy obyczajów. Za najdzielniejszy zaś środek między innemi poczytali: założenie towarzystwa między tą samą młodzieżą, mającego te dwa względy na celu.

Samo przypuszczenie do tego towarzystwa musiało być już podnietą do odznaczenia się szlachetnem postępowaniem i pilnością w naukach. Zwrócili więc oko na najlepszych w owym czasie uczniów uniwersyteckich i zachęcili ich do założenia takiego towarzystwa, niby z własnego ich samych popędu. Zebrało się tedy grono niewielkie z ogromnej liczby uczniów, bo tylko kilkunastu, a mianowicie: Franciszek Malewski, syn rektora Uniwersytetu, Adam Mickiewicz, Tomasz Zan, Józef Jeżowski starszy, Jan Czeczot, Józef Kowalewski, Teodor Łoziński, Onufry Pietraszkiewicz, Adam Suzin, Jan Sobolewski, Wincenty Budrewicz, Ksawery Wysocki i jeszcze kilku, których nazwisk zapomniałem. Ci wszyscy w 1816 roku zawiązali Towarzystwo pod imieniem Filomatów, to jest przyjaciół pracy, w tym celu, żeby się samym najprzód ukształcić do przewodniczenia młodzieży, a następnie przykładem własnym i wpływem pobudzić innych do zawiązania się w towarzystwo pilnych i dobrze prowadzących się uczniów. Jakoż, lubo sami już kończyli nauki i otrzymali stopnie,poświęcili się szlachetnie dla dobra kraju na dalsze trwanie w Uniwersytecie jako uczniowie i, przysposobiwszy już cokolwiek młodzież przez dwa lata swoim wpływem, w 1818 roku założyli Towarzystwo Promienistych, tak nazwane przez aluzję: że członkowie tego Towarzystwa, jak promienie wychodząc z tego ogniska, rozniosą po kraju oświatę, dobre obyczaje i zacny sposób myślenia. I nie zawiedli się w tej proroczej nazwie, bo rzeczywiście od owego czasu, w miarę wychodzenia młodzieży z Uniwersytetu, zaczęły polepszać się obyczaje w całym naszym kraju: bezbożność, pijatyka, szulerstwo, rozpusta powoli gasły i nareszcie całkiem pomiędzy nami zniknęły.

Dla tego Towarzystwa Promienistych sama zwierzchność

uniwersytecka ułożyła ustawę. Przystąpiło doń zaraz ze trzystu uczniów i na prezydenta Towarzystwa wybrali Tomasza Zana. Od pierwszej chwili niezwłocznie okazały się wyśmienite skutki, nagła zmiana w prowadzeniu się młodzieży; zamiast tego co dawniej na salach lekcyjnych ledwo po kilku znajdowało się, a w kościele nikt prawie; od owego czasu sale zawsze były pełne i kościół uczęszczany, a rozpusta i burdy poprzednie za hańbę już były poczytane. Cieszyli się tedy i założyciele, i wszyscy zacni ludzie w Wilnie, i w całym kraju z takiego zwrotu sposobu myślenia młodzieży. Ale, jak to pospolicie bywa na świecie, między zacnymi i mądrymi znaleźli się i nikczemnicy i ciemni.

W 1819 r. profesor ekonomji politycznej, Znosko, tchórz i niedowarzony człowiek, słysząc, że cesarz Aleksander zaczął krzywo patrzeć na masonów i wogóle z liberalnego, jakim się okazywał dotąd, zaczął prześladować liberalność, wyobraził sobie, że takie towarzystwo młodzieży może także być poczytane za liberalne, tem bardziej, że młodzież polska rozprawiała o podtrzymaniu narodowości; a zatem, że cesarz może rozgniewać się na Uniwersytet, zamknąć go, i profesorowie potracą swe pensje. Sam siebie tedy trwożąc, zaczął trwożyć i kolegów, a nakoniec trafił do biskupa Kundzicza, strasząc go, że młodzież pod nazwą Promienistych zakłada nową religję, czci słońce, bo zgromadza się za miastem przed wschodem słońca i wita je hymnami i t. d. To zgromadzenie się ranne za miastem było prawdą, bo Zan, chcąc zachęcić młodzież do rannego wstawania i rzeźwości, a nie przerywać lekcyj na posiedzenia Towarzystwa, wyprowadzał ją w ranki letnie za miasto na śliczne doliny Popław lub Hrybiszek; i tam przy rannem śniadaniu ze świeżego mleka odbywały się mowy, czytano wiersze, śpiewano hymny dla zabawy, a naturalnie były aluzje do Promienistych i do słońca.

Biskup Kundzicz, uwierzywszy panu profesorowi, udaje się do rektora i prosi go, żeby zabronił tego Towarzystwa, bo młodzież doprawdy może wpaść w jakieś błędy względem religji. Pomogli zaraz i niektórzy koledzy Znoski, zwłaszcza cudzoziemcy, przezeń już przestraszeni, egzagerując różne plotki o niebezpiecznych zamysłach młodzieży tak, że rektor nakoniec cofnął swoją ustawę i zakazał Towarzystwa. Ale założyciele i Filomaci, oceniając wyprowadzone już skutki tego Towarzystwa, uchwalili założyć

nowe, tajemne; a doświadczeniem nauczeni, postanowili skorzystać z tego zakazu, żeby wyłączyć tych, którzy weszli do Towarzystwa tylko dla zabawy, przypuścić zaś do nowego sam wybór młodzieży. Żeby jednak i na resztę uczniów działać, umyślili tym wybranym polecić opiekę nad całą masą uczniów, rozdzielając ich każdemu po kilku, których miał nadzierać i przykładem swoim ku dobremu sprawowaniu się prowadzić. Takim sposobem, zamiast pewnej liczby, wszyscy uczniowie mieli być niejako ogarnięci pod wpływem zbawiennym przewodniczej myśli. To nowe towarzystwo, już niby tajemne, nazwali Filaretami, to jest przyjaciółmi cnoty.

Otóż będąc i ja postrzegany w ciągu kilku miesięcy przez jednego z owych nadzorców Filaretów, mianowicie przez Jakóba Jagiełłę, któremu bez wiadomości mojej byłem poruczony, zostałem nakoniec za jego przedstawieniem wezwany i sam na członka Towarzystwa. Rozumie się, że chętnie i z radością przyjąłem to wezwanie i zostałem wprowadzony na główne posiedzenie, odbywające się pod przewodnictwem prezydenta Towarzystwa, Tomasza Zana. Formalności w przyjęciu żadnych szczególniejszych nie było, tylko prezydent krótką przemową witał przyjmowanego, wyłuszczał mu cel Towarzystwa i obowiązki, a przyjmowany odczytał zobowiązanie, które podpisawszy składał w ręce prezydenta. Zobowiązanie to na uczciwość i słowo honoru nie było właściwie przysięgą, ale warte przysięgi; tak święcie je pojmowaliśmy i zachowywali. Odczytałem je z energją, podpisałem i odtąd zasiadłem w poczcie towarzyszów, z którymi i prace zacząłem podzielać.

Towarzystwo dzieliło się na siedm gron, przezwanych od kolorów składanych promienia słonecznego: różowe, pomarańczowe, żółte, zielone, błękitne, szafirowe, fioletowe; nazwy te od kolorów pozostały w spadku po uprzedniem Towarzystwie Promienistych. Każde grono odbywało swe posiedzenia oddzielnie, co dwa tygodnie, pod kierunkiem wybranego przez członków przewodnika. Co dwa tygodnie były posiedzenia każdego grona i co drugie dwa tygodnie posiedzenie główne, tak, że one szły kolejno, jednego tygodnia w gronach, drugiego główne. Na tych posiedzeniach zdawano sprawę przewodnikowi

z czynności członków względem nadzoru nad kolegami, nienależącymi do Towarzystwa, i czytano rozprawy i różne wypracowania w przedmiotach naukowych. A z każdego grona po dwóch deputowanych kolejno i przewodnik zgromadzali się na główne posiedzenie pod kierunkiem prezydenta Towarzystwa, dla zdania sprawy z posiedzeń i czynności gron, tudzież dla przyjęcia rozporządzeń.

Grona formowały się pospolicie z kolegów jednego fakultetu nauk, to jest: w osobnem byli prawnicy, w osobnem filozofowie, toż matematycy i medycy. Ale ten podział nie był zupełnie ścisły, bo naprzykład filolog mógł liczyć się w gronie prawników, i nawzajem, chociaż każdy wolał być z kolegami swego przedmiotu dla tej przyczyny, że czytane na posiedzeniach wypracowania były zwyczajnie stosowne do oddziału nauk, właściwych ogółowi członków grona. Wydziały naukowe składały niektóre po dwa grona, niektóre po jednem, to się układało podług liczby członków z różnych fakultetów, chociaż i ta nie była w każdem gronie jednostajna. Ja, trzymając się byłego opiekuna mego, Jagiełły, zaliczony zostałem do grona literackiego, zwanego błękitnem, do którego i on należał, i w którem przewodnikiem był Józef Kowalewski.

W tym samym domu, gdzie był nasz pensjon, mieszkała wtedy na drugiem piętrze osoba, która później przyczyniła się, chociaż mimowolnie, do utrapienia filaretów. Była to owa sławna Tekla Walentynowiczówna, z którą w tymże roku ożenił się Zubow. Rodzice jej posiadali pod Wilnem fortunkę z kilkunastu włościan; ojciec już nie żył, tylko matka. Ta, mając kilka pięknych córek, przybyła z niemi do miasta w zamiarze zapewne nastręczenia im sposobności łatwiejszego znalezienia mężów. Jakoż, nad jej spodziewanie udało się to jej pomyślnie. Starsza córka była już za pisarzem ziemskim, Pisanką; ale kiedy Zubow ożenił się z drugą, a ta, wprędce owdowiawszy, zachwyciła swemi wdziękami Nowosilcowa, znaleźli się natychmiast amatorowie i na pozostałe panny i na Pisankową, której już za nisko się wydało być tylko panią pisarzową. Rozwiodła się niezwłocznie z tym mężem i wyszła za wileńskiego wicegubernatora Bobiatyńskiego, zapewniwszy mu przez fawor Nowosilcowa gubernatorstwo grodzieńskie, które zaraz otrzymał. Z panien zaś jedną chwycił

niejaki Siesicki, sąsiad podobno Zubowa na Żmudzi, drugą Ostromęcki, kolega mój uniwersytecki, rodem z pod Grodna, obaj bogaci. Przyszła księżna Zubowowa, naówczas jeszcze pokorna panienka, była narzeczoną i miała wkrótce zaślubić niejakiego Wyżyckiego z Białejrusi, który ją kosztem swoim edukował i podobno na potrzeby całego ich domu podpomagał, bo wiem, że prawie całą swoją fortunkę, ze sto kilkadziesiąt tysięcy, na nich wyekspensował. Wiem zaś o tem, bo Wyżycki często u mnie przesiadywał, a zwłaszcza kiedy Zubow zaczął nacierać, opowiadał mnie o swoich prawach. Zubow z początku nie miał zamiaru żenić się z panną Walentynowiczówną; ale spodziewał się, że, ofiarując jej te same warunki, co innym poprzednim swoim przyjaciółkom, to jest miljon dla niej i po miljonie dla każdego z dzieci, któreby z nią miał, otrzyma łatwo jej i familji zezwolenie. Postrzegłszy tedy ją na reducie, przysłał do jej matki z tą propozycją. Ta, rozumniejsza od innych, popróbowała, czy nie uda się lepiej córki sprzedać. Odrzuciła tedy ową propozycję, oświadczając, że kiedy pan Zubow chce jej córkę posiadać, to nie inaczej otrzyma, jak pojmując ją za żonę. Odrazu więc była już zdecydowaną, pomimo tylu ofiar Wyżyckiego, zerwać dane mu przyrzeczenie.

Stary Zubow po niejakich wahaniach się, podżegany wdziękami panny, której widok często już miał sobie nastręczany, zdecydował się nakoniec oświadczyć się o jej rękę. Panna Tekla podobno z początku nic o propozycjach owych nie wiedziała. Kochała, zdaje się, szczerze Wyżyckiego, bo, kiedy Zubow oświadczył się o jej rękę, ona długo z odrazą od niego uciekała, płakała, lamentowała, zaprzysięgała Wyżyckiemu, że nigdy go nie porzuci. Ale, kiedy matka i siostry na kolanach ją błagać zaczęły, żeby dla uszczęśliwienia familji poświęciła się, ona nareszcie „poświęciła się", i ślub z Zubowem natychmiast nastąpił tamże u nich w mieszkaniu. Wyżycki podczas tego ślubu u mnie desperował i wkrótce potem, wyrzekłszy się nawet kilkudziesięciu tysięcy rubli, które mu Zubow ofiarował na wynagrodzenie kosztów, przezeń poniesionych, wyjechał do Królestwa Polskiego i tu zaciągnął się w służbę wojskową. Pokazało się później, że pani Zubowowa nietylko poświęciła się, ale i miłości swej dla Wyżyckiego szczerze wyrzekła się. Bo kiedy po śmierci księcia została wolną i bogatą,

a Wyżycki przyleciał, sądząc, że teraz może jemu i sobie wynagrodzić owo poświęcenie się, ona go odtrąciła. Pobałamuciwszy potem czas niejaki ze swym opiekunem, Nowosilcowem, gdy umarła jej córeczka, urodzona już po śmierci Zubowa, wzięła po niej ogromną sukcesję w Kurlandji i wyszła nakoniec zamąż za grafa Szuwałowa.

Na wakacje w tym roku pojechałem do domu już nie przez Rudawkę, ale prosto przez Mińsk. Po kilku tygodniach, przepędzonych dosyć wesoło, jak zwyczajnie wtedy było w naszych stronach, zabierałem się zpowrotem do Wilna. Umyśliłem na ten rok wziąć z sobą Karola, uprosiłem ojca, żeby pozwolił mnie zabrać go z sobą do Wilna. Przybyliśmy z nim do Wilna przed rozpoczęciem kursów uniwersyteckich. Mieszkanie nająłem w domu Ogińskiego na Rudnickiej ulicy; a że miałem dwa pokoje dosyć obszerne, zaprosiłem swoich kolegów, filaretów grona błękitnego, na posiedzenia do mnie. Później i drugie grono, różowe-prawnicze, także u mnie odbywało swe posiedzenia, jedno w sobotę, drugie w niedzielę. Ale to nasze zbawienne Towarzystwo w pół roku musiało już rozwiązać się. W lutym bowiem, czy w marcu, wyszedł ukaz cesarski, zabraniający pod surowemi karami wszelkich tajemnych towarzystw. Nasi dyrygujący niewidomie młodzieżą, na czele których był podobno gubernjalny marszałek Romer, obawiając się, żeby nas nie narazić przed rządem, uradzili wskutek tego ukazu zamknąć nasze Towarzystwo. Zan tedy, zgromadziwszy przewodników i deputowanych ze wszystkich gron, obwieścił o potrzebie tego rozwiązania i niezwłocznie wszyscy na posiedzeniach gronowych, lubo z wielkim żalem, podpisaliśmy tę uchwałę i rozwiązaliśmy się stanowczo. Byliśmy spokojni co do następstw, bo spełniliśmy nietylko bez oporu, ale dobrowolnie wolę rządu; wszelako to później nam nic nie pomogło.

Razem z rozwiązaniem Towarzystwa musiały też ustać różne zaprowadzone w niem pożyteczne instytucje, mianowicie: komitet do wspierania niedostatnich uczniów, który ze składek dobrowolnych przyczyniał się do utrzymania kilkudziesięciu kolegów; komitet statystyczny, który miał już przygotowany znaczny zbiór materjałów do ułożenia statystyki wszystkich naszych gubernij, przyłączonych od Polski.

Materjały te zbierały się podczas wakacyj przez nas, każdy ze swego powiatu, podług ogólnej danej nam instrukcji. Ja złożyłem podług niej opisanie powiatu ihumeńskiego z wyszczególnieniem wszystkich miasteczek, osad, wsi, dóbr, ludności wszelkich stanów i wieku, zakładów, lasów, pól, łąk, urodzajów przemysłu i t. d. Wiadomości te były nader dokładne, czerpano po większej części z aktów urzędowych i z naocznego obejrzenia. Musiały też ustać lekcje publiczne, wykładane przez naszych kolegów w salach uniwersyteckich, które zwierzchność naukowa dozwoliła była z takich przedmiotów, do których nie było profesorów. Między tymi odznaczali się Jeżowski, który wykładał hodegietykę, to jest objaśnienia treści i związku wszystkich nauk, żeby ułatwić początkującym uczniom wiadomość o nich dla wybrania sobie nadal przedmiotów, w których mogliby kształcić się; tudzież Józef Chodźko, junkier wówczas od inżynierów, dziś generał, Filaret, który wykładał jakąś gałęź nauk matematycznych, zastosowanych do inżynierji. Ustała nakoniec i opieka filarecka nad wszystkimi kolegami, nienależącymi do Towarzystwa, których, każdy w swojem wydzielonem mu kółku, przykładem, zachętą, namową, pobudzał do pilności, dobrych obyczajów i sposobienia się na pożytecznych dla kraju obywateli. Jednakże popęd, dany w tym kierunku, i nadal między młodzieżą pozostał.

Rok ten odznaczył się w Wilnie pobytem gwardji, która była wysłana z Petersburga na Litwę, jak powiadano, za jakąś pokutę, lecz rzeczywiście podobno za demonstrację czyli pogróżkę komuś podczas ówczesnych zawichrzeń włoskich i hiszpańskich. Oficerowie na wszystkich zgromadzeniach rej chcieli prowadzić, stąd zachodziły nieraz przykre zajścia z akademikami. Wielki książę, wówczas i komenderujący brygadą, stojącą w Wilnie, Mikołaj obrażał się temi zajściami; a co go najwięcej przeciw nam i przeciw Wilnu rozjątrzało, to, że nikt go samego bardzo nie szanował; zwłaszcza na akademików był urażony, iż czapki przed nim nie zdejmowali. Sam był zawsze ponury, wywiędły, zgoła niepodobny do tego, jak potem, zostawszy cesarzem, wyglądał. Jeżeli pokazał się kiedy na ulicy, to szedł szparko, ze spuszczoną głową, kwaśny, jakby z siebie i z całego świata niekontent. A przez cały czas w domu nic więcej nie robił, tylko

po całych dniach musztrował w sali swoich sołdatów, co przez okna widywaliśmy. Nikt go też nie lubił, nie przewidując nawet jeszcze, iż on wkrótce zostanie naszym panem; ale może przeczuwając, jakim będzie. Michał, także komendant brygady, stał w Święcianach. Ten tylko hulał, ale po swojemu. Naprzykład, na rozrywkę obrał sobie jeżdżenie na Żydach. Skoro deszcz wypadł, a w miasteczku niebrukowanem zrobiło się błoto, on zwoływał Żydów, kazał im stawać na czworakach, siadał na najroślejszego, jak na konia, z nim na drugich cała świta oficerów, i tak kazali siebie obwozić po ulicach, płacąc im wprawdzie zato hojnie.

W. ks. Konstantego, który często przyjeżdżał do Wilna, więcej szanowaliśmy, choć może z obawy przed nim, i akademicy czapkowali. Aleksandra zaś, kiedy przyjechał wiosną na rewizję korpusu gwardyjskiego, który cały był w Wilnie zgromadzony, witaliśmy z uniesieniem; bo ciągle jeszcze marzyliśmy, że on podług swej obietnicy Litwę do Polski przyłączy i stanie się doprawdy naszym dobroczyńcą. Ale on te marzenia wkrótce wybił nam z głowy i za życzliwość naszą ku niemu zapłacił nam prześladowaniem.

V.

Tymczasem rok szkolny kończył się i wyjechałem na wakacje do domu. Wakacje przepędziłem częścią w Rudawce, częścią w Mińsku. W Rudawce poznałem się z senatorem Ilińskim, który z żoną swoją Francuzką mieszkał kilka miesięcy w Nieświeżu w oficynie klasztoru panien benedyktynek. Powiadał sam, że przyjechał do klasztoru na pokutę, którą sam sobie na cały rok założył; ludzie powiadali, że tę pokutę on naznaczył był żonie za jakieś o niej podejrzenie, lecz nie chcąc opuścić żony, i sam z nią pokutował. Zabawną nawet historję o tem opowiadano. Jakoby on składał na żonę sąd z oficjalistów dóbr swoich, Romanowa, na Wołyniu, i sam, zasiadłszy w sali na tronie w asystencji siedzących w półkole sędziów, kazał przyzwać żonę i, wyprowadziwszy jej sprawę ze wszystkiemi formalnościami, po naradzie z owym sądem wydał na nią dekret na rok pokuty w klasztorze. A dekret ten, równie jak i wszystkie wychodzące od niego polecenia, nawet gospodarskie, zaczynały się od tych wyrazów: „My, z Bożej łaski hrabia na Romanowie, August Iliński, pierwszy senator Cesarstwa Rosyjskiego i t. d." Dlaczego mianował się „pierwszym" senatorem, nie wiem, podobno ze starszeństwa daty nominacji, ale na godność senatora wyniesiony był przez Pawła, któremu pierwszy doniósł o śmierci Katarzyny, a służył wtedy w gwardji w randze pułkownika.

Pomimo tego dziwactwa co do swej wielkości, był to człowiek prawy i religijny. Wpadł w niełaskę u Aleksandra zato, że, kiedy było przez cesarza polecone Senatowi wydać, czy zatwierdzić, już gotowy ukaz o przyłączeniu naszych unitów do kościoła prawosławnego, Iliński oparł się temu na zgromadzeniu Senatu i wywiódł, że właśnie kościół prawosławny jest w błędzie i powinienby przychylić się do papieża. Przyłączenie więc owo

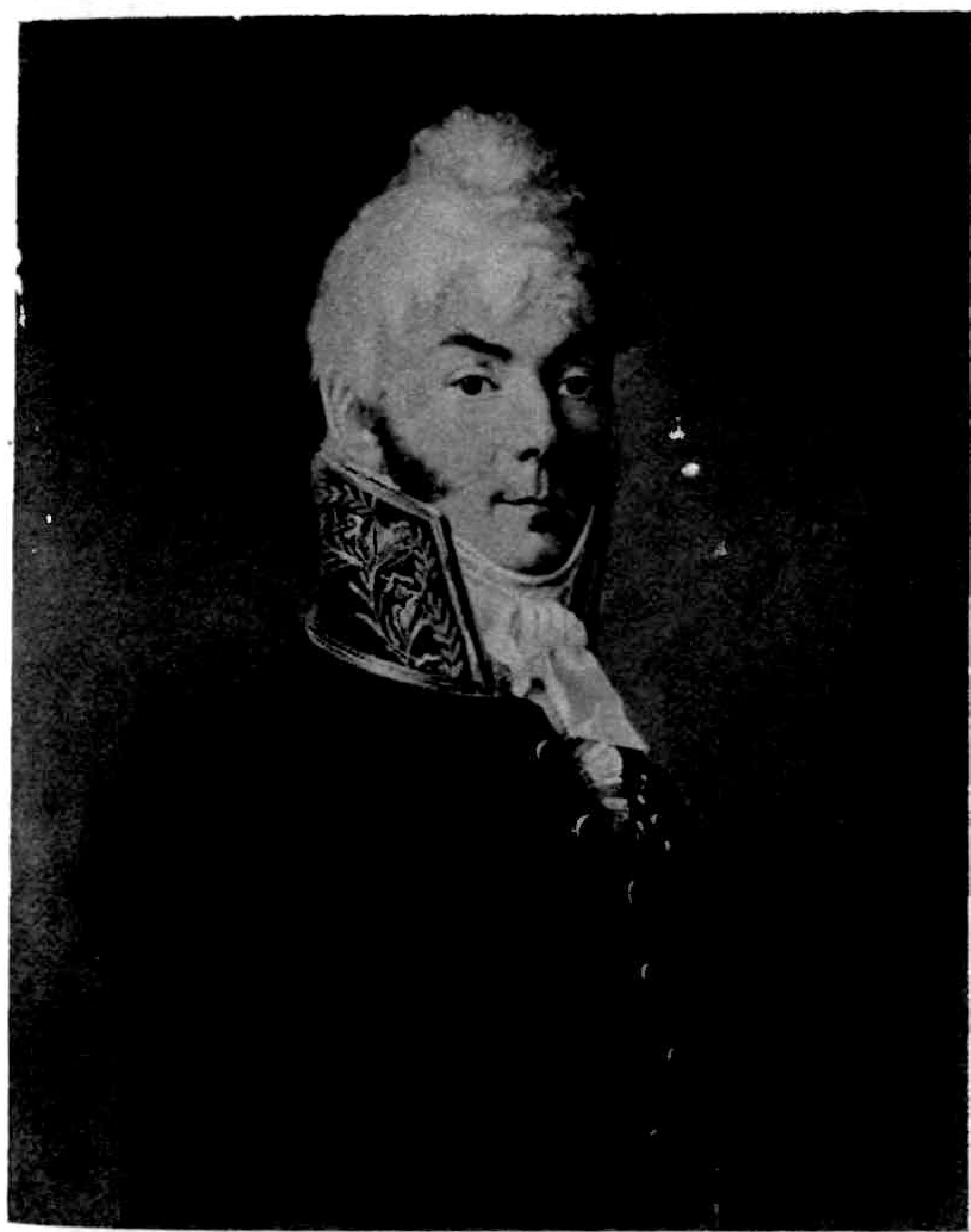
unitów powstrzymane było wówczas przez Ilińskiego; lecz zato, chociaż pod jakimś innym pozorem, kazano mu wyjechać z Petersburga i dlatego mieszkał u siebie w Romanowie. Z kompanją rudawską byłem u niego kilka razy na obiedzie i na koncertach, dawanych przez jego muzykę. Odznaczała się w nich szczególniej śpiewaczka panna Romani. Była to włościańska dziewczyna z Romanowa, która za swój talent do śpiewu została wyedukowana kosztem Ilińskiego i do kompanji państwa przypuszczona. Iliński, mając zamiar przyjechać na zimę do Wilna dla dopełnienia roku swej pokuty, raczył mnie zapowiedzieć, iż w Wilnie będzie rad mnie u siebie widywał. Jakoż nie zaniedbałem korzystać z tej jego grzeczności, a on wzajemnie nie zaniedbywał oświadczać mi zawsze swoją protekcję. Ale ja wiedziałem, że to tylko słowa, i to trochę na dziwactwo zakrawające, bo wszystkim zawsze zapowiadał swoją protekcję, i tym nawet, którzy wcale żadnej protekcji nie potrzebowali.

Ubolewałem nad Józefem, że on, siedząc w domu, nie może dalej kształcić się naukowo. Namówiłem go tedy, żeby na ten rok jechał ze mną do Uniwersytetu. Wkrótce po przybyciu do Wilna przyjął Józef posadę guwernera u profesora Becu, przy pasierbie jego, Juljuszu Słowackim. Ja zaś dla siebie z Karolem nająłem mieszkanie w domu Gutta, aptekarza. Zaczęliśmy rok szkolny pracowicie i wesoło. Wieczory przepędzaliśmy kolejno w domach Becu, Guttów, Wysogierdowej, Woyniłowicza, który był żonaty z Güntherówną, siostrą nieboszczki wujenki naszej Korbutowej, i najmilsze dla mnie u Narkiewiczów, przy których mieszkała wtenczas cioteczna siostra nasza, Antonina Poradowska. Sama pani Narkiewiczowa była siostrą jej ojca, Poradowskiego. Na zimę zebrało się do Wilna mnóstwo zamożniejszych i kilka pańskich domów: Potockiej, Pacówny z domu, która potem wyszła za jenerała Niesiołowskiego, a przy której mieszkała starsza Poradowska, Zofja; Czetwertyńskich, Tyszkiewiczów, Radziwiłłów, Łopacińskich i innych, którzy, rozebrawszy sobie dnie koleją, dawali przez cały karnawał świetne bale, nazwane przez skromność „wieczorami". Zgromadzało się na każdy po kilkaset osób, niekiedy w kostjumach; a co tylko Litwa miała dostojniejszego i piękniejszego, wszystko na tych zgromadzeniach

można było spotkać. Poeci też nasi młodzi: Odyniec, Chodźko Aleksander, Juljan Korsak, mój Józef, opiewali te wieczory w ulotnych drukach, które publiczność na pamiątkę owej świetnej zimy rozrywała. Niestety! były to ostatnie chwile wesołych dni na Litwie, po których miały nastąpić ciężkie utrapienia, jak żałobny mrok po jaśniejszym połysku dogorywającej lampy.

W tych czasach także Towiański zaczął rozwijać swoje urojenia. Poznał się on był z Guttem Ferdynandem i z Walentym Wańkowiczem właśnie u mnie. Prawił on i mnie o swojej teorji, którą był wysnuł wtedy, przechadzając się z Guttem po bulwarze przed ratuszem. Postrzegli obok na ulicy jakiegoś Żyda, wiozącego drwa na koniu kulawym; koń pod wozem ciężkim ustawał, a Żyd go niemiłosiernie grzmocił drągiem. Towiański zatrzymuje się na ten widok i powiada do Gutta: „Patrzaj, koń kulawy nie może podołać ciężarowi, a jednak niewinnie cierpi. Wszakże to istota, mająca duszę, równie jak i my; za cóż ta dusza cierpi, kiedy jest niewinna? Bardzo może być, że to za grzechy przeszłego życia. W tem cierpieniu oczyszcza się i zbliża się do Boga. Więc to musi być kolej nasza i wszystkich stworzeń żyjących. Dusze ludzi złych nie mogą wstąpić do Boga, aż po oczyszczeniu się przez cierpienie, które zapewne w ciałach zwierząt ponoszą. Lecz, że prócz oczyszczenia trzeba potem zasług, a tych nie mogą mieć w stanie zwierząt, więc odradzają się znowu w ludziach i, jeżeli położą zasługi, przechodzą w jakieś doskonalsze istoty, aż póki nie zostaną godne połączyć się z Bóstwem. Musi tedy być pewien rodzaj drabiny, po której szczeblach albo wstępujemy coraz wyżej ku doskonałości, albo zniżamy się w twory niższe od nas, i na nowo musimy zaczynać pracę wstępowania. W ciągu nawet jednego życia człowiek może wznosić się po tej drabinie coraz wyżej przez kształcenie swej duszy wykonywaniem cnoty, albo zniżać się przez nikczemność i podłe uczynki. To pęd dolny, a tamten górny. Usiłować tedy każdemu należy, aby trzymać się pędu górnego; i kto kocha bliźnich, powinien im w tem pomagać, żeby w tymże pędzie postępowali".

Tak się wyformułowała u niego początkowa jego teorja, której emblematem została „drabina". W dalszym rozwoju dogmatycznym wymarzył sobie Towiański, że w objawieniach religji swojej ludziom Bóg także używał pewnego stopniowania,



Mikołaj Nowosilcow.

t. j. zesłał najprzód Chrystusa dla objawienia światu ewangelji, której treścią i celem jest roznieceenie miłości braterskiej między ludźmi pojedyńczymi. W drugim stopniu zesłał Napoleona, którego celem miało być, podług mniemania Towiańskiego, utworzenie braterstwa między narodami; przeto Napoleon już miał wyższą misję od Chrystusa i, co zatem idzie, wyższym od niego był prorokiem. W trzecim dopiero stopniu miał być ten, któremu Bóg natchnął pomysł tej drabiny, wieńczącej piramidę myśli Bożej względem udoskonalenia rodu ludzkiego. Ten prorok oczywiście miał posłannictwo najwyższe, którego celem być miało skoncentrowanie masy spółziomków koło niego, żeby tą nową siłą podźwignąć Polskę, jako męczenniczkę, cierpiącą dla zbawienia ludzkości; przez nią podźwignąć całą Słowiańszczyznę, a przez tę już wpłynąć na udoskonalenie i podźwignienie do górnego pędu wszystkich ludów ziemi. Takim sposobem, chociaż w gruncie rzeczy upośledzał Chrystusa i religję chrześcijańską, stawiąc ją jednak na pierwszym szczeblu objawienia bożego, zalecał ją szanować i owszem najprzód do niej nawracać tych, którzy żadnej religji nie wyznawali, albo słabymi w pełnieniu jej przepisów okazywali się.

W późniejszych czasach, kiedy postrzegł oburzenie powszechne na to stopniowanie objawień bożych, zaczął ukrywać dalszy szereg swych pomysłów, udając nawet najgorliwszego katolika i tylko głównym adeptom zwierzając resztę swej myśli; ale z początku otwarciej całą osnowę objawiał. Że zaś miał dar szczególniejszy wymowy, a siłę myślenia wielką, łatwo wpływał na słabe umysły z bujniejszą wyobraźnią i nieugruntowane w religji.

Pierwszymi jego zwolennikami zostali Gutt i Wańkowicz. Gutt, człowiek z bystrem objęciem, dobrze pojmujący nauki medyczne, w których świeżo stopień doktora otrzymał, ale zapaleniec, tem łatwiej uwierzył w urojenia Towiańskiego, że prawie nie znał religji chrześcijańskiej, będąc wychowany bez gorliwości w kalwińskiem wyznaniu; Wańkowicz z tępą głową, zaprzątnięty jedynie malarstwem, nigdy się nie wdawał w głębsze idee naukowe lub religijne; ale skłonny do ponurych marzeń, uderzony pozorną wielkością pomysłów Towiańskiego i mistycyzmem, którego nie rozumiał, ślepo mu zawierzył i tylko

w praktyce domowego życia dawał uczuć swą gorliwość o pobudzanie do górnego pędu wszystkich, na których mógł działać.

Z zasad Towiańskiego wypadało, że przez miłość bliźniego należy pobudzać ludzi do górnego pędu wszelkiemi sposobami, jakie tylko mogą być skuteczne. Zatem, nie zważając, czy to swoi, czy obcy, czy mamy nad nimi jakie prawo, czy nie mamy żadnego, skoro tylko mamy zręczność po temu, powinniśmy pysznych upokarzać, mającym pęd dolny szkodzić nawet, żeby ich przeto zwrócić do górnego pędu. Więc tem bardziej, jeśli żona, dzieci lub sługi wydają się komu zniżającemi się na drabinie, powinien je karcić, surowo karać i dręczyć nawet, aż póki się nie zwrócą ku górze. Rodziców nawet nie powinien szanować, jeśli mu się zdaje, iż mają pęd dolny. Owszem, okazywać im pogardę, aż póki się nie poprawią.

Sam Towiański dał przykład takiego postępowania z rodzicami, kiedy się żenił. Upodobał był pannę Maksównę, córkę fabrykanta powozów, który już był umarł, a zostawała tylko matka. Ta staruszka miała jakiś defekt w nogach i dla złagodzenia cierpień kazała sobie je drapać, kiedy się kładła do łóżka. Towiański uznał to za pęd dolny i wmówił w swoją narzeczoną, żeby do ślubu nie prosiła o błogosławieństwo matczyne, gdyż matka tego niewarta. Jakoż panna, wstawszy rano, kiedy matka jeszcze spała, poszła sobie do kościoła i ślub wzięła. Powróciwszy zaś do domu, zabrała swe ruchomości i tylko na wyjezdnem powiedziała matce, że się przenosi do męża, z którym już jest po ślubie.

Według tej nauki postępowali z rodzicami i zwolennicy Towiańskiego, ale zato jego mieli za wyrocznię bożą i za pana wszystkiego, co sami posiadali. Zwali go mistrzem i prorokiem, wyższym od Chrystusa i nawet od Napoleona. Żył też, nie żałując sobie, ich kosztem, póki po swoim ojcu spadku nie otrzymał.

Senator Iliński, przybywszy na zimę do Wilna, zamieszkał w domu pani Wysogierdowej, na ulicy Subocz, zwalniając tym sposobem nieco swą pokutę, iż nie zamykał się już w klasztorze; chociaż to prawie na jedno wychodziło, żonie z domu nigdzie ani za próg wyjrzeć nie pozwalał, i u nich mało kto bywał. Razem z nimi przyjechał i u nich mieszkał sławny na Litwie ksiądz

Szantyr, proboszcz słucki, któremu Iliński obiecywał fundować w Romanowie infułację. Ten ks. Szantyr był wielkim dziwakiem; oprócz pretensji bowiem do biskupstwa, którego stroju nie śmiał jednak sobie przywłaszczać, nosił ordery Złotej Ostrogi, Grobu Jerozolimskiego, medalik za rok 1812 i coś więcej jeszcze. Tytułował się hrabią, twierdził że się nazywa „z-Santyr", i gniewał się, że ludzie tak nie mogli wymawiać. Wydrukował swój wywód genealogiczny, w którym dowiódł, że jest najstarszym szlachcicem w świecie, bo ród jego pochodzi aż z Troi od Eneasza, przez królów rzymskich, a przez ich potomków połączony jest związkami familijnemi ze wszystkiemi domami panujących i z najpoważniejszemi rodami szlacheckiemi w całej Europie, a naturalnie i w Polsce. Pomimo tego dziwactwa, był to jednak człowiek niepospolity, zacności duszy nieposzlakowanej, nie łakomy, owszem hojny i czuły dla ubogich; założył w Słucku towarzystwo dobroczynności i całem swojem mieniem je wspierał; gorliwy kapłan, prowadził ustawną polemikę z tamecznemi kalwinami. Sławne jego przysłowie: „Starsza słucka fara, niż kalwińska wiara". W społeczeństwie przyjemny i przez to nawet pociągający, że każdego, kto tylko nosił szlacheckie nazwisko, a tem bardziej jakie znakomitsze, wyprowadzał zaraz genealogję, do pokrewieństwa z sobą przypuszczał i traktował jako krewnego z całą serdecznością.

Pod koniec jakoś zimy zdarzyła się na lekcjach naszych pocieszna awantura, która przez wdanie się tego ks. Szantyra tylko co nie narobiła Uniwersytetowi kłopotu. Capelli, który oprócz prawa rzymskiego wykładał i kanoniczne, pewnego razu, na lekcji tego ostatniego, zaczął dowodzić, że czyściec jest urojeniem, przez księży w średnich wiekach wymyślonem, że przedtem kościół nie uznawał tego dogmatu, że i w starym zakonie go nie znano i t. d. Wywód swój wspierał nietylko powagą wielu autorów i ojców kościoła, lecz i rozumowaniem o naturze ducha i rozmaitemi argumentami metafizycznemi. Ani słówka zaś nie powiedział na obronę tego dogmatu, ani przytoczył żadnych dowodów, jakie ma kościół o jego rzeczywistości. Uczniowie, mianowicie my, świeccy profani, całą wiarą przylgnęliśmy do słów uczonego profesora; duchowni zaś, klerycy, zmarszczywszy czoła, z widocznem obu-

rzeniem słuchali, ale milczeli. Po lekcji jeden ze świeckich, Jacyna, krewny jak inni Szantyra, znajomy jemu i często przezeń nakłaniany do szanowania religji, pobiegł do niego przez płochość, uradowany, że świeżym owym wywodem Capellego przedysputuje żarliwego kapłana i oswobodzi się od jego ustawnych napomnień. Szantyr, wysłuchawszy to wszystko, rusza do Ilińskiego i opowiada mu, co się dzieje w Uniwersytecie. Więc obydwa razem lecą do biskupa i do rektora, proszą o położenie tamy przeciw herezji, którą sami profesorowie usiłują widocznie młodzież zarazić. Przytaczają podejrzenia, które już miano o prawowierności Lelewela i Gołuchowskiego, a tym nowym faktem Capellego stwierdzają swój zarzut. Rektor, którym był już wówczas Twardowski, człowiek sam też religijny, znając tych profesorów, nie dzielił tego posądzenia o nich, lecz na wrzawę, podjętą przez Ilińskiego, Szantyra, biskupa i wszystkie duchowieństwo, przy groźbach, że się to wyżej oprze, musiał przyrzec, że zapobieży, o ile zdoła, wszelkim nadal nieostrożnościom profesorskim, bo tak je nazywał; i rzeczywiście nic innego nie było, tylko nieostrożność. Jakoż Capelli zaraz na następnej lekcji przyszedł do sali wszystek wzburzony, zaczął od wymówki, że uczniowie za pośpiesznie go posądzili, bo na poprzedniej lekcji on wykładał tylko zarzuty, stawione przez heretyków, a teraz dopiero miał wykazać ich wartość, a dogmatu kościelnego gruntowność i prawdziwość. I, rozwijając następnie to założenie, tak gruntownie wszystko zbił, co na poprzedniej lekcji dowodził, tak stanowczo dowiódł i z metafizyki i z ojców kościoła, a nawet ze Starego Testamentu, że jest czyściec, iż wszystkie owe poprzednie wrażenia zniszczył, a przekonanie uczniów o prawdziwości tego dogmatu utwierdził.

Tej zimy brat mój Karol zachorował na nerwową gorączkę, ale w parę tygodni wyzdrowiał, i wkrótce potem musiałem wyprawić go do domu. Dowiedziałem się bowiem, że on wplątał się w tajemne towarzystwo, dziecinne wprawdzie, ale wówczas już bardzo niebezpieczne z przyczyny świeżo zaszłego wypadku w szkołach wileńskich. Ludwik Spitznagel, syn profesora farmacji, kochał się w pannie Aleksandrze Becu. Sam był bardzo małej urody; wyglądał, jak dziesięcioletni chłopczyk, chociaż miał już lat około siedemnastu; Bécuwna zaś piękna wprawdzie i wspaniała,

ale najsłuszniejsza ze wszystkich kobiet w Wilnie, prawie olbrzymka. Szpitznagel też uwielbiał ją raczej jak boginię, i postanowił wyprowadzić ją na królowę polską. A środki do tego ukartował takie: założyć towarzystwo między uczniami, naturalnie rówieśnikami swymi, wszystkim kształcić się jak najusilniej, a szczególniej w matematyce, potem wszystkim wstąpić do służby morskiej, opanować okręt wojenny, opłynąć na nim świat aż do Mandżurji, tam wylądować, ucywilizować Mandżurów, Mongołów i innych Tatarów, uformować z nich potężną armję, przywrócić Polskę i pannę Aleksandrę Becuwnę koronować na królowę polską. Karol mój, przebywając u Józefa w domu Bécu, gdzie często spotykał Spitznagla, przypuszczony został do tajemnicy i przyjął urząd sekretarza towarzystwa, którego prezydentem był naturalnie Spitznagel. Skoro mnie o tem ostrzeżono, ja, słysząc już, co się wówczas stało z uczniami w gimnazjum, pośpieszyłem wziąć dla niego uwolnienie z Uniwersytetu, bo już był zapisany do albumu, i odesłałem go do ojca z uwiadomieniem o przyczynie. Spitznagel zaś ów, ukończywszy zaszczytnie nauki w Uniwersytecie, dostał się potem do Instytutu Wschodnich Języków w Petersburgu i mógłby zrobić piękną karjerę, bo miał otwartą głowę i bardzo wiele zdolności; ale zapaleniec zawsze do najwyższego stopnia, przybywszy z Instytutu do Wilna, poznał tam pannę Rdułtowską, zakochał się w niej, pojechał za nią do Snowia, dóbr jej ojca w Nowogródzkiem, i, nie widząc podobno wzajemności w pannie, tamże w ogrodzie w łeb sobie wypalił.

Co do wzmiankowanego wypadku z uczniami w gimnazjum wileńskiem, który rozpoczął szereg prześladowań młodzieży w Litwie, trzeba wiedzieć, że główną przyczyną tego wszystkiego było czyhanie Nowosilcowa na dochody bogatego Uniwersytetu w Wilnie. Nowosilcow był sam bogaty, miał podobno i rodowe jakieś dobra, ale oprócz tych z samej pensji, którą pobierał jako minister rosyjski przy Konstantym w Warszawie, tudzież za inne swe urzędy i za ordery, a nadto z dochodów starostwa słonimskiego, które mu cesarz dał na utrzymanie, i z dóbr probostwa tamecznego, które, jako dwieście dymów posiadające, także sobie wyprosił u cesarza, mógł mieć rocznego dochodu więcej miljona. Ale to wszystko

marnotrawnie przepuszczał, jak wodę przez rzeszoto, i zawsze mu było mało. Rzuciwszy tedy okiem pożądliwem na dochody Uniwersytetu Wileńskiego, postanowił dostać je w swoje zawiadywanie; a dlatego trzeba mu było zaintrygować, żeby ks. Czartoryskiego z kuratorstwa zrzucić i samemu na jego miejscu kuratorem zostać. Sposób do tego wydał mu się najłatwiejszy: przedstawić w. ks. Konstantemu, że pod zwierzchnictwem, a zatem i pod wpływem Czartoryskiego młodzież litewska kształci się na nieprzyjaciół rządu rosyjskiego. Nie trudno było tak rzeczy nastroić, żeby W. Ks. przekonać.

VI.

Wiadomo było bowiem wszystkim, że w Wilnie istniały owe nasze towarzystwa i jawne, i tajemne, i że one miały na celu uzacnienie narodowości. Trzeba więc było tylko trochę przeistoczyć wyrazy, a z owego uzacnienia narodowości zrobiłoby się sposobienie do powstania przeciw rządowi. Że zaś i to wiadomo było, iż Filareci swe Towarzystwo stosownie do ukazu rozwiązali, należało tylko wykazać, iż pomimo to zamysły nasze trwają i duch przeciwny rządowi przewodniczy wychowaniu młodzieży; a do takiego wykazania lada najmniejszy pozór mógł być nakręcony. W tym celu Nowosilcow dał swoim agentom tajemne polecenie, żeby donosili o pierwszym, jaki się zdarzy, wybryku między młodzieżą. Niedługo trzeba było na to czekać.

W czwartej klasie gimnazjum wileńskiego, któryś smarkacz, podobno Plater, po wyjściu jednego profesora, nim przyszedł następny, przez pustotę gryzmoląc kredą na tablicy, napisał: „Wiwat Konstancja". Drugi, podobno Czechowicz, poprawił zamiast „Konstancja"—„Konstytucja"; trzeci dodał nakońcu wykrzyknik, czwarty znowu coś także poprawił; aż w tem wchodzi następujący zkolei profesor rosyjskiego języka, Ostrowski. Postrzegłszy zgromadzonych koło tablicy i ów napis, pyta, kto to napisał. Oni, jako przez pustotę pisali, tak i opowiedzieli, co który zrobił. Ostrowski w ten moment rusza do generała-gubernatora Korsakowa z donosem, że w szkołach bunt. Tacy a tacy to i to zrobili, a cała klasa przyklaskiwała, i cenzor czwartej klasy nic temu nie przeszkadzał. Korsakow niezwłocznie przez kurjera, jakby szło o losy monarchji, cały ten donos przesłał w. ks. Konstantemu. Nowosilcow, przedstawiając depeszę, zapewne nie pożałował farb na odmalowanie,

jak oni wyrażali się, nieporządków w Uniwersytecie. W. Książę także przez umyślnego kurjera przysłał rozkaz: natychmiast aresztować całą czwartą klasę, owych czterech pisarzy wpakować do więzienia, każdego osobno, żeby z nimi nikt nie miał żadnej komunikacji, a rektora Uniwersytetu i cenzora czwartej klasy osadzić pod aresztem przy odwachu kazimirowskim, dając im jednak odpowiednie do rangi obydwom po pięć pokoi. I tak wszystkich trzymać póki nie przyjedzie Nowosilcow na śledztwo i nie rozstrzygnie o dalszym ich losie. Przerażenie padło na Wilno, bo wszyscy już byli pewni, że z tego dzieciństwa wynikną smutne następstwa. Lecz i śmiech był razem, że W. Książę tego smarkacza, chwilowego dozorcę w czwartej klasie, zwanego po staroświecku cenzorem, wziął, jak widać, za urzędnika cenzury, mającego rangę generalską, czyli czwartej klasy.

W kilka dni po uwięzieniu tak ważnych przestępców i niewiedzieć zaco rektora Uniwersytetu, tylko co ja wyprawiłem Karola do domu, wpadają do mnie koledzy z doniesieniem, że Józefa mego powieziono pod strażą do Warszawy. Zaco? Nikt nie wie. Powiadają tylko, że on był w kawiarni, gdzie grając w bilard, śmiał się z owej pomyłki W. Księcia względem cenzora i z uwięzienia dzieci, a nakońcu powiedział: „O, gdybym ja mógł widzieć się z W. Księciem, wskazałbym jemu kogo słuszniej należałoby wsadzić do turmy"! Myślał właśnie o gałganie Ostrowskim, jak to sam potem przede mną wyznał, lecz cała ta gadanina była tylko płochość, jak zwyczajnie w kawiarni między kolegami. Tymczasem, kiedy chciał wychodzić, zjawia się we drzwiach policmajster Szłykow i, dowiedziawszy się, kto z obecnych Józef Massalski, każe mu siadać z sobą na drążki i wiezie do Korsakowa. Stamtąd w półgodziny już był w drodze do Warszawy. W tydzień przywieziono go napowrót i osadzono także przy odwachu, obok cenzora czwartej klasy.

Ja, niespokojny, co się z nim dzieje, skoro się dowiedziałem o jego powrocie, natychmiast pojechałem na odwach i prosiłem o pozwolenie zobaczenie się z bratem. Oficer; będący na warcie, nie śmiał sam pozwolić; ale, gdy nadszedł kapitan dyżurny, który nie miał zakazu, żeby aresztowanych przy odwachu nie pozwalać odwiedzać, pozwolił, owszem sam zaprowadził mnie do brata. Tu dowiedziałem się, że Korsakow pytał go, co on miałby do donie-

sienia W. Księciu, jak to zapowiadał w kawiarni. Józef mu odpowiedział, że nic nie miał do doniesienia, a tylko przez pustotę tak gadał. „Nieprawda, musisz coś wiedzieć, wyznaj", Józef, myśląc, że pozbędzie się tej napaści, powiada: „Gdybym miał do powiedzenia cokolwiek W. Księciu, to powiedziałbym tylko jemu, ale nie panu gubernatorowi". „A, kiedy tak, więc powiozą ciebie do W. Księcia". I w ten moment kazał napisać raport, podać konie pocztowe i z czastnym prystawem, Moszyńskim, wyprawił go do Warszawy.

Tu Moszyński zawiózł go do generała Kuruty, który, rozpytawszy się Józefa, o co to rzecz idzie, kazał mu zatrzymać się u siebie, a sam pojechał do W. Księcia. Powróciwszy, jeszcze go przez dwa dni ciągle się wypytywał o całem jego życiu, o stosunkach w Wilnie, o znajomych, słowem o najdrobniejszych szczegółach; traktując go u siebie przyzwoicie. Nakoniec, widać, zmiarkowawszy ze szczerych opowiadań Józefa, że w nim nic utajonego niema, i podobno upodobawszy go za jego wesołość i dowcipne opowiadania, powiada mu: „Ja wierzę, że nic nie wiesz takiego, cobyś mógł donieść, i że tylko przez niechęć ku Ostrowskiemu tak ci się owe słowa wymknęły. Ale W. Księciu to trudno będzie wyperswadować. Teraz muszę cię stawić przed nim". I zaraz powiózł go do Belwederu. Tam, zostawiwszy go w sali, sam udał się do gabinetu W. Księcia, gdzie widać zdawał mu o nim sprawę. Po chwili wyszedł W. Książę szparkim krokiem ze złoconem cygarem w ustach i, zbliżywszy się do Józefa, prawie tak, że piersią go dotykał, harknął: „*Gawari*"! Józef, ujrzawszy taką mitologiczną figurę tuż przed sobą, uśmiechnął się. A Książe odskoczył od niego krzycząc: „*Szczenok! Szczenok! W sołdaty, skatina!*" i wrócił do gabinetu. Kuruta na pierwszy krzyk W. Księcia już wbiegł do sali; widząc, co się dzieje, zbladł i za Księciem wszedł także do gabinetu. W parę minut wyszedł, powiedział Józefowi zimno: „Proszę za mną", i odwiózł go do swego mieszkania. Tu z utyskiwaniem zaczął mu wyrzucać, jak można było tak postąpić z Księciem. „Kazał", powiada: „odesłać cię do Wilna i trzymać tam pod aresztem do przyjazdu Nowosilcowa, który tam jedzie na śledztwo względem owych studentów, a razem i o tobie przekona się. Podobno będziesz skazany do wojska, lecz nie trać nadziei; zczasem się

wyratujesz." Potem, zjadłszy tylko jeszcze obiad z Józefem, odprawił go z tymże Moszyńskim napowrót do Wilna.

Przyjechał też i zapowiedziany Nowosilcow i rozpoczął niby wywiadywanie się przed śledztwem; bo rzeczywiście on bardzo dobrze wiedział, że tu same dziecińnstwa i niema czego śledzić, a tylko trzeba było nastrajać i kartować intrygę przeciw Czartoryskiemu. Jakkolwiekby się ta intryga skończyła, lecz to pewna, że cała ta sprawa z dziećmi i następna z Filaretami nie przeciągnęłyby się tak długo i z takiem dla nas uciemiężeniem, gdyby go nie uwięziły w Wilnie piękne oczy pani Zubowowej, która go sobie obrała za opiekuna i, dla protekcji jego w sprawie z familją mężowską o sukcesję, potrafiła go w swe sieci uplątać.

Ponieważ to wszystko działo się około ś. Jana i termin najmu mieszkania mego w domu Gutta kończył się, wypadało mnie albo wyjeżdżać na wakacje, albo nowe mieszkanie nająć. Ale wyjechać nie mogłem, bo zatrzymywała mnie w Wilnie sprawa Józefa, a najmować mieszkanie nie wiedziałem na jak długi termin, gdyż po ukończeniu tej sprawy nie widziałem potrzeby dłużej bawić w Wilnie.

Tymczasem zdarzyło się, że Tomasz Zan, mając obok mieszkanie w domu Kukiewicza, najęte na rok następny, wyjeżdżał na wakacje. Pozwolił tedy mnie je zająć na czas swej niebytności. Przeniosłem się tedy do niego, a ledwo się ulokowałem, zjawił się policmajster Szłykow i bardzo grzecznie prosił mnie o pokazanie moich papierów. Opieczętował je i zabrał, powiadając, że są potrzebne do śledztwa o Józefie. W parę dni potem wezwano mnie do Nowosilcowa. Ja, wszedłszy, ukłoniłem się przed siedzącym z powagą naprzeciw drzwi na kanapie; ale przez nieuwagę nie stanąłem przy drzwiach, lecz zbliżyłem się ku oknu, blisko kanapy. Postrzegłem, że on bystro na mnie spojrzał i widać wziął ten krok mój za zuchwalstwo, które może już w tej chwili postanowił ukarać; ale nic mnie na to nie powiedział, tylko zaczął wypytywać się o Józefie: coby on mógł przed W. Księciem powiedzieć. Ja opowiedziałem rzecz, jak wiedziałem. On na to: „Skądże wiesz o tych szczegółach, kiedy ani w owej kawiarni, ani u Korsakowa nie byłeś". ‚Brat mi opowiedział". „Jakim sposobem i gdzie"? „W jego więzieniu". „Więc byłeś u niego w więzieniu"? „Byłem". „Któż puścił"?

„Oficer dyżurny pozwolił". „To źle, to bardzo źle; a teraz możesz odejść". „Czy mogę odebrać moje papiery i czy jestem wolny?". „Papiery ci oddadzą i możesz jechać, gdzie się podoba". Na tem skończyła się konferencja, jak mnie zdało się, dosyć pomyślnie, ale on co innego myślał.

Odebrałem papiery w całości, bo nic w nich kompromitującego nie było, lecz nie wyjeżdżałem z Wilna, czekając końca sprawy Józefa. Nareszcie po dwóch tygodniach uwiadamiają mnie, że jest już decyzja W. Księcia: kazał wysłać Józefa w proste sołdaty do żytomierskiego pułku, stojącego we Włodzimierzu na Wołyniu. Nazajutrz przeprowadziłem go za miasto, wiezionego pod strażą, i rozstaliśmy się z kochanym bratem we łzach.

Nie było jemu źle w pułku; bo, skoro tam przybył, pozyskał miłość u wszystkich swoich naczelników; kochano go tam i pieszczono, a do służby wcale nie naglono. Tylko kiedy stali w obozie, albo miał być jakiś przegląd wojskowy przed W. Księciem, czy przed inspektorami, musiał stawać do frontu. Reszta czasu płynęła mu wesoło; ciągle bowiem wyrywali go sobie okoliczni obywatele, a pospolicie wespół ze szlachtą i kapitan jego, i pułkownik, i inna starszyzna za nim, gdziekolwiek się obrócił tak, że jakby procesja jaka przeprowadzała go od domu do domu. I to trwało przez siedem lat, póki po awansie na oficera nie wysłużył w tej randze roku; bo wtedy już, będąc wolnym, wziął dymisję.

Ja tymczasem, pożegnawszy go, nająłem sobie konie i z moim sługą, Stefankiem, ruszyłem do Mińska, gdzie zabawiwszy parę dni, przybyłem do Mozołowa. W parę tygodni potem otrzymałem list od pani Chrapowickiej z uwiadomieniem, że brat jej, Oubril, dostał nominację na posła do Hiszpanji, przyjmuje mnie na służbę w liczbę urzędników poselstwa i za kilka tygodni ma wyjechać do Madrytu; żebym więc przyjeżdżał do Jakubowa, ażeby razem z nim wyjechać. Wybrałem się więc do Wilna dla wzięcia świadectwa z Uniwersytetu.

Przejeżdżając przez Nowogródek, odwiedziłem Igelstromów i od nich dowiedziałem się, iż ktoś przejeżdżający świeżo z Wilna powiedział im, że stamtąd za rozkazem W. Księcia

wysłano kwartalnego w Ihumeńskie, żeby mnie odszukał i przywiózł do Wilna dla osadzenia w więzieniu. Zmieszała mnie ta nowina, bo nie mogłem sobie wyobrazić, zacoby mnie ten los mógł spotkać, tem bardziej, że Nowosilcow po przejrzeniu moich papierów powiedział, iż jestem wolny i mogę jechać, gdzie mi się podoba. Rozmyślając tedy, iż napróżnobym się ukrywał, a jeżeli co ma być, to lepiej żeby prędzej się zdeklarowało, i dla uniknięcia wreszcie podróży do Wilna pod aresztem, jeśliby mnie ten kwartalny odszukał, ruszam tam już co najśpieszniej.

Za przybyciem do Wilna dowiaduję się od przyjaciół, że istotnie W. Książę kazał mnie posadzić do więzienia na sześć tygodni za to niby, że widziałem się z bratem, kiedy on był uwięziony. Tu otworzyły się mnie oczy, że to sprawka Nowosilcowa za karę, iż nie stanąłem u niego przy drzwiach i bez wielkiej czołobitności z takim potentatem rozmawiałem; bo z bratem widziałem się za pozwoleniem straży, zatem nie było w tem mojej winy. Przewidywałem też, że moja karjera przy Oubrilu zachwiała się, gdyż on miał w kilka tygodni od daty listu Chrapowickiej wyjeżdżać do Hiszpanji, a tu już ze dwa upłynęło i sześć jeszcze trzeba wysiedzieć w więzieniu. Jednakże, nie tracąc jeszcze zupełnie nadziei, chciałem przynajmniej mieć już w ręku świadectwo uniwersyteckie, żebym po odbyciu mojej pokuty mógł niezwłocznie udać się, czy do Jakubowa, czy za Oubrilem w pogoń, jeślibym tam już go nie zastał. Ruszam więc do policmajstra Szłykowa i powiadam, że, dowiedziawszy się w Nowogródku, iż posłano mnie szukać w Ihumeńskiem dla spełnienia rozkazu W. Księcia, przybyłem do Wilna sam i stawię się, ulegając zwierzchności; ale proszę o trzy dni czasu dla wyrobienia swego świadectwa, nim pójdę do więzienia. Szłykow dobrze to przyjął i dozwolił mnie trzy dni pobyć w Wilnie, niby wolno, chociaż zapewne policja tajemnie czuwała nade mną. Na drugi dzień potem już otrzymałem był owo świadectwo i, żeby przyśpieszyć termin mego uwolnienia, nie tracąc ani jednej chwili, tegoż dnia stawiłem się znów u Szłykowa z oświadczeniem, że już gotów jestem do przyjęcia pokuty. On poruczył mnie czastnemu prystawowi, Depertesowi, który, poczciwy jakiś człowiek, zawiózł mnie najprzód do siebie na obiad, a po nim odwiózł do turmy. Wjeżdżając pod to niskie sklepienie bramy w zamku turemnym, uczułem takie same

przerażenie, jak w 1812 r., kiedy pierwszy raz po Francuzach postrzegłem kozaków na dziedzińcu naszym w Bieliczanach. Teraz jasno zrozumiałem, co znaczy despotyzm i jeszcze obcy. Pakowano mnie jak zbrodniarza do turmy, tamowano karjerę może na całe życie, a to bez sądu, bez winy, tylko zato, że z miłości ku bratu odwiedziłem go w nieszczęściu i za pozwoleniem władzy. A iluż to spółbraci naszych takiegoż losu doznało i jeszcze stokroć cięższego!

Depertes zdał mnie dozorcy więzienia, kapitanowi Paniewskiemu, który podług odebranego rozkazu od Szłykowa wprowadził mnie nie do samego gmachu więzień, stojącego na środku dziedzińca, lecz nad swojem mieszkaniem w bramie do sali posiedzeń komitetu turemnego. W tej sali miałem obszerne miejsce do przechadzki, wygodne siedzenia, stoły, narzędzia do pisania i łóżko, które tam zawsze stało; bo ta sala przez cały ciąg rządów W. Księcia prawie nigdy nie była bez mieszkańców, równie jak ja winnych. Świeżo przede mną mieszkał w niej sześć tygodni Marcinowski, redaktor D z i e n n i k a W i l e ń s k i e g o, za jakiś nieostrożny wyraz w tem piśmie. Paniewski, mój nowy opiekun, odrazu zaprzyjaźnił się ze mną, co widać Bóg zrządził dla pomocy naszym braciom Filaretom, jak się to następnie okazało. Pod tym względem uważając, i moje więzienie było też łaską boską; bo zostałem użyty za narzędzie pożyteczne dla spółbraci, a to należy niezawodnie poczytywać za szczęśliwszy los, aniżeli owa świetna karjera, którą mi to więzienie zniszczyło.

Paniewski był rodem z Mozyrskiego, typ starych poczciwców, którzy, w służbie wojskowej nie znalazłszy szczęścia, radzi przestają na pokornem stanowisku, zapewniającem im ubogie utrzymanie się. Pilny w służbie, czujny, zawsze w dobrym humorze, żyjący śledziem i kapustą surową, które przez cały dzień stały u niego na stole obok flaszki z gorzałką, bo i tem nie pogardzał, chociaż nie upijał się, uprzejmy dla odwiedzających, prostoduszny i, pomimo powierzchownej surowości, wyborne miał serce.

Sprawa uczniów gimnazjalnych czwartej klasy przed przyjazdem jeszcze moim była skończona; rektora Uniwersytetu, nie mogąc znaleźć żadnej styczności jego z tą sprawą,

wypuszczono z pod aresztu; ale wkrótce potem, może wreszcie i nie za to, usunięto go z urzędu. Dostojnego cenzora czwartej klasy uznano winnym niedozoru, lecz najmiłościwiej policzono mu ów areszt za karę i uwolniono; czterech owych kryminalistów, którzy ośmielili się bazgrać na tablicy, jako zarażonych duchem niebezpiecznym dla rządu, skazano za karę w sołdaty, rujnując im karjerę; a resztę ich kolegów, nastraszonych i wygłodzonych, wspaniałomyślnie wypędzono z więzienia. Powiadam wspaniałomyślnie, bo w innych szkołach wkrótce takie nawet dzieci, co nie były w jednej klasie z obwinionemi, ani może ich znały, daleko sroższym prześladowaniom uległy. Ale w tej wileńskiej sprawie z dziećmi cel Nowosilcowa jeszcze nie był dopięty. Cała ona tak dalece była dziecinna, iż pomimo biegłości jego w machiawelstwie niepodobna było z niej wysnuć obwinienia przeciw Czartoryskiemu. Zostawały owe towarzystwa między akademikami. Tu łatwiejsze byłoby obwinienie, ale na nieszczęście te towarzystwa dawno już były od samejże zwierzchności uniwersyteckiej zakazane lub dobrowolnie rozwiązały się. Wszelako nic innego nie mając pod ręką, trzeba było chwycić się za tę przeszłość i naciągnąć ją na teraźniejszość, wplątać w nią i profesorów, a tak już przynajmniej rzucić podejrzenie na wpływ Czartoryskiego, co było dostatecznem do usunięcia go od kuratorstwa. Lecz i tu stawała jeszcze na zawadzie ta okoliczność, iż, jakkolwiek młodzież mogła rozprawiać o narodowości lub o patrjotyzmie, cel jednak tych towarzystw nie był polityczny, tylko moralny, o czem bardzo dobrze wiedziano. Ale to już była fraszka dla takiego majstra, jak Nowosilcow; moralność tak ściśle łączy się z narodowością, a ta z polityką, że, zręcznie używając badań, można już łatwo podstawić jedno za drugie. Trzeba mu było tylko uderzającego wstępu, któryby przeraził wyobraźnię W. Księcia, a to już on sam potrafił utworzyć, pochwyciwszy zręczność, którą mu nadarzył przypadek.

Przy rewizji papierów owych czterech kryminalistów gimnazjalnych natrafiono w mieszkaniu jednego z nich na kufer ucznia Uniwersytetu, Jankowskiego, który otworzywszy znaleziono jakieś plugawe wiersze na Katarzynę. Nowosilcow, uradowany z tego odkrycia, natychmiast widać usnuł plan zniewolenia Jankowskiego do takich zeznań, jakich mu było potrzeba. Dowiedział

się bowiem, że Jankowski był także Filaretą. Wyjechał on był wtenczas podobno do Warszawy; lecz Nowosilcow posłał za nim w pogoń, przywiezionego pod aresztem zaczął straszyć, iż będzie ciężko ukarany za owe wiersze, których wyprzeć się nie mógł, bo były ręką jego pisane. Ale, udając, że go żałuje, nastręcza mu niby ratunek, żeby zasłużył się rządowi, odkrywając, jaki był istotny cel Towarzystwa między młodzieżą uniwersytecką. Podsuwa mu myśl, że zapewne ten cel musiał być przeciw rządowi, bo dlaczegóż innego Towarzystwo Filaretów byłoby tajemne. Jeśli więc odkryje takiego rodzaju zamysły, może spodziewać się ułaskawienia; bo inaczej on nawet sam, chociaż go bardzo upodobał i radby ochronić, nie będzie w możności. Jankowski z oburzeniem odrzucił wszystkie takie insynuacje i karesy Nowosilcowa, twierdząc stale, że to byłoby potwarzą, gdyby cokolwiek podobnego Filaretom zarzucać. Nawet kiedy Nowosilcow, udając wielki smutek, objawił mu, że jest już rozkaz od W. Księcia, żeby go rozstrzelać, ale że on to wstrzyma, jeśli Jankowski uczyni owo zeznanie, ten i wtedy jeszcze nie odważył się szukać ocalenia życia przez potwarz; i można ufać, że póki był zdrów na ciele, podjąłby raczej śmierć zapowiedzianą, aniżeli hańbę fałszywego donosiciela. Ale Nowosilcow, zmiarkowawszy, iż pogróżkami nic nie wymoże, rzucił się do skuteczniejszych środków. Kazał mu najprzód nie dawać nic jeść przez dwa dni, a na trzeci dać mu śledzia mocno zasolonego. Jankowski z głodu zjadł; prosi o wodę, nie dają. Pragnienie wzmaga się, rozpala go, dręczy; ale straż, głucha na wołanie i jęki, wody nie daje. Wtenczas Nowosilcow go wzywa i ofiaruje mu ulgę, pod warunkiem wyznania, jak powiada, prawdy. On zmęczony, nie będąc już panem siebie, pisze pod insynuacją Nowosilcowa zeznanie: że celem Filaretów, Promienistych, a szczególniej już Filaretów, było wymordowanie familji cesarskiej, wywołanie rewolucji w Rosji, powstanie w zabranym kraju, przywrócenie Polski, i resztę temu podobnych absurdów.

Kazał mu potem Nowosilcow spisać rejestr członków tych Towarzystw, których tylko mógł Jankowski zapamiętać, a, pochwyciwszy te spisy i zeznania, pewny już dopięcia głównego celu swego, chciał jeszcze osiągnąć drugi, t. j. nieprędko być odwołanym z Wilna, żeby tu miał czas upajać się wdziękami pani Zubowowej

i zasłużyć na jej rękę. Natychmiast więc owe spisy i zeznania posłał przez kurjera do W. Księcia, wystawując mu, że tak ważne odkrycie wymaga pilnego dośledzenia, zatem niemałych trudów i dużo czasu, tem bardziej, że do Towarzystw owych należała bezpośrednio lub pośrednio młodzież całego kraju i knuła, jak widać, jakieś niebezpieczne zamiary, zapewne nie bez wpływu na nie starszych, a może i kuratora. Tymczasem zaś kazał aresztować tych wszystkich z rejestru Jankowskiego, którzy znajdowali się w Wilnie; a po innych, będących w kraju, lub gdziekolwiek na służbie w Rosji, rozesłał policję albo wezwania do władz miejscowych, żeby ich niezwłocznie aresztowano i pod strażą dostawiono do Wilna.

Dla prowadzenia zaś śledztwa pod swoim kierunkiem ustanowił komisję, złożoną z naczelnika kancelarji jego Bajkowa, prokuratora wileńskiego Botwinki, radcy rządu gubernjalnego Ławrynowicza, policmajstra Szłykowa i profesora chirurgji Pelikana, który już wówczas, zrozumiawszy może plany Nowosilcowa względem Uniwersytetu, zdeterminował się poświęcić swoją zasłużoną opinję dobrego profesora dla korzystniejszych widoków na jego usługach. Komisja ta niebawem przystąpiła do śledztwa i odkryła swe posiedzenia w pałacu gubernatorskim, gdzie wtedy Nowosilcow mieszkał, w tej samej sali, w której Mikołaj na rok przedtem swoich sołdatów musztrował. Pochwytani w mieście lub przywożeni z kraju Filomaci, Promieniści i Filareci, osadzani byli po klasztorach, które w Wilnie liczne i przestronne dostarczyły kilkaset cel na więzienia. W każdej mieszczono po jednemu, a wszędzie okna były zabielone wapnem, zabite zewnątrz deskami, i drzwi na zamek zamknięte. Na korytarzach zaś przechadzały się szyldwachy z karabinami, nie dopuszczając nikomu zbliżania się do więzień: i w każdym klasztorze dla zmiany tej warty urządzony został gatunek odwachu pod naczelnictwem podoficera; oficerowie zaś mieli rozkaz często zazierać do klasztorów dla dozoru, żeby owe warty pilnie swój obowiązek pełniły. Ale i Filareci, znajdujący się w mieście, mieli się na baczności od samego przyjazdu Nowosilcowa. Wówczas więc, skoro się dowiedzieli o zeznaniach Jankowskiego, ci mianowicie z nich, których on zapomniał wymienić, niepochwytani, natychmiast utworzyli między sobą komitet do czuwania nad



Profesor August Becu.

tokiem zawiązującej się sprawy, żeby siebie i braci, o ile da się, ratować. Niezwłocznie więc obmyślili sposoby do komunikowania się z uwięzionymi; a względem działań Komisji, chociaż ta postępowała nader sekretnie, jak wszystko dzieje się w Rosji, znaleźli także drogi do odbierania dokładnych informacyj, zjednawszy sobie niektórych z kancelarji Nowosilcowa. Gdyby nie ta przedajność urzędników w Rosji, na którą pospolicie utyskujemy, często dla uciemiężonych nie byłoby żadnego ratunku. Prawda, że i prześladowcy prywatni przekupstwem górę biorą, lecz i to pewna, że skoro ciemiężony płaci, mniej w każdym razie ucierpi.

Zaczęło się więc śledztwo. Żeby czas drogi dla Nowosilcowa przedłużyć, sprowadzano po jednemu z więźniów do Komisji i kazano mu pisać historję swego życia. Naturalnie to szło marudnie, chociaż każdy, będąc w kwiecie młodości, niewiele miał do napisania; następowały odpowiedzi na pytania Komisji, także wszystko na piśmie. W tych jedni według instrukcji, uradzonej w naszym komitecie, szczerze zeznawali wszystko, co wiedzieli o celach i działaniach towarzystw: przez kogo byli wprowadzeni, kto więcej należał do Towarzystwa, i wszystkie okoliczności; jako rzeczywiście nie mieli racji z niczem się taić, nie czując się do żadnego występku przeciwko prawom lub przeciw rządowi. Drudzy przez obawę nie chcieli przyznawać się do tego, iż należeli do któregokolwiek z owych towarzystw. Tych więc przekonywano spisami kolegów i ocznemi stawkami.

Ale zdarzały się wypadki, że niektórzy byli w takich okolicznościach domowych, iż należało starać się, żeby ich zaraz uwolniono, albo żeby ochronić ich od wszelkich nawet podejrzeń u rządu. Komitet więc nasz polecał kolegom takich wszystkich, nie wymieniać w spisach członków, albo jeśli przez kogo zostali wymienieni, cofać to zeznanie. Jakoż na ocznych stawkach w takim razie cofali, powiadając, że tego więźnia nie znają, lub że go zapisali tylko z domysłu. Takim sposobem wielu zostało uwolnionych. Członkowie Komisji niekiedy wpadali na domysł, że to zmowa, lecz nie mogli nigdy dośledzić, jakim sposobem uwięzieni tak ściśle i strzeżeni tak pilnie zmawiać się by zdołali. Zastanawiała ich i ta jednostajność zeznań, że cokolwiek jeden powiedział, jakkolwiek

nową okoliczność objaśnił, tak samo już i wszyscy, następnie badani mówili i objaśniali. Zdarzało się między innemi, że badano o znanych śpiewkach Promienistych i Filaretów, które krążyły w całym kraju, a zawierały niemało liberalnych pomysłów. Komisja chciałaby nakręcić i je za podnietę do buntu, i kazała Mickiewiczowi i Odyńcowi, których o te śpiewki oskarżano, pisać je tuż w sali; oni w zwrotkach delikatnych improwizowali przemiany i twierdzili, że one takie z pod ich pióra początkowo wyszły i tak były przez kolegów śpiewane. Komisja przyzywała natychmiast różnych więźniów z różnych klasztorów i każdy te śpiewki już z owemi przemiany recytował. Członkowie Komisji, będąc pewni, że to była improwizacja, w ich obecności wykonana, dziwili się tylko, jakim sposobem następowało tak rychłe porozumienie się wszystkich i wszędzie; ale nic dojść nie zdołali. Trafiało się nawet że wpadali na trop, lecz Opatrzność zawsze nad nami czuwała i wszelkie ich obostrzenia, wszelkie wybiegi ostrożności znikały przed dowcipem i działalnością naszego komitetu. Jeżeli jeden jaki sposób komunikacji został zatamowany, to natychmiast znajdowały się inne jeszcze dogodniejsze.

Między innemi zdarzyło się, że profesor Bécu, który za pozwoleniem Komisji pożyczał książek byłemu guwernerowi Słowackiego, Antoniemu Kamińskiemu, znalazłszy w jakiejś książce, odesłanej napowrót, karteczkę ołówkiem do siebie napisaną o jakimś ustronnym interesie, przez tchórzostwo przedstawił ją do Komisji. [Pomawiano Bécu, że on był naszym wrogiem i przez pochlebstwo Nowosilcowowi czernił profesorów i ten donos o karteczce Kamińskiego zrobił; ale to nieprawda; bo on był tylko tchórz, a zresztą poczciwy człowiek. W tymże roku 1824 został zabity od pioruna, co uprzedzeni przeciw niemu poczytali za karę Bożą, równie jak nagłą śmierć Bajkowa przy końcu śledztwa naszego, który, odwiedzając swoją narzeczoną, pannę Chłopicką, u drzwi jej został tknięty apopleksją. Ławrynowicz także w końcu śledztwa z gorączki umarł, i tego śmierć przypisywano karze boskiej, lecz i to niesłusznie; bo on, będąc urzędnikiem, kiedy został wyznaczony do śledztwa, musiał obowiązek swój spełniać; ale gdzie mógł, to nam pomagał, co ja sam zaświadczyć mogę, bo i mnie w kilku punktach mego

zeznania tajemnie ostrzegł, żebym ostrożniej pisał, nie ufając sprawiedliwości rządu i naszej sprawy. Gdyby wreszcie Bóg miał widocznie karać prowadzących to śledztwo, prędzejby ukarał Pelikana, albo Botwinkę, który okazał się zajadłym naszym prześladowcą]. Ta natychmiast wpadła na domysł, że w książkach mogą być do wszystkich przesyłane komunikacje; więc niezwłocznie kazała poodbierać u wszystkich więźniów książki i więcej ich niedopuszczać, a nadto rewidować bieliznę, chleb, potrawy nawet, naprzykład naleśniki, zrazy zawijane i t. d., czy się w nich co nie znajduje. Ale to wszystko na nic nie przydało się, bo pomimo przekupienia sołdatów, którzy niekiedy sami listy więźniów i nawzajem roznosili, kiedy szło o co ważniejszego, komitet nasz znalazł zawsze sposoby rychłej komunikacji, która nigdy nie ustała.

Jednym z głównych punktów badań Komisji było pytanie, każdemu zadawane, względem ustawy filareckiej. Ta, przez Zana napisana, przy rozwiązaniu Towarzystwa była zniszczona. Wielu nawet z Filaretów nigdy jej nie czytało; starsi zaś, a szczególniej Filomaci, którzy jako założyciele Filaretów, tę ustawę wspólnie z Zanem układali, pamiętali ją i wszyscy mniej więcej dokładnie na rozkaz Komisji ją wypisywali. Ale Komisja, mając i to za zmowę, koniecznie domagała się oryginału, ręką Zana pisanego, o czem z zeznań wiedziała. Nie wierzyła bowiem twierdzeniu, że ów oryginał zniszczony; owszem z tego twierdzenia wnosząc, że w tej ustawie zawierały się rzeczy przeciw rządowi, kuczyła Zana, żeby koniecznie wykrył gdzie się ów oryginał znajduje; grożąc mu najsroższemi karami, jeśli się on nie okaże, i wszystkim badanym zapowiadając, że w razie nieznalezienia tej ustawy w oryginale, będą sądzeni podług oskarżeń, uczynionych przez Jankowskiego.

Ja w mojem więzieniu byłem od samego początku o tych wszystkich przejściach uwiadamiany, bo tych z więźniów, którzy nie podlegali śledztwu, lecz tylko już za karę wysiadywali, wolno było odwiedzać. Koledzy wprawdzie dla ostrożności bywać u mnie nie mogli, ale inni znajomi mnie odwiedzali; a po utworzeniu w mieście naszego komitetu komunikację między nim, a mną przyjęły na siebie pewne święte niewiasty, których nazwisk przyrzekłem nigdy nie wymieniać, a które i przedtem często

przynosiły wsparcie dla więźniów zamkowych. Widywały się one ze mną u Paniewskiego na dole, gdzie mnie przez wszystek czas pobytu mego w więzieniu bywać nie broniono. Chociaż bowiem Jankowski wpisał był i moje nazwisko w owych rejestrach, lecz, że już siedziałem w więzieniu i szukać mnie nie było potrzeba, zapomniano zapewne obostrzyć czujność nade mną. Do badania nawet nieprędko mnie wezwano, bo dopiero w pięć tygodni po zeznaniu Jankowskiego, to jest na końcu siódmego tygodnia po mojem uwięzieniu. Odpisałem szczerze to samo, co inni, i po kilkugodzinnem posiedzeniu w sali śledczej odwieziony zostałem znowu na swe miejsce. Cierpiałem już wówczas bardzo na zdrowiu; zapewne zamknięte powietrze i brak ruchu na to wpływały. Czułem wzrastający ból w piersiach i zachodziła obawa, żebym, po wiosennej chorobie osłabiony, nie dostał suchot. Lecz moje opiekunki skutecznie mnie pomogły. Najprzód dostarczały mnie dobrego mleka, które prawie wyłącznym było moim posiłkiem przez cały czas więzienia w zamku; następnie, kiedy ów ból w piersiach objawił się i wzrastał, dały mnie jakiś plaster na piersi tak bolesny, że ledwo go znieść mogłem. Ale ten plaster mnie wyratował; w parę dni wysypały się pod nim gęste pryszcze i widać wyprowadziły wszystką chorobę nazewnątrz.

Kiedy się tak z tem cierpieniem kawęczyłem, jednej nocy wsunął się do mnie pocichu z latarką Paniewski, uwiadamiając, że przed chwilą Botwinko przywiózł sam do zamku Tomasza Zana i osadził go w jednej z komórek środkowego gmachu, gdzie okna były zakratowane i zabite deskami. Paniewskiemu zaś przykazał, żeby go trzymał w jak największym sekrecie, nie mówiąc, ani przyznając się nikomu, ani nawet policyjnym urzędnikom, że on tu osadzony. Zabronił też pod najsroższą odpowiedzialnością puszczać do niego sołdatów ze straży, ani nawet ich oficera, którego powinnością było codzień zaglądać do wszystkich więźniów. Jedzenie dlań nosić polecił samemu Paniewskiemu, i to nie inne, jak kawałek czarnego chleba i trochę obrzydłej strawy aresztanckiej. Umówiliśmy się tedy najprzód co do jedzenia, że Paniewski będzie mu nosił w kieszeni kawę w butelce, czysty chleb i pieczyste; następnie, że będzie przenosił moje pisma do Zana i od niego do mnie, tylko z tem, że nie może

mu dać kałamarza, żeby tego na przypadek niespodziewanej rewizji nie znaleziono; ale zaniesie mu ołówek i papier. Po tej umowie zaraz poszedł do Zana i przyniósł mi od niego polecenie, napisane ołówkiem, żeby uwiadomić nasz komitet o miejscu jego pobytu. Było to wielce potrzebne, bo komitet ową jednostajność w zeznaniach utrzymywał pod kierunkiem Zana i wypadało, żeby tu, jak w każdej sprawie, jeśli ma iść porządnie, jedna głowa kierowała. Komisja też, która nie wiedziała o komitecie, domyślała się jednak z jednostajności owej wszelkich zeznań, że wszystkiemi musiał kierować Zan, jako wódz Filaretów; a chociaż nie zdołała wyśledzić środków porozumienia się między nami, uradziła tak tajemnie go ukryć, żeby nam przeciąć nietylko sposobność, ale nawet i zamysły o wznowieniu z nim stosunków; i dla tego rozpuściła po mieście pogłoskę, że go wywieziono do Warszawy.

Nazajutrz zaraz doniosłem komitetowi o tem, co zaszło w nocy. Członkowie jego przelękli się na tę wiadomość o tak sekretnem zamknięciu Zana; wyobrazili sobie, że to jest wstęp do ziszczenia owych pogróżek, któremi Komisja go straszyła, domagając się oryginału ustawy. Przysłali więc niezwłocznie na moje ręce pisma do niego z ubolewaniem i przy nich paczkę z trucizną, żeby Zan mógł uwolnić się od mąk, jeśliby go chciano niemi zniewalać do fałszywych zeznań, które zapewne miałyby większą powagę w oczach rządu, niżeli zeznania Jankowskiego, zaprzeczane przez wszystkich badanych, i upoważniłyby rząd do surowego nas ukarania. Szczególniej zaś obawiano się, żeby Zan pod mękami nie wplątał owych opiekunów młodzieży, którzy pierwsi podali myśl założenia Towarzystwa i niewidomie nami kierowali przez Zana. Lecz ja, wyczytawszy w owych pismach, co zawiera ta paczka, wzdrygnąłem się ze zgrozą na tę myśl, żebym miał zostać pośrednikiem do takiej zbrodni samobójstwa. Wysypałem natychmiast za okno truciznę, a ufając Opatrzności, że nas i bez tego wybawi, poradziłem Zanowi, żeby napisał ową ustawę, której oryginału Komisja tak usilnie domagała się, i żeby, włożywszy ją między papiery którego z Filaretów, mających być aresztowanymi, dać tym sposobem zręczność Komisji do znalezienia tego pisma. Spodziewałem się bowiem, że to nietylko nie po-

gorszy naszej sprawy, lecz w oczach rządu, jeśliby przyszło do sądzenia nas, będzie dowodem, przekonywającym o naszej niewinności i o prawdziwości naszych zeznań przed Komisją. Poruczyć zaś tę ustawę komu z mających być aresztowanymi było bardzo łatwo, bo każdemu badanemu kazano pisać listę towarzyszów, i ta kompletowała się ustawicznie, gdyż Jankowski ani połowy nie wypisał. Należało tylko polecić któremu z nowobadanych, żeby, pisząc listę, wymienił tego, któremu ta ustawa byłaby już poruczoną, a tego uprzedzić, jak ma odpowiadać, kiedy ją w jego papierach znajdą. Zan usłuchał mojej rady. A że nie mógł mieć kałamarza, ustawa zaś musiała być koniecznie jego ręką pisana, żeby mogła uchodzić za oryginał, ułożyliśmy się, że Zan będzie ją pisał ołówkiem, a ja po ołówku naprowadzę litery atramentem, zachowując jak najstaranniej charakteru jego cechę. Zaczęliśmy więc robotę, która, jako obejmująca kilka arkuszów, potrzebowała kilka dni czasu. W miarę tedy przychodzących do mnie arkuszy, które poczciwy Paniewski, nie mogący czytać bez okularów, a zatem nie wiedząc nawet, co się w nich zawiera, przynosił, czerniłem litery, a potem ślady ołówka wycierałem.

Kiedym tak był zajęty dzień i noc tą robotą, niespodzianie odbieram wiadomość, że Wojniłowicz, szwagier mego wuja Korbuta, prezydujący wówczas w Komisji Radziwiłłowskiej, dowiedziawszy się, iż jestem niezdrów, podał do naszej Komisji prośbę o wypuszczenie mnie z więzienia na jego porękę. Było już bowiem kilka przykładów, że za staraniem familji uwalniano na poręką tych, którzy, nie należąc do starszyzny Towarzystwa, ukończyli już swe zeznania. Uwalniano zaś ich nie bez interesu, a obok tego może i dla tej przyczyny, żeby na ich miejscu osadzać nowo aresztowanych, dla których już i więzień nie starczyło. Natychmiast więc posłałem do Wojniłowicza, zaklinając, żeby swą prośbę cofnął; chociaż bowiem chory i pragnący dotychczas uwolnienia w nadziei, że pośpieszę jeszcze do Oubrila, czułem, że tu Opatrzność wymagała mego poświęcenia się dla dobra spółbraci. Wojniłowicz zdziwił się na moją odezwę, ale prośbę swoją cofnął, i tak mogłem dokonać zaczętej roboty. Ale po dokonaniu jej omal co nie zostałem

poświęcony na pastwę Nowosilcowowi przez tych samych, dla których pozostałem w więzieniu.

Kiedy robota moja zbliżała się już do końca, dałem wiedzieć naszemu komitetowi, żeby który z członków jego przyszedł pod wieczór do Paniewskiego pod pozorem szlachcica, ofiarującego do sprzedania produkty do zamku, gdzie będzie miał wręczone przeze mnie bardzo ważne papiery, których nie śmiem poruczyć nikomu innemu. Chciałem bowiem, żeby ta cała czynność z ustawą odbyła się w jak największej tajemnicy, a obawiałem się, żeby, przechodząc przez ręce, jakimkolwiek niespodziewanym wypadkiem nie została zwietrzoną przez Komisję Śledczą. Bracia nasi w komitecie, nie mogąc wpaść na domysł, jakieby to mogły być tak ważne papiery, kiedy wszelkie od Zana bez takiej obawy do nich przechodziły, ze zbytniej ostrożności potracili głowy. Uprojektowali sobie, że to może być zdrada, bo coś zanadto tajemniczego, a zatem może to zasadzka na złapanie którego z członków komitetu na gorącym uczynku dla łatwiejszego odkrycia o całym jego składzie. Radzili więc długo, nie dając mnie żadnej odpowiedzi. Ja w niecierpliwości, jak na torturach, co moment wyglądałem ich przybycia i nie mogłem sobie wytłumaczyć ich zwłoki. Gdybym mógł przewidzieć ich podejrzenia, łatwobym je zniszczył, posyłając to wezwanie napisane przez Zana; lecz ani mnie, ani Zanowi na myśl nie przyszło, żeby oni przypuścili do siebie podejrzenie po uprzednich naszych komunikacjach.

Nareszcie aż na trzeci dzień za ponowioną odezwą moją Ksawery Wysocki, jeden z członków komitetu, odważył się udać do zamku; ale z tą umową, że Onufry Pietraszkiewicz, kolega jego, będzie opodal pilnował, czy nie pojedzie kto z policjantów do zamku w tym czasie, kiedy Wysocki tam będzie. I skoroby tylko to ujrzał, żeby natychmiast leciał do policmajstra i oddał mu pismo Wysockiego, w którem było wyrażono, że on, wezwany ode mnie dla przyjęcia jakichś ważnych papierów, chcąc przez gorliwość dla rządu nie dać mnie pobudki do ich zatracenia, udaje się do mnie; ale donosi o tem policmajstrowi i prosi, żeby pośpieszył zastać go jeszcze w zamku i te papiery zabrać. Bóg opatrzny zlitował się nad wszystkimi nami, że na tę porę żaden policjant do zamku nie jechał, chociaż to często bywało. Wysocki przyszedł

do Paniewskiego, udał jakiegoś ekonoma, a ja, dopilnowawszy go, także tam zszedłem i, nie okazując, że znam Wysockiego, bo w tak ważnej rzeczy nie śmiałem i Paniewskiego mieć za świadka, kiedy się on odwrócił, wsunąłem Wysockiemu do kapelusza ustawę i karteczkę od Zana z poleceniem, co z tą ustawą zrobić. Natychmiast Wysocki wyszedł, a w kilka dni wszystko się podług planu wykonało. Ustawę zawieziono jednemu z Filaretów na wieś, nauczono go, jak z nią postąpić i co ma odpowiadać, kiedy ją u niego znajdą, a tymczasem któremuś z nowobadanych polecono go wymienić w nowej liście, wskutek czego aresztowano go, wzięto jego papiery i ustawa dostała się w ręce komisji. Zan, kiedy mu ją pokazano, przypomniał niby, że oryginał był w dwóch egzemplarzach, z których jeden, będący u niego, on zniszczył, a drugi, o którym był zapomniał, chodził po ręku przewodników gron i że to musi być ten sam. Poświadczyli to samo zaraz i przewodnicy, po osobno przywołani; a ten, u którego znaleziono go, twierdził, że go właśnie u jednego z nich wziąwszy, przy rozwiązaniu Towarzystwa dla pamiątki zachował. Takim sposobem i zeznanie Zana bez cofnięcia zostało wytłumaczone i Komisja dała nareszcie wszystkim o tę ustawę pokój, a ciągnęła tylko dalej zeznania z pozostałych więźniów.

Po Nowym Roku przeniesiono Zana znowu bliżej Komisji, bo tam często bywał potrzebny dla sprawdzeń i objaśnień. Wtedy ja, straciwszy już nadzieję na posadę przy Oubrilu, o którym dowiedziałem się, że dawno już wyjechał do Hiszpanji, a nie mając pobudki do mieszkania dalej w zamku, postarałem się o przeniesienie mnie do któregokolwiek klasztoru, gdzie było weselej w towarzystwie. Jakoż przeniesiono mnie do bazyljanów, a we trzy dni potem do karmelitów ostrobramskich, gdzie zastałem ze dwudziestu kolegów.

W dzień wszyscy byliśmy zamknięci, czytaliśmy dostarczane nam ukradkiem książki, albo spali; lecz skoro zmierzchło i klasztor zamknięto, a straż nasza była już bezpieczna od wizyty oficerów, odmykały się wszystkie nasze cele, następowała uczta, gawęda i zabawa przez całą noc. Przychodziły deputacje z innych klasztorów do nas, nie przez furtę, ale już przez bramę; my także chodziliśmy do nich, bo to wszystko ułatwiało się przez zaprzedane nam warty. Słowem, bawi-

liśmy się, jak chcieli, nawet w teatrze niektórzy bywali. A z rana, jak dzień, każdy do swojej celi, drzwi się zamykały i szyldwachy znowu czuwały, żeby nikt niepotrzebny snu nam nie przeszkadzał.

Nowosilcow tymczasem także hulał ze swoją Zubowową, ażeby W. Księcia utrzymać w mniemaniu, iż on jeszcze w Wilnie potrzebny, wynajdywał coraz to nowe spiski na Rosję między młodzieżą litewską. Nie mogąc nic przeświadczyć na pełnoletnich, wpadł na małoletnich. Sypały się, zapewne na polecenie jego, zewsząd donosy o złym duchu, objawiającym się między dziećmi w szkołach. W Kiejdanach Molleson, syn tamecznego pastora, dwunastoletni smarkacz, słysząc, że w Wilnie czwarta klasa, wzięta pod areszt, przez długi czas lekcyj nie miała, napisał dziegciem na bramie swego mieszkania: „Wiwat konstytucja", na próbę, czy im także nie uda się dostąpić takich wakacyj. Na donos o tym kryminale polecieli Bajkow z Botwinką, ćwiczyli całą szkołę, kilkuset uczniów, zmuszając ich do wyznania złych zamiarów przeciw rządowi, i pod okrutnemi rózgami odkryli, że Molleson uknuł spisek na zamordowanie W. Księcia, cała zaś szkoła zarażona była złym duchem; bo nawet profesorowie nie byli w stanie im opłacić się. Więc na przedstawienie Nowosilcowa do W. Księcia za najwyższym rozkazem najmiłościwszego Aleksandra czterech profesorów owej szkoły i główny winowajca, Molleson, zostali zesłani do katorgi, t. j. do robót przymusowych w kopalniach sybirskich na całe życie; dziesięciu towarzyszów Mollesona, którzy z nim mieszkali, zesłano w sołdaty, chociaż może i nie wiedzieli o jego koncepcie, a resztę wszystkich uczniów tej szkoły, kilkuset biednych chłopców, kazano rozesłać do domów i nigdzie więcej ani do szkół, ani do żadnej służby potem nie przyjmować. To działo się zaraz po świętach noworocznych 1824 r.

Przed zapustami taka sama zabawka Bajkowa i Botwinki z dziećmi w Krożach. W czasie zapust Bajkow umarł, a po zapustach kontynuowali owo pastwienie się Botwinko i podobno Homzin, podręczny Nowosilcowa, w Poniewieżu i w Swisłoczy. Ażeby i wileńskie szkoły odzwyczajały się od złego ducha, który opanował dzieci w całej Litwie, ukazywano im przykład kary, wymierzanej na przestępcach. Między tymi wzbudzały litość szczególniej dwa chłopczyki z Kroż: Witkiewicz i Janczewski,

a jeden z Poniewieża Więckowicz, których obciążonych kajdanami, jak zbrodniarzy, wodzono po ulicach wileńskich i z ostentacją wyprawiano w sołdaty gdzieś daleko do Rosji.

Nasze śledztwo trwało ciągle aż do końca prawie maja, kiedy Czartoryski, zrozumiawszy nakoniec, o co rzecz idzie, podał się do dymisji, a na jego miejsce kuratorem naukowego okręgu wileńskiego mianowany został Nowosilcow. Wtedy zaczęto nas gęściej wypuszczać na porękę; a Nowosilcow po wygraniu procesu Zubowowej z familją mężowską, protegowanego przezeń, dostał od niej odkosza i wyjechał do Petersburga sądzić naszą sprawę wespół z generałem Arakczejewem i admirałem Szyszkowem, z których trzech cesarz ustanowił najwyższą nad nami komisję. Widać, pomimo wszelkich usiłowań Nowosilcowa i znanej srogości Arakczejewa, niepodobna było znaleźć w całej naszej sprawie nic takiego, za coby nas można było obwinić, nawet ani tyle, co owe dzieci w szkołach. Albowiem w dekrecie, wydanym przez tę komisję i zatwierdzonym przez cesarza, oskarżano tylko duch czasu, który nas pobudził do utworzenia tajnego towarzystwa; lecz o celu tego towarzystwa lub o przestępnych zamysłach, czy działaniach naszych, ani słowa w tym dekrecie nie było. Wszelako, żeby świat nie sądził, że rząd daremnie tak prześladował młodzież, powiedziano w dekrecie, że nam wogóle więzienie zalicza się za karę (zaco, niewiadomo).

Dwudziestu z Filomatów i Filaretów, a mianowicie: Tomasza Zana, Jana Czeczota, Adama Suzina, Franciszka Malewskiego, Józefa Jeżowskiego, Adama Mickiewicza, Józefa Kowalewskiego, Jana Wiernikowskiego, Teodora Łozińskiego, Jana Sobolewskiego, Onufrego Pietraszkiewicza, (który przez cały czas śledztwa zdołał ukryć się w Wilnie, uczestniczył w naszym komitecie, i chociaż wymieniony w kilku spisach, uniknął był więzienia), Wincentego Budrewicza, Mikołaja Kozłowskiego, Jana Heydatela, Jana Michalewicza, Jana Krynickiego, Feliksa Kułakowskiego, Cyprjana Daszkiewicza, Hilarego Łukaszewskiego, i w nagrodę za pierwsze wydanie wszystkich dołączonego do tych dziewiętnastu najświatlejszych z pomiędzy nas, dwudziestego, Jankowskiego, — wysłać do rosyjskich gubernij, gdzie im dać odpowiednie posady, wytrzymawszy jednak Zana rok w fortecy, a Suzina i Czeczota po pół roku. Pierwszego za to, że założył

Towarzystwo, dwóch drugich za „podejrzane" wiersze i mowy (a właściwie za to, że na śledztwie, gdy im prawiono grubjaństwa i pogróżki, oni odpowiadali członkom Komisji z pogardą). Resztę nas wszystkich uwolnić od wszelkiej odpowiedzialności, uzyskawszy tylko z nas wydatki, na prowadzenie śledztwa poniesione.

Ale co lepsza, tymże dekretem o naszej sprawie skazano też i kilku profesorów uniwersyteckich, którzy ani do śledztwa pociągani nie byli, ani obwinieni żadnem zeznaniem badanych na śledztwie. Powiedziano tylko bez żadnej racji: „Dla przecięcia szkodliwego wpływu, jaki miała sprzeciwiająca się zwierzchności uniwersyteckiej partja, oddalić od obowiązków profesorów: Lelewela, ks. Bobrowskiego i Daniłowicza; Gołuchowskiego także wydalić za skierowanie się umysłu jego do jakiejś filozofji mistycznej." Zatem, Lelewelowi kazano wyjechać do Polski, Gołuchowskiemu do Galicji, Daniłowiczowi w głąb Rosji, a ks. Bobrowskiego oddano pod dozór zwierzchności jego duchownej z tem, żeby nie mieszkał w Wilnie.

Wiedzieliśmy bardzo dobrze, co znaczyło to „sprzeciwianie się zwierzchności uniwersyteckiej". Oto, że, kiedy Pelikan, jako najzręczniejszy do wynajdywania dochodów dla Nowosilcowa, został rektorem Uniwersytetu i, nie przestając na drapiestwie jego intrat, nałożył gruby podatek na wszystkich profesorów za utrzymanie ich przy katedrach, ci, wymienieni w dekrecie, woleli raczej utracić swe posady, aniżeli ulec tak niegodziwemu bezprawiu. To zdzierstwo z profesorów nie jedyną wreszcie było grzanką dla Nowosilcowa, upieczoną przy naszej sprawie. Już w ciągu samego śledztwa wyłudził był z niektórych naszych braci niemało pieniędzy za uwolnienie. Wielu bowiem, widząc prześladowanie dzieci niewinnych, obawiało się takiegoż albo i gorszego losu. Rodzice więc możniejsi starali się wykupywać swoich synów. Jeden Giedrojć dał za swego syna, Adolfa, dwa tysiące dukatów; Makowiecki, obywatel z pod Mohylewa, za swoich dwóch synów — dwadzieścia pięć tysięcy rubli asygnacyjnych. Takie wykupna bywały naturalnie pod sekretem, więc o wielu zapewne nie mogliśmy wiedzieć; ale dochód z nich musiał być znaczny, bo niemało możniejszych przed innymi wypuszczono z więzienia. Owe też wydatki na śledztwo, które z nas uzyskać kazano, podał Nowosilcow jakoby

na ośmdziesiąt z czemś tysięcy rubli srebrnych. Właściwie zaś wynosić mogły zaledwie kilka tysięcy, użytych na zwożenie obwinionych do Wilna. Utrzymanie bowiem nasze nic ani rządowi, ani Nowosilcowowi nie kosztowało; więzienie było w klasztorach, straży dostarczyło wojsko, a żywność każdy z nas własnym kosztem sobie obmyślił, lub, jeśli był ubogim, komitet nasz ze składek miłosiernych ludzi dostarczał. Wszystka więc owa suma Nowosilcowowi się dostała. I to bez żadnego niedoboru, bo, jeśli kto z nas albo rodzice nie mogli zapłacić, to policja, której nakazano tę wypłatę uzyskiwać, potrafiła krewnych albo sąsiadów nakłonić do zapłaty.

Kuratorstwo jego było też bezpośrednim owocem naszej sprawy; a jak dalece okazało się dlań korzystnem, z racji różnych interesów, nawet oprócz kierowania dochodami Uniwersytetu, można wnosić z kupna folwarku Zameczka, które w następnym roku zrobił. Pelikan, jadąc raz na spacer za miasto, spotkał adwokata Kukiewicza, właściciela tego folwarku, leżącego blisko Wilna. A że się znali, zapytał go, czemu wyglądał tak zafrasowany. Kukiewicz zaczął utyskiwać na swe gospodarstwo w Zameczku, że porobił znaczne nakłady, a dochodu niema, tylko kłopoty. „Przedaj," powiada Pelikan: „ten folwark dla Uniwersytetu; on będzie nam przydatny na zakład agronomiczny". „Najchętniej". „Ile go cenisz?" „Sto pięćdziesiąt tysięcy". „To mało; ten folwark więcej wart; my damy dwakroć". „A dobrodzieju!" „Niezwłocznie posyłam do ministra o zatwierdzenie tego kupna". I posłał rzeczywiście sztafetę nie do ministra, lecz do Nowosilcowa, do Warszawy, z uwiadomieniem. Ten natychmiast przedstawił ministrowi o potrzebie folwarku dla praktycznych lekcyj agronomji, mającej się wykładać w Uniwersytecie, i prosił o zezwolenie nabycia zatargowanego już na ten cel Zameczka. Wymiarkowawszy zaś czas, kiedy może nadejść ta pożądana rezolucja, przyleciał na ten dzień do Wilna, otrzymał ją i przyzwał Kukiewicza. „Waćpan przedajesz swój Zameczek i chcesz zań dwakroć sto tysięcy?" „Tak jest, jaśnie wielmożny panie". „Bardzo dobrze; oto kontrakt przygotowany, oto pieniądze i kwitancja z ich wypłaty, podpisz waćpan". Kukiewicz, otumaniony szczęściem niespodziewanem i tak gładkiem ukończeniem interesu, podpisuje.

Skoro podpisał, Nowosilcow oddał kontrakt i kwitancję Pelikanowi, a oddarłszy z leżących na stole papierów kawałek, napisał na nim rewers, że pożyczył u Kukiewicza trzydzieści tysięcy rubli srebrnych, i oddał mu ten szpargał. Kukiewicz stracił przytomność. Opamiętawszy się jednak, jako to był człowiek rozumny i przebiegły, pada do nóg Nowosilcowowi i prosi, żeby mu dał posadę przy swej kancelarji. To łatwo było. Nowosilcow już wiedział, jakich to zdolności człowiek, wziął go do siebie i Kukiewicz mógł się cieszyć, że dobrze swój Zameczek sprzedał, bo w krótkim czasie na swej nowej posadzie zarobił w kilkoro tyle, co mu za ten folwark należało, a co na Nowosilcowie za przepadłe musiał poczytywać.

I koniec też Nowosilcowa był odpowiedni tym jego talentom. Historja zapewne opisze jego dzieła warszawskie i petersburskie, ale o końcu może i nie wspomni. Że rozwiodłem się tu o nim, powtórzę, co o tem słyszałem, nie ręcząc wszakże za prawdziwość tego podania.

Posiadał on, jak wiadomo, dane mu na utrzymanie starostwo i razem z niem probostwo słonimskie. W ogromnych lasach, do tych dóbr należących, miał pozwolenie brać drzewo na budowle i potrzeby gospodarskie, ale inny wszelki z nich użytek zawarowany był dla skarbu państwa. Nowosilcow postarał się, że nadzór nad temi lasami poruczony został Poradowskiemu. Dał mu, jakoby z łaski, folwarczek z dóbr słonimskich, zwany Mickiewicze, w arendę bezpłatnie. Zobowiązany tem Poradowski, a przytem bojąc się przemożnego pana, musiał patrzeć przez palce na nadużycia, które Nowosilcow robił w tych lasach. Pod pretekstem budulcu dla folwarków i włościan kazał rąbać corocznie kilkadziesiąt tysięcy belek towarowych i sprzedawał je Żydom na handel zagraniczny, znacząc je klejmami sąsiadów, jakoby to drzewo z ich lasów pochodziło. Udawała mu się ta frymarka przez długie lata, bo ani urzędnicy leśni, którzy zato pobierali nagrodę od niego, ani obcy nikt nie odważał się skarżyć takiego potentata. Nakoniec ktoś ośmielił się donieść o tem ministrowi skarbu Kankrinowi. Ten, nie śmiejąc także obwiniać Nowosilcowa bez przekonania, posłał na miejsce, pod innym pozorem, zaufanych urzęd-

ników, którzy odkryli wszystkie okoliczności: jacy ludzie las rąbali i wywozili, jakie były gatunki, kto kupował, czyje były klejma i t. d. Kankrin, mając to w ręku, nie śmiał jeszcze sam skarżyć Nowosilcowa przed Mikołajem, ale użył wybiegu. Wiedząc, że cesarz czyta od deski do deski Gazetę Hamburską, posłał sekretnie artykuł do wydrukowania w tej gazecie pod imieniem jakiegoś kupca tamecznego. Zapowiadał w nim: że spodziewają się tańszych cen na drzewo rosyjskie, bo między innemi wielka partja belek kupiona została od Nowosilcowa w tym roku, równie jak w poprzednich latach, z dóbr słonimskich i już znajduje się w drodze. Cesarz, postrzegłszy ten artykuł, przywoływa Kankrina, pokazuje mu i zarzuca niedbałość. Kankrin odpowiada, że to może bajka, że trzeba się przekonać. Cesarz więc każe Benkendorffowi wybrać kogo ze sztabu żandarmów tak pewnego, żeby mu z zupełną ufnością można było poruczyć to śledztwo. Benkendorff przedstawił jakiegoś pułkownika, ręcząc za niego. Pułkownik przywiózł te same rezultaty śledztwa, co i owi urzędnicy kankrinowscy. Wtedy cesarz, przyzwawszy Nowosilcowa, wpadł na niego; ten niezmieszany powiada, że to potwarz, że Kankrin zmówił się z Benkendorffem, że to niemiecka partja chce go zgubić przed cesarzem, jako Rosjanina; nakoniec prosi o wyznaczenie formalnego śledztwa, lecz żeby nań cesarz raczył wybrać ludzi znakomitych i nie z niemieckiej partji. Cesarz, zachwiany, komu wierzyć, wyznacza sam dwóch senatorów i, nie dając im czasu porozumienia się ani z Nowosilcowem, ani z Benkendorffem, wysyła w tejże chwili do Słonima, zaleciwszy im jak najsumienniejsze śledztwo. Ci powracają z wywodem, jak najkompletniej oczyszczającym Nowosilcowa. Cesarz w gniewie woła Benkendorffa. „To", powiada: „intryga, to zmowa na Rosjan; wy, Niemcy, chcecie ich pozbawić mego zaufania" i t. d. A pułkownika owego każe degradować w proste sołdaty. Benkendorff przysięga, że pułkownik nie zdradził, i prosi, żeby cesarz zawiesił swe zdanie w tej sprawie, a posłał na śledztwo Wasilczykowa, który, sam Rosjanin, posiadał nieograniczone zaufanie Mikołaja. Posłał go tedy cesarz i okazało się, że senatorowie byli ujęci przez Nowosilcowa, pułkownik zaś ów prawdę doniósł. Wtenczas już Mikołaj napuścił się na Nowosilcowa, złajał go z ostatnich słów i wypędził od siebie jako łotra. On,

przyjechawszy do domu, natychmiast wziął pigułkę i tem godnie zapieczętował swe życie.

Wyrok ów komisji o naszej sprawie, najwyżej zatwierdzony 7 sierpnia, odczytano nam w końcu tegoż miesiąca i zaraz, wziąwszy od każdego z nas pojedyńczo podpiski, „że nic przed nikim nie powiemy, o co nas pytano i co działo się na śledztwie", wypuszczono wszystkich z więzienia, wyjąwszy tych, co byli skazani na wywiezienie do Rosji. Tym nie pozwolono nawet zajechać do familji dla pożegnania się i wyprawiono ich wkrótce każdego na miejsce jego przeznaczenia. Jankowskiego także wysłano, ale tego wskutek wielkich obietnic nagrody od rządu na urząd kwartalnego do Wołogdy. Nam zaś, uwolnionym, kazano płacić owe naliczone na nas wydatki na śledztwo. Wypadło na każdego po sto czterdzieści rubli srebrnych...



Franciszek Malewski.

FRANCISZEK MALEWSKI

DZIENNIK WIĘZIENNY

Syn Szymona, rektora Uniwersytetu Wileńskiego, był Franciszek Malewski obok Mickiewicza i Jeżowskiego najwybitniejszym działaczem w związkach młodzieży wileńskiej. „Reprezentował wśród Filomatów — temi słowy charakteryzuje go prof. Kallenbach — pierwiastek wysokiej kultury umysłowej; prawnik z zawodu nie zasklepił się w swej specjalności, ale bardzo żywo i rozumnie interesował się historją i literaturą, a znając języki francuski, niemiecki, angielski, włoski i inne, obejmował szersze horyzonty i ku nim zwracał swych przyjaciół. Dzięki jemu prądy zachodniej literatury wcześnie przedostały się do grona filomatycznego i nie pozwoliły mu zacieśnić się w obrębie prowincjonalnym. „Niewymowna chęć nauki," sprawiła, że Malewski stał się bardzo szybko erudytem niezwykłym, z którym w latach uniwersyteckich mógł się tylko jeden Jeżowski mierzyć. Nad innymi Filomatami górował Malewski wczesną znajomością języka i literatury niemieckiej. I on także przejęty był ciągłą troską o byt i ulepszenie Towarzystwa Filomatów, i on był wzorem pracowitości dla innych, wiele wymagającym od drugich, ale przedewszystkiem od siebie".

Urodzony w r. 1800, po ukończeniu szkół wileńskich i wydziału nauk prawnych Uniwersytetu Wileńskiego, na którym po wytężonej pracy otrzymał stopień magistra, wysłany został, jako upatrzony profesor uniwersytetu, do Berlina dla uzupełnienia studjów. W czasie procesu filareckiego wymienione zostało nazwisko Franciszka Malewskiego, jako jednego z głównych działaczy w związkach tajnych. Aresztowany na żądanie władz rosyjskich, po parotygodniowym pobycie w więzieniu berlińskiem wysłany został do Warszawy i stawiony przed w. ks. Konstantym, a następnie, po poczynieniu zeznań, do Wilna. Skazany wraz z innymi Filomatami na wygnanie do Rosji, czas jakiś spędził z Mickiewiczem w Petersburgu, Odesie i Moskwie. W r. 1829 otrzymał posadę urzędnika

w Metryce Litewskiej przy 3-im departamencie Senatu; 15 stycznia 1830 r. powołany został Malewski do t. zw. drugiego oddziału kancelarji cesarskiej dla ułożenia wraz z Daniłowiczem, Korowickim, a pod przewodnictwem Sperańskiego, zbioru praw gubernij polskich. Pensji do 1834 r. nie pobierał, następnie przyznano mu 500 rs. rocznie, od 1836 r. — 1000 rs., po ukończeniu prac nad zbiorem praw otrzymał 10 000 rs. nagrody, order św. Anny i trzy tysiące rocznej pensji dożywotniej. Oprócz zajęć, związanych ze stanowiskiem urzędowem, żywo zajmował się sprawami literackiemi, założył w r. 1830 T y g o d n i k P e t e r s b u r s k i, troszczył się o wydanie dzieł Mickiewicza, z którym stale w najserdeczniejszych pozostawał stosunkach i którego żony siostrę, Helenę Szymanowską, poślubił. Wysoce ceniony dla głębokiej wiedzy, nieskalanej uczciwości i bezinteresowności, skromny, nie dbający o zaszczyty i odznaczenia, odrzucał proponowaną mu niezwykłą, jak dla Polaka, godność senatorską. Do końca życia pozostał wierny ideałom młodości i dzieciom jako stałą powtarzał przestrogę i naukę: „Miejcie zawsze na myśli, czy spełniacie obowiązki wasze względem ojczyzny". Zmarł 10 kwietnia 1870 r.

Postać to, jako typ filarecki, w swem długiem, pracowitem życiu niepospolita, a uderzająco hartowana, na tem miejscu ledwo rysami naszkicowana, lecz której słusznie oddzielny staranny należałby się wizerunek.

Dziennik Franciszka Malewskiego, który zawdzięczamy niezwykłej uczynności czcigodnego pana Władysława Mickiewicza, obejmuje szczere zwierzenia aresztowanego za winy niepopełnione Filomaty, który z refleksyj i przeżyć swoich zwierzał się serdecznemu przyjacielowi, Michałowi Fryczyńskiemu. Pisany ostrożnie, z obawy ujawnienia przez władze, maluje stan psychiczny Malewskiego, a dla nastroju czasów i autora stanowi przyczynek wartościowy i interesujący.

d. 31 stycznia 1824, Berlin. Cóż mam napisać tobie, kochany Michale, jakie wyrazy zostawić ci na pamiątkę?... Myślałem o tem dziś w nocy, nic mi nie przyszło, coby moje życzenia zaspokoić mogło. Nasza mowa jest uboga, też same znaki malują boleść i radość, mała ich liczba nietylko uczuć, lecz i myśli zawrzeć nie może. Znikome słowo przywiązane jest do czasu, brzmi i ulata, możeż mu papier dodać trochę trwałości. Daruj więc, Michale, nie napiszę ci nic z tej głębi, z której głos w oku tylko, w niemem poruszeniu się maluje. Moich nadziei, moich ślubów dla ciebie nie będę powtarzał, bo jużeś albo je ziścił, albo sam przez siebie ziścisz. Idź za popędem serca, za głosem duszy! Ten głos nigdy cię nie zawiedzie, szczęśliwy, w kim tak wyraźnie, tak czysto przemawia! Ten głos i twoje żywe dla Ojczyzny uczucie doprowadzą cię do świątyni prawdy! Przez ciernie życia dobijesz się szczęścia. W moim dzienniku znajdziesz więcej wyrazów dla siebie. Proszę cię, zachowaj ten dziennik dla sióstr i przyjaciół moich. Nic w nim nie zmieniłem, nic nie dodałem. Zawiera chwilowe myśli. Zrób też rachunek mojego długu, zdaje się, że przeszło 200 tal. zostaję ci winien. Ojciec zapłaci, albo ja ci zwrócę i o tem będę się starał najprędzej ci donieść. Książki można będzie wysłać w końcu lub w połowie marca, adresując do Królewca *an den D. Levy in Königsberg für Friedrich Moritz in Wilna.* Rejestr ich zrobisz osobno dla komory, jeśli będzie można. Dümmler niech mi do końca kwietnia czasu zostawi i niech przed terminem nie upomina się o pieniądze. Oto wszystko, o co cię mam prosić, drogi Michale, kochaj mnie i moich! Żegnam cię na długo.

... *Die Thoren sagen auf ewig.*

Jestem spokojny i, gdyby nie myśl o rodzicach, byłbym szczęśliwy. Wiesz że, jaki mnie obłok otoczył wśród przeciwno-

ści? wiesz, co jest przyczyną tego pokoju? Oto radość, żem z własnego przekonania już dawno tam się zwrócił, gdzie człowieka nieszczęścia zwracają, gdzie dusza zbolała ostatniej szuka pociechy. Patrz i ty, Michale, w tamtą krainę. Wszystko, co człowiek ma najlepszego, najszlachetniejszego w sobie, nie jest z ziemi ani dla ziemi.

Twój tu i tam

Franciszek.

. . . .

d. 20 grudnia, 1823 Berlin. O godzinie wpół do ósmej z rana wszedł do mnie komisarz policji Dekart z drugim komisarzem Eberhardem. Zapytany o powód wizyty odpowiedział, że ma rozkaz zaprowadzić mnie do *Stadt-Polizei* i zabrać moje papiery. Nie mogłem mu odmówić tak sprawiedliwego żądania, sam mu złożyłem wszystkie moje pisma i około 10 z drugim komisarzem udałem się na *Molken-Markt.* Wprowadzono mnie do sali cenzury, przydany strażnik pozwolił mnie odczytać leżące gazety. Po godzinie Dekart wziął mnie z sobą do jakiegoś Falkenberga, lecz zamiast do niego trafiłem do izby, oczepionej dzwonkami, w której mnie Dekart powierzył jakiemuś inspektorowi, zalecając dać mi stancję i czuwać, abym z nikim nie mówił. Była to, jak się domyśliłem, izba aresztowa, przeszło przez nią kilkanaście osób, prowadzonych do więzienia i z więzienia i biorących znaki na wchód do więźniów.

Ktoś, za biurem siedzący, zapytał mnie o nazwisko, wiek, religję, mieszkanie. Strażnik ruszył się z wielkiego krzesła dla zaprowadzenia mnie do nowej mojej izby. Była jeszcze nieopalona, żądałem jeszcze zostać czas niejaki na dole, nie odmówił mi tego inspektor, wróciłem więc na dół, po pół godziny poszedłem znów ze strażnikiem na górę. Drzwi trzasły za mną; już jestem więźniem.

Fryczyński widział się z Radziwiłłem.

Między godziną 4-tą a 5-tą wezwano mnie do Falkenberga. Od niego tylem się tylko dowiedział, że areszt nastąpił wskutek rozkazu ministra spraw wewnętrznych i policji. Powód, jak mówił, dotąd jemu samemu jest niewiadomy. Byłem przytomny spisaniu zabranych papierów i podpisałem wzięty o tem protokół. — Michał, kochany Michał, biegał do prezydenta policji,

prosząc o pozwolenie mówienia ze mną. Napróżno. — Ile on cierpieć musi, kiedy ja tu z zimną krwią słucham brzęku kluczów, kajdanów, patrzę na zamurowane okna. Ile cierpieliby rodzice, siostry, ale to dla nich może zostanie tajemnicą.

d. 21 grudnia. Dzięki człowiekowi, który sen wynalazł! O, głęboka prawda Sanszo-Pansy. Powtórzyłem ją, wstając dziś z rana. Brzemię myśli, które mi wczoraj ciężyło, kiedym dzień cały wysilał się na odgadnienie przyczyny mojego więzienia, spadło we śnie; zdało się, żem był w mojej stancji, o małom nie pozdrowił Fryczyńskiego. I czemżeby się dzień ten miał różnić od innych? Nic mnie spotkać nie może, bom nic nie przewinił, coby na sąd ludzki zasługiwało, w tem nawet, w czembym sam błąd młodości uznał, o żadne występne pobudki sumienie mnie nie oskarża. Z tem samem uczuciem, z jakiem patrzyłem na burze przyrodzenia, patrzeć będę i na grożącą mi ludzką burzę! Jak mnie przy tamtych wiara w Opatrzność broniła od trwogi, tak i przy tej obawa nie wejdzie do mojej duszy.

Do was tylko, kochani rodzice, zwraca się myśl moja, już oddawna nic wam oprócz przeciwności donosić nie mogłem, wasze nadzieje nie towarzyszyły mi nigdy zapewne do więzienia! Przyjaciele, którym żadna myśl moja tajną nie była, nie będą się litowali nad tym wypadkiem, ujrzą w nim cios przeciwnych wyroków, lecz rodzicom i siostrom tej pociechy zanieść niepodobna. Smutek siadł przy mnie, muszę go odegnać i, kiedy historja świata jest jedną wielką elegją, nie będę jej powiększał kartą, pisaną w berlińskiem więzieniu.

d. 22 grudnia. Dzień wczorajszy nic mi nowego nie przyniósł; jednostajna niepewność trwa aż dotąd. Dziś już raz ostatni ufam w szybkość i pewność pruskiej sprawiedliwości.

Dziś będę pisał prośbę do ministra, jeśli mi i do tego nie odmówią atramentu.

M o j e m i e s z k a n i e! Poznajmy się z nim lepiej. Z ludźmi mówić nie-wolno, mówmy ze ścianami, albo raczej o ścianach.

Moja izba jest pierwszą w tym hotelu występku i kary, czemuż nie cierpienia i niewinności? Nie wiem, jak inne wyglądają, lecz moja — Nr. 1 — jest znośna, przynajmniej nie przeraża. Tak to bywa: „Trochę stara, trochę krzywa".

Ma długości najwięcej 8 do 9 kroków, szerokości 4 do 5.

Ściany były kiedyś żółto malowane, jeszcze się utrzymał szlak kolorowy u góry; nade drzwiami małe okienko z żelaznemi pręty, wychodzące w korytarz. Naprzeciw drzwi wielkie okno, takoż obwarowane żelazem. Półki przybite, łóżko, kanapa, dwa krzesła, stół, stołek z dzbankiem i z miską, szklanka, lichtarz i drewniany aparat do pewnego użytku, oto są wszystkie sprzęty, ozdabiające moje mieszkanie. Józef przysłał mi kiedyś odrysowanego siebie w izbie za stołem. Plato leżał na boku, Horacy na stole. Piwa butelki stały. Było to w Szczorsach, ja inny dla pamiątki zrobię rysunek.

Michał mnie doniósł o wpół do 12-tej, że muszę na Warszawę jechać do Wilna. Teraz więc pierwsze światło zabłysło. Z Wilna będę musiał się spodziewać ostatniej wiadomości o mojem wykroczeniu. Już i powód widzę jasno, już zapewne podobny los spotkał moich przyjaciół. Nie mam czego narzekać, ale mój ojciec, ale matka, ale siostry! ach to jedno, to jedno mnie tylko przeraża.

Bóg mnie osądzi. W Jego ręku i mój, i moich sędziów los się zawiera.

Falkenberg nic mi nie miał do powiedzenia, pozwolił tylko atramentu dla napisania prośby do ministra.

d. 23 grudnia. Jouy w więzieniu odkrył na ścianie rękę Józefiny, ja na moich murach żadnego nie zrobię odkrycia. Nic niemasz oprócz kilku cyfer, dat i dwóch węglem odrysowanych figur. W jednym kącie grupa z golarni, w drugim kobieta z kotwicą, zapewne nadzieja, ale tak straszna, że muszę od niej oczy odwracać. Czyjaś ręka w kilku miejscach napisała „*wer weiss, obs wahr ist*", a inna pod półką cztery wiersze:

Quand le Ciel en colère
De ceux qu'il persecute a comble la misère
Il les soutient souvent dans ...leurs
Et leur donne un courage egal aux malheurs.

Z murem odpadła jakaś apostrofa, zaczynająca się od *Fürsten und Völker*, kończąca się na *Gerechtigkeit* — z podpisem *m. N. v. Lsx.* Jedno tylko imię kobiece dopatrzyłem, dopisałem po nim drugie z prośbą, aby każdy po mnie dodał swoje. Może niejeden tem się rozerwie i pisząc odetchnie lepszem powietrzem. Za

cóżby każdy przychodzień nie zostawił następcy jakiejkolwiek pociechy, za cóżby nie pomyślał o uldze spółtowarzyszowi nieszczęścia. Człowiek, dla człowieka rysy swoje zostawując, obudziłby w nim wdzięczność, wywołałby myśl jego z więzienia. Ślad ludzki na pustej wyspie komużby radości nie przyniósł. Czemże się więzień niewinny różni od nieszczęśliwego rozbitka. Gdybym był malarzem, tobym sztukę moją wysilił, lecz i teraz wszystko cokolwiek przypomnę, zostawię na ścianie.

Napisałem prośbę do ministra Schudtmana o przyśpieszenie wyroku i o pozwolenie mówienia z Fryczyńskim.

Michał przysłał mi chustkę czarną, prześcieradło, dwie koszule, chustkę białą do nosa.

d. 24 grudnia. Niezdrów dziś wstałem, głowa i piersi mocno mi dolegają. O gdyby mnie zdrowie, jakiekolwiek jest, na teraz nie opuściło, z nim będę mógł jeszcze wytrzymać cierpienia niewoli, bez niego krata będzie mi jeszcze nieznośniejszą. Dzień jakiś słotny — deszcz i śnieg razem. Źle się zaczynają moje święta. W przeszłym roku byłem wolny o tej porze, cieszyłem się z przyjaciółmi. Na cztery lata przedtem był obchód imienia Adama, czara krążyła wkoło, pieśni roznosiły radość, dłoń w przyjaznej ogrzewała się dłoni, skinieniem był uścisk.

W spomnieniach był promień nadziei, dusza zlewała się na duszę.

Erd und Himmel schwammen
Wie zerrissen, um die Liebenden.

Bóstwo przyjaźni musiało być z nami, bo nigdy człowiek czystszemi ofiary nie ozdobił jej ołtarza. Dziś tenże sam dzień witam w więzieniu i rocznicę wspólnego szczęścia święcić muszę myślą o wspólnej niedoli.

Pisałem to z rana — i z temi myślami o przeszłości ubiegł mi dzień jasny. Wieczorem strażnik wszedł z węzłem do izby. Godzinę wprzódy prosiłem go o jabłko, a tu — jabłka, gruszki, ananasy, migdały, marcepany i cukrów w różnych postaciach, mnóstwo z węzła się rozsypało. Jakżem bogaty w słodycze! Daruj, kochany Michale, daruj, żem ciebie dziś do przeszłości nie powołał, żem o czasie ubiegłym myślał, o niepowrotnej zgubie, kiedy ty zostałeś do jej zwrócenia. Luby, dobry Michale,

ze łzami przyjąłem twoje dary, wiem, co cię kosztują, wiem, że ostatek poświęcasz, aby mnie na chwilę rozerwać, aby mię złudzić, — ale pocóżeś zapytał, czy co mogę dać ci nawzajem w świątecznym podarku. To zapytanie przypomniało mi niedolę i dług podwójny. W przeszłym roku, ty i Marjan, daliście mi podarek z napisem, całe wasze nadzieje, całą życzliwość malującym. I wówczas nie mogłem wam zawdzięczyć, i dziś zarówno nie mogę. Nic prócz życzeń dla was nie mam do posłania, a i te życzenia są łatwe i proste, bądźcie takimi sami, jakim mnie chcieliście widzieć, czyńcie tak, jakeście chcieli, abym ja czynił. Szczęśliwsi ode mnie — dojdziecie do celu zapewne spokojnie. Nikt was za błędy serca karać nie będzie, może was los od nich uchowa.

Dla mnie pozostanie pociecha, żeście mię godnym waszej przyjaźni uznali. Tej pociechy nikt nie zabierze. Miałem przyjaciół, jakiemi niebo rzadko ludzi uszczęśliwia. Ty z nich ostatni, Michale, najprędzej osiągniesz cel wspólnych naszych życzeń. Będziesz pożyteczny ziemi, matce swojej, wypłacisz się z długu, dla niej zaciągnionego, rozniesiesz światło, zaszczepisz pokój, pomnożysz dostatek. Lepszym wyborem wziąłeś rolę za narzędzie, przy niej bliższy będziesz Boga, prędzej odsłonisz ukryty posąg prawdy, prędzej odgadniesz tajemnicę życia ludzkiego, pogodnem okiem spojrzysz na ten obraz podarty, odkryjesz w nim prawdziwą piękność i ludziom ją pokażesz w twojem życiu, w twoich czynach, w twoich naukach. Tego się po tobie spodziewam, to ci posyłam za twoje słodycze. A jeśli prośba moja nie będzie ci obojętną — pewny nawet jestem że nie będzie — pozwól siebie prosić, aby w wiosce, którą będziesz uprawiał, tam, gdzie się najczęściej będziesz przechadzał, lipa, dąb lub kamień przypomniał ci mnie i przyjaciół moich, bo to, żeś mnie pokochał, ich jest dziełem.

Czemuż nie jestem Jean-Paulem, abym dłużej i lepiej słodycz tej chwili opisał. Mógłżem się spodziewać takich marzeń i gdzież mnie one porwały? Ty i temu winien, ty, co przysyłasz ananasy do więzienia, dobry, kochany Michale!

d. 25 grudnia. Gorączka nie dała mi snu dobrego dzisiejszej nocy, kłucie w boku coraz mocniej dokucza i głowa rozgrzana. Będę prosił doktora, może mnie nie odmówią. Zapach ananasu

powitał mnie z rana, myślałem o Michale, o moim pocieszycielu, kiedy mnie strażnik znów przyniósł od niego brzytwę i ciasta. Czyż mogę powiedzieć, że jestem w więzieniu? Jakaż! jakaż zapora zdoła pokonać moc niewidomą przyjaźni, przeszkodzić sile współczucia. Wiem, że od tych myśli jeden krok tylko prowadzi do mistycyzmu, lecz niepodobna obronić się uczuciu. Czuję, przeczuwam przyjaźń Michała, zdaje się, że wspólnem powietrzem oddycham, pewny jestem, że on przez ścianę tak w moich czyta oczach, jak ja w jego. Jest wspólność ducha, człowiek dlatego jej tylko nie uznaje, że rozum jego może jest za grubem narzędziem, że go takie badania tak ociemniają, jak patrzenie na ciągłą błyskawicę. Szyller jest jednym z poetów, któremu ten świat ducha najwięcej był znajomy. Więzienie i samotność poświęcają człowieka; ja pewnie teraz postąpię, bo tak mam jasne dowody sympatji, która mnie dziś łączy z Wilnem i Michałem. Posłałem Michałowi kij mój z wyrzniętą datą dzisiejszą. Może go przerobić na rationettę i z nim będzie chodził po polu. Jeszcze się raz do ciebie zwracam. Nieraz sarkałem za twoje do praktyki przywiązanie się. Mam nadzieję, że teraźniejsze półrocze uniwersyteckie postawi cię właśnie w środku właściwym; jednego trzeba tylko, żebyś jeszcze nie zapominał. Poznaj się bliżej ze światem starożytnym. Wolffa rozprawa pokaże ci całą jego rozległość, naprowadzi na trafny układ pracy. Oryginały greckie będą ci niedostępne, — dobieraj jak najlepszych tłumaczeń i z niemi przenoś się do Aten. Mam to za najważniejsze, bo mi się zdaje, że ludzi podzielić można na dwa szeregi: na kształconych przez Greków i przez Rzymian. Na tamtych ludzkość więcej zyska. Twoje żywe uczucia natury i twoja bliskość ziemi, zdaje się, że cię poprowadzą do odkryć w geografji fizycznej. Staraj się, staraj się oderwać od pierwiastkowych wrażeń, które na ciebie wiele jeszcze mają wpływu. Pracuj nad precyzją pamięci, to rzecz bardzo łatwa. Nie czytaj wiele, lecz mocno. *Non multum sed multa.* Autorstwa wystrzegaj się, dopóki książka ci w głowie cała nie urośnie i mimowolnie nie wypadnie. Co do tłumaczeń, do których masz skłonność, znudzisz się dość, jeśli będziesz cudze poprawiał. Odrzucaj przypadkowe i zewnętrzne. Uważałem, że cię w obrazach świeżość i ogień farb mocno porywa, mnie się zdaje, że prawdziwa moc farby przez czas zyskuje.

Jaskrawość niknie, harmonja się rodzi. Dawne obrazy mają tę czarującą łagodność, ja to uważam za tryumf mistrza i to się prawdzi nietylko w sztuce malarskiej, ale w sztuce życia i we wszystkich umysłowych sztukach człowieka. Wiesz, że sztuki mam za nauki, nauki za sztuki i tego, w kim się tak zbiegają, jak koła spółśrodkowe, mam za najbliższego bóstwa, za człowieka, prawdziwie na obraz i podobieństwo Boga stworzonego. Jest to dodatek do mojego bambusa, droższy ci będzie, bo idzie z głębi duszy. Obym cię widział za lat kilka, kilkanaście. Takiegoż ciebie zobaczę — ojca, nauczyciela, Polaka! Bądź zdrów, a kiedy będziesz drugą podróż do Francji, do Anglji, do Rzymu odbywał, bo odbywać powinieneś, nie jedź na Berlin! Zapomniałem napisać, że mi strażnik winszował takiego, jak ty jesteś, przyjaciela.

d. 26 grudnia. Niezdrów dziś jestem z rana (bardziej), niż byłem wczora, ból w sercu połączył się z dawnem cierpieniem; ledwo o 2-ej w nocy zasnąłem. Potrzeba koniecznie lekarza, wczoraj nie można się było doprosić. Już się wyczerpały przedmioty mojej rozrywki, oszczędzałem je sobie z jednego dnia na drugi, aby mieć o czem pisać, ale już i treści braknie, i to pisanie, jakkolwiek przyjemne, męczy mnie, zawsze mocniej przypominając dom i przyjaciół. Może też wkrótce i papieru nie stanie. Nowego, kto wie, czy pozwolą. Okno moje wychodzi na niewielki dziedziniec ukośny, dwóch jego boków widzieć nie mogę. Najdłuższy przeciwny ma na dole kurytarz dość długi, filary jego dźwigają dwa piętra, mające 27 małych okien, zabitych cegłami lub drzewem. Tam mieszkają po 6—7 w izbie więźnie, zbrodniarze, i przy mdłem świetle, wciskającem się przez cegły, robią przeznaczone roboty. Jak trzeba zająć człowieka, chcąc mu odjąć władzę szkodzenia, kiedy raz wola zły wzięła kierunek. Lecz za co człowiek karze człowieka, odejmując mu dar boski światło! Okropny los ludzkości! Jednak cisza tam panuje; żaden jęk się nie przebija. Na kurytarzu kilka razy na dzień widzieć można więźniów przechadzających się, w jednej porze mężczyzn, w drugiej kobiety. Jest to inna klasa, bliżej mnie mieszkająca, skazana na areszt kilkodniowy za mniejsze wykroczenia i na cielesne pokuty. Wychodzą dla odetchnienia świeżem powietrzem, bo zwyczajnie po dwudziestu siedzą zamknięci

w jednej izbie i tak noc przepędzają. Musi być dobrze, kiedy mój strażnik, wchodząc przed jedynastu laty w swoje urzędowanie, dwa razy po wejściu do tych izb chciał uciekać. Mimo tego jednak codzień ludzie wracają i wczoraj czterech, puszczonych na wolność z rana, dobrowolnie przyszło wieczorem. Zima, posłanka nędzy, przywodzi ich napowrót, nie mają czem żyć, czem się ogrzać, opatrzenie wszystkich potrzeb przecięte, wracają do więzienia.

Dziwna, jak tego przykładu nikt jeszcze nie użył na poparcie teorji Russa o oddawaniu pewnej części wolności przy wchodzie do społecznego związku. Zapewne i większa część występków, za które tacy więźnie pokutują, pochodzi z nędzy, i ta zdolność do występku wzięła początek w nędzy, może nawet w nędzy rodziców, w niedostatku sposobów wychowania. Cóż jednak najlepszy prawodawca, największy przyjaciel ludzkości zdoła naprzeciw nędzy zastawić? jak dziecię od tej mamki, zły pokarm mającej, oderwać? Dawniej o tem wcale nie myślano. Połowa ilotów lub niewolników ginęła marnie w świecie starożytnym; ani mędrzec, ani rządca głowy sobie nie łamał. W wiekach średnich człowiek mógł się więcej trzymać roli i wreszcie los ubóstwa całkiem przypadł kościołom; dziś sprawa ludzkości stała się sprawą powszechną. Człowiek rzucił się z zapałem do szukania jej przyczyn i sposobów ulgi i z czemże wyszedł z tego labiryntu, jakąż prawdę zdobył? Oto, że na pewnym stopniu społeczności bez nędzy obejść się nie można, że kultura i nędza są dwa odpowiednie bieguny, że do odegnania niedoli albo kulturę cofać, albo ludność wstrzymywać potrzeba. Któraż z tych prawd więcej dotyka serca, nie sąż wszystkie równie bolesne. Jest to jednak korzyść nauki. Rzućmy te dalekie wnioski, ściągające się do ogromu społecznego w miastach; można nędzy niezawodnie przeszkodzić, nie dopuszczając wchodu ludziom nie mającym sposobów utrzymania się; w mieście zubożałych wspierają kosztem miasta. Taż sama nędza, zostawiona na wsi, nie miałaby nigdy tak złych skutków moralnych.

Michał przysłał mi dziś świeże ciasto i nowe buty.

d. 27 grudnia. Nie pozwolono mi wezwać mojego lekarza, tutejszy domowy doktór jeden tylko może mię leczyć, dziś go użyję. Michał pomimo prośby mojej, że nic kupowanego nie

przyjmę, przysłał mi butelkę wina. Chce mi gwałtem więzienie na dom zamienić — ale któż może sam jeden pić wino? Jest to napój towarzyski; wesołość w nim ukryta, ogień w nim tlejący, mówność, którą podnosi, wszystko woła wspólnika, przyjaciela. Bez tej potrzeby, z niego rodzącej się, wino nie byłoby tak wsławione. Luter nie miał za dobrego chrześcijanina człowieka, kto się sam zamyka na picie wina, kto sam jego dobroć, jego smak wychwalać może. Źle się mówi kieliszek w liczbie pojedyńczej. *Numerus dualis* przynajmniej jest nieodbicie potrzebny. Ja moje wino wypiję ze strażnikiem, już z nim bliską zabrałem znajomość podług teorji Tomasza: „Dwie ilości, znające się z jedną trzecią, poznają się między sobą". On chwali i dziwi się Michałowi, ja chwalę i dziwię się, i kocham Michała. Oto już pierwszy punkt zetknięcia się naszego. Zapomnę na chwilę, że sam jeden jestem więźniem niewinnym, włożę na chwilę maskę występku i zapytam siebie, czyli więzienie berlińskie odpowiada potrzebom sprawiedliwości i ludzkiego uczucia. Sądzić o tem nie mogę z mojego położenia, lecz z spostrzeżeń, przez szparę czynionych. Nie znam dobrze ludzi, mających rząd domu; ważąc ich podług prawidła, zdają się dobrze dobrani. Dozorca, nieco podobny do szpitalowego zwierzchnika w Gil-Blasie, jest jednak niewątpliwie ludzki i uczynny i strażnik pomimo, że jest w obowiązku najlepiej oduczającym wszelkiego uczucia, nie stracił go jednak i nie ma oka ponurego, w głosie nie ma dzikości; nie zdałby się do romansu pani Radcliff.

Ten dziennik, jak widzę, zapisany będzie samemi darami Michała. Tylko co wniósł strażnik znowu jabłka i gruszki; i Goethe, i Niebuhr, i Hegel zawitali do mojej ciupy, a co najważniejsza, papier i ołówek; rzucam pisanie, aby się nacieszyć nowym podarkiem. Dalej do Goethego! To tylko jeszcze, Maryniu i Zosiu! Czytając ten dziennik, pamiętajcie na przykład Michała; uczcie się od niego przyjaźni. Miłość rodziców, miłość krewnych, pierwsza miłość i przyjaźń są brzmienia jednej lutni, echa jednego głosu. O mój boski Goethe! ledwom cię wziął w ręce, lepsza mię aura obwiała. Przez ciebie mówić będę do przyjaciół, bo i ty musiałeś być takiego szczęścia, jak nasze, wspólnikiem. Oto twoja i nasza strofa:

So kommst deine Freunde wenn auf euren Wegen des Lebens

Bürde schwer und schwerer drückt, wenn eure Bahn, ein frischerneuter Segen mit Blumen ziert, mit goldnen Fruchten schmückt, Wir gehen vereint dem nächsten Tag aufgegen. So leben wir, so wandeln wir beglückt und dann auch soll, wenn Enkel um uns trauen, zu Ihrer Lust must unsere Liebe dauern.

Jeszcze się nie mogę nacieszyć; co wezmę, to perła tak okrągła, tak czysta, tak jasna! Dzisiejszy ranek stał się prawdziwie Goethowy. Nie mogę się oprzeć, jeszcze muszę jedno wypisać. Pisząc, zaraz będę umiał napamięć, a to zostanie w dzienniku, jak róża na piasku; mam teraz papieru dosyć...

Około 6-ej wieczorem wezwał mię Falkenberg do siebie i odczytał rezolucję ministra na moją prośbę. Nic w niej nie było oprócz wiadomości, żem został uwięziony na *Kaiserlich-Russische Requisition* i że o to już potrzebne komunikacje między Ministerjum Spraw Zewnętrznych a Rosji poselstwem uczynione zostały. Tydzień cały trzeba było siedzieć, aby to posłyszeć; tyle mogą nieszczęsne formy.

d. 28 grudnia. Około pół do jedynastej odwiedził mnie doktór Natorpp; nic nie przepisał, chcąc się wprzódy z moim dawnym doktorem rozmówić. Ten mnie powiada, że mam hemoroidy, tamten, że reumatyzm, ja mówię i jedno i drugie; mam teraz książki, dziennik coraz, coraz krótszy. — Michał dotąd nie przychodzi, czy nie chory? Cóżbym dał teraz za wiadomości z Wilna, cóż, gdyby mi ta wiadomość powiedziała o zdrowiu rodziców i przyjaciół! Niechby mnie potem nieszczęście nasyciło, gdyby tylko moje cierpienia do nich nie przeszły. Ja jestem w sobie spokojny, nie sądzę, aby mię potępiono bez wysłuchania, a wkońcu, jeśli mię koło niesprawiedliwości przejdzie, to się i na mnie choć o jedną tysiączną opóźni.

d. 29 grudnia. Nic nie zapisałem w dzienniku. Niebuhr i Goethe zajęli mię dzień cały. Michał wczoraj z płaczem odszedł, to mi nie dało spać w nocy. Jakże on musi powiększać moje cierpienia! Przysłał mi chodaki, cukry i ciasto.

d. 30 grudnia. Znowu nie wziąłem dziennika, pomimo że w tym dniu miałbym wiele do napisania. Mnóstwo myśli o domu, o przyjaciołach. Jakieś przeczucie nie dawało mi spoczynku. Do Maryni zwracałem się z prośbą, aby do mnie pisała, zapewne ją usłyszała z mojego więzienia, zapewne chciała mię uwiadomić

o wypadkach, ale czyż list jej doszedłby nietknięty do mnie, czyżby mi go oddano, czybym odebrał go choć teraz! Prosiłem doktora, żeby napisał do ojca o mojem położeniu. Michał pomnaża coraz moją bibljotekę, coraz to dziennik będzie krótszy. Zapomniałem o włoskich orzechach, które mi przysłał, dziś je zjadłem i chciałbym więcej. Dobry Michale, mamże cię prosić, mamże ci dziękować? Ty umiesz dobierać, co się mnie najwięcej podoba, cóż kiedy się wszystko w proch, w popiół obrócić musi!

(Dopisek na marginesach: W tych orzechach był list od Maryni i Michał po posłaniu ich był niespokojny, żeby Fr. dzieciom nie oddał. Zapytywał po kilka razy, czy jadł orzechy? ten odpisał: „Dawaj więcej takich").

d. 31 grudnia. Wziąłem się zapisywać wszystko, co Michał przyszle. — Dziś przyszły cytryny, cukier potłuczony, wino, nowe ciasta, rozynki, migdały. Mógłbym założyć sklep cukierniczy. Niczego mi nie braknie, oprócz Michała samego. Strażnik z ucieszoną twarzą, co także dla więźnia jest wielkim darem, zwiastował mi z rana przyjemną wiadomość, że odtąd już mogę pisać atramentem. Winienem to doktorowi zapewne, a może i dobroci samych zwierzchników. Zdaje się, że mię już teraz nie mają za występnego, kto wie, czy się nie zaczną rozwalniać moje więzy. Cierpliwość doczeka się czegoś.

ROK 1824.

d. 1 stycznia. Mam już atrament, lecz dziś jeszcze przez wdzięczność dla ołówka nie będę go używał. Ołówek był dotąd moim towarzyszem, niewdzięczność byłaby go rzucać.

Otóż dzień Nowego Roku, jeden drugiemu winszuje, wielu się cieszy, niektórzy się smucą. Radbym się spytał, czem się ten dzień różni od innych? I w tym dniu człowiek się rodzi, jak w innym, i w tym, jak w innym, umiera, weseli się i płacze, a jednak jest coś, co go zatrzymuje i z pociechą każe mu powitać rok nowy. Nie sama to sprawia nadzieja, owszem przeszłość ma w tem więcej udziału. Ów czas, z którym człowiek walczył co chwila, stawi mu się w większym orszaku dni i godzin, jak słup milowy po wielu mniejszych przedziałach ukazuje mu się na drodze życia. Pokonaliśmy jeden element, chociaż z nim do nowego niepokoju jużeśmy gotowi, chociaż w pierwszej chwili, kiedyśmy 365 dni do grobu zanieśli, już i tęż samą chwilę chowamy. O dziwne złudzenie człowieka! o jakże na lada fikcji przestajesz! Czemże jest ten czas nieprzyjazny, jeżeli nie pasmem naszych myśli, naszych uczuć? Bez nich nie mielibyśmy pojęcia czasu, przez nie liczymy godziny i chwile. My to płyniemy, a nie brzegi przed nami uciekają! Każdy z nas jest Saturnem dla siebie i w tem szkle zwodniczem proch naszych marzeń i działań przebiega. Wpadłem na inne pole, ale rzeczywistość przywodzi mię napowrót do więzienia! Tu zacząłem rok nowy, ale tu pewnie nie skończę. Tu go zaczną i moi przyjaciele. Cóż, kiedy różnica kalendarza tej mi nawet pociechy zabrania, abym z nimi mógł o jednem w jednej myśleć godzinie. Za dwanaście dni jeszcze stanie przed wami rok nowy, ale może, nietylko może, niezawodnie, wy teraz wstecz dni liczycie i wy pamiętacie o moim Nowym Roku; jesteśmy nierozdzieleni, ta ziemia znika

przed nami, wasze okna patrzą na moje, krata nas jeszcze rozłącza, niemasz i kraty, ja w waszem, Józefie, Adamie, Janie, objęciu, wy w mojem. Teraz nas karzcie, teraz nas sądźcie! Na waszej szali ważcie występki, zbrodnie, spiski, tajemnice! Jest inna, na której łza i tchnienie stracone nie będą.

Michał przysłał mi wieczorem ciasto, cóż, kiedy on sam przyjść nie może i moich życzeń nie przyjmie. I jemu Nowy Rok równie jest smutny.

d. 2 stycznia. O 12 był doktór i przepisał pigułki. Noc miałem niedobrą. Sen przypomniał mi ojca i matkę, nie mogłem potem zamknąć powieki. Michał przysłał mi wieczorem ciasto, obwinione w gazetę. Wszystko moją teorję popiera, miłość i przyjaźń uczą dowcipu.

d. 3 stycznia 1824. Zapomniałem napisać, że wczoraj zawitały do mnie dwa kopersztychy — dwie Madonny Rafaelowe. Powoli moja stancja ubierze się we wszystkie małe ozdoby; jakże lubo pomyśleć o tem.

Napisałem list do mojej Maryni, donosząc jej ogólnie o moim przypadku. Wiem, że ten list przyczyni smutku, powiększy trwogę w domu, ale nie godziło się milczeć. Dobrze na ten raz, że jestem na obcej ziemi. Gdybym był na miejscu, możeby mi nie pozwolono rzucić się do stóp ojca, matki, ucałować siostry i prosić o przebaczenie za tyle gorzkich chwil, które im przynoszę mimowolnie. Michał przysłał znowu mnóstwo jabłek i gruszek, razem karty geograficzne, cyrkle, globusy i farby. Będę miał się czem bawić, będę rysował, malował... ziemię.

d. 4 stycznia. Około południa korzystałem z pozwolenia doktora, wyszedłem przejść się nieco na kurytarzu pod słupami. Nie przyniosło mi takiej rozrywki, jaką wróżyłem: gdyby to była i cała ulica Pod Lipami, lecz, gdyby otoczona była takim szeregiem brudnych, dzikich okien, gdyby za nią wejrzyć nie było wolno, nie chciałbym po niej chodzić. Około 7-ej Michał przysłał odzienie i książki. Jeszcze niedługo będę mógł z pewnością oczekiwać jego przyjścia, lekcje odbiorą mi tę pociechę. Chciał mi przysłać fortepiano. O, zapewne miałbym wielką przyjemność. Lecz czyż wolno te mury, przywykłe do jęku, trwożyć innym głosem? daj pokój, dobry Michale, i tak nie zginę.

d. 5 stycznia nie zapisałem w dzienniku.

d. 6 stycznia. Doktór był około 10, przepisał mnie nieznośnie przykre lekarstwo. Jestem rzeczywiście mocniej chory, niż dotąd. Michał przysłał mi listy z Bremy i rachunek Oppenhejma. Książki przyszły wprawdzie nie w porę, ale tanio. Wczora odebrałem list od Oppen., przyniósł mi dobrą chwilę, bo dowód pamięci w nieszczęściu jest przyjemny. Odpisałem na ręce Michała.

d. 7 stycznia. Był doktór z rana, Falkenberg zawołał mnie około 12-ej. Zapowiedział mi podróż do Słupców, gdzie mam być oddany ruskiemu feldjegrowi. Odpowiedziałem, że podróż teraz nie może nastąpić dla mojej choroby i odwołałem się do świadectwa doktora. W parę godzin przyszedł do mnie jakiś policjant, zapowiadając mi swoje towarzystwo do jutrzejszej podróży. Odpowiedziałem mu *ditto.* Napisałem prośbę do ministra Schudtmana.

Michał! Michał! Michał! wszedł niespodzianie po 4-ej, bawił z pół godziny... Wszedł ze łzami, odszedł ze łzami; jednak musiał się przekonać, że ja nie tyle cierpię, jak on sobie wyobraża. Ach, gdyby on wiedział, jak mnie łzy jego przerażają! Nie mogę dłużej pisać: „Widziałem Michała!".

d. 12 stycznia. Ogromnej przerwy w dzienniku nie mam czasu zapełnić. Codzień przychodził doktór i codzień odwiedzał mnie Michał! Teraz się już przecie ukoił, jużem go podobno przekonał o mojej zupełnej obojętności. Goethemu winien jestem rozpędzenie ciężkich myśli. Cztery tomy dotąd odczytałem. Jego Lehrjahre przypomniały mi całe pasmo naszych działań. Lehrbrief Wilhelma zdaje się, że nam został odebrany. Tylko Goethe *Bildung* w rozleglejszem bierze znaczeniu, do tak jasnego pojęcia myśmy jeszcze nie przyszli. Zapomniałem zapisać, żem przed dwoma dniami oddał prośbę do W. Księcia.

d. 17 stycznia. Pomimo, że się więzy moje rozwalniają, coraz stają się przykrzejsze. Mam już teraz codzień Michała, mam codzień gazety, a jednak smutniej, niż dotąd, czas mi zaczyna ubiegać. Praca zamiast rozrywki, którą mi sprawiała, coraz to więcej utrudza i drętwi. Może i prawda, co doktór powiedział, że się hypokondrji strzec powinienem. — Strzec się, dobra rada — ale kiedy rodzice cierpią, kiedy siostry płaczą, kiedy przyjaciele

w więzieniu i tej nawet pióra pociechy nie mają, strzec się i ustrzec się nie tak łatwo; gdybyż już wybiła godzina wolności lub kary!

d. 18 stycznia. Cóżem napisał wczoraj i co mam dziś do napisania? Jużem wprządł się jak gąsiennica w mojem więzieniu, jużem spoufalił się ze ścianami mojej ciupy, jużem tu moje pustelnicze życie tak uprzyjemnił, kiedy mi dziś dano towarzysza, studenta z Hali. Jakże mi ten gość nowy nie w porę trafił, jakże mi swoją lulką zaćmił i zepsuł ostatek powietrza, którem mogłem jeszcze oddychać. Teraz pocznie się prawdziwe więzienie, więzienie duszy. Nie mogę dotąd wyszukać w sobie przyczyny, dlaczego tak przykre uczucie we mnie się teraz obudza. Los jego ma z moim wiele podobieństwa, powinienbym się cieszyć, przypomnieć straconą mowę, a jednak nie mogę oprzeć się cierpkiej myśli, słowa drętwieją i książkę nawet porzucam. Michał był dziś najdłużej, bo całe trzy kwadranse, przyniósł mi Saviniego świadectwo.

d. 23 stycznia. Poczciwy oberinspektor pozwolił mi czas niejaki u siebie przepędzać. Chwile ubiegają mnie tam przyjemnie; wśród dzieci i wśród domowego gospodarstwa przypominam sobie tak odległe rodzinne pożycie; zdaje mi się, że jestem w domu; że się wszystko koło mnie, koło mądrego widza obraca. Wmawiam sobie, że może w domu siostry nie płaczą, może mnie za straconego nie mają, i tak zapominam, i łudzę siebie. Ten oberinspektor Rühe bardzo zacny i uczciwy człowiek. Obowiązek nie zatarł w nim uczucia, umie litować się i chce, ile można, osładzać. Żona, prawdziwa Niemka, cicha, rządna i pracowita. Sama całe gospodarstwo utrzymuje bez służącej, bo tej trzymać nie wolno. Dzieci nieśmiałe, nieco pieszczone. Jeden bardzo pilny chłopiec, niewiele ma zdolności, lecz zato wiele ochoty i wytrwania, zbiera motyle i ładnie na szpilkach ustawia, rysuje starannie. Napisałem wczora list do Alopeusa, prosząc go o pozwolenie przesłania dwóch listów do Twardowskiego i do ojca.

Mój towarzysz dymi a dymi.

d. 26 stycznia. Z rana około godziny 10 zawołany byłem do biura, gdzie mnie oddano list Twardowskiego z wekslem na 327 T. i gr. 26; w liście, 20 gr. r. z. pisanym, ani wzmianki o niczem. Coś mi te pieniądze bardzo się nie podobają. O 11-ej

wszedł do mnie prezydent policji i stary Hejm. Do zabrania znajomości w Berlinie potrzeba, jak widzę, być w więzieniu. Prezydent, jak widzę, usiadł się na mój wyjazd; prawił mnie, że, kiedy zostanę, położenie moje coraz się pogorszy, pójdę do kryminalnego więzienia. Fi, jak chytrze. Hejm macał pulsu, niech da świadectwo. Podobał mi się; żywy i czerstwy starzec; przypomniałem sobie wszystkie pochwały jego biegłości i serca, odważyłem się mówić prosto i szczerze, słuchał mnie z uwagą. Prezydent dawał mu jakieś znaki głową; niech robią, co się podoba, niech mnie wiozą, gdzie chcą, wszak jestem w ich ręku. I to minie. Jednak niespokojność nieprędko minęła. Znowu gorączka odezwała się. Michał znalazł mnie zmienionego. Wśród dzieci inspektora przebawiłem z nim godzinę, odszedłem ucieszony, że w świecie dziecinnym można zapomnieć o nieszczęściu.

d. 26 stycznia. Hejm był znowu u mnie po południu, powiedział mi w imieniu Kamptza, że Alopeus doniósł o moim stanie cesarzowi. Wyborna była jego rozmowa. *Wenn sie ein Taugenichts wären, so hole sie der Teufel, aber sie sind ein guter Mensch, ich habe alles zu ihrem Lobe gehört, ich werde selbst zum Alopeus gehen.*

Przyszedł Michał z oberinspektorem, rozmowa była naturalnie o Hejmie, zaraz zebrało się kilka anegdot o nim. Zawołano go do kupca. Dziecko było mocno chore; Hejm, podochocony, jak zwykle wieczorem, wziął za puls. „To dziecko jest pijane!" zawołał, „puls jego bije, jak mój". I rzeczywiście mamka dała była wódki dziecięciu. Powracał konno ze spaceru i jeden z jego pacjentów zawołał go z okna. Hejm, widząc, że chory dziś go wcale nie potrzebował, nie chciał się zatrzymać, stanął wkońcu i zapytał: „Czego chcesz?" „Chory jestem", odpowiedział pacjent z drugiego piętra. „Pokaż język".

Na obchód jego imienin jubileuszu w nocy posłano mu przed dom beczkę reńskiego wina.

d. 27 stycznia. Nadspodziewanie Goethe, któremu dotąd tyle winien byłem pociechy, sprawił mi dziś nową, jakby do więzienia przeznaczoną. Odczytałem tłumaczoną przez niego autobiografję Celliniego. Koniec jej zgadza się zupełnie z moim teraźniejszym stanem. Wprawdzie cierpienia jego były większe, lecz może i moje kiedyś wyrównają! Zamknięty w więzieniu,

w ciemnicy 2 godzin tylko światła używał. Lecz niewinność uzbroiła wielką jego duszę. Zwrócił się ku pociechom religji, widzenia jego świadczą o sile wiary. Pomimo zboczeń zabobonu trafił na drogę, wiodącą nas do Twórcy.

[Tu się kończy dziennik. Więzień wyjechał 1-go lutego. Dnia 1-go lutego o godzinie 8 z rana wyjechał Franciszek w towarzystwie żandarma, a jam poszedł pierwszy raz do Tiergartenu. Była to niedziela. Słońce świeciło, dzień piękny. Pożegnanie nasze odbyło się dosyć mężnie. Ukryłem łzę w oku przed nim, uściskając go po raz ostatni, uśmiechnąłem się do niego. Twarz jego w tej chwili wypogodziła się, rzucił się z radości i wymówił: „*Das liebe ich*". Wtem konie ruszyły. Byłbym może, tak wzmógłszy się na siłach, odszedł spokojny, ale, wychodząc z bramy, ujrzałem żonę i córkę inspektora, zalane łzami, patrzące na uchodzący pojazd. O Boże! jakaż boleść serce moje ogarnęła! Potok łez, wezbranych w oku, rozerwał tamę, uczucie i żal wzięły górę nad rozwagą. Nie umiem opisać stanu mojej duszy; to wiem, żem wydał głos i, zasłoniwszy oczy, uciekłem z tych murów, dopiero w kościele odetchnąłem. Tu dopiero serce zbolałe znalazło ulgę. Widziałem cię, najdroższy Franiu, w tej chwili przed Najwyższym Sędzią, z jaką spokojną wypogodzoną twarzą tam stałeś. Niewinność Twoja niebo wzruszyła, a serc zakamieniałych poruszyć jednak nie zdoła. O wy, powiedzcie, kto wam dał prawo karać za przewinienia serca!]

3 czy 4 lutego. Dostałem się ze Strzałkowa do Słupców w ręce kapitana kozaków Goworuskiego. Miał rozkaz dostawienia mnie do Mławy do pułkownika. O koszcie ani wzmianki. Miałem być transportowany koło granicy od oficerskiej jednej do drugiej stacji. Miałem iść pieszo, albo jechać furmankami. Rekwizycje byłyby trudne, za pół miesiąca nie byłbym w Warszawie, wolałem nająć furmana za pięć dukatów i z nim puścić się w tę nieszczęśliwą podróż. Burmistrz i kapitan opieczętowali przysłane ze mną papiery. Wiele wdzięczności winienem temu kapitanowi, chociaż nie mógł w niczem od przepisów władzy odstąpić. Z rana nazajutrz wyjechałem ze Słupców o 5 godzinie z dwoma kozakami. Po niesłychanej grudzie dobiłem się Wilczyna w południe.

Oficer kozacki zasługiwałby na osobny opis, gdyby mi czas

pozwolił: takiej dobroci duszy, takiej ścisłości w służbie, przy takiem nieoświeceniu trudno znaleźć kopję. Wziął list odkryty i rzucił się do czytania, ale czytać nie umiał. Wstydził się tego niepotrzebnie; odstąpiłbym mu wszystkiego, co umiem za jego złotą spokojność, za jego mocną wiarę w tego *kto sozdał niebo i ziemlu i w gosudara.*

Zgotowałem sobie obiad i ruszyłem na noc do Radziejowa; po drodze zmieniali się kozacy, w żadnym nie znalazłem brutala i szczerze dziwiłem się ich życiu. Kontrast dzikości i naturalnej prostoty mocno mnie zajmował. Po drodze w różnych miasteczkach atakowali mnie różni urzędnicy celni, ciekawi poco i dokąd jadę. Wszyscy pijani. W Radziejowie przyjął mnie kapitan na noc. Smród straszny, w izbie prosię kwiczało i grało rolę pudla, ale po herbacie zapomniałem o wszystkich niewygodach, znalazłem punkt rozmowy z kapitanem o granicy czerkieskiej. Idąc spać i wstając nazajutrz zrana, długo się modlił przed zawieszonym w kącie obrazkiem. Dobry, poczciwy człowiek, nigdy nic prostszego nie widziałem. Powziąłem szacunek dla jego dobroci. Z rana wyniósł mi biblję i w liście ś. Pawła czytał mi opisanie biskupa, że powinien być mężem jednej żony; gruntownie dowodził potrzeby małżeństwa dla księży. Mógłby na sobie tego dowodzić. W Bronisławiu znalazłem w kurniku o 9 z rana śpiącego oficera, nieporządek w izbie, ściany obwieszone obrazami świętemi. Grzecznie mnie odprawił. Stamtąd zatrzymałem się w małej kordonowej chacie, gdzie sześciu kozaków najoryginalniejsze tworzyło grupy. Przyszedł tam celny, białokołnierzowy urzędnik, Żmudzin, Narkiewicz. Urzędnik zaprosił go na wódkę i mnie. Odmawiałem wszędzie tej chętnie ofiarowanej.

W Służewie nie znalazłem w ładnej i czystej izbie kapitana. Wachmistrz sprawdził moje papiery. W dwie godziny przyjechał i kapitan, ponury jakiś, ale dobry człowiek. Wysiadły z nim dwie kobiety, jedna pani kapitanowa, chociaż nie żona. O 2-ej po południu z dwoma kozakami wyjechałem do Nieszawy, gdzie dostałem się w ręce przykaźnego kozaka, bo oficera nie masz. Nie pojmuję, skąd mi wraca zapomniany język rosyjski; kozacy dziwią się mojej biegłości, i tak im zaimponowałem, że mógłbym ich z sobą wywieźć do Prus, gdybym potrzebował

uciekać przed sprawiedliwością. Zajechałem do oberży, gdzie w ciepłej porządnej izbie czterech kozaków biwakuje koło pieca. Kurzą fajki, mój furman chrapie na jednym łóżku, a ja idę spać do drugiego, po rozmowie z posthalterem, po herbacie i po tem krótkiem przypomnieniu dziwnych przygód, jakie w dwóch dniach przeżyłem.

Nazajutrz ledwo o 11-ej przeprawiłem się przez Wisłę, kra utrudniała przewóz, lecz więcej mię zatrzymała chciwość przewoźnika. Żądał dukata 1 od konia, musiałem chodzić do burmistrza i musiałem kłócić się; na drodze do Osieka spotkał mię jakiś nadleśniczy, powiedział, że moje nazwisko jest w rozkazie dziennym ogłoszone. Zatruł mi spokojność, ażem się gniewał za zaczętą z nim rozmowę. W Lubiczu, o milę od Torunia, znalazłem porucznika młodego, także ni czytać, ni pisać, siedział z drugim młodym przed garnkiem kartofli. W Ciechocinie na noclegu długą wiodłem rozmowę ze starym karczmarzem. Wyborny charakter, wart opisu — w nim się przebijała oryginalność starego, bywałego Polaka. Dla mnie kontrast z Niemcami był interesujący. Nazajutrz w Dobrzyniu znalazłem poczciwego, zacnego kapitana. Jemu pobyt w Polsce dlatego się nie podoba, że siedzi spokojnie, że pałasz i pistolety rdzewieją. W Osieku w karczmie obiad niezły nagrodził mi długie posty, przyszedł do mnie kapitan jakiś, dziki, uśmiech nigdy nie siadł na jego ustach; więcej mię ubawił stary żebrak, oryginał, Ochiltroe u Skota, stracił majątek na procederze, służył za patrolistę w policji warszawskiej, uczy dzieci po wsiach, włóczy się w expektatywie nadleśnictwa. — Temu kapitanowi winien byłem zapewne, że mnie trzech nie dwóch kozaków eskortowało do Besznicy, że mię za aresztanta wzięto i przegrażano. W Besznicy w karczmie gospodyni pijana przyjęła mię ze łzami radości, kilkanaście dziewek uwijało się z chłopcami i z kozakami. Pan Ochocki przegrywał na skrzypcach ułomnych, pan strażnik ton dawał kompanji, pan młody w czerwonej kamizelce szynkował gorzałkę, stary dziad i baba z trudnością ledwo mi zgotowali jajek i herbatę. Między dziewczętami Marysia była prawdziwie ładna i tańcowała, nie zważając, że jej kozak ostrogą obdarł skórę na nodze. Nie było ani nadziei noclegu, bo taniec zaciągał się aż do dnia białego. Lecz dziewki uciekły, a żona p. Ochockiego

zaczęła go w pysk trzepać i wypychać z karczmy, bo wyjść nie mógł. Kozaki nie chciały się uciszyć, jeden zaczął mieć do mnie pretensję; była to pierwsza impertynencja, doznana w podróży. Zasnąłem wreszcie. Nazajutrz trafiłem do Zielunia, skąd mię grzeczny porucznik wyprawił prosto do Mławy. Wieczorem mój niecierpliwy Szymański stanął przecie na Mławie. Zaprowadzono mię do pułkownika Bezkrownego. Znalazłem go w dymnej kancelarji. Sprowadzono burmistrza i obrano mi kwaterę u Żyda w karczmie. Pułkownik zaprosił mię na herbatę. Znalazłem młódź nieszpetną, żonę i pannę jakąś, rezydentkę czy guwernantkę. Pułkownik, bardzo grzeczny człowiek, zaprosił mię na jutro na obiad do siebie. W karczmie, jak zwyczajnie u brudnego Żyda, nocowałem wśród kopy żydów.

9 lutego. Na obiedzie u pułkownika i na herbacie grzecznie mię przyjmowano i szczerze; nie mogę bez wdzięczności mówić o jego całem obejściu się. Wróciłem do siebie wieczorem i siadłem zapisać dziennik. Kozak, niepospolity wirtuoz, z melancholicznym rymem przegrywa mi dumki na skrzypcach, — idę spać pomimo tego hałasu. Ten kozak ma niezawodną zdolność do muzyki, a u pułkownika widziałem drugiego kozaka malarza. Widać, że mu na wszystkiem zbywało, oprócz na zdolności i na ochocie do gorzałki. W nocy około pierwszej obudziło mię stukanie w okno, koło którego spałem. „Otwieraj", zawołał ktoś za karczmą: „jest dzieło, jest poimka!" Wkrótce wpadła jakaś długa figura z fajką w ustach. „Hej, panie karczmarzu, siana, owsa dla koni, wódki dla ludzi, ja zapłacę, jest poimka. Dziesięć koni — pan jakiś miał się meldować na komorze, nie meldował się, u strażnika zapisał 8 koni, miał 14, ja dognałem i 10 pojmałem". Żyd z puchów podniósł się i różne czynił postrzeżenie, że to pachnie tysiączkiem talarków. „Ale co za szkoda, jaka bieda dla pana". „A mnie co do tego",— odpowiedział strażnik, ciesząc się z przyszłej połowy. Wódka krążyła długo jeszcze, karczma napełniała się coraz więcej, lecz nie tak hałas ten spać mi przeszkodził, jak gniew na tę powszechną radość z cudzego nieszczęścia, na tę chciwość zbójecką, ukrytą pod maską powinności.

10 lutego. Około 10-tej z rana zaprosił mię pułkownik do siebie na herbatę i na śniadanie. Z jego domu około 12-tej wyjechałem z pożegnaniem prawdziwie uprzejmem... Trzech kozaków

towarzyszyło do Ciechanowa, lecz droga stała się nieprzyjemną, nie można było pośpieszać, bo z nami szli razem jacyś włóczędzy z Poznania, mąż i żona. Małżeństwo, jak się zdaje, na lewą rękę. Wziąłem kobietę na wóz, ratując ją od nielitościwego śniegu, męża kozak wziął za siebie na siodło i cała kalwakada nasza śmieszny stanowiła obraz. W Ciechanowie burmistrz pijany wyprawił nas do jakiejś karczmy generała Krasińskiego. Izba była z firankami, ale drzwi nie mogły się zamknąć i bez niesłychanego ciągu piec nie mógł być ogrzany. Niegodziwy nocleg.

11 lutego. Popas w jakiejś nędznej karczmie, nocleg w Nasielsku. Pan z Poznania uparł się nie iść dalej. Nie mogłem pojechać. Wprawdzie mam nadzieję niezłego noclegu. Siedzę w ciepłej izbie sam jeden, mam stół czysty. Gospodyni krząta się koło kaszy. Obejrzałem zawieszone kopersztychy i obrazy, wszystkie są niemieckie po większej części z polskich, na drzewie ryte wesele, koza z wilkiem się żeni. Rzeczywiście koza podaje łapy wilkowi, nad niemi kielich z patyną, niedźwiedź trąbi, zając bębni, ptak gra na gitarze — osobliwe wynalezienie. Warto-by więcej uwagi na podobne płody naszego gustu i imaginacji pospólstwa poświęcać. W ramkach wisi list odpustny Pana Jezusa, znaleziony w Rzymie, sam się otworzył i złotemi literami był pisany. Dziwne skutki tego listu; kto weń uwierzy, odpust za wszystkie grzechy otrzyma, nieprzyjaciel nie znajdzie domu, pożar nie spali, kobiety brzemienne, jeśli go nosić będą, lekko porodzą. Pan Jezus przykazuje święcić niedzielę i godzin nieszpornych nie opuszczać. Za teraźniejszego papieża list ten miał być na nowo znaleziony.

W piątek 13 lutego o godzinie 6 wieczorem wjechałem do Warszawy. Zaprowadzono mnie do generała Lewickiego kancelarji, stamtąd miałem iść do kancelarji Wielkiego Księcia w pałacu Brühlowskim, kiedy mię na ulicy dopędził jakiś oficer kozacki, zapytał o nazwisko i powiedział, że właśnie miał jechać mnie szukać do Mławy, aby niepotrzebną podróż wzdłuż granicy przerwać. Z nim poszedłem do Brühlowskiego pałacu, gdzie na dole, w ogromnej kancelarji, znaleźliśmy generała Krywcowa. Ten mię przywitał po francusku, mówiąc, że umiem bardzo dobrze. Zapytałem, skąd wie o tem. — „A ja mam listy, które W. Pan pisałeś do ojca i do p. Twardowskiego." — Wsiadłem potem z oficerem

kozackim do dorożki, pojechaliśmy do Belwederu. Generał Kuruta spał. Oficer go obudził. Czekaliśmy aż się ubrał, zawołani potem i przyjęci przez niego przy toalecie, piliśmy u niego herbatę. Wypytywał mię o podróż po granicy i o więzieniu w Berlinie: kazał nam pójść do pokojów Wielkiego Księcia. Czekaliśmy tam długo: przyszedł Kuruta, a wkrótce wrócił z Wielkim Księciem.

— A cóż, dla czego tak późno? — Nie moja to wina. A czyja? — Tego nie wiem. — Udawałeś chorobę. Nie wyglądasz na chorego. Znalazłeś osła doktora. — Radca Heim także mnie odwiedził. — Poświadczył żeś zdrów. — Mogę tylko powiedzieć, żem był chory i uwięziony. — Od jakiej daty? — Od 20 grudnia. — Czy ze strony rządu pruskiego byłeś poddany jakiejś indagacji? — Żadnej. Nie powiedziano mi jednego słowa. Więzienie było zbyt surowe. — Jeżeli tak, to bądź spokojny. Widzę, że nie twoja, ale nasza wina. Uprzedzam cię, że jesteś skompromitowany jako wiceprezes pewnego towarzystwa. Czy piastowałeś ten urząd? — Tak, Wasza Książęca Mość. — Powiedz mi, jak się nazywało wasze Towarzystwo? Czy nie Filaretów? — Tak, Wasza Książęca Mość. — Pan Nowosilcow jest w Wilnie, śledztwo ukończone. Badam cię ostatniego. Cóż to za Towarzystwo Filaretów? Skąd wynikło? — Z Towarzystwa Filomatów. — Cóż to za jedni? — Przyjaciele nauki. — Nie. Filareci pochodzą z Towarzystwa Promienistych. — Tak, Wasza Książęca Mość. — Czem byli Filareci? — Jak nazwa ich to wskazuje — przyjaciółmi cnoty. — Umiem dosyć po grecku, aby to zrozumieć, ale cel ich był polityczny. — Nie, Wasza Książęca Mość. — Cel był polityczny, to wiem. Wymień mi kilku członków. — Zan. — Czem był Zan? Waszym prezesem? — Tak jest. — Czy Łoziński nie jest wysoki i barczysty? — Nie, Wasza Książęca Mość. — Czy nie jest synem tego Łozińskiego, który się odznaczył w rewolucji polskiej? — Nie, Wasza Książęca Mość. — Czy Giedroyć nie jest synem generała, który służył w gwardji? — Nie. Jest na to za stary. — Wiem to, ale ma młodszego brata u pijarów. Szczerze wyznaj wszystko i bądź spokojny. — Do Kuruty: Dasz mu mieszkanie u siebie. Niech odpocznie i napisze jutro wszystko co wie. Będziesz miał papier i atrament. Napisz wszystko. — Czy mogę błagać o pozwolenie pisania do mojego ojca? —

Tak, napisz jutro do niego. Listy, któreś napisał do ojca i do Twardowskiego, są u mnie..."

17 lutego. Z Belwederu o dwunastej w nocy 13-go zawiózł mnie oficer kozacki Roduchin do Brühlowskiego pałacu, gdzie na górze w entresoli mam kwaterę. Pokój mały, w nim dwóch kozaków, drugi pokój większy, czysty, trochę ciemny dla małych okien i niskiego stolowania. Jest mi tu nieporównanie lepiej, niż w pruskiem więzieniu. Nazajutrz odwiedził mię z rana generał Kuruta z radcą stanu Hintzem. Wezwany na dół, do pokoju gen. Kuruty, przytomny byłem otwarciu moich papierów, kazał je czytać Lubowidzki, a ja zasiadłem do pisania moich spowiedzi i dziś je skończyłem. Jeszcze mi nie zwrócono moich papierów...

2 marca. Przez cały ten długi przeciąg czasu nic nie zaszło, coby mię o końcu moich cierpień oświecić mogło. Muszę czekać powrotu Wielkiego Księcia. Z mojej stancji wyjrzałem dwa razy tylko na Warszawę, raz jadąc do Sielców, folwarku Wielkiego Księcia, drugi do mieszkania radcy Hintza, gdzie się kąpałem. Kiedyż i jak to wszystko się skończy? Zdaje się, że już ja jeden tylko cierpię, bo niepodobna przypuścić, aby inni aż dotąd siedzieli w więzieniu. Posłałem Marji (Malewskiej) mój portret, nie wiem, czy dojdzie...

21 marca. Jużem przestał liczyć dni mojego więzienia, liczę na tygodnie. Wielki Książę powrócił z Petersburga 8-go marca i ja dnia tegoż oddałem odpowiedź na przysłane z Wilna pytania. Dotąd nie wiem o jej skutku. W zapytaniach nie obeszło się bez kruczków, nie było dobrej wiary. Ale jakże może być inaczej, kiedy ta sprawa jest w ręku osób, które nie pojmują ani nauki, ani przyjaźni naszej, a szukają koniecznie występku. Napisałem raz jeszcze do Maryni i wyjeżdżałem raz do obozu na Powązkach. Jestem prawdziwie teraz w więzieniu *à la Berlin*."

PRZYPISY

Do str. 6. Joachim Leop. Haupt, Landwirtschaften und Burschenschaft, (Altenburg, 1820); A. Lehmann, Der Tugendbund (Berlin, 1867); Meinecke, Die deutsch. Gesellschaften u. der Hoffmann'sche Bund (Stuttgard, 1891); Keil, Die Gründung d. deutsch. Burschenschaft in Jena (Jena, 1865); Stettiner, Der Tugendbund (Königsberg, 1904); Herman Haupt, Quellen und Darstellungen zur Geschichte der Burschenschaft und der deutschen Einheitsbewegung (Heidelberg, 1911—13). Por.: Erman und Ewald Horn, Bibliographie der deutschen Universitäten (Leipzig u. Berlin, 1904—5); Szpotański, A. Mickiewicz, I (Warszawa 1921), 103 sq. Pisma T. Körnera, E. Arndta („Von Bildung deutscher Gesellschaften als dem vorzüglichsten Mittel, Liebe zum Vaterlande und alle aus dieser Liebe entspringenden Tugenden in allen deutschen Männern u. Frauen, Jünglingen und Jungfrauen, Knaben u. Mägdelein zu fördern, zu stärken u. in kindlicher Reinheit auf die spätesten Zeiten zu vererben. Zum Besten der Waisen deutscher Landwehrmänner. Deutschland, 1814" i in.) i w. in.

Do str. 7. „Bibl. ludowa polska" (Paryż, b. r.) t. LX; Dubrowin, Posle otiecz. wojny. „Russkaja St.", I (1904), 481 sq.

Do str. 12. Dugald Stewart (1753—1828), filozof angielski, autor dzieł: „Elements of the philosophy of the human mind"; „Outlines of moral philosophy".

Do str. 13. Głos Jeżowskiego uzupełnia zeznanie Mickiewicza z d. 20 kwietnia st. st. 1824 (Zob.: Wierzbowski, Z badań nad Mickiewiczem. Warszawa, 1916, str. 53 sq.), oraz raport Nowosilcowa do w. ks. Konstantego z 13 (25) maja 1824 r. (Wierzbowski, K istorji tajnych obszczestw, Warszawa, 1898; przekł. pol.: „Rok Mickiewiczowski", Lwów, 1899, str. 291 sq.; Krechowiecki: Prawdy i bajki. Warszawa, 1911, str. 125 sq.), wreszcie pamiętniki Domeyki, Zdanowicza i in. Zob.: Pietraszkiewiczówna, Dzieje Filomatów w zarysie (Kraków, 1912), passim.

Do str. 13 sq. Korespondencja rekt. S. Malewskiego z kuratorem A. ks. Czartoryskim. Vol. I N. 42 (Arch. ks. Czartoryskich); Mościcki, Pod znakiem Orła (Lwów, 1923), 41 sq.

Do str. 17 sq. Archiwum do dziejów lit. i ośw. w Polsce, VI, 223. Franciszek Malewski był wiceprezesem Tow. Filaretów i oczywiście

filomatą. Marjan Piasecki, również filomata, był przewodniczącym białego grona Filaretów. Michał Fryczyński po powrocie z zagranicy został prof. agronomji w Krzemieńcu, a w 1829 r. prof. agronomji prakt. w Un. Wil. Bieliński, Un. Wil., III, 173. Mickiewicz do Fr. Malewskiego: „Józef (Jeżowski) nudzi po tobie, i nikt miejsca twojego nie zastąpi w jego sercu. Każdy list kończy wykrzyknikiem: nie masz Franciszka!" Koresp. Mickiewicza, I (Paryż, 1880), 6. Kazimierz Piasecki ukończył Uniw. Wil. w r. 1821 ze stopniem kandydata utriusque juris, następnie był adwokatem wileńskich izb sądowych; po wyjeździe Marjana Piaseckiego przewodniczący białego grona filaretów. Zob.: Księga pam. na uczcz. setnej rocznicy urodzin A. M-cza, II (Warszawa, 1898), 77 sq.; Pigoń, Głosy z przeszłości (Wilno, 1924), 214 sq.

Do str. 18. Wykłady filomatów: Korespondencja A. Mickiewicza, I, 7; Domeyko, Pam. o filomatach (zob. niżej). W zeznaniu swem, złożonem przed Komisją Śledczą 28 stycznia st. st. 1824 r. (Archiwum Państwowe w Wilnie), Tomasz Zan w następujący sposób pisze o Komitecie Naukowym i Kursach Pomocniczych: „Korepetytorami, których organizacja przeznaczyła do składania Komitetu Naukowego, byli w różnych czasach przeze mnie wyznaczeni i uproszeni, albo sami z ochoty ofiarujący się do tej posługi następujący, jeżeli ich wszystkich dobrze przypominam. W oddziale nauk matematyczno-fizycznych powtarzali kursa uniwersyteckie: matematyki wyższej — Sobolewski Jan, Heydatel Jan; algebry — Chodźko Józef, Pietkiewicz Dominik; fizyki — Klukowski Jan; chemji — Łoziński; mechaniki — Budrewicz. Wykładali nauki elementarne: arytmetyki — Zan Tomasz; geometrji — Łoziński. W oddziale nauk prawnych powtórzyli kursa uniwersyteckie: prawa rzymskiego — Karabanowicz; prawa kanonicznego — ks. Brodowicz; historji powszechnej starożytnej — Daszkiewicz. W oddziale literatury i sztuk powtarzali kursa uniwersyteckie: literatury łacińskiej i greckiej — Wiernikowski, Kułakowski, Malinowski; języka greckiego — Wiernikowski. Wykładali nauki elementarne: gramatyki łacińskiej i tłumaczenia — Kowalewski Józef; języka francuskiego — dla poczynających Orlicki, dla postępujących Łukaszewski, Jarmułowicz; języka niemieckiego — Piasecki Marjan. Wykładali kursa nauk, których jeszcze w uniwersytecie nie zaprowadzono: prywatnie — encyklopedji nauk prawnych — Malewski Franciszek; publicznie hodegetyki — Jeżowski Józef. Wyznaczeni, aby się przygotowali do wykładu następujących kursów: do historji naturalnej i zootomji — Jurewicz Fortunat; do geografji — Domeyko Ignacy; do repetycji historji powszechnej wieków średnich: Malinowski; do historji nowożytnej — Pohl; do historji krajowej — Kozakiewicz; do procesu sądowego — Piasecki Kazimierz; do gramatyki języków rosyjskiego i polskiego — Kołakowski; do rysunków — Kulesza i Miłakowski. Członkowie grona medycznego sami dla siebie repetycje w razie potrzeby urządzali, ich albowiem przedmiot był oddzielny od innych." (Zeznanie Zana z d. 28 stycznia 1824 r. — Arch. Państw. w Wilnie).

Do str. 19. Groddeck: Karol Kaczkowski, Wspomnienia I (Lwów,

1876), 124 sq.; Jocher, Obraz bibl.-hist. liter. i nauk w Polsce I (Wilno, 1840), 208 sq.; Węclewski, Wiadomość o życiu i pismach Grodka (Kraków, 1876). Kontrym: Brensztejn, Bibljoteka Uniw. w Wilnie (Wilno, 1922), passim.

Do str. 20. „Opis jeograficzny": Mościcki, Wilno i Warszawa w „Dziadach" (Warszawa, 1908), 151; zeznanie Czeczota z 17 (29) stycznia 1824 r. (Arch. Bibl. Un. Wil.); Archiwum do dz. lit. i ośw. w Polsce IX, 177, 169.

Do str. 21. W Rafałówce istniała loża masońska, wykryta w r. 1826. Kierownikiem jej był, jak się zdaje, Narcyz Olizar, człowiek nader czynny i wpływowy; odegrał wybitniejszą rolę w r. 1831, jako senator i kasztelan Król. Polskiego. Nader zdobnym i sprężystym był również brat jego, Gustaw, o cztery lata młodszy, sądzony w r. 1826 za współudział z dekabrystami. Zob.: Narcyz Olizar, Pamiętniki w Bronikowskiego „Pamiętnikach polskich" (Paryż, 1844); Bajkow, Z kartek pam. rękops. (Lwów, 1893); Gustaw Olizar, Pamiętniki (Lwów, 1892); Mochnacki, Powstanie nar. pol., I (Berlin, 1863), 236 sq.; Ochocki, Pamiętniki, III (Wilno, 1857), 240 sq., 271 sq.; Hellenjusz, Listki, I (Kraków, 1911), 119. Zorzanie: Mościcki, Pod znakiem Orła i Pogoni (Lwów, 1923), 125 sq.

Do str. 22. Wł. Mickiewicz, Żywot A. M-cza I (Poznań, 1890), 109 sq., 119, 871 sq. 82 sq.; Kar. Kaczkowski, Wspomn., I. 152 sq. Filareta, Jan Michalewicz, tak charakteryzuje stosunki wśród wil. młodzieży w liście do ks. Macieja Brodowicza, Wilno 24 paźdz. st. st. 1822 r.: „...Dawne nasze przyjemności zupełnie zaginęły (zebrania i wycieczki promienistych *p. w.*), ani pomyśleć o nich nie można, zapewnie to samo i w tamtych stronach, co i u nas się praktykuje. Pełno podejrzeń, pełno czuwań i podsłuchów. Szpiegostwo niesłychane. Siedzim więc spokojnie i wyglądamy tego dobra, które Włochy i Niemcy mają nam narodzić (aluzja do ówczesnych wydarzeń politycznych zagranicą *p. w.*). Nic nie mamy nowego. Żaden teraz jeszcze uczony w kozie nie siedzi". (W r. 1822 skazani byli na więzienie: Antoni Marcinowski, redaktor „Kurjera Litewskiego" za pomieszczenie w N. 86 artykułu o Grekach i Turkach, oraz drukarz Aleksander Żółkowski za artykuł w N. 10 „Tygodnika Wileńskiego" — zob. Koresp. Filomatów, IV, 226, 229, 231; Pigoń, Wesołe sceny z życia dawnego Uniw. Wil. w „Słowie" wil. N. 217 z 1923 r.).

Do str. 23 sq. Gutt: Bieliński, Un. Wil., III, 399; Roczn. Tow. hist.-lit. w Paryżu (Poznań, 1872), 608 (zob. niżej). Bansemer: „Trzeci Maj", czasopismo paryskie z 27 lutego 1841 r. str. 29—30. Bieliński, Król. Uniw. Warsz., II (Warszawa, 1911), 524. Walerjan Skorobohaty Krasiński, autor „Historji reformacji", ukończył Un. Wil. w 1822 r., wyjechał następnie do Warszawy, gdzie otrzymał urząd w Komisji Wyzn. i Ośw. Publ. Posiadał rozległe stosunki w sferach literackich stolicy, zajmował się szczerze rozprzedażą poezyj Mickiewicza, których ukazanie się powszechny obudziło entuzjazm w Warszawie. Zob.: Encykl. Orgelbranda (większa) XV; Wł. Mickiewicz, Żywot, I, 112, 139; W. Encykl. ill., XL, 721. Glücksberg — księgarz warszawski. Mickiewicz do Fr. Malewskiego, z Wilna bez daty: „Myślę sam udać się do Warszawy, bo tu, zwłaszcza Nowych Dzia-

dów, drukować niepodobna. Koresp., I, 8. Obawy okazały się płonne; po usunięciu w jesieni 1822 r. z urzędu cenzora surowego ks. Kłągiewicza, wybrany na jego miejsce Lelewel wydał 21 lutego 1823 r. pozwolenie na wydrukowanie II-go tomu poezyj. Zob.: Tretiak, M-cz w Wilnie i Kownie, II (Lwów, 1884), 204 sq.; Wł. Korotyński, Lelewel cenzorem Mickiewicza — „Kurjer warsz." 1922 r. N. 22.

Do str. 25. „Upiór": Kallenbach, A. Mickiewicz, I (Lwów, 1923), 268 sq.) Tretiak, Dwie Zosie w czas. „Świat" (Kraków, 1890), 320. W Bibljotece im. Ossolińskich we Lwowie znajduje się pierwsze wydanie poezyj Odyńca z następującą własnoręczną dedykacją autora: „Zofii Malewskiey, w dowód najwyższego szacunku ofiaruję. Ant. Edw. Odyniec". Koresp. A. M-cza, III, 5 sq. Moritz Fryderyk, księgarz wileński, przesyłał Fr. Malewskiemu do Berlina pierwszy tom poezyj Mickiewicza.

Do str. 26. Śpiewki Czeczota w rękopisach znajdują się w posiadaniu p. Wł. Mickiewicza, w zbiorach po ś. p. d-rze Pietraszkiewiczu, w zbiorach p. Karpińskiej. Zob.: Wł. Mickiewicz, Żywot A. M-cza, I, dod. XVIII; „Tyg. ill." 1922 r. N. 22; Poezja Filomatów, I—II (Kraków, 1922).

Do str. 27. Koresp. A. M-cza, I, 23; III, 5. Podanie Mickiewicza do Rządu Cesarskiego Wileńskiego Uniwersytetu z 25 marca 1823 r., zob.: Wierzbowski, Z badań nad Mickiewiczem (Warszawa, 1916), 42 sq.; Wierzbowski, K biografji Mickiewicza (Petersburg, 1898), 20; Bujakowski, Z młodości Mickiewicza (Warszawa, 1914), 23 sq. Uzupełniają powyższe podanie Mickiewicza następujące wyciągi z Protokółów posiedzeń Rządu Un. Wil. (rkpisy Bibl. Publicznej w Petersburgu): Posiedzenie z 3 kwietnia st. st. 1823 r. (obecni Twardowski, Życki, Mianowski, Chodani i Groddeck), punkt 30-ty: „Raport zastępcy dyrektora szkół gub. wileńskiej Skoczkowskiego z datą 29 marca N. 138 z dołączeniem prośby nauczyciela w szkole kowieńskiej Adama Mickiewicza, który przy złożeniu świadectwa doktora o słabości swego zdrowia, prosi o uwolnienie go od obowiązków nauczycielskich i wyjednania paszportu na wyjazd do wód pirmontskich (!), tudzież do Włoch i Francji, oraz zapewnienie mu placu nauczycielskiego za powrotem. Zastępca dyrektora wyraża swe zdanie, czy nie możnaby uwolnić tego nauczyciela na dwa lata. Postanowiono: Ponieważ p. Mickiewicz składa świadectwo doktorskie o chorobie swojej, dla której bez osłabienia większego swego zdrowia obowiązków nauczycielskich pełnić nie może, przeto przedstawić X. Kuratorowi czy nie będzie się zdawało zezwolić na uwolnienie pomienionego nauczyciela od obowiązków na dwa lata. Przyczem dołączyć kopję świadectwa." Posiedzenie nadzwyczajne z 18 maja st. st. 1823 r. (obecni Życki, Chodani, Mianowski i Groddeck), punkt 8-my: „Zalecenie X. Kuratora d. 11 maja N. 236, w którem zezwala na zwolnienie od obowiązków nauczyciela w szkole kowieńskiej Adama Mickiewicza, stosownie do przedstawienia Rządu Uniwersytetu dla wyjazdu zagranicę w celu polepszenia zdrowia. Że zaś p. Mickiewicz edukował się kosztem funduszu w seminarjum nauczycielskiem i za koszta w Instytucie nań łożone nie odsłużył jeszcze naznaczonych lat sześciu, przeto Książę Kurator poleca wziąć od niego na piśmie zaręczenie,

że, powróciwszy z wód, znowu wejdzie do służby dla dopełnienia przepisanej liczby lat. Postanowiono o takowem uwolnieniu nauczyciela Mickiewicza uwiadomić zastępcę Dyrektora szkół gubernji wileńskiej dla objawienia przez pośrednictwo dozorcy temu nauczycielowi, przytem polecić zastępcy Dyrektora, iżby poruczył dozorcy wziąć od tego nauczyciela submisję dla przesłania przez dyrekcję do Rządu Uniwersytetu, że za powrotem do kraju wejdzie w pełnienie obowiązków nauczycielskich dla odsłużenia skarbowi za koszta w seminarjum nauczycielskiem na edukację jego poniesione." Por.: Wierzbowski, Luźne dokumenty do życiorysu A. Mickiewicza — „Ateneum" XI (1897), 521 sq. Rukiewicz: Życiorys zob. Mościcki, Pod znakiem Orła (Lwów, 1922), 134 sq. Za należenie do tajnych organizacyj wojskowych Rukiewicz skazany został na pozbawienie szlachectwa i śmierć, wyrokiem Mikołaja I z 2 maja st. st. 1827 r. N. 1096 skazany na pozbawienie szlachectwa, 10 lat katorgi i osiedlenie na Syberji; ukazem z 26 listop. 1832 r. N. 48 zwolniono go z katorgi w t. zw. Pietrowskim Zawodie i zesłano do wsi Korkinow gub. irkuckiej. Zob.: Siwers, Tajnoje obszczestwo Wojewnych Druziej w czas. „Dzieła i dni", I (Petersburg, 1920), 239 sq. W r. 1828 spotkała się z Rukiewiczem w Czycie księżna Marja Wołkońska, zob. Wołkonskaja, Zapiski (Petersburg, 1904), 62. Korespondencją Czeczota z Rukiewiczem zob. Arch. Filomatów, Koresp., V, pass.

Do str. 28. Zjazd w Brześciu lit. we wrześniu 1823 r. Zob. Szilder, Imp. Aleksandr I, t. IV, 282 sq.

Do str. 31 sq. „Dziennik" Teodora Krasińskiego, przechowywany obecnie w Bibljotece Ordynacji hr. Krasińskich w Warszawie (liczba inw. rękop. 3500), składa się z 326 kart papieru listowego, formatu przeważnie 11 × 19½ cm., oprawionych razem w półskórek czerwony z wyciśniętym na grzbiecie tytułem: „Dziennik Teodora Krasińskiego, 1816, 1817, 1818, 1823". Na pierwszej karcie napis: „Dziennik zaczęty dnia 26 Septembra 1816 Roku. T. K.". Dalej następują codzienne notatki od 26 września 1816 r. do 17 lutego 1817 r. i od 11 marca 1817 r. do 11 czerwca 1817 r. (ogółem 228 stron nieliczbowanych). Po przerwie wakacyjnej 1817 r. notatki zaczynają się 20 wrześnią 1817 r. i ciągną aż do 29 czerwca 1818 r., wszakże kart z notami od 12-go do 18-go maja 1818 r. niema, musiały prawdopodobnie zaginąć (ogółem 254 stron liczb., lecz str. 219—222 brakuje). Druga niejako część „Dziennika", zawiera zapiski z podróży do Warszawy i pobytu tamże, od 4 lutego 1819 r. do 4 sierpnia 1818 r. (ogółem 154 str. liczb., lecz str. 64—68 brakuje, z notami od 11-go do 17-go kwietnia t. r.). Trzecią wreszcie część stanowią zapiski, czynione w Kijowie od 20 marca do 11 kwietnia 1823 r. (ogółem 24 str. nieliczb.).

Dane życiorysowe: Boniecki, Herbarz polski, XII, 214; Żychliński, Złota księga szl. pol., XII, 216; Wołyniak, Bazyljanie w Humaniu. „Przewodnik nauk. i lit." z 1899 r.; Tretiak, Bohdan-Zaleski (Kraków, 1911), 26 sq., 69 sq.; Zygmunt Kotiużyński, Pamiętnik (Kraków, 1911); Seweryn Goszczyński, Podróż mojego życia (Wilno, 1924). List pochwalny ze szkoły humańskiej dla Teodora Krasińskiego, ucznia klasy II-ej z 25 czerwca 1810 r.;

takiż list z kl. III-ej z 17 lutego 1812 r.; świadectwo z ukończenia 6 klas szkoły humańskiej: „W państwie Jego Imperatorskiey Mości Alexandra I. Insperatora i Samowładcy Wszech-Rossyi i t. d., i t. d., i t. d. Szkoła powiatowa Humańska zaświadcza, iż IP. Teodor Krasiński ukończył kurs nauk przepisanych dla szkół o sześciu klasach i znakomity okazał postępek w literaturze polskiej i łacińskiej, w umiejętnościach fizycznych i moralnych, w językach francuskim i niemieckim. Uporczywa praca, wielka sposobność do wszystkich nauk, chwalebne postępowanie z rówiennikami, uczucie honoru i cnotliwe skłonności są zaletą tego młodzieńca. Zaszczyconemu kilkakrotnie od Jeneralnych Wizytatorów Szkół chlubnemi świadectwami, a teraz wyjeżdżającemu do Imperatorskiego Wileńskiego Uniwersytetu dla dalszego doskonalenia się w naukach zaświadczenie to szkolne przy wyciśnieniu zwykłej pieczęci wydaliśmy w Kollegium naszem Humańskiem. Dnia ósmego lipca 1816 r. Prefekt Szkoły i nauczyciel fizyki X. Leon Skibowski Bazylian. Nauczyciel wymowy i prawa X. Klemens Hryniewicz Zakonu S-o Bazylego. N. 23." Zaświadczenie z dwuletnich studjów na Uniwers. Wileńskim z dn. 2 lipca 1818 r. — Rpisy z archiwum rodzinnego w posiadaniu wnuka Teodora, Augusta hr. Krasińskiego.

Do str. 33 sq. Opera Niemcewicza „Jadwiga" z muzyką Karpińskiego: zob. Skibiński, Pam. aktora (Warszawa, 1912), 120; Rulikowski, Teatr polski na Litwie (Wilno, 1917) — tamże o teatrze i aktorach wileńskich.

Do str. 34 sq. Dziekanem oddziału nauk fizycznych i matematycznych był ks. Józef Mickiewicz. (Zob. o nim niżej str. 97). Ks. Korzeniowski Alojzy (1766—1826) był autorem słynnych kazań, wyd. w Warszawie 1824 r. Malewski Szymon był rektorem w 1816—22 r., o jego skąpstwie liczne wzmianki w pamiętnikach współczesnych; zob. Lelewel, Przygody w poszukiwaniach (Poznań, 1858), 38. Leon Borowski (1784—1846) prof. literatury w Un. Wil. Żukowski Szymon (1782—1834), prof. jęz. hebrajskiego w Uniw. Wil.

Do str. 39. Podczaszyński Karol (1790—1860), prof. architektury w Un. Wil. Wawrzecki Tomasz, następca Kościuszki po Maciejowicach, ur. 1753, um. 5 sierpnia 1816 r.; wiadomość o obchodzie żałobnym w Wilnie pomieścił „Kurjer Litewski" w N. 9 z 30 stycznia 1817 r.

Do str. 41. Pamiętniki, t. j. wydawany od 1816 r. pod redakcją Ign. Em. Lachnickiego „Pamiętnik Magnetyczny Wileński."

Do str. 42. Drzewiński Feliks, prof. mineralogji w Un. Wil., w r. 1816 wydał w Wilnie „Początki mineralogji podług Wernera ułożone dla słuchaczów akademickich." Becu August (1771—1824) prof. nauk lekarskich w Un. Wil.

Do str. 43 sq. Pierwszy numer Gębacza, wydawanego przez adwokata Ignacego Łagiewnickiego przy współudziale Konata, nosi datę 23 marca 1817 r.; rzadkie komplety tego czasopisma, składające się z pięciu tylko numerów, posiada Bibljoteka Uniwersytecka w Warszawie i Bibljoteka Ord. Zamoyskich. Aszpergierowa Katarzyna, słynna artystka

dramatyczna, żona Wojciecha, również art. dram., zmarła w Warszawie w 1835 r. Frankowa Krystyna, żona Józefa, prof. Un. wil., o jej koncertach zob. Józef Frank, Pamiętniki (Wilno, 1913), pass.

Do str. 47 sq. Walicki Michał, podstoli lit., w 1804 r. ofiarował Un. Wil. cenne zbiory mineralogiczne i in. Zob. Enc. Orgelbranda, XXVI, 339. Jundziłł Stanisław (1761—1847), prof. botaniki w Un. Wil. Opis gabinetu anatomicznego zob.: dr. Wł. Zahorski, Gabinet anatomiczny Uniwersytetu i Akademji med.-chir. w Wilnie (Warszawa 1901). Dr. Briotet Jakób (1746—1819) prof. medycyny w Un. Wil.

Ks. Bogusławski Józef Konstanty (1754—1819), prof. teologji, zbieracz obrazów, zob. Bieliński, Un. Wil. III, 130.

Do str. 51 sq. Bogusławski Wojciech, słynny artysta i autor dzieł dramatycznych, o jego występach w Wilnie zob. Skibiński, Pam. aktora (Warszawa, 1912). Jelski Kazimierz (zm. 1867 r.), prof. rzeźbiarstwa w Un. Wil.

Do str. 52 sq. „Kurjer Litewski" w N. 46 z 8 czerwca 1817 r. zawiadomił o przybyciu Czartoryskiego do Wilna „w nocy z 6 na 7 czerwca". Chodźko Jan (1777—1851), prezydent izby cywilnej mińskiej, głośny działacz społeczny i pisarz, zob. „Teka wileńska" (1858), 272 sq. Pojedynek A. ks. Czartoryskiego z gen. Ludwikiem Pacem odbył się na tle rywalizacji o rękę księżniczki Anny Sapieżanki, późniejszej żony ks. Adama. Czartoryski odniósł lekką ranę. Komisja Radziwiłłowska utworzona 24 lutego st.st. 1814 r. miała na celu likwidację spadku i interesów majątkowych po zmarłym w 1813 r. ordynacie Dominiku Radziwille, istniała do 1839 r. Zob.: Morawski, Kilka lat mł. m. w Wilnie, 467. Pociej Aleksander, oboźny lit., zasłużony patrjota.

Do str. 55. „Leci a leci" — godło Tow. Szubrawców, wzięte prawdopodobnie z wiersza Korsaka o ks. Bace. Krasiński wspomina również w swym „Dzienniku" pod datą 27 stycznia 1818 r. o maskaradzie, opisanej w N. 63 „Wiadomości Brukowych".

Do str. 56. Ks. Chodani Jan Kanty (1767—1823), prof. teologji w Un. Wil. Obchód żałobny po zgonie Kościuszki zob.: „Zbiór mów w różnych miejscach mianych oraz opisów obchodu żałobnego nabożeństwa po zgonie... (Wilno, 1818), por. Mościcki, Pod znakiem Orła (Lwów, 1922), 62 sq.

Do str. 57. Ropp Teodor, ur. 1 stycznia 1748, zm. 16 lutego 1824 r., marszałek gubern. wileński w 1815—1818 r.

Do str. 60. Römer Michał (1778—1853), zasłużony patrjota, od 1817 marszałek pow. trock., następnie marszałek gub. wileński, zob.: Mościcki, Pod znakiem Orła, 67, 215.

Do str. 62 sq. Ks. Falkowski Jakób (1778—1836), kaznodzieja, nauczyciel Mickiewicza w szkole nowogródzkiej. Korsakow-Rimskij Aleksander, w 1812—1830 gubernator wojenny wileński. Wybór w. ks. Konstantego na posła z Pragi zob. Mościcki, Pod berłem carów (Warszawa, 1924), 269.

Do str. 63. Krasiński Walerjan zob. wyżej przypis do str. 23. O zgromadzeniach literackich u Chodźków opowiada w swym pamiętniku Michał Czarnocki, p. niżej.

Do str. 65. Kossakowski Józef Antoni (1772—1842), uczestnik kampanji 1794 r. i wojen napoleońskich; o nim i cennych jego zbiorach zob.: Leon Potocki, Pamiętniki pana Kamertara, III (Poznań, 1869), 66 sq., Konstanty Tyszkiewicz, Wilja i jej brzegi (Drezno, 1871), 17, 257 sq., Żychliński, Złota księga szlachty pol., XII, 88 sq. Sofijówka — słynny ogród Szczęsnego Potockiego pod Humaniem.

Do str. 67. „Wysoki podróżny" — Król pruski, Fryderyk Wilhelm III, który jechał do Moskwy. „Kurjer Litewski" w N. 44 z 31 maja 1818 r. donosił, że „miasto nasze uszczęśliwione zostało przybyciem Wysokiego Podróżnego pod imieniem hr. Ruppin." Zob.: Frank, Pamiętniki, III, 192 sq.

Do str. 75. List Domeyki pisany do Bronisława Zaleskiego, redaktora wydawanych w Paryżu „Roczników Towarzystwa historyczno-literackiego", i po raz pierwszy ogłoszony był drukiem w tychże „Rocznikach" z 1872 r. O Domeyce: Sto lat myśli polskiej, III (Warszawa, 1907), 417 sq.; Korbut, Literatura polska, III, 77.

Do str. 78 sq. O Jeżowskim Józefie i innych filomatach: Kallenbach, Ród filomatów. „Bibl. warsz.", 1914. Ks. Osiński Alojzy (1770—1842), profesor w Liceum krzemienieckiem.

Do str. 81. „Ozdobo twarzy, pokrętne wąsy" — wiersz Kniaźnina. O Malewskim Franciszku zob. niżej.

Do str. 83 i 101. W ustawach Tow. Filomatów była istotnie mowa o wyłączeniu z prac T-wa „materyj religijnych i politycznych", ale działalność filomatów miała charakter wybitnie patrjotyczny, co w oczach rządu było „polityką". Zob.: Szpotański i Pietraszkiewiczówna, Materjały do historji T-wa Filomatów, I—II (Kraków, 1920), pass.; Mościcki, Wilno i Warszawa w „Dziadach", 5 sq.

Do str. 85 sq. Budrewicz Wincenty — „Mickiewicz przypisał jemu balladę p. t. „Trzech Budrysów" (przypisek Br. Zaleskiego). Kozakiewicz Stanisław — „Zesłany był do ciężkich robót za sprawę Szymona Konarskiego w 1838 r." (przypisek j. w.). „Białostoczanin" — Michał Rubiewicz, zob. wyżej przypis do str. 27.

Do str. 86. Obchody imieninowe — zob. Tretiak, A. Mickiewicz w świetle nowych źródeł (Kraków, 1917), pass.; Poezja Filomatów, II (Kraków, 1922). Kucja — Wieczerza w Wigilję Bożego Narodzenia. Przeciszewska Felicja — Domeyko się myli, ukochaną Zana była uczennica jego z pensji Deyblów w Wilnie, Felicja Micewiczówna, córka marszałka pow. wiłkomirskiego, Dominika; około r. 1825 wyszła za marszałka pow. kowieńskiego, Ignacego Wilamowicza, a po jego zgonie w r. 1830, za Filaretę Napoleona Nowickiego; zmarła w 1883 r.; zob.: „Kłosy" XLV (1885), 305 sq.

Do str. 87. Lisiczka — „Ze wszystkich grzybów litewskich lisiczki są jedyne, których żaden owad nie gryzie i starzeją zdrowe, zachowując

swój piękny kolor żółto-czerwoniawy. Żydzi Litwy przenoszą lisiczki nad inne grzyby dlatego, że nierobaczywe i dużo ich zjadają" (przypisek Domeyki). W autografie pieśń Czeczota posiada treść następującą:

Sztoż my waszeci skażem,
Prostyje z sieła ludzie,
Jakije pieśniaczki zwiażem,
Budź rad z tajej, co budzie.
Bo my, jak myślim, czujem,
Tak tabie zaśpiewajem,
Tak tabie pawinszujem,
Nieszczyrości nie znajem.
Lisiczka żouty hrybok,
Ślimaczkou nie baicca,
Nie toczyć jaho czerwiaczok,
Jon u lesie zdarou bliszczycca.
Konik na polu dureje,
Choć kopy wozić niedbaje;
Saławiej choroszo pieje,
Samiczku k sabie sklikuje.
Budź jak lisiczka zdarowy,
Jak konik wiesioły pry trudzie,
Niech twaje piśma, razmowy,
Jak sałauja hołos budzie.

Do str. 88. O Chodźce Aleksandrze zob. Pigoń, Głosy z przed wieku (Wilno, 1924), 9 sq., por. „Tyg. Ill." 1892, I.

Do str. 94. Przytoczona przez Domeykę pieśń Czeczota została poprawiona i uzupełniona dwiema zwrotkami (6 i 9) według autentycznego tekstu w aktach wileńskiej Komisji Śledczej z 1823—24 r.

Do str. 95 sq. O Ogińskim Ksawerym: Archiwum Filomatów. Korespondencja, (Kraków, 1913), pass.; Askenazy, Łukasiński, II, 65. O Worcellu Stanisławie zob. Limanowski, St. Worcell (Kraków b. r.). O arcybiskupie Siestrzeńcewiczu Bohuszu Stanisławie: Loret, Kościół katolicki a Katarzyna II (Kraków, 1910) pass.; Moroszkin, Jezuity w Rossii I—II (Petersburg, 1867) pass.

Niemczewski Zacharjasz (1766—1820), prof. mechaniki, od 1817 r. dziekan wydz. fizyczno-matem. w Uniw. Wil.

Ks. Lwowicz Kalasanty Cyrjak, ur. 1794 r. w pow. dubieńskim, kształcił się w szkole powiatowej ołyckiej, potem rówieńskiej i u ks. ks. pijarów w Międzyrzeczu, gdzie w 1814 r. wstąpił do zakonu pijarów, nowicjat odbywał w Lubieszowie, tamże oraz w szkole szczuczyńskiej uczył matematyki; 26 sierpnia 1819 r. został wyświęcony w Wilnie przez bisk. Kundzicza, w tymże roku wstąpił do Un. Wil. na wydział matem.-fiz., który w r. 1822 ukończył ze stopniem magistra filozofji, następnie był duchow-

nym w Ostrożanach w Białostockiem. Akta Kom. Śl., oraz Mościcki, Pod znakiem Orła (1922), 226; Tygodnik Petersburski N. 28 z 1858 r.

Do str. 99 sq. W. ks. Mikołaj, późniejszy car Mikołaj I, ożenił się w r. 1817 z królewną pruską Karoliną, córką Fryderyka Wilhelma III. O zajściach akademików z oficerami: zob. niżej Pamiętniki Massalskiego; Dr. Z. Bujakowski, Sprawa Zana i Domeyków z chorążym Pełskim (Lwów, 1913); Archiwum Filomatów, Koresp., IV, 173, 240, 325; Pigoń, Awantura w teatrze. „Słowo" wileńskie N. 238 z 1923 r. Papiery Filomatów przechowane zostały przez rodzinę Pietraszkiewiczów, zob. „Bibljoteka Warsz.", I (1909).

O wykryciu wileńskich towarzystw tajnych zob. Mościcki, Wilno i Warszawa w „Dziadach" Mickiewicza (Warszawa, 1908), pass. Wyrok na akademików wileńskich z 14 (27) sierpnia 1824 r. ogłoszony był po raz pierwszy w języku polskim w broszurze Lelewela „Nowosilcow w Wilnie" (Warszawa, 1831).

Do str. 102 sq. Freyend Antoni, ur. w 1798 r. syn Ludwika, majora czy podpułkownika wojsk pruskich, rodzice mieszkali najpierw na Litwie, później w pow. hajsyńskim, gdzie mieli folwark; kształcił się najpierw w szkole bazyljańskiej w Borynach, od r. 1818 na wydziale fizycznym Uniw. Wil. (Akta Kom. Śl.). Szczegóły w Mościckiego, Pod znakiem Orła (1922), 227 — niedokładne. Jagiełło Jakób, ur. w 1796 r. we wsi Remeysie pow. wileńskiego, gdzie rodzice posiadali kilka włók ziemi „prawem lenności sobie nadane"; od 1817 r. kształcił się w Un. Wil. na wydziałach fizycznym, medycznym i literackim, uzyskał stopień kandydata filozofji; był nauczycielem domowym u Korsaków w majątku Micewicze pow. słuckiego, później zaś profesorem w gimnazjum słuckiem. Akta Kom. Śledczej; Walicki, Al. Moniuszko (Warszawa, 1873), 42; B. J. K., Wspomnienia o Słucku (Gniezno, 1905), 74. Kułakowski Feliks w Wilnie był dozorcą dzieci kapitana Owieczkina. Zob.: Księga pam. ku uczcz. 100-ej roczn. ur. A. Mickiewicza, I (Warszawa, 1899), 53 sq.

Daszkiewicz Cyprjan, ur. 1803 r., pochodził z pow. słonimskiego, po ukończeniu gimnazjum białostockiego uczęszczał od 1820 r. do Un. Wil. na wydział nauk moralno-politycznych. Zmarł na wygnaniu w r. 1830. Zob.: Athenaeum wil., III (1847), 152; Kallenbach, A Mickiewicz, I (Lwów, 1923), 386 sq.

Do str. 104 sq. Domeyko mylnie zestawił apostatę, księdza Jana Czerskiego (ur. 1813 r., zm. 1893 r.), współzałożyciela w r. 1844 z Janem Ronge kościoła „niemiecko-katolickiego", z księdzem Stanisławem Czerskim (ur. 1777 r., zm. ok. 1840 r.), filologiem, nauczycielem języków starożytnych w gimnazjum wileńskiem. O apostacie Czerskim zob.: Giller, Hist. powst., III (Paryż, 1870), 172; dr. St. Karwowski, Hist. W. Ks. Poznańskiego, I (Poznań, 1918), 230. O wysłaniu filaretów z Wilna: Mościcki, Pod znakiem Orła (1922), 111 sq. Sobolewski Jan, ur. 1800 r., szlachcic rodem z obwodu łomżyńskiego, powiatu tykocińskiego, parafji poświątczyńskiej, z majątku Grochy; po ukończeniu gimnazjum w Białymstoku

wstąpił w 1816 r. do Un. Wil. na oddział fiz.-mat. uzyskał stopień kandydata filozofji; od r. 1821 był nauczycielem fizyki w szkole krożańskiej; filomata; zmarł w Rosji na wygnaniu w 1830 r.

O udziale młodzieży lit. w powstaniu 1831 r.: Janowski, W promieniach Wilna i Krzemieńca (Wilno, 1923), 214 sq.; Mościcki, Pod znakiem Orła (1922), 240. Pohl Romuald Justyn, ur. w 1801 r., pochodził z gub. wileńskiej, szkoły kończył w Wilnie, następnie kształcił się w Akademji Połockiej, gdzie uzyskał stopień kandydata filozofji, później w Un. Wil. który ukończył w 1823 r. ze stopniem kandydata ob. praw.; był jednym z najczynniejszych organizatorów powstania 1831 r. wśród młodzieży wil. i szlachty oszmiańskiej; wyszedł z oddziałem gen. Chłapowskiego do Prus, zmarł w 1831 r. w Ascheken, wpobliżu Kłajpedy. Mickiewicz, przebywając w grudniu 1831 r. w Łukowie pod Poznaniem u Józefa hr. Grabowskiego, ukrywał się pod nazwiskiem Justyna Pohla. Akta Kom. Śl. wil.; Domeyko, Pamiętniki (Kraków, 1908), 47; Bronikowski, Pamiętniki polskie, I (Paryż, 1844), 153, 230; Wrotnowski, Zbiór pam. o powst. Litwy (Paryż, 1835), 231 sq. Mann, Winc. Pol, I (Kraków, 1904), 173 sq., 204 sq.

Wołłowicz Michał, ur. 1806 r., syn Kazimierza i Marjanny z Felkiersahmów, dziedzic Porzecza w pow. słomińskim, „w styczniu 1831 r. przybył z Litwy do Warszawy, skąd przez Rząd Narodowy wysłany na Litwę jako emisarjusz dla przyjęcia broni, w Połądze wylądować się mającej; znajdując się w bitwach w powstaniu telszewskiem, awansował tamże na kapitana kawalerji; wrócił do Polski i znowu z korpusem Giełguda przybył na Litwę, przyłączony do sztabu gen. Szymanowskiego odbył całą z nim kampanję, naostatek z korpusem gen. Rolanda wszedł do Prus". Upoważnienie Rządu Narodowego, Warszawa 4 kwietnia 1831 r., dla M. Wołłowicza „do działania w sprawie Narodu polskiego" i wezwanie do obywateli Żmudzi i Litwy, aby mu zaufali. List otwarty ministra spraw zagr. Małachowskiego, Warszawa 5 kwietnia 1831 r., do władz cywilnych i wojskowych, aby nie odmawiały pomocy M. Wołłowiczowi, „udającemu się z woli Rządu w woj. grodzieńskie, wileńskie i starostwo żmudzkie". Świadectwo: „Jenerał-major dowódca wojsk pol.-lit. pow. telszewskiego wydaje niniejsze, iż Michał Wołłowicz, delegowany od Najwyższego Rządu Król. Polskiego, czynnie się przykładał do sprawy naszej ojczyzny, znajdywał się na kilku potyczkach w Litwie, później w bitwach pod Dorbianami i Połągą, wszędy okazywał dowody niepospolitego męstwa i dzielnej rozwagi, słowem dowiódł czynem, że jest prawdziwym Polakiem i dobrym oficerem. W nagrodę więc za swoje poświęcenie się i okazaną zdolność w oczach moich uznaję godnym Michała Wołłowicza stopnia rotmistrza kawalerji litewsko-polskiej; takowy stopień nadaję mu wskutek przyznanej mi władzy przez Rząd lit.-polski p-tu telszewskiego. Dowódca wojsk p-tu telszewskiego gen.-major O. Jacewicz, adjutant Czerniewski. Dane w obozie pod Taurogami 17 maja 1831 r." (papiery M. Wołłowicza, poruczone Domeyce w Paryżu w 1833 r. Rkpisy Bibl. polskiej w Paryżu). Zob.: Straszewicz, Les Polonais (Paris, 1836); Domeyko, Pamiętniki (Kraków, 1908); „Ateneum Wileńskie" (1923).

Do str. 109. W y j ą t k i z p a m i ę t n i k ó w O t t o n a Ś l i z i e n i a ogłosił prof. Ludwik Finkel w „Pamiętniku Tow. literackiego im. A Mickiewicza" (Lwów, 1888); rękopis, o ile wiadomo, zaginął; fragmenty dotyczące Akademji Połockiej ogłosił J. G. (Giżycki) w „Materjałach do dziejów Ak. Poł." (Kraków, 1905). O Ottonie Ślizieniu: L. Finkel, Wstęp do pamiętników, j. w.; informacje od wnuka, prof. Marjana Massoniusa; życiorys Rafała Ślizienia, wydany bezimiennie (przez Henryka Ślizienia) w Warszawie, 1890; J. G. (Giżycki), Materjały do dziejów Akademji Połockiej (Kraków, 1905), pass.

Do str. 111 sq. Ks. K u n d z i c z T a d e u s z (1747—1829), biskup sufragan trocki, rektorem nigdy nie był, czas jakiś administrował diecezję wileńską. W y r w i c z A n t o n i (1791—1865), profesor matematyki w Un. Wil. — P o l i ń s k i P e ł k a M i c h a ł (1784—1848), prof. matematyki w Un. Wil. pozostawił pamiętniki, obecnie w archiwum uniwersyteckiem w Wilnie. — Ks. D o w g i r d A n i o ł (1776—1835), prof. filozofji w Un. Wil. H o r o d e c k i I g n a c y (1776—1824), prof. mineralogji w Un. Wil. Ż y c k i T o m a s z (1762—1839), prof. matematyki w Un. Wil.

Do str. 115 sq. O s z e j n e k a t r y n c e w i l e ń s k i e j opowiada Odyniec w swych „Wspomnieniach" (Warszawa, 1884), wygładzając jednak i zmieniając wiersze. Michał Czarnocki w swym rkps. „Dzienniku" umieszcza nadto następujące wiersze z wil. szejnekatrynki:

Oto profesor Grodek,
Natury wyrodek,
Lecz dobrze kurs wykłada
I głowę ma nielada.

Oto jest Żukowski,
Profesor żydowski.

A czyście widzieli,
Jak idzie Capelli,
Co gdyby był gdzie się urodził
Byłby małpy wodził.

Oto astronom Reszka,
Co na dole mieszka,
Bóg wie, co nie widzi w niebie,
A gachów nie może dopatrzeć u siebie.

Oto jest Życki,
Profesor akademicki.

Oto jest Znosko,
Profesor za łaską Boską,

Przy Kuratorze, jak wody zapragnie,
Krzepiąc siły, do ust z wiadrem nagnie.

Oto macie przed oczyma
Kazimierza Kontryma,
Co skarbiąc ludzkie afekta,
Podaje nowe projekta.

Oto Oczapowski agronom,
Oto Sławiński astronom.

Reszka Ignacy (1760—1830), profesor astronomji w Un. Wil. Rustem Jan (1761—1335), profesor malarstwa, wybitny portrecista, z pochodzenia Turek. Sławiński Piotr (1795—1881), prof. astronomji w Un. Wil. Szydłowski Ignacy (1793—1846), nauczyciel gimnazjum wil., literat, jeden z najczynniejszych członków T-wa Szubrawców; znany był ze swych skłonności do alkoholu. Zob. Morawski, Kilka lat, 482. Krassowski Kajetan, prof. agronomji w Un. Wil. Bojanus Ludwik (1776—1827), prof. weterynarji w Un. Wil. Kukolnik Paweł (1795 do 1884), prof. historji w Un. Wil. znany z swego lojalizmu.

Do str. 119 sq. O rodzinie Tomasza Zana zob. niżej. Komedja Gryczane pierożki zob.: „Pamiętnik literacki", IX (Lwów, 1900), 319 sq.; „Poezya Filomatów", I, 228 sq.

Do str. 124 sq. Sprawa gimnazjum wileńskiego zob.: Mościcki, Wilno i Warszawa w „Dziadach" (1908), pass. O maskaradzie: Pigoń, Wesołe sceny z życia dawnego Un. Wil. „Słowo" (Wilno 1923) N. 217.

Do str. 129. Pornograficzne wiersze Jankowskiego m. in. o Katarzynie II w aktach Komisji Śledczej (Rkpsy Bibl. Un. Wil.). Listy Fr. Malewskiego do ojca: Archiwum do dziejów lit. i ośw. w Polsce, VI, 278 sq. O Krukowskim: dr. Stanisław Morawski, Kilka lat młodości mojej w Wilnie (Warszawa, 1924).

Do str. 136. Wypadki w Krożach: Mościcki, Wilno i Warszawa; szkołę zamknięto nie w Krożach, lecz w Kiejdanach. Mowa Twardowskiego przy zamknięciu szkoły kiejdańskiej, 1 (13) marca 1824 r. Druk. w „Kurjerze Litewskim".

Do str. 138. Gonzala Józef, malarz, uczeń Rustema. Bieliński, Un, Wil., II, 743, 747.

Do str. 145. Czarnocki Michał: Dekret wywodowy Czarnockich z gub. mińskiej, 29 kwietnia st. st. 1802 r.; dyplom uniwersytecki Michała Czarnockiego, 18 lipca st. st. 1829 r.; Dzienniki z lat 1824—28, wiersze i t. d. — Rkpsy w pos. rodziny; informacje od p. Józefy z Świętorzeckich Obiezierskiej i od prof. Leona Petrażyckiego, syna Rozalji z Czarnockich, córki Michała. Rękopis drukowanych obecnie wspomnień otrzymaliśmy w r. 1906 od p. Jana

Łuckiewicza, pochodził najpewniej ze zbiorów łohojskich; odpis posiada Bibljoteka Ord. Krasińskich.

Do str. 148. Morawski Stanisław: zob. jego pamiętniki p. t. „Kilka lat młodości mojej w Wilnie" (Warszawa, 1924). O wpływie związków niemieckich na wileńskie zob. wyżej przypis do str. 6.

Do str. 152. Wybicki, Pamiętniki, II (Warszawa, 1905), 47 sq. Karniejew Zacharjasz był cywilnym gubernatorem mińskim w 1796—1806 r., zob. o nim: (Jackowski), Powieść z czasu mojego (Poznań, 1858), 60 sq.

Do str. 155. Liczba szkół, nauczycieli i uczniów w okręgu wileńskim była najwyższa w porównaniu z innemi okręgami Cesarstwa Rosyjskiego. W r. 1820 było w okręgu wileńskim: 430 zakładów naukowych, 983 nauczycieli i 21 174 uczniów. Zob. „Dniewnik Departamienta nar. prośw.", III (1821), 502. — Nie Józef, lecz Michał Rukiewicz, zob. wyżej przypis do str. 27.

Do str. 156. Szymkiewicz Jakób, głośny lekarz wil., pisarz, pierwszy prezes Tow. Szubrawców. Sękowski Józef (1800—1858), wychowaniec Un. Wil., głośny orjentalista, zob. Mościcki, Pod znakiem Orła (1922), 175, 237. Grecz Mikołaj (1787—1867), właściwie Gretsch, znany literat rosyjski, pozostawił inter. „Zapiski" (Petersburg,1 886). Bułharyn Tadeusz (1789—1859), literat rosyjski, Polak z pochodzenia, renegat. Słynny był swego czasu wiersz o nim Puszkina:

Nie to bieda, czto ty Polak,
Mickiewicz Lach, Kostiuszko Lach;
Bud' ty Zyd, bud' Tatarin,
No to bieda, czto ty Vidocq Bułharyn.

(Vidocq Eugenjusz, głośny awanturnik i szpieg francuski, ur. 1775, zm. 1857, pozostawił inter. „Mémoires" — Paryż 1828). Bułharyn pozostawił cenne „Wospominanja" (Petersburg, 1846—49), o jego działalności m. in.: „Russkaja Starina", IV (1871); Bisk. Ad. St. Krasiński, Wspomnienia (Kraków, 1900), 59 sq; Skarbek, Pamiętniki (Poznań, 1878), 181. Lemke, Nikołajewskije żandarmy (Petersburg, 1908), 232 sq.

Do str. 158. Towarzystwo Sześciu — charakterystycznem jest, że w tymże 1819 r. zawiązane zostało w Warszawie wśród młodzieży akademickiej stowarzyszenie „dla układania wyboru poezji i prozy", ożywione dążnościami narodowemi również pod nazwą „Towarzystwa Sześciu", zamienione później na „Towarzystwo Czcicieli Nauk"; należeli do niego: Mikołaj Chomętowski, Dominik Lisiecki, Kobyliński, Zakrzewski, Wojciech Jarociński, Zaleski Ferdynand, Keller, Zajdler, Karol Milewski, prezesem był Henryk Nakwaski, syn senatora kasztelana, później głośny poseł na sejm rewolucyjny 1830—31. r. W bliskich stosunkach z temi związkami pozostawał Józef Gołuchowski, głośny filozof, późniejszy profesor Un. Wil. Zob.: Protokół Rady T-wa Sześciu i inn. w rkps. Ak. Umiej.; Kwart. hist., XVIII

(1904); Bieliński, Król. Un. warsz., I, 253 sq., II, 411; Askenazy, Łukasiński, I, 256 sq., 387. Chodźko Józef i Morawski Stanisław nie byli Filomatami.

Do str. 159 sq. Teorja promionków — zob. zeznanie Zana z 1 maja st. st. 1822 r. — Archiwum do dz. lit. i ośw., IX, 154 sq.; Korespondencja Mickiewicza, III (Paryż, 1883), 85. Antypromieniści: Arch. Filomatów. Korespondencja, II, 126, 141, 156, 378; Mochnacki, Powst. nar. pol. w 1830—31 r., I (Poznań, 1863), 256 sq. (zapewne Zan miał na myśli to „pismo zagraniczne"). Wolański prawdopodobnie Adam, zob. Bieliński, Un. Wil., II, 132, 153. Bartoszewicz Zygmunt, wychowaniec Un. Wil., w 1827 r. wydał w Wilnie „Historję literatury polskiej". Szakin Antoni (1790—1845), pomocnik przy obserwatorjum astronom. wil., później prof. geodezji w Un. Wil. Korowicki Aleksander (1797—1864), prof. prawa cyw. w Un. Wil. Smokowski Wincenty (1796—1876), malarz wil., uczeń Rustema.

Wiersz Czeczota „Bodaj to złote wieki" druk. z nutami z rękopisu Zana w Horoszkiewicza „Echach min. lat", I (Lwów, 1889), 72. Śpiew Czeczota „Precz, precz" został poprawiony według oryg. tekstu druk. w „Poezyach Filomatów", II (Kraków, 1922), 105; nadto w oryginale po zwrotce drugiej następuje:

Pójdź, chodź, moja miła!
Tyś to mię zwalczyła;
Lecz ja ciebie zwalczę w tanie,
Sił w nużętach twych nie stanie.

A po zwrotce czwartej (właściwie piątej):

Nuż, więc szlachta braty,
Gdy ty dziś wiwaty
Spełniasz za zdrowie kochanki,
Bądź mężem, spróżniwszy szklanki.

Przy cytowanym wierszu Mickiewicza „Hej, użyjmy żywota" do wspomnianego tamże imienia „Feli" Czarnocki dodał następujące objaśnienie: „Feli oznacza Felicję Micewiczównę, jedną ze słuchaczek lekcyj Tomasza Zana, które to imię Filareci przyjęli na oznaczenie kochanki. Uczucia delikatne miłości i przyjaźni, a najkrócej i jaśniej powiedziawszy — czystość i szczerość, były wyższym szczeblem doskonałości filaretyzmu. Zan pierwszy został tych prostych uczuć apostołem, Mickiewicz swoim genjuszem utrwalił. To uczucie dotąd jest hasłem i cechą poetów litewskich, mianowicie Filaretów".

Do str. 162 sq. Pelski, Uzłowski — zob. przypis do str. 99. Trębacz — Niejaki Hołubowicz, były trębacz wojsk pol., miał browar w Wilnie przy zaułkach nazwanych od jego nazwiska Hołubowiczowskiem; u „Trębacza" zbierała się palestra wileńska na słynne piwo, zwane trębackiem,

bardzo mocne; amatorowie tego trunku odznaczali się chorobliwemi na twarzach rumieńcami; podobno wyrazy „trąbić" (pić) „strąbić się" i t. p. pochodzą od tego piwa. Jan ze Śliwina (Kirkor), Przechadzki po Wilnie (Wilno, 1859), 166; relacja ustna p. Edw. Wołodki. Maskarada — zob. przypis do str. 124.

Do str. 164. Botwinko Hieronim, prokurator, i Szłykow Piotr, policmajster wil. — zob. Mościcki, Wilno i Warsz., 43 sq. Notatka w „Wiadomościach Brukowych", N. 4 z 1816 r., miała treść następującą: „Pewien najprzebieglejszy złodziej wyznał na egzaminie, że jednej nocy w naszem mieście tak był okradziony, iż wszystko utracił, cokolwiek przez lat dziesięć ciągłą kradzieżą zgromadził. To bardzo dobre na wzbudzenie ostrożności". Franciszek Grzymała w liście do Leona Zienkowicza, 1 stycznia 1859 r. (rkps. w pos. pryw.), tak o tem opowiada: „Zaraz w początkach wychodzenia „Wiadomości Brukowych" Szłykow, policmajster Wilna, w nocy jednej, kiedy był na balu, okradziony został. Zręczni złodzieje wkradli się do jego domu i zabrali sumę 10 000 rb. srebrnych obok wielu kosztowności. Szłykow był człowiekiem ugrzecznionym, ale zarazem znany był, jako biorący pieniądze na prawo i na lewo, jako zupełnie wolny od wszelkich skrupułów, które cechują uczciwych i nieprzedajnych urzędników. Rozchodzi się wieść o tej kradzieży i w kilka dni całe Wilno czyta w „Wiadomościach Brukowych" następne ogłoszenie — p. wyżej — Po wyjściu dziennika z podobnem doniesieniem grupy ciekawych zbierają się na ulicach, rozkupują całą edycję „Wiadomości". Śmiech powszechny panuje w mieście, wszyscy zrozumieli, co to za złodziej okradziony. Policmajster w nadmiarze gniewu i urazy wpada do do wojennego gubernatora Korsakowa, zanosi skargę i żąda ukarania redaktorów za taką zniewagę. Korsakow, nieprzyjaciel złodziejów, z flegmą mityguje swego podwładnego i mówi do niego: „Uspokój się, stłum gniew. Ja czytałem także ten dziennik, ależ tam niema twego nazwiska, Szłykow, nie przyznawaj się do tego, boby sprawdziło się przysłowie polskie: na złodzieju czapka gore". Policmajster, na nowo zdetonowany przez Najwyższego urzędnika, zamilkł, ale z gniewu zachorował".

Relacja Czarnockiego o Szubrawcach nie jest prawdopodobna, uważać ją należy za odbicie kursujących ówcześnie pogłosek o zamierzonych przez Kontryma reformach w wolnomularstwie wileńskiem, zob.: Lelewel, Listy, I (Poznań, 1878), 316 sq.; Sobarri (Kirkor), Obrazki lit. (Poznań 1874), 175 sq.; Załęski, O masonii (Kraków, 1908), 211; Dobrianskij, Masonskija łoži w Litwie (Wilno, 1911).

Do str. 165. Sprawa wyniesienia Twardowskiego przedstawiona nader stronnie i niedokładnie, por. życiorys Twardowskiego przez d-ra Szeligę (Bielińskiego) w Archiwum do dziejów lit. i ośw. w Polsce, VI (1888) 172 sq.

Do str. 167 sq. O sprawie Massalskiego zob. Mościcki, Pod znakiem Orła (1922), 159 sq.

Derszkof Piotr, ur. 1802 r., syn kupca z Mińska, Filareta, kształcił się w gimnazjum mińskiem i wileńskiem, później w Un. Wil. na wydz. fiz.-mat., gdzie otrzymał stopień kandydata filoz., zamożny, posiadał w pow.

mińskim majątki: Maślaczanka, Malawki, Klin, oraz kamienice w Mińsku i w Wilnie. (Akta Kom. Śl.)

Do str. 169. L a v a l h r. J a n (de la Valle), urzędnik w petersb. Kolegjum spraw zagr. i człowiek Głównego Rządu szkół, inspektor w kadeckim korpusie morskim, mianowany czasowo po Czartoryskim — kuratorem okręgu naukowego wil., zm. w 1846 r. Zob.: „Russkij Wiertnik" z 1864 r. N. 6 i nast.

Do str. 171. D a l s z y c i ą g w i e r s z a według tekstu w aktach Komisji Śledczej brzmiał, jak następuje:

Niech się słowo w słowo stanie, co rzekł pan Senator,
Niech się durnie z durniów rodzą
I co nas za nosy wodzą.
Niech żyje Kurator!
Gdy wolność stracona ze świata niknie,
Pijmy zdrowie Pelikana,
Nauk i ludzi tyrana,
Niech każdy łyknie.
Niech żyją matrony, co dobrocią słyną:
Wiwat Księżna Zubowa
I Walentynowiczowa
Z córką Karoliną!
Jeszcze jedno zdrowie za damę wypiję:
Nasza Gubernatorowa,
Jaśnie Wielmożna Hornowa
Niech sto lat żyje!
Szkoda nam Ławrynowicza, że już w grobie leży,
Już mordów nie wznieci,
Wieczny pokój niech mu świeci.
Płacz, czuła młodzieży.

Michał Czarnocki w swym „Dzienniku" po pierwszej zwrotce umieszcza jeszcze dwie następujące:

Niech żyją Moskale i ich pan łaskawy.
Pijmy na cześć Konstantyna
I cała carska rodzina
Niech używa sławy.
Niech żyją despoci! Niech żyją królowie,
Ministry i senatory
I ich służalcze dwory,
Niech im służy zdrowie!

Do str. 172. P ę c z k o w s k i, rodem z Król. Pol., był w r. 1806 przewodniczącym założonego podówczas w Wilnie Towarzystwa Filomatycznego;

czy jest to ta sama osoba — nie wiemy. Zob. Lelewel, Listy, I (Poznań, 1878), 41 sq. Michał Czarnocki w swym rkps. „Dzienniku" podaje nieco inny skład Towarzystwa Sześciu, a mianowicie:

Achilles, prezydent, — Pęczkowski Piotr z gub. wileńskiej, z wydz. prawnego.
Patrokl, członek — Zenowicz Ignacy z gub. mińskiej, z wydz. fizycznego.
Orestes, członek — Tyszkiewicz Seweryn, z gub. wołyńskiej, z wydz. literackiego.
Pilades, członek — Chodźko Józef, z gub. mińskiej, z wydz. fizycznego.
Goworek, członek — Zan Tomasz, z gub. mińskiej, z wydz. fizycznego.
Leszek, sekretarz — Czarnocki Michał, z gub. mińskiej, z wydz. fizycznego.
Polluks, członek — Szukszta, sędzia 2-go Departamentu wileńskiego.
Kastor, członek — Morawski Stanisław, z gub. wileńskiej, z wydz. medycznego.

Do str. 177 sq. Ballada Zana p. t. „Neryna" druk. w „Dziejach dobrocz. kraj. i zagr." (Wilno, 1824).

Wiersz Zana „Pożegnanie panny AABCD", prawdopodobnie jest to „Elegia na odjazd uczennicy" (Olimpji Przezdzieckiej?) druk. w Gawalewicza, Poeta promienisty (Warszawa, 1911), 46 sq.

Wiersz Zana „Tabakiera" druk. w „Poezyach Filomatów", I, 283 sq.

Do str. 183. Literaturę, dotyczącą Zana, podaje prof. Korbut w t. III „Stu lat myśli polskiej" i w „Literaturze polskiej", III, 73 sq. Rodzina Zanów wywodzi się od Zania, bojara nowogrodzkiego z XVI w.; znani są: Zań Antiuchowicz, bojar hospodarski nowogrodzki z 1511 r.; Zań, bojar lubecki 1522 r.; Zańko Iwanowicz, horodniczy wileński w 1499—1511 r. Rodzina Zanów w 1842 r. została wniesiona do VI-ej księgi szlachty gub. mińskiej. Zob.: Litowskaja Mietrika, I (Petersburg, 1903); Boniecki, Poczet rodów, 396; Ałfawitnyj spisok dworianskich rodow Minskoj gub. wnies. w dwor. rodosł. Knigi (Mińsk, 1903). Interesujące wiadomości o swej rodzinie podaje Tomasz Zan w swem zeznaniu przed wil. Komisją Śledczą z dn. 28 stycznia st. st. 1824 r. (Archiwum Państw. w Wilnie):

„Nazywam się Tomasz, syn Karola, Zan, wieku mam lat 28, jestem religji rz.-katolickiej, spowiedź wielkanocną corocznie odbywam. Urodzenia jestem szlacheckiego, na co mam świadectwo J. W. Michała Kurowskiego, zastępującego miejsce marszałka powiatu wilejskiego, które świadczy, że ojciec mój, ja i bracia znajdujemy się w księgach szlacheckich tegoż powiatu. Urodziłem się w gubernji mińskiej, powiecie wilejskim, parafji mołodeczańskiej. Ojciec mój, wyszedłszy z opieki, ze znacznej części spadku po rodzicach w kapitałach, sumę do 20 000 złotych polskich wynoszącą, oddał na zastaw folwarku Chaleckowszczyzny, nie pamiętam do czyjego dziedzictwa należącej, w tejże gubernji i powiecie położonej, gdzie przez nieznajomość prawa stracił i sumę i sposoby do jej dochodzenia. Udał się więc do służby dworskiej i w r. 1798 przyjął obowiązek ekonoma w Wiazyniu u J. W. pułkownika Trębickiego, u którego służył lat 9, a potem rok u J. W. Gieczewicza, teraźniejszego gubernatora (mińskiego), któremu się ów majątek dostał.

Po skończonej służbie za sumę 10 000 zł. pol. wziął w zastaw folwark Iwiery, dwóch chłopów mający, do dziedzictwa niejakich J. P. Juszyńskich należący, w powiecie wilejskim, parafji mołodeczańskiej położony; folwark ten trzymał do r. 1819, nim go dziedzice nie przedali J. W. Michałowi Ogińskiemu. Przeniósł się zatem na mieszkanie w gubernję grodzieńską, powiat nowogródzki, do Iskołdzi, gdzie u brata swojego, ks. Walentego Zana, kanonika mińskiego, dziekana nowogródzkiego, plebana iskołdzkiego, z procentu od sumy 1000 rubli sr., u wspomnianego Ogińskiego zlokowanej, utrzymuje się, zarządzając przytem majątkiem brata swojego. Jak służąc, tak trzymając folwark Iwiery z jego dochodów utrzymywał siebie i nas, dzieci, wychowywał. Ojciec mój żadnej nie ma rangi; na wezwanie kapitana sprawnego od r. 1811 aż do przedania Iwier używany był do posług w powiecie, a mianowicie do robienia dróg pocztowych i t. p., a w r. 1812 do robienia wojennych lazaretów w Mołodecznej; w pismach i zaleceniach do niego przysyłanych mianowany był dworzańskim czynownikiem. Nauki pierwsze brałem w Mińsku, w gimnazjum, aż do klasy szóstej, od r. 1807 aż do r. 1812, w którym naprzód choroba, a potem rewolucja przeszkodziła do zupełnego szkół ukończenia. Później podupadły majątek ojca przez rewolucję nie dozwalał mu nas, synów jego, do Mińska oddawać i kiedy tymczasem blisko od Iwier w Mołodecznej otworzyły się szkoły powiatowe, gdzie przez dwa lata, razem z trzema braćmi moimi zostając, dokończyłem nauk na szkoły przepisanych; wnet w r. 1815 przybyłem do Uniwersytetu. Od tego czasu aż do wzięcia w areszt słuchałem kursów w oddziale nauk fizyczno-matematycznych; utrzymywałem się po największej części z dawania lekcyj prywatnych uczniów gimnazjum i Uniwersytetu, z dawania lekcyj na pensjach, a w mniejszej części z pomocy, od stryja i od ojca w miarę ich możności i drobnych moich potrzeb udzielanych. W r. 1816 w Oddziale nauk fizyczno-matematycznych otrzymałem stopień kandydata filozofji, a w latach 1822 i 1823 zdawałem egzamina podług nowych prawideł na stopień magistra filozofji, który stopień lubo od tegoż Oddziału został mi przyznany, lecz jeszcze od J. O. X. Ministra nie jest potwierdzony".

O zamiarze pisania pamiętników po powrocie z wygnania wspomina Zan kilkakrotnie w swoich listach; pamiętniki te miały stanowić część należności, jaką Zan zobowiązał się zapłacić Adolfowi Dobrowolskiemu za nabyty od niego majątek Kokowczyn; zczasem prawo do tych pamiętników przeszło za zgodą Dobrowolskiego na Karola hr. Chodkiewicza. Zob.: Czernicki, Żywot i koresp. Tomasza Zana (Kraków, 1863), 129, 143, 147, 154, 160; Michał Rolle, Z minionych stuleci (Lwów, 1908), 104 sq.

W liście do Maryli Puttkamerowej z Wilna 2 list. st. st. 1849 r. pisał Zan m. in.: „Adamowicz (Adam, prof. Akademji med.-chirurg. w Wilnie — *p. w.*) i Odyniec oświadczają mi pomoc do układania przedsięwziętych pamiętników, jako osoby przywykłe do redagowania, tem bardziej, że piśmiennictwo nie zdaje się być mojem powołaniem i w niem dotąd żadnego nie miawszy znaczenia, wątpię, abym co kiedy mógł znaczyć" (rkps. w pos. pryw.). Zamierzony pamiętnik miał nosić tytuł: „Początnik mowy czyli nauk polskich". Wyjątki z pamiętnika Zana p. t. „Świat i miłość" ogłosił prof. Pigoń w „Gło-

sach z przed wieku" (Wilno, 1924), 104 sq., oraz fragmenty z jego wspomnień orenburskich w N. 289—90 „Dziennika Wileńskiego" z r. 1923.

W ogłoszonych „Notatkach pamiętnikarskich" podział na rozdziały i podanie ich treści należy do wydawcy.

Do str. 186 sq. Jełowiccy — patrjotyczna ta rodzina odznaczyła się zwłaszcza podczas powstania 1831 r. na Podolu. Zob. Wrotnowski, Historja powst. na Wołyniu, Podolu i Ukrainie w r. 1831, I (Lipsk, 1875), 288 sq. Chołoniewski Stanisław ksiądz (1791—1846), pisarz religijny, przyjaciel Mickiewicza. Hołowiński Ignacy ks. (1807—1855), późniejszy arcybiskup metropolita mohylewski, pisarz religijny. Rzewuski Henryk (1791—1866), znakomity pisarz, autor „Listopada". Śniadecki Jan był z pochodzenia Wielkopolaninem. Lejboszyc albo Liboszyc, głośny na pocz. XIX w. lekarz wileński, o nim: Frank, Pamiętniki (Wilno, 1913), pass. Goworek — pseudonim Zana w Tow. Sześciu zob. wyżej str. 172. Miadzioł — miasteczko w pow. wilejskim z kościołem ks. ks. karmelitów bosych, posiadającym relikwje św. Justyna. Mianowski — prawdopodobnie Zan miał na myśli Mikołaja Mianowskiego (1783—1843), prof. medycyny w Un. Wil., późniejszego rektora Akademji Medyko-Chirurgicznej w Wilnie. „Disce puer..." — powiedzenie, przypisywane Stefanowi Batoremu.

Do str. 192. Jan Suchecki, nauczyciel matematyki w gim. mińskiem. Mich. Czarnocki w rkps. „Dzienniku" mówi o nim: „Nie wiem, dlaczego zarobił on na opinję wielkiego matematyka, cała jego nauka się kończyła na powtarzaniu tych dwóch wierszy:

Co to mi za pan podkomorzy,
Co na hipotenuzę wielki pysk otworzy.

Syn jego, Bruno, sławnym był urwiszem w gimn. mińskiem, zostawszy jednak profesorem w gimn. wileńskiem, znikło trzpiotostwo a został dowcip i wesołość". Bruno Suchecki należał czas jakiś do Tow. Filomatów, za rozgłaszanie wiadomości o T-wie i opieszałość został usunięty. Arch. Filomatów. Koresp. I, 241. Poliński Pełka Michał — późniejszy prof. Un. Wil. Cejs Piotr — pierwszy dyrektor przekształconej w 1803 r. szkoły podwydziałowej mińskiej na gimnazjum siedmioklasowe. Cejs, wychowaniec korpusu marynarki, niegdyś oficer marynarki rosyjskiej, następnie policmajster miński, na stanowisko dyrektora gimn. wyniesiony przez kaprys gubernatora Karniejewa, którego zdaniem kwalifikacje policmajstra były zupełnie wystarczające do kierowania wychowaniem młodzieży. Zob.: Iwaszkiewicz, Mińsk, (Poznań b. r.), 10. Stroynowski Hieronim, prof. i rektor Un. Wil., autor podręcznika: „Nauka prawa przyrodzonego, politycznego, ekonomji pol. i prawa narodów" (Wilno, 1805).

Do str. 194 sq. Abłamowicz Ignacy, późniejszy prof. Liceum Krzemienieckiego i Uniw. Kijowskiego. Brodowski Ignacy, nauczyciel historji i prawa, później zasłużony dyrektor gimn. świsłockiego, redak-

tor „Gazety Tymczasowej Mińskiej" w 1812 r. Ks. Dederko Jakób Ignacy — pierwszy od 1798 r. biskup miński, za przystąpienie do Konfederacji w 1812 r. usunięty od rządów diecezji, zamieszkał w Ołyce, gdzie zmarł 24 grudnia 1829 r., otoczony czcią powszechną. Złota Górka — cmentarz w Mińsku. Potemkin Iow był archirejem prawosł. w Mińsku 1796—1812; o jego działalności: Runkiewicz, Istorja Minskoj archijeskopii (Petersburg, 1893), 358 sq. Leonard Chodźko (1800—1871), syn Ludwika i Walerji z Dederków, znany pisarz hist. i działacz na emigr. po 1831. Zob. Wernicki, L. Chodźko i jego prace (Lwów, 1880).

O zabawach wojskowych w Mołodecznie: raport Nowosilcowa z 13 (25) maja 1824 r. — Wierzbowski, K istorji tajnych obszczestw (Warszawa, 1898), 48 sq.; Pigoń, Głosy z przedwieku (Wilno, 1924), 94 sq., por. Fr. Mickiewicz, Pamiętnik (Lwów, 1923), 40. Muchliński Antoni (1808—1877), uczył się w Mołodecznie 1817—23, i w Un. Wil., późniejszy prof. Uniw. Petersburskiego, znany orjentalista.

Do str. 199 sq. „N, aniżeli A" = Napoleon — Aleksander, zob. o kulcie Napoleona na Litwie por. 1812: Mościcki, Pod znakiem Orła (1922), 212; Pigoń, Głosy, 94. Czerniawski Jan, od 1803 r. prof. jęz. i lit. ros. w Un. Wil. Kardynalja — dom przy ul. Wielkiej w Wilnie, należący niegdyś do Jerzego ks. Radziwiłła, kardynała i bisk. krak. Holland Jan Dawid, w 1802—25 prof. muzyki w Un. Wil. Karczewski Józef, sekretarz T-wa Szubrawców, pozostawił inter. pamiętniki rkps., zob. Jankowski, Powiat oszmiański, I (Petersburg, 1896), 42 sq. Józef Zawadzki — (1778—1838), znany księgarz wileński. Antoni Marcinowski (1781—1855), redaktor „Kurjera Lit." i „Dziennika Wil." Zob. „Tyg. Ill." N. 3 z 1905 r. Rychter Jan Bogusław (1787—1853), redaktor „Wiadomości Brukowych". Zob.: J. B. Rychter, O lnie towarnym lit., poprzedzone życiorysem przez Wł. Syrokomlę (Wilno, 1859) Lachnicki Ignacy Emanuel (1793—1826), redaktor „Pamiętnika Magnetycznego Wileńskiego" (1816—18). Józef Kowalewski (1800—78), filomata, późniejszy prof. Un. Kazańskiego i Szkoły Głównej warsz., głośny filolog. Bałamut — czasopismo satyryczne wyd. w Petersburgu w 1830 do 35 r. przez Bułharyna, Rogalskiego, Sękowskiego i in. Towarzystwo Przyjaciół zob. Pietraszkiewiczówna, Dzieje Filomatów (Kraków, 1912), 30.

Do str. 202. Ówczesne towarzystwo wil. zob. listy Lelewela, pamiętniki prof. Franka, Mik. Malinowskiego, St. Morawskiego i inn.

Do str. 203. Gminy Oborskiego — gminy Towarzystwa Patrjotycznego, zob. Mościcki, Wilno i Warszawa, 10. Michał Szyrma ur. w 1802 r., kandydat praw Un. Wil., Filareta. Antypromieniści — zob. przypis do str. 159.

Komisja, utworzona w 1822 r. z rozkazu Czartoryskiego do śledztwa w sprawie Promienistych, składała się z profesorów: Bojanusa, ks. Kłągiewicza i Łobojki, akta jej ogłosz. w Archiwum do dziejów lit. i ośw., IX, 136 sq.

Dudin Antoni, ur. 1802, prawosławny, szlachcic z gub. mińskiej, syn dymisj. porucznika i horodniczego w Bobrujsku, kształcił się w szkole pow. ihumeńskiej, potem w Mołodecznie, w 1818 r. zapisał się na oddz. fizyczny Un. Wil., w 1821 otrzymał stopień kandydata filozofji, należał do T-wa Filaretów (Akta Kom. Śl.).

Do str. 209 sq. Massalski Edward Tomasz: Encykl. Orgelbranda, XVIII, 156; Chmielowski, Hist. lit. pol., III (Warszawa, 1899), 233; Bibljografja Estreichera, III, 80, 225; Rogalski, Hist. liter. pol. (Warszawa, 1871), I, 22, II, 448; J. G. (Giżycki), Materjały do dziejów Akademji Połockiej (Kraków, 1905), 124 sq., 255; Bieliński, Un. Wil., III, 442; Mościcki, Pod znakiem Orła (1922), 162 sq., 235. Rękopis pamiętników, doprowadzonych do 1853 r., znajduje się w posiadaniu syna autora, prof. Urbana Wareg-Massalskiego.

Stroganow Sergjusz, syn Grzegorza, ur. 1794 r. zm. 1882 r., generał, znany działacz rosyjski, kurator okręgu nauk. moskiewskiego etc.; w r. 1831 był gubernatorem wojennym mińskim i na tem stanowisku pozyskał sympatję ludności. W r. 1832 Aleksander Moniuszko (stryj muzyka, syn Stanisława i Ewy z Woyniłłowiczów) przyjechał do Petersburga, „jako deputowany od obywateli gub. mińskiej, żeby z ich składki ofiarować Stroganowowi prezent odpowiedni na pamiątkę ich wdzięczności za jego ludzkość, okazaną w sprawach powstania i wogóle przez czas jego zarządu gub. mińską. Uradzono, żeby zrobić urnę złotą z nadpisem stosownym. O ten nadpis było wiele rozpraw; Moniuszko projektował nadpisać: „à l'homme le plus vertueux" i pod spodem od kogo i rok. Mnie się zdało, że więcejby zawierało się myśli w jednem słowie: „à l'homme",... ale moje zdanie musiało uledz przewadze głosów. I tak owa urna, ślicznie w Petersburgu wykonana, została Stroganowowi ofiarowaną" (Z pamiętników Edw. Tom. Massalskiego). Minjaturę Stroganowa, malowaną w Mińsku w r. 1830—31 przez Wańkowicza, posiadał Al. Moniuszko w Śmiłowiczach. Zob.: Russkij biograf. słowar, XIII (1909), 523 sq.; Rastawiecki, Słownik malarzy pol., III, 28. O Dominiku Moniuszce: Walicki, St. Moniuszko 20 sq., 86 sq., Mościcki, Pod znakiem Orła, 223.

Do str. 215. Poselstwo Michała Ogińskiego do Holandji doszło do skutku w r. 1788, zob. Ogiński, Mémoires, I (Paris, 1826). O Goreckich zob. St. Morawski, Kilka lat młodości mojej w Wilnie (Warszawa, 1924).

Do str. 217 sq. Bennigsen Leoncjusz, gubernator woj. wil. 1801—06, wódz ros. w 1806—7 i 1812 r. Oczapowski Michał (1788—1854), prof. gospodarstwa wiejsk. w Un. Wil.

Do str. 225 sq. Giecewicz vel Gieczewicz Wincenty, gubernator cywilny miński w 1817—31 r. Ks. Muśnicki Nikodem (1765—1805), jezuita, prof. szkół połockich, wydał w Połocku 1803 r. głośny poemat p. t. „Pułtawa", zob. Chmielowski, Liberalizm i obskurantyzm na Litwie i Rusi (Warszawa, 1898), 49 sq.

Do str. 231. Pułk Konopki Jana formowany był na Litwie

w r. 1812 z młodzieży szlacheckiej, zob. Iwaszkiewicz, Litwa w 1812 r. (Warszawa, 1912), 171 sq. Bronikowski Mikołaj gen., gubernator miński w r. 1812 Iwaszkiewicz, l. c.

Do str. 243. Angiolini Józef (1747—1814) prof. Akademji Połockiej, wydał „Institutiones philosophiae" (Połock, 1819).

Do str. 247 sq. O Akademji Połockiej, jej profesorach, uczniach etc. zob.: J. G. (Giżycki), Materjały do dziejów Akademji Połockiej i szkół od niej zależnych (Kraków, 1905).

Do str. 249. Osztorp Leon, w 1823—47 marszałek gub. mińsk. Zm. 31 stycznia 1851 r. w Dukorze, pozostawił pamiętniki w rkpsie. Portret jego mieści w Albumie Wilczyńskiego.

Do str. 252. Towarzystwo Biblijne, rozpowszechniające Pismo św., o jego działalności na Litwie zob.: Chmielowski, Liberalizm i obsk. (1898), 151 sq.; Bobrowskij, Russkaja gr.-uniatskaja cerkow w carstw. Aleksandra I (Petersburg, 1890), 182 sq.

Do str. 263. O bisk. Kundziczu i Promienistych zob. Archiwum Filomatów. Koresp., II, 110 sq.

Do str. 270. Iliński Józef August hr. (1766—1844), generał-inspektor wojsk kor., później senator ros.,starosta ulanowski, dziedzic Romanowa; żonaty powtórnie z Francuską, p. Crac. O jego dziwactwach wiele w pamiętnikach współcz., np. Seweryna Bukara, Ochockiego, Steckiego i inn., nadto Morawski, Kilka lat, 503.

Do str. 272. Odyniec wydał wtedy wiersz p. t. „Kasino, wiersz na dochód Tow. Dobrocz." (Wilno, 1823); Al. Chodźko p. t. „Przypomnienie, wiersz z powodu grania przez amatorów na zysk Tow. Dobroczynności Komedji „Barbara Zapolska" w Wilnie" (Wilno, 1823); Józef Massalski p. t. „Karnawał, wiersz pisany r. 1823 dn. 22 lutego" (tamże). Towiański Andrzej (1799—1878), słynny mistyk; literaturę o nim podaje prof. Korbut w „Literaturze pol.", III, 268 sq. Gutt Ferdynand, najstarszy syn Jerzego, aptekarza w Wilnie, ur. 1790 r., Filareta, Un. Wil. ukończył w 1823, zm. 26 grudnia 1871 r. Zob.: Wł. Mickiewicz, Żywot A. M-cza, III, 93, XVIII; Koresp. A. M-cza, I, 244; Witwicki, Towiańszczyzna wystawiona (Paryż, 1844), 6; Pigoń, Z epoki Mickiewicza (Lwów, 1922), 171 sq.; Mościcki, Wspomnienie o Towiańskim. „Bibl. Warsz.", I (1907), 595 sq. Bieliński, Un. Wil., III, 399; Roczn. Tow. hist.-lit. w Paryżu (Poznań, 1872), 608. Wańkowicz Walenty (1799—1842), słynny malarz wil. O działalności Towiańskiego w 1832—33 r. tak mówi Massalski w dalszym ciągu swoich pamiętników:

„W tymże prawie czasie (w r. 1832) przybyli do Petersburga Towiański i Aleksander Moniuszko, obaj z interesami do Stroganowa... Towiański przybył poprostu w celu nawrócenia Stroganowa na swoją wiarę. Trudno było temu uwierzyć, ale istotnie tak było. W Mińsku jeszcze Stroganow, chcąc mieć swój portret, wezwał Walentego Wańkowicza jako słynnego już wówczas malarza. Ten przy malowaniu w rozmowach ze Stroganowem powziął myśl, że on, człowiek postępowy, łatwoby chwycił się, pędu górnego", gdyby tylko

Towiański mógł z nim pokonferować. Zakomunikował więc mistrzowi swoje postrzeżenia i uradzili „działać" na Stroganowa, i kiedy się to uda, wpłynąć za jego pomocą na innych rosyjskich magnatów, ponawracać ich, t. j. nakłonić, żeby uznali Towiańskiego za mistrza i podług jego planów służyli sprawie polskiej, a następnie słowiańskiej i całej ludzkości. Żeby zaś nastręczyć mu pretekst do zawiązania znajomości ze Stroganowem, który podczas ich narad wyjechał już był do Petersburga, Wańkowicz wymalował śliczny obraz Pana Jezusa, któryby Towiański ofiarował Stroganowowi i miał zręczność od Pana Jezusa skierować rozmowę do swoich dogmatów. Jakoż ten pośpieszył do Petersburga za Stroganowem i prezentował się u niego z owym obrazem, jakoby przysłanym od Wańkowicza w podarunku. Stroganow, jak wszystkich, tak i jego przyjął grzecznie, ale kiedy się zawiązała nastrojowa rozmowa, musiał pomiarkować z kim ma do czynienia, bo chociaż Towiański po długiej konferencyi zamówił sobie następne odwiedziny, ale nigdy już, pomimo wszelkich jego usiłowań, nie mógł ze Stroganowem zobaczyć się. Wreszcie zrozumiał, że ten go puszczać do siebie zabronił. Rzucił się więc Towiański do innych Rosjan, a nie mogąc do panów, próbował na każdym, z kim tylko mógł mieć jakikolwiek stosunek; ale z pozytywnymi Rosjanami trudniejsza była sprawa, niżeli ze swymi, więcej poetyckich mającymi usposobień. Słowem, że, przez siedem miesięcy siedząc w Petersburgu, nikogo nie nawrócił, nawet ani Litwina żadnego..."

„W końcu czerwca (r. 1833) zdarzyła się Karolowi (Massalskiemu, młodszemu bratu Tomasza) zręczność odjechać do Wilna na koszt wspólny razem z Towiańskim. Ten, nie mogąc nikogo nawrócić w Petersburgu, zaczynał już tęsknić do swoich zwolenników w Wilnie, których miał tam obu płci kilkunastu, lecz możeby jeszcze tak prędko północnej misji swej nie opuścił, gdyby nie list Wańkowicza, który go zastraszył. Napisał bowiem doń Wańkowicz, że tak wysoko postąpił na swojej mistycznej drabinie, iż Towiański już nie jest godzien rozwiązać rzemyka u jego obuwia. Przeczytawszy to, mistrz natychmiast wysłał rozkaz do Gutta, żeby niezwłocznie pośpieszył do Mińska puścić krew Wańkowiczowi, bo widocznie warjuje, i sam zaraz zabrał się do powrotu. Wyjechali więc z Karolem. W tej podróży usiłował Karola na swoją wiarę nawrócić, ale kiedy mu się to żadną miarą nie udawało, umyślił go podług swego systemu zażyć. To jest żeby pokornych wspierać wszelkiemi siłami, a pysznym też wszelkiemi siłami szkodzić dlatego, żeby ich upokorzyć i przez to na dobrą drogę wprowadzić. Pokornym zaś i zwał tych, którzy ślepo Towiańskiemu wierzyli; ci mieli podług niego pęd górny; pysznymi naturalnie byli w oczach jego i mieli pęd dolny wszyscy, którzy nie chcieli uledz jego wymowie. Zatem przez miłość bliźniego należało ich upokorzyć i tym sposobem z upadku na stopniach świętej drabiny podźwignąć. Otóż i Karol, kiedy w tej podróży okazał się nieuległym, a zatem pysznym, Towiański przez miłość bliźniego porzucił go na poczcie, o kilka stacyj przed Wilnem, zabrawszy z sobą tłomok, w którym były Karolowe pieniądze i paszport. Z wielką biedą dostał się Karol do Wilna, wyłajał Towiańskiego, odebrał swój tłomok i na tem się ich znajomość zakończyła".

Do str. 275. Szantyr Stanisław ks. wydał „Wiadomości do dziejów Kościoła i religji katolickiej w krajach panowaniu rosyjskiemu podległych" (Poznań, 1843), zostawił pamiętnik p. t. „Pamiątki mego życia i w niem zdarzeń różnych z pamięci spisany z opisaniem miejsc znajomych oraz biografia współczesnych osób przeze mnie X. Stanisława Ursyna z Zantyr prałata r. 1846 napisany" — druk. w obsz. wyjątkach przez Helenjusza (Iwanowskiego) w „Pamiątkach pol. z różnych czasów, II (Kraków, 1882), 83 sq.; por.: „Dzieje dobrocz. kraj. i zagr.", I (Wilno, 1820), 440.

Do str. 276. Spitznagel Ferdynand (1760—1826), prof. medycyny w Un. Wil., o synu jego, Ludwiku, przyjacielu Juljusza Słowackiego: Hoesick, Życie J. Słowackiego, I (Kraków, 1896), pass.

Do str. 279 sq. O sprawie uczniów wil. i Józefa Massalskiego dane nieścisłe, zob.: Mościcki, Wilno i Warszawa (1908), pass.; Mościcki, Pod znakiem Orła (1922), 159 sq.

Do str. 283 sq. Oubril, właściwie Oubri Piotr (1774—1847), poseł rosyjski w Madrycie i Frankfurcie.

Paniewski: zob. Mościcki, Kapral w „Dziadach" — „Tyg. Ill." N. 32 — 1913 r.

Do str. 290. O Ant. Kamińskim zob.: Mościcki, Pod znakiem Orła, 236.

Do str. 307 sq. Dane biograficzne o Franciszku Malewskim rozproszone są w literaturze mickiewiczowskiej, charakterystyka u Kallenbacha, Ród Filomatów. — „Bibl. warsz.", I (1914), 23 sq.; nadto: Bieliński, Un. Wil., III, 439; Nolde, Popytka kodyfikacji lit.-pols. prawa (Petersburg, 1906), 97. Listy Fr. Malewskiego ogłosz. m. in. w: „Księdze pam. na uczcz. setnej rocznicy ur. A. Mickiewicza" (Warszawa, 1899); „Z nad Wilji i Niemna (Wilno, 1906); „Rok Mickiewiczowski" (Lwów, 1899); „Sami sobie" (Warszawa, 1900) inter. listy do Lelewela i do żony, z lat 1827, 1829, 1838 ogłosił Wł. Mickiewicz w czas. „Echo polskie" (Moskwa, 1916 r.) NN. 2 3, 6, 7, 14, 41—2. Bibljografja prac Fr. Malewskiego — w rkpisach Bibl. Ord. Krasińskich. Interesujące dane zawierał rkps. pamiętnik ojca Franciszka, rektora Szymona Malewskiego, prawdopodobnie zaginiony, nadto rękopisy w archiwum rodzinnem p. Wł. Mickiewicza.

Fryczyński Michał, wychowaniec Liceum Krzem. i Un. Wil., wysłany był przez Liceum zagranicę dla kształcenia się w agronomji, po powrocie w r. 1824 mianowany był nauczycielem agronomji w Krzemieńcu, stamtąd zaś powołany w 1829 r. na prof. agronomji praktycznej do Un. Wil. i na dyrektora Instytutu Agron. w Zameczku, folwarku, położonym pod Wilnem.

Do str. 310. Aresztowania Malewskiego zażądał Nowosilców od w. ks. Konstantego z Wilna 21 listopada st. st. 1823 r., W. Książę odpowiednie polecenie przesłał Alopeusowi d. 30 listopada st. st. t. r.

Radziwiłł Antoni, ówczesny namiestnik W. Ks. Poznańskiego.

Do str. 312. Józef = Jeżowski. Jouy Wiktor (1764—1846), pisarz francuski, więziony podczas Rewolucji.

Do str. 314. Piasecki Marjan, ur. 1796 r., kandydat praw Un. Wil. przewodnik białego grona Filaretów.

Do str. 318. Tomasz = Zan. Marynia, Zosia — Malewskie, siostry Franciszka. Radcliffe Anna (1764—1824), powieściopisarka angielska, lubująca się w opisywaniu scen grozy i strachu.

Do str. 324. Alopeus Dawid (1769—1831), od r. 1813 do 1831 poseł rosyjski w Berlinie. O nim i jego działalności zob.: Spiski titułowannym rodam i licam Ross. Impierji (Petersburg, 1892) 114: Russkij biogr. słowar. II (Petersburg, 1900), 60 sq. Askenazy, Dwa stulecia, I (1901) 369, 401.

Do str. 330. Generał Lewickij — komendant m. Warszawy w dobie Król. Polskiego. Kuruta — szef sztabu w. ks. Konstantego, Grek z pochodzenia. Hintz Leon — radca dworu, zarządzający sprawami Litwy, b. rządca dóbr prywatnych w. ks. Konstantego. Lubowidzki Mateusz, wiceprezydent m. Warszawy w dobie Król. Polskiego.

Do str. 332. Twardowski Józef (1786—1840), rektor Un. Wil. w latach 1822—24; list do niego od Fr. Malewskiego z Berlina 22 stycznia 1824 r. druk. w „Archiwum do dziejów lit. i ośw. w Polsce", VI, 278.

O wielu osobach, wspomnianych w tym tomie, porównaj — Dr. Stanisław Morawski: Kilka lat młodości mojej w Wilnie (1818—1825) — Warszawa 1924.

INDEKS NAZWISK

SPIS ILUSTRACYJ

Str.

Str.

SPIS RZECZY